

Dość modnie, krótko polgarzył jeden los.

Maureen Lee

WRZEŚNIOWE
DZIEWCZYNKI



LEE MAUREEN

WRZEŚNIOWE DZIEWCZYNKI

Z angielskiego przełożyła

Ewa Morycińska-Dzius

Tytuł oryginału

The September Girls

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych — żywych czy martwych — jest całkowicie przypadkowe.

Dla Charlotte i Patricka

z miłością

Przy pisaniu Wrześniowych dziewczynek niezmiernie mi pomogła książka Normana Longmate'a *How We Lived Then* (Jak wtedy żyliśmy), opisująca szczegółowo, w jaki sposób ludność cywilna Anglii dawała sobie radę w latach drugiej wojny światowej.

Część pierwsza

Rozdział 1

WRZESIEŃ 1920

Padało. Deszcz lał od samego rana, od chwili opuszczenia Irlandii przez całą podróż statkiem; i teraz w Liverpoolu

ciągle jeszcze padało, kiedy czekali na Paddy'ego, który miał się z nimi spotkać i zabrać tam, gdzie będą odtąd mieszkać.

Brenna niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Zanim zapadnie noc, Caffreyowie powinni mieć już własny dom, w którym woda będzie płynęła z kranu, a nie ze wspólnej pompy na podwórzu... I będą mieli własną ubikację, gdzie wystarczy tylko pociągnąć za łańcuszek, żeby wszystko spłynęło — nie będzie już więcej wylewania kubłów z nieczystościami do wozu, który przyjeżdża raz w tygodniu na podwórko i cuchnie jak diabli...

Gdzież ten Paddy, martwiła się.
Spóźniał się nieprzyzwoicie. A przecież

obiecał, że się spotkają przy Princes Dock. Niebo, i tak już pokryte czarnymi chmurami, robiło się coraz ciemniejsze, w dodatku jak na wrzesień było wyjątkowo zimno. Duża wskazówka zegara na wytwornym gmachu po drugiej stronie ulicy dwukrotnie obiegała tarczę — minęły dwie godziny.

Czekali całe dwie godziny!

— Mamo, jestem zmęczony! — Fergus ciągnął Brennę za spódnice.

— Wujek zaraz tu będzie, kochanie.

Sześćoletni Fergus i młodszy od niego o dwa lata Tyrone byli początkowo zafascynowani niezwykłym widokiem

niekończącego się potoku tramwajów wyjeżdżających pędem z za rogu ulicy, sypiących iskry z górnych przewodów, a także światłami, które odbijały się w mokrej jezdni.

Teraz jednak zaczynali się już nudzić, z każdą upływającą minutą coraz bardziej. Brenna natomiast wciąż była pod wrażeniem — nie tylko 11

z powodu tramwajów, ale i budynków, większych niż największy, jaki widziała dotychczas; większych nawet od kościoła Matki Boskiej z Lourdes, dokąd co niedzielę chodzili na mszę.

I tylu ludzi! Setki przechodniów spieszyły gdzieś pod osłoną czarnych

parasoli. Teraz było ich mniej; wsiadali do tramwajów i natychmiast odjeżdżali, Bóg jeden wie dokąd. Jeszcze inni znikali w głębokich tunelach prowadzących na nabrzeże, do promów, które miały ich przewieźć na drugą stronę rzeki Mersey.

Liverpool musi być rzeczywiście wielkim i bogatym miejscem, myślała Brenna, ponieważ wszyscy byli szalenie wytworni: mężczyźni w garniturach, kobiety w spódnicach sięgających kostek, w dopasowanych zakietach i dużych filcowych kapeluszach. Jedna z nich miała kapelusz z karakułów i taką samą mufkę. Ta kobieta obrzuciła Brennę bardzo dziwnym spojrzeniem,

kilka innych również. Cóż, musiała wyglądać okropnie w swoim czarnym szalu i długiej do ziemi spódnicy, wzdymającej się na wielkim, okrągłym jak piłka ciężowym brzuchu. Na obolałych stopach miała stare skarpetki Colma i jego dziurawe trzewiki, wypchane w palcach szmatami. Bała się, że ktoś każe im zaraz się wynieść z tego miejsca tuż przy końcu tunelu, gdzie wraz z Fergussem schroniła się przed uporczywym deszczem. Na wszelki wypadek miała już przygotowaną ostrą odpowiedź, ale jak dotąd nikt się do nich nie odezwał.

Według Colma to miejsce, w którym czekali, nazywało się Pier Head.

Colm raz po raz szedł zobaczyć, czy przypadkiem Paddy nie stoi gdzieś indziej. Teraz wracał już z trzeciej takiej rundy.

— Ani śladu Paddy'ego. Jak kamień w wodę... — mruknął.

Na jego twarzy malował się niepokój.

Nic dziwnego. Wysłali Paddy'emu dziesięć funtów, które Colm wygrał

w totalizatora. Cóż to była za cudowna chwila! Szczęście się wtedy do nich naprawdę uśmiechnęło. Colm jechał właśnie do Kildare, wioząc na targ jarzyny i raz po raz poganiając kasztanka, który ciągnął wóz, kiedy jakiś

Amerykanin „zalany w pestkę”, jak się wyraził Colm, wręczył mu kawałek papieru.

— Weeeż to soobie, chłooopie — powiedział przeciągle. — Kiedy te wyścigi się zaczną, ja będę już z powrotem w mojej starej poczciwej Ameryce.

— Jakie wyścigi? — spytała Brenna, gdy Colm wrócił już do domu, bardzo z siebie dumny, i pokazał jej papier. Wyznał, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

12

— Co tu jest napisane? — Brenna czytała bardzo słabo, a pisała jeszcze

słabiej, ale Colm uczył się u jezuitów we wsi, w której mieszkali.

— „Spion Kop”. A u góry nazwa hotelu, w którym mieszkał pewnie ten Amerykanin: „The Green Man”.

Nic z tego wszystkiego wydawało się nie mieć sensu, koniec końcem okazało się jednak, że Spion Kop to imię konia biorącego udział w wy-

ścigach nazywanych w Anglii Derby. Od tego wyścigu minęły już trzy dni, kiedy Colm odkrył nagle, że Spion Kop wygrał.

Podczas następnego pobytu w Kildare poszedł do hotelu The Green Man i

pokazał kartkę. Wtedy to wyszło na jaw, że goście hotelowi robili między sobą zakłady i zgodnie z listą zwycięzcą został pan Thomas Doughty, bogaty Amerykanin, a nie zwykły irlandzki robotnik, taki jak on, który nie miał

prawa nawet nogi postawić na progu tak szacownego przedsiębiorstwa.

Po długich sporach i z pomocą jakiegoś przyjaźnie nastawionego gościa, który poparł sprawę Colma, mówiąc, że ten ma pełne prawo do dziewięciu dziesiątych wygranej, Colm w końcu zgarnął swoje pieniądze.

— O mało nie umarłem — zwierzał się po powrocie do domu — kiedy dali mi

całe dziesięć funtów. — Rozłożył banknoty na stole i razem z Brenną wpatrywali się w nie jak urzeczeni, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

— Doprawdy, twoja Najświętsza Panienska musiała się do mnie uśmiechnąć, kiedy spotkałem pana Thomasa Doughty'ego —

mówił Colm rozpromieniony.

Brenna była tego samego zdania. Wierzyła głęboko w Najświętszą Panienkę.

Colm chciał, żeby cały świat dowiedział się o ich szczęściu. Napisał

o tym Paddy'emu w Liverpoolu,

oznajmił wszem wobec w pubie,
chwalił

się znajomym na ulicy, aż cała Lahmera
wiedziała, że Caffreyom trafiła się taka
niespodziewana gratka. Ludzie, którzy
chcieli pożyczyć od nich parę groszy,
opowiadali im niestworzone historie o
strasznych nieszczęs-

ciach bogaczy. Brenna się przeraziła;
bała się, że ktoś gotów jeszcze się
włamać do ich domu i ukraść tak cenny
majątek, podczas gdy ona siedzi i
zastanawia się nad milionami sposobów
jego spożytkowania.

Wówczas brat Colma, Paddy, napisał do
nich z Liverpoolu, występując z

propozycją znalezienia im jakiegoś miłego i przytulnego domku blisko jego własnego, w dzielnicy Toxteth.

„Wyślijcie mi te dziesięć funtów”, pisał w liście Paddy. „Właściciel domu musi dostać kaucję, a poza tym kupię wam łóżka, krzesła i stół, tak żeby wszystko było gotowe na wasz przyjazd. Czekam na was”.

13

Innymi słowy — za swoją wygraną mogli sobie kupić nowe życie!

I wreszcie, wreszcie opuścić tę nędzną uliczkę z rzędem dwupokojowych parterowych ruder, które przypominały

bardziej szopy dla bydła aniżeli siedziby ludzkie, i przenieść się do pięknego mieszkania w Toxteth.

Mijały tygodnie; w końcu Paddy napisał, że muszą jak najszybciej przyjechać i że czeka ich wielka niespodzianka. Uznali za pewnik, że tą wielką niespodzianką jest ich nowy dom, i czym prędzej wyruszyli w drogę, chcąc, żeby dziecko, które miało niebawem przyjść na świat, urodziło się już na nowym miejscu.

Kiedy Brenna patrzyła, jak Colm wsuwa do koperty dziesięć funtowych banknotów, po czym pieczołowicie ją adresuje, pomagając sobie przy tym językiem, powiedziała:

— Nie sądzisz, że powinniśmy zostawić sobie przynajmniej jednego funta i kupić nowe ubrania na ten Liverpool?

— Będzie na to czas, kiedy się już urządzimy. Ja dostanę dobrą pracę, taką jak ma Paddy, a na Boże Narodzenie będziesz już miała futro, nawet lepsze niż to, w którym paraduje Francesca O'Reilly... — Colm był

największym optymistą na świecie.

Dopiero kiedy Brenna schroniła się w tunelu przed ulewnym deszczem, przypomniała sobie, iż w gruncie rzeczy nigdy nie uwierzyła w tę „naprawdę dobrą pracę” Paddy'ego, o której ich zapewniał. Jakoś nigdy nie mogła go

sobie wyobrazić jako urzędnika celnego. Był z niego jeszcze większy fanfaron aniżeli z Colma. Ich matka, Magdalena, kiedy jeszcze żyła, była kropka w kropkę taka sama. Zawsze się upierała, że Caffreyowie są spokrewnieni z jakimś sławnym irlandzkim poetą, o którym Brenna nigdy w życiu nie słyszała.

Fergus i Brenna chorowali na statku; Brenna nawet teraz była jeszcze bardzo osłabiona. Czuła, że nogi ma jak z waty, a serce biło jej w piersiach jak szalone, podczas gdy dziecko kopało ją w brzuch niczym w bęben.

A Paddy'ego wciąż nie było... i ich dziesięciu funtów też nie... Wszystko to

jeszcze bardziej pogarszało jej — i tak już opłakany — stan.

Deszcz spływał z wełnianej czapki Tyrone'a.

— Nie dalimy lady znaleźć wujka Paddy nigdzie, mamu — zawołał radośnie.

Fergus zaczął płakać.

— Mamo, zimno mi, i zmęczony jestem okropnie.

Brenna popatrzyła na męża.

— Jak długo mamy tak jeszcze czekać,

Colm?

14

Wzruszył ramionami.

— Dajmy mu czas do dziewiątej. Jeśli nasz Paddy nie pojawi się do lewej godziny, będziemy musieli sami jakoś trafić do Toxteth. To na drugim końcu miasta, tam gdzie budują wielką protestancką katedrę; w każdym razie tak mówił Paddy.

— Czy przysłał nam adres naszego nowego domu?

— Nie, Bren. Miał się z nami tutaj spotkać i dać nam klucz.

Brenna przygryzła wargę.

— Wobec tego... czy wiemy, gdzie mieszka Paddy?

— Mam w kieszeni jego listy. To... ulica Stanhope, numer czternaście.

— Colm, jak myślisz? Dlaczego twój brat nie przyszedł?

Mąż unikał jej wzroku.

— Może... może mu się dzień pomylił albo godzina. Może musiał coś załatwić...

— A może uchlał się na śmierć w jednym czy drugim barze — za nasze

pieniądze oczywiście — albo zgrał się do ostatniego pensa i wcale nie mamy żadnego domu... — mówiła Brenna z goryczą.

Paddy był graczem z krwi i kości, bez dwóch zdań. Myśl o tym, że mógłby rzeczywiście okazać się takim podłym zdrajcą, wywołała u Brenny falę mdłości. Od razu poczuła się jeszcze gorzej. Gdyby chociaż móc gdzieś przysiąść! Marzyła o filiżance gorącej herbaty, którą mogłaby się pokrzepić.

Ale już od wczesnego ranka nie mieli nic do jedzenia ani do picia. Była na siebie wściekła o to uczucie słabości, przecież zawsze była taka silna i dzielna!

— Nasz Paddy nigdy by tego nie zrobił... — powiedział Colm z niezbyt wielkim przekonaniem.

— Wiesz co, Colm? Byliśmy za bardzo łatwowierni. Powinniśmy byli te dziesięć funtów przywieźć ze sobą i dopiero wtedy szukać jakiegoś mieszkania.

— Nie mów tak, Bren, nie strasz mnie... Dziesięć funtów. Mój Boże, dziesięć funtów! — W jego głosie zabrzmiała panika. Nigdy, przenigdy żadne z nich nawet nie śniło, że któregoś dnia wejdą w posiadanie takiej góry pieniędzy. — Nasz Paddy na pewno zaraz przyjdzie.

Ale kiedy minęła dziewiąta, a Paddy'ego nadal nie było, Colm spytał

jakiegoś człowieka o drogę do Toxteth, a tamten udzielił mu wskazówek.

— Ale najlepiej dojedziesz tam tramwajem, kolego! — powiedział. —

jedynką.

Colm podziękował, zarzucił na plecy tobołek zawierający cały ich dobytek, i ruszyli w drogę. Pomimo zimna, deszczu i zaawansowanej 15

cięży Brenny, która prócz tego jeszcze nie doszła do siebie po podróży morskiej, nie było mowy o wydaniu

całego pensa na bilety tramwajowe, skoro rozporządzali czterema parami młodych i silnych nóg.

Deszcz przestał padać tak rzęsiście, w dalszym ciągu jednak moczył

ich cienkie, już i tak przesiąknięte wilgocią ubrania. Pochlipując i pociągając noskiem, Fergus trzymał kurczowo dłoń matki. Biedaczek, wyglądał jak kłębek nieszczęścia, tak że musiała go za sobą ciągnąć, bo ledwie się włókł. Czuła okropny ból w dole brzucha i w plecach. Właściwie bolało ją całe ciało, ale przede wszystkim podejrzewała — a ściśle mówiąc, była absolutnie pewna — że Paddy Caffrey ich zdradził i że to ich nowe życie okaże

się jeszcze gorsze niż dawne.

Nocą centrum Liverpoolu było niemal opustoszałe, w każdym razie Brenna tak sądziła. Szła przed siebie z oczyma wbitymi w ziemię, tylko od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała, czy Colm nadal jest w pobliżu, wtedy widziała, jak ufnie wędruje naprzód; Tyrone deptał mu po piętach. Nie zwracała uwagi na ogromne gmachy biurowców, które mijali, ani na wielkie sklepy i hałaśliwe bary; jak przez grubą warstwę waty docierał do jej uszu syk latarni gazowych, rozsiewających mdłe, żółtawe światło.

Nagle Colm się zatrzymał i zaczekał na

nią.

— Bren, coś mi się zdaje, że zgubiłem drogę, ale chyba jesteśmy już niedaleko. Będę musiał spytać kogoś o ulicę Stanhope.

Parę domów dalej jakiś mężczyzna wychodzący ze sklepu jubilerskiego zamykał właśnie za sobą drzwi. Colm podszedł bliżej i zagadnął nieznanomego. Po chwili wrócił.

— I co, daleko jeszcze? — spytała Brenna z nadzieją w głosie.

— Nie mam pojęcia. Poradził mi, żebym wracał do Irlandii i zabrał ze sobą swoją brudną i obdartą rodzinę. —

Colm wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale w oczach miał łzy. — Ach... może spytam tego gościa na rowerze?

Pomachał do rowerzysty... i rower zachwiał się niebezpiecznie, gdy mężczyzna zsiadał.

— Hamulce nie działają — oświadczył pogodnie rowerzysta. — Stanhope? — zastanowił się w odpowiedzi na pytanie Colma. — Musicie przeciąć Parliament Terrace — o tam, tuż za wami — i dojść do ulicy Upper Parliament. Skręćcie w lewo, tam zobaczycie ulicę Windsor po prawej. A druga ulica po lewej stronie to właśnie Stanhope.

— Dzięki, kolego. Chodź, Bren.

Razem z Tyrone'em ruszyli w dół pasażem wskazanym przez rowerzystę i zniknęli jej z oczu.

Ten krótki postój wcale nie posłużył Brennie. Do tej pory szła naprzód wyłącznie siłą woli, a teraz się okazało, że po prostu nie jest w stanie zrobić ani kroku dalej. Zagryzała zęby i starała się zmusić nogi do ruszenia z miejsca, ale ból we wnętrzościach stał się ostrzejszy, jeszcze bardziej przenikliwy.

— Mamo... — jęczał żałośnie Fergus.

— Już nie mam siły iść dalej.

— Będziesz musiał, synku. Weź mnie za

rękę.

Skręciła za róg, zgięta wpół jak staruszka, słaniając się na nogach i oddychając chrapliwie. Colm zatrzymał się trochę dalej, worek położył

na ziemi, a Tyrone'a wziął na barana. Stali teraz przed szeregiem pięknych domów, zbudowanych tak, że tworzyły lekki łuk; szerokie schody prowadziły do ogromnych frontowych drzwi, których strzegły dwie białe kolumny.

— Chodź tu, dziewczyno! Musisz to koniecznie zobaczyć — zawo-

łał. — To mi dopiero widok!

Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie widział, co się z nią dzieje.

Wreszcie jakoś zdołała dojść do niego.

— Tam jest psyjencie, mamu —
szczebiotał Tyrone. — Psyjencie. Patrz!

Patrzyła jak przez mgłę na bogato umeblowany pokój z migocącym żyrandolem, który się zwieszał z ozdobionego sztukaterią sufitu, z lustrami i obrazami na ścianach; grupa dwudziestu, może trzydziestu osób, ubra-nych równie bogato jak pokój, stała wokół stołu z napojami w rękach.

Śmiali się i rozmawiali z ożywieniem.

Jej znużony wzrok padł na pokój poniżej — piwnicę, do której można było zejść po stromych, betonowych schodkach z czarnymi żelaznymi poręczami; wewnątrz trzy kobiety właśnie układały przekąski na wielkich tacach. Dwie z nich, w czarnych sukniach, białych fartuszkach i ozdobionych falbanką czepeczkach na głowach, wychodziły akurat, każda z tacą w rękach.

— Jestem głodny, mamó — wyszeptał Fergus. Musiał zobaczyć tace z jedzeniem.

Brenna nie odpowiedziała. Nigdy dotąd nie użalała się nad sobą, nie skarżyła na swój los. Była biedna; zawsze była biedna i niemal wszyscy, których znała,

też byli biedni. W Lahmerze, której się urodziła i wychowała, mało było zamożnych ludzi. Gospodarz, u którego Colm pracował na farmie; lekarz, dyrektor banku, adwokat, no i Francesca

17

O'Reilly, mieszkająca w wielkim domu na krańcu wsi. Panna O'Reilly była kiedyś, za młodych lat, aktorką; Brenna sprzątała u niej od dwunas-tego roku życia, aż do dnia, w którym wzięła ślub z Colmem. Ale nawet jej okazałego domu nie dało się porównać z tym tutaj.

Znów spojrzała na wielki pokój, w którym odbywało się przyjęcie.

Dwie panie — mniej więcej w jej

wieku — stały przy oknie i zaśmiewały się z czegoś. Ich suknie — a właściwie to, co mogła z nich dostrzec —

były całe z koronki i wyszywane koralikami. Jedna z elegantek miała we włosach czarne pióro, a na smukłej białej szyi srebrną kolię, w uszach zaś pasujące do niej kolczyki, które się skrzyły, świeciły i tańczyły jak szalone, kiedy poruszała głową.

To nie było w porządku. Nie było w porządku, że ona stoi na dworze w deszczu, z dzieckiem w brzuchu, a jej mali synkowie cierpią głód i mają przemoczone ubranka, podczas gdy te kobiety, tak pięknie ubrane, spijają śmietankę. Poczwała, jak zalewa ją fala

gorzkiej zawiści, tak silna, że aż jęknęła; chwyciła za poręcz i spojrzała na te kobiety, zastanawiając się, dlaczego los potraktował je tak odmiennie. Wtedy jedna z nich — ta w błyszczących kolczykach — zauważyła jej spojrzenie i szybko zaciągnęła zasłony z wyrazem niesmaku na uroczej twarzyczce.

— Chodźże, Brenna! — Colm podnosił już węzełek i zbierał się do odejścia. Tyrone dreptał za nim.

— Nie dam rady.

Nadal trzymała się żelaznej poręczy. Gdyby ją puściła, jak nic by upadła. Ból w brzuchu stawał się nie do zniesienia, z przerażeniem skonstatowała, że

rozwiązanie tuż-tuż. Dziecko pchało się rękami i nogami na świat!

— Colm... — zawołała słabym głosem.

Odwrócił się, ujrzał wykrzywioną bólem twarz żony i czym prędzej do niej podbiegł.

— Co się dzieje, Bren? — Twarz mu się zmieniła. — Jeezus, Maria!

Ty chyba nie... co?

Brenna kiwnęła głową.

— Co my teraz, u diabła, zrobimy? — spytał z bezradną wściekłością.

— Poszukaj stójkowego — jęknęła.
Policjant na pewno im powie, co robić,
gdzie szukać pomocy. — Biegiem,
kochanie, biegiem — popędzała go, bo
stał dalej nieporuszony jak słup soli z
ustami otwartymi tak szeroko, że mógłby
ją połknąć. Ruszył biegiem w kierunku
ulicy Upper Parliament, zostawiając
węzełek.

18

— Chodź tu i siądź na schodach, mamo.
— Tyrone objął ją rączkami w pasie. *
— Nie, nie tam, chłopcze.

To był dom, w którym się odbywało
przyjęcie.

— Tam obok, i nie na frontowych schodach, tylko na bocznych, tam, gdzie nas nikt nie zobaczy... — Na ganku świeciło się światło, ale boczne schodki wiodące do sutereny tonęły w ciemnościach.

— Tam nad drzwiami jest taki malutki daszek, widzisz? Możemy się tam schronić przed deszczem.

Brennie udało się jakoś pokonać schodki i usiąść na samym dole, z nogami w szerokim rozkroku; inaczej nie była w stanie ich trzymać.

Chłopcy przytulili się do jej boków: Fergus marudził i żalił się, jaki jest nieszczęśliwy, natomiast Tyrone głaskał

ją po szyi i mamrotał coś pocieszającego.

Teraz — o Boże, dopomóż! Czyżby to już były bóle parte? W tej chwili nie pragnęła niczego innego, jak być z powrotem w Lahmerze, gdzie mogłaby położyć się na łóżku, gdzie sąsiadki pomagałyby jej przy porodzie — tak samo, jak ona im tyle razy pomagała. A kiedy byłoby już po wszystkim i dziecko leżałoby w drewnianej skrzynce, która służyła za kołyskę Fergusowi i Tyrone'owi, ktoś zrobiłby jej filiżankę herbaty... Jakaś dobra dusza zabrałaby już chłopców na ten czas do siebie, a Colm poszedłby do baru...

Z całych sił zagryzła wargi, żeby nie

krzyknąć, kiedy poczuła między nogami ból tak potworny, jakby rozdzierał ją na dwoje. Wygięła ciało w łuk, jęknęła cicho, a wtedy Tyrone zerwał się na równe nogi i zaczął

walić piąstkami w drzwi sutereny.

Po paru sekundach drzwi się otworzyły i jakaś kobieta wyglądająca na zirytowaną warknęła:

— Masz tu ćwierć pensa, kup sobie coś do jedzenia. A teraz spieprzaj stąd, mały nicponiu. No, co tak stoisz? Mam milion rzeczy do zrobienia.

Już miała zatrzaskać drzwi, kiedy Tyrone rzucił się naprzód i przeszkodził

jej w tym.

— Moja mama jest chola, plosę pani. —
W tym momencie wybuchnął

płaczem (Tyronie potrafił wylewać jak
na zawołanie całe potoki łez, kiedy tylko
było mu to potrzebne).

Kobieta wysunęła głowę przez drzwi i
ujrzała, jak Brenna kołysze się w przód i
w tył na najniższym stopniu, spódnicę
miała podkasaną nad kolana, jednym
słowem — lada chwila urodzi.

19

— Boże Wszchemogący! — wrzasnęła.
— W tym domu dzieci wyłazą dziś ze

wszystkich kątów! Wchodźcie szybko do środka. No, raz, raz...

Pan Allardyce mnie zabije, jak się dowie... ale chyba wolałabym umrzeć, niż zostawić tę nieszczęsną ciężarną kobietę na ulicy, i to w taką ulewę.

Para silnych ramion podniosła Brennę; kobieta wzięła głęboki oddech, po czym zaciągnęła ją do ciepłej kuchni, pełnej pary unoszącej się z garn-ków i rozmaitych rondli, które bulgotały na piecu.

— Nie możesz tu zostać — wymamrotała ich zbawczyni i pociągnęła Brennę dalej, przez inne drzwi, do przytulnego saloniku, gdzie na

małym kominku płonął ogień, a jego ciepły blask odbijał się w mosiadcach. Żółty ptak w okrągłej klatce zaćwierkał przyjaźnie, a zwinięty w kłębek na kanapie rudy kocur podniósł głowę i spojrzał na nią zaspanymi oczami.

Obaj chłopcy poszli za nimi. Tyrone ciągnął tobolek, chyba nawet większy niż on sam.

Kobieta ułożyła Brennę delikatnie na podłodze, a chłopcom kazała się schować za kanapą.

— To nie jest widok dla waszych młodych oczu — stwierdziła surowo.

Tyrone oświadczył, że w takim razie

może będzie lepiej, jak wyjdzie na zewnątrz i poczeka na tatusia, który poszedł szukać stójkowego.

— Co za mądry chłopak, no, no! Ten to ma głowę na karku —

powiedziała z uznaniem kobieta, kiedy Tyrone już wyszedł. — Ile on ma lat, złotko? — Uklękła na podłodze i zaczęła ściągać z Brenny sfatygowaną bieliznę. — Wszystko przemokło do suchej nitki — stwierdziła.

— Cztery.

„Cztery-ale-lepsze-niż-czterdzieści“: Colm zwykł tak mówić o swoim młodszym synu; wolał go od mazgaja

Fergusa, który teraz cicho po-płakiwał za kanapą.

— Wzięłam go za jednego z tych chłopaków, co tu czasem przychodzą i zebrzą o pieniądze na jedzenie. Daję im zwykle więcej niż tylko ćwierć pensa, tyle że wtedy przychodzą jeszcze częściej, biedne kruszyny. Jak się nazywasz, złotko? Ja jestem Nancy Gates.

— Brenna Caffrey. Ten płaczek to Fergus, a ten, co poszedł po tatusia, Tyrone.

W cieple czuła się o wiele lepiej. Serce już biło jej normalnie, a parcie ustąpiło — być może wywołały je panika i

strach. Nancy Gates sprawiała wrażenie bardzo rozsądnej osoby. Duża, koścista kobieta po czterdziestce, o niskim głosie, masywnych ramionach i niecierpliwym usposobieniu, z dobrymi oczyma w ospowatej twarzy.

20

— No i co ty tutaj robisz, Brenno Caffrey? Dlaczego wędrujesz po Parliament Terrace o takiej późnej godzinie, w taką okropną noc, kiedy za chwilę możesz się rozsypać? — Spojrzała na Brennę w taki sposób, jakby chciała powiedzieć, że to doprawdy wielki brak odpowiedzialności z jej strony.

— Nie spodziewałam się, że zacznę rodzić. Dziecko miało przyjść na świat za jakieś dwa tygodnie. A co do tego drugiego...

Opowiedziała Nancy, jak wyjechali z Irlandii i czekali na Paddy'ego, któremu posłali na kupno domu dziesięć funtów wygranych przez Colma.

— Staliśmy przy Pier Head bite trzy godziny, ale ten łajdak nawet się nie pokazał. Szliśmy, żeby go znaleźć, kiedy... — Brenna wstrząsnęła się mimowolnie. Resztę historii Nancy już знаła. — Jakaś ty miła i dobra —

mówiła — że wzięłaś nas do siebie, do swojego domu, o nic nie pytając.

Nie każdy by tak postąpił.

— Ten dom nie jest mój, skarbie. Ja tu jestem tylko gospodynią i kucharką, chociaż rzeczywiście tutaj mieszkam. To jest mój mały salonik, a za nim sypialnia. — Podsunęła Brennie poduszkę pod głowę. — Pan Allardyce pewnie nie byłby szczególnie zadowolony, gdyby was tu znalazł, ale chyba nie znajdzie... w każdym razie nie tej nocy.

Pak się składa, że jego pani robi dziś dokładnie to samo co ty — rodzi dziecko... no i z tej okazji ma być wielkie przyjęcie. — Powietrze przeciął przenikliwy krzyk i Nancy skrzywiła się lekko. — Znowu ma bóle, biedulka.

Akurat ona nie miałyby nic przeciwko temu, że tu jesteś... Tyle tylko, że niewiele ma do powiedzenia od chwili, kiedy wyszła za niego za mąż.

— Czy nie powinnaś pójść do niej na górę?

— Nie jestem jej potrzebna, Brenno. Jest z nią doktor Langdon, a poza tym pielęgniarka. Ja muszę tylko gotować wodę i szykować odpowiednią ilość starych prześcieradeł, żeby w każdej chwili były pod ręką. O właśnie, to mi przypomina... lepiej coś ci podłożę, na wypadek gdyby dziecko wyskoczyło, kiedy wcale się tego nie będziemy spodziewać. — Zniknęła w kuchni i

wróciła z cienkim prześcieradłem.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że są w dużo lepszym stanie niż te, które Brenna zabrała ze sobą z Irlandii. — W tym węzełku nie macie chyba ubrań na zmianę? — spytała. — Ani tobie, ani chłopcom nie posłuży siedzenie w przemoczonych ciuchach... Wiesz co? Fergus chyba zasnął. Jeszcze złapiecie zapalenie płuc.

21

Brenna nie odpowiedziała. Wydała cichy jęk, zacisnęła zęby i starała się powstrzymać krzyk, kiedy dziecko już po raz drugi tej nocy wyraźnie zasygnalizowało, że niebawem przyjdzie

na świat.

— Nancy! — wołał Marcus Allardyce ze szczytu schodów prowadzących do kuchni.

— Tak? — Trochę spóźniona Nancy pokazała się na dole.

— Zrób mi herbatę, ale bardzo mocną.

— A pani Allardyce? I reszta?

— Co z nimi? — spytał przeciągle Marcus.

— Czy też chcieliby się czegoś napić?

— Nie mam pojęcia. Sama musisz ich o to zapytać.

Nie miał najmniejszego zamiaru wchodzić do pokoju, w którym jego wystraszona żona właśnie wydawała na świat ich drugie dziecko —

dziecko, którego pewnie nie będzie lubił, podobnie jak nie lubił pierwszego. Pięcioletni Anthony był ponurym, mało komunikatywnym dzieckiem i Marcus był głęboko przeświadczony, że z tym chłopcem jest coś nie w porządku.

Eleanor znowu krzyknęła w swoim pokoju na najwyższym piętrze.

Zabrzmiało to jak skarga obolałego kota.

— Proszę nie przeczyć, pani Allardyce!
Jeszcze nie teraz — usłyszał głos
lekarza.

— Nie mogę! Nie dam rady! —
wrzasnęła Eleanor.

Po co tyle zamieszania? Rodzenie
dziecka wydawało się przecież tak
prostą i naturalną czynnością!

Marcus ruszył w kierunku swojego
gabinetu na tyłach domu; czuł, jak stopy
mu grzęzną w grubym, mięsistym
dywanie. Przeciągnął dłonią po
wiktoriańskim biurku z blatem
wyściełanym tłoczoną skórą i z
niekłamaną przyjemnością spojrzął na
kryształowy kałamarz ze srebrnym

wieczkiem oraz na inne kosztowne drobiazgi, wśród których był również czarny telefon z tarczą z kości słoniowej. Czerpał z tych przedmiotów prawdziwą satysfakcję, raz po raz dotykał któregoś z nich. Wszystko to należało dawniej do jego teścia.

Dokładnie pamiętał czasy, kiedy był małym chłopcem. Jego ojciec miał podobne gadzety — atrybuty luksusu. Peter Allardyce odziedziczył dobrze prosperującą firmę okrętową i wielki dom w Princes Park, ale kiedy Marcus skończył dziesięć lat, wszystkie te dobra już przepadły z powodu braku 22

kompetencji ojca, który na domiar złego

miął alkoholowe ciągoty i obsesję na punkcie kobiet. Jego rozpieszczona żona musiała — rada nierada przenieść się z dwójką dzieci do małego domku w Allerton. Nigdy nie przestawała się skarżyć każdemu, kto tylko chciał jej słuchać: „Nie przywykłam do czegoś takiego, zapewniam”. W banku zostało tylko tyle pienię-

dzy, żeby mogli jakoś przeżyć — oczywiście bez żadnych zbytków. Marcus i jego siostra Georgina musieli odejść ze swoich prywatnych szkół; dostali się do szkoły, w której poziom edukacji był żenująco niski i gdzie musieli przebywać z dziećmi rekrutującymi się ze środowiska klas

pracujących.

Ich ojciec przez rok tkwił w domu. Nie będąc jednak w stanie wytrzymać niekończącej się litanii skarg i pretensji swojej ślubnej, oszedł

i zamieszkał z pewną kobietą, właścicielką sklepu modniarskiego przy Smithdown Road. Żona i dzieci widywały go tylko z rzadka, ale za każdym razem robił na nich wrażenie niezmiernie szczęśliwego.

Kiedy Georgina skończyła osiemnaście lat, uciekła z domu i wyszła za mąż za oficera marynarki z Cunard Line. Marcus z matką zostali sami, utyskując jedno przez drugie na dotkliwą

niesprawiedliwość losu, która na nich spadła.

Zmuszony do odejścia ze szkoły w wieku trzynastu lat, Marcus podjął

pracę w lokalnej firmie księgowej jako goniec i chłopiec podający herbatę, a to oznaczało w każdym razie, że musi się porządnie ubierać. Nocami uczył się księgowości, buchalterii, rewizji finansów, a także tych dziedzin matematyki, których nie miał w szkole, na przykład algebry, geometrii i rachunku różniczkowego i całkowego. Do firmy codziennie dostarczano egzemplarz gazety „Financial Times”; dzięki tej lekturze Marcus odkrył

kolumny poświęcone akcjom i udziałom, poznając równocześnie kaprysy giełdy.

W wieku szesnastu lat został młodszym urzędnikiem, nie miał jednak żadnych widoków na awans. Wiedział, że nie uda mu się dochrapać stanowiska księgowego, ponieważ brakowało mu, niestety, kwalifikacji.

A zresztą nawet gdyby je miał, to i tak na niewiele by się to zdało. Jeśli firma zrobiłaby go praktykantem, musiałby jej płacić określoną sumę, którą później zwracano by mu w postaci wynagrodzenia. Taki układ nie wchodził

w grę. Matka była teraz słabsza, a przy tym coraz bardziej wymagająca. Jego

pensja ledwie starczała na skromne życie dla nich dwojga.

Eleanor znowu krzyczała u siebie na górze, a Marcus zastanawiał się, gdzie jest herbata, o którą prosił. Usłyszał czyjeś kroki, ktoś schodził po schodach i męski głos zawołał:

23

— Panie Allardyce!

To był doktor Langdon. Marcus wyszedł do holu. Doktor uśmiechnął

się do niego promiennie.

— Zapewne będzie panu miło usłyszeć,

że został pan ojcem zdrowej i ślicznej dziewczynki. Pańska żona ma się dobrze — na tyle oczywiście, na ile można się było tego spodziewać w tym przypadku. To delikatna kobieta i rodzenie dzieci nie przychodzi jej łatwo. Ona — i dziecko również — czeka teraz na pana.

Eleanor wyglądała tak, jakby przed chwilą urodziła pół tuzina dzieci, a nie tylko jedno. Leżała na łóżku; twarz miała bladą jak wosk, włosy w nieładzie, przymknięte powieki, jakby ten osesek wycisnął z niej ostatnią krztynę energii. Kiedy zobaczyła, że mąż do niej podchodzi, próbowała unieść rękę, która natychmiast opadła bezwładnie na kołdrę, jakby była pozbawiona kości.

— Mamy małą dziewczynkę, Marcus — wyszeptała. — Chciałabym ją nazwać Sybil. Podoba ci się?

— Ładne imię.

Było mu wszystko jedno, jak będzie się nazywało dziecko. Z obowiązku zajrzał do stojącej przy łóżku kołyski i zobaczył blade, maleńkie stworzonko śpiące mocno pod koronkowym przykryciem. Dotknął miękkiej bródki, w nadziei, że wykonuje prawdziwie ojcowski gest, po czym, dla zachowania pozorów, ucałował wilgotny i błyszczący policzek Eleanor, mrużąc:

— Moje gratulacje, kochanie.

— Powiedz o tym Anthony'emu — szepnęła. — Powiedz mu, że ma siostrzyczkę. Biedaczek, te hałasy na pewno bardzo go przestraszyły.

Marcus skinął głową na znak, że się zgadza, chociaż nie miał zamiaru spełniać prośby Eleanor. Im rzadziej widywał syna, tym lepiej. Wyszedł

z pokoju tak szybko, jak tylko wypadało — doktor mamrotał coś na temat szwów — i czym prędzej wrócił do gabinetu.

Na ścianie za biurkiem wisiała duża, oprawiona w ramy fotografia.

Przyglądał się jej w zamyśleniu. U dołu, na miedzianej tabliczce, widniał

napis „H.B. Wallace & Co. 1918”.

Marcus stał na tej fotografii pośrodku pierwszego rzędu, gdzie siedzieli właściciel i pracownicy biura: zastępca dyrektora i jego sekretarz, dwaj kierownicy, księgowy, buchalter, siostry MacMahon — obie maszynistki — i sekretarz Marcusa, Robert Curran.

Z tyłu stali robotnicy fabryczni; było ich pięćdziesięciu dwóch; niżsi w drugim rzędzie, wyżsi z tyłu za nimi. Jego pracownicy. Zatarł ręce. Jego.

24

Marcus był właścicielem i naczelnym dyrektorem H.B. Wallace & Co.

co oczywiście nigdy by się nie wydarzyło, gdyby nie poznał Eleanor Wallace zaraz po tym, kiedy jej narzeczony zginął w pierwszym miesiącu wojny.

Marcus miał wtedy trzydzieści lat i w dalszym ciągu pracował jako urzędnik. Ku swojej konsternacji uświadamiał sobie, że chociaż mógłby z powodzeniem kierować każdą bez mała firmą, nie miał bladego pojęcia, jak się do tego zabrać. Brakowało mu talentów rasowego przedsiębiorcy, w przeciwieństwie do jego pradziadka, który kiedyś zaczął od tego, że kupił starą łódź rybacką, a skończył jako właściciel świetnie prosperującego

towarzystwa żeglugowego.

Matka Marcusa już wówczas nie żyła, on zaś przyjął sublokatora, żeby zapewnić sobie dodatkowy dochód, z którego większość szła na nowe, bardziej eleganckie ubrania, lepsze jedzenie i dobre wina. Cóż, Marcus był biednym człowiekiem, ale miał gust i wymagania bogacza. Udało mu się zaoszczędzić pięćdziesiąt funtów, aczkolwiek — z przyczyn oczywistych — zabrało mu to dużo czasu; zainwestował je na giełdzie, przekonany, że wkrótce podwoi ich wartość i w ten sposób zdobędzie majątek.

Tymczasem w ciągu paru tygodni stracił

ponad połowę i to go naprawdę wystraszyło. Nie chciał znów ryzykować.

Kiedy spotkali się pierwszy raz, Eleanor z trudem hamowała łzy.

Stała w foyer teatru Empire i chwyciła go za ramię, kiedy wchodził na najwyższe piętro, na jaskółkę, gdzie miejsca kosztowały zaledwie sześć pensów.

— Czy mógłby pan przekazać wiadomość moim przyjaciołom w trzecim rzędzie na parterze? — spytała drżącym głosem. — Proszę im powiedzieć, że zgubiłam gdzieś swój bilet i wobec tego wracam do domu.

— Ależ jestem pewien, że bileter uwierzy pani na słowo, jeżeli mu pani wyjaśni, że zgubiła bilet — powiedział Marcus chłodno.

Była jedną z tych nieśmiałych, bezradnych kobietek, których szczególnie nie lubił — przy tym o wiele za dobrze ubrana, by ktoś z kierownictwa mógł pomyśleć, że próbuje w ten sposób wejść do teatru, nie płacąc za bilet.

— Kiedy ja wcale nie mam ochoty zobaczyć Mikada — jęknęła.

- Od samego początku nie chciałam, ale moi przyjaciele nalegali. Jestem zbyt nieszczęśliwa, żeby wysiedzieć całą

operetkę. Wolałabym już pójść do domu.

Znowu się jej przyjrzał. Miała około osiemnastu lat, była ładna blada, wodnistą urodą, ubrana w czarną atłasową suknię z bogato haftowanym 25

szyfonowym karczkiem, spod płaszczyka z ciemnozielonego aksamitu wystawał rąbek sukni; w dłoniach ukrytych w długich rękawiczkach trzymała ozdobną wieczorową torebkę. Swego czasu matka zanudzała Marcusa głupimi opisami strojów, które kiedyś nosiła, porównując je z tymi, które teraz — chcąc nie chcąc — musiała na siebie wkładać. Dzięki temu mógł oszacować niemal bezbłędnie, ile jest warta toaleta tej młodej damy. Z pewnością całkiem

niezłą sumkę...

— Czy pani pozwoli, że odprowadzę ją do domu? — zaproponował

uprzejmie. — Opowie mi pani po drodze, czemu czuje się taka nieszczęśliwa.

— Dziękuję, ale nie. Zatelefonuję do ojca, żeby po mnie przysłał samochód.

Więc miała telefon, samochód i szofera!
W żadnym wypadku nie mógł pozwolić jej odejść.

— A co powiedziałyby pani na wspólną kolację?

Uśmiechnął się swoim najbardziej ujmującym uśmiechem. Kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił być naprawdę czarującym mężczyzną i kobiety chyba znajdowały go nawet atrakcyjnym, co — jego zdaniem — było dość zaskakujące, ponieważ on sam uważał, iż rysy ma raczej mało subtelne: nos za duży, wargi za grube, a krzaczaste brwi osadzone stanowczo zbyt blisko siebie. Oczy miał ciemnoszare, włosy brązowe i bardzo gęste; poza tym był dumny ze swojej lśniącej grzywy.

— W żadnym razie nie chciałbym, żeby taka śliczna młoda dama się smuciła —

dodał.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

— Och... no więc dobrze, ale uprzedzam — to będzie dla pana okropnie nudne towarzystwo. A propos, co z pańskim biletem na Mikada?

— Przyszedłem, żeby kupić bilet na inny wieczór — skłamał. — Czy mogę panią przeprosić na minutkę? Pójdę tylko do kasy.

Nie miał ochoty tracić sześciu pensów, jeżeli to tylko możliwe, i był

zadowolony, kiedy mu zwrócono

pieniądze.

Od tamtego wieczoru Marcus zasypywał Eleanor Wallace kwiatami i niedrogimi, ale gustownymi prezentami. Zabierał ją na kolacje, do teatru, do filharmonii, w niedziele zaś do Southport na popołudniową herbatkę w eleganckich arkadach, gdzie na zapleczu dyskretnie przygrywał pianista.

Żeby jej sprawić przyjemność i uwolnić od przygnębiających wspomnień o narzeczonym, który zginął na wojnie, Marcus wydawał każdego zaro-bionego pensa. Jednym słowem — miał gest; do tego stopnia, że często 26

sam bywał głodny, a do biura musiał

chodzić piechotą, ponieważ nie mógł sobie pozwolić na tramwaj.

Eleanor była teraz jego inwestycją. Tym razem był zdecydowany odnieść sukces, wiedząc, że trafił na złotą żyłę. Była jedynaczką, jej matka przeniosła się już do wieczności i Eleanor miała odziedziczyć świetnie prosperującą firmę ojca, w której produkowano azbest, nie wspominając już o całym jego majątku, z imponującą rezydencją na Parliament Terrace oraz eleganckim autem marki Wolsley w kolorze ciemnej czekolady i z kremowymi skórzanymi obiciami. Fakt, iż Eleanor działała Marcusowi na nerwy — i to tak bardzo, że czasem zaciskał zęby aż do bólu —

nie miał dlań większego znaczenia.

Ku jego radości Eleanor stopniowo ulegała jego czarowi i po sześciu miesiącach od ich pierwszego spotkania w teatrze stanęli na ślubnym kobiercu. Marcus nie posiadał się ze szczęścia, żałując jedynie, że jego matka nie dożyła tej wielkiej pompy, którą było huczne wesele jej syna.

Z teściem pozostawali w dobrych stosunkach. Herbert Wallace uważał

Marcusa za człowieka o poglądach podobnych do jego własnych, człowieka, który sekrety giełdy ma w małym palcu, zna się na liczbach i doskonale się orientuje w zawiłościach

praktycznych interesów. Ach, jaka szkoda, kłamał jak z nut Marcus, że jego własna mała firma, produkująca narzędzia, poniosła tak niespodziewaną klęskę w wyniku przestępczej działalności głównego księgowego, co spowodowało, że bank cofnął mu kredyt! Tylko dzięki uruchomieniu całego kapitału — dodawał — udało mu się uniknąć bankructwa.

— Nie mam bynajmniej zamiaru dać się pognębić — powtarzał z uporem. — Jak tylko uda mi się zaoszczędzić wystarczająco dużo z tego, co teraz zarabiam, zacznę wszystko od nowa, a tę pracę potraktuję jako tymczasową. Taki jest mój plan działania...

— Świetny z ciebie facet! — Herbert klepał go po ramieniu. — To mi się właśnie podoba — inicjatywa! Słuchaj, a czemu nie miałbyś pracować u mnie? W końcu, kiedy ja przejdę na emeryturę, firma i tak będzie wasza.

Nie korci cię przypadkiem, żeby się w to wgryźć już teraz?

To było to, o co Marcus od dawna się modlił. Nie zamierzał jednak pokazać niczego po sobie i udał zadowolenie, aczkolwiek połączone z niejakimi wątpliwościami.

27

— Jest pan tego pewien?

— Jeszcze nigdy nie byłem niczego tak pewien jak tego.

Marcus naprawdę się zmartwił, kiedy zimą 1915 roku Herbert zmarł

niespodziewanie we śnie na atak serca, zaledwie na dwa tygodnie przed narodzinami swojego pierwszego wnuka, na którego przyjscie czekał

z takim utęsknieniem.

Westchnął cicho, przypomniał sobie tę noc, kiedy urodził się jego syn.

Wtedy też niewiele go to obeszło, podobnie jak teraz narodziny córki.

Jedyną osobą, którą kochał w swoim życiu, była jego matka. Pewnie dlatego nawet się nie zastanawiał, czy w ogóle jest w stanie pokochać jakąś inną istotę ludzką. W gruncie rzeczy najbardziej kochał materię —

kosztowne przedmioty, takie jak dom czy samochód, szyte na miarę eleganckie ubrania, piękne meble wykonywane przez stolarzy artystycznych, wykwintne ozdoby...

Przypomniawszy sobie, że do tej pory nie podano mu herbaty, o którą prosił przynajmniej pół godziny temu. Jedyną rzeczą, której brakowało w jego gabinecie, był dzwonek na służbę — od lat już myślał, że trzeba go założyć.

Podszedł do szczytu schodów i właśnie miał zamiar zawołać na Nancy, kiedy przyszło mu do głowy, że to irytujące opóźnienie może mieć jakiś związek z narodzinami dziecka. Już miał zawrócić, kiedy usłyszał dobiegający z kuchni kobiecy śmiech. Dźwięczny, radosny śmiech. Z pewnością nie był to śmiech Nancy, bo ta miała głos niższy co najmniej o jedną oktawę.

Zaciekawiony zszedł na dół. Kuchnię zastał pustą, ale drzwi do małego saloniku Nancy były uchylone. To stamtąd dochodziły kobiece głosy.

— Dwie dziewczynki, urodzone niemal równocześnie, jedna parę minut po

drugiej — mówiła Nancy. —
Wrześniowe dziewczynki: Sybil i Cara!
Śliczne imiona, obydwaj.

— Cara to po staroirlandzku
„przyjaciółka” — powiedziała
nieznajoma i zachichotała. — Ach, teraz,
kiedy jest już po wszystkim, sama czuję
się jak nowo narodzona! Mogłabym
ganiać dookoła tego domu z worem
kartofli na głowie.

— No, może jednak lepiej nie próbuj —
radziła jej Nancy.

Marcus przysunął się do drzwi saloniku
i zajrzał do środka. Nancy stała
odwrócona do niego plecami, a ta druga
kobieta była całkowicie pochłonięta

wpatrywaniem się w leżące w jej ramionach niemowlę.

Wstrzymał oddech. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział równie pięknej istoty. Siedziała na ziemi, oparta plecami o małą kanapę, i aż 28

promieniała. Błękitne oczy lśniły w jej szczupłej twarzy, złotem i czerwienią) płonęły długie włosy, opadające w niesfornych lokach na ramiona. Miała na sobie coś w rodzaju koszuli nocnej, otwartej z przodu i ukazującej pełne, białe piersi.

Marcus poczuł przenikającą go falę pożądania; pragnął gorąco dotykać tych piersi, ścisnąć w dłoniach białe ciało i

całować różowe, wezbrane sutki,
ukrywszy głowę w ich miękkości...

Niemowlę nie spało; była to
dziewczynka, Cara. Machała rączkami i
wydawała ciche, jakby ptasie
pisknięcia. Maleńka stopka wysunęła się
spod okrywającego ją szala i zaczęła
gwałtownie kopać w powietrzu.

— A to Colm będzie zaskoczony, kiedy
tu przyjdzie! — rzekła kobieta.

Mówiła z wyraźnym irlandzkim
akcentem. — Myślał, że znowu będzie
chłopak.

— Czy tata się zgubił? — zapytał jakiś
dziecięcy głosik.

Marcus dopiero teraz zauważył chłopca, który siedział przy stole i żuł

kanapkę. Był chyba w tym samym wieku co Anthony; ładny malec.

— Za minutkę powinien już tu być, kochanie. Przecież wiesz, że poszedł szukać stójkowego, prawda? Fergus, jak ci się podoba twoja nowa siostrzyczka?

Fergus wydawał się bardziej zainteresowany kanapką niż niemowlakiem.

— Jest fajna, mamó — przyznał, nie podnosząc wzroku.

— Chyba czas, żebyśmy zrobiła nam po

filizance herbaty — stwierdziła Nancy.

Marcus czym prędzej wycofał się spod drzwi. Kiedy weszła Nancy, stał już na środku kuchni, starając się wyglądać na bardzo rozgniewanego.

— Co się tutaj dzieje? — rzucił. —
Czyżbym słyszał głos dziecka?

— Tak — burknęła Nancy, patrząc na niego wyzywająco. Tych dwoje nie darzyło się nawzajem miłością. —
Matka dziecka nazywa się Brenna Caffrey. Znalazłam ją na schodach prowadzących do kuchni i wciągnęłam do środka. Dziecko urodziło się dosłownie po chwili. Wiem, że Eleanor nie miałyby nic przeciwko temu —

dodała chytrze.

Była to z pewnością prawda. Nancy miała stanowczo zbyt duży wpływ na jego żonę. Marcus długi czas próbował się jej pozbyć, jednak bez rezultatu; służyła w tej rodzinie od lat, od narodzin Eleanor — właściwie była jej członkiem — i jej pozostawienie w domu stanowiło jedną z niewielu kwestii, w których Eleanor była nieprzejednana.

— Jak długo ta kobieta ma zamiar tu zostać?

29

Nancy wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Jej mąż poszedł szukać pomocy. Powinien tu wrócić lada moment.

— No dobrze... chcę, żeby do rana już ich tu nie było.

— Pewnie.

Nigdy nie dodawała „sir”, jak to robiła reszta służby.

— Zdaje mi się, że jakiś czas temu prosiłem o herbatę — dodał

Marcus zimno.

— Przepraszam, zapomniałam. Już robię. Dokąd mam ją zanieść?

— Do mojego gabinetu.

— Zaraz tam będę.

Marcus wrócił powoli na górę i z westchnieniem zasiadł za biurkiem.

Myślał o swojej żonie leżącej jak trup w jedwabnej pościeli; była tak słaba, że z ledwością mogła unieść rękę. Pewnie nie spojrzała jeszcze nawet na dziecko, a tym bardziej go nie dotknęła, podczas gdy ta promienna Brenna Caffrey ni mniej, ni więcej, tylko się śmiała, pielęgnując swoją córeczkę! Może i mógłby się zakochać w jakiejś kobiecie, gdyby miała w sobie choćby odrobinę więcej życia niż Eleanor.

W kimś takim jak ta kobieta na dole:
Brenna Caffrey.

Drzwi na dole głośno trzasnęły i Brenna powiedziała:

— To na pewno Colm.

Nancy wyszła, żeby go wpuścić, i po paru sekundach mąż położnicy wpadł do kuchni jak szalony, a za nim mały Tyrone, który wyglądał tak, jakby się przed chwilą wykąpał w ubraniu. Towarzyszyła im wysoka, sztywna zakonnica w czarnej pelerynie, którą zdjęła, ukazując biały wykrochmalony kornet ze skrzydłami podobnymi do motyli oraz obszerny habit.

— Stójkowy mnie posłał do klasztoru
Świętej Hildy — wysapał

Colm. — To siostra Aloysius, jest
akuszerką. Jeezusie Maryjo! — oparł

się o ścianę i nagle wybuchnął płaczem.
— Więc ten szczeniak zdążył się już
urodzić, kiedy mnie nie było?

— To dziewczynka, Colm — z dumą
odparła Brenna. — Nazwałam ją Cara,
tak jak to sobie zaplanowaliśmy, gdyby
była dziewczynką, chociaż ty nigdy w to
nie wierzyłeś.

Siostra Aloysius przyklękła przy
Brennie i bezceremonialnie wyrwała jej
z rąk niemowlę.

— No, ale z ciebie mądralka, moja mała, sama sobie poradziłaś —

gruchała do niemowlęcia, jakby matka Cary nie miała w tym żadnej zasługi. Przyłożyła do czoła małej krucyfiks, który wisiał jej u pasa, i wygłosiła krótką modlitwę po łacinie. — Czy wszystko ma tak jak trzeba? — spytała Brenny już zupełnie innym, niemal stalowym głosem.

— Wszystko — odparła Brenna takim samym tonem, ponieważ od pierwszego wejrzenia nie polubiła siostry Aloysius, nieważne, czy była zakonnicą, czy nie. — Dziesięć palców u rąk, dziesięć u

nóg, dwoje oczu, dwoje uszu, nos i usta.
Głos też ma nie od parady.

— I mnóstwo ślicznych włosów, takich jak Brenna — podkreśliła Nancy. — Colm, może by pan wyciągnął z tego tłumoczka jakieś ubranie dla siebie i Tyrone'a? Niechże się pan przeniesie z łaski swojej do sypialni i tam się przebierze, bo inaczej umrze pan jeszcze z zimna. A ja tymczasem zrobię wam coś ciepłego do picia. — Colm i Tyrone zniknęli w sypialni. —

Napije się siostra?

— Nie, dziękuję. Będę wracać, bo widzę, że nie jestem tu już potrzebna.

Pozwoli pani, że zabiorę ze sobą chłopców, pani Caffrey? —

Pogardliwym wzrokiem zlustrowała niewielki pokoik. — Nie wygląda mi na to, żeby w tej... w tej dziupli znalazło się dla nich jakieś miejsce do spania.

— Powiedziałam już Brennie, że ona i Colm mogą spać w moim łóżku, a ja się prześpię na kanapie — rzekła Nancy wspaniałomyślnie. — Chłopcy będą spali na podłodze, choć nie ukrywam, że może mi zabraknąć pościeli...

— Wobec tego ich zabieram — stwierdziła autorytatywnie siostra Aloysius.

— Dziękuję, sestro. — Brenna z

największą niechęcią godziła się na zabranie chłopców, wiedziała jednak, że w klasztorze będzie im o wiele lepiej. — Mam nadzieję, że nie będą sprawiali kłopotu.

— W Świętej Hildzie mamy pod opieką dwa tuziny chłopców, pani Catfrey, głównie sieroty. Żadnemu z nich nie wolno sprawiać kłopotu.

- Gdzie jest ten drugi? Obawiam się, że nie ma już czasu na herbatę.

Fergus i Tyrone byli zbyt zmęczeni, żeby protestować, kiedy Colm odprowadzał ich do drzwi. Siostra Aloysius czekała już na zewnątrz.

Wrócił po paru minutach z oczyma pełnymi łez, a Nancy czym prędzej wyszła do kuchni. Brenna spodziewała się, że Colm przyjrzy się teraz należycie ich córeczce, tymczasem przycupnął na podłodze i powiedział

ochryple:

31

— Bren, mam wiadomości o Paddym. Kiedy stójkowy pokazywał mi drogę do klasztoru, spytał mnie o nazwisko. Jak mu powiedziałem, zaczął

mnie wypytywać, czy jestem krewnym Patricka Caffreya, znanego jako Paddy, i wyjaśniłem, że to mój brat.

— O Boże, Colm! — westchnęła Brenna zmęczonym głosem. — Co ten Paddy takiego zrobił, że jest tak dobrze znany stójkowym?

Colm spuścił głowę i przeżegnał się.

— On nie żyje, Bren.

Brenna parsknęła.

— No coś ty, przecież miał dopiero dwadzieścia osiem lat i był zdrow jak ryba. Nie mógł umrzeć!

— Ale umarł... — Teraz łzy płynęły już strugami po wymizerowanych policzkach Colma. — Zamordowali go przed jakimś barem. To było niedawno,

w zesłą sobotę. Stójkowy mówił, że Paddy szastał w tym barze pieniędzmi jak wariat, a kiedy wyszedł, jakiś drań zakradł się za nim i dźgnął go nożem w serce. Kiedy go znaleźli, w kieszeniach nie miał

ani grosza.

— Czy w tym barze szastał swoimi pieniędzmi, czy naszymi? — spytała Brenna zimno. W żadnym razie nie była wyrachowaną jędzą o nieczułym sercu, ale w takiej chwili, kiedy w ramionach trzymała nowo narodzone dziecko, a jej dwaj chłopcy musieli dopiero co pójść do sierocińca, bardziej się przejmowała dziesięcioma funtami będącymi własnością jej rodziny niż faktem, że

Paddy został zamordowany.

— Nie wiem, Bren — odparł Colm z rozpaczą w głosie. — Nic już więcej nie wiem.

— Paddy napisał w liście, że ma dla nas jakąś niespodziankę. Myś-

leliśmy, że chodzi o dom, ale teraz nie sędzę, żebyśmy się kiedykolwiek dowiedzieli, co to było.

Spojrzała w dół na śliczną twarzączkę Cary, która smacznie spała, i poczuła w sercu jeszcze większy chłód.

Co, u diabła, teraz się z nimi stanie?

Rozdział 2

Nie wiedział, dlaczego to robi; dlaczego codziennie tam przychodzi i czeka w barze po przeciwnej stronie ulicy, dlaczego patrzy i czeka —

i wciąż ma nadzieję, że ją wreszcie zobaczy.

Bar nazywał się Ryba Wyjęta z Wody, a on czuł się dokładnie tak samo. Było to szkaradne miejsce, z podłogą wysypaną trocinami, uczęszczane przez ludzi z najniższych nizin. Przede wszystkim przez łazęgów i złodziei, poza tym bywało tam również trochę kobiet lekkich obyczajów, które już dawno zrezygnowały z oferowania swoich

usług — i swoich groteskowych ciał.

To Nancy Gates powiedziała

Marcusowi, gdzie ona mieszka.

Wprawdzie dość dziwnie na niego

patrzyła, kiedy spytał, co się stało z

Brenną Caffrey, udając tylko niewielkie zainteresowanie kobietą, której córka

urodziła się pięć dni temu, tej samej

nocy i pod tym samym dachem co jego

Sybil.

Rezygnując ze swojego ulubionego

impertynenckiego tonu, Nancy

opowiedziała o zamordowanym

szwagrze Brenny, o mitycznym domu, o

tym, że dwaj mali chłopcy nadal

przebywają w klasztorze Świętej Hildy,

ponieważ jedynym miejscem, które

znaleźli na koniec Caffreyowie, jest piwnica przy Upper Clifton Street. Jej ściany są przeżarte wilgocią i nie ma tam światła ani ogrzewania — z wyjątkiem piecyka naftowego, który śmierdzi jak sto diabłów, szkodząc płucom Brenny i niemowlęcia, małej Cary. Kuchnia i klozet są tam wspólne dla całego domu.

— A jej mąż, Colm, nie może znaleźć pracy, i wcale nie dlatego, że nie chce — ciągnęła Nancy. — Och, jednego razu udało mu się przez parę godzin wozić mięso na targu, a potem zamiatać, to mi dopiero fucha!

Zarobił tyle, że starczyło na opłacenie tej klitki, ale tylko tyle. Codziennie idzie z samego rana do doków; ma nadzieję, że wezmą go do jakiejś roboty, ale cóż... nikt go tam nie zna, a brygadziści wolą brać takich, którzy już dla nich pracowali. To porządny młody gość, ten Colm Caffrey, uczciwy aż do przesady. — W spojrzeniu, które mu rzuciła, było wyzwanie.

— Rozumiem. — Marcus sztywno skinął głową i poszedł do siebie.

Siedział i wpatrywał się w przedmioty na swoim biurku, wiedząc, że Nancy zrobiła wyraźną aluzję: powinien zaproponować Colmowi Caffreyowi pracę w swojej fabryce — najwyraźniej

wzięła całą tę rodzinę pod swoje skrzydła. Właściwie czemu nie? Akurat było wolne miejsce w sekcji rur i płyt. Musiałby tylko powiedzieć słówko kierownikowi i facet mógłby już od jutra pracować. To było całkiem proste.

Następnego dnia w porze lunchu Marcus spacerował w pobliżu dwupiętrowej kamienicy, w której zamieszkali Caffreyowie, zresztą niedaleko Parliament Terrace. Była to nędzna ulica z jeszcze nędzniejszymi domami. Wszystko się tam rozpadało. Okna były zarośnięte brudem, tynk obłaził ze ścian, schody prowadzące do wejścia groziły zawaleniem.

Okno piwniczne było szerokie za ledwie na metr i wysokie na trzydzieści centymetrów — grube żółte szkło, zabudowane żelaznymi kratami. Widział blask ognia bijący z piecyka, ale ani śladu mieszkańców. Zauważył

bar po przeciwnej stronie ulicy i wszedł tam po krótkim namyśle, wywołując poruszenie swoim płaszczem z wielbłądziej wełny, ciemnobrą-

zowym filcowym kapeluszem i lśniącymi, wypucowanymi butami. Nie zwracając uwagi na groźne spojrzenia, zamówił whisky z wodą sodową i polecił otyłemu właścicielowi, by ten również wziął sobie kolejkę. Bardzo sprytnie. W razie czego, gdyby któryś z

obskurnych klientów postanowił

być nieuprzejmy, będzie miał w tym grubasie sprzymierzeńca. Ulokował się przy oknie.

W ciągu godziny, którą przesiedział na swoim posterunku, nic się nie działo.

Przyszedł tam nazajutrz — i znowu następnego dnia. Trzeciego dnia ona wyszła z domu; wyglądała tak szczupło i rozpaczliwie biednie w swoim czarnym szalu, podartych męskich trzewikach, w długiej spódnicy z wystrzępionym brzegiem. Przemknęło mu przez myśl, że powinna sprawiać wrażenie zawstydzonej, upokorzonej swoją

obecną sytuacją, tymczasem Brenna wyszła z domu uśmiechnięta, tuląc do siebie owinięte w szal niemowlę. Pozwolił sobie na pół minuty zapomnienia i poszedł

34

jej śladem. Minęła szereg wąskich uliczek — na pewno chodziła wcześniej tą drogą — i fiu, fiu! — z trudem za nią nadążał, chociaż zaledwie osiem dni temu urodziła dziecko. Eleanor do tej pory nie ruszała się z łóżka. Doktor Langdon przychodził dwa razy dziennie, poza tym jego delikatna małżonka miała do dyspozycji pielęgniarkę, która dbała o potrzeby jej i małej Sybil.

W końcu kobieta, którą śledził, dotarła do bramy Princes Park. Weszła, usiadła na ławce i rozwiązała szal, odsłaniając swoje piękne włosy, a także maleńką, białą twarzączkę dziecka. Był rześki, słoneczny dzień wczesnej jesieni i park wyglądał wyjątkowo pięknie. Ziemię pokrywały kobierce złocistych i purpurowych liści, a powietrze było świeże i czyste, przesycone zapachami natury: ziemi, ściętej trawy i więdnących kwiatów.

Brenna Caffrey coś mówiła. Marcus pomyślał, że jest może szalona, po chwili jednak zrozumiał, że mówiła do dziecka, pokazując mu różne rzeczy: drzewo, słońce, niebo, bawiące się

dzieci, które pochodziły z dwóch całkowicie różnych światów. Chude, wynędzniałe maluchy ze strupami na brudnych twarzach, w obszarpanych ubrankach i bose, a z drugiej strony ładne, dobrze odżywione i pięknie ubrane laleczki, prowadzone do parku przez matki lub niańki; te najmniejsze w kosztownych wózeckach. Pilnowane z najwyższą czujnością, tak aby te dwa światy, broń Boże, nie spotkały się ze sobą.

Marcus został w parku dobre pół godziny, po czym wrócił do pracy, ale umysł miał zmącony; zastanawiał się, dlaczego ta kobieta tak bardzo go fascynuje. Podobała mu się, co do tego

nie było żadnych wątpliwości.

Poza tym zrobiło na nim wrażenie, że jest taka nieugięta, przyjmując z uśmiechem na twarzy przeciwności losu. Stwierdził, że byłoby ciekawie poobserwować, ile jeszcze złych rzeczy musi ją spotkać, żeby przestała

• się wreszcie uśmiechać.

Może o to mu właśnie chodziło? Czekał z zaofiarowaniem swojej pomocy, aż jej uśmiech zamieni się w rozpacz.

Wtedy jej wdzięczność powinna być dużo, dużo większa, niż byłaby w tej chwili.

Rozległy się trzy stuknięcia w okno i Brenna pognąła na górę, żeby wpuścić Nancy.

— Piękny dziś mamy dzień, złotko — sapnęła Nancy, zmagając się z wąskimi schodkami prowadzącymi do piwnicy; na ramieniu niosła koszyk.

35

— Wiem, zabrałam nawet Carę na mały spacer do parku. Moja córeczka to uwielbia.

Nancy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Powiedziała ci?

— Potrafię to wyczytać z jej buzi.
Mogłabym przysiąc, że kiedy słońce na nią świeci, śmieje się do niego.

Ona sama prawdopodobnie też to robiła, jak tylko wyszła za próg.

Mieszkali tutaj już tydzień, w pomieszczeniu gorszym niż więzienna cela. Brakowało tu światła dziennego, ogrzewania i porządnego łóżka.

Jedynym umeblowaniem były dwa twarde krzesła, stół, szafka kuchenna i materac na podłodze, na którym spali we trójkę. Ściany pokrywała pleśń, wspólna ubikacja była obrzydliwie brudna, a do kuchni Brenna miała odwagę wejść tylko po to, żeby nabrać wody. I nie

potrafiła sobie nawet wyobrazić przygotowywania posiłków w tak ohydny miejscu.

— Przyniosłam ci trochę drobiazgów — oznajmiła Nancy, opróżniając koszyk z zawartości i układając wszystko na zniszczonym stole. — Mleko, trochę zimnego mięsa z wczorajszej kolacji, chleb, jabłko i pomarańczę.

Owoce i mleko są dla ciebie — mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. —

Jesteś teraz matką karmiącą i musisz się dobrze odżywiać.

— Och, Nancy! — wykrzyknęła z wdzięcznością Brenna. — Chyba wtedy,

gdy siadłam na schodach przed
drzwiami twojej kuchni, sama
Najświętsza Panienka musiała na mnie
rzucić okiem!

Gdyby nie Nancy, która codziennie
przynosiła im jedzenie, nie mieliby
nawet co do ust włożyć — od tego
ranka, gdy opuścili Parliament Terrace i
przenieśli się do tego raczej mało
zachwycającego lokum.

— Cóż... byłoby lepiej, gdyby
Najświętsza Panienka przypatrzyła ci się
odrobinę dłużej i dokładniej... i
dopilnowała, żebyście sobie znaleźli
jakieś bardziej komfortowe mieszkanie.

Nancy była pierwszą niewierzącą w

Boga osobą, którą Brenna spotkała w swoim życiu. Poza tym знаła całe mnóstwo nieprawdopodobnie długich słów, których Brenna nigdy nie słyszała. Co znaczyło na przykład „komfortowe”?

— Skoro już tu jesteś i przyniosłaś nam mleko, może napiłabyś się herbaty? — spytała. — Dopiero co zagotowałam wodę w czajniku.

— Nie, dzięki, złotko. Zawsze mogę sobie zrobić herbatę w domu, poza tym wolałabym, żebyś to ty wypila całe mleko. Jak sobie radzi Colm?

Brenna się skrzywiła.

— W ogóle sobie nie radzi. Całymi dniami chodzi z miejsca na miejsce, od jednej fabryki do drugiej i pyta, czy nie potrzebują pary silnych rąk do pracy — ale nawet jak potrzebują, to najwyżej na godzinę, dwie...

Biedak sam już nie wie, co robić. Och, Nancy, tak mi go szkoda. Zawsze utrzymywał całą rodzinę, a teraz nie może i to go zabija.

— Nie zawsze tak będzie, złotko.

— Wiem — westchnęła Brenna i spuściła głowę. — Bardzo tęsknimy za chłopakami. W tym klasztorze Świętej Hildy nawet nasz Tyrone jest strasznie nieszczęśliwy, a znów Fergusowi

dzieciaki dokuczają bez litości.

Pewnie dlatego, że taki spokojny. Zakonnice są okropnie twarde, a trzcina tylko fruwa im w rękach! Wolno nam się z nimi widywać raz w tygodniu, w niedzielę po południu. Możemy ich co najwyżej wziąć na spacer. —

Głos jej się załamał. — No, ale przynajmniej trzy razy dziennie dostają jeść i mają porządne spanie. To jedyna dobra rzecz w tym wszystkim.

Te dziesięć funtów Colma wcale nie przyniosło nam szczęścia, wprost przeciwnie... — pomyślała Brenna. Kiedy Nancy już wyszła, a ona została w ciemnym i wilgotnym pokoju, tylko w

towarzystwie małej Cary.

Tam w Irlandii życie było ciężkie — cała rodzina mieszkała w jednej izbie, a spała w drugiej — ale przynajmniej można było utrzymać mieszkanie w czystości, gotować, prać odzież, a potem wieszać ją na świeżym powietrzu, żeby wyschła. Colm dostawał regularnie wypłatę i wolno mu było zabierać do domu owoce i jarzyny, które zostały po zamknięciu targu. Na niedzielny obiad zawsze mieli mięso, nawet jeśli był to najtańszy kawałek. Każdy zaoszczędzony pens szedł na zakup używanych ubrań dla chłopców.

Przyszłość nie zapowiadała się bynajmniej w jaśniejszych barwach. Na

pewno już tak będzie wiecznie.

Ciułanina, nieustanne odmawianie sobie wszystkiego, żeby ledwo ledwo związać koniec z końcem... Brenna zawsze chciała, żeby Colmowi i chłopcom żyło się lepiej, a Liverpool to obiecywał — to i jeszcze więcej.

Teraz jednak dałaby wszystko, byle tylko odzyskać pewność i bezpieczeństwo ich dawnego życia.

Przypomniała sobie ranek, kiedy razem z Colmem i kilkudniową Carą opuścili wielki dom przy Parliament Terrace i udali się na Stanhope Street, gdzie ostatnio mieszkał biedny Paddy. Deszcz, dzięki Bogu, przestał

padać i na bladoniebieskim niebie
pokazało się słabo jeszcze świecące 37

słońce. Brzuch Brenny w dalszym ciągu
był obolały po porodzie, a nogi trochę
niepewne, ale poza tym czuła się wcale
nie najgorzej.

— Właściciel na pewno pozwoli nam
mieszkać w domu naszego Paddy'ego —
mówił wtedy Colm, jak zawsze
optymistycznie. — A nawet gdyby nie
pozwolił, to musi tam być pełno rzeczy
Paddy'ego, które teraz prawnie się nam
należą.

Bardzo przeżył tragiczną śmierć brata,
był jednak zbyt zaabsorbowany żoną i
dziećmi, żeby rozpamiętywać

nieustannie jego żałosny koniec.

Czternasty numer przy Stanhope Street okazał się czystym, solidnie zbudowanym domem z dużym wykuszowym oknem na parterze i świeżo polakierowanymi drzwiami wejściowymi. Colm i Brenna wymienili pełne nadziei spojrzenia.

— Jak tam wejdziemy? — spytała Brenna.

Paddy'ego już nie było, więc kto miałby im otworzyć?

Tak czy owak, Colm zastukał. Drzwi otworzyła natychmiast jakaś kobieta o surowych rysach, chuda jak szczapa, w

czarnej sukni, spiętej pod szyją broszką z kameą. Brenna zawsze marzyła o takiej broszce. Siwe włosy kobiety były ściągnięte na kościstym karku w nieduży koczek.

— Rozumiem, że to dom Paddy'ego Caffreya — grzecznie odezwał

się Colm. — Jestem jego bratem, mam na imię Colm.

— To źle pan rozumie — odparła kobieta głosem równie ostrym jak jej rysy. — To mój dom, a Paddy Coffrey tylko tu wynajmował, oto cała prawda.

Za współlokatorów miał jeszcze dwóch Irlandczyków. Wszystkim opowiadał, że

będzie mieszkać z bratem, który lada dzień przyjedzie z Irlandii.

Brenna poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. To znaczy, że Paddy od samego początku kłamał.

— Czy możemy zabrać jego rzeczy? — wyszeptała.

Te rzeczy można by sprzedać i dostać za nie choćby tyle, żeby mieli za co wrócić do Lahmery. Miejsce Colma na rynku zajął już ktoś inny, a w ich domku w Irlandii na pewno mieszka nowy lokator, ale tam byliby przynajmniej u siebie, wśród swoich. Mieli przyjaciół, ludzi, którzy ich przygarną do czasu, aż znowu staną na nogi.

— Jakie rzeczy? — parsknęła szyderczo kobieta. — Wszystko, co miał, to łąchy na swoich plecach i parę starych książek, za które dostałam w lombardzie sześć pensów. Kiedy go zabili, był mi winien za dwa tygodnie. A teraz, jeśli wolno... mam robotę.

Zrobiła taki ruch, jakby chciała zamknąć drzwi, ale Colm szybko wsunął nogę przez próg.

38

— Ale... jego praca — mówił natarczywie. — Myślałem, że nasz Paddy pracuje na cle.

— Paddy Caffrey przez całe swoje życie nigdy nie przepracował

uczciwie nawet jednego dnia! —
odpowiedziała kobieta. Jej twarz nieco zła godniała, kiedy — dopiero teraz — dostrzegła maleństwo w ramionach Brenny. — Zwodził was tak samo jak wszystkich. Cały czas spędzał tylko na koniach, na wyścigach psów albo z karciarzami. To pan mu wysłał te dziesięć funtów, którymi się bez przerwy przechwalał, nieprawdaż?

Spojrzenie, które rzuciła Colmowi, sprawiło, że ten cofnął się odruchowo, spuszczając wzrok. Chyba go jednak trochę zawstydziła...

— Tak... tak, rzeczywiście to ja —
wyjąkał.

— Wobec tego jest pan skończonym
głupcem — stwierdziła z przekąsem
kobieta. — Słyszałam o jakiejś wielkiej
karcianej grze... podejrzewam, że musiał
przy tej okazji dużo przegrać, bo już
nigdy więcej go nie zobaczyłam. Ale tej
nocy, kiedy umarł — tak mi mówili —
był

w jakimś barze i stawiał kolejkę za
kolejką, jakby był bogaczem, krezusem,
dobre sobie! Wcale się nie dziwię, że
ktoś za nim poszedł i go zakatrupił...

za wszystkie jego grzechy. Zaczekajcie
chwilę. — Pobiegnęła długim korytarzem

wyłożonym linoleum, które udawało marmur, i ze ścianami pokrytymi tapetą w kwiaty. — Przykro mi, że stało się to, co się stało —

powiedziała, kiedy już wróciła, jakby naprawdę tak czuła. — Jesteście zbyt łatwowierni, oboje. Tu macie pół szylinga za jego książki. Wam te pieniądze są na pewno bardziej potrzebne niż mnie.

Drzwi się zamknęły, a Brenna wiedziała już, że nie ma sensu znowu do nich pukać.

Colm nalegał, żeby Brenna z noworodkiem poszła z powrotem na Parliament Terrace, gdzie Nancy Gates

przechowywała ich tłumoczek, żeby im zaoszczędzić włóczenia się po ulicach, a on tymczasem znajdzie jakieś lokum.

Godziny mijały, a Brenna nadal siedziała w kuchni, czekając na Colma.

Czuła się jak intruz — albo jeszcze gorzej — mimo iż ta potężna kobieta o złotym sercu z uporem twierdziła, że to żaden kłopot.

— Przyjemnie jest móc z kimś pogadać, kiedy szykuję obiad — powiedziała.

Wyjaśniła Brennie, że nie jest jedyną służącą w tym domu. Była jeszcze Phyllis, pokojówka, która miała chore stopy, nigdy się nie uśmiechała 39

i mieszkała gdzie indziej, oraz pani Snaith, która trzy razy w tygodniu przychodziła rano sprzątać. No i urocza Chinka, Mollie Chang, która w poniedziałki zabierała pranie i odnosiła je po tygodniu, po czym znikwała z następną wielką porcją.

— Wiesz, ona to wszystko związuje, robi wielki toból i niesie go na głowie!

Jeden z pracowników fabryki pełnił równocześnie — jeśli była taka potrzeba — funkcję szofera.

— Nazywa się Lennie Beal — opowiadała Nancy.

Kiedy Cara zasnęła, Brenna ułożyła ją

na kanapie w saloniku i zabrała się do pomagania swojej wybawicielce. Z pieca płynął zapach pieczonego mięsa, a na kuchni z sześcioma fajerkami gotował się tłusty pudding nadziewany suszonymi owocami. Nancy powiedziała, że o takim pud-dingu mówi się „nakrapiany”. Brenna obierała ziemniaki, skrobała marchewki i łuskała groszek, tak jak to zwykła robić w Lahmerze, kiedy siedząc w otwartych drzwiach swojego domku, z miską huśtającą się na kolanach — mocno naciągnięta spódnica zastępowała jej blat stołu —

gawędziła z sąsiadkami z przeciwnej strony wąskiej uliczki, które były zajęte podobną pracą. Przygotowała tacę z

herbatą i herbatnikami dla Nancy, żeby ta mogła ją zanieść na górę do pielęgniarki opiekującej się panią Allardyce i jej nowo narodzonym dzieckiem, po czym zrobiła herbatę dla siebie i Nancy,

— Jak się dziś miewa pani Allardyce?

— spytała, kiedy Nancy wróciła z poważną miną.

— Kiepsko. Eleanor w ogóle nie jest silna, a porody jeszcze bardziej ją osłabiają. Do tej pory nie wstała z łóżka, a dziecko płacze niemal bez przerwy. — Nancy spojrzała bystro na swojego gościa. — Pewnie mi nie uwierzysz, Brenno, biorąc pod uwagę twoje obecne położenie, ale naprawdę

masz dużo szczęścia. Jesteś zdrowa i silna, masz dwóch uroczych chłopaków, wspaniałą córeczkę, która rzadko kiedy płacze, i wysokiego, przystojnego męża, który świata za tobą nie widzi.

Tymczasem Eleanor nie ma tego wszystkiego. Tak, tak... Nawet jej synek, Anthony, jest jakimś dziwnym dzieckiem. Godzinami przesiaduje w swoim pokoju i do nikogo się nie odzywa. Nawet słowem. Ale powiadam ci, kocham tego dzieciaka. —

Westchnęła ciężko. — Bóg jeden wie, co się dzieje w jego główce.

Było już późno, kiedy wrócił Colm, zmęczony i przygnębiony.

— Znalazłem coś — powiedział głosem pełnym rozpacz. — Izbę w piwnicy, bardzo blisko stąd, przy Upper Clifton Street. Strasznie tam ciasno, nie ma dość miejsca dla Fergusa i Tyrone'a, więc poszedłem 40

jeszcze do Świętej Hildy. Siostry obiecały, że ich przechowają, póki nie znajdziemy czegoś większego.

— Nigdzie się nie ruszę bez moich chłopców!

— Obawiam się, Bren, że nie mamy wyboru... — Colm westchnął, po czym odzyskał nagle trochę animuszu. — To nie potrwa długo, kochanie.

Zanim się obejrzysz, dostanę dobrą pracę, już moja w tym głowa!

Teraz, po upływie ośmiu dni, nie zanosiło się na żadną pracę, ani dobrą, ani złą, a Brenna nadal tkwiła całymi dniami w swoim więzieniu, nie mając nic do roboty oprócz spacerów. Nie było jedzenia do ugotowania, domu do posprzątania, nie było sąsiadów, z którymi można by się nawet posprzeczać, dzieci, którym można by opowiadać bajki — poza Carą, która jeszcze jej nie rozumiała. Pieluszki małej — stare prześcieradła podarte na kwadraty — suszyła na kawałku sznura przeciągniętego przez pokój, a potem wietrzyła na poręczu krzesła

przysuniętego do cuchnącego pieca, którego wyziewy powodowały, że Brenna i Cara wiecznie miały kaszel.

Nancy dała Brennie stertę starych numerów „Womańs Weekly”, ale Brenna była zanadto skrupowana, by się przyznać, że właściwie prawie nie umie czytać. Oglądała więc tylko obrazki: torty, na których widok aż ślinka ciekła do ust, gładziutkie biszkopty, damskie kapelusze z piórami, pantofle o szpiczastych noskach, haftowaną pościel, poduszki obciążone brokatem, jakiś wiejski dom z dachem pokrytym strzechą, wazony pełne pięknie ułożonych kwiatów, koronkowe kamizelki ręcznej roboty... Te obrazki

przedstawiały życie, którego nigdy nie znała, a teraz, będąc w tak ponurym nastroju, szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek będzie je mogła poznać.

Tej nocy, kiedy tu przyjechali, patrzyła na Liverpool jak na wspaniałe i bogate miejsce do życia, później odkryła jednak, że to miasto ma też drugie oblicze i że dla niektórych nie jest ani takie wspaniałe, ani tak bogate jak dla innych. Jej sąsiedzi na przykład byli strasznie biedni. Ich dzieci wyglądały jak zamorki, chodziły bosko bez względu na pogodę,

.i małe dziewczynki nie nosiły pod sukienką żadnej bielizny. Kiedy szła do sklepu po naftę, witały ją takie same

widoki — chude, wyciągnięte twarze ludzi, wpatrujących się tęsknym wzrokiem w jedzenie, na które nie było ich stać. Kupowali wczorajszy chleb, kości, na których gotowali cienką zupę, połamane herbatniki... Colm mówił, że przychodzą na rynek, kiedy już jarzyny są wyprzedane, i wtedy zbierają rozmiękłe pomidory, żółknięte liście kapusty, zepsute ziemniaki, robaczywe jabłka — słowem 41

wszystko, co właściciele straganów wyrzucili, uznając, że ten towar się nie sprzeda. Jak tylko Colm dostrzegł coś w miarę porządnego, sam też zabierał to do domu.

Nad nimi mieszkał pewien mężczyzna —
Ernie Jak-mu-tam; miał tylko jedną nogę
i poruszał się o kulach. Brenna co rano
słyszała, jak wychodził

z domu: stukot kul, suwanie jedyną
stopą. Chwytał się wszystkiego, żeby
tylko móc dojść do drzwi. Nancy
opowiadała, że stracił nogę podczas
wojny i że jeździł tramwajem na
Exchange Station, gdzie przez cały dzień
siedział na ziemi i sprzedawał zapalki.

— Lloyd George — może nie wiesz, ale
to nasz premier — obiecywał, że
weterani, którzy wrócą do kraju, będą
traktowani jak bohaterowie —

mówiła z goryczą Nancy. Ale kto da

zajęcie komuś, kto nie ma nogi?

A tym bardziej komuś bez obu nóg? Ci biedacy kończą przeważnie, zebrząc na ulicach. Co? Piękna mi nagroda za ryzykowanie własnego życia dla ojczyzny!

Każdy upływający dzień dłużył się Brennie niemiłosiernie. Na domiar złego tęskniła za Fergussem i Tyrone'em bardziej, niż potrafiła to sobie wyobrazić, nie mówiąc już o tęsknocie za słońcem i niebem, chmurami i zielonymi polami Irlandii. Colm mógł w każdej chwili wrócić do domu, czasami z szylingiem czy dwoma w kieszeni, czasem tylko z kilkoma pensami, a bywało, że w ogóle z niczym. Brenna

zawsze witała go pocałunkiem i uśmiechem. Nie chciała, żeby widział, jaka jest nieszczęśliwa.

Monotonię tych dni przzerwano im w najmniej przyjemny sposób. Po trzech tygodniach, pewnego rzeńskiego i wietrznego przedpołudnia, kiedy słońce pokazywało się tylko chwilami na niebie, policja oddała im ciało Paddy'ego, żeby je pochowali. Zapłakany Colm nie miał wyboru i musiał

złożyć ciało brata w mogile dla ubogich; przysiągł sobie jednak, że jeśli kiedykolwiek się wzbogaci, natychmiast go wykopie i przeniesie do porządnego

grobu, takiego z marmurową płytą, na której każe wypisać złotymi literami jego imię. Brenna siliła się na współczucie, nie mogła jednak zapomnieć, że swoją obecną, pożałowania godną sytuację zawdzięczają właśnie Patrickowi. Nie mówiła tego Colmowi, ale uważała, że gdyby tylko od niej to zależało, z wielką ochotą przegnałaby kopniakami ciało Paddy'ego przez cały Liverpool wzdłuż i wszerz, tam i z powrotem.

Odeszli z ciemnego i smutnego zakątka cmentarza w Toxteth Park, gdzie biednych chowano w workach, a nie w trumnach, i wolnym krokiem wracali na Upper Clifton Street. Cara spała na

jej czarnym szalem. Cóż to było za dobre dziecko! Codziennie cięższa i większa, tryskała wprost energią i rozwijała się szybciej niż Fergus i Tyrone. Być może dlatego, że matka codziennie piła mleko. Nancy przynosiła jej regularnie przynajmniej pół litra.

— Co z nami będzie, Colm? — spytała cicho Brenna.

Zbliżał się listopad; od ich przyjazdu do Liverpoolu minął już cały miesiąc. Dni były coraz chłodniejsze. Drżała na myśl, jak będą żyć, kiedy nastanie zima.

— Nie wiem, kochanie — westchnął

Colm.

On, który nigdy nie wzdychał, teraz gonił już resztkami sił. Nikt chyba nie szukał z większym samozaparciem jakiegoś przyzwoitego zajęcia. Ale też nie było chyba cierpliwszej kobiety niż Brenna. Kiedy wracał do domu bez grosza przy duszy po kolejnym bezowocnym dniu, nigdy nie usłyszał

od niej nawet jednego słowa skargi.

— Myślałam o czymś, co moglibyśmy zrobić — powiedziała. Już od dawna chodziło jej to po głowie, ale nic nie mówiła, wiedząc, że to jeszcze bardziej go przygnębi. — Będę się najmować do sprzątanania. Czy nie sprzątałam całe

siedem lat u pani Franceski O'Reilly?
Mogę znowu zacząć, dlaczegóż by nie?
Brałabym ze sobą Carę, a ty mógłbyś
dalej szukać pracy.

Colm spurpurowiał na twarzy, aż się
złękła, żeby nie wpadł w furję.

— Nie! — rzucił z gniewem. — Moja
żona nie będzie utrzymywać mnie i
dzieci. Jeśli do Bożego Narodzenia nie
znajdę roboty, będę po prostu musiał
pomyśleć, jak zdobyć pieniądze innym
sposobem. Przynajmniej tyle, żebyśmy
mieli za co wrócić do Irlandii.

— Jakim „innym sposobem”?

— Nic ci do tego — odparł tak ostro, że

krew ścięła się jej w żyłach.

— Chyba nie masz zamiaru robić jakichś szachrajstw, Colmie Caffrey?!

Niejeden już raz zauważył, że nie całe mięso na targu, gdzie czasem pracował, trafia pod właściwy adres. Jakiś zbywający kawałek wołowiny znikał bez śladu, a później był sprzedawany po kryjomu za śmiesznie niską cenę. Colm, zawsze na wskroś uczciwy, uważał tego rodzaju praktyki za karygodne — i w ogóle poniżej jego godności.

Ależ z nich piękna para, no, no... — pomyślał Marcus, kiedy tak szedł

za nimi w pewnej odległości. Mąż był

wysoki i równie szczupły jak żona;
czarne jak węgiel kręcone włosy
osłaniała tweedowa czapka. Nie miał

kołnierzyka przy koszuli, a łokcie
sterczały mu z dziur na rękawach 43

marynarki. Te dziury były swego czasu
przykryte łatami, teraz jednak łaty
odpadły. W przeciwieństwie do
Marcusa, który z dużą dozą samo-
krytycyzmu określał własne rysy jako
raczej grube, twarz tamtego męż-

czyzny była idealnie regularna, wręcz
subtelna.

— Ten Colm Caffrey to naprawdę
przystojny chłop — stwierdziła kiedyś

Nancy.

Gdyby ci dwoje byli inaczej ubrani, można by ich wziąć z powodzeniem za przedstawicieli wyższych sfer — na przykład za księcia odbywającego popołudniową przechadzkę w towarzystwie damy dworu.

Był zaskoczony, kiedy siedząc jak zwykle przy oknie w barze Ryba Wyjęta z Wody, zobaczył ją wychodzącą z domu razem z mężem. Poszedł

za nimi aż na cmentarz i spostrzegł, jak znikają za żywopłotem, tam gdzie spoczywali nieznani z nazwiska i ci, których nie stać było na godny pochówek. Domyślił się, co ich tu

przywiódło... Chcieli po raz ostatni pożegnać brata, tego, który przegrał w karty cały ich majątek — Nancy ciągle opowiadała mu nowiny z życia tych Caffreyów, zapewne w nadziei, że Marcus w końcu skruszeje i pospieszy z pomocą jej nowym irlandzkim przyjaciółom.

Każdego wieczoru Marcus przeglądał „Liverpool Echo”, chcąc sprawdzić, czy nie złapano mordercy, ale nie było żadnej wzmianki na ten temat; policja miała widocznie co innego do roboty niż tracenie czasu na szukanie jakiegoś nicponia, który zabił takiego samego jak on.

Małżonkowie prowadzili ożywioną

rozmowę. Następnie on wziął ją w ramiona i serdecznie przytulił. Zatrzymali się i przez chwilę przypatrywali niemowlęciu, leżącemu w ramionach matki, po czym poszli dalej.

Jak to musi być — dzielić swoje myśli i najbardziej intymne uczucia z drugim człowiekiem? Marcus nie był w stanie sobie tego wyobrazić, chociaż było coś niezmiernie pociągającego w posiadaniu kogoś, z kim można rozmawiać, kogoś, kto cię wysłucha, kiedy próbujesz mu wyjaśnić, jak bardzo, jak strasznie czujesz się samotny. W swoim klubie miał wielu znajomych, wyłącznie mężczyzn, którzy umarliby ze wstydu i zażenowania na samo wspomnienie

czegoś tak nieeleganckiego jak samotność.

Odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do pracy. Właściwie nie zanedbywał fabryki, aczkolwiek nie absorbowowała go już tak jak dawniej, dniem i nocą.

Teraz najwięcej czasu poświęcał w swoich myślach Brennie Caffrey.

44

— Tak sobie pomyślałam — oznajmiła Nancy parę dni później, kiedy odwiedziła znów Brennę na Upper Clifton Street, jak zwykle z wałówką, dwoma kotletami wieprzowymi, połową

szarlotki i zwyczajową porcją mleka — czy nie mogłabyś przyprowadzić do mnie w niedzielę swoich chłopców?

— Ale... przecież ty zawsze spotykasz się wtedy ze swoimi przyjaciółkami!

Nancy należała do Społecznego i Politycznego Związku Kobiet, zało-

żonego przez Emmeline Pankhurst. W każdą niedzielę po południu uczestniczyła w zebraniach. Chodziło o to, żeby kobiety miały prawo głosu — jakiego głosu, Brenna nie wiedziała.

— Nie, w tym tygodniu nie.

— Pan Allardyce będzie się gniewał...

— Brenna nigdy nie widziała pana Allardyce i wyobrażała sobie, że ma co najmniej dwa metry wzrostu i jest strasznie groźny.

— W niedzielę mam wychodne, a Parliament Terrace to mój dom, nieprawdaż? Więc mogę do siebie zapraszać, kogo zechcę, i panu A. nic do tego.

— Jesteś pewna?

— Czy zapraszałabym cię, gdybym nie była?

— Nie...

Brenna podejrzewała jednak — i miała

ku temu mocne podstawy —

że Nancy wszystko to sobie zaplanowała; nie pójdzie na zebranie tylko dlatego, żeby Caffreyowie mieli dokąd zabrać Fergusa i Tyrone'a. W niedzielę nie zawsze świeciło słońce, kiedy szli na spacer, zwykle do Princes Park, gdzie było naprawdę uroczo, ale kiedy padał deszcz — po prostu okropnie. Raz tylko zabrali chłopców do izby przy Upper Clifton Street,

gdzie mieszkali mama, tata i Cara; jednak widok ich przerażonych twarzączek do cna przygnębił Brennę. Fergus przez cały czas płakał

i powiedział, że ta izba przypomina mu

piekło.

— Zrobię dobry podwieczorek —
zachęcała Nancy. — O której mam na
was czekać?

— Zaraz po drugiej. O czwartej chłopcy
muszą być z powrotem w sierocińcu.

Jakiś zegar wybijał właśnie drugą, kiedy
drzwi klasztoru się otworzyły i stanęli w
nich chłopcy Caffreyów w towarzystwie
siostry Kentigern, 45

r

starszej zakonnicy, która pracowała w
pełnym przeciągów biurze tuż przy
wejściu.

— Czekam na nich o normalnej porze —
rzekła tylko.

Chłopcy przytyli. Nic dziwnego, w końcu jedli teraz trzy regularne posiłki dziennie. Jeszcze nigdy nie wyglądali tak dobrze — i tak nieszczęśliwie.

Fergus natychmiast rzucił się w ramiona mamy, a Tyrone

- taty.

— Uważaj na siostrzyczkę, syneczku —
przypomniała Brenna, bo wyglądało na to, że Fergus ma zamiar zadusić je obie na śmierć, z takim zapałem je ścisnął.

Fergus zaczął płakać.

— Chciałbym być z Carą — szlochał.

— Chcę, żebyśmy mogli z Tyrone' em mieszkać razem z wami, tak samo jak ona, nawet jeśli to jest piekło.

Chciałbym, żebyśmy wrócili do Irlandii.

Och, mamó, jak ja nienawidzę

Liverpoolu, i nienawidzę wujka

Paddy'ego... za to, że nie przyszedł się z nami spotkać.

Chłopcy nie wiedzieli, że ich wuj nie żyje.

— Nic by na to nie poradził, Fergus.

Gdyby mógł, na pewno by przyszedł.

Kiedy to powiedziała, zastanowiła się krótko, czy to aby prawda, czy tylko ona chce w to wierzyć... Czy Paddy

pojawiłby się, mimo że przegrał

w karty wszystkie ich pieniądze?

— Czeka was dziś prawdziwa ucztą —
mówił Colm. — Idziemy na
podwieczorek do Nancy Gates.

Smutne oczy Tyrone'a, zwykle tak
błyszczące, rozjaśniły się na tę
wiadomość. Fergus stwierdził, że nie
jest głodny, ale wyglądał na zado-
wolonego.

— Czy to będzie w tym pokoju, gdzie
jest żółty ptak i rudy kot? —

spytał.

— Właśnie tam — potwierdziła Brenna.

Kiedy weszli do ciepłego saloniku, ptak zaczął śpiewać, a kot ocierał

się im o nogi. Ptak nazywał się Erie i był kanarkiem, jak wyjaśniła Nancy, a kot miał na imię Laurence.

— Nazwałam je tak na pamiątkę po moich młodszych braciach, którzy zmarli jeszcze w dzieciństwie, biedne maleństwa.

— Ale nasza Cara nie umrze, prawda?

— spytał z niepokojem Fergus.

— Ona? Taka duża i zdrowa dziewczuszka? No pewnie, że nie —

uśmiechnęła się do niego Nancy. — No, przyszykowałam dla nich tylko 46

kanapki z dżemem i budyń na deser, bo myślę, że niedawno jedli obiad To taka mała przekąska, nie właściwy posiłek. A teraz chodźcie tu, moi złoci, i pałaszujcie razem z mamą i tatą.

Okazało się, że Fergus — mimo wcześniejszych zapewnień — jest jednak przy apetycie i kanapki zniknęły w okamgnieniu; Brenna zorientowała się nagle, że jej chłopcy są dziwnie małomówni.

— Zapomnieliście języka w gębie? — spytała.

Tyrone zerkał spod oka na Nancy.
Wreszcie wyszeptał:

— Ona mogłaby nas zbić trzcina... za to,
że mówimy przy jedzeniu...

Nancy aż krzyknęła i zapewniła, że
nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś
podobnego, po czym zapytała:

— Czy tak właśnie robią u Świętej
Hildy?

— Tak. A nasz Fergus to dostaje trzcina
prawie każdego rana, bo moczy łóżko.
Potem musi sam prać prześcieradło i
wieszać je na sznurku.

Fergus spuścił głowę i nie chciał

spojrzeć matce w oczy.

— Ależ on nigdy się nie moczył, Bóg mi świadkiem! — wykrzyknęła zapalczywie Brenna.

Colm stwierdził, że nie powinni psuć sobie tych dwóch godzin na gadanie o klasztorze, i zaczął wypytywać Nancy o związek, do którego należała. Nancy wyjaśniła, że jego członkinie nazywają się sufrażystkami.

— Zebrały się pierwszy raz w tysiąc dziewięćset trzecim roku, żeby walczyć o prawa kobiet, a zwłaszcza o prawo do głosowania w wyborach.

Niektóre zamknięto w więzieniu, gdzie

karmili je siłą. — Jej szeroka, pospolita twarz zapłonęła świętym oburzeniem. — Dwa lata temu kobiety po trzydziestce otrzymały prawo głosu — to był pierwszy sukces, ale musimy walczyć dalej, aż to prawo obejmie również kobiety, które ukończyły dwadzieścia jeden lat, tak samo jak mężczyzn. Kobiety stanowią połowę ludności kraju, ale są traktowane jak obywatele drugiej kategorii.

Nie, nawet nie obywatele, jak przedmioty. Najwyższy czas pozbyć się całej tej rodziny królewskiej i stać się republiką, jak Ameryka. — Nagle się roześmiała. — Chyba powinnam już zejść z tego wysokiego tonu i zrobić

jeszcze jedną filiżankę herbaty dla wszystkich.

Odprowadzenie Tyrone'a i Fergusa z powrotem do Świętej Hildy niemal złamało serce Brenny. Wydawało się jej, że ma ich dla siebie stanowczo zbyt krótko.

— Już niedługo będziemy wszyscy razem — zapewniała ich z przekonaniem, chociaż bardzo by chciała, żeby w jej słowach było więcej wiary.

47

W każdym razie Nancy zaprosiła ich do siebie również na następną niedzielę.

Przynajmniej mieli na co czekać przez ten tydzień — ona, Colm i wszyscy razem.

Przyszedł grudzień i zrobiło się mroźno. Piec naftowy buzował od świtu do nocy i Brenna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że dym ją w końcu zadusi. Cara też dostała okropnego kaszlu, a kiedy spała, miała chrapliwy oddech.

Pozostało już tylko dziesięć dni do Bożego Narodzenia i chłopcy drżeli na myśl, że będą musieli je spędzić w klasztorze, gdzie uczyli się już pieśni i specjalnych modlitw na świąteczną mszę. Nancy wyjeżdżała na całe święta. Podobno miała w Rochdale starego ojca i chciała dotrzymać mu towarzystwa.

Wszystko wskazywało na to, że te święta będą naprawdę koszmarne.

Colm całkiem stracił nadzieję na zdobycie stałej pracy, a Brenna pamiętała, jak groził, że jeśli do Gwiazdki nie znajdzie pracy, zdobędzie pieniądze w inny sposób. To ją jeszcze bardziej przygnębiało. Któregoś dnia obudziła się w tak podłym nastroju, że zaraz po wyjściu Colma z domu długo szlochała w poduszkę, wyobrażając sobie, że jej męża zamkną w więzieniu, że przez całe lata nie będzie go widziała, a w takim wypadku już w ogóle nie będzie można marzyć o odebraniu chłopców z sierocińca. Pierwszy raz dała upust Izom

— tak od serca — i aż wstyd jej było.

Usiadła, wytarła łązy wierzchem dłoni i surowo sobie zapowiedziała, że nie wolno jej myśleć w ten sposób. Łzy pozostawiły brudne smugi na jej ręce. Wszechmogący Boże, jak mogła się do tego stopnia zapuścić?

Kiedy ostatni raz porządnie się umyła — tak od stóp do głów? Nie mogła sobie przypomnieć.

W czajniku była jeszcze gorąca woda, która została po śniadaniu —

Colm zawsze pił rano herbatę; naląła trochę do miski, w której prała, po czym ściągnęła ubranie. Za pomocą czystej

pieluszki Cary umyła każdy centymetr ciała, cały czas trzęsąc się z zimna. Potem zrobiła to samo z Carą, żałując, iż nie ma czystego, porządnego ubrania do okrycia obu ich ślicznych i wypucowanych ciał. Gdybyż miała choć pensa, poszłaby do publicznej łaźni. Nakarmiła Carę, zaparzyła sobie herbatę, po czym szybko ją wypiała, maczając w niej kawałek suchego chleba. Kiedy już zjadła wszystko do ostatniego okruszka, owinęła dokładnie chustą siebie 48

i dziecko i ruszyła w stronę kościoła Świętego Wincentego a Paulo, gdzie co niedzielę chodziła na mszę.

Lodowaty wiatr przenikał jej cienkie

ubranie i kłuł tysiącem igieł

Brenna pochyliła głowę, przeciwstawiając się uderzającym w nią po-dmuchom; wicher ciągle zmieniał kierunek — podrywał jej spódnicę to z przodu, to znów z tyłu. Dotarła do kościoła zmarznięta na kość, tylko Cara była ciepłutka i tuliła się do jej piersi.

Msza się skończyła i kościół niemal opustoszał. Jedynie kilka starych kobiet klęczało przy ołtarzu. Brenna zamoczyła palce w wodzie święconej, przeżegnała się i uklękła, po czym weszła do dalszego rzędu ławek i usiadła na chwilę; starała się odzyskać oddech i poluzować trochę chustę, w której

trzymała Carę. Dziecko wydało cichy okrzyk, wyciągnęło rączki i zaczęło rozglądać się ciekawie po całym kościele. Cara gaworzyła, jej małe ciało aż zeszywniało z przejęcia na widok płonących świec.

Po paru minutach Brenna odpoczęła na tyle, że mogła uklęknąć. Modliła się do Najświętszej Panienki tak żarliwie, jak jeszcze nigdy dotąd się nie modliła, błagając, żeby ta wdzięcznym okiem rzuciła na nich, na Caffreyów, żeby im pomogła, pobłogosławiła i wydobyła ich z ciemności na światło.

— Matko Boża, nigdy nie zrobiliśmy nic złego. — Brenna ścisnęła dłonie tak mocno, że aż ją rozbolewały. —

Przyjechaliśmy do Liverpoolu tylko po to, żeby lepiej żyć, ale wszystko się obróciło przeciw nam. Chcę tylko, żeby Colm dostał pracę, żebyśmy mieli porządny dach nad głową i żeby nasi chłopcy wrócili do domu. I dziękuję Ci za to, że zesłałaś nam do pomocy Nancy Gates, naszego anioła stróża. Nie mam pojęcia, co byśmy bez niej zrobili. Wiem, że ona jest niewierząca, ale chyba naprawdę trudno by było znaleźć lepszą i bardziej chrześcijańską kobietę — dodała jeszcze.

Brenna wyszła z kościoła uspokojona i pogodna, w głębokim prze-

świadczeniu, że Najświętsza Paniienka

wysłucha jej gorących próśb, za
pomniła napomknąć, że bardzo by
chciała, żeby wysłuchała ich jeszcze
przed Bożym Narodzeniem, ale była
pewna, że Najświętsza Paniienka chyba
się tego domyśliła.

— Na Jowisza! — Posterunkowy
Stanley Beal aż jęknął. Jak zwykle po
solidnym podwieczorku czytał
„Liverpool Echo”. Czuł, że żołądek ma
przyjemnie wypełniony.

49

— Co się stało, Stan? — zainteresowała
się jego żona.

— To tutaj, w rubryce „Ogłoszenia”. —

Konstabl zaczął głośno czytać.

— „Will Colm Caffrey, brat Patricka Caffreya (nieżyjącego), jest proszony o skontaktowanie się z firmą prawniczą Connor, Smith & Harrison pod nr. 47 Water Street, Liverpool, gdzie otrzyma korzystną dla siebie wiadomość”.

Podają też numer telefonu. Co o tym sądzisz, Irene?

— Sądzę, że ten Colm Caffrey może się uważać za prawdziwego szczęściarza... ale co to ma wspólnego z nami, kochanie?

— Poznałem tego Colma Caffreya... Zaraz, zaraz, będzie już co najmniej trzy miesiące wstecz... Jego żona lada

chwila miała rodzić, dosłownie na ulicy, tak że szukał pomocy, gdzie się dało, i dopadł do mnie z obłędem w oku. Zaprowadziłem go do Świętej Hildy, wiesz, a potem poszedł

z jedną z zakonnicek. Biedaczysko, właśnie tego dnia przyплыł z Irlandii i szukał swojego brata Paddy'ego. No i oczywiście padło na mnie...

Musiałem mu powiedzieć, że ten Paddy został zamordowany.

Irene wzdrygnęła się mimowolnie.

— Mam nadzieję, że to nieszczęsne dziecko nie urodziło się na ulicy.

Dowiedziałeś się czegoś o tym?

— Nie, skarbie. Miałem zamiar... ale wiesz, jak to jest, zawsze huk roboty.

Stanley przebiegał dwa razy tyle kilometrów i pracował dwa razy więcej niż reszta kolegów w jego rewirze. W każdym razie on i jego żona tak uważali.

— Ciekawe, czy jest jeszcze w Liverpoolu, ten Caffrey?

Stanley podrapał się w brodę.

— Mogę to sprawdzić. Prosiłem, żeby zostawił adres na posterunku, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy chcieli przekazać mu coś na temat brata. I

rzeczywiście tak było, kiedy wydaliśmy mu ciało, żeby mógł

pochować brata. Gdzie są nożyczki, skarbie? Wytnę to ogłoszenie i jutro wezmę ze sobą.

Marcus Allardyce również zauważył to ogłoszenie. Przypatrywał mu się dłuższy czas, potem wyciął je z gazety i — po krótkim namyśle —

wsunął pod podkładkę do pisania na biurku. Ma się rozumieć, ogłoszenie mógł przeczytać każdy, a potem pokazać je Caffreyom, ale on wolał

zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Nadal śledził Brennę przez okno w

barze i — jeśli się pokazała — szedł za nią jak cień. Traktował to jako 50

raczej radosne przeżycie, mimo iż nie byłby w stanie powiedzieć dlaczego. Owe „korzystne wiadomości” — korzystne dla Colma, rzecz jasna mogłyby wszystko zmienić, i to nieodwracalnie, a Marcus wolał, żeby sprawy pozostały tak jak dotychczas.

Ktoś pukał jak szalony do drzwi wejściowych, ale wyglądało na to, że nikt wewnątrz się nie kwapi, żeby otworzyć. Po jakimś czasie Brenna weszła po schodkach — tak na wszelki wypadek. A nuż chodzi o jakąś pracę dla Colma? Otworzyła i omal nie zemdląła na widok stójkowego.

Nic dziwnego, że musiał tyle czekać; prawdopodobnie został zauważony z okien tej rudery, a tutejsi lokatorzy woleli nie rzucać się w oczy.

— Czy pani Caffrey? — spytał grzecznie policjant.

Ani chybi, Colm nie poczekał do Bożego Narodzenia i już zaczął

zdobywać pieniądze „w inny sposób”, a ponieważ jest taki naiwny, więc dał się przyłapać.

— Nie! — odparła niepewnym głosem.
— Caffreyowie wrócili już do Irlandii.
Nazywam się... Gates.

Stójkowy był wyraźnie rozczarowany; pewnie miał nadzieję, że złapie przestępcę jeszcze przed śniadaniem i dostanie medal czy coś w tym rodzaju.

— Zna pani może ich adres w Irlandii?

Brenna potrząsnęła głową.

— Cóż, nieważne. Dzięki, skarbie.

Brenna zamknęła drzwi. Kiedy Colm przyjdzie wieczorem do domu, obedrze go żywcem ze skóry. A może jednak jeszcze niczego nie zrobił...

Jeszcze. Ale przecież stójkowy po coś do nich przyszedł, a to nie mogło wróżyć nic dobrego.

Nancy zwykle czytała wczorajszą gazetę dopiero wówczas, gdy zrobiła sobie przerwę w pracy, żeby wypić swoją poranną filiżankę herbaty, kiedy posprzątała już po śniadaniu, a nie zabrała się jeszcze do przygotowania lunchu. Nie miała zwyczaju przeglądać ogłoszeń, szkoda jej było na to czasu, tym razem jednak zauważyła, że jedno z nich zostało wycięte.

Na cóż ono panu A...? — zachodziła w głowę. Prócz niej był jedyną osobą w domu, która czytała tę gazetę.

Zaintrygowana już miała wejść na górę i zajrzeć do gabinetu — na wypadek gdyby zostawił wycinek na biurku, 51

ale akurat weszła pielęgniarka, siostra

Hutton, żeby powiedzieć, że Eleanor prosi tylko o chleb i szklanę mleka na lunch.

— Dziś rano czuje się bardzo słabo — oznajmiła.

— Tak myślałam. Dopiero co wyrzuciłam jej śniadanie do kubła. To naprawdę marnotrawstwo: sadzone jajko, kaszanka i dwa kawałki pięknego, chudziutkiego bekonu... Wszystko pójdzie do rynsztoka, podczas gdy tylu biedaków nigdy w życiu nie jadło takiego królewskiego śniadania!

I pewnie nie zje... Pójdę do niej za chwilę — oświadczyła Nancy.

— Teraz śpi, mała także. Płakała całą noc, biedactwo. Chciałam powiedzieć...

— malutka. To chyba kolka, zdarza się często trzymiesięcznym dzieciom. Może poczuje się lepiej po Nowym Roku.

Oby... — Pielęgniarka rozsiadła się z rękami założonymi na piersi, gotowa poplotkować, chociaż nigdy nie miała do tego szczęścia w przypadku wyjątkowo skrytej Nancy. — Jeszcze nigdy nie pracowałam w takim dziwnym domu. No, bo kto to słyszał? Pan Allardyce tylko wsadza głowę do sypialni swojej pani...

że niby taki kochający z niego mąż, kiedy wraca po pracy, ale nigdy nie siedzi tam dłużej niż kilka minut. Ten ich

chłopiec nie może być normalny; dwadzieścia cztery godziny na dobę tkwi w swoim pokoju, a pani Allardyce jest chyba najniezwyklejszą kobietą, jaką w życiu spotkałam. To po prostu dowód na to — dodała pobożnie — że pieniądze szczęścia nie dają.

Nancy milczała. Nie powiedziała, że na ten dom spadło nieszczęście w tym samym momencie, kiedy w jego progach pojawił się Marcus Allardyce i zaczął się zalecać do Eleanor.

Nancy z miejsca się na nim poznała, mimo iż i Herbert, i Eleanor niczego nie zauważyli. Herbert Wallace był szlachetną duszą, nigdy nie dopatrywał się w ludziach złych cech, a Eleanor,

delikatna i aż nazbyt wrażliwa, niemal postradała zmysły z żalu po stracie Geoffreya, swojego narzeczonego — i z łatwością dała się otumanić urokowi tego fałszywca Marcusa. Wprawdzie Nancy parę razy coś delikatnie napomknęła, lecz choć traktowano ją jak członka rodziny, nie była to tego rodzaju zażyłość, by mogła otwarcie powiedzieć, że jej zdaniem Marcus Allardyce to zwykły hochsztapler, dla którego ślub z Eleanor jest tylko sposobem na położenie łapy na rodzinnym majątku.

I miała rację. W pięć minut po złożeniu do grobu Herberta Marcus zmienił diametralnie swoje podejście do żony.

Nie miał już do niej cierpliwości, odzywał się z najwyższą pogardą, nie okazywał ani krzty współczucia, kiedy schodziła na dół, dręczona okropnym bólem głowy —

jej matka cierpiała na to samo. Im mąż był dla niej gorszy, im bardziej 52

jej dokuczał, tym migreny Eleanor stawały się częstsze i silniejsze, ti w końcu całe dnie spędzała, leżąc w zaciemnionym pokoju.

— Nie wiem, jak pani może to wszystko wytrzymać, panno Gates.

mówiła siostra Hutton.

— Jakoś daję sobie radę — mruknęła Nancy.

Czasami naprawdę bardzo chciała odejść z tego domu i znaleźć posadę w jakiejś radośniejszej rodzinie, ale nie mogła się zdobyć na opuszczenie lileanor.

Żeby zmienić temat, powiedziała:

— Skoro pani Allardyce życzy sobie na lunch tylko chleb i mleko, to może my przekąsiłybyśmy coś konkretnego? Mam wielką ochotę na kielbaskę z tłuczonymi ziemniaczkami.

Zdecydowanie wolała dobre staroświeckie potrawy od wszystkich

tych nowomodnych frykasów, tortów i egzotycznych zapiekaneek, które zwykle musiała przygotowywać.

— To brzmi bardzo miło, panno Gates — rzekła pielęgniarka raczej ze smutkiem, skoro było już jasne, że zaproponowane przez Nancy menu nie będzie zawierało plotek, nawet przy kiełbasce z ziemniaczkami.

Tamtego popołudnia Nancy poszła się zobaczyć z Brenną, niosąc w koszyku butelkę mleka, pół tuzina kiełbasek — jeszcze ciepłych — dwa banany, mały, chrupiący chlebek własnej roboty i całkiem sporą bryłkę masła owiniętą w pergamin.

— W Irlandii nigdy nie używaliśmy masła — powiedziała Brenna. —

Zawsze smarowaliśmy chleb margaryną.

— Już mi kiedyś o tym mówiłaś. O co chodzi, złotko? Wyglądasz na ździebko roztrzęsioną.

Brenna przez dłuższą chwilę nie wpuszczała jej do mieszkania, a następnie tylko odrobinę uchyliła drzwi, jakby się spodziewała kogoś zupełnie innego.

— Dziś rano był tutaj stójkowy. Pytał o Colma. Och, Nancy! — Pierwszy raz, odkąd się znały, Brenna wybuchnęła płaczem. — Wczoraj tak gorąco się

modliłam do Najświętszej Pani, całym sercem i duszą, błagałam, żeby nam zesłała dla odmiany coś dobrego, a ona... przysłała nam do domu stójkowego i teraz jest jeszcze gorzej!

— Nie wierzę, żeby Najświętsza Pani dyrygowała policjantami —

odparła rzeczowo Nancy. — To może mieć jakiś związek z bratem Colma.

A jeśli znaleźli tego gościa, który go zabił?

53

— Nie pomyślałam o tym — przyznała ze łzami Brenna. — Och, słyszysz, jak

Cara kaszle? Coraz gorzej i gorzej. — Podniosła do góry dziecko. Maleńka twarzyczka, po męczącej walce o złapanie oddechu, była teraz szkarłatna jak ogień. Brenna delikatnie pomasowała jej plecki.

— Nakarmię ją, może to wygładzi co nieco jej gardziołko. — Z ciężkim westchnieniem rozpięła sukienkę i przystawiła dziecko do piersi.

Wracając do domu, Nancy czuła głęboki smutek. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby mogła pomóc Caffreyom, inny niż dawanie im tylko tego, co zostawało po Allardyce'ach — i mleka, które kupowała z własnej kieszeni. Brenna o tym nie wiedziała. Nancy czuła przez

skórę, że gdyby tak było, jej podopieczna za nic w świecie nie przyjęłaby tej darowizny, z uporem twierdziła więc, że mleko zostało w domu z wczorajszego dnia.

Wszystkie starania Colma zmierzające do zdobycia codziennej, uczciwej pracy kończyły się niepowodzeniem. Nie mogą już dłużej mieszkać w tej norze, tej dziurze w ziemi. Jeszcze trochę, a Brenna i jej mała córeczka rozchorują się na dobre...

Kiedy dotarła na Parliament Terrace, nadal była smutna. Co to za świat, który pozwala, żeby porządni ludzie jak Caffreyowie mieli tak niewiele, a ktoś

taki jak Marcus Allardyce miał aż za dużo? Liverpool był

jednym z najbogatszych miast na świecie, ale połowa jego mieszkańców żyła w skrajnej nędzy. To prawdziwa hańba, myślała z wściekłością Nancy. Przynajmniej dla Rosji zaświtała teraz jakaś nadzieja, kiedy władzę objął Lenin... W społeczeństwie komunistycznym wszystko będzie dobrem publicznym rozdzielanym przez państwo w myśl zasady: od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb. Co za cudowne słowa! Nancy poczuła naraz wielką gulę w gardle, tak bardzo się wzruszyła. Mocno wierzyła w to, że pewnego dnia — no,

może jeszcze nie za jej życia —
komunizm zaprowadzi ład i porządek na
całym świecie, a wtedy bieda stanie się
zapomnianym terminem z przeszłości.

Rozłożyła na stole gazetę i zaczęła
obierać ziemniaki na obiad;
postanowiła, że zrobi dzisiaj zwykłą
pieczoną baraninę z sosem miętowym,
jako że nie otrzymała żadnych innych
dyspozycji. Eleanor nie była szczególnie
zainteresowana jedzeniem, po urodzeniu
córeczki całkiem straciła apetyt, a pan
Allardyce przed wyjściem do pracy
często zapominał

powiedzieć, czego sobie życzy. Ostatnio
był w ogóle dziwnie rozkojarzony, jakby
nie pamiętał o bożym świecie.

Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby pewnego dnia odejść i zamieszkać w Rosji. Niskim, melodyjnym głosem zaczęła nucić Międzynarodówkę.

Kiedy ziemniaki były już obrane, oskrobała pasternak i poszatkowała kapustę, a potem zawinęła wszystkie obierki w papier i wyniosła do kubła na śmieci, który stał przy schodach. Wtedy właśnie zobaczyła, że z gazety coś wycięto, i przypomniała sobie, że miała poszukać tego czegoś w gabinecie pana A. Była bardzo ciekawa, o co tutaj chodzi.

Zajrzę tam po kolacji, powiedziała sobie. Ale... po kolacji Marcus pójdzie na pewno do gabinetu. Nie, lepiej teraz. To zajmie tylko sekundę.

Wycinek był zatknięty pod podkładkę do pisania na wspaniałym biurku, przy którym siadywał niegdyś Herbert Wallace. Nancy nie należała do kobiet łatwo ulegających emocjom, ale teraz, kiedy przeczytała tych parę linijek, miała nieprzepartą ochotę podskoczyć z radości i krzyknąć „Hurra!”.

„Will Colm Caffrey, brat Patricka Caffreya (nieżyjącego), jest proszony o skontaktowanie się z firmą prawniczą Connor, Smith & Harrison pod nr. 47 Water Street, Liverpool, gdzie otrzyma

korzystną dla siebie wiadomość".

Poniżej był jeszcze podany numer telefonu.

— A niech mnie kule biją! — zawołała głośno, podniosła słuchawkę telefonu i lekko drżącą ręką wybrała numer. — Chciałabym rozmawiać z kimś na temat Colma Caffreya — powiedziała, kiedy telefon odebrał

jakiś mężczyzna.

— Mieliśmy dziś chyba z tuzin telefonów do biura w sprawie Colma Caffreya — sami oszuści. Czy zamierza pani przysięgać, że pani to on i że Colm Caffrey jest właściwie kobietą? —

spytał zgryźliwie mężczyzna.

— Nie, ale go znam — mówiła Nancy bez tchu. — Wiem, gdzie mieszka. Wiem, że przyjechał z Lahmery w hrabstwie Kildare, że jego żona ma na imię Brenna i że mają dwóch chłopców, Fergusa i Tyrone'a, i malutką córeczkę, Carę...

— Ach! Teraz wierzę, że znaleźliśmy prawdziwego Colma Caffreya.

Nareszcie! — W głosie mężczyzny brzmiała ulga. — Kiedy możemy się go spodziewać w naszym biurze?

— Jutro, z samego rana — obiecała Nancy.

Cóż, jeśli ktoś naprawdę potrzebuje „korzystnej dla siebie wiadomości”, to właśnie ten młody facet”, pomyślał Ambrose Houghton, siedząc przy biurku naprzeciw Colma Caffreya, jego żony i maleńkiego dziecka. Twarz 55

tego mężczyzny domagała się na gwałt golenia; wszyscy troje mieli ubranie w strzępach, a zapach, jaki od nich bił, był po prostu nie do wytrzymania.

Pan Houghton zastanawiał się w duchu, czy byłoby wielką niegrzecznoś-

cią, gdyby uchylił choć trochę okno, żeby się pozbyć tego okropnego zaduchu, ale postanowił nie ryzykować. Nigdy nic nie wiadomo. Być może ów

gość zostanie pewnego dnia jego cennym klientem? Zresztą na dworze temperatura spadła poniżej zera i ostatecznie lepszy był już ten fetor aniżeli zimno.

— Może najpierw załatwimy formalności — zaproponował.

Po zadaniu kilku oczywistych pytań, jak data i miejsce urodzenia, nazwisko panięskie matki, plus powtórzenie innych szczegółów, podanych już poprzedniego dnia przez kobietę, która telefonowała, i po ustaleniu, że naprawdę siedzi przed nim Colm Caffrey, brat Patricka, niestety już nieżyjącego — prawnik przystąpił do rzeczy.

— Wygląda na to, że pański brat nie napisał ani nie powiedział panu nic na temat domu, który wygrał — rzekł.

Rozbawiło go zdumienie i niedowierzanie na twarzach pana Caffreya i jego żony, która jak dotąd nie odezwała się nawet słowem.

— Wygrał! — pisnęła teraz. — Dom!

— Dom — powtórzył Ambrose Houghton. — Wygrał go w karty i chciał przekazać prawo własności panu, panie Caffrey. Powiedział, że napisze o tym do pana jeszcze tego samego wieczoru.

— Napisał, ale tylko tyle, że ma dla nas niespodziankę — powiedział

Colm Caffrey. — Uważaliśmy jednak, że nigdy się nie dowiemy, co to było, skoro Paddy nie żyje.

— Cóż, wielka szkoda, że tak długo to trwało, zanim się państwo o niej dowiedzieli.

Sądząc z wyglądu tej pary, niespodzianka przyszła w samą porę.

— To szeregowiec, ale końcowy, przy Shaw Street w dzielnicy Toxteth — ciągnął. — Numer jeden; dwa pokoje na dole, kuchnia, dwie sypialnie i mały pokój; poza tym niewielkie podwórko, gdzie znajdują się ubikacja i pralnia.

— I to jest teraz nasze? — zduszonym

głosem zapytał Colm Caffrey.

— W rzeczy samej tak jest, sir. —
Prawnik uważał za dość zabawne
tytułowanie tego oberwańca „sir”, ale
był on teraz wszak właścicielem
nieruchomości, czyli kimś więcej niż on
sam.

— Ale przecież... chyba nasz Paddy nie
przyszedł tu i nie rozmawiał
z prawnikiem?

56

— Musiał tak zrobić. Tak to się dzieje z
własnościami, sir. Dokumenty muszą
zostać przygotowane, ostemplowane,

podpisane, poszukiwania zakończone, akta przepisane na nowego właściciela. Pański brat był bardzo sprytny.

Wiedział, że pan nie mógłby ot tak po prostu wygrać domu i wprowadzić się tam bez papierka potwierdzającego, że to pańska własność.

— Nigdy nie słyszałam, że można grać w karty o domy — wtrąciła żona Caffreya.

Rozwinęła niemowlę z szala i teraz malutka przypatrywała się Ambrose'owi przyjaznymi oczkami. Uśmiechnął się, a ona też się do niego uśmiechnęła.

— W karty można grać o wszystko na świecie — wyjaśnił. — Według tego, co

nam powiedział pan Caffrey, grali przez całą noc. Początkowo w pięciu, ale trzech odpadło, kiedy stawki poszły za bardzo w górę.

W pewnym momencie pan Caffrey przegrał prawie wszystkie pieniądze, kiedy nagle „szczęście się odwróciło”, jak sam to określił, i wygrał

wszystko z powrotem. Ostatnie rozdanie miało miejsce już o świcie i wtedy przeciwnik pana Caffreya zaproponował jako stawkę dom, który niedawno odziedziczył po swoim wuju. Pański brat musiał mieć doprawdy stalowe nerwy, skoro zaryzykował wszystko, co miał.

Widać było, że prawnik po prostu marzy o tym, by móc kiedyś obserwować taką prawdziwie męską grę. Nic dziwnego. Jak dotąd jedyną grą karcianą, którą uprawiał, był wist. Wieczorami grywał z żoną na kapsle od butelek po mleku.

— Dziwię się, że nasz Paddy nie rozkrzyczał takiej wiadomości na wszystkie strony świata — zauważył Colm ze smutnym uśmiechem. —

Nie codziennie wygrywa się dom... Tymczasem nawet jego gospodyni o tym nie wiedziała.

— To dlatego, że człowiek, który przegrał, jest dobrze znany w okolicy.

Bardzo prosił pana Caffreya o zachowanie w sekrecie jego spektakularnej przegranej. No cóż, osobiście wcale mu się nie dziwię... Nie chciał, żeby ludzie się dowiedzieli, jakim się okazał głupcem. A teraz, panie Caffrey —

rzucił z werwą prawnik — prosiłbym pana o podpisanie kilku papierków.

A propos, czy chce pan powierzyć wszystkie akta i inne ważne dokumenty firmie Connor, Smith & Harrison? Jeśli tak, przechowamy je dla pana w naszym archiwum.

— Może pojechalibyśmy do domu tramwajem? — spytała Brenna, kiedy już znaleźli się na ulicy. Nadal czuła się bardzo słabo. Długa droga do miasta, w dodatku w mroźną pogodę, była naprawdę wyczerpująca.

Przez cały czas niosła na rękach dwunastotygodniowe niemowlę, i kiedy dochodziła do biura prawniczego, miała wrażenie, że dźwiga nie swoją małą córeczkę, ale tonę cegieł. — Przecież i tak zaoszczędzimy dwa pensy. Nie będziemy musieli już płacić wynajmu za następny tydzień. *|

Wciąż nie mogła uwierzyć, że są właścicielami domu!

Colm wydawał się nawet skłonny do zgody na taką ekstrawagancję.

Wsiedli do tramwaju; przez całą drogę prawie ze sobą nie rozmawiali, zbyt oszołomieni, by uwierzyć we własne szczęście.

— Nasz Paddy trafił w końcu na dobre karty — skonstatował w pewnej chwili Colm.

— Rzeczywiście, trafił. — Brenna zawstydziała się odrobinę, przypominając sobie wszystkie te wyzwiska, jakimi dotąd obrzucała szwagra.

Rozwiązała problem, postanawiając modlić się co wieczór za duszę

Paddy'ego, aż do końca życia.

Shaw Street była zaledwie parę minut drogi od Upper Clifton Street, a ich dom stał na samym początku zwartej bryły ośmiu szeregowców; drzwi frontowe dzielił od chodnika tylko jeden schodek. Colm wydobył

pek kluczy na kółku — dwa od frontu i dwa od tyłu — i otworzył

drzwi.

Spojrzeli po sobie, wzięli głęboki oddech i weszli do środka, pierwsza Brenna z Carą, dalej do wąskiego korytarzyka ze schodami na samym końcu i dwójgiem drzwi po lewej —

jedne prowadziły do saloniku, w którym stał zniszczony, ale wygodny komplet foteli krytych skórą, następnie do jadalni ze stołem i czterema krzesłami oraz drzwiami, prowadzącymi do kuchni. Brenna była zaskoczona. Nie spodziewała się, że w domu będą w ogóle jakieś meble.

W milczeniu obejrzelik metr po metrze zniszczone tapety, popękane linoleum na podłodze, kuchnię z głębokim brązowym zlewem i drewnianą suszarką do naczyń oraz szafką do przechowywania żywności. Jedną ze ścian pomalowano na biało; na suszarce stała puszka z farbą klejową i czysta szczotka. Obejrzelik miniaturowe podwórko, śmierdzącą

ubikację z ćwiartkami starych gazet na gwoździu i dwoma wielkimi pajakami, które utkały tam niewidzialne sieci i uciekły przez szczelinę w suficie, 58

wreszcie pralnię z zardzewiałym kotłem i kawałkami węgla porozrzucanymi na podłodze. Potem weszli na piętro, gdzie tapeta była jeszcze bardziej zniszczona, szyba okienna w małym pokoiku stłuczona, a kominki w obu sypialniach, podobnie jak te na dole, odrapane i zapchane stertami popiołu. W każdym pokoju stało łóżko: podwójne we frontowej sypialni, dwa pojedyncze w tylnej i śmieszna kozetka w małym pokoiku, z dwoma kocami złożonymi na wierzchu. Łóżka były stare, ale zupełnie

przyzwoite — materace nawet bez jednej plamki. Po jakimś czasie wrócili tam, skąd zaczęli oględziny, czyli do korytarza.

— Co o tym myślisz, kochanie? — spytał Colm.

— Toż to prawdziwy pałac — szepnęła Brenna z błyszczącymi oczami. — Twój Paddy musiał już nawet kupić meble i zaczął właśnie malować kuchnię. To małe łóżko w garderobie chyba było jego. Pamiętasz tę kobietę, tę, która dała nam pół szylinga i powiedziała, że chciał

zamieszkać z bratem? Wygląda na to, że chyba już tu spał. Biedny Paddy! —

chlipnęła.

Colm oparł dłonie na biodrach i oglądał ściany od góry do dołu.

— Trzeba będzie to wszystko zeszkrobać — zauważył praktycznie.

— Wiem. Chodźmy teraz na Upper Clifton Street i zabierzmy swoje rzeczy. Z Irlandii przywiozłam szczotkę ryżową i jakieś chodniki na podłogę. Colm, dziś będziemy już spać we własnym domu! A jak tylko trochę go uprzątniemy, od razu zabiorę Fergusa i Tyrone'a z klasztoru.

Po drodze wpadnę na Parliament Terrace i opowiem wszystko Nancy.

I poproszę, żeby podziękowała w naszym imieniu panu Allardyce.

Przecież to on zobaczył ogłoszenie w gazecie i je wyciął.

— Myślisz, że to rozsądne zabierać teraz chłopaków, Bren? — zachmurzył się Colm. — Nie mam pracy. Nawet gdyby ten dom był

największy i najlepszy na świecie, musimy przecież coś jeść.

— Najświętsza Paniienka się nami opiekuje, czuję to! Znajdziesz pracę lada moment, najdalej na święta, zobaczysz! A jak będzie trzeba, zastawię obrączkę, to nam pomoże jakoś przetrwać.

Zrobiłaby to już przedtem, ale bała się, że już nigdy jej nie zobaczy.

Teraz była pewna, że nie będzie takiego problemu.

Trzy godziny później, kiedy już zrobiło się prawie ciemno, a miasto spowiała mgła jak gruby, szary welon, Brenna zapukała do bramy klasztoru Świętej Hildy. Tym razem Cara została w domu pod opieką ojca.

59

Drzwi niemal natychmiast otworzyła siostra Kentigern.

— Przyszłam po naszego Fergususa i

Tyrone'a — oznajmiła głośno Brenna. W tej chwili czuła, że drży z przejęcia. Nigdy dotąd nie przeżyła takiego dnia.

— Ale to przecież nie niedziela, pani Caffrey — zaproponowała zakonnica.

— Wiem, siostrze. Przyszłam ich zabrać już na dobre. Mamy teraz własny dom i mnóstwo miejsca do spania dla wszystkich — dla nich też!

Siostra Kentigern z dezaprobatą pociągnęła nosem.

— Pani Caffrey, rzecz w tym, że nie może pani zabrać swoich synów ot tak w jednej sekundzie. Najpierw musimy rozpatrzyć pani prośbę.

— Mogę to zrobić, kiedy tylko zechcę, siostró. — Brenna odsunęła zakonnicę i wkroczyła do wnętrza klasztoru, wołając na cały głos: —

Fergus, Tyrone! Gdzie jesteście? Fergus i Tyrone Caffrey! Mama przyszła was zabrać do domu!

Siostra Kentigern dreptała za nią z trudem na swoich starych, zeszywniałych nogach.

Brenna zatrzymała się w pół kroku i rzekła dobrodusznie:

— Przepraszam, siostró, ale chcę dostać z powrotem moje dzieciaki, teraz, zaraz. To bardzo ładnie z waszej strony, że

zaopiekowałyście się nimi przez ten cały czas, ale teraz nie mogę czekać ani minuty dłużej.

Niech się dzieje, co chce, ale muszę ich mieć pod swoim dachem. Muszą być razem z mamą i tatą.

Siostra popatrzyła na jej płonąca twarz i odwróciła się.

— Właśnie kończą jeść podwieczorek, pani Caffrey — mruknęła.

— A gdzie to może być, siostro?

— W jadalni. Proszę pójść korytarzem na prawo i przez drzwi na końcu.

— Dziękuję, siostrze Kentigern!

Najświętsza Paniienka uśmiechnie się za to do siostry!

Brenna ruszyła przed siebie korytarzem; ślizgała się po kamiennej posadzce w rozkładanych butach Colma. Otworzyła na oścież drzwi do jadalni z taką siłą, że odbiły się z hukiem od ściany i, powracając, omal nie uderzyły jej w twarz.

— Fergus, Tyrone! — zawołała, szukając oczyma swojej kochanej dwójki wśród rzędów bladych chłopięcych twarzyczek.

- Mama! - krzyknęli obaj jak na komendę. Rozległ się brzęk rzuconych łyżek i obaj chłopcy podbiegli do niej w te pędy. Brenna wyciągnęła ramiona.

- Chodźcie, moje kochane chłopaki!
Idziemy do domu!

Fergus i Tyrone byli już w łóżkach kompletnie Wyczerpani po szalonej gonitwie po całym domu, w górę i na dół po schodach; wbiegali do pokojów i wybiegali z nich co najmniej z tuzin razy Brenna uznała, że dobrze by było wstąpić do sąsiadów i przeprosić za te hałasy. Sąsiadka okazała się hardą Szkotką. Przedstawiła się jako Katie MacBride.

- Och, drobiazg — zapewniła Brennę Katie. Miło jest mieć dla odmiany bachory w sąsiedztwie. Ten facet, co tu wcześniej mieszkał, to jakiś nieszczęsny stary palant. Jakbyś miała jutro minutkę, wpadnij do mnie na filiżankę herbaty.

Colm rozpałił w kominku w jadalni za pomocą kawałków węgla z pralni i całego drewna, jakie tylko udało mu się znaleźć. Siedli razem z Brenną i patrzyli na dogasające płomyki ognia.

Jutro Colm znowu będzie szukać pracy, a Brenna postanowiła, że pójdzie z chłopcami polować na drewno na opał.

Ale to będzie dopiero jutro - a dzisiaj jest dzisiaj i teraz czuli się tak

szczęśliwi jak nigdy dotąd.

W końcu, kiedy ogień już zgasł i całe ciepło się ulotniło, Colm wyłączył

gaz i położyli się do łóżka; nie do wielkiego łóża we frontowym pokoju, gdzie spała mała Cara, ale do małego, w którym miał spać paddy, gdyby z nimi zamieszkał.

Tam się kochali — pierwszy raz od dnia, kiedy przybyli do Liverpoolu, bo dotąd czuli się zbyt nieszczęśliwi i zrozpaczeni, żeby to robić - poza tym ciemna i wilgotna piwnica nie była najbardziej odpowiednim miejscem do miłości.

Potem, trzymając się za ręce, przekradli się do własnego łóżka, po drodze zaglądając do chłopców. Malcy spali kamiennym snem w dwóch końcach pojedynczego łóżka, ponieważ Brenna nie miała dość pościeli, żeby im pościć oddzielnie.

- Ten nasz dom jest taki wielki - wyszeptała Brenna. - Colm, mamy nareszcie swoje miejsce na ziemi!

61

Nieco wcześniej tego samego wieczoru Marcus wszedł do domu przy Parliament Terrace i właśnie zdejmował płaszcz i kapelusz, kiedy Nancy wypadła z kuchni jak bomba. Uśmiechnęła się serdecznie,

wzięła od niego płaszcz i powiesiła na wieszaku w przedpokoju. Ciekaw był, co takiego u licha zrobił, że tak przyjaźnie go wita.

— Och, panie Allardyce — powiedziała wreszcie drżącym z przejęcia głosem — dziękuję, że pan wyciął tę notatkę z „Echa”. Znalazłam ją na biurku. Pewnie chciał mi ją pan pokazać, ale jakoś zapomniał. Zadzwoiłam do prawników... Chyba nie ma pan do mnie pretensji... I co się okazało? A to, że Caffreyowie cały ten czas byli właścicielami domu! Idę do nich jutro. Brenna i Colm są panu tacy wdzięczni! Słowo daję. Gdyby nie pan, nigdy by się nie dowiedzieli.

Brakowało już tylko trzech dni do Bożego Narodzenia, a Colm w dalszym ciągu nie znalazł pracy. Udało mu się zarobić parę dodatkowych szylingów przy odwożeniu konnym wózkiem choinek i drobiu do bogatych domów przy Princes Avenue oraz innych dobrych ulicach w tej dzielnicy; poza tym pakował skrzynki z owocami dla tych, którzy mogli sobie pozwolić na takie luksusy. Przyniósł do domu kiść ciemnych winogron dla Brenny.

— Zwędziłeś je? — spytała ostro.

— Nie, kochanie, to grono po prostu zostało — odpowiedział, patrząc jej szczerze w oczy.

W domu było ciepło. Ogień w jadalni palił się od rana do późnego wieczoru. Za dodatkowy zarobek Colma Brenna zamówiła worek węgla i co dzień kupowała wiązkę drewna. Wieczorem, zanim poszła spać, zawsze układała szczapy w kominku, żeby były gotowe do podpalenia z samego rana, jak tylko wstanie. Sąsiadka, Katie MacBride, wygrzebała skądś dwie pary zasłonek, tak cienkich i wypłowiałych, że wzór na tkaninie był ledwie widoczny, ale Brennie wcale to nie przeszkadzało. Na razie wystarczały do pokoiów na dole, a potem je zmieni na lepsze. Gazetami pozatykała okna sypialni, kupiła używany ekran przed kominek, kilka koców dla chłopaków, żeby mogli spać

oddzielnie, i sznurek do suszenia bielizny na podwórku.

Wydanie takiej sumy sprawiło, że poczuła się jak królowa Anglii.

Pewnej nocy Colm powiedział, że się o nią martwi. Dzieci były już w łóżkach, a oni korzystali z paru godzin spokoju, siedząc przy gasnącym ogniu, żeby oszczędzać gaz.

62

- Dlaczego? — spytała Brenna.
- Jesteś za bardzo szczęśliwa, kochanie.
- Nie bądź idiotą, Colm. Jak można być

za bardzo szczęśliwym?

- Zachowujesz się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku,

.a przecież nie jest.

- Ale niedługo będzie - odparła Brenna pogodnie. - Najświętsza panienska już wysłuchała moich dwóch próśb. Zesłała nam ten dom i pozwoliła zabrać z klasztoru chłopaków. Zobaczysz, niedługo wysłucha trzeciej i znajdzie dla ciebie pracę.

- Nie byłbym tego taki pewny, Bren. Ja myślę, że ten dom... to załatwił nasz Paddy, a nie... wiesz kto.

- Ale to Ona podsunęła panu Allardyce pomysł, żeby wyciął notatkę z gazety.

Colm trochę się zmieszał, nie targował się jednak już dłużej, Poddał

się, podobnie jak Nancy, która przestała dowodzić, że gdyby wszystko

, co się wydarzyło, było zasługą

Najświętszej Pani, Ona nie pozwoliłaby na zamordowanie

Paddy'ego ani na to, żeby Caffreyowie przez prawie trzy miesiące gnieździли się w jakiejś paskudnej piwnicy.

Zamiast tego Colm rzekł z czułością:

- Nie chciałbym, żebyś pewnego dnia

spadła z hukiem na ziemię.

Mogłabyś się przy tym potłuc...

Siadła mu na kolanach i objęła ramionami za szyję. Nigdy nie mieli miodowego miesiąca, ale przez ostatnie parę dni właśnie tak się czuła, jakby się dopiero co pobrali i wszystko wokół nich było tak zachwycająco nowe i świeże.

- Nie bądź takim starym marudą, Colmie Caffrey - szepnęła mu do ucha. - Wszystko będzie dobrze. Chodź, najmilszy. Chodźmy do łóżka.

- W pokoju naszego Paddy'ego...? - Colm poruszył ciemnymi brwiami.

- Po drodze zatrzymamy się na chwilę w pokoju tego twojego Paddy'ego...

- Nasza Cara może tu spać, jak będzie większa - stwierdziła Brenna, wygładzając pościel na wąskim łóżku — i wtedy będziemy mieć dla siebie to wielkie łóżko. To jest okropnie ciasne.

- Już się nie mogę doczekać - westchnął Colm.

Leżał obok swojej żony i obejmował jej szczupłą kibić. Brenna odchyliła głowę, wciskając ją między materac i ścianę. Zabolało.

— Przygniatasz mi głowę — poskarżyła się.

Colm wsunął rękę pod jej szyję i przyciągnął Brennę do siebie.

— Co to jest? — mruknął.

— Moja głowa, ty idioto.

— Nie... to coś pod twoją głową. Tam w środku coś jest, w materacu.

— Pomacajmy. — Brenna wsunęła rękę w miejsce, gdzie przedtem miała głowę. Było twarde i wypukłe. — To hałasuje — zauważyła — jakby dźwięczy. — Zeszła z łóżka, zepchnęła Colma na podłogę i ściągnęła materac. — Możesz

zapalić lampę, kochanie? A może zostawiłeś zapaliki na dole?

— Nie, mam w kieszeni. — Colm wstał obolały, rozcierając łokieć.

Przez kilka nerwowych chwil czekała, aż znajdzie zapaliki, zapali jedną i przytknie do palnika lampy gazowej. Białe światło migotało, rzucając nikły blask na ich zdziwione twarze; rozjaśniało się stopniowo, aż cał-

kowicie oświetliło pokój. Brenna siadła na sprężynach łóżka i badała pasiasty materac. W pewnym momencie zauważyła, że szew jest w jednym miejscu rozpruty, a jej oczom ukazała się szeroka szpara, tak duża, że można

tam było włożyć rękę. Sięgnęła i wydobyla mały pakiecik owinięty w brązowy papier i obwiązany sznurkiem.

— Ty go rozwiąż, kochanie. —

Podsunała pakiecik w dalszym ciągu zdumionemu Colmowi. — Na pewno to twój Paddy go tutaj wsadził.

Colm całe wieki rozwiązywał sznurek. W końcu zdjął papier. Paczuszka była jeszcze zawinięta w małą szmatkę. Rozwinął ją i położył na podłodze, żeby mogli lepiej obejrzeć zawartość.

Pieniądze! Kupka monet i parę banknotów. Po długim milczeniu Brenna spytała słabym głosem:

— Ile tam jest?

Nie odzywała się, aż Colm skończył liczenie.

— Osiem funtów, pięć szylingów i trzy pency — powiedział wreszcie.

Ponownie zapadła długa cisza. Tym razem pierwszy odezwał się Colm.

— To są pieniądze z naszej stawki — powiedział.

— Z czego?

— Ze stawki. To musi być część naszych dziesięciu funtów. Do tej pory o tym nie myślałem, ale jeśli nasz Paddy

rzeczywiście wygrał w karty, to dostał z powrotem swoje pieniądze i — wszystkie nasze też! A te trzydzieści pięć czy ileś tam szylingów, których brakuje, to pewnie to, co tak rozrzucił w barze tej nocy, kiedy go zabili.

— Jezusie Maryjo! Colm! Czy nie jesteśmy najszczęśliwszą rodziną na świecie?

64

— Po to, żebyśmy my byli szczęśliwi, nasz Paddy musiał umrzeć, Bren — z goryczą zwrócił jej uwagę Colm. — Nigdy o tym nie zapominaj.

— Oj, wiesz, że nigdy nie zapomnę —

zapewniła go pospiesznie, chociaż właśnie tak było. Całkiem jej to z głowy wyleciało, ale tylko na parę sekund. — Zamówimy u ojców u Świętego Wincentego a Paulo mszę za jego duszę w dzień Bożego Narodzenia. — Pogładziła go po szczupłym karku. — Wracajmy do łóżka, kochanie. Chodźmy tam, gdzie byliśmy, zanim znaleźliśmy tę paczkę w materacu.

Potem, kiedy już leżała we własnym łóżku, słuchając spokojnego oddechu Cary — jej kaszel ustał, jak tylko opuścili piwnicę — Brenna zaczęła układać w myślach listę zakupów.

Całą rodzinę trzeba będzie zaopatrzyć w nowe ubrania — Nancy powiedziała jej

o jednym miejscu, zwanym Rynek Paddy'ego, gdzie porządne ciuchy można było kupić po prostu za bezcen. Kupi też kawał

szynki na świąteczną kolację i zrobi prawdziwy pudding na deser; każdemu z chłopaków, Fergusowi i Tyrone'owi, sprawi po zabawce; na przykład taki samochodzik, który nakręca się kluczykiem, a on sam jeździ; grzechotkę dla Cary, piękny ciepły szalik dla Colma, coś dla Nancy

— może książkę pełną takich długich, trudnych słów, które ona uwielbia.

I jeszcze prezencik dla pana Allardyce'a, którego wprowadzie nigdy nie poznała,

ale który z pewnością nie był ani w połowie tak straszny, jak go odmalowała Nancy.

Dzięki panu Allardyce, Paddy'emu, a przede wszystkim dzięki Naj-

świętszej Panience rodzina Caffreyów będzie miała najweselsze Boże Narodzenie, jakiego nie miał nikt w całym Liverpool[^] i nie tylko to —

kiedy będzie można, będą musieli sprawić Paddy'emu porządny pogrzeb, na który naprawdę sobie zasłużył.

Zasnęła z błogim uśmiechem na ustach.

Rozdział 3

Po niebie płynęła chmura w kształcie starego, skudłonego psa, nie-zgrabnie pojawiając się w oknie i znów znikając. Eleanor Allardyce wyciągnęła szyję i patrzyła, jak pierzasty biały ogon chmury powoli znika; zastanawiała się, dlaczego biją kościelne dzwony i z jakiego to powodu nie słyszy żadnych odgłosów pracy murarzy zatrudnionych przy budowie wielkiej katedry, którą wznoszono o niecałe sto metrów stąd; jej grube mury piętrzyły się nad podwórkiem na tyłach domu.

W końcu sobie przypomniała, że jest Boże Narodzenie, i poczuła w gardle nieprzyjemny smak na samą myśl, że Marcus będzie dziś w domu przez cały

dzień.

Od zeszłego tygodnia czuła się już na tyle dobrze, żeby każdego dnia mogła wstawać na kilka godzin z łóżka, ale przed powrotem męża była już zawsze w swoim pokoju. Zrobiłam dziś aż za dużo — zapewniała siostrę Hutton. Znaczyło to, że będzie się widziała z mężem tylko przez kilka minut, wtedy, gdy po swoim przyjsciu do domu zagląda do jej pokoju i pyta, jak się czuje. Robił to wyłącznie z troski o swoją własność, wiedział bowiem, że siostra Hutton i tak o wszystko zadba. Z tego samego powodu zmuszał się do uprzejmości, chociaż w jego oczach widziała pogardę.

Łóżko Eleanor stało się czymś w

rodzaju sanktuarium od chwili, kiedy urodziła się Sybil. Czyli od trzech miesięcy bez jednego dnia... — pomyślała z westchnieniem, ale przecież nie mogę w nim zostać na zawsze. Teraz przyszedł czas, kiedy będzie musiała przejąć kontrolę nad domem, stać się znowu jego administratorką — i obiektem bezlitosnych drwin męża.

Tak czy owak, niezależnie od wielce problematycznej kwestii Marcusa, 66

Ileanor nudziła się już jak mops i miała serdecznie dość towarzystwa siostry Hutton oraz innych dyżurujących nocą pielęgniarek, które zwracały się do niej tym samym tonem, którym przemawiały

do Sybil — tak jakby była nierozumnym bobaskiem.

Och! Pójść do miasta, pospacerować po sklepach, obejrzyć piękne suknie na wystawach i zafundować sobie kawę w jej ulubionym magazynie Frederick & Hughes! A potem wypić ją w spokoju, w eleganckim otocze-niu... Przymknęła oczy i wyobraziła sobie wytworną restaurację oświetloną skrzącymi się żyrandolami, z witrażami w oknach, usłyszała delikatny brzęk porcelany, stukanie sztućcÓw i — co najlepsze — melodie z naj-nowszych spektakli, grane na wielkim białym fortepianie przez pianistę w wieczorowym stroju.

W ciągu ostatnich lat to była jej jedyna

prawdziwa rozrywka: zakupy, wychodzenie z domu... Marcus oskarżał ją o ekstrawagancję. Irytowało go to, tak, był niemal obrażony, że miała swoje własne pieniądze, że ta część jej życia wymyka mu się spod kontroli; jednakże mamusia zostawiła jej w spadku dużą sumę i Eleanor trzymała te pieniądze na własnym, prywatnym koncie. Marcus nawe* kilkakrotnie nalegał, żeby przeniosła je na jego konto, ale za każdym razem stanowczo odmawiała. Aż zadrżała na myśl, jaki potrafił być dla niej niedobry.

Na dźwięk hałasów dobiegających z dworu spuściła nogi z łóżka i podeszła do okna. Nocą napadało trochę śniegu i

teraz pod ich domem przechodził jakiś wesoły tłumek. Mężczyzna, kobieta i pół tuzina dzieci, które niosły paczki w jaskrawych opakowaniach. Wszyscy wyglądali na niebywale szczęśliwych; idąc różnym krokiem, śpiewali: „Nie ma kolebe-Czki ani poduszcзки, we źłobie mu położyła sianka pod główeczki...”.

— Jezus malusieńki leży wśród stajenki, płacze z zimna, nie dała mu matusia sukienki... — zaśpiewała Eleanor cichutko, z twarzą przytuloną do aksamitnej zasłony. — Bo uboga była, rąbek z głowy zdjęła, w który Dziecię owinąwszy, siankiem Je o'kryła...

— Ach! Widzę, że nie śpisz — odezwał

się głos spod drzwi —

i w dodatku stoisz o własnych siłach.
Chyba należy to w kominie zapisać.

— Marcus! — Odwróciła się tak
szybko, że aż się potknęła. — Nie Nie
pukałeś... — zwróciła mu uwagę?

— Jesteś moją żoną, Eleanor. Mie
uznałem za konieczne pukać.

— Gdzie siostra Hutton?

— Pewnie zajmuje się naszą córką, jako
że jej matka nie ma pojęcia, jak się do
tego zabrać...

Wydał wargi jak aktor filmowy. Nie bez powodu spodziewała się, że zaraz zacznie gładzić końce wąsów i zerkać podejrzliwie. Cały on. Był

nienagannie ubrany w ciemnoszary garnitur w delikatne prążki, kamizelkę z szarego jedwabiu i śnieżnobiałą koszulę. Na jego nadgarstkach lśniły rubinowe spinki do mankietów, a krawat przytrzymała także szpilka —

prezent jej matki dla ojca w dniu ich ślubu.

To wspomnienie sprawiło, że miała ochotę się rozplakać.

— Nie było ze mną dobrze, Marcus —

bąknęła.

— Ale teraz wyglądasz dużo lepiej. Wydaje mi się, że śpiewałaś, kiedy tu wszedłem. A to chyba znaczy, że możemy się ciebie spodziewać na kolacji, prawda? Przyjdą Mannowie i ten gość, Thomas Percival, też się wybiera.

— Thomas Percival? Masz na myśli wuja Thomasa? — Była zaskoczona i uszczęśliwiona zarazem. — Myślałam, że jest w Indiach!

— Najwidoczniej wrócił — odparł krótko Marcus. — Któregoś dnia zadzwonił i po prostu się do nas zaprosił; twierdził, że jest starym

przyjacielem rodziny.

— On i tatuś byli drużbami na swoich ślubach. Zawsze razem jedliśmy świąteczną kolację... aż do dnia, kiedy Thomas stracił żonę i córkę na

„Titanicu”... i wyjechał za granicę.

Marcus wzruszył ramionami. Nie wyglądał na zainteresowanego tą historią.

— Czy mogłabyś zejść do kuchni i dopilnować kolacji?

— Zaraz, tylko się ubiorę.

Wyszedł, a Eleanor odetchnęła głęboko,

tak bardzo jej ulżyło. Podeszła do garderoby i wydobyła z niej prostą poranną suknię; na kolację przebierze się w coś bardziej eleganckiego. Umyła się w małej łazience przylegającej do pokoju i dokładnie obejrzała swoją twarz w lustrze.

Skóra przywodziła na myśl wosk i była całkowicie pozbawiona kolorów — z braku świeżego powietrza i słońca. Gęste, jasnobrązowe włosy były oklapnięte i bez życia, a przecież dawniej wszyscy jej mówili, jaka jest ładna.

Szczotkowała włosy tak długo i z takim zapałem, aż zmęczona musiała przysiąść na krawędzi wanny, ponieważ zabrakło

jej tchu. Zaraz po świętach pójdzie do magazynu Frederick & Hughes i każe sobie obciąć włosy na krótko, zgodnie z ostatnim nakazem mody; kupi też sukienkę —

oczywiście według najnowszej mody, taką odważną, ze spódniczką do pół łydki.

Ale... jaki to wszystko ma sens? Jaki sens ma cokolwiek, skoro jest żoną Marcusa, który permanentnie ją unieszczęśliwia? Nie ma najmniej-68

szego znaczenia, jak wygląda, nawet gdyby była najpiękniejszą kobietą na świecie! Równie dobrze mogła się położyć do łóżka i zostać tam przez

resztę życia.

Nancy wyjechała do Rochdale dotrzymać towarzystwa swojemu staremu ojcu i miała wrócić dopiero po drugim dniu świąt. Od kiedy Sybil przyszła na świat, Eleanor rzadko widywała Nancy. Siostra Hutton marszczyła czoło i pociągała z dezaprobatą nosem, kiedy gospodyni wchodziła do sypialni pani i siadała na brzegu jej łóżka „gotowa do ploteczek”, jak to określała Nancy.

„Pani Allardyce nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze, panno Gates” albo

„Pani Allardyce właśnie zażyła lekarstwo i musi się przespać” mówiła

wtedy pielęgniarka, a Nancy robiła minę, którą mogła widzieć tylko Eleanor — i posłusznie wychodziła. Kilka razy udało się Nancy wślizgnąć wieczorem na górę, kiedy pielęgniarki były zajęte kąpielą Sybil — wtedy zamieniły z Eleanor parę słów. Nancy opowiedziała Eleanor wszystko o Brennie Caffrey, z którą była już w serdecznej przyjaźni.

Pod nieobecność Nancy domem zajmowała się Gladys, siostra pokojówki Phyllis. Gdy Eleanor weszła do kuchni, zapach pieczonego indyka przyprawił ją o lekkie mdłości. Jeszcze nie tak dawno uwielbiała te bożonarodzeniowe zapachy, zwłaszcza wspaniałe aromaty babeczek z bakaliami.

Teraz nie była pewna, czy znieśie nawet tę dzisiejszą kolację, która budziła w niej tyle wspomnień dawnych świątecznych kolacji, kiedy jeszcze żył ojciec, który zapraszał całe mnóstwo gości, nie tylko rodzinę Tbomasa Percivala. Matkę pamiętała bardzo słabo; zmarła, kiedy Eleanor miała cztery lata. Jej miejsce w życiu osieroconej dziewczynki zajęła Nancy.

— Dzień dobry, pani Allardyce — rzekła kwaśno Gladys. Była wysoka, miała nienaturalnie wydłużoną, „końską” twarz i szare jak ołów włosy, ułożone w sztywne fale pod delikatną siateczką. Podobnie jak jej siostra, rzadko się uśmiechała.

— Dzień dobry, Gladys. Jak ci idzie?

Mój Boże, zupełnie nie potrafiła postępować ze służbą, nie umiała być stanowcza. Marcus jej zarzucał, że traktuje służących jak równych sobie.

„Nie ma potrzeby mówić «proszę» czy «dziękuję» komuś, komu się płaci pensję”, grzmiał kiedyś; poradził jej też, żeby nie była głupia, kiedy mu Wyjaśniła, że grzeczność nic przecież nie kosztuje. Tatuś, który do wszystkiego doszedł własną ciężką pracą i wiedział, co to znaczy bieda, zawsze 69

się przyjaźnił ze służbą. I nie przeszkadzało mu wcale, że jego córka spędza czas w kuchni, pomagając Nancy

w szykowaniu potraw.

— Dobrze, proszę pani. Panna Gates wszystko przygotowała przed swoim wyjazdem — przyznała niechętnie Gladys, jakby wołała, żeby to jej przypisano całą zasługę. — Indyk był już nadziany, a pudding też gotowy. Nie zostało mi dużo do zrobienia, najwyżej jarzyny. Nasza Phyllis właśnie wyciera ostatnie kurze w jadalni, zanim nakryje do stołu. Za chwilę tu wróci, żeby pomóc.

— Dobrze — powiedziała niepewnie Eleanor. Wyglądało na to, że w jej domu wszystko chodzi jak w zegareczku — nawet bez niej.

Powędrowała z powrotem na górę. Dom wydawał się jej teraz jakby mniejszy niż dawniej, ciemniejszy; mroczne zakamarki budziły lęk —

groźne i obce. Poza tym było tu dla niej zbyt gorąco. Marcus nie cierpiał

zimna i upierał się przy rozpalaniu wielkiego ognia w swojej sypialni i we wszystkich pokojach na dole. Czy odważyłaby się stąd wymknąć i pójść na spacer? Marzyła o tym, by poczuć na policzkach zimne powietrze, ale Marcus zaraz by to uznał za straszną przewinę — że zaniedbuje obowiązki, zaniedbuje dzieci, zaniedbuje jego... Tak jakby mu zależało na jej towarzystwie!

Ale właśnie, dzieci!

Eleanor odetchnęła głęboko, po czym otworzyła drzwi do pokoju Anthony'ego. Szybko podniósł głowę; twarz miał, jak zwykle, bez wyrazu.

Kiedykolwiek tam wchodziła, natychmiast wlepił w nią swoje piękne, złociste oczy. Siedział przy biurczku, które sam sobie ustawił — tak, żeby być frontem do drzwi — wcześniej stało przy ścianie. Był bardzo pięknym dzieckiem z różowymi policzkami, z włosami tak jaśniutkimi jak świeżo ubite masło i gładziutką cerą — prawdziwy aniołek. Latem, kiedy skończył pięć lat, Marcus postanowił, że go odda do szkoły z internatem. I rzeczywiście,

wywiózł wrzeszczącego i przerażonego
dzieciaka z domu, którego ten za nic nie
chciał opuścić, do Wolsley. Tam
zaprowadził

go do kierownika małej prywatnej
szkoły, do której sam kiedyś chodził.

Po godzinie byli z powrotem.

— Nie przyjęli go — burknął Marcus,
gdy Eleanor spytała, co się stało.

Anthony popędził wtedy po schodach na
górze jak ścigane zwierzę. —

Kierownik nie powiedział tego wprost,
ale na pewno myśli, że chłopak ma coś
nie tak z głową.

— Marcus, zawsze wiedzieliśmy, że on jest po prostu... inny —

powiedziała ostrożnie Eleanor.

70

— Odmienność to jedno, a cholerne wariactwo to coś zupełnie Innego Co teraz będzie? Czy chłopak ma przez resztę życia pokutować w swoim pokoju?

Ciężkim krokiem wszedł do salonu i do końca dnia był w podłym nastroju.

— Wesołych świąt, kochanie! — powiedziała do synka, kiedy Anthony utkwiał w niej swoje złote oczy. — Zejdiesz potem na dół? Mamy dla ciebie piękne prezenty.

Dziecko tylko mruknęło coś niewyraźnie i pochyliło się nad biurkiem, Eleanor podeszła i aż krzyknęła:

— Och, jaki piękny obrazek!

Był to widok z okna jego pokoju o zmierzchu. Ciemne niebo przecinały pomarańczowe i fioletowe pasma, a domy po przeciwnej stronie ulicy były

ledwie widoczne w cieniu; tylko smuga żółci zaznaczała położenie okien.

W dole ulicy mgliście świeciły gazowe latarnie. Perspektywa obrazu, bardzo przecież trudna przy malowaniu pod takim kątem, była wręcz doskonała. Eleanor od samego początku nie mogła uwierzyć, by dziecko, które jest takim wspaniałym artystą, mogło być nienormalne. Już kiedy był

młodszy, fascynował wszystkich swoimi rysunkami wykonanymi ołówkiem. Kiedy miał dwanaście miesięcy, umiał już chodzić; był silny fizycznie, jadł z apetytem i uwielbiał książki z obrazkami. Wystarczyło mu tylko raz coś pokazać, a już potrafił sam się umyć i

ubrać; w holu na dole jeździł

na trzykołowym rowerku; nawet samodzielnie zawiązywał sobie sznurowadła, co, jak stwierdziła Nancy, było niezwykle jak na takie małe dziecko.

Czy można zatem uważać go za „cholernego wariata”, jak to ujął Marcus?

Pogłaskała synka po głowie, ale nie zareagował; malował dalej, dodając smugi szarości do nieba, które już przedtem wydawało się doskonałe, lecz teraz zaczęło wyglądać jeszcze piękniej. Nigdy nie reagował na jej — jakiegokolwiek — dotknięcie. Nigdy jej nie

całował ani nie obejmował jej szyi swoimi tłusciutkimi łapkami, nie mówił „mama” czy „tata”. Właściwie nigdy nie powiedział żadnego słowa, które można by od biedy zrozumieć, wydawał tylko zabawne, zduszone dźwięki bez sensu. Był zadziwiająco samodzielny i chyba nigdy nie zdradzał chęci szukania sobie towarzystwa, chciał po prostu, żeby go zostawić w spokoju z jego farbami, książkami i zabawkami. Nawet jadał samotnie w swoim pokoju. Były to smakowite śniadanka, przyrządzane przez ubóstwiającą go ponad wszystko Nancy.

Eleanor miała zawsze wrażenie, że jej obecność w pokoju syna jest

niepożądana i że Anthony chce, żeby jak najprędzej wyszła.

71

Doktor Langdon badał go kilkakrotnie i uznał, że Anthony powoli wszystkiego się uczy, nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego przy tym tak sprawnie wykonuje wiele czynności.

— Wszystko się w końcu wyrówna — zwykł mawiać, zdaniem Eleanor, raczej protekcjonalnie.

Wyszła z pokoju Anthony'ego i stanęła u szczytu schodów. Nagle poczuła w głowie zaskakującą lekkość i szum w uszach. Gdzieś w tym domu siedział jej

mąż — niedostępny, nieprzyjazny, nienawidzący jej z całego serca... Jej syn nie przypominał innych dzieci, był dziwaczny, a ona nie miała pojęcia, co z nim będzie dalej... Jej córeczką opiekowała się obca kobieta, ponieważ ona sama była zbyt słaba, żeby dać sobie radę...

Stopy Eleanor wysunęły się do przodu, tak, że tylko obcasysy dotykały najwyższego stopnia schodów. Było Boże Narodzenie, ale w tym domu nie czuło się radości ani pogody. Ani rodzinnego ciepła... Kiedy myślała o przyszłości, nie potrafiła sobie wyobrazić żadnych zmian. Już zawsze będzie tak jak teraz, a ona nie była w

stanie znosić tego dłużej.

Zachybotła się, a schody, coraz większe i groźniejsze, majaczyły teraz coraz bliżej niej. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak stacza się w dół; czaszka jej pęka, członki się łamią, a ona leży pogruchotana niczym porcelanowa lalka u stóp schodów, oby nieżywa... a jeśli nie, to w każdym razie potwornie poraniona.

Gdzieś otwarły się drzwi i usłyszała przerażony głos siostry Hutton:

— Pani Allardyce!

Eleanor schwyciła poręcz — niemal w ostatnim momencie.

Nie. Musi być inne, lepsze wyjście.

Nancy akurat wróciła, kiedy nazajutrz po drugim dniu świąt Eleanor zeszła na dół, do kuchni. Ogień buzował na palenisku, na piecu grzał się czajnik, a Nancy stała pośrodku izby zła jak osa.

— Ta Gladys — poskarżyła się —
zawsze kładzie wszystko nie tam, gdzie
trzeba. Psiakrew, gdzie jest blacha do
pieczenia? Chciałabym to bardzo
wiedzieć!

— Po co ci teraz blacha do pieczenia?
— zdziwiła się Eleanor.

— Po nic. Po prostu chcę wiedzieć,
gdzie jest, i tyle... — Otworzyła

drzwiczki piecyka. — Jest tutaj! Głupia baba, przecież powinna ją włożyć pod zlew. — Schowała blachę we właściwe miejsce. — Całkiem nieźle wyglądasz — zauważyła, patrząc na uśmiechniętą Eleanor. — Jak to dobrze, że znowu kręcisz się po domu. Jak tam święta? Siadaj, złotko.

Właśnie miałam zrobić herbatę.

72

Eleanor usiadła przy kuchennym stole, na tym samym krześle i w tym samym miejscu przy końcu stołu, który znajdował się najbliżej paleniska — gdzie siadywała od niepamiętnych czasów. Poczwała ciepło serdecznej

zażyłości. Tak bardzo jej brakowało tych pogawędek z Nancy!

— Kolacja była dobra... Ale nie tak dobra oczywiście, jak mogłaby być, gdybyś to ty ją przyrządziła - dodała pospiesznie. — Zjawił się wuj Thomas i przyniósł mi w prezencie przepiękny szal. Pamiętasz wuja?

— Pewnie, że pamiętam wuja Thomasa. Był drużbą twojego taty.

Myślałam, że mieszka w Indiach.

— Rzeczywiście tak było, ale teraz wrócił do Anglii i jest tu już miesiąc.

Cóż, łączy przyjemne z pożytecznym.

Zatrzymał się na kilka dni w hotelu Adelphi przed swoim wyjazdem do Londynu i zaprosił nas na herbatę.

Dziś po południu, na trzecią-

— Nas? — Nancy wysoko uniosła gęste brwi.

— Nas! — potwierdziła Eleanor stanowczo. — Ciebie i mnie. Był

zawiedziony, że cię nie zastał. Uważa cię za członka rodziny. Och, przywiózł jeszcze wspaniałą mechaniczną zabawkę. Anthony bawi się nią bez ustanku. A Marcus zaprosił jeszcze na kolację jakieś amerykańskie małżeństwo, państwa Mann^ow. Są w

trzymiesięcznej podróży po Europie i Marcus ma nadzieję, że pan Mann kupi u niego materiał do wykładania hamulców i sprzęgieł do swojej fabryki samochodów w Pensylwanii. Mają trójkę dzieci - wszystkie już dorosłe — i pani Mann mówiła, że po urodzeniu pierwszego przez pół roku leżała w łóżku. Czyli dwa razy dłużej niż ja. Jest anemiczna, cokolwiek to znaczy. — W głosie Eleanor dało się wyczuć zadowolenie z siebie- Więc nie była jedyną, jak się okazuje, kobietą, która po urodzeniu dziecka musiała tak długo leżeć. — W każdym razie kolacja przeszła dobrze, o *wiele lepiej, niż się spodziewałam.

— A co robiłaś wczoraj? — Nancy usiadła i podsunęła Eleanor filiżankę herbaty i cukiernicę.

— Marcus całe popołudnie przesiedział w klubie. Po obiedzie odbywał

się tam jakiś turniej szachowy, czy coś w tym rodzaju — tylko dla pa-nów — więc postanowiłyśmy razem z siostrą Hutton zabrać naszą Sybil na spacer. Anthony nie chciał z nami iść. Kiedy wróciłyśmy, Gladys i Phyllis już poszły, a my zrobiłyśmy sobie podwieczorek i zjadłyśmy go tu na dole. Zupełnie dobrze się czułam.

Eleanor mogła wyczytać z wyrazu twarzy Nancy, że konkluzja, iż czuła się

dobrze, ponieważ Marcusa nie było w domu, nie przeszła niezauważona. Nigdy nie dyskutowały na jego temat. Taką miały niepisaną 73

umowę. Eleanor nigdy się nie skarżyła ani też nie krytykowała Nancy, chociaż było jasne, że ta nie lubi Marcusa.

— Stęskniłam się za tobą, Nancy — powiedziała ciepło.

— I ja za tobą, złotko. Cały czas o tobie myślałam.

— Jak się czuje twój ojciec? — grzecznie spytała Eleanor.

— Staro i mrukliwie — skrzywiła się

Nancy. — W pierwszy dzień świąt przyszli sąsiedzi i razem śpiewaliśmy kolędy. Wczoraj poszliśmy razem z ojcem na wista i wygrał kosz owoców. Jak tylko wróciliśmy do domu, zjadł wszystkie co do jednego, a potem całą noc przesiedział

w klozecie na podwórku. Jeszcze tam był, kiedy wyjeżdżałam, stary dureń!

Uśmiechnęła się serdecznie.

— Co byś powiedziała na jakąś lekką przekąskę... Na przykład indyka na zimno, ogóreczki i chleb z masłem? Chciałabym jeszcze wpaść do Brenny, zanim się wybierzemy do hotelu na herbatkę z wujem. Nie było okazji, żeby

ci o tym przedtem powiedzieć, ale nasi Irlandczycy mają teraz swój własny dom, uroczy mały szeregowy domek przy Shaw Street, a jej mąż dostał w końcu pracę. Założę się, że mieli tam nareszcie prawdziwe, wspaniałe święta!

— Indyk na zimno będzie w sam raz — powiedziała Eleanor, starając się usilnie ukryć rozzalenie.

Nie chciała, by Nancy wiedziała, jak bardzo jest zazdrosna o tę kobietę, którą jej gospodyni odwiedzała niemal codziennie. Wiedziała, że to zwykła głupota z jej strony. Brenna Caffrey wiodła dotąd naprawdę koszmarne życie. Mieszkała w ciemnej i wilgotnej piwnicy z dzieckiem, urodzonym tej

samej nocy, kiedy na świat przyszła Sybil; jej mąż nie mógł nigdzie znaleźć pracy, a synowie przebywali w sierocińcu. Eleanor przez cały czas trzymała się kurczowo nadziei, że ta rodzina w końcu się podda i wróci do Irlandii. Chciała mieć Nancy tylko dla siebie, a nie dzielić się nią z Brenną, bez względu na to, jak źle się jej wiodło.

A teraz Brenna miała własny dom, jej mąż dostał pracę i prawdopodobnie zostaną w Liverpoolu już na zawsze.

— O czym myślisz? — zapytał Marcus podniesionym głosem, wpatrując się w okrągłe oczy syna. Chłopiec siedział na podłodze i bawił się zabawką, którą mu

podarował Thomas Percival. Była to niezwykła, miniaturowa karuzela, która po nakręceniu kluczykiem jeździła w kółko i wygrywała staroangielską melodię Greensleeves.

74

— Wiesz, że jestem twoim ojcem? — zapytał Marcus równie głośno. —

Wiesz, jak masz na imię? Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek? — Zaczynał

tracić cierpliwość. Pięć minut w towarzystwie Anthony'ego wystarczało, żeby miał ochotę zabić tego bachora. — Jeśli mi zaraz nie odpowiesz, chłopcze, wsadzę cię do zakładu.

Boże Narodzenie przeszło z wielkimi kłopotami. Thomas Percival chciał koniecznie zobaczyć pierwszego wnuka swego najlepszego przyjaciela, żeby mu dać tę zabawkę.

— Jest okropnie przeziębiony — skłamał Marcus. — Lekarz nie pozwolił mu wychodzić z pokoju.

Ten stary Percival spodziewał się pewnie, że przywita się z chłopcem uściskiem dłoni, że się z nim wda w pogawędkę, nawet najprostsza, ale przecież Anthony nie był w stanie zachowywać się normalnie. Marcus bardzo się wstydził za swojego syna. Ta sytuacja przypominała mu scenę z Dziwnych losów Jane Eyre, z tą różnicą,

że tutaj miał do czynienia z nienormalnym chłopcem, nie z kobietą, a kryjówką była jego sypialnia, nie zaś strych.

— Tylko zerknę na minutkę, to mu chyba nie zaszkodzi, a będę mógł

wręczyć mu prezent — nalegał Thomas Percival.

— Zobaczymy. Nie czuje się dobrze. Kiedy do niego zaglądałem ostatnim razem, miał wysoką gorączkę.

Małą Sybil zniesiono do jadalni, żeby goście mogli ją podziwiać.

— Właśnie się obudziła — powiedziała

siostra Hutton, wchodząc z dzieckiem.

— Jaka śliczna! — wykrzyknęła pani Mann.

Marcus uznał, że zrobiła to po prostu z grzeczności. Ilekroć spojrzał

na córeczkę, zawsze było to samo — albo spała, albo się darła; poza tym uważał ją za chuderlawę i w gruncie rzeczy nieciekawe stworzenie. Teraz przyjrzał się jej uważniej i ku swemu zdziwieniu skonstatował, że pani Mann ma rację. Nigdy wcześniej nie widział oczu swojego dziecka, nie wiedział, że mają ciepły kolor orzechowego brązu. A włosy musiały jej chyba urosnąć przez ostatnią noc, bo całą główkę miała

pokrytą jasnozłotymi kędziorkami, które tworzyły lśniące obramowanie wokół jej delikatnej twarzyczki w kształcie serca. Poza tym urosła i nabrała pełniejszych kształtów, a jej uprzednia chudość całkiem znikła.

W tym momencie przeraził się nie na żarty. Anthony był kropka w kropkę tak samo pięknym dzieckiem, a teraz proszę, co z niego wyrosło!

— Mogę ją potrzymać? — Wyciągnął rękę, nie zwracając uwagi na zdumienie malujące się na twarzy jego żony i siostry Hutton.

Przypatrywał się dziecku, trzymając je w ramionach, pragnąc, żeby jakoś zareagowało, czego Anthony nigdy nie robił. Nagle mała zaśmiała się radośnie i wyciągnęła rączkę, jakby chcąc dotknąć jego twarzy, której jednak nie dosięgła.

— Wie, kim jestem - stwierdził ochryłym ze wzruszenia głosem.

Trzymał w ramionach swoją córkę, swoją jedynaczkę — „namacalny rezultat” kilku nieszczególnie satysfakcjonujących minut spędzonych w łóżku z Eleanor.

— Czy mogę ją zabrać, panie Allardyce? Jest czwarta, więc

najwyższy czas nakarmić małą.

Gdyby nie towarzystwo, Marcus z pewnością zbeształby jak należy pielęgniarkę. Jego córka sprawiała wrażenie nader zadowolonej, kiedy tak siedziała mu na rękach, chichotała i wymachiwała w powietrzu małymi piąstkami. Czuł ruchy jej nóżek w okolicach pasa i chciał ją tak trzymać jak najdłużej, przytuloną do niego.

— Panie Allardyce! — zawołała pielęgniarka ostro.

Niechętnie oddał jej dziecko. Jutro porozmawia sobie w cztery oczy z tą bezczelną babą, da jej do zrozumienia, kto tu rządzi, powie, że jeśli przyjdzie

mu ochota trzymać na rękach swoją córkę, to będzie ją trzymał!

Jeszcze jedna taka scena, a pielęgniarka wyleci na zbity pysk. Zaangażuje się inną, którą on już na wstępie odpowiednio ustawi. To wina Eleanor, że pozwala służbie włączyć sobie na głowę i toleruje stanowczo zbyt dużą zaborczość siostry Hutton.

— Wstyd mi tylko przynosisz — warknął na Anthony'ego dwa dni później, stojąc w drzwiach pokoju syna i patrząc w jego obojętne oczy. —

Wstydzę się za ciebie!

To chyba niezły pomysł — pozbyć się z

domu tego źródła zagrożenia i oddać dziecko do zakładu. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był

zdecydowany to zrobić. Powiedziała by wszystkim, że umieścił chłopca w szkole z internatem. Niektórzy ludzie — ci naprawdę bogaci — wysyłali do tego rodzaju szkół swoich synów już w wieku pięciu lat. Szkoda... taki śliczny mały chłopczyk! Marcus chciałby go pokazać Mannom i Thomasowi Percivalowi. Eleanor przyniosła na dół kilka jego obrazków, które zrobiły na wszystkich wielkie wrażenie; pytali nawet, czy mogliby wziąć sobie jeden.

— Zakład — tak, to jest to. Oddam cię do zakładu, chłopcze.

Jaki pożytek może być z takiego dziecka? Zdaniem Marcusa, żaden.

Karuzela stanęła, ale Anthony tego nie zauważył. A może ten mały dziwoląg robi wszystkich w konia...? Kto wie, co się dzieje w jego głowie?

76

Marcus zamknął drzwi i wrócił do gabinetu. Sam znajdzie zakład w którym umieści Anthony'ego, nie sposób powierzać tego sekretarzom.

Sprawa musi pozostać w tajemnicy, wiedzieć o niej będą tylko on i Eleanor.

Żona na pewno będzie się sprzeciwiać, bądź co bądź jednak to on, Marcus, jest głową rodziny i on ma decydujące słowo.

Odchyliwszy się na krześle, zastanawiał się, jak zachowałyby się Brenna Caffrey, gdyby to ona była jego żoną, a Anthony ich dzieckiem. Był

pewien, że walczyłaby z nim jak lwica o swoje młode i że w końcu to ona by zwyciężyła. Myśl, że mógłby spierać się zajadle, aż do upadłego z Brenną, a potem nieść ją, wciąż jeszcze walczącą, do łóżka, sprawiła, że poczuł dreszcz emocji.

Otworzył prawą górną szufladę biurka i

wyjął z niej białą chusteczkę do nosa z irlandzkiego płótna, z literą M wyhaftowaną w rogu niebieską nitką. Leżała pod choinką w Boże Narodzenie - prezent od niej za zwrócenie uwagi Nancy na ogłoszenie w „Liverpool Echo”, dzięki któremu jej mąż się dowiedział, że jest właścicielem domu.

Co za ironia!

Okazał się jej zbawcą, a przecież nie o to mu chodziło. Po stokroć wolałby, żeby Brenna dalej tkwiła w piwnicy na Upper Clifton Street, żeby mógł obserwować, jak upada coraz niżej i niżej, jak blednie z każdym dniem, a jej dziecko jest coraz bardziej chore...
Dopiero wtedy zaofiarował-

by jej swoją pomoc, a w zamian za to mógłby oczekiwać czegoś więcej niżli tylko chusteczki...

Myślał już przedtem, żeby zaproponować jej mężowi jakąś posesję w swojej fabryce i w ten sposób mieć Brennę w garści, kiedy Nancy oświadczyła mu niespodziewanie, że Colm nareszcie znalazł pracę. Marcus się skrzywił. Jego plany zawładnięcia tą kobietą, którą od dłuższego czasu był obsesyjnie zafascynowany, już dwukrotnie pokrzyżowano. Wciąż wierzył jednak, że nadejdzie dzień, kiedy z całą pewnością dostanie Brennę Caffrey w swoje ręce.

- Nie możesz go wysłać z domu - szlochala Eleanor. - Nie możesz!

- Mogę i wyślę - odparł Marcus niecierpliwie. - Znalazłem już miejsce w pobliżu Chester, gdzie chcą go przyjąć.

- Ale zakład, Marcus, zakład! Do takich zakładów idą tylko biedne dzieci, sieroty. - Spojrzała na niego z przerażeniem. - Czy to zamknięty zakład dla... wariatów?

77

— To się nazywa Zakład Baldwina dla Chłopców Cofniętych w Rozwoju. Założył go pół wieku temu doktor

Richard Baldwin. Pobyt tam kosztuje dwadzieścia pięć funtów rocznie, więc nie jest to raczej „przyjemność” dla biednych, nie sądzisz?

— Czy te inne dzieci w tym zakładzie to idioci? Czy tam w ogóle czegoś uczą?

— Masz, tu jest broszurka. — Marcus rzucił na biurko ładnie wydany folder w twardej okładce. — Wprawdzie nie ma tam normalnych lekcji, ale organizują im za to wycieczki, urządzają gry i zabawy.

— Anthony powinien się uczyć — z uporem rzekła Eleanor.

— Czego? I kto go będzie uczył? — Marcus był nieprzejednany.

— Nie wiem...

Eleanor opadła na krzesło stojące przed biurkiem. Kiedy Marcus wezwał ją zaraz po kolacji do swojego gabinetu, mogła się spodziewać absolutnie wszystkiego, ale żeby coś takiego... To było dla niej jak grom z jasnego nieba. W zeszłym tygodniu wezwał na dywanik siostrę Hutton i strasznie ją zbeształ. Nie powiedziała Eleanor za co, ale od tego dnia chodziła bardzo markotna i co chwilę popłakiwała. Natomiast Marcus spędzał zaskakująco dużo czasu w pokoju dziecięcym z Sybil. Eleanor przypuszczała, że tego wieczoru jej też chce udzielić reprimendy — ale za co?! — i nie mogła wprost uwierzyć, kiedy

się okazało, że mąż zamierza pozbyć się Anthony'ego z domu. Nie miała pojęcia, co zrobić z Anthonym, pragnęła jednak chronić go przed światem, a nie rzucać na pastwę losu bez żadnej pewności, co się z nim stanie.

— Może powinniśmy mu znaleźć prywatnego nauczyciela? — zaproponowała. — Warto by spróbować.

— Wiesz dobrze, że to zwykła strata czasu — warknął.

— Nie wyobrażam sobie, żebym mogła żyć bez Anthony'ego...

Głos jej się załamał i przeszedł w

szloch.

— Eleanor, to po prostu nonsens, przecież to rozumiesz. — Położył

na biurku obie dłonie, wbił je w blat tak mocno, że aż zbiełały kostki jego palców. To oznaczało, że żona działa mu strasznie na nerwy. — Ile razy dziennie zaglądasz do chłopaka? Dwa, trzy razy?

— O, więcej — zaprotestowała. — Co najmniej sześć.

— A jak długo z nim zostajesz? Mogę się założyć, że nie więcej niż kilka minut. Ten chłopiec to tylko i wyłącznie ciężar. Dla niego i dla nas będzie o wiele lepiej, jeżeli zostanie w zakładzie,

pod opieką wyszkolonego personelu.

78

— Ale ja nie chcę, żeby odchodził z domu — powiedziała z uporem. —

Wiem, że nie jest idealny, ale to mój Syn i kocham go.

Marcus odwrócił się z lekceważącym gestem ręki, jakby się oganiał od natrętnej muchy.

— Wyjedzie, Eleanor. Już postanowiłem.

Poszła prosto do pokoju synka. Siedział na łóżku, wyjątkowo beczynnie; miał na

sobie piżamkę, którą sam już potrafił włożyć, i wpatrywał się w przestrzeń.

Eleanor usiadła w nogach jego łóżeczka.

— Witaj, kochanie.

Wyraz twarzy dziecka się nie zmienił; zresztą bynajmniej tego nie oczekiwała.

— Twój ojciec ma zamiar wysłać cię z domu. Ja...

Łzy popłynęły strugą. Od Bożego Narodzenia czuła się dużo lepiej, prawie zupełnie już doszła do siebie, chociaż nie była jeszcze do końca zrównowazona. Często bywała spięta, płakała bez powodu, żyła w usta-

wiecznym lęku przed rzeczami, które — jakby jej podpowiedział zdrowy rozsądek — w ogóle nie miały znaczenia. Ot, błahostki... Dzień Bożego Narodzenia nie był pierwszym, w którym poważnie myślała o skończeniu ze sobą. Kiedy zginął jej pierwszy narzeczony Geoffrey, leżała na łóżku z twarzą przyciśniętą poduszką; odrzuciła ją dopiero wówczas, gdy zaczęła tracić przytomność, i nagle stanął jej przed oczami ojciec. Jak by się czuł, gdyby odebrała sobie życie...

Teraz siedziała na łóżku Anthony'ego i nie mogła powstrzymać łez.

Schowwała twarz w dłoniach i kołysała się w przód i w tył, ale czuła się tak

zbołała i nieszczęśliwa, że nie była w stanie się uspokoić. Łzy jej ciekły przez palce i kapały na spódnicę z niebieskiego jedwabiu.

Dość tego! Przecież nie może się tak zachowywać w obecności wraź-

liwego dziecka. Pociągnęła nosem i wytarła oczy wierzchem dłoni, podniosła wzrok i poczuła, że robi się jej zimno.

Anthony w milczeniu kołysał się w przód i w tył, z rączkami przy buzi, małpując jej ruchy — tyle że nie płakał. Nigdy zresztą nie widziała go płaczącego.

— Anthony! — Chwyliła go w ramiona i przytuliła mocno, aż się uspokoił. — Nigdzie nie pojedziesz - zapewniła. — Jesteś moim synkiem i zostaniesz tutaj.

79

Pobiegła natychmiast do gabinetu i powtórzyła to Marcusowi.

Ale on pozostał nieugięty. Już zdecydował i nic go nie mogło powstrzymać. Teraz był zajęty pisaniem listu do zakładu, w którym prosił, żeby jak najprędzej przyjęli jego syna.

— Wyobraź sobie — mówił w miarę łagodnie — po prostu sobie wyobraź, że jakaś wróżka machnęła czarodziejską

różczką i całkowicie wymazała Anthony'ego z twojej pamięci. Czy nie będziesz się czuła lepiej, jeżeli go tu nie będzie?

— Być może... — Eleanor musiała przyznać mu rację. Pamiętała, z jakim trudem brała się w garść, zanim weszła do pokoju syna, i jaką rozpacz czuła, wychodząc stamtąd — z pewnością jednak żadna wróżka nie będzie mi machała różczką. Anthony jest tutaj, jest częścią naszego życia i bez niego na pewno będę się czuła o wiele gorzej.

— Wobec tego będziesz musiała po prostu się do tego przyzwyczaić, Eleanor.

— Nie pozwolę ci go zabrać!

— A w jaki sposób zamierzasz mnie powstrzymać? — Wyglądał tak, jakby go to bawiło.

Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. Był od niej dużo silniejszy, jak to mężczyzna. Mogłaby oczywiście krzyczeć, gryźć i kopać, protestując z całej mocy, ale i tak nic by to nie dało. Miał jej odebrać dziecko, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Kiedy schodziła na dół do kuchni, czuła, że jest na skraju hysterii.

Nancy już skończyła swoje codzienne obowiązki i kuchnia wyglądała na

nienaturalnie pustą. Wszystkie naczynia były wypucowane do czysta i odłożone na swoje miejsce, gotowe do użycia następnego ranka.

— Nancy! — zawołała Eleanor. —
Nancy, gdzie jesteś?

Drzwi do saloniku uchyliły się lekko i Nancy wysunęła przez nie głowę.

— A gdzie mam być, jak myślisz, złotko? Tu jestem. Co się stało? —

spytała na widok jej zrozpaczonej twarzy.

— Chodzi o Marcusa. Chce umieścić Anthony'ego w zakładzie dla

niedorozwiniętych chłopców. Och, Nancy — załkała — co ja u diabła mam teraz zrobić?

— Chyba lepiej sobie pójdę — rozległ się jakiś głos i z bawialni Nancy wyszła kobieta o złotorudych włosach i różowych policzkach. Owinęła głowę czarnym szalem i skinęła na Eleanor. — Gdyby tak mnie ktoś próbował odebrać któregoś z brzdąców... No, po moim trupie! — wykrzyknęła bez ceregieli.

80

Eleanor poczuła, że krew jej uderza do głowy. Jak ta nędzarka śmie wygłaszać tego rodzaju uwłaczające komentarze!

— A kiedy pani synowie szli do sierocińca, to również po pani trupie?

Była przekonana, że ta kobieta to Brenna Caffrey.

Brenna odrzuciła hardo głowę do tyłu.

— Wtedy musiałam wybierać między klasztorem Świętej Hildy a brudną piwnicą. Zrobiłam to, co w tej sytuacji było najlepsze dla chłopaków.

I kiedy tylko się nam trochę polepszyło, w jednej sekundzie ich stamtąd zabrałam.

— Pani nie zna mojego męża. Jeśli już coś raz postanowi, nic nie jest w stanie

go powstrzymać — powiedziała porywczo Eleanor, zdziwiona, że wdaje się w dyskusję z kimś, kogo opinia nie jest warta funta kłaków.

— To niech pani sama zabierze stąd swojego chłopca i gdzieś go ukryje.

Przynajmniej pokaże pani mężowi, że nie ma prawa panią pomiatać!

— Ależ, Brenno... ona nie ma go dokąd zabrać — wtrąciła się Nancy. —

Kleanor nie ma żadnych krewnych, jest samiutka na świecie.

— To może z nim przyjść do mnie — rzuciła Brenna Caffrey.

To był najgłupszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszała. Zabrać jej ukochanego chłopczyka z Parliament Terrace, gdzie był przyzwyczajony do największych luksusów pod słońcem, i przenieść do slumsów, pod opiekę jakiejś ciemnej irlandzkiej kobieciny! Nie, to nie wchodziło w rachubę.

Ale dni płynęły i kiedy Marcus pokazał jej odpowiedź na swój list, w którym sucho powiadamiano, że Anthony został przyjęty do Zakładu Baldwina dla Nedorozwiniętych Chłopców i że go oczekują w najbliższy poniedziałek, panika Eleanor sięgnęła zenitu.

— Jak tam jest w tym domu Caffreyów?
— spytała Nancy.

— Póki co jest dopiero w połowie umeblowany. Na podłodze nie ma dywanów, jak tutaj. Brenna nie ma dosyć pościeli, nie ma dosyć zastawy stołowej. Słowem, brakuje jej wszystkiego, co tu dużo gadać. Ale jest czysta, gościnna i serdeczna — powiedziała Nancy miękko.

— Anthony nie będzie tam szczęśliwy.

— Chyba w zakładzie tym bardziej! W dodatku będziesz mogła tam codziennie przychodzić i go widywać.

— Wiesz przecież, jak trudno go zawsze wyciągnąć z domu... —

westchnęła Eleanor.

81

— Marcusowi będzie tak samo trudno wyciągnąć go w poniedziałek.

Eleanor popatrzyła błagalnie na przyjaciółkę.

— A co ty byś zrobiła na moim miejscu, Nancy?

— Ja? Zabrałabym go oczywiście do Brenny. Przecież to nie będzie trwało latami. Kiedy pan Allardyce się przekona, że nie wszystko musi być zawsze po jego myśli, będziesz mogła sprowadzić Anthony'ego z powrotem do

domu. Masz mu tylko przedstawić swoje warunki, słyszysz, złotko? Wtedy zrozumie, że gdyby znowu spróbował go wysłać do zakładu, zrobisz to jeszcze raz.

Eleanor aż zadygotała z przerażenia, wyobrażając sobie reakcję Marcusa, kiedy odkryje, że Anthony zniknął bez śladu.

— A może jednak lepiej mu będzie w zakładzie... — powiedziała bez przekonania. — Może tam wreszcie zdiagnozują, co z nim jest nie tak.

Kiedyś będziemy musieli przecież to ustalić, Nancy.

— Oni tam tego nie wykryją, złotko. Przejrzałam tę broszurkę. To takie miejsce, do którego bogacze wsadzają swoje niechciane dzieciaki, kiedy chcą się ich pozbyć — z domu i z serca.

— Taak... — Eleanor przygryzła wargę.
— W takim razie on tam nie pójdzie. Mowy nie ma! Nic mnie nie obchodzi, co powie Marcus.

To tak samo mój syn, jak jego. —
Skrzyżowała ręce na piersiach. —

Zabierzmy go do Brenny w piątek, zanim Marcus wróci do domu.

A jeśli się wścieknie, po prostu będę musiała jakoś sobie z tym poradzić.

W tej chwili czuła w sobie tyle odwagi, że gotowa była wściekać się na niego.

W piątek zaczęły aż do zmroku, kiedy Phyllis już poszła do domu, a siostra Hutton zajęła się Sybil; zresztą pielęgniarka nie miała prawie wcale do czynienia z Anthonym, więc i tak nawet nie zauważyłaby jego nieobecności. Marcus miał wrócić dopiero za godzinę.

Nancy niosła w ramionach ciepło otulonego chłopca, a Eleanor zabrała walizkę z jego pościelą i ubrankami oraz pudełko z przyborami do malowania. Szły szybko wąskimi uliczkami, które znajdowały się tuż obok jej domu, lecz Eleanor nigdy wcześniej tędy nie chodziła.

Nie zatrzymały się na długo w skromnym, prawie nieumeblowanym domu Caffreyów przy Shaw Street. Marcus miał zwyczaj jadać kolację natychmiast po przyjściu do domu, a Eleanor musiała wtedy już na niego 82

czekać przy stole. W drodze powrotnej prawie się nie odzywała. Rozmyślała o swoim synku, którego zostawiła w domu pełnym obcych ludzi.

— Czy on umie mówić? — spytał Tyrone.

— Nie, kochanie — odpowiedziała Brenna.

— To znaczy, że jest pomyłony? —
chciał wiedzieć Fergus.

Chłopcy akurat wrócili ze swojej nowej
szkoły.

— Może tak, a może nie. — Brenna
wzruszyła ramionami. — Tego nikt nie
wie. Nie gapcie się na niego jak sroka w
gnat. Może mu być nieprzyjemnie.

Anthony siedział skulony na krześle. Nie
patrzył na nikogo, przyciskał

tylko do piersi swoje pudełko z
przyborami do malowania. Z jego
twarzy trudno było wyczytać, co czuje.
Nancy powiedziała o nim kiedyś: „To
dziwaczne dziecko”. Brenna się schyliła

i chciała objąć małe ciało, lecz choć Anthony nie odtrącił jej w wyraźny sposób, cały zeszywniał, jakby się zamykał w sobie.

— To bardzo ładny dzieciak —
zauważył później Colm, kiedy wrócił
po pracy do domu.

Anthony nie ruszył się z krzesła.

Tuż po Bożym Narodzeniu wydarzył się kolejny cud, kiedy Ambrose Houghton, prawnik, wezwał do siebie Colma i powiedział mu, że jego klient, Cyril Phelan, pilnie poszukuje silnego mężczyzny do pracy na placu, gdzie sprzedaje materiały budowlane. Czy

Colm byłby ewentualnie zainteresowany? Colm zgodził się bez wahania i teraz zarabiał iście królewską sumę dwudziestu pięciu szylingów na tydzień.

— Jest piękny jak królewicz — zgodziła się Brenna — ale czy nasi dwaj nie są dokładnie tak samo śliczni?

— Pewnie, że są. Bren, nie masz zamiaru go nakarmić?

— Jej lordowska mość mówiła, że już jadł.

— Chyba twoja nowa znajoma nie ma takiego tytułu, co?

— Nie, ale tak się nosi, jakby miała. —
Brenna zmarszczyła nos. -

Patrzy na mnie z góry, jakbym była
kupką gnoju.

— Nie powinna tak na ciebie patrzeć,
Bren, skoro chce ci zostawić pod opieką
swojego dzieciaka.

— Ach, to biedactwo! — Twarz Brenny
złagodniała. — Właściwie okropnie mi
jej żal, chociaż ma tyle pieniędzy.
Wyobraź sobie tylko! Żeby się bać
własnego męża!

— Nie wszyscy są takimi aniołami jak

ja — pochwalił się Colm, a jego żona dała mu kuksańca w bok, chichocząc jak szalona.

Eleanor z trudem mogła uwierzyć we własne szczęście. Tego wieczoru Marcus zjadł za ledwie połowę kolacji, po czym oświadczył, że idzie do łóżka. Czuł nadchodzące przeziębienie. Nieczęsto się zdarzało, żeby chorował, a jeśli już, to z reguły robił wokół swojej niedyspozycji tyle zamieszania, że zakłócał cały porządek domu. Siostrze Hutton kazał

przygotować termofor, Eleanor znaleźć aspirynę i wszystkie inne lekarstwa na przeziębienie, jakie tylko były w domu, a Nancy przygotować miednicę z wrzącą

wodą, żeby mógł wdychać gorącą parę.

Trzy kobiety spojrzały po sobie z ulgą, kiedy ostatecznie drzwi do pokoju Marcusa się zamknęły. Siostra Hutton oświadczyła, że dziś wieczorem ma wychodne i chce pójść do kina Century na Mount Pleasant obejrzeć film *Złamana Lilia* z Lillian Gish i Richardem Barthelmessem —

i czy Eleanor razem z Nancy byłyby łaskawe uważać, na wypadek gdyby Sybil się przebudziła. Po Bożym Narodzeniu dyżurujące nocą pielęgniarki już przestały przychodzić.

— Choć raczej nie sądzę, że się obudzi. Te ostatnie parę tygodni była słodka jak

miód! Wiedziałam, że jej krzyki i płacze to wina tej koszmarnej kolki u trzymiesięcznych dzieci! Tylko i wyłącznie...

Już następnego ranka Eleanor poszła na Shaw Street zobaczyć Anthony'ego. Nancy obiecała, że zajrzy tam po południu, żeby Eleanor mogła spokojnie zrobić upragnione zakupy.

Brenna zapewniła, że mały już się zadomowił.

— On i nasz Fergus chyba przypadli sobie do gustu. Są teraz na podwórku za domem, bawią się na huśtawce. Fergus to grzeczny i miły dzieciak, nie tak jak nasz Tyrone, ta psotna małpka.

Huśtawka okazała się zwyczajną liną, którą zawieszono na hakach po obu stronach drzwi prowadzących na korytarz z tyłu domu. Fergus popychał, a Anthony miał zaciśnięte powieki; na jego twarzyczce, zwykle statycznej i mało wyrazistej, teraz malowała się niebiańska błogość.

— Anthony — powiedziała, ale nie otworzył oczu, więc wróciła do pokoju, wystraszona widokiem swojego rozpieszczonego „królewicza”, bawiącego się na tak prymitywnie wykonanym urządzeniu.

84

— Czy ta huśtawka jest na pewno

bezpieczna? — spytała Brennę która właśnie wycierała naczynia w małej, biednej kuchence.

— Colm ją założył. Gdyby nie była bezpieczna, nie pozwoliłby się na niej huścić naszym chłopakom — odparła szybko Brenna. — Napije się pani herbaty?

— Tak, proszę.

Widząc kolekcję nadłuczonych filiżanek i spodeczków, które przed chwilą zostały wytarte, Eleanor przemknęło przez myśl, że może lepiej byłoby odmówić, uznała jednak, iż Brenna ze swoimi bystrymi oczyma i wyostrzonymi zmysłami prawdopodobnie wszystkiego

by się zaraz domyśliła.

Brenna doskonale pasuje do swojego nowego domu, myślała Eleanor, popijając łyżeczek za łyżkiem herbatę przy kominku i patrząc przez okno na Anthony'ego. W swojej długiej czarnej sukni z wystrzępionym dołem, ze swoją wiecznie roześmianą malutką córeczką Carą, mocno przyciśniętą do jej biodra, Brenna przebiegała z pokoju do pokoju, odkurzając i czyszcząc wszystko wolną ręką, przesuwając rządki świętych figurek na kredensie dwa centymetry w prawo, centymetr w lewo — zaprowadzała ład i porządek.

— Fergus, pamiętaj, żebyś nie huśtał Anthony'ego za wysoko! —

zwracała uwagę synowi, stając w drzwiach kuchni. — Tyrone, przestaniesz ty robić taki harmider? — krzyknęła, kiedy na górze rozległ się ogłuszający hałas. — Colm przyniósł do domu trochę drewna i gwoździe, i robi teraz fort — wyjaśniła zdziwionej Eleanor. — Wróci za minutkę do domu... to znaczy Colm. W sobotę pracuje tylko do południa.

— To może ja się pożegnam. — Eleanor podniosła się szybko.

— Siedź tutaj — rozkazała Brenna. — Zjesz z nami. Zupa cebulowa stoi już gotowa w piecyku.

Eleanor posłusznie usiadła; chciałyby mieć dość odwagi, żeby przynieść im jakieś jedzenie, obawiała się jednak, że Brenna może to uznać za obrazę. Temat płacenia za pobyt Anthony'ego w domu Irlandczyków w ogóle nie został podjęty. Nancy obiecała, że omówi to dziś po południu.

Przyszła sąsiadka, krzepka kobieta o rumianej twarzy, z czarnymi włosami pozawijanymi ciasno w metalowe papiloty i z papierosem, który zwisał jej z dolnej wargi, jakby tam tkwił od zawsze. Mówiła głosem przypominającym zgrzyt zardzewiałej piły.

— Brenno, przyniosłam ci te widełki do

tostów, o których wcześniej mówiłam. Mają chyba ze czterdzieści lat, ale są jak nowe. No, sama popatrz. Dostałam je w prezencie, kiedyśmy się pobierali z moim starym.

85

— Dziękuję, Katie! — wykrzyknęła Brenna. — O, jak dobrze! Teraz będę mogła jedną ręką przypiekać dwa tosty naraz!

Kobieta rzuciła gościowi dziwne spojrzenie. Dopiero po chwili Eleanor zdała sobie sprawę, że to miał być uśmiech. W odpowiedzi uśmiechnęła się nerwowo. Zaczęła żałować, że włożyła swój aksamitny płaszcz w kolorze

rozgniecionej truskawki z sobolowym kołnierzem i mankietami oraz pasujący do tego kapelusz, zamiast ubrać się jakoś skromniej. Czuła się zanadto wystrojona.

— Gdybyś chciała sobie kiedyś powróżyć, musisz poprosić o to Katie — powiedziała Brenna, kiedy kobieta wyszła. — Za sześć pensów czyta przyszłość z fusów od herbaty.

— Będę o tym pamiętać — przyrzekła Eleanor uprzejmie.

Niebawem pojawił się Colm pachnący trocinami. Kiedy zdjął szalik i tweedową czapkę, okazało się, że ma ich pełno w czarnej kędzierzawej

czuprynie i na flanelowej koszuli. Był przystojnym mężczyzną. Wysoki —

co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu — i szczupły, musiał robić wrażenie na kobietach. Miał wesołe, ciemne oczy. Chłopcy byli podobni do ojca, podczas gdy Cara wyglądała kropka w kropkę jak miniaturka Brenny, z takimi samymi jak matka kręconymi złocistorudymi włosami.

Colm uścisnął serdecznie dłoń Eleanor na powitanie. Tyrone pędem zbiegł z góry przywitać się z ojcem. Brenna ucałowała męża w usta, a on wziął z jej rąk gaworzące dziecko i uniósł wysoko nad głowę, tak, że mała prawie dosięgała sufitu. Cara piszczała z

radości. Ojciec w końcu opuścił

ręce i wetknął sobie córeczkę pod pachę, jak paczkę.

— A gdzie nasz Fergus i Anthony? — spytał.

— Na podwórku — odparła Brenna. — Kochanie, obiad gotowy —

dodała, wchodząc do kuchni.

Eleanor z zazdrością pomyślała, że ta rodzina jest jak wianuszek stokrotek, w którym wyraźnie widać, jak jeden kwiatek łączy się z drugim.

Nancy miała rację, mówiąc, że ten mały

domek jest pełen ciepła i miłości.

Pod tym — jakże ważnym — względem przewyższał o całe niebo wspaniałą rezydencję na Parliament Terrace.

— Muszę z nimi pogadać. — Colm wyszedł z pokoju, z Carą pod pachą. Słysząc było, jak woła: — Cześć, chłopaki! O, widzę, że lubisz się huścić, Anthony.

Na to Fergus odpowiedział coś, co Eleanor zachowała w pamięci na resztę życia. Słowa, wypowiedziane dziecięcym głosem tego chłopca, brzmiały:

— Tato, nie ma sensu do niego mówić.
On nie słyszy.

Eleanor zerwała się z miejsca i z hałasem odstawiła na stół niedopiitą herbatę. Dłuższą chwilę stała nieruchomo, jak święte figurki na kredensie, a słowa Fergususa stopniowo do niej docierały; serce zaczęło jej bić gwał-

townie w piersi. Usłyszała, jak Fergus ciągnie dalej:

— On jest taki sam jak stary pan Flanagan, ten, co mieszkał obok nas w Lahmerze. Przecież wszyscy mówili, że jest głuchy jak pień.

— I był, to prawda — zgodził się Colm.
— Bren, pamiętasz Freddiego
Flanaghana?

— Pewnie, że pamiętam — odparła
Brenna przez otwarte drzwi.

Eleanor przycisnęła ręce do policzków.
Powoli, bardzo powoli wszystko
zaczynało się układać.

Anthony od urodzenia żył w świecie
ciszy. Nie wiedział, że Eleanor jest jego
matką, a Marcus ojcem. Nigdy nie
usłyszał ani jednego słowa z tego, co do
niego mówiono, ale wszystkiego się
uczył, naśladowując i robiąc to, co mu się
pokazało, a nie to, co mu się mówiło.

— On nie wie, kim jestem! — szepnęła, kiedy Brenna weszła do kuchni i zaczęła nakrywać do stołu. — Jakim cudem się dotąd nie zorientowałam? Nawet lekarz nigdy nie zasugerował, że dziecko może być głuche.

— Ani ja tego nie wiedziałam, ani nawet Nancy — zauważyła rezolutnie Brenna. — Ale teraz już możesz coś na to poradzić.

— Oczywiście! — Eleanor poczuła, jak wszystkie jej żyły przenika podniecenie, cała drżała z przejęcia. — Są przecież szkoły dla głuchych dzieci. Uczą się tam języka migowego, a nawet mówić! Anthony ma przecież głos. Nie jest niemy.

— Masz rację, kochana! — Podniecenie Eleanor odbiło się w błękitnych oczach Brenny.

— I jest nadzwyczaj inteligentny. Maluje takie przepiękne obrazki.

— Wczoraj wieczorem rysował naszą Carę. Colm chce zrobić ramkę i powiesić ten obrazek na ścianie.

— Ten twój mały Fergus jest doprawdy zdumiewający. Pięć minut z Anthonym - i on po prostu wie, co dolega mojemu biednemu synkowi!

Będę mu za to wdzięczna do końca swoich dni. Och!

Eleanor miała wielką ochotę się rozplakać. Płakała już tyle razy w życiu, ale nigdy przedtem — ze szczęścia.

87

Marcus odłożył słuchawkę na widełki. Rozległ się cichy brzęk, a on wreszcie mógł sobie ulżyć siarczystym kichnięciem, które powstrzymywał

przez całą ostatnią część rozmowy. Następnie głośno wytarł nos. Jego przeziębienie, jak przypuszczał, jeszcze się pogorszyło. Telefonował przed chwilą do Szkoły Baldwina dla Nedorozwiniętych Chłopców i poprosił, by w ten poniedziałek nie czekali na przyjazd jego syna.

Trochę go zaskoczyła wiadomość, że Anthony jest głuchy, wszelako był tak samo zadowolony jak Eleanor.

Przynajmniej nie będzie się musiał

wstydzić, że ma syna idiotę. I że to właśnie Fergus Caffrey, sześćioletni smarkacz, zrozumiał, na czym polega problem jego syna! Fergus był teraz u nich w domu razem z Anthonym, który nie chciał się rozstać ze swoim nowym — a właściwie pierwszym — przyjacielem.

W dalszym ciągu nie dawało mu spokoju to, co zrobiła Eleanor.

Dlaczego wykradła chłopca z domu, nie przejmując się ani trochę, jak zareaguje

jej mąż? Prócz tego zmusiła go, żeby się podniósł z łoża boleści, kiedy się z nim podzieliła tą niezwykłą nowiną. Nigdy dotąd nie widział

jej tak podnieconej, co jednak nie tłumaczyło bynajmniej jej zachowania.

Postąpiła wbrew jego życzeniom i ni stąd, ni zowąd zabrała Anthony'ego akurat do domu Caffrey ów.

Teraz życie obu rodzin zaczynało być ze sobą nierozzerwalnie splecione — i to w sposób, którego w żadnym razie nie przewidywał.

Brenna była dziś nie w sosie, chociaż to powinien być naprawdę dobry dzień,

jeden z najlepszych. Pierwszy raz w życiu wiozła swoje dziecko w prawdziwym dziecięcym wózku! Był to ogromny, lśniący czernią model firmy Marmet, a Cara, która teraz miała prawie sześć miesięcy, spała smacznie pod budką. Wyglądała w tym wózku jak krasnoludek. U jej nóżek Brenna ułożyła swoje zakupy: pół kilograma mielonego mięsa, kilogram ziemniaków, torebkę mąki i ćwiartkę smalca. Planowała zrobić na wieczór zapiekankę z mięsem.

Wózek został nabyty wczoraj w lombardzie Oliphanta na Upper Parliament Street. Oliphant chciał za niego początkowo dziesięć szylingów, ale Brenna tak się do niego mizdrzyła,

tak uśmiechała, że w końcu odstąpił go za siedem i pół, w dodatku razem z poduszczką i małą pikowaną kołderką. Zakup zakrawał na straszną ekstrawagancję, ale Brennie było już bardzo trudno nosić i dziecko, i zakupy, a przecież zanim Cara zacznie chodzić, upłyną całe wieki! Zresztą ona i Colm mogą mieć 88

jeszcze więcej dzieci, a wtedy wózek znów się przyda; tak w każdym razie rozumowała, flirtując z Failym Oliphantem i rozważając wydanie tej astronomicznej sumy. Wygrane pieniądze wciąż jeszcze leżały ukryte w materacu w gościnnym pokoju, chociaż było ich już znacznie mniej niż tego

wieczoru, kiedy je tam znaleźli. A nawet gdyby nie mieli już więcej dzieci, to co? Wózek zawsze przecież można sprzedać, kto wie, może nawet z zyskiem... — myślała tej nocy, kiedy już dokładnie go wyczyściła, a Colm przetaił papierem ściernym rdzewiejące szprychy, aż zaczęły pięknie lśnić.

A teraz, kiedy z dumą pchała wózek z Carą przez Princes Park w słoneczne marcowe popołudnie, kiedy wiał orzeźwiający wiaterek, ani za zimny, ani za gorący, kiedy do Dnia Świętego Patryka brakowało już tylko czterdziestu ośmiu godzin, a Katie MacBride zgodziła się zaopiekować dziećmi, dzięki czemu ona i Colm będą mogli

pójść na wieczór celtycki do Irish Club, na co Brenna się bardzo szykowała — teraz była po prostu na siebie wściekła. Zżymała się, że jest taka nie w sosie, taka skwaszona, kiedy wszystko tak się dobrze układa.

No, prawie... Gdyby nie sprawa Eleanor Allardyce, ich życie byłoby absolutnie doskonałe.

Brenna czuła, że traci Fergususa. Od pierwszej nocy, kiedy Anthony zamieszkał na Shaw Street, chłopcy stali się po prostu nierozłączni. Fergus spędzał teraz każdy weekend w domu przy Parliament Terrace, dokąd najchętniej chodziłby codziennie, gdyby Brenna się temu nie sprzeciwiła.

Spał tam na najpiękniejszej pościeli, jadł najlepsze jedzenie, a Eleanor kupiła mu ostatnio ni mniej, ni więcej, tylko garnitur!

— Sądziłam, że będzie się lepiej czuł, kiedy wszyscy razem wy-chodzimy gdzieś na miasto — wyjaśniła.

— Na miasto? Dokąd? — Brenna zgrzytnęła zębami, wściekła na samą sugestię, że jej syn mógłby nie pasować do towarzystwa Anthony'ego w ubraniu, które ona mu sprawiła.

— Na zakupy, do kina... — powiedziała Eleanor lekko. — W zeszłą sobotę pojechaliśmy samochodem do

Blackpool. Zabrałam ich windą na sam szczyt wieży.

Brenna wiedziała już o tym i sama się zastanawiała, dlaczego zadaje takie pytania. Nalegała tylko, żeby Fergus zostawiał swój garniturek u Allardyce'ów, w przeciwnym razie Tyrone może mu zazdrościć i zechce mieć taki sam.

Na dobrą sprawę mogłaby się jeszcze bardziej uprzeć i w ogóle przerwać ten kontakt, ale to byłoby zbyt bolesne dla Anthony'ego, a taki 89

był z niego słodki dzieciak! To nie jego wina, że trafiła mu się taka matka — samolubna suka, która chce ukraść

dziecko innej kobiecie.

Colm i Nancy byli zdania, że utyskiwania Brenny są zupełnie bez sensu.

— Strasznie jesteś rozgoryczona, Bren — stwierdził Colm z wyrzutem, kiedy powiedziała, że nie rozumie, dlaczego obaj chłopcy nie mogliby spędzać przynajmniej co drugiego weekendu na Shaw Street. Bo tak byłoby sprawiedliwiej. — Ależ, kobieto, sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. My nie moglibyśmy ich zawieźć eleganckim wozem do Blackpool, prawda? A Eleanor ma nawet szofera.

Brenna nie powiedziała głośno, że

mogliby pójść na spacer do portu, razem z nim, Tyrone'em i Carą — i patrzeć, jak promy płyną tam i z powrotem po Mersey, jak wielkie liniowce odpływają do zagranicznych portów; że mogliby też pójść do parku zagrać w piłkę. Eleanor nie proponowała, żeby spędzali weekendy na zmianę w obu domach, zakładając, iż Fergus na pewno będzie wolał dom Anthony'ego niż swój własny.

— Anthony nigdy przedtem nie miał przyjaciela — powiedziała jej Nancy. To właśnie Nancy, niewierząca Nancy zabierała Fergusa na mszę w niedzielne poranki. - Fergus jest pierwszy; w dodatku to i dla niego bardzo dobrze, że

znalazł bratnią duszę. Jest teraz o wiele śmielszy i mniej milczący niż dawniej.

Być może naprawdę jestem głupia,
pomyślała ze smutkiem Brenna,

„ale czy Eleanor tak samo by
nadszkakiwała, gdyby to Fergus
potrzebował

towarzystwa Anthony'ego? Jakoś trudno
jej było w to uwierzyć.

Ostrożnie sprowadzała wózek po
schodach, schylając głowę, żeby nie
zaczepiać bujną czupryną o gałęzie
drzew, pokrytych teraz maleńkimi
zielonymi pączkami. Ten widok
podniósł ją na duchu. Za kilka miesięcy

pączki zmieniają się w liście, pojawią się kwiaty, a wtedy będzie mogła pchać wózek tą samą drogą już w letnim słońcu i myśleć o jesieni...

a wtedy liście zrobią się złote.

Uśmiechnęła się. Życie jest za krótkie i zbyt cenne, żeby z powodu własnych mieszanych uczuć stawać w drodze szczęściu syna. Nie było powodu powstrzymywać Fergususa przed widywaniem się z Anthonym tylko dlatego, że ona nie przepada za Eleanor Allardyce. Przysięgła sobie nigdy więcej nie mieć o to pretensji, a przynajmniej nie mówić tego głośno. Od tej chwili zachowa swoje uczucia dla siebie.

Od razu poczuła się lepiej i nawet zaczęła podśpiewywać, kiedy wychodziła z parku Devonshire Road i mijiała szkołę imienia Matki Boskiej 90

z Góry Karmel, do której chodzili obaj jej chłopcy. Już miała skręcić w prawo i wracać na Shaw Street, kiedy zamiast tego skręciła w lewo na Toxteth Street, gdzie Colm pracował u Cyrila Phelana na placu z materiałami budowlanymi. Cyril był bardzo wymagającym szefem, z pewnością jednak nie miałby nic przeciwko temu, żeby Brenna zamieniła parę słów z mężem. Nigdy dotąd tego nie robiła, lecz teraz chciała, żeby Colm zobaczył ją znów uśmiechniętą, zanim

jeszcze wróci do domu. Wystarczyłoby nawet, żeby do siebie pomachali ręką...

Plac był otoczony drewnianym płotem; wysokie sztachety szczelnie do siebie przylegały — nie mogła nic przez nie zobaczyć... Zatrzymała się przy otwartej bramie i spojrzała do środka na sterty żwiru i piachu, na równiutkie stosy cegieł, rury najrozmaitszych rozmiarów, drabiny, na szaroniebieskie płytki dachowe starannie poukładane pod ścianą na tyłach szeregowego domu Phelanów. Brenna skonstatowała z zadowoleniem, że wcale nie jest większy od ich domu. Jakiś mężczyzna zgarniał łopatą piasek na taczki, nigdzie nie widać było jednak Colma.

Wprowadziła wózek parę kroków do środka i zerknęła w dół na przejście pomiędzy stosami drewna, ale i tam nikogo nie było. Może Colm zawozi komuś materiały? W takim razie traciła tylko czas.

Już zawracała wózek, żeby wyjechać, kiedy nagle otworzyły się drzwi na tyłach domu Phelanów i wyszedł z nich Colm w towarzystwie jakiejś niebywale szykownej kobiety, co najmniej kilka lat młodszej niż ona.

Czarne włosy miała krótko obcięte i błyszczące; okalały jej drobną twarz jak jeden z tych kapeluszy, które czasem nosiła Eleanor. Brenna pamiętała, że żona pana Allardyce nazywała taki

kapelusz „hełmem”. Kobieta była ubrana w szary kostium i bluzkę; prosta spódnica sięgała łydek, na nogach miała czarne pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach, z pomponikami na przodzie. Brenna w swoim szalu, starej sukni i wciąż tych samych znoszonych butach Colma — nowe pantofle uważałyby za jeszcze większą ekstrawagancję niż dziecięcy wózek — poczuła się w po-równaniu z tamtą elegantką jak łachmaniarka.

Zorientowała się już po chwili, że Colm i ta modna młoda dama sprawiają wrażenie bardzo zaprzyjaźnionych. Dziewczyna trzymała go nawet pod rękę; oboje śmiali się z czegoś. Z czego? —

zastanowiła się.

Kobieta skierowała się z powrotem do domu, zamknęła za sobą drzwi, Colm szedł na plac, pogwizdując wesoło. Zatrzymał się gwałtownie na widok Brenny. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście wyglądał

na lekko zmieszanego?

91

— Kto to był? — spytała chłodno, zapominając, że przyszła tu tylko po to, żeby znów zobaczyć ją uśmiechniętą.

— Elizabeth Phelan, córka Cyrila — odparł takim samym tonem. —

Robiła mi herbatę.

— Nie myślałam, że któraś z jego córek tutaj mieszka.

— Bo nie mieszkają. Lizzie przyszła tylko zobaczyć, jak się czuje jej matka. Pani Phelan miała niedawno operację usunięcia kamieni żó-

łciowych.

— Jest mężatką? — Brenna modliła się w duszy, żeby odpowiedział

„tak”. W tym, jak ta Elizabeth Phelan kładła rękę na ramieniu Colma, było coś, co sprawiło, że Brenna czuła się dziwnie nieswojo. Mówiła sobie, że jest

głupia. Colm był najwierniejszym z mężów i przez wszystkie lata ich małżeństwa nie przysporzył jej ani krzty troski, nie zasiał nawet najmniejszego ziarenka zazdrości w jej sercu, mimo tylu kuszących spojrzeń skierowanych w jego stronę, kiedy byli w towarzystwie innych kobiet.

— Nie, Bren, jest niezamężna — odparł spokojnie. — Należy do tej samej organizacji co Nancy, do Społeczno-Politycznego Związku Kobiet.

Słuchaj, kochanie, za chwilę wróci Cyril, a wolałbym, żeby cię tu nie zastał. Zobaczymy się wieczorem.

Objął ją w talii i wyprowadził na

zewnątrz razem z wózkiem.

— Witaj, złotko — powitała ją Nancy; była zaskoczona. Nieczęsto się zdarzało, żeby Brenna ją odwiedzała w godzinach pracy.

— Robisz coś teraz?

— Tylko swoją popołudniową herbatę. Niedługo wezmę się do szykowania kolacji. Wejdz. — Cara obudziła się w chwili, kiedy ją wyjęto z wózka; Nancy połaskotała ją pod bródką, jakby była kotkiem. — Przysięgłabym, że to dziecko jest coraz większe i ładniejsze za każdym razem, kiedy je widzę.

Brenna nie traciła czasu na owijanie

sprawy w bawełnę. Jak tylko usiadły, spytała:

— Co wiesz o kobiecie, która się nazywa Elizabeth Phelan?

Nancy zamrugła powiekami.

— Skąd, u licha, ją znasz?

— Ja nie, ale Colm. Ja ją tylko widziałam. To córka Cyrila Phelana.

— Naprawdę? Nie wiedziałam o tym. Spotykałam Lizzie mnóstwo razy, ale to tylko znajoma, nie przyjaciółka. — Spojrzała z ciekawością na Brennę. — O co w tym wszystkim chodzi, złotko?

Brenna już zaczynała myśleć, że byłoby lepiej, gdyby się nie zbliżyła do tego placu i nigdy nie zobaczyła Elizabeth Phelan. Ledwie postanowiła przestać się martwić o Fergusa, musi zamiast tego martwić się o Colma.

— Wyglądała na bardzo interesującą — powiedziała niby to obojętnie. — Po prostu byłam ciekawa, czym się zajmuje.

— Jest sekretarką — odparła Nancy.

Brenna nigdy dotąd nie słyszała tego słowa.

— Co to takiego „sekretarka“?

— To rodzaj pracy, którą zwykle wykonują mężczyźni. Kobiety zajmują się tym dopiero od niedawna. Lizzie pracuje w banku. To bardzo bystra dziewczyna, potrafi pisać na maszynie i stenografować, poza tym studiuje, bo chce zdobyć kwalifikacje w księgowości. W czasie wojny, kiedy miała raptem szesnaście lat, pojechała do Francji z Czerwonym Krzyżem i spędziła tam aż dwa lata. Powiem ci coś — Nancy zniżyła głos, jakby ktoś podsłuchiwał za drzwiami — ale przyrzeknij mi, że nikomu nie piśniesz ani słówka, dobrze?

— Jak Bożę kocham! — przyrzekła Brenna. Podany przez Nancy opis pracy

sekretarki nic a nic jej nie mówił. Nie miała też pojęcia, co to znaczy

„stenografować” czy „kwalifikacje”.

— Kiedy Lizzie wróciła z Francji, nie zamieszkała w domu z rodziną, ale przeprowadziła się do własnego mieszkania w Mount Pleasant i...

mieszka tam zupełnie otwarcie z jakimś chłopakiem. Chociaż nie są małżeństwem.

— Niemożliwe! — Brenna była tak zaszokowana, że aż wydeła wargi z oburzenia. — To wstrętne.

Nancy parsknęła śmiechem.

— Ja tam ją podziwiam. Nie miałabym cierpliwości do czegoś takiego.

No, ale nie każdy uważa, że kawałek urzędowego papierka jest konieczny, żeby się związać z jakimś facetem. Wyobraź sobie, ostatnio słyszałam, że wyrzuciła go z domu. Pewnie nie spełniał jej oczekiwań.

— Znowu zachichotała. — Tak, tak, Elizabeth Phelan to wyjątkowo wyzwolona panna.

— Eleanor! Eleanor Allardyce! Jak to cudownie, że cię spotykam! Nie widziałyśmy się chyba od wieków — no, w każdym razie od lat. Jak się masz, kochana? Pozwolisz, że się na chwilę

przysiędę?

93

— Ależ proszę. — Eleanor zdjęła z krzesła torbę, by zrobić miejsce dla Lily Mayer, z którą kiedyś chodziła do Akademii Gladstone dla Młodych Dam przy Rodney Street; potem spotykały się od czasu do czasu na przyjęciach i w takich miejscach jak filharmonia czy magazyn Frederick

& Hughes, gdzie właśnie teraz Eleanor piła herbatę z Anthonym i Fergusiem. Było piękne czerwcowe popołudnie. Kiedy Lily w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i w jedwabnej kremowej sukni, obszytej przy szyi i

rękawach frędzelkami z bursztynów, osunęła się na krzesło, Eleanor miała uczucie, że otacza ją chmura luksusowego zapachu. —

Masz śliczną suknię — powiedziała.

— Chanel! — wykrzyknęła Lily. — Kupiona tu, w tym sklepie tydzień temu, chociaż byłoby o wiele zabawniej wyskoczyć po nią do Paryża, nie sądzisz? Teraz mieszkamy przeważnie w Londynie, a stamtąd można z łatwością dojechać do Paryża nocnym pociągiem. Liverpool jest śmiertelnie nudny... — Mayerowie zbili majątek na handlu niewolnikami, a po zniesieniu niewolnictwa — na imporcie alkoholu z Indii Zachodnich. —

A kim są ci rozkoszni chłopcy? Przecież obaj nie mogą być twoimi synami, na pewno.

Chłopcy patrzyli na Lily oczyma okrągłymi jak spodki. Eleanor ich przedstawiła.

— Ten z jasnymi włosami to Anthony, mój syn. Ten drugi to Fergus.

Jest synem.. przyjaciółki — skłamała. Nie lubiła Brenny, tak samo jak Brenna jej. — Mam jeszcze małą córeczkę, Sybil; ma dziewięć miesięcy.

Została w domu z niańką. Kochani, przedstawiam wam Lily Mayer.

Chodziłyśmy razem do szkoły.

— Co oni robią, do licha? — spytała Lily zdumiona, kiedy obaj chłopcy zaczęli machać do siebie rękami.

— Anthony nie słyszy, a Fergus tłumaczy mu to, co przed chwilą powiedziałam, na język migowy.

— Urocze, wzruszające! — zachłysnęła się Lily.

— Prawda? — powiedziała Eleanor sucho.

Chociaż była bardzo zadowolona, że Anthony może się wreszcie z kimś porozumieć, wolałaby, żeby rozmawiał

także z nią i innymi domownikami, a nie tylko z Fergussem, który opanował język migowy znacznie szybciej niż ktokolwiek inny. Ona sama próbowała dzielnie zapamiętać, jak tworzyć słowa, ale zabierało jej to okropnie dużo czasu. Daniel Vaizey, wychowawca i nauczyciel Anthony'ego, powiedział, że chłopcy stworzyli swój własny język, co jednak nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

94

— Anthony bardzo szybko chwyta. Nauczy się prawidłowo migania jak tylko chłopcy się rozstaną — powiedział kiedyś.

— A czy nie należałoby rozdzielić ich już teraz...? — zapytała wtedy,

— Jeszcze nie. W tej chwili Fergus jest potrzebny Anthony'emu, żeby pani syn miał dobre samopoczucie. Bez niego czułby się bardzo zagubiony — zapewnił ją Daniel.

— Cóż, kochanie, muszę już iść. — Lily podniosła się z krzesła. —

Och, zapomniałam spytać... Jak się miewa twój niewiarygodnie przystojny mąż? Byłam na waszym ślubie, pamiętasz?

— Ma się znakomicie, dziękuję. A ty... widzę, że jeszcze nie wyszłaś za mąż. —

Istotnie, na serdecznym palcu lewej ręki Lily nie było obrączki.

— Och, zbyt dobrze się bawię, żeby się już ustabilizować i obciążać mężem i dziećmi. Mam tłumy przyjaciół... Wyjdę za mąż, kiedy skończę trzydzieści lat. Do zobaczenia, kochanie. Cześć, chłopcy!

— Pomachała im ręką i zniknęła.

Eleanor spytała chłopców, czy mają ochotę na jeszcze jedno ciastko z kremem. Fergus z zapalem kiwnął głową, a Anthony, który go obserwował, natychmiast zrobił to samo. Skinęła na kelnerkę i zamówiła ciastka, dodatkową lemoniadę i jeszcze jeden imbryczek herbaty.

— Anthony chce siusiu — oznajmił Fergus.

Eleanor zerknęła na sąsiednie stoliki, czy czasem ktoś tego nie usłyszał, wyglądało jednak na to, że nie.

— Mówi się „pójść do toalety”, kochanie. To brzmi znacznie lepiej.

Fergus popatrzył na nią tępo. Cóż, w każdym razie mówił z ładnym irlandzkim akcentem, o wiele sympatyczniejszym niż nosowy liverpoolski sposób mówienia.

— Może zaprowadziłbyś go tam? Chyba dacie sobie radę sami.

Czy kiedykolwiek bawiłam się tak jak Lily Mayer? — zadała sobie w duchu pytanie, obserwując, jak chłopcy znikają za drzwiami toalety z tabliczką „Dla panów”. Chyba tylko przez te kilka miesięcy, kiedy była narzeczoną Geoffreya. Poznali się właśnie w tej restauracji: mężczyzna jej życia jadł lunch w towarzystwie matki.

Przyjaciółka, z którą Eleanor tam przyszła, znała go bardzo słabo. Chodził z jej bratem na mecze piłki nożnej, niemniej było zupełnie naturalne, że wszyscy czworo usiedli razem przy jednym stoliku. Przedstawiono jej Geoffreya, zaledwie osiemnastoletniego, podobnie jak ona. To była miłość od pierwszego wejrzenia, a wszystko, co

nastąpiło potem, było jak najpiękniejsza bajka i trwało o wiele za krótko.

Wybuchła wojna, a nim minęło pół roku, Geoffrey już nie żył.

95

Od tamtych czasów restauracja w magazynie Frederick & Hughes stała się jej najukochańszym miejscem na ziemi, chociaż kiedy tam przychodziła sama, z trudem hamowała łzy na myśl o tym, jak wszystko się zmienia na tym świecie i jak okropna jest jej obecna sytuacja.

— Pomyślałem sobie, że mógłbym dzisiaj zabrać Anthony'ego na spacer — powiedział Daniel Vaizey w

poniedziałek rano. — Nad sklepem Crumbs na Bold Street otworzono wystawę malarstwa. Wie pani, gdzie to jest? To ten sklep, gdzie sprzedają materiały malarskie. Przeszło mi przez głowę, że mogłoby go to zainteresować. Byłem tam w sobotę i uważam, że niektóre prace są tak dobre jak jego.

— Z rozkoszą poszłabym z wami — powiedziała impulsywnie Eleanor i natychmiast oblała się rumieńcem, żałując swoich słów. Zabrzmiały strasznie prowokująco.

— Ależ w takim razie pójdziemy razem. — Daniel zdawał się nie dostrzegać jej rumieńca. Albo rzeczywiście tak było, albo był po prostu grzeczny. Jego

młodsza siostra urodziła się głucha, podobnie jak Anthony, a on nauczył się języka migowego, żeby móc z nią rozmawiać. Kiedy Marcus postanowił, że Anthony musi mieć własnego nauczyciela, Daniel był jedyną osobą, która odpowiedziała na ogłoszenie w „Echu”. Nauczanie nie było jego zawodem, jak wyjaśnił, tylko źródłem utrzymania podczas studiów językowych; jego ambicją były zagraniczne podróże. „Ale nie w charakterze turysty, niestety, na taki luksus nie mógłbym sobie pozwolić.

Musiałbym znaleźć pracę”.

Polubili się z Eleanor. Daniel był

wysokim, atletycznie zbudowanym młodzieńcem o wyrazistych rysach i uroczym uśmiechu. Wolałaby się nie zarumienić, gdy mówiła, że z rozkoszą poszłaby na wystawę. Wprawdzie uważała Daniela za niezwykle atrakcyjnego, nie chciała jednak, żeby o tym wiedział.

Rozdział 4

Galareta nie stanęła! Brenna postawiła ją poprzedniego wieczoru na tylnych schodkach, ale kiedy rano do niej zajrzała, była prawie płynna. Skrzywiła się, patrząc z niezadowoleniem na swoje nieudane dzieło.

— Co ci jest? — Colm wszedł właśnie

do kuchni, walcząc z flanelową koszulą.

— Galaretka, którą robię na urodziny Cary, wcale się nie ścięła, chociaż zostawiłam ją na całą noc na dworze.

— No cóż, widocznie jest za ciepło, nie sądzisz? Lepiej by było włożyć salaterkę do zlewu z zimną wodą. W dodatku słońce świeci prosto na ten schodek. Popatrz tylko! — wskazał palcem na podwórko, rzeczywiście zalane teraz słonecznym światłem. Dzień pierwszych urodzin Cary był

naprawdę piękny. — Twoja galareta mogła się nawet trochę ściąć w nocy, a teraz znowu się rozpuściła.

— Może powinnam cię była poprosić, żebyś sam ją zrobił — zauważyła gderliwie Brenna.

— Tylko ci wyjaśniam to, co oczywiste, Bren.

— Dzięki.

Odwróciła się do niego plecami, ukroiła dwie grube kromki chleba i zaniosiła do jadalni, żeby je przypiec na ogniu. Tego samego dnia przed rokiem, w dniu ich przybycia do Liverpoolu, było wyjątkowo zimno. Za to w tym roku mogli się cieszyć pięknym babim latem: zrobiło się wyjątkowo gorąco.

— Będzie jakaś herbata? — zawołał

Colm z kuchni, gdzie się golił.

— Stoi na płycie.

97

— Przynieś no filiżankę, bądź dobrą dziewczynką!

— Przypiekam teraz grzanekę — warknęła. — Nie mogę przecież robić dwóch rzeczy naraz!

Colm zajrzał przez drzwi. Całą brodę miał w pianie z mydła.

— Wstałaś dziś lewą nogą?

— Nie, tylko wyjaśniam to, co

oczywiste.

Wzruszył ramionami.

— Kłopot w tym, Bren, że jeżeli ktoś ci mówi, że jesteś czemuś winna, po prostu nie możesz tego znieść.

— Kłopot w tym, Colm — przerwała mu — że ostatnio jestem cały cholerny czas czemuś winna...

Któregoś wieczoru przyczepił się do niej, że nie potrafi porządnie czytać! Jakby całkiem zapomniał, że skończyła naukę w szkole, kiedy miała zaledwie dwanaście lat, bo i tak opuszczała połowę zajęć —

musiała pomagać matce w wychowywaniu dwóch młodszych sióstr; po śmierci taty mama była zdana tylko na siebie i nie mogła sobie dać rady. Ale mama już dawno umarła, a z Sheilą i Colette Brenna straciła kontakt.

— A nie mogłabyś wyglądać choć odrobinę bardziej elegancko? —

odważył się zapytać wczoraj, tak jakby spali na pieniądzach i jakby wystarczyło, żeby się wybrała do któregoś z eleganckich sklepów i kupiła sobie całutką nową garderobę, nawet takie pantofle z pomponikami, jak miała Lizzie Phelan. Albo żeby ją było stać na to, by płacić jak za zboże domokrażcy, który raz w tygodniu puka do drzwi. Aż

wyda w końcu ostatniego pensa i narobi sobie jeszcze góry długów? Jeśli szło o ubrania, najważniejsze były zawsze potrzeby dzieci; dopiero potem Colma, a Brenny — na końcu. Kupiła trochę rzeczy na Targu Paddy'ego: płaskie, sznurowane pantofle, już solidnie podniszczone, ale bardzo wygodne —

kosztowały tylko półtora pensa (z jakim uczuciem radości cisnęła wtedy do śmieci stare buciska Colma!) — i dwie sukienki po sześć pensów każda, co prawda nie najnowszej mody.

Zastanawiała się, czy ich nie skrócić, tak żeby sięgały do pół łydki, jak suknie Eleanor Allardyce. Rzecz w tym, że miały suto marszczone spódnice, więc

pewnie wyglądałaby w nich śmiesznie — a jeszcze śmieszniej z takimi butami. Do tej pory nie udało się jej sprawić sobie płaszcza, dlatego cały czas owijała się szalem.

Ale ponieważ większość kobiet w tej dzielnicy i tak chodziła w szalach, Brenna nie widziała w tym nic niestosownego, aż do chwili, kiedy Colm zasugerował, żeby była bardziej elegancka.

98

— Ale z ciebie dureń, Colmie Caffrey!
— mruzczała, obracając grzanekę, kiedy jedna strona była już opieczona. Chyba nawet aż za bardzo... —

skonstatowała, krzywiąc nos. Była tak pogrążona w ponurych myślach, że jeszcze trochę, a całkiem by ją spaliła — nawet tego nie zauważając.

— Co takiego mówiłaś? — Colm zajrzał znowu; już gładko ogolony wycierał podbródek wystrzępionym ręcznikiem. Nowe ręczniki były im bardziej potrzebne niż nowe ubrania.

— Mówiłam do siebie.

— I udało ci się przypalić grzanekę.

— Zaraz to zeszkrobię, tylko opiekę drugą stronę.

— Nazwałaś mnie durniem —

powiedział z urazą w głosie. —
Słyszałem zupełnie wyraźnie.

— Oho! Na złodzieju czapka gore.

Oskrobała spaloną stronę grzanki nad ogniem, położyła chleb na talerzu i posmarowała go margaryną — druga strona była prawie nieopieczona.

— Chcesz teraz herbaty?

— Tak. — Usiadł i patrzył na nią, marszcząc czoło. — A więc? Czemu, twoim zdaniem, jestem durniem?

Brenna wzięła głęboki oddech. Już od dawna chciała z nim przeprowadzić tę rozmowę.

— Dlatego, że chciałbyś, żebym się ubierała tak samo jak Lizzie Phelan, myślała tak jak ona i wiedziała o rzeczach, o których ona wie. Ale ty, Colm, ożeniłeś się z głupią Irlandką, a nie z elegancką młodą damą, co to chodzi do jakiejś wytwornej szkoły i zdaje egzaminy z rzeczy, o których ja nigdy w życiu nie słyszałam.

— Lizzie dostała stypendium i dlatego poszła do szkoły średniej.

Każdy mógł to zrobić.

— Cóż, ja nie mogłam. Zaczęłam pracować, jak tylko skończyłam dwanaście lat.

Zachmurzył się.

— A w ogóle to co do tego wszystkiego ma Lizzie Phelan?

— Bo gadasz bez przerwy „Lizzie to powiedziała...” albo „Lizzie tak uważa”. Napycha ci tę twoją wielką głowę swoimi wariackimi pomysłami.

Na przykład odkąd to obchodzi cię polityka Irlandii?

Kiedy ostatnio prasowała i była zbyt zmęczona, żeby się wtrącać, wykladał coś na ten temat chłopcom.

— Już od dawna! — odparł kategorycznie. — Gadaliśmy o tym

jeszcze w barze w Lahmerze, ale nigdy nie uważałem, że powinienem o tym 99

dyskutować akurat z tobą. Zawsze mówiłaś po prostu, że nie masz o tym pojęcia.

— Może i nie mam pojęcia, ale głupia nie jestem! — oświadczyła Brenna z przekonaniem. — Nie ma nic takiego, co by cię mogło powstrzymać od gadania o takich rzeczach jak polityka.

Ani przez chwilę nie wierzyła, żeby jej mąż dyskutował na takie tematy w Shamrock, skąd słychać było tylko pijackie śpiewy i hałaśliwy śmiech — aż do zamknięcia baru, kiedy to właściciel, Bernie Murphy, po prostu

wyrzucał maruderów na ulicę.

— Czy wiedziałaś, że Lloyd George wniósł do parlamentu sprawę irlandzką? Wygląda na to, że Irlandia zostanie podzielona i nigdy więcej się już nie zjednoczy. Będziemy mieć dwa osobne parlamenty, jeden dla Północy, drugi dla Południa. — Gdy to mówił, twarz robiła mu się coraz czerwieńsza, a głos coraz bardziej wzburzony.

— Nie, nie wiedziałam — wyznała Brenna — ale teraz już wiem i myślę, że to beznadziejny pomysł.

— Tak sądzisz? — Colm był zaskoczony.

— Pewnie, że tak. A może myślałeś, że w ogóle nie mam w głowie mózgu?

— Coś ty, wcale nie.

Przez jakiś czas siedzieli w ponurym milczeniu. Colm skończył grzanekę, popił ją herbatą, wreszcie powiedział:

— To twoja wina, że mówię o Lizzie. Masz bzika na jej punkcie i bez przerwy o nią pytasz, jak tylko wrócę z roboty. Co niby mam robić? Nie odpowiadać ci?

— Ach, więc wolisz zatrzymać to w sekrecie? — Gdyby nie zobaczyła Lizzie tamtego dnia, pewnie nigdy by nawet o niej nie wspomniał.

— Och, Brenna, zastanów się. Które z nas jest w tej chwili durniem?

Ta rozmowa prawdopodobnie ciągnęłaby się dalej, gdyby nie Tyrone, który właśnie zszedł na dół i zażyczył sobie śniadania. Brenna odmówiła kategorycznie i kazała mu zaczekać, aż przyjdzie Fergus i sama zniosła na dół Carę. Wolała za jednym zamachem zrobić wszystkim owsiankę, niż szykować ją dla każdego z osobna.

— Możesz sobie zrobić grzanekę, jeżeli jesteś bardzo głodny — zaproponowała wielkodusznie — tylko nie zbliżaj się za bardzo do ognia.

— Mamo, dlaczego zawsze rozpalamy

ogień, chociaż jest tak gorą-

co? — dopytywał się Tyrone.

100

— Bo tylko tak możemy zagotować wodę, kochanie. I zrobić grzankę.

— Wychodzę, Bren! — zawołał Colm i frontowe drzwi zatrzęsnęły się za nim. Nie czekał na odpowiedź ani na pożegnalnego całusa.

Brenna zacisnęła wargi, usiadła i przyglądała się, jak Tyrone obraca grzankę nad ogniem z takim wyrazem twarzy, jakby go to kosztowało mnóstwo wysiłku.

Przyjemnie było mieć chleba pod dostatkiem i rozpalony ogień —

choć dziś rzeczywiście wcale nie był potrzebny. Cieszyło ją zdobywanie różnych rzeczy do domu: kupionego okazjnie obrazka na ścianę, ładnych koronkowych firanek do saloniku, nowych naczyń — takich naprawdę nowych, co najwyżej leciutko obtłuczonych czy nadpękniętych; mówiło się wtedy o towarze „z drugiej ręki”. Codziennie przemierzała kilometry, pchając wózek z Carą. Szukała okazji w sklepach z używanymi rzeczami, jak na przykład ta kupiona za pensa śliczna puszka na herbatę z łyżeczką w środku, na której widniał napis „Pamiątka z

Morescambe", albo wspomniany już uchwyt do grzanek czy też zszywane z kawałków materiału kołdry na łóżka chłopaków; figurka damy w sukni z falbankami i parasolką rozpiętą nad głową, która teraz stała dumnie na gzymsie kominka w salonie; lustro w mosiężnej ramie, którego jakoś nie była w stanie doczyścić.

Dawniej nawet sobie nie wyobrażała, że pewnego dnia będzie mieć własny dom; teraz chciała, żeby był wygodny i przyjazny dla Colma i dzieci.

Ale Colm już nie wyglądał na zainteresowanego jej „zdobyczami”. Był zbyt zajęty Lizzie Phelan, która teraz

przychodziła codziennie na plac z materiałami budowlanymi w porze drugiego śniadania, żeby odwiedzić swoją matkę, chociaż pani Phelan już dawno wyzdrowiała po operacji usunięcia kamieni żółciowych. Brenna dobrze o tym wiedziała, ponieważ prawie każdego dnia zjawiała się w porze wizyty Lizzie w okolicy placu i zerknęła zza rogu, skąd nikt jej nie widział. Zaraz potem Colm też zniknął

zazwyczaj we wnętrzu domu. Brenna nie miała pojęcia, co o tym sądzą Cyril Phelan i jego żona, była jednak święcie przekonana, że ich córka ma chrapkę na jej męża. Jeśli to, co mówiła Nancy o Elizabeth Phelan, było prawdą, sprawa

nie wyglądała dobrze — ta wyzwolona pannica miała w nosie, czy mężczyzna jest żonaty, czy nie.

Colm był już w połowie drogi do pracy, kiedy nagle sobie przypomniał, że dzisiaj nie pocałował Brenny na pożegnanie. Mniejsza o to, pewnie nawet tego nie zauważyła, a jeśli już, to chyba niespecjalnie się tym 101

przejęła. Kochał swoją żonę z całego serca, ale ostatnio zaczął sobie zdawać sprawę z tego, jak bardzo jest ograniczona. Brenna po prostu nie myślała, a w każdym razie nie myślała o rzeczach naprawdę istotnych.

Nie interesowało jej nic, z wyjątkiem

tego, co dotyczyło jego, dzieci albo domu. Miał już po same uszy bzdurnych rozmów w rodzaju: jakie tapety położą w saloniku — oczywiście kiedy już będzie ich na to stać. Miał

serdecznie dość podziwiania robionego przez nią na drutach pokrowca na czajnik do herbaty — i nie tylko raz, ale dzień w dzień, w miarę przybywania kolejnych centymetrów tego wynalazku. Było wszak tyle ważniejszych spraw do przemyślenia, kto by tam zawracał sobie głowę pokrowcami na czajniki... Czy Lizzie Phelan mogła obchodzić jakaś nieścięta galaretka? Wykluczone!

Starła się go przekonać do wstąpienia do Partii Pracy i poważnie się nad tym

zastanawiał.

— Kraj potrzebuje bezzwłocznie rządu, który się zajmie biednymi —

wołała, a jej piwne oczy lśniły z przejęcia. — Członkowie Partii Pracy skończą z nędzą, każdy, kto będzie chciał pracy, dostanie ją, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Konserwatyści i liberałowie reprezentują wyłącznie interesy bogatych.

Była najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznał, chociaż była przecież tylko kobietą. Kiedy z nią rozmawiał, czuł, jak rozpala go entuzjazm lub gniew. Codziennie czytał gazetę „The Times” od deski do deski i

myślał, że dzięki temu wie już wszystko, co trzeba, na temat każ-

dej rzeczy pod słońcem, bez względu na to, czy chodziło o rewolucję w Rosji — „To najlepsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć w tym nieoświeconym kraju”, powiedziała radośnie, kiedy Lenin zapowiedział w ostatnim czasie nową politykę ekonomiczną NEP — czy też gdy była mowa o ogólnokrajowym strajku górników brytyjskich na początku tego roku, który ona w pełni popierała. „Górnicy pracują w najstraszliwszych warunkach — twierdziła, a jej zgrabne ciało aż drżało z oburzenia — a ich płace są skandalicznie niskie”. Kiedy po paru miesiącach strajkujących zmu-

szono do powrotu do pracy, obniżając im jeszcze i tak głodowe płace, płakała rzewnymi łzami. „To takie poniżające” — łkała. Colm nieśmiało poklepał ją po ramieniu, a wtedy zwróciła ku niemu twarz ze słowami:

— Och, Colm, cieszę się, że mam z kim o tym pogadać. Jesteś jednym z niewielu ludzi, którzy rozumieją. Większości nic a nic nie obchodzi to, co się dzieje z resztą świata. I nie ma znaczenia, jak bardzo to jest okrutne

— byle tylko ich nie dotyczyło.

102

— To nie wróży dobrze na przyszłość,

Colm — powiedziała, kiedy faszyci uzyskali trzydzieści pięć miejsc we włoskim parlamencie. — To wina tego gościa, Adolfa Hitlera. Jeszcze jeden cholerny faszysta, który właśnie został szefem partii narodowosocjalistycznej w Niemczech i teraz wszędzie miesza, ile wlezie.

Pochlebiało mu, że Lizzie mówi do niego jak do równego sobie, że naprawdę jest ciekawa jego zdania. Dzięki niej czuł się kimś ważnym.

Kiedy ją porównywał ze swoją żoną, Brenna niewątpliwie wypadła dużo gorzej.

Chłopcy poszli do szkoły i Brenna

uczyła Carę śpiewać Sto lat. Malutka już umiała powiedzieć „mama” i „tata”, a także „taj” na Tyrone'a, chociaż nie zdołała jeszcze przyswoić sobie imienia Fergus. Mimo że Nancy nic o tym nie wspominała, Brenna miała dziwne wrażenie, że jej córeczka rozwija się lepiej niż córka Eleanor, Sybil, która też obchodziła dziś swoje pierwsze urodziny. Dziewczynki przyszły na świat o tej samej godzinie i nawet Nancy nie była pewna, która z nich urodziła się pierwsza.

„Wrześniowe dziewczynki”, tak je nazwała.

— No, dalej, kochanie — przynaglała Brenna. — Sto lat, sto lat, niech żyje,

żyje nam... — Ale Cara chichotała tylko i wołała „mama, mama, mama” swoim piskliwym głosem. Zataczała się wokół pokoju jak pijany marynarz i była bardziej zaskoczona aniżeli zmartwiona, kiedy się przewracała; zresztą szybciotko się podnosiła, chwytając się nogi od stołu.

— A ktio jest mamy dzielną dziewczinką? — zaszcebiotała Brenna.

Większość dzieci na jej miejscu wrzeszczałaby wniebogłosy.

Nancy obiecała wpaść o piątej po południu, ale nie na długo, bo Sybil też miała swoje przyjęcie urodzinowe, z tą różnicą, że dopiero po szóstej, kiedy pan

Allardyce wracał już do domu.

Uwielbiał swoją córkę i za żadne skarby świata nie opuściłby takiej uroczystości. Kiedy Brenna była pewnego razu na Parliament Terrace, usłyszała, jak śpiewał Sybil kołysankę do snu. I to on, nie zaś Eleanor lub Nancy, uczył małą chodzić.

— Zjemy w kuchni — wyjaśniła Nancy — ja, Daniel Vaizey i siostra Hutton. — Roześmiała się. — Pan i władca nigdy by nam nie pozwolił

jeść w stołowym; moglibyśmy zbrukać to święte miejsce. Nakryję do stołu, żeby był gotowy, kiedy od was wrócę. Mogę zabrać ze sobą Fergususa, to nie będziesz musiała go sama odprowadzać.

naszych chłopaków do kina na film Brzdąc z Charliem Chaplinem. Sama chętnie bym go obejrzała. Czytałam w gazecie, że to strasznie śmieszne.

— Ona jest teraz w domu? — spytała Brenna obojętnie.

Nancy spojrzała na nią badawczo.

— Nie masz nic przeciw temu, prawda?

— Ani trochę — odparła Brenna, starając się wyglądać na zadowoloną.

Wczoraj upiekła dwa tuziny babeczek i biszkopt z dżemem malinowym, z małą

białą świeczką pośrodku. Dziś rano Tyrone zaproponował, żeby wlać galaretkę do siedmiu małych naczyń — zamiast do jednego dużego.

Wtedy szybciej się zetnie, to oczywiste. Poszła do kuchni i potrząsnęła jedną z misek. Ku jej wielkiej uldze galaretka mniej się trzęsła, niż kiedy ją sprawdzała ostatnim razem.

— Dzięki Bogu! — mruknęła pod nosem. Zdążyła już przygotować krem do udekorowania galaretki i kupiła trzy deka kolorowego groszku cukrowego do posypania na wierzchu. Pozostawało tylko przygotowanie kanapek. Ale to zostawi sobie na później.

— Mama, mama, mama! — Cara weszła do kuchni, chwiejąc się na nóżkach.

Brenna wzięła małą na ręce.

— Cara, Cara, Cara! — Pogładziła gładki, ozdobiony dołeczkiem policzek swojej małej dziewczynki. — To twój pierwszy tort urodzinowy

— powiedziała do niej. — Miejmy nadzieję, że kiedy będziesz kończyła dwadzieścia jeden lat, będzie nas stać na wielki tort z twoim imieniem wypisanym na lukrze grubym na dwa centymetry. Ciekawa jestem, gdzie też będziemy za te dwadzieścia lat... — westchnęła. — Miejmy nadzieję, że twój tata poprosił Cyrila Phelana, żeby go

dziś zwolnił, bo inaczej nie wróci wcześniej do domu.

Colm pracował przeważnie aż do szóstej.

— Jeżeli zapomniał, to ja mu... —
przerwała i znowu westchnęła. —

Nie wiem, co mu zrobię. — Powinna mu była zwrócić uwagę, żeby nie wychodził z domu tak nagle. Kto to słyszał? Nawet nie powiedział „do widzenia” i zapomniał ją pocałować na pożegnanie. Wtuliła twarz w ra-mionko Cary i szepnęła: — Twój tata okropnie mnie zmartwił, kochanie...

— Cara odpowiedziała chichotaniem i

chwyciła matkę za włosy. — To wcale nie pomogło — pociągnęła nosem Brenna.

— Czy twój tata kocha się w Lizzie Phelan? — spytała głośno, niosąc Carę do salonu; usiadła przy stole, wysączyła resztkę herbaty z czajnika; była już zimna jak lód, ale Brenna mimo to ją wypijała. — Czy się z nią 104

całował? Nie ma innej rady, jak tylko zapytać go o to wprost; co nie znaczy, że twój tata od razu się przyzna, lecz jeśli będzie kłamał, wyczytam to na pewno z jego twarzy. Co jak co, ale z twojego taty nigdy nie będzie kłamcy.

Czy naprawdę jednak chciała to

wiedzieć? Colm miał rację, to z jej winy zainteresował się Lizzie. Ona sama go do tego zachęciła, zadając bez przerwy głupie pytania, chociaż z tego, że przez pół godziny dziennie rozmawiał z córką swojego chlebodawcy, bynajmniej nie wynikało, że oboje mają się ku sobie. Może powinna już przestać o tym gadać, zapomnieć o dniu, kiedy zobaczyła ich razem, Lizzie opierającą dłoń na ramieniu Colma, tak jakby był jej własnością. Ten gest wydawał się Brennie coraz bardziej zaborczy — za każdym razem, kiedy o nim myślała. Tak, właśnie to powinna zrobić — po prostu zapomnieć o wszystkim. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Lecz nim zapomni, chciałyby jednak

wiedzieć, na czym stoi.

— Nie rób tak, kochanie — zwróciła uwagę Carze, która złapała filiżankę i zaczęła nią bębnić w spodeczek. Brenna spojrzała na herbaciane fusy na dnie. Cóż, była tylko jedna pewna droga, żeby odkryć prawdę...

— Poproszę Katie, sąsiadkę! Ona mi to wszystko wyczyta z fusów.

Na te pogańskie praktyki Kościół katolicki spoglądał surowym okiem, ale kobiety różnych wyznań ze wszystkich stron ściągały do Katie, żeby im przepowiadała przyszłość z fusów i płaciły jej za wróżbę pół szylinga.

Mężczyźni nie byli raczej zainteresowani, jak potoczy się w przyszłości ich życie.

W ciągu dnia Katie MacBride była najzwyczajszą gospodynią domową; rzadko można ją było zobaczyć bez papilotów na głowie, za to zawsze z papierosem zwisającym z kącika ust, w starej kiecce, która pamiętała lepsze czasy. Ale już o szóstej po południu papiloty były pozdejmowane, a ufarbowane na czarno włosy ułożone tak że tworzyły wokół twarzy aureolę misternych loczków — i oto Katie przeistaczała się w tajemniczą postać, przyobleczoną w głęboką czerń aksamitu, z mocno uróżowanymi

policzkami i wargami pociągniętymi krwistoczerwoną szminką — jedynie papieros tkwiący w kąciku nienaturalnie czerwonych warg przypominał, że to ta sama stara Katie.

Czasem w poczekalni Katie bywało nawet po kilka kobiet. Wszystkie siedziały wokół stołu i całe w nerwach, z wypiekami na twarzy, czekały na swoją kolej, by w końcu wejść do gabinetu i usłyszeć, jaki będzie ich los.

105

Brenna zaczekała aż do południa, kiedy Cara, która przez cały ranek szalała niczym mały diabełek, zrobiła się śpiąca. Brenna zaniosiła ją na górę i

położyła do łóżeczka, po czym wybrała się do sąsiadki.

Katie siedziała na progu domu z nieodzownym papierosem w dłoni i sączyła gin ze szklanki, a na jej twarzy malowała się błogość. Żłopała czysty gin litrami, ale — Bogiem a prawdą — Brenna nigdy nie widziała jej pijanej. Słońce już zeszło ze szczytów dachów i teraz pieściło delikatnie frontowe wejścia domów od strony wąskiej uliczki.

— Chciałabym, żebyś mi wyczytała z fusów... — powiedziała Brenna nieśmiało. Nigdy dotąd nie prosiła o to, nie miała po prostu takiej potrzeby, ponieważ wyobrażała sobie, że jej

przyszłość będzie przebiegać
zwyczajnie, bez żadnych komplikacji.

— Teraz? — spytała Katie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
Zapłacę ci sześć pensów, jak tylko Colm
odbierze wypłatę.

Był piątek, powinien więc jeszcze tego
wieczoru dostać pieniądze.

— A odpieprz ty się ze swoją
sześciopensówką — odparła Katie
lekceważąco. — Czy nie jesteśmy
najbliższymi sąsiadkami? A co, może się
nie wybieram dziś wieczorem na
urodziny twojej Cary?

— Pewnie, że tak, ale wolałabym zapłacić.

— A ja bym wolała, żebyś nie płaciła, skarbie. Chodź, usiądź u mnie w saloniku, a ja tymczasem zrobię herbatę.

Brenna nigdy dotąd nie była w tym pokoju. Katie zasunęła kotary, zapaliła nocną lampkę w kształcie szklanej kuli, ustawiła ją na małym okrągłym stoliku naprzeciw kominka i kazała Brennie usiąść. Potem wyszła. Brenna oglądała ciężkie czarne meble, lśniące jak szkło, obszyty cekinami bieżnik na niskim kredensie, na którym ozdobny zegar ze złotymi figurami tykał kolejne sekundy jej życia, a także na wiszący nad kominkiem gobelin ze znakami zodiaku.

Nigdy by się nie domyśliła, że niechlujny kawałek firanki osłaniający to okno skrywa takie wspaniałe kotary.

Były uszyte z brązowego jedwabiu, mieniącego się lekko w migotliwym świetle lampki, która wydawała tak dziwny zapach, że Brenna omal nie kichnęła.

Weszła Katie z herbatą i dużą szklanką wody — chociaż to mógł też być gin. Zrzuciła wypłowiały fartuch i teraz miała na sobie cienki czarny szal. Głowę w papilotach owinęła jak turbanem jaskrawoczerwoną szarfą.

Pewnie było jeszcze za wcześnie, żeby zdjęła papiloty. W uszach miała kolczyki

z czarnego agatu, a w ustach — jak
zwykle — papierosa.

106

— Wypij to. — Postawiła herbatę na stole, aż filiżanka wydała ciche brzęknięcie „ping”, kiedy stuknęła o spodek. Musiała być zrobiona z najlepszej porcelany.

— Nie dolałaś mleka.

— Mleko pobrudziłoby fusy; najlepiej wypić czystą. Nie dopijaj do ostatniej kropli; lepiej zostawić odrobinę, tak żeby fusy mogły się trochę poruszać w herbacie.

Katie wróżka wyglądała zupełnie inaczej niż Katie wesoła sąsiadka.

Oczy miała zamglone, jakby nieobecne; jej głos wydobywał się jakby z głębi, a zwykle pogodna twarz była teraz nadzwyczaj poważna i skupiona.

Brenna zaczęła żałować, że w ogóle tu przyszła. To przecież istne szaleństwo wierzyć, że można przepowiedzieć przyszłość z paru listków herbaty, nie mówiąc już o tym, że herbata bez mleka smakowała ohydnie!

Przełykała płyn najszybciej, jak tylko mogła, w nadziei, że Cara się obudzi, zacznie wołać mamę, a wtedy ona będzie musiała wrócić do domu. Kiedy już prawie wypiała herbatę, oddała

filizankę Katie.

— Odwróć ją do góry nogami, postaw na spodeczku i obróć pięć razy w lewo, a potem pięć razy w prawo. Teraz mi podaj.

Brenna zrobiła, co jej kazano. Katie wpatrzyła się z uwagą w zawartość filizanki.

— Myślałam, że masz tylko troje dzieci — powiedziała tym swoim nowym, dziwnym głosem.

— Bo mam, wiesz o tym tak samo jak ja.

— Ale tutaj jest ich czworo. Widzę zupełnie wyraźnie.

— Wobec tego te fusy kłamią. Mam tylko troje.

— Fusy nigdy nie kłamią, madame.

— Cóż, jednak tym razem kłamią.

Brenna pokręciła się na krześle. To, że Katie zwróciła się do niej per

„madame”, sprawiło, że poczuła się niezręcznie; zupełnie, jakby zapomniała nagle, kim jest Brenna!

— Tutaj jest kwiat — róża bez kolców, co oznacza, że będziesz żyła długo i cieszyła się dobrym zdrowiem, madame, ale obok róży jest krzyż, który wskazuje na to, że twoje życie zakłóci wielka

tragedia.

— Jaka tragedia? — Brenna poczuła niemiły ucisk w żołądku.

— Fusy tego nie mówią, ale stracisz coś bardzo cennego.

— Chyba nie chodzi o Colma ani o żadne z dzieci, co?

— Fusy tego nie mówią, madame — powtórzyła Katie głosem bez wyrazu. Pociągnęła długi łyk wody czy może ginu. — Widzę sztylet, 107

z którego kapie krew, a to oznacza okrutną zdradę... A to co? — Zajrzała do wnętrza filizanki. — Nie bardzo

rozumiem... — Przymknęła oczy, po czym otworzyła je tak gwałtownie, że Brenna aż odskoczy-

ła. — To jest kobieta, kobieta, która płacze, ponieważ straciła swojego ukochanego.

— Ale co to za kobieta? — spytała Brenna, nie czekała jednak na odpowiedź, bo zza sąsiednich drzwi dobiegł nieziemski wrzask. To Cara alarmowała matkę, dawała jej znać, że się obudziła i że trzeba się nią teraz pilnie zająć. Brenna zerwała się z krzesła. — Muszę lecieć! —

zawołała. — Dziękuję, Katie, chyba już dość usłyszałam.

— Ależ ja jeszcze nie skończyłam,
madame — zamglone oczy Katie
spojrzały na nią, jakby była kimś obcym.
— Pewnego dnia ten ukochany wróci.

— Już powiedziałam, że usłyszałam
dosyć.

— Brenno! — jęknęła Nancy. — Boże
Wszechmogący, co się stało?

Szłaś przez ulicę w samej koszuli.
Zapomniałaś o bluzce? To do ciebie
niepodobne. A gdzie Cara?

— W wózku, przed domem. — Brenna
wybuchnęła płaczem. —

Dopiero co wywróżono mi przyszłość z

fusów z herbaty. Och, Nancy!

Nie masz pojęcia, jakie okropne rzeczy nas czekają!

— Zaraz, zaraz, Brenno — powiedziała Nancy stanowczo. — Nie wierzę ani przez sekundę w podobne bzdury i dziwi mnie, że ty możesz wierzyć w coś takiego. Siadaj, dziewczyno, dam ci łyeczek sherry, to ci na pewno uspokoi nerwy.

— I mam przeżyć wielką tragedię... Była też mowa o zdradzie i jakiejś kobiecie. Nie wiem, czy chodziło o mnie, czy nie, ale ona ma stracić swojego ukochanego.

Coś jej nagle zaświtało. Katie

powiedziała chyba, że ten ukochany powróci, ale nie była tego do końca pewna.

— No tak! A krowa ma przeskoczyć przez księżyc, jak w rymowance.

Kto ci naopowiadał wszystkich tych bredni? Katie MacBride?

Brenna przytaknęła.

Nancy postawiła przed nią szklanekę.

— To sherry, które zwykle dodaje się do potraw, ale jest bardzo smaczne. Sama golnę sobie szklaneczkę od czasu do czasu.

— Katie wyglądała na okropnie poważną. Nie mogłam jej nie wierzyć.

108

Nancy parsknęła szyderczo.

— Coś słyszałam, że ona podobno wpada w trans czy coś takiego. To zwykła oszustka, złotko, a poza tym dzień w dzień zalana. - Uderzyła swoją wielką pięścią w stół. — Poproś ją jutro, żeby ci powróżyła, a opowie Ci zupełnie nową historyjkę, a jeszcze innego dnia — znowu coś innego.

Nie wierz w ani jedno słowo, które ci mówi, Bren, rozumiesz?

— Tak — potulnie odparła Brenna.

Nancy była taka praktyczna i nigdy nie zapominała o zdrowym rozsądku, którego miała w nadmiarze. Przy niej łatwo było uwierzyć, że wszystko, co mówiła Katie, to zwykłe brednie. W tym momencie dostrzegła wielki, pieczołowicie ozdobiony tort, który stał na stole.

— To na urodziny Sybil?

— Tak. Ja upiekłam, a Eleanor zrobiła te ozdoby z lukru. Schowam dla ciebie kawałek, jeśli chcesz.

— Świetnie, a ja zostawię kawałek biszkoptu Cary dla Eleanor.

Nancy parsknęła śmiechem.

— Nie lubisz jej, co?

— Dlaczego, jest w porządku. Lepiej już pójdę, akurat szykujesz obiad, a ja ci tylko przeszkadzam. Zresztą jestem strasznie zmęczona. Jeśli Cara mi pozwoli, z przyjemnością położę się po południu, żeby trochę odsap-nać. — Zerwała się tak szybko, że zakręciło jej się w głowie. — O Boże! —

Przyłożyła dłoń do czoła. — To chyba to sherry — zdążyła powiedzieć, zanim zemdląca.

Kiedy przyszła do siebie, Nancy podsuwała jej pod nos buteleczkę, która

śmierdziała tak okropnie, że Brenny
omal nie zemdliło.

— Co to jest? — spytała, odsuwając
buteleczkę ręką.

— Sole trzeźwiące. — Nancy pomogła
Brennie usiąść na podłodze. —

Nigdy cię nie uważałam za jedną z tych
damulek, które mdleją z byle powodu.

— Wcześniej tylko raz w życiu mi się to
przydarzyło — powiedziała drżącym
głosem — kiedy chodziłam w ciąży z
Fergussem.

— No tak, to wszystko wyjaśnia.
Myślałam, że to może coś poważne-go.

— Na twarzy Nancy odmalował się uśmiech ulgi. — Więc jesteś przy nadziei, Brenna. Moje gratulacje. Założę się, że nie posiadasz się ze szczęścia!

Ale Brenna nie odpowiedziała uśmiechem.

109

— Katie upierała się, że mam czworo dzieci — wyszeptała. — Och, Nancy! Ona naprawdę wiedziała, że to czwarte jest już w drodze.

Pierwsza z przepowiedni Katie właśnie się sprawdziła; teraz Brenna za żadne skarby nie chciała przyznać racji Nancy, która była przeświadczona, że to tylko

zwykły zbieg okoliczności.

Colm nie wrócił dziś wcześniej do domu na urodziny Cary. Ta rocznica całkiem mu wypadła z głowy, co zresztą sam przyznał, kiedy wreszcie przyszedł i było już po wszystkim. Nancy dawno zabrała Fergusa na Parliament Terrace, Katie MacBride poszła do siebie, Tyrone bawił się na podwórku, a Cara już spała.

To nie było wesołe przyjęcie. Krem miał posmak spalenizny, Brenna była zanadto roztrzęsiona, żeby czuć radość, a Nancy raz po raz spoglądała z dezaprobatą na Katie, która przybyła „zrobiona” na wróżkę. Cóż, za godzinę miała się spotkać ze swoimi klientkami,

więc musiała być gotowa.

Nie wspomniała o dzisiejszej porannej wizycie Brenny nawet wtedy, gdy Nancy już sobie poszła. Wydawało się, że po prostu zapomniała o wszystkim.

— Wybacz, Bren — przeproszał ją Colm już trzeci czy czwarty raz.

— Nieważne — powiedziała tępo. — To naprawdę nieważne.

Zastanawiała się, czy należy się przejmować innymi przepowiedniami Katie, odsuwając w daleką przyszłość sprawę wielkiej tragedii i płaczącej kobiety. Miała jednak wątpliwości. Bo czyż opuszczenie urodzin córki można

traktować jako zdradę?

Inne napięcia wisiały w powietrzu w kuchni domu przy Parliament Terrace. Uszczęśliwieni Anthony i Fergus opychali się jeden przez drugiego; Fergus jadł wprawdzie niecałe pół godziny temu, ale po prostu nie mógł sobie odmówić... Pewnie dlatego, że jedzenie na Shaw Street nie było nawet w przybliżeniu tak wyborne jak tu. Siostra Hutton karmiła siedzącą w swoim wysokim krzeselku Sybil, wsuwając jej do ust kawałeczki piersi z kurczaka, wymieszane z tłuczonymi ziemniakami i utartą marchewką. Nie było to wprawdzie tak zupełnie urodzinowe menu, ale za to na deser

miał być biszkopt z owocami i bitą śmietaną oraz szarlotka, a na sam koniec — tort urodzinowy. Eleanor i Daniel Vaizey zajadali paszteciki z nadzieniem z kraba, a także plastry szynki na omlecie, który 110

Nancy przygotowała już z samego rana. Marcus przyniósł z piwnicy dwie butelki białego wina.

Marcus udawał, że obserwuje, jak jego ukochana córeczka je ze sma kiem, ale uśmiech na jego twarzy robił wrażenie wymuszonego. Dumny ojciec siedział sztywno, jakby kij połknął. Nancy ledwo dłubała w talerzu.

Mimo swoich gabarytów nie odznaczała

się dużym apetytem, poza tym najadła się już u Brenny. Ona też uśmiechała się z przymusem i trzymała sztywno, zupełnie jak jej chlebodawca. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek przedtem była tak wystraszona. Powód był prosty — każdy, kto miał oczy w głowie, nie mógł nie widzieć, że Eleanor i Daniel są w sobie po uszy zakochani.

A to mi dopiero historia! Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej? —

zastanawiała się w duchu Nancy. Może dlatego, że nigdy dotąd nie widziała ich razem, tak z bliska, siedzących jedno przy drugim. Ich ramiona się stykały, ręce od czasu do czasu też, a kolana pod

stołem —

prawie na pewno. A może i oni dopiero teraz uświadomili sobie, że są zakochani? Z czego sobie na pewno nie zdawali sprawy — to z zachwytu malującego się na ich twarzach, ze sposobu, w jaki śmiały im się oczy, kiedy ich wzrok się spotykał, z otaczającej ich atmosfery podniecenia i radości, tak intensywnej, że niemal widocznej. To wszystko zdradzało ich całkowicie. Mogliby równie dobrze trzymać w rękach transparent z napisem „jesteśmy zakochani”. Takie to było oczywiste.

Co się teraz wydarzy? — zastanawiała

się Nancy. To samo pytanie zadawała sobie raz po raz, kiedy wychodziła z Shaw Street, a Colma jeszcze nie było. Nigdy nie widziała Brenny tak przybitej. Nie tylko Z powodu Colma, ale i bredni tej starej wiedźmy Katie MacBride. Zarówno wtedy, jak i teraz nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi.

Sybil spróbowała złapać świeczkę z tortu, nie mogąc zrozumieć, że ma ją tylko zdmuchnąć.

— W przyszłym roku już będzie wiedziała, co robić — powiedziała siostra Hutton. — Prawda, kochanie?

Sybil odpowiedziała waleniem piąstkami w blat wysokiego krzeselka.

— Niech to zrobi Anthony —
powiedział Marcus, kiedy zauważył, że
pielęgniarka jest gotowa wyręczyć małą
jubilatkę.

Fergus dał znak Anthony'emu, pokazując,
czego od niego oczekują, i chłopiec
zdmuchnął słaby, migocący płomyk.
Fergus zrobił kolejny znak i obaj się do
siebie uśmiechnęli. Zupełnie, jakby ci
dwaj chłopcy mieli jeden mózg,
pomyślała Eleanor.

111

To było chyba najmiłsze przyjęcie przy
Parliament Terrace, w jakim
kiedykolwiek uczestniczyła. Wyglądało
na to, że wszyscy chyba świetnie się

bawili, nawet Marcus. Prawie nie odrywał wzroku od Sybil, która wyrastała na śliczną dziewczynkę o żywym usposobieniu. Eleanor martwiło trochę, że nigdy nie czuła się aż tak związana z córką, jakby tego pragnęła — te pierwsze trzy miesiące w łóżku narobiły ogromnych szkód — cieszyła się jednak, że Marcus nawiązał serdeczny kontakt ze swoją małą dziewczynką.

W rodzinach często się zdarza, że każde z rodziców faworyzuje inne dziecko, taką córeczkę tatusia czy synka mamusi. Tej równowagi nie mogło zakłócić pojawienie się w ich życiu trzeciego dziecka, ponieważ Marcus nie

odwiedzał jej w sypialni od momentu poczęcia Sybil, zresztą ku wielkiej uldze Eleanor. Dla niej te jego wizyty były tylko czymś w rodzaju gehenny, spełnianiem znieawidzonych przez nią małżeńskich obowiązków...

Z Danielem było zupełnie inaczej — cudownie i zadziwiająco inaczej.

Prawdziwie czarowne przeżycie.

— Dziękuję — mruknęła, kiedy Nancy podała jej kawałek tortu. Daniel też wziął jeden i w tej samej chwili poczuła jego ramię przyciskające się do jej ramienia. Ich kolana dotykały się pod stołem.

— Czy pani sama lukrowała ten tort? —
spytał. — Bardzo artystycznie.

Teraz już wiem, po kim Anthony
odziedziczył talent.

Eleanor spuściła oczy i nie
odpowiedziała na komplement. Było
ważne

— nie po prostu ważne, ale wręcz
absolutnie konieczne — żeby Marcus się
nie domyślił, że ona i Daniel są w sobie
zakochani. Oboje uświadamiali sobie,
że z tej miłości nic nie będzie, ale nie
zamierzali niczego zmieniać i chcieli po
prostu cieszyć się sobą.

To było trzy miesiące temu, na wystawie

sztuki przy Bold Street, na którą poszli razem. Wtedy właśnie zdali sobie sprawę, że są dla siebie w równym stopniu pociągający. Potem poszli na kawę do hotelu Adelphi, gdzie rozmawiali zupełnie niewinnie, Eleanor czuła jednak, że ta świadomość narasta; miała uczucie, którego nie potrafiłaby opisać, jakby ona i Daniel właśnie rozpoczynali długą i radosną podróż we dwoje.

Przez kilka tygodni wystarczało im tylko to, że każde z nich wiedziało, co czuje drugie, wystarczała cudowna wymiana ukradkowych spojrzeń czy dreszcz radości z samego faktu przebywania w jednym pokoju.

Dwa miesiące temu, kiedy miał właśnie wychodzić, a Eleanor odprowadzała go do drzwi, wyszeptał:

— Dłużej tego nie zniosę. Jestem bliski obłądu. Pragnę cię, Eleanor.

Pragnę cię tak bardzo, że nie mogę spać, nie mogę już nawet logicznie 112

myśleć. — Przesunął palcem po szyi, jakby kołnierzyk jego śnieżnobiałej koszuli był za ciasny, jakby przeszkadzał mu oddychać. — Czy istnieje laka
możliwość, żebyśmy...

Nie dokończył zdania, lecz ona doskonale wiedziała, co ma na myśli, ba — czuła w piersiach to samo co on.

— Czy mogę przyjść do ciebie któregoś dnia? — szepnęła w odpowiedzi.

Jego błękitne oczy pojaśniały.

— Kiedy?

— Teraz! Wyjdź i czekaj na mnie przed hotelem Adelphi. Będę za jakieś pół godziny.

Nie wiedziała, w jaki sposób przeżyła następne trzydzieści minut.

Przebrała się od stóp do głów, zmieniła nawet bieliznę. Wślizgnęła się w kupioną przed paru dniami różową kombinację z krepdeszynu, obszytą kremową koronką. Ciekawe, czy

kupowałam ją z myślą o Danielu...? —

zastanawiała się w duchu, patrząc w lustro na swoje smukłe, dziewczęce ciało. Wyglądała bardziej na osiemnaście niż na dwadzieścia pięć lat —

i tak też się czuła. Właśnie miała włożyć nową białą suknię z żorżety ze stojącym kołnierzem i biskupimi rękawami, która kosztowała majątek, kiedy uświadomiła sobie naraz, że będzie musiała złapać tramwaj do Spellow Lane i wobec tego byłoby rozsądniej ubrać się w coś mniej spektakularnego. Wybrała skromną popołudniową suknię z niebieskiego woalu* i słomkowy kanotier** ozdobiony błękitną wstążką.

Znakomicie, przynajmniej nikt się nie będzie gapił.

Poprosiła Nancy o dopilnowanie Anthony'ego, który był zresztą cał-

kowicie pochłonięty odrabianiem pracy domowej. Daniel uczył go matematyki i angielskiego.

— Wskoczę tylko na miasto — powiedziała Eleanor. Sama była zdziwiona, że jej głos brzmi tak naturalnie.

Minęło jeszcze pół godziny i już była w zapchanym meblami apartameńcie Daniela. Leżała na wielkim sprężynowym łożu, a on czule i bez

pośpiechu zdejmował z niej ubranie, które przed chwilą na siebie włożyła.

.I potem była już kompletnie naga i aż drżała z rozkoszy i obawy przed tym, co miało nastąpić.

* Woal — cienka, prześwitująca tkanina produkowana z bawełny lub włókien sztucznych.

** Kanotier — słomkowy, płaski kapelusz z niedużym rondkiem.

113

Daniel okazał się niezwykle delikatny. Wchodził w nią bardzo powoli, poruszając się spokojnie, aż

dostosowała się do jego rytmu i poczuła, że jej zmysły reagują. Ruchy obojga były teraz szybsze, coraz szybsze, a ona głośno krzyczała, bo wydarzyło się coś, czego nigdy dotąd nie zaznała; narastało w niej uczucie szczęścia, większe niż kiedykolwiek, przenikało wszystkie żyły i członki, budząc do życia jej jakby martwe ciało. To uczucie rosło i rosło, aż stało się niemal nie do zniesienia i wreszcie się skończyło — zupełnie nagle. To zakończenie było najlepsze ze wszystkiego... Teraz leżała na łóżku, kompletnie wyczerpana. Skończyło się.

Prawdziwie cudowne przeżycie.

Daniel się pochylił i pocałował ją w usta.

— Kocham cię, Eleanor — wyszeptał.

— A ja kocham ciebie — odparła.

— Czy jutro znów przyjdiesz?

— Chyba nie będę mogła. Raz, może dwa razy w tygodniu, to wszystko, co mogę, inaczej ludzie zaczną coś podejrzewać.

Twarz Daniela jakby się wydłużyła.

— Cóż... dobrze. Sądzę, że raz czy dwa razy tygodniowo to w każdym razie lepsze niż nic.

A teraz siedzieli tu, na urodzinowym

przyjęciu Sybil. Daniel jako wychowawca jej syna, ona jako żona Marcusa. Z pierwszego była bardzo zadowolona, za to nieszczerze zachwycona tym drugim.

— Muszę się nauczyć dobrze czytać — powiedziała Brenna. Przeglądała książkę, którą Cara dostała na urodziny. Dziecięce ABC z obrazkami przy każdej literze.

— Dobry pomysł, Bren — rzekł Colm zachęcająco.

Nigdy nie widział jej tak spokojnej i to go martwiło. Było mu naprawdę przykro, że opuścił przyjęcie urodzinowe Cary, ale Brenna chyba się

tym niespecjalnie przejęła. W takich wypadkach mógł się spodziewać reprimendy, dyskusji ciągnącej się długo w noc, chociaż wiedział, że przebaczyłaby mu z chwilą, kiedy poszliby do łóżka.

— Znam wszystkie te słowa. A — to ananas, B — baran, C — cukie-rek... — Z westchnieniem opuściła książkę na kolana.

— Bren, dobrze się czujesz? Jesteś dziś jakaś nieswoja. — Patrzył na nią z troską.

— Miałam ciężki dzień i jestem zmęczona, to wszystko.

Zaniepokoił się jeszcze bardziej.
Przecież jego kobieta nigdy nie bywała
zmęczona.

— Chciałabyś, żebym ci zrobił filiżankę
herbaty, kochanie?

— Byłoby miło, Colm. Dzięki.

Nalał wody do czajnika i postawił go na
płytcie.

— Ogień jest już słaby, lata miną, nim
się zagotuje.

— Nieważne — odpowiedziała
apatycznie i dodała. — Wiesz,

Allardyce'owie kupili elektryczny czajnik. Wystarczy go włączyć i woda już się gotuje.

Czy to ją martwiło? Czy zazdrościła, a może naprawdę chciała mieć w swoim domu elektryczność, żeby i oni mogli sobie kupić podobny czajnik? Nie, uznał Colm, to nie w jej stylu. Nie była skłonna do zamartwia-nia się tylko z powodu czajnika. Brenna była zawsze zadowolona z tego, co miała, chociaż potrafiła poruszyć góry, żeby polepszyć swój status. Gdyby nie uważał tego za najzwyczajniej w świecie niemożliwe, mógłby sądzić, że podsłuchiwała, jak Lizzie Phelan zapraszała go na jutrzejsze wieczorne przyjęcie w swoim

mieszkań i, co więcej, jak on przyjmuje jej zaproszenie.

— Będzie tylko paru przyjaciół — powiedziała mu Lizzie. — Pomyś-

lałam, że może zechciałbyś przyjść i ty...

Poczuł się dumny, że go traktuje jak przyjaciela.

— Przyjdę — obiecał.

To miało być po prostu przyjęcie, nic ponadto. Przecież nikomu nie stanie się przez to krzywda. Powiedziałały Brennie, że idzie na pierwsze zebranie Partii Pracy, a gdyby wrócił późno, zawsze mógłby wytłumaczyć, że poszli

potem razem na drinka. Gdyby choć przez chwilę pomyślał, że ona to zrozumie, powiedziałaby jej prawdę, ale Brenna nigdy nie pojmie, że jego stosunki z Lizzie to tylko spotkanie dwóch bratnich dusz.

Teraz jednak Colm poważnie się zastanawiał, czy może skłamać, skoro Brenna jest w tak podłym nastroju. Postanowił, że jeśli się jej nie poprawi do jutra, nie pójdzie na to przyjęcie u Lizzie.

Następnego ranka Brenna wyglądała dużo lepiej, chociaż nie była w aż tak dobrym nastroju jak zwykle.

Powarkiwała na dzieci, na Colma i kiedy nadeszło popołudnie, ten z

zadowoleniem wykręcił się zebraniem, żeby się wyrwać z domu — chociaż to było kłamstwo.

— Czy na zebranie Partii Pracy musisz zakładać kołnierzyk i krawat? — spytała szorstko.

115

W pierwszej chwili pomyślał, że podejrzliwość Bremermy wzbudziły jego starania, by wyglądać w miarę przyzwoicie, ale to był po prostu kolejny objaw jej złego humoru, z którego powodu cierpiała dziś cała rodzina.

Wymamrotał jakieś wytłumaczenie w rodzaju, że chyba nikomu nie szkodzi,

jeśli wygląda trochę lepiej niż na co dzień. Nie odpowiedziała.

Mieszkanie Lizzie znajdowało się na najwyższym piętrze wysokiego domu przy Mount Pleasant, niedaleko miejsca, gdzie planowano wznieść katolicką katedrę. Prace przerwano jednak, kiedy budowa doszła do krypty.

Frontowe drzwi domu były otwarte i kiedy Colm wspinał się po schodach, usłyszał dźwięki muzyki tanecznej. Miał nadzieję, że nikt nie będzie go zmuszać do tańca, po paru drinkach być może odważyłby się na irlandzkiego „jiga”, ale to wszystko.

— Colm! Jesteś nareszcie! — zawołała

Lizzie, kiedy wszedł. Miała na sobie śliczną sukienkę z falbankami; nigdy dotąd nie widział jej w tak kobiecym fatałaszk. — Ej, wiara! To jest Colm Caffrey. Nie będę ci nikogo przedstawiać, i tak nie zapamiętasz wszystkich nazwisk. Czego się napijesz?

— Piwa — wymamrotał.

Mieszkanie składało się z jednego dużego pomieszczenia z kuchnią po prawej stronie i drzwiami, które bez wątpienia prowadziły do sypialni.

W pokoju było ze dwadzieścia osób; tylko kilka z nich spojrzało na niego przelotnie, kiedy Lizzie go przedstawiała, ale i oni po krótkich

ogłędzinach wrócili na nowo do burzliwych dyskusji. Dwie pary tańczyły. Colm się przyłączył do grupy, która dyskutowała o problemie głodu na świecie, pożerając przy tym góry kanapek. Lizzie przyniosła mu piwo i powiedziała, że w kuchni jest mnóstwo jedzenia i żeby się nie krępował. Zanim zdążył powiedzieć „dzięki”, jakiś facet w krawacie i aksamitnej kamizelce porwał gospodynię wieczoru do tańca.

Grupa dyskutantów wzięła teraz na warsztat niejakiego D.W. Griffitha, o którym Colm nigdy nie słyszał, szybko wyjaśniło się jednak, że to reżyser filmowy i że jeden z jego filmów, Narodziny narodu, jest klasykiem

wszech czasów. Wyglądało na to, że Colm jest jedyną osobą w towarzystwie, która nie widziała tego filmu. I nic dziwnego, skoro jeszcze nigdy nie był kinie!

Następnym tematem był chaos panujący w Rosji i wtedy Colm po raz pierwszy tego wieczoru odważył się wyrazić głośno swoją opinię.

— To najlepsza rzecz, jaka się mogła przydarzyć temu nieoświeconemu krajowi — stwierdził, używając dokładnie tych samych słów, które padły z ust Lizzie, kiedy o tym rozmawiali.

— Car jest niewątpliwie gówno wart —
zagrzmał jakiś mężczyzna z
rozczochną brodą, która sięgała mu aż
do piersi — ale i bolszewicy nie lepsi.
Ten kraj jest teraz w gorszym stanie, niż
był przedtem.

— Tak, ale pamiętaj, Wiktorze —
zaprotestowała jakaś kobieta — że nie
dano im zbyt wielu szans poprawienia
sytuacji, prawda? Mają przeciwko sobie
Francuzów, Brytyjczyków i
Amerykanów, nie mówiąc już o Japoń-
czykach, którzy trzymają we
Władywostoku
siedemdziesiąt tysięcy armię. Jak
można nakarmić naród, będąc bez
przerwy w stanie wojny?

Colm szybko się ulotnił; teraz wyrzucał sobie, że w ogóle się odezwał, i bał

się, że ktoś może go spytać o zdanie, podczas gdy on nie miał w tej kwestii żadnego. Odczuł wielką ulgę, kiedy po jakichś trzech godzinach tortur dwóch gości oświadczyło, że wychodzą, co znaczyło, że i on może już sobie pójść.

— Zostań jeszcze trochę, Colm — poprosiła Lizzie, kiedy się do niej zbliżył, by powiedzieć, że wychodzi. — Jest coś, o co chciałam cię poprosić.

Musiał zatem zostać jeszcze przez pół godziny, aż wreszcie wszyscy sobie poszli. Ale był zadowolony. Spośród

wszystkich tych intelektualis-tów Lizzie chciała zatrzymać tylko jego.

— O co chciałaś mnie prosić? — spytał, kiedy drzwi się zamknęły za ostatnim z gości.

Oparła się o nie z uśmiechem. Falbanki sukni zsunęły się z ramion tak, że mógł dostrzec białą wypukłość jej piersi. Pod cienką tkaniną widział sterczące sutki.

— Oto!

Podeszła do niego, nadal uśmiechnięta, położyła drobne rączki na jego policzkach, wreszcie, uniósłszy się trochę na wysokich obcasach, przycisnęła wargi do jego ust. Już ją

miał odsunąć, kiedy poczuł, jak jej język toruje sobie drogę pomiędzy jego zębami i zaczyna badać wnętrze ust.

Pod Colmem ugięły się kolana. O takich pocałunkach słyszał wprawdzie, nigdy jednak ich nie doświadczył. Jej perfumy sprawiały, że kręciło mu się w głowie. Zamrugął, jeszcze kontrolując się na tyle, żeby ponownie spróbować odepchnąć od siebie to kuszące ciało, kiedy zaczęła się o niego ocierać, mruczając:

— Chciałam tego od dnia, kiedy się poznaliśmy...

Wtedy Colm był już stracony.

Szedł jak nieprzytomny jasnymi,
oświetlonymi blaskiem księżycy
ulicami. Szedł z powrotem do Brenny, z
powrotem do miłości swojego 117

życia, do jedynej kobiety, której zawsze
pragnął, jedynej kobiety, której dotykał
— aż do dzisiejszego wieczoru.

Lizzie go uwiodła! A on, słaby,
bezwstydy — uległ. Aż do tej nocy
jedynym, co go interesowało w Lizzie,
był jej umysł. Do dzisiaj wszystkim, co
chciał z nią robić, była rozmowa. Teraz
nie chciał jej nawet widzieć.

Nigdy więcej. Odejdzie z firmy jej ojca,
znajdzie inną pracę — ba!, łatwo
powiedzieć, trudniej wykonać... ale

jakoś sobie poradzi.

W domu na Shaw Street wszystkie światła były pogaszone. Brenna musiała się już położyć. Wszedł tylnym wejściem i skradał się jak złodziej po schodach, żeby nie obudzić jej ani dzieci. Światło księżycy wlewało się przez okno pokoju, w którym leżała, śpiąc mocnym snem. Jej złotorude włosy rozsypały się na poduszce. Pomyślał, że jest bardzo piękna. Rozbierał się, starając się robić to jak najciszej, ale nie mógł sobie poradzić z zapięciami sztywnego kołnierzyka. Powinien go odpiąć już na dole!

Nagle przednia spinka wystrzeliła mu z palców i z cichym stuknięciem

wylądowała na linoleum. Ten dźwięk wystarczył, by Brenna się obudziła.

— Cześć, kochanie — powiedziała sennym głosem. — Jak było na zebraniu?

— W porządku.

— Colm, nie gniewaj się, że wcześniej tak głupio się zachowywałam

— powiedziała ze skruchą — ale zrobiłam wczoraj straszną głupotę.

Poprosiłam Katie, żeby mi powróżyła z fusów od herbaty, a ona mi naopowiadała jakichś okropnych rzeczy.

— Tak, Bren, to było głupie. —
Ściągnął podkoszulek, marząc o tym,
żeby znaleźć się już w łóżku.

— Teraz już to wiem, Colm — odparła
cichutko. — Znowu będę miała dziecko.

Colm ściągnął spodnie, rzucił je na
podłogę, wślizgnął się do łóżka i
przytulił do żony.

— To wspaniała wiadomość, kochanie!
Jezus Maria! Nie masz pojęcia, jak
straszenie dzisiaj za tobą tęskniłem.
Chyba już się nie wybiorę na kolejne
zebranie Partii Pracy.

Mościła się w jego objęciach.

— Bardzo dobrze, kochanie. Grałam z Tyrone'em w karty... Wiesz, tymi kartami, co to je kupiłam niedawno. I ty też byś się dobrze bawił.

— Na pewno.

Gra w karty z żoną i synem byłaby z pewnością o wiele zabawniejsza niż to przyjęcie, włącznie z końcowym dodatkiem... z Lizzie.

118

— Co tak pachnie? — Brenna podniosła głowę i pociągnęła nosem. —

Znam ten zapach, to te drogie perfumy, których używa Eleanor Al lar dyce. —

Podniosła głos. — Gdzie ty u diabła byłeś, Colm, że wracasz do domu i śmierdzisz perfumami?

— Lizzie Phelan była na tym zebraniu — powiedział, siląc się na obojętność, ale czuł, że serce zaczyna mu paskudnie walić, a całe ciało opanowuje najzwyklejszy strach. — Siedziała obok mnie. Może ten zapach przepłynął od niej, czy co...

— Przepłynął od niej! — Brenna w jednej chwili usiadła na łóżku. —

Masz go na całym ciele, na twarzy, na szyi... Założę się, że jest też na twojej koszuli i marynarce... A może nie miałeś nic na sobie, kiedy ten zapach

„przepłynął od niej”?

— Nie, kochanie. — Leżał jak przybity gwoździami do łóżka, zbyt słaby, żeby się ruszyć.

— Spałeś dzisiaj w nocy z Lizzie Phelan, Colm? — zapytała Brenna spokojnie.

— Nie, kochanie. — Zaczął płakać. — Tak, kochanie, ale tylko dlatego, że ona mnie namówiła, sama się na mnie rzuciła, przysięgam. Prawie nie wiedziałem, co robię. — Odwrócił się i spróbował wziąć Brennę w ramiona.

Na próżno, odepchnęła go gwałtownie.

— Wynocha ode mnie! — zasyczała. — Nie chcę, żebyś mnie już więcej dotykał, Colmie Caffrey. Nigdy ci nie przebaczę tego, co dzisiaj zrobiłeś.

— Nie chciałem tego, Bren. Już ci mówiłem, ona sama mnie... — Głos mu uwiązł w gardle. To nie było żadne wytłumaczenie, wiedział o tym.

Och, gdyby tylko mógł cofnąć czas o tych kilka ostatnich godzin i przeżyć je jeszcze raz! Albo gdyby pomyślał o tym, żeby się umyć, zanim wszedł

na górę...

— Dokąd idziesz? — zapytał, widząc, że Brenna wstała z łóżka.

— Idę spać do pokoju Cary, do łóżka Paddy'ego. Od dzisiaj będę tam zawsze spać, a ty możesz mieć ten pokój tylko dla siebie.

— Ale po co to wszystko, kochanie. Nie trzeba...

— Właśnie, że trzeba! To była nasza ostatnia noc w tym łóżku, Colm.

Już nigdy więcej, skończyło się. Od dziś możesz sobie spać sam, do cholery.

Leżała na łóżku Paddy'ego i przez pręty dziecięcego łóżeczka Cary widziała granatowe, upstrzone gwiazdami niebo. Była pewna, że tej nocy 119

już nie zaśnie. Głowę miała jak w ogniu — i czuła też inny ogień w swoich wnętrznościach, na myśl o Colmie z inną kobietą, Colmie robiącym to, co dotychczas należało tylko do niego i Brenny. Czy po tym wszystkim trzymał ją w ramionach i mówił, że ją kocha? To tak strasznie bolało, że chciało jej się krzyczeć i krzyczeć, bez końca, tak żeby nie myśleć o Lizzie Phelan i o swoim mężu.

Cara zakwiliła przez sen. Brenna wsunęła rękę przez szczebelki i delikatnie poklepała małe, gorące ciało.

— Cicho, cicho, kochanie — szepnęła.
— Mama jest tutaj.

Nie cofnęła ręki, czerpiąc jeszcze przez chwilę coś na kształt przyjemności z wyczuwania spokojnego oddechu Cary. W końcu miała też dzieci, które kochała i które ją kochały. Nie była pewna, czy jeszcze kocha Colma, ale chyba tak... Inaczej ból nie byłby tak strasznie dojmujący.

Cofnęła rękę i zwinęła się w kłębek pod przykryciem. Nie było jej wygodnie na twardej, jakby wypchanej cementem poduszce. Wczoraj, w którymś momencie, zdołała przekonać samą siebie, że to po prostu zbieg okoliczności, kiedy Katie stwierdziła, że Brenna ma czworo dzieci, podczas gdy

ona miała tylko troje, bo właściwie jeszcze nie wiedziała, że czwarte jest już w drodze.

A te inne rzeczy to nonsens, „stek bzdur”, jak powiedziała Nancy.

Krzyż obok róży, który oznaczał wielką tragedię, sztylet, oznaczający zdradę, płacząca kobieta...

Ale tej nocy Colm spał z Lizzie Phelan. Czy mogła być większa zdrada niż to?!

Rozdział 5

— To niemożliwe!

Eleanor stanęła bokiem i znów spojrzała

na swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym w garderobie.

— To niemożliwe... — powtórzyła głośno, zadając kłam temu, co widziała — jej brzuch był nabrzmiały, a niektóre z sukienek, zwłaszcza te bardzo dopasowane, zrobiły się ostatnio za ciasne, i to nie tylko w biodrach, ale i w pasie.

— jestem w ciąży! — Była tego niemal pewna, chociaż do tej pory ani jej nie mdliło, ani nie brakowało jej tchu, nie miała też żadnych problemów z jedzeniem. Już od tygodni czuła się wyjątkowo dobrze. Nigdy nie miesiączkowała regularnie, więc nawet dłuższa przerwa nie była w jej

przypadku czymś niezwykłym. — Może dlatego czuję się tak dobrze, że to dziecko Daniela. — Przypomniała sobie, co obiecał jej Daniel — że będzie uważał, żeby nie zaszła w ciążę, i stosował w tym celu jakieś zabezpieczające środki.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedziała sobie. — Właściwie jestem zadowolona, naprawdę zadowolona.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Byli w sobie tak bardzo zakochani, że każde rozstanie stawało się torturą. Ale teraz nosiła w łonie ich dziecko i wobec tego będzie musiała opuścić Marcusa i zamieszkać z Danielem.

Nie mogła się wprost doczekać, żeby się z nim podzielić tą nowiną. Jaka szkoda, że była niedziela... Zobaczy go dopiero jutro. Będzie musiał się wyprowadzić ze swojego wynajętego mieszkania, a wtedy wynajmą mały domek, niezbyt daleko od Parliament Terrace, żeby mogła widywać 121

Sybil — Marcus przenigdy nie odda jej swojej ukochanej córeczki, ale prawie na pewno się zgodzi, żeby wzięła ze sobą Anthony'ego.

Z rosnącym podnieceniem siadła na łóżku i zaczęła planować swoje życie z Danielem. Będzie mu nadal płaciła za nauczanie Anthony'ego, przecież to jego jedyne źródło dochodu. Miała nadzieję,

że jej ukochany nie uzna tego za zbyt poniżające. Zaangażuje się kobietę do sprzątanania i prania, ale gotować będzie ona sama — już z góry się na to cieszyła.

W piwnicy są niepotrzebne meble, okropnie staroświeckie, ale na pewno się przydadzą, zanim kupi nowe, bardziej nowoczesne; w sam raz do niewielkiego domu. Nancy dobrze szła na stojącej w pralni maszynie Singera; będzie mogła dla nich uszyć ładne zasłony.

Wszystko układało się wręcz cudownie.

Zabrział gong wzywający na lunch. Eleanor zeszła do jadalni i zastała tam

Marcusa — jak zwykle naburmuszonego. W czasie posiłku prawie ze sobą nie rozmawiali, a Eleanor myślała, jak to będzie cudownie, kiedy już nie będzie musiała siedzieć z nim przy stole. Ponieważ była niedziela, przyszedł do nich Fergus, ale Marcus już dawno zdecydował, że wobec tego Anthony będzie z nim jadał w kuchni.

— Ci dwaj działają mi na nerwy — poskarżył się kilka miesięcy temu.

Skończył jeść i oznajmił, że wybiera się do klubu. Eleanor została przy stole i zastanawiała się, co będzie robić po południu. Z przyjemnością by tu została i rozmyślała, jakie też precudowne życie będzie wiodła z Danielem, zazwyczaj

jednak zabierała chłopców do Chester albo do Southport na podwieczorek, więc ze słodkich rozmyślań nici... Najbardziej lubili Southport, gdzie mogli grać w piłkę nożną albo w krykieta na złocistym piasku, który zdawał się ciągnąć bez końca, zanim docierał do brzegu morza. Lennie Beal, który pracował w fabryce i był ich szoferem, mógł w każdej chwili przyjechać i zabrać całą trójkę samochodem.

Oczywiście mogłaby go odesłać, gdyby chciała, ale — prócz spotkania z Danielem — Eleanor właściwie nie była pewna, czego chce w tym dniu, w którym odkryła, że spodziewa się

dziecka.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Poprosi Lenniego, żeby ich zawiózł do Southport, wybierając trasę przez Spellow Lane; tam się zatrzymają, a ona przekaze Danielowi tę cudowną wiadomość.

Listopadowy dzień był bardzo zimny, ale niebo bezchmurne i słońce świeciło przez okienka wolseleya, tak że obite skórą siedzenia były 122

zupełnie ciepłe. Liverpool nigdy jeszcze nie wyglądał tak pięknie, myślała Eleanor, kiedy jechali prawie pustymi ulicami. Wszystkie sklepy były zamknięte, na ulicach prawie nie widać

było przechodniów, a pojazdów też jak na lekarstwo.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie mam zatrzymać, pani Allardyce —

zwrócił się do niej Lennie, kiedy wjechali na Spellow Lane.

— Za jakieś sto metrów, przed takim małym magazynem krawieckim

„Myersons”. Ktoś, z kim mam się zobaczyć, mieszka nad nim.

— Anthony chce się dowiedzieć, kim jest ta osoba, którą chcesz zobaczyć — powiedział Fergus, kiedy samochód się zatrzymał. Chłopcy z ożywieniem

rozmawiali językiem migowym już od chwili wyjazdu z Parliament Terrace. Fergus obowiązkowo przekazywał każdą informację.

— Powiedz mu, że to ktoś, kogo nie zna — wyjaśniła. Gdyby jej syn wiedział, że chodzi o Daniela, mógłby się upierać, że chce z nią pójść.

Zapukała do drzwi obok sklepu i pomyślała, że właściwie mogłaby z nim zamieszkać w wynajętym apartamencie przez ten czas, kiedy będą szukać domu. Był całkiem wygodny, aczkolwiek — jak na jej gust —

trochę za bardzo zagracony.

Daniel otworzył — i aż wytrzeszczył oczy na widok swojego gościa.

A to dopiero niespodzianka! Eleanor pchnęła drzwi i szybko weszła do środka.

— Chłopcy są przed domem, w samochodzie. Nie chciałam, żeby się z tobą spotkali.

— Dlaczego nie?

Włosy miał w nieładzie, koszulę bez kołnierzyka. Nosił pasiaste, biało-czarne szelki. Uznała, że wygląda bardzo uroczo.

— Pocałuj mnie — zażądała.

Zaśmiał się.

— Z przyjemnością. — Wziął ją w ramiona i głośno pocałował. —

Skąd ta wizyta? Przypuszczam, że nie ze zwykłego powodu, skoro wzięłaś ze sobą Anthony'ego i Fergususa?

— Wybieramy się do Southport, ale musiałam ci coś powiedzieć. Czy moglibyśmy wejść na górę?

— Naturalnie.

Odsunął się i przepuścił ją przodem. W jego pokoju na małym kominku płonął ogień, na palenisku grzała się herbata, a cały stół był zarzucony mapami. Było

ciepło i przytulnie.

— Właśnie studiowałem mapę świata
— wyjaśnił.

123

No cóż - będzie musiał odłożyć swoje
podróżnicze plany do czasu, aż ich
dziecko urośnie.

Uśmiechała się tak, że po prostu czuła
promieniowanie bijące z jej twarzy.

- Daniel, kochany! Spodziewam się
dziecka - naszego dziecka.

Szczęka mu opadła.

- Niemożliwe!

- Ależ tak. - Głos jej się załamał. Nie takiej reakcji oczekiwała.

- Ale... ja zawsze się starałem, żebyś nie zaszła...

Wziął ze stołu mapę i zaczął ją składać dokładnie według załamania.

Ręce mu się trzęsły, na górnej wardze wystąpiły kropelki potu.

Eleanor w zupełnie nieelegancki sposób klapnęła na krzesło. W głowie jej wirowało i czuła straszne mdłości.

- No, to ci się nie udało, bo jestem w

cięży i już widać to nawet pod sukienką. Mam ci pokazać? - spytała ostrym tonem, zupełnie niepodobnym do jej własnego głosu.

- To może być... twojego męża. - Sięgnął po kolejną mapę z zamiarem jej złożenia, ale wydarła mu ją z rąk.

- To nie może być mojego męża. To może być tylko twoje.

- Może wtedy, kiedyśmy pierwszy raz...
- wykonał ręką ruch w kierunku drzwi sypialni. — Wtedy, pierwszy raz... może nie zdążyłem się wycofać dostatecznie szybko.

- Wobec tego, Danielu, to jest

przyczyna, dla której teraz spodziewam się twojego dziecka - stwierdziła Eleanor tym samym ostrym tonem.

- Co chcesz, żebym zrobił? — spytał bezradnie.

- Na początek chcę, żebyś się poczuł trochę bardziej odpowiedzialny za swoje czyny.

- W jaki sposób?

- Myślałam, że chcesz, żebyśmy zamieszkali razem. Myślałam, że mnie kochasz... Tak często to powtarzałeś. Ja ciebie kocham.

Ze wszystkich sił starała się nie

rozplakać i była na siebie wściekła, kiedy poczuła, że po policzkach spływają jej dwie łzy. Otarła je szybko rękawem i twardo postanowiła, że więcej ich nie będzie.

- Czy ja cię kocham! Och, najmilsza, kocham cię całym sercem. -

Ukląkł u jej stóp i objął ją rękoma w talii. - Ale... - tu westchnął.

- Ale co?

- Przecież się umówiliśmy, prawda, już od samego początku, że to będzie tylko miłosna przygoda? Było nam obojgu wprost cudownie, ale 124

to prowadziło donikąd. — Patrzył na nią błagalnie, jakby się spodziewał, że Eleanor się z nim zgodzi, a zaraz potem pójdzie sobie do domu i nie będzie mu już więcej zawracała głowy.

— Prawda, tak właśnie się umówiliśmy, ale, Danielu, to już nie jest tylko miłosna przygoda; doprowadziliśmy do tego, że jestem w ciąży z twoim dzieckiem.

Obruszył się.

— Mam za mało pieniędzy, żeby utrzymać ciebie i dziecko.

— Myślałam, że przez te wszystkie lata oszczędzałeś na podróż dookoła świata.

— Mam zaoszczędzonych około trzydziestu pięciu funtów.

Podniósł się i cofał krok za krokiem w głąb pokoju, jakby się bał, że Eleanor zechce mu wydrzeć te pieniądze.

Miała ponad sto razy więcej, ale nie zamierzała bynajmniej mu o tym mówić. Te pieniądze mogłyby go przekonać do związania się ze swoją ciężarną kochanką — lecz to właśnie pieniądze były jedynym powodem, dla którego Marcus ożenił się z nią przed laty, a ona nie chciała powtarzać tej historii.

— Może twój mąż uzna to dziecko za swoje?

— Naprawdę tak myślisz? — Zachciało jej się śmiać.

— Eleanor, już od szesnastego roku życia marzyłem o podróżach.

Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Znowu to błagalne spojrzenie.

Eleanor wstała.

— Och, cóż... w takim razie nie będę cię zatrzymywać.

— W innych okolicznościach — mówił ostrożnie — nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby cię zostawić, ale masz

bogatego męża, piękny dom. Przecież na pewno nie chciałabyś żyć w nędzy.

— Nie, nie chciałabym, prawda? Cóż, bądź zdrow, Danielu. Chłopcy na pewno już się niepokoją, gdzie jestem.

Odprowadził ją do drzwi.

— Czy chcesz... żebym jutro przyszedł, jak zwykle?

— Oczywiście. Anthony cię potrzebuje, i to jest jedyny powód. A jeśli o mnie chodzi... to wolałabym już nigdy więcej cię nie oglądać.

— Nancy?

— Tak, złotko?

125

Nancy miała dziś wolny dzień, mimo to jednak szykowała w kuchni wieczorny posiłek.

— Strasznie boli mnie głowa i chcę się położyć. Powiedz siostrze Hutton, żeby mnie zostawiła w spokoju, dobrze? Nie chcę, żeby mi się tu kręciła.

Nancy spojrzała badawczo na Eleanor.

— Jesteś blada jak śmierć. Może ci podać aspirynę? Już wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz miałaś tę swoją migrenę.

— To pewnie przez ten wiatr w Southport. Na plaży wiało tak przenikliwie, że aż mi łzy ciekły z oczu.

Rzeczywiście, na plaży popłakała się jak głupia. Chłopcy byli za daleko, żeby ją widzieć, a Lennie Beal czekał w samochodzie.

— Słuchaj, złotko, siądź sobie tutaj, zaraz ci zrobię pyszną, mocną herbatę — uwielbiam ten nowy czajnik. Za momencik znajdę aspirynę, weź najlepiej dwie, a dopiero potem się połóż. Co ty na to?

— Dobrze.

Eleanor usiadła na swoim zwykłym

miejscu przy stole; to miejsce było o wiele przyjemniejsze niż zimna sypialnia; tam mogła najwyżej płakać i płakać bez końca, a potem czuła się jeszcze gorzej. Kiedy jednak siadła na starym miejscu przy kuchennym piecu, tym miejscu, na którym siadywała od czasu, kiedy była małą dziewczynką, kiedy jej ojciec żył, a jej samej życie wydawało się jeszcze tak nieskomplikowane i szczęśliwe

— poczuła wielką gulę w gardle i zalała się łzami.

— Eleanor! — Nancy już była przy niej i głaskała ją po włosach. —

Och, moja ty biedna dziewczynko. O co

chodzi?

— Spodziewam się dziecka, ale ono nie jest Marcusa... Daniel jest jego ojcem, a on nie chce już więcej być ze mną!

Cóż to była za ulga — móc wyrzucić z siebie wszystko.

— Matko Przenajświętsza! — jęknęła Nancy. — I co ty teraz zrobisz, złotko?

— Nie mam pojęcia. Pod żadnym pozorem nie mogę o tym powiedzieć Marcusowi. Chybaby mnie zabił.

Eleanor aż zadrżała na samą myśl, że musiałyby wyznać prawdę mężowi.

— Może się okazać, że Marcus już wie o tobie i Danielu, tak sądzę —

stwierdziła Nancy, a Eleanor krew ścieła się w żyłach.

— Jakim cudem mógłby o tym wiedzieć? — spytała drżącym głosem.

— Myślałam, że wszystko trzymaliśmy w sekrecie.

126

— To było zupełnie oczywiste wtedy, parę tygodni temu, na urodzinach Sybil; nawet ja się domyśliłam. Nigdy nic nie powiedziałam. Czekałam, aż sama mi o tym powiesz w odpowiednim czasie.

— Oczywiście? — Eleanor całkiem osłupiała.

— Ty i on mieliście to wypisane na twarzach, złotko. — Nancy jęknę-

ła. — Och, mój Boże! A teraz spodziewasz się dziecka. Ale wpadłaś! Jak śliwka w kompot!

Eleanor się zaśmiała — nieco histerycznie.

— Chyba nie myślisz, że powinnam się pozbyć tego kłopotu?

— Ani przez chwilę, dziewczynko. — Obie siedziały w milczeniu, wpatrując się w ogień. — No cóż... zawsze

mogłabyś się zdać na łaskę Marcusa —
powiedziała Nancy po chwili, ale jej
twarz wyrażała powątpiewanie.

Eleanor uniosła brwi.

— Naprawdę myślisz, że to by miało
sens?

— Nie. — Potrząsnęła głową Nancy. —
To tylko taka głupia myśl.

Szczerze wątpię, czy jest w nim chociaż
odrobina litości.

— Nie ma innej rady, po prostu muszę
odejść; już to nawet zaplanowałam.
Początkowo myślałam, żeby zamieszkać
z Danielem, ale obawiam się, że nic z

tego nie będzie. — Myśl o Danielu sprawiła, że znów zachciało się jej płakać.

— Ale dlaczego miałabyś odejść, to nie w porządku! — Głos Nancy stał się gniewny. — Ten dom należał do twojego ojca, a on zostawił go wam obojgu — tobie i Marcusowi. Dlaczego miałabyś odchodzić? Bez względu na to, co zrobiłaś, Eleanor, masz święte prawo, żeby tu mieszkać.

— Och, Nancy! Wtedy na pewno postarałby się o to, żebym była jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż teraz. Wiesz dobrze, że tak by zrobił.

A tego bym nie zniosła. — Zastanowiła

się przez chwilę. — Miałyby nawet prawo mnie stąd wyrzucić. Bądź co bądź, popełniłam cudzołóstwo...

Miłość z Danielem nigdy jakoś nie kojarzyła się jej z cudzołóstwem...

brrr, co za okropne słowo!

— Tak czy siak, to nie jest w porządku
— mruknęła Nancy.

Przez kilka następnych dni w umyśle Eleanor panował chaos, w dodatku dręczyły ją koszmarne bóle głowy. Daniel wciąż do nich przychodził, ale zawsze pilnowała, żeby się z nim nie spotkać, chociaż miała jeszcze odrobinę nadziei, że padnie jej do stóp i powie:

wszystko od nowa i zmieniłem zdanie... Za bardzo cię kocham, by pozwolić ci odejść. Z całego serca pragnę, żebyśmy spędzili razem resztę życia...". Myślała, że właśnie tego chciał, sądząc z wrażenia, które dawniej na niej wywierał. Jak mogła być tak naiwna, żeby mu wierzyć?

Niezliczoną ilość razy powtarzała sobie ich ostatnią rozmowę, słowo po słowie. Wspominała każdą modulację jego głosu, zmieniający się wyraz jego twarzy. Możliwe, że — jak zapewniał — naprawdę ją kochał, ale było też coś, co kochał jeszcze bardziej. Podróżę. Być może, że nawet sobie z tego nie

zdawał sprawy. Aż do chwili, kiedy musiał wybierać.

Nie była jednak pewna także i tego, czy chciałyby nadal z nim być, gdyby nawet zmienił zdanie. Naprawdę miarodajna była tylko jego pierwsza reakcja, ona zaś chciała pełnego zaangażowania, a nie jakiejś połowicznej obietnicy, że zajmie się nią i ich dzieckiem tylko dlatego, że gryzie go sumienie.

Sumienie chyba jednak nie gryzło zbytnio Daniela, ponieważ starał się jej unikać tak samo konsekwentnie jak ona jego. A poza tym Eleanor nie tylko usiłowała pogodzić się z myślą, że została tak okrutnie porzucona, lecz

także musiała stawić czoło własnemu
strachowi przed mężem. Bo on wiedział!
Wiedział o nich już od tygodni.
Dlaczego nigdy się z tym nie zdradził,
ani słowem? Na co czekał?

Eleanor nie sądziła, że kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by stanąć przed Marcusem i powiedzieć mu w oczy całą prawdę. Najlepiej byłoby znaleźć dom, i to jak najszybciej, zanim jej ciąża stanie się widoczna

— i wtedy po prostu odejść, kiedy Marcus będzie w fabryce czy w klubie, zabierając tylko swoje ubrania; poza tym powinna mu zostawić oboje dzieci. W obecnej sytuacji Daniel mógł w każdej chwili zostać zwolniony (nawet się dziwiła, że Marcus dotąd tego nie zrobił), a to nie byłoby w porządku wobec Anthony'ego — odbierać mu wychowawcę i równocześnie pozbawiać domu rodzinnego. Ta decyzja

łamała jej — i tak już złamane — serce, ale gotowa była na takie poświęcenie, chcąc jak najlepiej dla swojego dziecka. Tak czy owak, nie miała nadziei, że kiedykolwiek uda się jej porozumieć z synem, w żaden sposób bowiem nie potrafiła nauczyć się języka migowego. Nancy robiła to lepiej od niej; a poza tym był jeszcze Fergus, który zastępował Anthony'emu uszy.

— Jutro trzeba się będzie wziąć do szukania domu — postanowiła Eleanor z westchnieniem.

128

Brenna i Colm zamienili się pokojami. Teraz Colm zajmował mały pokoik

gościnnie, a Brenna i Cara spały w dużym podwójnym łóżku w sypialni; opustoszałe łóżeczko w rogu pokoju czekało na nowe dziecko, które miało się urodzić w maju. Jeżeli będzie chłopiec, dadzą mu na imię Rory, a jeśli dziewczynka — Maire.

Fergus i Tyrone zauważyli te zmiany, nic jednak nie mówili na ich temat. Bez wątpienia nie docierało jeszcze do nich znaczenie faktu, że tata i mama śpią teraz osobno.

Nienarodzone dziecko spoczywało w brzuchu Brenny jak kawał ołowiu.

Aż drżała na myśl, jak to będzie za cztery czy pięć miesięcy. Niemal bez

przerwy czuła się ospała i trochę
niezdrowa, chodziła niezdarnie po
domu, potykając się o meble i dywaniki.
Z trudem wchodziła na schody, jakby
miała dziewięćdziesiąt lat.

— Nigdy się tak nie czułam, kiedy
chodziłam w ciąży z tamtą trójką

— zwierzyła się Colmowi.

W tak małym domu nie sposób było
udawać, że go nie zauważa, zatem po
paru dniach ciszy i ostentacyjnego
chłodu znów zaczęła z nim rozmawiać.

— Wiem, kochanie.

Był niezwykle współczujący i

wyrozumiały. Kiedy tylko wracał z pracy, nie pozwalał jej nawet kiwnąć palcem: zmywał naczynia i kładł dzieci do łóżek. Nalegał, żeby Brenna robiła pranie w niedzielę, która miała być dniem odpoczynku. Sam maglował, rozwieszał ciężkie rzeczy na sznurze i podciągał je pod sufit — zadanie to wymagało bardzo dużej siły rąk.

Brenna w tym czasie całkiem opadła z sił.

Przyjmowała wszystko z wdzięcznością. Nie robił tego z myślą, że wybaczy mu romans z Lizzie Phelan. I tak by to robił — po prostu dlatego, że taki miał charakter, a Brenna nadal rozpaczliwie go kochała.

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła, żeby poszli razem do łóżka, żeby Colm gładził jej ciężki brzuch i by ten ciężar zelżał, a ona się wzmocniła i mogła uśmiechać się tak jak dawniej — bo teraz jakoś nie było jej wcale do śmiechu.

Dzisiaj przed wyjściem do pracy rozpalił ogień, zrobił herbatę i owsiankę dla dzieci, a teraz dom był już pusty, została w nim tylko ona i mała Cara, która bawiła się pod stołem klockami zrobionymi przez tatę.

Brenna z wysiłkiem podniosła się z krzesła. Trzeba było posprzątać, pościerać kurze. Czuła się słaba jak

szczeniak, ale miała też mocne postanowienie — jej dom musi być czysty.

129

Weszła na górę i pościeliła łóżka; na poszewkach poduszek chłopców zauważyła kleiste ślady lizaków, przywiezionych przez Fergusa z wycieczki do Southport.

— To pani Allardyce nam kupiła, mamó. I jeden dodatkowy dla Tyrone'a.

— To bardzo miło z jej strony, naprawdę — rzekła Brenna z zaciśniętymi ustami.

— Wyglądała dziś na bardzo nieszczęśliwą... to znaczy pani Allardyce.

Cały czas płakała. Oczy to miała całkiem czerwone.

— Hm! Niby też o co miałyby płakać?

— Nie wiem, mamó. Nie zapytałem. Ona płakała tylko wtedy, kiedy myślała, że ani ja, ani Anthony nie patrzymy.

— Oj, pewnie się martwiła, że fryzjer ją źle uczesał, albo nie podobała się jej nowa sukienka — mruknęła Brenna.

Otworzyła okno i wstrząsnęła poduszki, po czym ułożyła je z powrotem na

łóżkach — trzeba będzie jednak pozmieniać te poszewki, choć co prawda przypadający raz w tygodniu dzień zmiany poszewek już minął.

Colm już pościelił swoje łóżko. Miała ochotę się rozplakać, kiedy zobaczyła, jak sumiennie to zrobił. Prześcieradła były porządnie zatknięte pod materac, a poduszka spulchniona. Wypożyczone do czytania książki ułożył w równy stosik na sosnowym krześle, które Brenna kupiła za trzy pensy w sklepie z używanymi rzeczami i przywiozła triumfalnie do domu na wózku Cary.

Książka leżąca na wierzchu była zatytułowana Lewellerzy. Historia*.

Brenna musiała podzielić słowa na sylaby, a potem wymawiać je bardzo powoli, mimo to jednak nie potrafiła doszukać się w nich sensu. Pozostałe książki miały równie trudne tytuły; nawet nie pró-

bowiała ich odczytywać — jej praca nad lepszym opanowaniem czytania posuwała się na razie dość opornie. Wszystkie książki Colma traktowały o polityce — tyle wiedziała. Czytał je, kiedy ona już poszła do łóżka.

— Chcę się rozwijać — powiedział jej kiedyś. — Nie zamierzam przez całe życie pracować na budowie.

* Lewellerzy — stronnictwo polityczne,

funkcjonujące głównie w czasie rewolucji burżuazyjnej w Anglii, 1647-1649. Reprezentowali interesy mieszczaństwa i częściowo

chłopów. Ruch, stłumiony przez Olivera Cromwella, potem przekształcił się w ruch religijny.

130

Brenna nie miała pojęcia, czy jej mąż nadal widuje się z Lizzie Phelan.

To nazwisko zostało wymienione w jej domu po raz ostatni tej nocy, kiedy Colm wyznał, że się z nią kochał.

Colm z ulgą skonstatował, że nie musi

jednak zmieniać pracy. Kiedy następnego dnia po owym brzemiennym w skutki przyjęciu nadeszła pora obiadu, Colm schował się za ostatni sąg drewna, siadł na przewróconym kubie i zjadał przyniesione z domu kanapki. Przysięgać sobie na gorąco, że się zmieni pracę, to jedno, ale w chłodnym świetle dnia okazało się, że to wcale nie jest takie łatwe. Miał tylko nadzieję, że Lizzie nie będzie go szukać, kiedy go dziś zabraknie w kuchni na herbacie.

Ale już po paru minutach go zawołała.

— Colm? Colm? Herbata gotowa!

Skulił się na swoim wiadrze, starając się stać jak najmniej widoczny, po

chwili jednak już się zjawiała, ubrana w jeden ze swoich eleganckich strojów; wyglądała niezwykle ładnie i była szczerze rozbawiona.

— Colm! — zaśmiała się. — Och, ty biedaku! Czyżbyś był skrepowany po tym, co się wydarzyło w sobotę?

— Tak — przyznał.

— Zupełnie niepotrzebnie. Nie zrobiliśmy nic, czego moglibyśmy się wstydzić.

— Ja zrobiłem — odparł chmurnie. — Przypadkiem jestem żonaty.

— Kochaliśmy się, Colm, i to wszystko.

Czy to coś zmienia w twoim małżeństwie?

— Moja żona się domyśliła, to po pierwsze, a po drugie, to po prostu nie było w porządku. Złamałem jedno z dziesięciorga przykazań.

Wprawdzie nie „pożądał żony bliźniego swego”, bo Lizzie nie była przecież mężatką, ale, tak czy siak, to był grzech.

— O Boże! — Wzięła drugi kubeł i usiadła obok Colma ani trochę nie zmieszana. Jej łydki, lśniące w cienkich, jedwabnych pończochach, prawie dotykały jego nóg. — Czy twoja żona się gniewa?

— Można tak powiedzieć — odparł zgrzyliwie, odsuwając jej nogi.

Przechyliła na bok głowę i popatrzyła na niego z ciekawością.

— Ja wierzę w wolną miłość — powiedziała. — Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludzie robią tyle hałasu, jeżeli ich partner prześpi się z kimś innym. To, co zrobiliśmy, nic nie znaczy, ot, po prostu miła chwila zapomnienia. Nie powinna w ogóle wpłynąć na twoje małżeństwo.

131

— Ale wpłynęła... — burknął.

— Może chciałbyś, żebym się zobaczyła z twoją żoną i wszystko jej wytłumaczyła? — zaproponowała.

Zdobył się na uśmiech.

— To chyba nie jest dobry pomysł.

Nie próbował nawet sobie wyobrazić reakcji Brenny, gdyby Lizzie stanęła w progu ich domu.

— Och, w porządku. — Wstała. —
Lepiej już wróć do pracy. Jeśli chce ci się pić, herbata jest w kuchni.
Spodziewam się, że wolałbyś, żebym tu już nigdy więcej nie przyszła.

— To twój dom. Nie mam prawa

decydować, czy powinnaś tu przychodzić, czy nie.

— Przychodziłam tu tylko dla ciebie. Spodobałeś mi się, Colm, i miałam na ciebie ochotę... Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam. Ale nie chcę, żebyś w środku zimy jadł kanapki na dworze, bo krępujesz się spojrzeć mi w twarz.

Na Boga, jakaż ta kobieta była pewna siebie! Tak po prostu oświadczyć bez żenady, że miała na niego ochotę! Innymi słowy — już od samego początku chciała go uwieść. Aczkolwiek niechętnie, podziwiał jej tupet, chociaż chyba wolałby, żeby to był jakiś inny nieszczęśnik, a nie on.

— Cześć, Colm. — Odeszła kawałek, ale zaraz zawróciła. — Wiesz co

— powiedziała całkiem poważnie — powinieneś coś zrobić ze swoim umysłem. Praca dla mojego ojca to naprawdę strata czasu. Czytaj więcej książek, ucz się, poszerzaj swoją wiedzę. Mówią, że wiedza to rzecz niebezpieczna, ale to opinia tych, którzy mają władzę i pieniądze, bo nie chcą, żeby tacy ludzie jak ty i ja rozumieli, co się dzieje na świecie — bo może zechcemy coś z tym zrobić. Mam nadzieję, że wstąpisz do Partii Pracy. Tak, tak, Colm, będziesz do nich pasował, no, i mnie tam nie spotkasz.

Postanowiłam przyłączyć się do komunistów.

Z tymi słowami Lizzie Phelan zniknęła.

Do ich następnego spotkania miało upłynąć dwadzieścia lat.

Eleanor zjawiała się w agencji wynajmu nieruchomości i znalazła dom

— stosunkowo niedrogi, chociaż nieco większy, niż chciała. Ale mniejsze domy znajdowały się na ogół w biednych dzielnicach, a jej nie uśmiechało się zamieszkać akurat tam — nie miała zamiaru schodzić do ubikacji na podwórku, poza tym w ogóle nie wyobrażała sobie życia bez łazienki.

Zdecydowała się na pół bliźniaka z czterema sypialniami na Tigh Street, małej ślepej uliczce w bok od Princes Drive. Z tyłu domu był zimowy ogród, pełen tajemniczo wyglądających roślin. Przedtem w tym domu mieszkał jakiś księgowy, który zaraz po przejściu na emeryturę wyjechał

na wieś. Przed ponownym wynajęciem właściciele nieruchomości odnowili i odmalowali dom od piwnic do strychu. Nie była to wprawdzie wymarzona kolorystyka Eleanor, ale można było wytrzymać.

Po podpisaniu pięcioletniej umowy

najmu poszła do Frederick & Hughes wypić kawę i przemyśleć swój nie lada wyczyn. Niedługo — naprawdę niedługo, bo to, co się wyprawiało w jej brzuchu, stawało się coraz bardziej widoczne — pierwszy raz w życiu będzie mieszkała sama.

Przerażająca myśl... no, ale tak będzie tylko do czasu przyjścia na świat dziecka. To jej przypomniało, że musi pójść do lekarza (nie do doktora Langdona) i załatwić sobie zawczasu miejsce w prywatnej klinice.

Po wypiciu kawy skinęła na kelnerkę i poprosiła o rachunek. Z prawdziwą konsternacją stwierdziła, że w torebce ma akurat tyle pieniędzy, żeby zapłacić

za kawę, a przecież planowała jeszcze kupno proszków na ból głowy, łagodzącego toniku z oczaru wirginijskiego i waty do tamponów, którymi chłodziła oczy podczas najgorszych migren. W tym samym momencie poczuła, że jeden z takich ataków właśnie się zbliża, co objawiało się potężnym uciskiem w gałkach ocznych. Miała co prawda otwarty rachunek we Frederick & Hughes, ale tutaj nie było działu aptecznego. To oznaczało, że będzie musiała wyjąć pieniądze z banku, czego nie robiła od lat. Dotychczas zawsze jej zostawało co nieco na drobne wydatki z pensji, którą jej dawał Marcus na opłacenie pomniejszych rachunków domowych.

Weszła do ciemnego wnętrza banku i podała czek na wypłatę dwudziestu funtów, ponieważ zdała sobie sprawę, że będą jej potrzebne pieniądze na kupno niektórych rzeczy do domu; nie każdy sklep przyjmował чеки, więc na drobniejsze zakupy potrzebowała gotówki.

Mężczyzna z okienka uśmiechnął się do niej.

— Proszę usiąść, pani Allardyce. Za chwileczkę panią obsłużę.

Minęło dobre pięć minut, zanim wrócił i dwukrotnie przeliczył pieniądze przed włożeniem ich do koperty i przesunięciem na drugą stronę kratki.

— Proszę zachować ostrożność, pani Allardyce. Damy nie noszą zazwyczaj przy sobie takich dużych sum.

— Jestem pewna, że sobie poradzę — odparła chłodno, patrząc z góry na tego niezdolnie protekcyjnego urzędniczynę.

133

Kiedy wróciła do domu, ujrzała na wieszaku płaszcz Daniela i usłyszała, jak Nancy w kuchni szykuje obiad. Wózek Sybil stał w holu; siostra Hutton musiała niedawno przywieźć małą ze spaceru. Wszystko to jeszcze pogłębiło w sercu Eleanor wrażenie, że dom może znakomicie funkcjonować bez jej

udziału. Jacyś inni ludzie zajmowali się jej dziećmi, inna kobieta szykowała posiłki, jeszcze inne kobiety sprzątały i prały dla niej...

Sama Eleanor właściwie robiła bardzo niewiele.

Poszła na górę do swojego pokoju, rozebrała się tak, że została tylko w halce, zrobiła sobie tamponiki na oczy i położyła się do łóżka z poczuciem, że nareszcie zdobyła się na odwagę, wynajmując dom; teraz dla odmiany to ona się zajmie swoim własnym losem. W półśnie usłyszała, że Daniel wychodził, potem Nancy zawołała z kuchni:

— Eleanor wróciła?

— Chyba słyszałam, jak wchodziła do swojego pokoju — odpowiedziała siostra Hutton.

— Ja ciem mlečka! — krzyczała Sybil.

— Proszę mleczka — poprawiła ją pielęgniarka.

— Ja ciem mlečka plosie.

— Grzeczna dziewczynka. Zejdziemy na dół i poprosimy Nancy o mleczko?

— Tiak, plosie.

Marcus wrócił do domu i zaraz po tym

zabrzmiął gong, wzywający na obiad. Eleanor nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. Mimo okładów na oczy ból głowy dokuczał jej bardziej niż kiedykolwiek. Jej zdaniem wszystkiemu winien był Daniel. Już od wielu miesięcy nie miała migren, aż do tamtej pamiętnej rozmowy w jego apartamencie. Nie zareagowała na gong, pewna, że Nancy i tak zaraz przyjdzie sprawdzić, dlaczego się nie pojawiła przy stole. I rzeczywiście, za minutę już była. Cichutko zapukała, po czym otworzyła drzwi.

— Coś ci jest, złotko?

— Znow mam jedną z tych moich migren. Nie mogłabym teraz nic zjeść.

— Chcesz tabletkę?

— Już wzięłam kilka, ale nie działają.

— Podejrzewała, że wzięła za dużo i dlatego jest taka senna.

— Biedulka! — uzaliła się Nancy. — Zaraz zaciągnę zasłony. Okropna pogoda. Słyszysz, jaki wiatr? Dopiero co zaczęło padać, a ja mam dzisiaj zebranie. Wyjdę zaraz po obiedzie. Och,, i Fergus się spóźnia. Colm zabrał

134

go razem z Tyrone'em na jakieś ognisko, chociaż pogoda jak na ognisko nienadzwyczajna. Przyjdzie później.

— Czy to dziś piątek?

Chyba tak, skoro Fergus miał przyjść.

— Oczywiście, i w dodatku wieczór Guya Fawkesa*, te wszystkie sztuczne ognie, ogniska i tak dalej. My też powinniśmy mieć jakieś fajerwerki dla Anthony'ego i Sybil. Byliby zachwyceni.

— Może byśmy to zrobiły jutro?

To stąd te dziwne gwizdy i wybuchy, które Eleanor wzięła w półśnie za wytwory swojej fantazji!

— Możemy. Słuchaj, złotko, muszę lecieć. On już na pewno zjadł zupę i będzie chciał, żeby mu zaraz podać

drugie danie.

— Pa, Nancy — powiedziała leniwie Eleanor.

Pomimo bólu głowy była do pewnego stopnia zadowolona z tego uczucia zawieszenia pomiędzy snem a rzeczywistością. Czas mijał; mogły to być minuty albo godziny, nie miała pojęcia... Kiedy drzwi jej pokoju się otwarły, znowu spała. Zanim zdążyła się poruszyć, drzwi się zamknęły z trzaskiem; ten dźwięk z taką siłą przeszył jej czaszkę, że niemal pękła na dwoje. Zapaliło się światło.

U nóg jej łóżka stał Marcus. Eleanor jeszcze nigdy nie widziała go tak

rozzłoszczonego. Usiadła i cofnęła się odruchowo, aż dotknęła plecami zagłówka; dalej już nie mogła się cofnąć.

— Po co wyjęłaś dzisiaj z banku dwadzieścia funtów? — rzucił ostro.

— A ty skąd u licha o tym wiesz?

— Kasjer zadzwonił do mnie z informacją, że moja żona właśnie zamierza wyjąć z konta dużą sumę. Nie mógł cię, niestety, powstrzymać, ale uznał, że powinienem o tym wiedzieć.

Strach Eleanor ustąpił miejsca oburzeniu.

— To mój własny, prywatny rachunek.
Nic ci do tego — ani tobie, ani
kasjerowi! Nikt mi nie będzie mówił, co
zrobić z tymi pieniędzmi.

— Eleanor, jestem twoim mężem. Mam
prawo wiedzieć. Więc na co ci te
pieniądze? — Podszedł bliżej i pochylił
się nad nią z oczyma błyszczącymi
gniewem. — Po co ci one, Eleanor?

— Nie twój interes — wyjąkała.

* Wieczór Guya Fawkesa — 5 listopada
w Wielkiej Brytanii obchodzi się
rocznicę wykrycia spisku prochowego z
1605 roku, paląc kukłę Guya Fawkesa i
organizując pokazy fajerwerków.

— Ależ mój! To dla tego twojego kochasia, dla Daniela? Płacisz mu za to, że z tobą śpi?

— Nie bądź głupi, Marcus!

Zadygotała, ponieważ razem z nim do pokoju wtargnęło zimne powietrze; wyszła z łóżka na drugą stronę. Wsunęła stopy w nocne pantofle i sięgnęła po wiszący na drzwiach szlafrok, ale kiedy już była w połowie drogi, Marcus syknął:

— Ty dziwko! Ty... jesteś w ciąży!

Zorientowała się, że cienka koszulka

jeszcze podkreśliła wypukłość jej brzucha, w którym spoczywało dziecko Daniela.

— Tak, jestem — powiedziała. W tej chwili była to jedyna rzecz, o której mogła myśleć.

W dwóch susach przebiegł pokój i uderzył ją w twarz — bardzo mocno. Krzyknęła, a wtedy znów ją uderzył.

— Ty dziwko! — powtórzył. Potrząsał głową i patrzył na nią zdumiony i zaskoczony, jakby była jakimś wyjątkowo niegrzecznym dzieckiem. —

I co ja teraz mam z tobą zrobić?

Od jego ciosów dzwoniło jej w głowie. Zapomniała o szlafroku; podeszła do krzesła i ostrożnie usiadła. Ale już po sekundzie Marcus poderwał ją na nogi, żelazną dłonią ciągnąc za ramię, co bardzo bolało.

— Wzięłaś te pieniądze, żeby się pozbyć...? — wychrypiał. Zbliżył

twarz do jej twarzy tak, że dzieliło ich zaledwie parę centymetrów.

— Nie! — Ani przez chwilę nie myślała o pozbyciu się tego dziecka.

Zebrała całą odwagę, jaką miała. — Ja... odchodzę od ciebie, Marcus —

powiedziała niepewnym głosem. — Ja... już mam dom... a te pieniądze są mi potrzebne, żebym mogła go urządzić.

— Chcesz mieszkać z nim? — Twarz mu posiniała, a dłoń trzymająca jej ramię zacisnęła się jeszcze mocniej. — Co ludzie pomyślą? Chcesz mnie wystawić na pośmiewisko, mnie... rogakza...!

— Nie mam zamiaru mieszkać z Danielem — odparła słabym głosem. — Chyba zamieszkać sama.

Wytrzeszczył oczy.

— Sama?

— Myślę, że sama będę szczęśliwsza

niż z tobą.

— Nie zabierzesz ze sobą dzieci!

Teraz już krzyczał. Chyba stracił panowanie nad sobą.

— Nie planowałam zabierać dzieci. Lepiej im będzie z siostrą Hutton i z Nancy — i z tobą.

136

Puścił jej ramię i zaczął chodzić po pokoju. Wargi mu się poruszały, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. Był wytrącony z równowagi.

Eleanor już wiedziała, dlaczego teraz,

kiedy Marcus się dowiedział

o wszystkim, nie chce, żeby odeszła. Dostał ją razem z domem, była jedną z jego własności, które tak wysoko sobie cenił, jak złoty zegarek, który kiedyś należał do jej ojca, z grubym łańcuszkiem zwisającym na pierś, jak sygnet z brylantem, niegdyś lśniący na palcu jej ojca, a teraz na jego.

Wszystkie te przedmioty, z Eleanor włącznie, stanowiły wizerunek, którym tak się chełpił przed światem. Pięć minut temu wpadł tu jak burza po telefonie kasjera z banku z zamiarem urządzenia karczemnej awantury, zakazania żonie spotkań z Danielem i uczynienia z niej żalosnego strzępu

człowieka, jak to robił już tyle razy robił dawnymi czasy — i ani przez chwilę nie przypuszczał, iż Eleanor mu zakomunikuje, że go opuszcza!

— Słuchaj, Eleanor — nagle spokojny i rozsądny, przeczesał palcami włosy. — Słuchaj, ja to dziecko uznaję za swoje, ale Daniel będzie musiał

odejść, to oczywiste, przyjmie się innego wychowawcę. Wtedy zapomnę o wszystkim i znowu będzie tak jak przedtem.

— Nigdy mi nie zależało na tym, żeby było tak jak przedtem, Marcus — odpowiedziała chłodno, chociaż chłodu bynajmniej nie czuła.

Kiedy dzisiaj podpisywała umowę najmu, zasmakowała wolności i ten smak nadal miała w ustach. Co więcej, dobrze wiedziała, że jego spokój i rozsądek znikną w ciągu tygodnia — to było nieuniknione; a wówczas będzie nieustannie karana za swój grzech, za to, że spała z innym mężczyzną i że nosi pod sercem jego dziecko. Znając Marcusa tak dobrze, jak ona go знаła, była pewna, że będzie ją karał do końca życia, a tym bardziej jej dziecko.

— Więc czego ty ode mnie chcesz, Eleanor? — rzucił ostro.

Zobaczyła, że gniew znowu w nim wzbiera.

— Niczego. — Wzruszyła ramionami.

— Absolutnie niczego. - Odchodziła, a on nie mógł jej w tym przeszkodzić.

Nie wiadomo, czy jej słowa, czy może wzruszenie ramion tak podziało, w każdym razie Marcus ostatecznie stracił kontrolę nad sobą.

Niespodzianie schwycił ją za kołnierz i popchnął w stronę drzwi.

— Wobec tego, skoro chcesz odejść, masz to zrobić teraz!

— Ale... Marcus... — W dalszym ciągu była tylko w halce i próbowała przytrzymać się drzwi, przez które ją wypychał, ale ręce się jej obsunę-

ły. — Nancy! Nancy! — wrzasnęła, kiedy ją ciągnął na dół po schodach.

— O, z tej strony nie spodziewaj się pomocy — zaśmiał się Marcus. —

Wyszła.

137

— Co się dzieje? — zawołała siostra Hutton, wychodząc z pokoju Sybil.

— Niech się siostra nie wtrąca. To siostry nie dotyczy.

— Ależ... panie Allardyce!

Marcus nie zwracał na nią uwagi. Byli

już u dołu schodów; Eleanor przez cały czas wyrywała się jak szalona, ale nie miała nawet połowy tej siły co on. Otworzył frontowe drzwi i z impetem wyrzucił ją na zewnątrz. Fajerwerki rozświetlały niebo, lał deszcz. Potykając się, ze-szła ze schodów, usiadła na najniższym stopniu i zaczęła gorzko płakać.

Tak płaczącą znalazła ją Brenna, która przyprowadziła Fergususa.

Fergusus pobiegł w dół po schodach do kuchennego wejścia, a Brenna jęknęła:

— Jezus Maria, dziewczyno!
Zamarzniesz na śmierć na tym zimnie.

Masz, włóż to na siebie. — Ściągnęła szal z ramion i zarzuciła na Eleanor, która od razu poczuła jeszcze większe zimno, ponieważ szal był przemoczony. — Co się stało?

— Marcus mnie wyrzucił — szlochała Eleanor. Och, że też akurat Brenna Caffrey musiała ją znaleźć! I to w takim stanie!

— Matko Przenajświętsza! W taką pogodę? Oj, powiedziałabym ja ciepłe słówko temu panu... a ty za momencik już będziesz w środku. —

Szła już w stronę schodów, kiedy Eleanor złapała ją za spódnicę.

— Wolałabym, żeby pani tego nie robiła. Nie chcę tam wracać.

Brenna wytrzeszczyła oczy.

— To co? Wolisz tu siedzieć w bieliźnie i umrzeć na zapalenie płuc?

— Zaczekam, aż Nancy wróci do domu, i dzisiaj będę spała u niej.

Nancy nie będzie zwracać uwagi na Marcusa, nie będzie się z nim patyczkować, bez względu na to, co by powiedział czy zrobił — zresztą z całą pewnością nie odważyłby się wyrzucić Eleanor, gdyby Nancy była w domu; dobra, poczciwa Nancy, zawsze gotowa jej bronić na śmierć i życie.

— A dlaczego nie pójdziesz teraz i nie poczekaś na nią w domu? —

zasugerowała Brenna.

— Nie, bo Marcus wie, że właśnie to zrobię, i po prostu wyrzuci mnie jeszcze raz. — Eleanor pociągnęła nosem i wytarła łzy brzegiem halki na myśl o mężu, czekającym w kuchni i gotowym na wszystko.

138

— Masz tu chustkę. Nie używałam jej, jest zupełnie czysta.

— Dziękuję. — Z pewnymi oporami przyjęła szmatkę. — Słuchaj... ja wiem,

że to z dobroci serca, ale chciałabym, żebyś odeszła. Nie chcę, żeby mnie oglądano w takim stanie. — Czuła się bardzo zażenowana swoim upokorzeniem. Brenna na pewno myślała teraz z wyższością, że Colm nigdy by jej nie zrobił czegoś takiego.

— Założę się, że nie chcesz. Ja też bym nie chciała — parsknęła Brenna. — Może ci przyniosę koc albo coś w tym rodzaju od Nancy? Twój mąż nie odważy się wyrzucić mnie na ulicę. A nawet gdyby spróbował, to już ja mu dam! A kiedy jutro nasz Colm się o tym dowie, nie obejdzie się bez podbitego oka!

— To brzmi całkiem nieźle. — Ciało

Eleanor było pokryte gęsią, skórką, biedactwo nie mogła opanować drżenia.

Brenna wróciła z kocem i oznajmiła, że nikogo nie spotkała.

— Może on się schował, ten twój mąż, kiedy zobaczył, że to ja, a nie ty. No, otul się porządnie, chociaż i tak za chwilę przemokniesz do cna na tym deszczu. Och, najlepiej chodź do mnie na herbatę, ogrzejesz się przy ogniu — zachęcała. — Colma nie ma, a Tyrone pilnuje małej Cary, więc i tak nie mogę tu dłużej sterczeć. Fergus jest już dość duży, żeby tu przychodzić sam, ale ja ciągle mam przed oczami tego Paddy'ego, mojego szwagra, co to go

zamordowali niedaleko stąd.

W tej chwili Eleanor już nie potrzebowała dalszej zachęty— Spodziewała się dziecka, przeziębienie mogło jej zaszkodzić, w dodatku Brenna też była w odmiennym stanie — i nie czuła się najlepiej, sądząc z tego, co mówiła Nancy. Zanim Nancy wróci do domu, mogą minąć godziny, a Brenna była taka dobra i miła... Ona zaś naprawdę bardzo potrzebowała w tej chwili kogoś dobrego i miłego.

Co więcej, miała teraz wielką ochotę na filiżankę herbaty i ogrzanie się przy ogniu.

Eleanor nigdy nie zapomniała, nawet

kiedy była już siwowłosą staruszką, tej drogi na Shaw Street, w bieliźnie i z kocem narzuconym na głowę, z Brenną pod rękę.

Tej nocy zawarły przyjaźń, która miała przetrwać całe życie.

Nie rozmawiały dużo. Brenna zauważyła tylko, że Eleanor musiała chyba zrobić coś okropnego, żeby tak rozdrażnić męża, a Eleanor tylko na to parsknęła i powiedziała, że lepsze byłoby tutaj określenie „doprowadzić do szewskiej pasji”.

— Kiedyś ci o tym opowiem.

Ponieważ deszcz lał jak z cebra,
pobiegły co sił w nogach, piszcząc jedna
przez drugą, a Eleanor oddała Brennie
połowę koca, żeby ta się okryła — i w
końcu obie zaczęły się śmiać.

Kiedy w poniedziałek Daniel Vaizey
przyszedł na Parliament Terrace,
Marcus otworzył drzwi i z miejsca
wylał go z pracy.

— Ale... ja mam prawo do miesięcznego
wypowiedzenia albo ek-wiwalentu
pieniężnego — protestował Daniel
niezbyt przekonująco, domyślał się
bowiem powodu zwolnienia. — A co
będzie z Anthonyem?

Chłopiec mnie potrzebuje.

W odpowiedzi zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem.

Odszedł, czując niewypowiedziany smutek. Za kilka miesięcy Eleanor urodzi jego dziecko; dziecko, którego on nigdy nie zobaczy, nigdy nie dotknie. Nie będzie nawet wiedział, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Czy warto tracić coś tak drogiego jak syn czy córka dla po-dróżowania?

To pytanie miało dręczyć Daniela Vaizeya przez resztę jego życia.

Marcus wiedział, że popełnił kolosalny błąd, pozbywając się Eleanor z domu w tak brutalny sposób. Stracił panowanie nad sobą i chociaż uważał swoje

zachowanie za w pełni
usprawiedliwione, a także był

zdania, że Eleanor zasłużyła na
wszystko, co ją spotkało, powinien
zachować się bardziej jak dżentelmen,
którym przecież był.

Nancy z nim nie rozmawiała, siostra
Hutton była ostentacyjnie chłodna.

Już tylko Sybil cieszyła się na jego
widok. Był bojkotowany we własnym
domu. Oziębłe traktowanie przez służbę
jakoś niespecjalnie mu przeszkadzało.
Irytowało go natomiast, że w całą tę
sprawę była wmieszana Brenna Caffrey.

W tamtą piątkową noc obserwował

przez okno, jak Eleanor siedzi na schodku, płacząc; najpierw z uczuciem triumfu w sercu, ale kiedy już gniew trochę zelżał, Marcus zrozumiał, że posunął się za daleko. Zapomniał o padającym deszczu i nawet nie zauważył, że Eleanor nie była dostatecznie ubrana, a ściśle mówiąc — była półnaga. W ogóle nie zdawał

sobie wtedy sprawy z niczego — poza własnym ślepym szałem; nie myślał, co robi i co z tego wyniknie. Już się kierował w stronę drzwi, żeby je otworzyć i wpuścić Eleanor z powrotem, kiedy usłyszał głosy 140

i wrócił do okna, akurat po to, żeby zobaczyć Brennę Caffrey otulającą

szalem ramiona jego żony.

Jęknął. Osoba Brenny nadal nie dawała mu spokoju, aczkolwiek już nie chodził za nią po ulicach. W ciągu ostatniego roku parę razy spotkali się twarzą w twarz i nawet został obdarzony jej promiennym uśmiechem; kiedy się śmiała, robiły się jej urocze dołeczki w policzkach.

Miała o nim bardzo wysokie mniemanie, ponieważ była przekonana, że to on znalazł wycinek z „Echa”, dzięki któremu Colm się dowiedział, że odziedziczył dom.

Ale co o nim myśli teraz? Teraz, kiedy wie, że wyrzucił na bruk swoją ciężarną

żonę? Na pewno go nienawidzi. Na pewno miota pod jego adresem najgorsze obelgi, jakie tylko zna...

Marcus ukrył twarz w dłoniach i znowu jęknął.

— To bardzo ładne linoleum —
zaznaczyła Brenna. — Ładne, grube i
błyszczące. Aż trudno uwierzyć, że to
nie jest prawdziwa drewniana klepka.
Cara! Przestań się na nim ślizgać,
kochanie, bo zostawisz ślady.

Pobaw się lepiej klockami. Patrz,
przyniosłam ci cały woreczek. —

Wysypała klocki na udające parkiet
linoleum. Rzeczywiście wyglądało

kropka w kropkę jak drewno.

— Nie jest nowe — powiedziała Eleanor. — Położył je poprzedni najemca. — Wszystkie pokoje na dole były pokryte tym samym wzorem; podłogi w pomieszczeniach na górze były w bladoróżowe plamy. Stały w saloniku nowego domu Eleanor na Tigh Street, czekając aż nadjedzie furgonetka z meblami kupionymi w sklepie Frederick & Hughes w sobotę. Dokładnie tyle, by starczyło na podstawowe potrzeby: dwa fotele, komoda, mały komplet mebli do jadalni, łóżko i szafa na ubrania, pościel, ręczniki i trochę naczyń.

Kiedy się już zadomowi, postara się o

resztę.

— Jeśli ta furgonetka zaraz nie przyjedzie, skończy się tak, że będę siedziała na podłodze. — Brenna przycupnęła w niewygodnej pozycji w zagłębieniu szerokiego, wykuszowego okna. — El, poproś, żeby najpierw wnieśli krzesła, dobrze?

— Dobrze, nie przejmuj się tym.

Eleanor również przycupnęła w wykuszu. Obie były w czwartym miesiącu ciąży i obie marzyły o tym, żeby gdzieś usiąść. Właściwi*¹ lubiła, kiedy ją nazywano „El”. Brenna zaczęła ją tak nazywać w tamten pamiętny 141

weekend, który Eleanor spędziła w domu Caffreyów — weekend pełen emocji, podczas którego musiała się pogodzić z faktem, że spaliła za sobą wszystkie mosty.

W sobotę po południu zjawiała się Nancy. O odejściu Eleanor dowiedziała się dopiero następnego ranka, kiedy to siostra Hutton z przejęciem opowiedziała jej o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

— Mówiła mi, że widziała, jak obie z Brenną odchodziłyście, co za okropna historia, słowo daję... więc przyleciałam tu najszybciej, jak mogłam. Nic ci nie jest, złotko? Nie powiem, co myślę o tym twoim mężu.

Spodziewam się, że sama wiesz o tym najlepiej.

— Och, czuję się cudownie —
wykrzyknęła Eleanor. — Wiem, że nie
powinnam, ale tak właśnie się czuję. To
zupełnie tak, jakbym uciekła z więzienia,
choć przyznam, że strasznie niepokoję
się o dzieci. Jak one się mają?

— Nic im nie jest. Kiedy wychodziłam z
domu, Anthony i Fergus grali w „węże i
drabiny”, a Marcus czytał Sybil bajkę.

Jednym słowem, nikt za mną nie tęskni,
pomyślała Eleanor.

— Tak czy owak — ciągnęła Nancy —

przyniosłam twoją podręczną torbę, a w niej trochę ubrań i drobiazgów. Resztę twoich rzeczy włożę do kufra. Możesz po nie kogoś przysłać, kiedy tylko będziesz chciała.

Mam ci tu jutro przyprowadzić dzieci?

— Byłoby wspaniale.

Eleanor nie posiadała się z ciekawości, czy zechcą przyjść.

Colm zaofiarował się zabrać kufer z rzeczami i dostarczyć go ręcznym wózkiem, Nancy powiedziała, że uszyje zasłony do domu na Tigh Street, natomiast Brenna postanowiła przyjść tam i pomóc, kiedy wszystkie rzeczy już

będą na miejscu.

— Założę się, że nigdy dotąd nie ścielełaś łóżka — powiedziała filutecznie, a Eleanor musiała przyznać, że rzeczywiście tego nie robiła.

Zaczynała być zadowolona, że Marcus wyrzucił ją z domu. Tamto życie nie było ani w połowie tak dobre jak to — z dziećmi czy bez nich.

Nowy dom Eleanor po prostu oczarował Brennę.

— My z Colmem też będziemy mieć kiedyś taki duży dom jak ten —

powiedziała, kiedy Eleanor pokazała jej

swój nowy nabytek. — Colm chodzi teraz do wieczorowej szkoły, chce się więcej nauczyć. Już niedługo rzuci pracę w składzie budowlanym i znajdzie coś lepszego.

— To dobrze — odparła machinalnie Eleanor, wpatrując się w sufit. —

Pokażesz mi, jak się zapala lampy, zanim pójdziesz? Na Parliament 142

Terrace, odkąd pamiętam, zawsze była elektryczność. Nie mam pojęcia, jak się obchodzić z gazem.

— Pewnie, że pokażę — rzekła wspaniałomyślnie Brenna. — A jeśli będą jakieś nieduże roboty, naprawy,

zawsze możesz liczyć na Colma.

— Dziękuję.

Już miała powiedzieć, jak to miło z ich strony, kiedy poczuła nagle jakieś poruszenie w brzuchu.

— Dziecko mnie kopnęło, na pewno! — zawołała w uniesieniu. —

Twoje też już kopie? — zapytała, myśląc w tej samej chwili, że chciałyby, by jej dziecko urodziło się pierwsze.

— Nie. — Brenna odwróciła się z pociemniałą twarzą. — Gdyby nie to, że robię się coraz grubsza, przysięgłabym, że moje dziecko nie żyje.

— Bzdura! Dlaczego u licha tak myślisz?

Eleanor na samą myśl o czymś takim włoski na karku stanęły dęba.

— Mam wrażenie, jakby było martwe —
— powiedziała głucho Brenna. —

Ciąży mi w brzuchu jak kamień — i tyle. Nie potrafię go sobie wyobrazić, tak jak innych — z rączkami, nóżkami, buzią...

— Och, Brenno! Chyba masz zbyt bujną wyobraźnię.

Zanim Brenna zdołała odpowiedzieć, przed domem stanęła furgonetka z meblami, a Eleanor pobiegła poprosić,

żeby najpierw wniesiono do domu krzesła.

Trudno się było do tego przyznać — nawet przed sobą — ale właściwie chciała, by to dziecko było martwe. Wiedziała, że idąc do Katie MacBride na wróżenie z fusów, postąpiła okropnie głupio, ale już dwie przepowiednie sąsiadki się spełniły, i teraz Brenna straci niebawem coś bardzo cennego. A dla Brenny najcenniejszy był Colm i dzieci, więc wolałaby już stracić to nienarodzone niż któreś z nich.

Zastanawiały się obie, czy ich dzieci znów przyjdą na świat w tym samym dniu, o tej samej godzinie, a może nawet w tej samej minucie, ale koniec końców

to Eleanor urodziła pierwsza — w ostatnim dniu kwietnia, kiedy ziemia była już oczyszczona i odnowiona po zimie, gotowa na nadejście lata.

— To chłopiec — oznajmiła Nancy, kiedy się zjawiała na Shaw Street z nowiną. Brenna też liczyła już dni do porodu. Z wielkim, ciężkim 143

brzuchem i spuchniętymi nogami nie miała ani siły, ani energii, żeby pokonać długą drogę do kliniki w Woolton i odwiedzić swoją nową przyjaciółkę.

— Trzy kilo dwieście sześćdziesiąt gramów, bardzo ładny i aż tryska energią. Nazwała go Jonathan.

— Ładne imię — powiedziała
bezbarwnym głosem Brenna. — A jak
się czuje Eleanor?

Pamiętała, w jakim stanie była Eleanor,
kiedy urodziła Sybil.

— Po prostu fantastycznie! —
wykrzyknęła Nancy z entuzjazmem. —

Odkąd rzuciła Marcusa, zrobił się z niej
całkiem inny człowiek. Niebo a ziemia.
Nie trzeba jej było zakładać ani jednego
szwu i mówiła, że prawie wcale nie
cierpiała. Kiedy do niej wszłam,
siedziała na łóżku wyprostowana jak
struna.

Brenna westchnęła.

— Już się nie mogę doczekać, kiedy to moje maleństwo przyjdzie na świat. Naprawdę, czuję się jak worek pełen śmieci...

Uczepiła się dłońmi prętów wezglowia łóżka i próbowała nie krzyczeć.

Jej twarz musiała wyrażać naprawdę wielki wysiłek, gdyż Edie O'Rourke, która była nieoficjalną położną dla całej okolicy, powiedziała łagodnie:

— Nic się nie stanie, Brenno, jak trochę pohałasujesz. No, dalej! Nie powstrzymuj się, moja kochana. To wcale nie jest dobrze.

Edie urodziła siedemnaścioro dzieci i

już straciła rachubę, ile ma wnucząt. Była malutką, okrągłą kobietką z policzkami jak dwa rumiane jabłuszka i piękną srebrną czupryną.

— Nie chcę przestraszyć dzieci.

Careę położono dziś spać z chłopcami, a Colm gdzieś koło północy pognał jak szalony po doktora, kiedy Edie oznajmiła, że sama nic więcej już tu nie poradzi. Wszystko wskazywało na to, że dziecko nie chce

„ruszyć z miejsca”, mimo iż Brenna parła i parła, w końcu już nie mogła więcej, a bóle regularnie skręcały jej ciało, bóle, jakich nigdy dotąd nie miała. W dalszym ciągu jednak starała się nie

krzyczeć.

— Czy Colm dawno wyszedł? Wydaje mi się, że nie ma go już całe wieki...

— Jakieś pół godziny temu. Teraz to już na pewno zbudził doktora Hammonda i lada chwila tu będą.

Edie otarła zroszone potem czoło Brenny flanelową szmatką i w tym samym momencie rozległ się pisk opon hamującego samochodu. Colm, 144

tupiąc głośno po schodach, wbiegł na górę, a za nim, już bardziej statecznie, wszedł lekarz, dźwigający zniszczoną skórzaną torbę.

— Dobrze się czuje? — wydyszał Colm.

— W porządku, Colm, kochanie, no, może troszkę zmęczona. Twoja Brenna to okaz zdrowia, tyle że dziecko...

Edie stanęła obok doktora i wyjaśniła pokrótce, co się dzieje.

Doktor Hammond szybko zorientował się w sytuacji.

— Powinna była pójść do szpitala — powiedział szorstko — ale teraz już na to za późno. — Otworzył torbę. — Obawiam się, pani Caffrey, że to będzie bolało. Nawet bardzo...

Przy pierwszym cięciu noża Brenna

zemdlała. Kiedy przyszła do siebie, doktor pochylał się nad nią z igłą w rękę. Zszywał cięcie, co bolało tak, jakby przypalał ją żywym ogniem, choć nie tak bardzo jak cięcie noża.

— Mamy jeszcze jednego chłopca, Bren.

Zdołała odwrócić głowę i zobaczyła, że Colm trzyma w ramionach ich dziecko, a twarz ma mokrą od łez. Maleńki chłopczyk był owinięty tym samym szalem co jej poprzednie dzieci.

— Nasz Rory — szepnął Colm.

— Jest strasznie cichy i spokojny — powiedziała. — Ale chyba nie jest martwy?

Doktor Hammond potrząsnął głową.

— Nie, pani Caffrey, nic z tych rzeczy. Tylko, podobnie jak pani, dzieciątko jest bardzo zmęczone. Było mu naprawdę ciężko przyjść na świat. Ale bez obaw. Za parę dni na pewno się ożywi.

— Jest pan tego pewien, doktorze? —
Twarz Edie O'Rourke wyrażała wątpliwość. — Moim zdaniem jest podejrzanie spokojny. Nigdy się nie spotkałam z dzieckiem, które nie wydało żadnego dźwięku, kiedy wyszło z łona matki. Noworodki zwykle krzyczą, a przynajmniej kwilą.

— A jakież to kwalifikacje ma pani, żeby tak twierdzić, pani O'Rourke?

— warknął doktor, obrzucając Edie pogardliwym spojrzeniem. — Nie pierwszy raz jestem wzywany do nagłego przypadku tylko dlatego, że pani nie potrafiła sama dać sobie rady... a muszę zauważyć, iż niekiedy wzywa się mnie za późno. Chyba już najwyższy czas, żeby takie kobiety jak pani miały zakaz odbierania porodów.

Edie zrobiła się czerwona jak burak, uznała jednak, że to nie czas i nie miejsce na kłótnie. Sięgnęła po płaszcz ze słowami:

— Brenno, kochanie, wpadnę jutro zobaczyć, jak się masz.

Lekarz skończył pracę, zlustrował pobieżnie noworodka i oznajmił, że rachunek przyjdzie pocztą w ciągu kilku dni. Wyszedł, a Colm włożył

małego Rory'ego w ramiona matki.

— Jak się czujesz, kochanie?

Wyglądał na tak zmordowanego, jakby on sam urodził to dziecko.

— Ledwie żywa... — szepnęła. Uszła z niej cała energia. Spojrzała na maleńkie, delikatne ciało, które wydawało się lekkie jak piórko. —

Wygląda jak mały aniołek — wyszeptała.

— Rzeczywiście. — Colm pogłaskał ją po włosach. — Bałem się, że cię stracę... — Wyglądał tak, jakby znów miał się rozpłakać.

Poruszyła głową, a jej policzek oparł się na jego rękę.

— Nie uda ci się tak łatwo mnie pozbyć. A cóż to za czerwone ślady ma na główce nasz synek? O, i z jednej, i z drugiej strony...

Colm się skrzywił.

— Doktor musiał go wyciągać czymś, co wyglądało jak języki ognia, tylko że były srebrne.

Brenna zadrżała na samą myśl o tym, zadowolona, że w tym czasie była nieprzytomna.

— On jest okropnie cichy i spokojny. — Dotknęła policzka Rory'ego, który wydał jej się nienaturalnie zimny. — Wygląda tak, jakby go wyrzeźbili z wosku — szepnęła.

— Kochanie, może chciałabyś się napić herbaty?

— Och, z rozkoszą, Colm, dzięki.

Kiedy Colm wyszedł, obejrzała dokładnie dziecko i z zadowoleniem stwierdziła, że jest idealne pod każdym względem, chociaż wolałaby, żeby nie

było takie zimne. Próbowwała nakłonić synka do ssania piersi, ale malutkie usteczka nie chciały się rozchylić; dotąd nie otworzył też oczu.

Na główce miał jasnozłoty puszek.

— Popatrz na mnie, Rory, kochanie — błagała, lecz bladoniebieskie powieki, które wyglądały jak dwa płatki najcieńszego jedwabiu, pozostały zamknięte.

— Bren, może chcesz, żebym go położył do łóżeczka? — spytał Colm, który właśnie wrócił z herbatą. — Wszystko jest przygotowane.

— Nie, wolę go potrzymać, może uda mi

się go rozgrzać. — Pamiętała, jak chciała, żeby to dziecko było martwe, a jednak urodziło się żywe; teraz rozpaczliwie pragnęła, żeby żyło, żeby mogła patrzeć, jak rośnie i jak pewnego dnia staje się wielkim i silnym mężczyzną, jak Colm.

Wystarczyło jedno spojrzenie, a synek stał się dla niej równie ważny 146

i cenny jak pozostałe dzieci. — Boję się o niego, Colm — powiedziała płaczliwie. - Oddycha jak mały ptaszek, z trudem można to w ogóle wyczuć.

- Nie zapominaj, co powiedział doktor. Za parę dni dojdzie do siebie, a wtedy na pewno się ożywi. Po prostu jest

zmęczony, kochanie, tak samo jak ty. -
Colm rzucił żonie uspokajający uśmiech.
- Daj mi go i wypij herbatę. Ale, ale!
Przed chwilą zająrzałem do Cary i
chłopaków. Wszyscy śpią jak susły.

- Bardzo dobrze. Mógłbyś mi przynieść
z dołu różaniec? Jest w szufladzie, po
prawej stronie. Aha, przynieś mi jeszcze
figurkę Najświętszej Pani i postaw
tu na kominku, tak żebym mogła ją
widzieć.

Potrzebowała talizmanów, które miały
przynieść szczęście jej i małemu
Rory'emu.

Nocą było cicho jak w grobie - nawet
najłżejszy szmer nie dochodził

z uspiętego miasta, kiedy Brenna tuliła do piersi swojego nowo narodzonego synka; chciała, żeby się poruszył, ogrzał, otworzył oczki. W jego słodkiej twarzyczce było coś niezmiernie cierpliwego, niemal szlachetnego.

To coś sprawiło, że Brennie napłynęły do oczu łzy i serce tak bardzo bolało. O tak, dużo bardziej niż niedawne cięcia nożem i zszywanie igłą.

Gdzieś, bardzo daleko, zegar wybił czwartą.

Colm, całkowicie ubrany, leżał na łóżku obok niej. Mniej więcej co pół

godziny wstawał, schodził na dół i robił

kolejną herbatę.

- Masz dwóch starszych braci, Rory, i dużego, silnego tatę, który już cię kocha jak wariat. Jestem twoją mamą, moje maleństwo, i kocham cię bardziej, niż można to wypowiedzieć. Och, Rory! — zaszłochała. — Tak bym chciała, żebyś nie był taki zimny!

Zaczęła odmawiać kolejną modlitwę do Najświętszej Pani, żeby jej dziecko się rozgrzało.

Minęła kolejna godzina i daleki zegar wybił piątą. Rory nie był ani trochę cieplejszy i w ogóle się nie poruszał. Na zewnątrz trzasnęły jakieś drzwi, ulica budziła się do życia. Colm zrobił

jeszcze jedną herbatę i poradził, żeby znów wezwać lekarza.

Brenna przyłożyła rękę do piersi maleństwa, ale nie wyczuła bicia serca.

- Myślę, Colm, że już na to za późno — szepnęła.

Twarz Colma przybrała barwę popiołu.

- Chryste Panie, Bren, czy on już... odszedł?

147

Brenna powoli skinęła głową.

— To się stało przed chwilą. Czułam

dosłownie, jak uchodzi z niego życie, ta odrobina życia. — Było jej tak, jakby umarła jakaś część jej samej.

— Jego maleńka duszyczka pofrunęła wprost do nieba.

Po policzkach Colma płynęły łzy.
Przycisnął wargi do czółka dziecka.

— Do widzenia, Rory — szepnął, po czym podniósł głowę i spojrzał

Brennie prosto w oczy. — Po tej nocy jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem. Kochanie, posłuchaj... Słów mi brak, żeby wyrazić, jak strasznie mi przykro z powodu całej tej głupiej historii z Lizzie Phelan, ale przysięgam

ci, że nic podobnego już się więcej nie zdarzy. Nigdy. Tylko ciebie Kocham i zawsze będę kochał... i chcę wrócić do twojego łóżka i trzymać cię w ramionach i osuszać twoje łzy, kiedy będziesz płakać po Rorym.

— Dobrze, Colm... — Pogłaskała go po brodzie, ale nie pocałowali się.

To nie był odpowiedni moment do pocałunków — z tym zimnym, martwym dzieckiem, leżącym przy jej piersi.

Nie powiedziała, że między nimi już nigdy nie będzie tak samo jak przedtem — w każdym razie nie dla niej. Chociaż kochała go całym sercem, zdradził ją, a skoro zrobił to raz, może zrobić i drugi...

Okazał

się słaby, chociaż ona zawsze uważała go za silnego — i już nigdy więcej nie zaufa mu tak jak dawniej.

Rozdział 6

ROK 1927

Mała Sybil zachowywała się po prostu okropnie.

— To mój tort — powiedziała opryskliwie. — Ja powinnam zdmuchnąć świece.

— To wspólny tort — wyjaśniała jej Nancy. — Połowa twoja, połowa Cary i

z każdej strony po siedem świeczek. I obie macie je razem zdmuchnąć, czy to jasne?

— A dlaczego nie mogę mieć własnego tortu, tylko dla siebie?

— Bo — tłumaczyła Nancy cierpliwie — to jest wspólne przyjęcie urodzinowe. Połowa gości twoich, a druga połowa Cary.

Sybil parsknęła pogardliwie.

— Ja mam więcej gości niż Cara.

— Nieprawda, złotko. Cara ma trzech gości i ty masz trzech. A ja jestem wspólnym gościem, tak samo jak ten

tort.

— Ale ja chcę, żebyś ty była tylko moim gościem. Słyszysz, Nancy?

Nancy przewróciła oczyma i nic nie odpowiedziała. Zauważyła, że Eleanor niechętnie słucha tej wymiany słów. Nie chciała się wtrącać, ponieważ to Marcus wychowywał ich córkę, uważała jednak, że Sybil jest skandalicznie rozpuszczona. Obsypywano ją kosztownymi zabawkami i strojami, prócz tego robiła właściwie tylko to, na co miała akurat ochotę.

To prawda, umiała owinać sobie ojca wokół małego paluszka. Jeżeli Marcus miał jakieś zastrzeżenia co do któregoś z

jej żądań, wystarczyło tylko, żeby wydeła swoje śliczne usteczka, a on z miejsca się poddawał.

Jej gładkie jasne włosy były związane ogromną różową kokardą, a sukienka — z różowej organdy, ze spódniczką i rękawkami obszytymi 149

całym mnóstwem falbanek i koronki — wyglądała jak z morskiej pianki i została kupiona w magazynie Frederick & Hughes. Z pewnością musiała kosztować fortunę. Ojciec i córeczka razem ją kupowali, a potem jedli lunch w restauracji; było to coś, co Eleanor uważała obecnie za zbytek.

Marcus był na górze; może

niekoniecznie w złym humorze, ale i niespecjalnie zadowolony z obecności Eleanor na przyjęciu, w dodatku z Jonathanem. Ale Sybil była zakochana w Jonathanie i nalegała na jego obecność, a Eleanor się nie zgodziła, żeby przyszedł sam. Cóż, bądź co bądź była matką Sybil. Miała prawo być tutaj.

Wszystko to strasznie pogmatwane, myślała Nancy ze smutkiem.

Eleanor często przychodziła odwiedzać Sybil i Anthony'ego, ale tylko wtedy, gdy Marcus był w pracy. Nie robił jej trudności, Nancy uznała zatem, że jest mu wszystko jedno — chociaż dziś najwyraźniej było inaczej. I nic dziwnego. Przecież to były siódme

urodziny Sybil, a on, jej ojciec, chciał być na nich obecny.

— Z czego się tak śmiejecie? — zapytała ostro, widząc, że Anthony i gorączkowo gestykulujący Fergus aż skręcają się ze śmiechu. Tyrone robił wrażenie znudzonego. Zawsze wyglądał na starszego, niż był

w rzeczywistości, a urodzinowe przyjęcie dziewczynek niezbyt go frapowało — zwłaszcza dziewczynek raptem siedmioletnich! Jonathan był

chyba jedynym chętnym do jedzenia; w tej chwili systematycznie niszczył

górkę kanapek z łososiem. Eleanor była

w dalszym ciągu zachmurzona, a z zaciśniętych warg Brenny, mamy drugiej jubilatki, Nancy z łątwością wyczytała, że i ona jest w nie najlepszym humorze. Na szczęście była tu też Louella Fisk, wychowawczyni Anthony'ego. Paliła swoje czarne papierosy i od czasu do czasu mrugała do Nancy, świadoma komizmu całej tej sytuacji. To podnosiło Nancy na duchu.

— Anthony uważa, że Sybil jest okropnie śmieszna — wyjaśnił Fergus.

— Dlaczego? — spytała Eleanor.

Fergus powtórzył „dlaczego” w języku migowym i Anthony natychmiast odpowiedział, ale nikt go nie zrozumiał.

Chłopiec miał w swoim pokoju trąbkę próżniową, ułatwiającą słuchanie, która była jednak o wiele za ciężka, żeby ją wszędzie ze sobą nosić: miała głośnik, wzmacniacz i pojemnik na baterie.

Dzięki niej słyszał wprawdzie, co mówią inni, lecz nie słyszał własnego głosu, przez co intonacja wygłaszanych przezeń kwestii była całkowicie myląca. Niemal schował się pod stół, chichocząc jak wariat na widok zdziwionych twarzy gości, którzy bezskutecznie próbowali zrozumieć, co powiedział. Tylko Fergus go rozumiał. Nancy 150

miała nadzieję, że chłopca bawi po prostu to, że nikt nie jest w stanie go pojąć.

— On twierdzi, że Sybil to skończona idiotka i chce jej obić pupę —

objaśnił Fergus.

Słyszając to, Sybil zrobiła obrażoną minę i wybuchnęła płaczem.

Nancy uniosła brwi:

— I on to uważa za śmieszne?

Anthony musiał zrozumieć, co mówiła, bo kiwnął głową. Nancy zastanowiła się przez chwilę, jak też to jest — siedzieć w tym gwarnym pokoju i nie słyszeć żadnego dźwięku?

Miał teraz dwanaście lat; od kiedy

rozpoznano jego głuchotę, cudownie się przystosował do swojego, w znacznej mierze milczącego, świata. Mimo to Nancy była przekonana, że Anthony równie dobrze dałby sobie radę bez Fergususa, który od tak dawna służył mu jako łącznik ze światem słyszących.

— Które świece mam zdmuchnąć, białe czy różowe? — zapytała Sybil, pociągając noskiem.

— Wiesz, złotko, pomyślałam sobie, że ty i Cara mogłybyście zdmuchnąć wszystkie świece równocześnie, ale jeśli już koniecznie musisz mieć swoje własne, w takim razie różowe. Różowy to twój ulubiony kolor, prawda?

— Wolę biały!

— Możesz sobie zdmuchnąć białe, wszystko mi jedno — odezwała się Cara.

Brenna wtrąciła się rozdrażniona:

— Ależ ja przyniosłam specjalnie dla ciebie białe świece!

— Ale mnie jest wszystko jedno, mamo, naprawdę!

— Powoli zaczyna mi się wydawać — zabrzmiał donośny głos Nancy

— że wolałabym być teraz w każdym innym miejscu na świecie, byle tylko nie

na tym przyjęciu.

Jej komentarz został oczywiście przekazany Anthony'emu, który wydał

dźwięk mogący oznaczać „tak, tak”, chociaż nikt nie był tego do końca pewny, z wyjątkiem Fergususa. Ten jednak stracił naraz ochotę do tłumaczenia gościom „złoty myśli” swojego przyjaciela.

— Co za dziecko! — wybuchnęła Eleanor, jak tylko wszyscy opuścili dom przy Parliament Terrace. Tyrone pognął z powrotem na Shaw Street 151

z szybkością dzikiego zwierzęcia, które wyrwało się z klatki; Cara i Jonathan

dreptali obok swoich matek. Fergus został z Anthonyem.

— Marcus nie ma pojęcia, że szykuje bicz na swoją głowę. Aż boję się myśleć, co z niej wyrośnie.

— Będzie nieznośna — zauważyła posepnie Brenna.

— Już jest — stwierdziła Eleanor jeszcze bardziej ponurym głosem.

— Biedna Sybil! — westchnęła Cara.

— Niby dlaczego biedna? — obruszyła się Brenna.

— Ona jest strasznie nieszczęśliwa,

mamo. Mówię ci.

Eleanor się zasepiła, trochę
zawstydzona.

— Nie powinnam narzekać na własną
córkę, prawda? Tak, tak, to nie jej wina,
że ją zepsuli. Anthony to dla niej żadne
towarzystwo, Luella Fisk jej nie lubi, a
Nancy... No cóż, mała potrafi
doprowadzić ją do białej gorączki.
Kiedy byłam w wieku Sybil, Nancy i ja
przyjaźniłyśmy się serdecznie. Biedne
dziecko... właściwie ma tylko Marcusa.
Och, Cara!

Teraz, kiedy to powiedziałaś, poczułam
się okropnie.

Brenna spojrzała z czułością na córkę. Cara bywała czasem małym diabełkiem, ale miała szczerzy, dobry charakter, a już w porównaniu z Sybil Allardyce była po prostu aniołkiem.

— Wpadniesz do nas na herbatę? — spytała zasmuconą Eleanor.

— Bardzo bym chciała, ale lepiej nie. Pan Fulton zaraz wróci do domu i będzie prosił o podwieczorek. Kiedy się spóźniam, marudzi zupełnie jak Marcus — wyobraź sobie tylko, jakie to cudowne uczucie — w ogóle się tym nie przejmować! Wolę mieć kolejnego lokatora niż kolejnego męża

— roześmiała się Eleanor.

Rok temu, kiedy nagle odkryła, że spadek po matce skurczył się niebezpiecznie, a już wkrótce trzeba będzie zacząć płacić za naukę Jonathana, przyjęła lokatora, obdarzonego gderliwym charakterem pana Ernesta Fultona, który programowo narzekał na wszystko pod słońcem.

Eleanor dość szybko nauczyła się nie zwracać uwagi na te niekończące się utyskiwania. Mogła oczywiście naprawić obluzowaną przez wiatr żaluzję w jego oknie, ale nie powstrzymywała Jonathana od robienia hałasu, kiedy ten bawił się w ogrodzie, ani nie przyciszała radia — no, może trochę, gdy pan Fulton, który miał

zwyczaj chodzić spać razem z kurami, skarżył się, że nie może zasnąć.

— Jak mu się nie podoba, wie, co ma zrobić — śmiała się.

Odkąd Eleanor odeszła od Marcusa, często się śmiała; przestały ją też dręczyć bóle głowy. Bawiło ją nawet chodzenie w towarzystwie Brenny 152

na Targ Paddy'ego i kupowanie różnych dziwnych rzeczy z drugiej ręki.

Od czasu do czasu pozwalała sobie na zakup jakiegoś drobiazgu w Frederick & Hughes, ale oferowane przez nich ubiory nie leżały obecnie w granicach jej możliwości finansowych. Jednak

zupełnie nie przejmowała się tą odmianą losu. Można było nawet odnieść wrażenie, że bawi ją wiązanie końca z końcem — jakby to było wyzwanie.

Podczas gdy sytuacja finansowa Eleanor sukcesywnie się pogarszała, finanse Brenny miały się coraz lepiej. Trzy lata temu Colm odszedł ze składu budowlanego Phelana i zaczął pracować jako organizator w Partii Pracy. Nauczył się prowadzić samochód i teraz podróżował wzdłuż i wszerz po Lancashire i Cheshire starą sponiewieraną furgonetką, pilnując, żeby zebrania w różnych oddziałach miały właściwy przebieg, a wybory lokalne były na wskroś uczciwe. Zarabiał

zaledwie trochę więcej niż przedtem, ale kiedy tylko Cara poszła do szkoły, Brenna zaczęła pracować w godzinach porannych jako kelnerka w Park Road Cocoa Rooms; dla kobiety, której mąż pełnił tak poważną funkcję, praca kelnerki była znacznie bardziej odpowiednia aniżeli sprzątanie.

— Wybierasz się jutro po południu na spotkanie Townswomen's Guild*? — spytała Eleanor. Obie zapisały się do tego stowarzyszenia, kiedy w pobliskim Allerton powstała jego komórka.

— Nie, mam coś innego do załatwienia — odparła z lekką irytacją w głosie Brenna.

— A wygląda na to, że będzie ciekawie!
Pewna kobieta — nazywa się Lizzie
Phelan — ma opowiadać o swoich
doświadczeniach przywiezionych z
Francji, gdzie podczas wojny pracowała
w Czerwonym Krzyżu.

Nancy też się tam wybiera.

— Wiem, Nancy już mi o tym mówiła,
ale jestem zajęta.

— Czym mianowicie?

— Ktoś z obsługi w Cocoa Rooms
zachorował, a ja się zgłosiłam na
zastępstwo — skłamała Brenna.

Za nic nie byłaby w stanie wysiedzieć w

tej samej sali co Lizzie Phelan.

Obawiała się, że mogłyby jej puścić nerwy, a wtedy rzuciłaby się z pięściami na tę bezwstydnicę.

* Townswomen's Guild (Stowarzyszenie Mieszkanek Miasta) — założone w 1929

roku angielskie stowarzyszenie kobiet. Działa do chwili obecnej. Po sufrażystkach przejęło barwy zielono-biało-śliwkowe.

153

— Jaka szkoda! Wiesz... — wyznała Eleanor z żalem — ja podczas wojny nie

zrobiłam dosłownie nic! A przecież mogłam choćby ustawić na stacji kolejowej stoisko z jakimiś kanapkami dla wojska. Mnóstwo moich znajomych pań udzielało się w ten sposób.

— Nic straconego, możesz to zrobić, kiedy przyjdzie następna wojna

— mruknęła Brenna.

Eleanor przeszedł dreszcz.

— Nie mów takich rzeczy! Nigdy już nie będzie wojny, nie za naszego życia. Przecież tamtą wojnę nazwali ostatnią, „wojną, która zakończy wszystkie wojny”, jakim więc sposobem moglibyśmy mieć następną?

Rozstały się — Eleanor z obietnicą, że jeśli jutro będzie ładna pogoda i wyjdzie na spacer z Jonathanem, wpadnie rano do Cocoa Rooms.

Kiedy Eleanor wróciła do domu, Ernest Fulton był w kuchni i wpatrywał się tępo w nierozpalony piec.

— Coś mi się nie zanosi na herbatę, pani Allardyce — stęknął natychmiast, kiedy weszła. Na Jonathaną w ogóle nie zwrócił uwagi.

— Bo pan dzisiaj wcześniej wrócił, panie Fulton — powiedziała z naciskiem.

— W soboty często przychodzę

wcześniej.

— Nie tak znowu często, panie Fulton.

Był komiwojażerem: sprzedawał Browns Miracle Elixir, preparat, który miał jakoby leczyć wszystkie dolegliwości pod słońcem.

— Nie mam zamiaru plątać się przez całą sobotę po domu tylko dlatego, że pan raz na jakiś czas wróci wcześniej. Jest dopiero szósta, a ja mam już od rana przygotowane kartofle i przyszykowane kiełbaski.

Wystarczy, że zrobię sos, i na wpół do siódmej wszystko będzie gotowe

— a właśnie wtedy pan na ogół wraca.

Nie była zbyt dobrą kucharką, ale pana Fultona interesowała bardziej ilość niż jakość.

— A co z puddingiem? — spytał bez ceregieli.

— Na deser dostanie pan kawałek ciasta z owocami. Upiekłam je wczoraj.

— Pani Allardyce, przecież pani wie, że na deser wolę ciepły pudding.

— Mogę włożyć ciasto do piecyka i je zagrzać, panie Fulton. Jeśli pan chce, zrobię krem i będzie pan mógł udawać, że zajada najprawdziwszy pudding z

bakaliami.

154

Wycofał się, niepewny, czy Eleanor sobie czasem z niego nie żartuje.

Wiedziała, że dokuczając temu biedakowi, odgrywa się na Marcusie, że mówi mu to, co tak bardzo chciała powiedzieć swojemu mężowi przez te wszystkie lata, kiedy miała nieszczęście mieszkać z nim pod jednym dachem.

— Cóż to za naburmuszony staruch...
prawda, mój kochany?

Jonathan skwapliwie kiwnął głową.

— Może się pobawisz chwilkę w ogrodzie, zanim się ściemni? A może mamusia zrobi ci filiżankę pysznej herbatki?

— Herbatki, mamusiu, proszę... a mogę dostać troszeczkę tych razo-wych herbatników?

— Ależ oczywiście, kochanie.

Objęła go, przytuliła serdecznie, powiedziała, że jest najcudowniejszym chłopczykiem na świecie; zastanowiła się przy tym, czy aby go nie przekarmia. Powoli zaczynał się robić puciołowaty.

— Uważam, że będzie najlepiej, jeśli weźmiesz sobie tylko jeden herbatnik.

— Dobrze, mamusiu — odparł spokojnie, uśmiechając się jak cherubinek, chociaż teraz, kiedy już skończył pięć lat, był odrobinę za stary na cherubinka. Będzie musiała ograniczyć wszystkie te ciastka i słodycze...

Mały był jednak naprawdę uroczy, a Eleanor uwielbiała sprawiać mu różne przyjemności. Dziwne, zawsze myślała o synku jako o dziecku Geoffreya, jej nieżyjącego narzeczonego; oczywiście nie miało to najmniejszego sensu, ponieważ ona i Geoffrey nigdy ze sobą nie spali, poza tym jej narzeczoney zmarł w 1914 roku. Niemniej jednak Daniel Vaizey całkowicie zniknął z jej myśli, a jego miejsce zajął Geoffrey. To z nim

się kochała w wynajętych pokojach na Spellow Lane, a teraz nie mógł z nią być, bo przecież umarł!

Daty, czas i imiona się nie zgadzały, ale Eleanor nigdy o tym nie myślała w ten sposób. Uznała nawet, że jej chłopczyk z jasnobrązowymi kędziorkami i oczami jak bławatki przypomina o wiele bardziej Geoffreya aniżeli swojego prawdziwego ojca — którego twarzy właściwie już nie pamiętała.

Nawet o Anthonym i Sybil myślała tylko z rzadka. Kilka razy na tydzień spełniała matczyny obowiązek i odwiedzała ich w domu przy Parliament Terrace, ale Jonathan zajmował teraz w jej sercu tyle miejsca, że dla innych dzieci pozostało

go już bardzo niewiele.

— Co będziemy robić dziś wieczorem?

— spytała. — Kiedy potwór pożarł już swój podwieczorek i zniknął w pieczarze, czy mam ci poczytać bajkę? A może wolisz układankę? Albo zagramy w „węże i drabiny”?

155

— Układankę, mamusiu, tę z pociągiem.

Na twarzy malca odmalował się wyraz czystego szczęścia, dokładnie takiego, jakie teraz odczuwała Eleanor.

Po ułożeniu go w łóżeczku nastawiała radio i słuchała muzyki, czasem

słuchowiska, albo czytała książkę; miała teraz nową bibliotekę. Jutro niedziela, więc wszyscy będą mogli dłużej pospać, nawet pan Fulton, któremu akurat w tym wypadku nie przeszkadzało spóźnione śniadanie.

Och, jakie życie było dobre! Jeśli nie liczyć Ernesta Fultona, było właściwie doskonałe. Nie chciałyby, żeby coś się w nim zmieniło.

— Tyrone! — zawołała Brenna, jak tylko otworzyła frontowe drzwi.

— Chyba go nie ma w domu — stwierdziła Cara, kiedy Tyrone się nie odezwał. — Mamo, czy jesteś na niego o coś zła?

— Nie. Chciałabym tylko wiedzieć, gdzie się podziewa. — Brenna opadła na krzesło. — Nie bawił się za dobrze na przyjęciu, widziałam to wyraźnie po jego minie. Wyobraź sobie, że ja też nie. Właściwie było okropnie.

— Było w porządku, mamó.

— Nie, nie było, moja mała — rzuciła Brenna ostro. — Sybil za wszelką cenę chciała być lepsza, ważniejsza od ciebie. Jej przyjęcie, jej tort. Nawet Nancy była tylko jej gościem. Ta kapryśnica chyba zapomniała, że to również twoje urodziny.

— Och, mamó! Czy to takie ważne?

Cara spojrzała na matkę z naganą, a Brenna z miejsca poczuła się jak skarcona uczennica, jakby to ona była siedmioletnią dziewczynką, a Cara kobietą w wieku trzydziestu jeden lat.

— Masz rację, nieważne —
powiedziała szybko. Serce ją bolało, ale skoro Cara się nie gniewa na swoją koleżankę, to w takim razie nic złego się nie stało. — Chodź do mnie na chwilkę, kochanie.

Kiedy Cara podeszła, Brenna ucałowała ją w policzek i poczochnęła piękne, złotorude włosy. Cara wyglądała o niebo ładniej w swojej taniut-kiej, używanej sukience niż Sybil w tej komicznej różowej kreacji, która

przywodziła na myśl budyń malinowy...

Zajrzała w wielkie niebieskie oczy córeczki w nadziei, że nic nie zmąci nigdy tego spojrzenia doskonałej niewinności.

— Jesteś za dobra. Wiesz o tym, kochanie? Jesteś zupełnie jak twój tata. Ja to się zawsze wściekam z byle powodu. Siadaj mi tu zaraz na kolanach, chcę cię przytulić.

156

Cara usadowiła się z zadowoleniem na jej kolanach.

— Kocham cię, mamo.

— A ja ciebie, kochanie. Właśnie taka jest różnica pomiędzy Caf freya m i a Allardyce'ami. Wszyscy się kochamy, czego nie można powiedzieć niestety o tamtej rodzinie.

— Anthony mnie kocha, mamó. Kazał mi to powiedzieć przez naszego Fergususa. Powiedział, że się ze mną ożeni, jak dorośniemy.

— Coś takiego!

Brenna mogłaby o tym dużo powiedzieć, jeśli kiedyś nadarzy się po temu sposobność.

— Jak myślisz, Colm, powinnam jej to powiedzieć czy nie?

Colm podniósł oczy znad podręcznika, w który się pilnie zagłębiał już co najmniej od godziny.

— Co powiedzieć... i komu, kochanie?

— Och, ty! — wykrzyknęła Brenna z irytacją. — Nie słyszałeś ani jednego słowa z tego, co przed chwilą mówiłam.

— Usiłuję rozszyfrować notatki, które zrobiłem na ostatnim zebraniu, wczoraj wieczorem. Zapisywałem bardzo szybko, a teraz nie mogę tego ni w ząb rozczytać. — Odłożył książkę na stół. — Powtórz, bardzo cię proszę.

— Chodzi o Eleanor. Jest zła na Marcusa, że rozpuszcza Sybil jak

dziadowski bicz, a przecież ona robi dokładnie to samo z Jonathanem.

Dzieciak ma pięć lat, a ta cacka się z nim jak z niemowlakiem i nie pozwala mu dorosnąć. A do tego napycha tego biednego chłopaczka tonami jedzenia, jakby był tuczoną gęsią. Fergus powiedział, że zdaniem Anthony'ego Jonathan wygląda jak antałek piwa. — Zamilkła, a Colm się roześmiał, co ją jeszcze bardziej zirytowało. — To wcale nie jest śmieszne, Colm. Tak czy owak, mam coś powiedzieć Eleanor czy nie?

— Nie. — Znów pochylił się nad książką.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Spytałaś mnie o zdanie i odpowiedziałem, Brenno, kochanie — rzekł przeciągle. — Naprawdę muszę sobie teraz poradzić z tymi notatkami. Jutro będzie mi jeszcze trudniej je odczytać. A tak z ciekawości...

Czy ty byłabyś zadowolona, gdyby Eleanor wygłaszała swoje opinie, jak my wychowujemy nasze dzieci?

157

— Nie, nie byłabym — odparła Brenna z oburzeniem. — Przyjaciółka czy nie,

ale zasługuje na to, żeby jej powiedzieć parę słów do słuchu.

— Cóż, skoro taka jest twoja odpowiedź, Bren... Jeśli w ogóle cenisz przyjaźń, radzę ci trzymać buzię na kłódkę, bo inaczej to ona może ci powiedzieć parę słów do słuchu.

Wrócił do swoich notatek, a Brenna nie chciała mu już przeszkadzać.

Była zadowolona z przyjaźni z Eleanor. Kiedyś wydawało się jej to zupełnie nieprawdopodobne; teraz jednak chętnie by ją spytała, jak w ogóle można krytykować sposób, w jaki ona — matka doskonała — wychowuje swoje dzieci. Daleko im było do ideału, to prawda,

ale żadne nie było rozpuszczone. Nic z tych rzeczy. Fergus był w dalszym ciągu uosobieniem spokoju, chociaż przebywanie z Anthonym bardzo go zmieniło; Tyrone natomiast był zanadto pyskаты i zapatrzony w siebie — dawniej musiała mu dawać klapsy za to, że tak późno wracał z dworu; co prawda potem robiło się jej przykro, bo patrzył na nią wzrokiem zbitego psiaka. Ganiał

bez przerwy z chłopakami i robił trochę za dużo hałasu. Dzisiaj wieczorem na pewno będzie chorował. Co się zaś tyczy Cary... Akurat ona nigdy nie sprawiała najmniejszego kłopotu.

— Zrobić ci filiżankę kakao? — spytała Brenna męża.

— Hm...

Colm siedział pochylony nad książką do ćwiczeń, twarz miał bardzo skupioną. W jego kruczoczarnych włosach pokazały się pierwsze srebrne nitki, a na czole ledwie widoczne zmarszczki. Doskonale sobie radził jak na człowieka, który w Irlandii pracował tylko na roli; Brenna podejrzewała, że powinna za to dziękować Lizzie Phelan.

Z zaszępioną twarzą postawiła czajnik na ogniu. Na szczęście mieli już za sobą ten straszny rok, zakończony śmiercią malutkiego Rory'ego.

Wstrzymała oddech. Wspomnienie nocy,

kiedy dziecko umarło w jej ramionach, było tak świeże, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj.

Przygotowała kakao, usiadła i patrzyła, jak Colm pracuje.

W przeciwieństwie do Eleanor, Brenna nie uważała swojego życia za doskonałe — byłoby głupotą nie mieć nadziei, że kiedyś może być jeszcze lepiej — mimo to jednak była całkiem zadowolona ze swojego losu. Poza jednym małym potknięciem Colm był najlepszym z mężów, a dzieci —

to prawdziwe błogosławieństwo. Czowała się naprawdę dumna z całej trójki, wiedząc, że żadne z nich nigdy jej nie

zawiedzie.

158

Tego samego wieczoru Tyrone Caffrey i jego kumple czekali przed barem Chesterfield Arms na rogu Upper Stanhope Street.

— Nie ma pan czasem zbędnego miedziaka? — pytali grzecznie wychodzących z baru klientów, przede wszystkim tych męskiego rodzaju.

Mniej więcej jeden na dziesięciu, zwykle ten najbardziej podchmielony, spełniał ich uprzejmą prośbę i sięgał do kieszeni po monetę, na co chłopcy odpowiadali „Dzięki, proszę pana!” i

czekali, aż będzie można zaczepić następnego.

Czasami się zdarzało, że mężczyzna w poszukiwaniu jednopensówki wyciągał z kieszeni całą garść monet; wtedy jeden z chłopaków (było ich razem czterech i działali po kolei) podbijał mu łokieć. Monety wypadały na ziemię i toczyły się do rynsztoka. Zbierali je pospiesznie, najpierw srebrne, o ile tam były, a kiedy ich ofiara zaczynała wreszcie pojmować, co się stało, po chłopakach nie było już śladu.

Tamtego wieczoru też tak było.

— Ech, wy małe szkodniki! —
wrzeszczał nieszczęśnik, wymachując

pięściami w powietrzu.

Kiedy tylko znaleźli się w bezpiecznej odległości, zatrzymali się zdyszani.

Przeliczyli monety. Tym razem udało im się zdobyć dwa szylingi i dziewięć i pół pensa. Rezultat był wysoce zadowalający.

— Co za to kupujemy? — spytał Tommy Morgan.

— Gorzałę — odparł Kevin Plunkett.

— Szlugi — zaproponował Squinty Murphy.

Tyrone wolałby cukierki, ale to zabrzmiałoby tak jakoś... po

dziewczyńsku.

— Mnie tam wszystko jedno — oznajmił bez troski.

— Kupimy jedno i drugie. Mamy dość forsy. Gorzałę dostaniemy u Mickeya.

Mickey Gregory sprzedawał alkohol spod lady swojego baru każdemu, kto chciał. Nie przejmował się tym, że jego klienci mają zaledwie po jedenaście lat.

Jak dotąd poprzestawali na piwie, ale tego wieczoru Tyrone pierwszy raz pił whisky. Przez krótką chwilę — pomiędzy pierwszym a drugim łykiem — czuł się władcą świata; był przeświadczony o tym, że nie ma rzeczy,

której by nie był w stanie dokonać:
wdrapać się na najwyż-

szą górę, strzelać wspaniałe gole dla
drużyny Liverpoolu, opłynąć samotnie
świat... — ale kiedy to uczucie minęło,
chciało mu się już tylko rzygać.

159

Tata by go zabił, gdyby wiedział, czego
się dopuścił jego syn, a mama darłaby
się wniebogłosy, ale Tyrone'a nie
powstrzymywał strach, że go złapią —
nawet policjanci. Wszystko to tylko
dodawało życiu smaku. Nic, co
dotychczas zrobił w swoim krótkim
życiu, nie dało się nawet porównać z
dreszczem emocji przy zbieraniu monet i

błyskawicznej ucieczce z sercem w gardle i modlitwą w duszy, żeby ofiara nie zaczęła ich ścigać. Jego nikt by nie złapał, ponieważ był z całej czwórki najszybszy, mogliby jednak bez trudu pochwycić Squinty'ego Murphy'ego, który nie umiał dobrze biegać, a poza tym nie można mu było wierzyć, że nie wyda kumpli, bo bał się własnego cienia. A to rozpętałoby już prawdziwe piekło w domu, a pewnie i w szkole.

Tyrone nie przejmował się pieniędzmi, gorzałą ani szlugami. Dla niego najważniejsze były emocje.

Kiedy Tyrone wiercił się i przewracał na łóżku, cierpiąc i myśląc, że nie powinien był tyle pić, niecały kilometr

dalej jego brat Fergus też nie mógł zasnąć. Tego wieczoru wydarzyło się coś, coś, z czego już pod-

świadomie zdawał sobie sprawę, przeczuwając, że pewnego dnia nastąpi, ale teraz, gdy się to stało, Fergus zrozumiał, że jego życie z Anthonym dobiegło końca.

Przed laty, kiedy Daniel Vaizey tak nagle zniknął, pan Allardyce dał

ogłoszenie w „Echu”, szukając kogoś na jego miejsce. W jakiś tajemniczy sposób egzemplarz tej gazety trafił aż do Nowego Jorku, gdzie ogłoszenie przeczytała panna Louella Fisk. Odpisała, informując, że nauczyła się

języka migowego, kiedy wyszła za mąż za człowieka głuchego od urodzenia, że obecnie jest wdową, a przy tym wykwalifikowaną nauczycielką i że jest bardzo zainteresowana tą pracą, pod warunkiem że będzie miała zapewnione mieszkanie.

Upłynęło kilka tygodni i panna Fisk zajęła dawny pokój siostry Hutton.

Fergus i Anthony od razu ją polubili, o wiele bardziej niż Daniela. Nowa wychowawczyni twierdziła, że ma czterdzieści pięć lat, ale ponieważ przy tym mrugała, nie byli pewni, czy to prawda, czy nie. Aczkolwiek zupełnie nie rozumieli, dlaczego ktoś miałby kłamać na temat swojego wieku.

Wysoka i chuda jak kij od szczotki,
malowała usta ciemnoczerwoną szminką
i paliła papierosy w czarnych bibułkach,
które trzymała w srebrnej cygarniczce.
Nauczyła ich rozmaitych gier karcianych
i w soboty, pod pozorem chodzenia do
kina, zabierała czasem na wyścigi psów.
Dawała 160

każdemu po sześć pensów, żeby je
postawili na któregoś z czworonożnych
biegaczy, podkreślając przy tym, że
muszą koniecznie zachować owe
wyprawy w sekrecie.

Fergus zawsze bardzo się cieszył na
weekendy spędzane z Anthonym, a
przybycie panny Fisk sprawiło, że stały

się jeszcze ciekawsze; ale już za parę miesięcy oboje, ona i Anthony, mieli odjechać do obcego kraju, odległego o miliony kilometrów. Chociaż na pewno będzie mu brakowa-

ło panny Fisk, nie to jednak najbardziej go gryzło. W żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie mógł żyć bez Anthony'ego, który był

mu bliski jak brat, a właściwie o wiele bliższy niż jego prawdziwy brat, Tyrone.

Już od dłuższego czasu domyślał się, że coś się szykuje. Ostatnio panna Fisk prowadziła długie rozmowy telefoniczne z jakimś zamorskim krajem.

Powtarzały się w nich słowa „uniwersytet”, „geniusz” i „niezwykły młodzieniec”. Dzisiaj wieczorem panna Fisk zamknęła się z panem Allardyce'em w jego gabinecie i siedziała tam całe wieki, a Fergus i Anthony przykucnęli na podłodze pod drzwiami i słuchali — w każdym razie Fergus słuchał i przekazywał treść rozmowy przyjacielowi.

Najwyraźniej panna Fisk uważała, że Anthony odniesie większą korzyść z nauki w szkole przeznaczonej specjalnie dla głuchych, a taka szkoła —

„najlepsza na świecie, panie Allardyce, zapewniam pana” — znajdowała się w miejscu, które się nazywało Floryda, w

Stanach Zjednoczonych.

„Chodzi o Gaudulet College dla
Niesłyszących; ja zamieszkałabym
gdzieś w pobliżu i w ten sposób
zastąpiłabym mu dom rodzinny... że się
tak wyrażę". A kiedy Anthony skończy
osiemnaście lat, przeniesie się na
Gaudulet University i wówczas panna
Fisk uzna, że jej rola w życiu tego
chłopca jest zakończona.

— Uważałam, że powinnam się
skontaktować z tą szkołą, zanim
wprowadzę pana w temat. Otóż bardzo
chęć przyjąć pańskiego syna.

Następny semestr zacznie się w styczniu.
To cudowna okazja. Pański syn ma

zadziwiający talent malarski, lecz nie tylko jego sztuka skorzysta na tak znakomitej edukacji. Anthony ma błyskotliwy umysł, odpowiedni dla takiego właśnie systemu nauczania, czego ani ja, ani żaden inny wychowawca, którego by pan zaangażował, nie bylibyśmy w stanie mu zapewnić. I co pan na to, panie Allardyce?

Fergus powtarzał Anthony'emu wszystko, co mówiła panna Fisk.

W miarę jak obserwował ruchy jego palców, Anthony był coraz bardziej przejęty, a Fergus coraz smutniejszy. Panna Fisk ani razu nie wymieniła 161

nawet jego imienia. Już nie był potrzebny; jego rola w życiu Anthony'ego się skończyła.

Pan Allardyce na razie niewiele mówił, od czasu do czasu tylko odpowiadał niewyraźnym mruknięciem. Teraz powiedział:

— Myślę, że powinniśmy zaprosić tu Anthony'ego i wysłuchać, co on sam sądzi o tym wszystkim.

Fergus podniósł Anthony'ego i obaj popędzili na górę. Panna Fisk zawołała:

— Fergus, możesz poprosić Anthony'ego, żeby zszedł do gabinetu ojca?

Kiedy Fergus usłyszał, że drzwi gabinetu się zamknęły, zszedł na dół

i znów podsłuchiwał. Długi czas trwało milczenie, co znaczyło, że panna Fisk wyjaśnia Anthony'emu w języku migowym wszystkie cudowności szkoły na Florydzie. Potem Anthony odezwał się swoim dziwnym głosem:

— Chcę tam pojechać.

— Co on powiedział? — spytał pan Allardyce.

— Że chce tam jechać — przetłumaczyła panna Fisk.

Później Fergus spytał przyjaciela:

— Czy kiedyś cię jeszcze zobaczę?

— Oczywiście, że tak — odparł Anthony. — Kiedy skończę uniwersytet, wrócę i ożenię się z twoją siostrą Carą.

Ale to oznaczało całe lata z dala od siebie, a co gorsza, w styczniu Fergus kończył czternaście lat i powinien podjąć jakąś pracę. Na razie nie miał pojęcia, co będzie robił, spodziewał się, że pewnie zostanie chłopcem na posyłki i będzie rozwoził na rowerze chleb i inne rzeczy. Po kilku latach będzie mógł awansować, stając za ladą któregoś ze sklepów, gdzie prawdopodobnie zostanie aż do śmierci. Perspektywa takiego życia nie cieszyła go ani trochę, ostatecznie jednak było to lepsze niż

praca w fabryce albo czyszczenie kominów, czym trudnił się jeden z jego kolegów.

Fergus po raz kolejny obrócił się na łóżku i poważnie rozważał, czy nie lepiej byłoby umrzeć.

Eleanor była wściekła, kiedy odkryła, że już zaplanowano przyszłość jej syna bez uprzedniego skonsultowania się z nią w tej kwestii. Koniec końców musiała jednak przyznać, że Anthony'emu będzie najlepiej w instytucji naukowej, nastawionej wyłącznie na potrzeby niesłyszących dzieci.

W dzień Nowego Roku ona, Brenna i Nancy poszły na przystań Princes, żeby pożegnać Anthony'ego i pannę Fisk. Lodowaty wiatr zacinał ostro jak nożem. Oczy im od tego łzawiły, a nosy czerwieniały.

Było zbyt zimno, żeby zabrać ze sobą dzieci. Jonathan i Cara zostali z Colmem, który siedział w domu nad jakąś papierkową robotą, a Sybil opiekowała się pokojówką Phyllis, której mała nie znosiła. Zresztą z wzajemnością.

Stały dokładnie w tym samym miejscu, w którym Caffreyowie czekali kiedyś na Paddy'ego po przybyciu z Irlandii — siedem i pół roku temu.

Marcus kręcił się w pobliżu, ale osobno — mroczna, groźna postać z rękami w kieszeniach; rondo czarnego filcowego kapelusza przesłaniało mu oczy.

— A gdzie jest Fergus? — spytała Eleanor. — Myślałam, że to przede wszystkim on chce zobaczyć odjazd Anthony'ego. Byli takimi wspaniałymi przyjaciółmi.

— Nie mógł przyjść, dzisiaj zaczął pracę — odparła Brenna odrobinę za szybko.

Sama poszła tam tylko do towarzystwa Eleanor. Jeśli o nią chodziło, Anthony Allardyce mógł sobie odjeżdżać, gdzie

chce, a nawet skakać do jeziora. W ciągu kilku ostatnich miesięcy okazał się wszystkim, tylko nie przyjacielem. Fergus był potrzebny, dopóki mu wystarczał, póki był dość dobry, ale Anthony odrzucił go precz — jak starą ścierkę, gdy tylko chłopiec przestał być użyteczny. Teraz Anthony miał inne zmartwienia na głowie. Kiedy z wielkim przejęciem robiono przygotowania do jego wyjazdu, Fergusa odsuwano na dalszy plan lub zgoła ignorowano.

Powiedziano mu nawet, że już nie musi się trudzić przychodzeniem w weekendy. Brenna widziała, jak głęboko był zraniony.

— Mam nadzieję, że nie będziemy tu

czekać, aż statek odpłynie —

powiedziała. — Jeszcze chwila, a przymarzę do ziemi.

— Zaczekajmy tylko, aż się pokażą na pokładzie, pomachamy im i zaraz sobie pójdziemy — zaproponowała Nancy. — Prawdę mówiąc, nawet nie powinniśmy się tu kręcić.

— Zgadzam się — przystała na to Eleanor, dygocąc z zimna. — Och, już są! — Pomachała energicznie ręką. — Do widzenia, Anthony! Do widzenia, kochanie!

Zanim kobiety odeszły, Brenna zbliżyła się do Marcusa Allardyce'a.

— Dziękuję, że dał pan pracę Fergusowi w swoim biurze — powiedziała nieśmiało. — Bardzo jestem panu wdzięczna.

Marcus uśmiechnął się ponuro.

163

— Fergus to bystry chłopak. Chyba myślał, że będzie musiał zostać chłopcem na posyłki, ale według mnie może zajść o wiele wyżej. I na pewno tak się stanie. Powiedzmy, że ta praca jest podziękowaniem za to, co zrobił dla Anthony'ego. Jestem mu naprawdę bardzo wdzięczny, pani Caffrey.

Zawsze był takim dziwnym

człowiekiem, myślała Brenna, jadąc tramwajem do domu. W jednym momencie dobry, w drugim — straszny.

Przed laty Eleanor opowiedziała jej, dlaczego ją wtedy wyrzucił z domu na deszcz — i chociaż nie było żadnego wytłumaczenia dla tak skandalicznego zachowania, nie można było przecież potępiać tego mężczyzny za to, że stracił panowanie nad sobą, kiedy się dowiedział, że jego żona oczekuje dziecka innego mężczyzny.

— Gdybyście chciały wpaść na Parliament Terrace — rzekła Nancy —

mam trochę świeżo ugotowanej zupy z groszku i szynkę. To wam. rozgrzeje te

wasze skurczone serca.

— Właśnie tego mi trzeba! — zawołała Eleanor. — A ty, Brenno?

— Ja nie mogę czekać.

Brenna już zapomniała o Marcusie Allardyce, ale on nie zapomniał

o niej. Jeszcze przez wiele tygodni rozsmakowywał się w ich krótkiej rozmowie i we wspomnianiu jej cudownego uśmiechu.

W końcu powróciła do tego zakątka jego umysłu, w którym zawsze była i gdzie już na zawsze miała pozostać.

Rozdział 7

ROK 1939

— Sybil! — wołał ktoś. — Sybil Allardyce!

Sybil skrzywiła się. Nie rozpoznała wprawdzie głosu, z pewnością jednak nie należał on do którejś z jej przyjaciółek, bo żadna z nich nie wydzierałaby się na cały głos w miejscu publicznym, nawet jeśli dookoła panował ogłuszający hałas. Zarówno ona, jak i co najmniej kilkaset innych kobiet rejestrowało się w Renshaw Hall do służby wojskowej na czas wojny, która wisiała na włosku i mogła wybuchnąć w każdej chwili. Ich dane

spisywano aż przy dwunastu biurkach, a przed każdym z nich stała długa kolejka.

Ni stąd, ni zowąd para szczupłych rąk objęła ją z tyłu za ramiona.

— Sybil! To ja, Cara Caffrey. Ty też się rejestrujesz? Och, czy to nie jest podniecające?

— Tak — mruknęła Sybil, strząsając jej rękę z ramion.

Ostatni raz widziała Carę prawie trzy lata temu, kiedy obie były szesnastolatkami. Już wówczas była dosyć wysoka, ale teraz urosła jeszcze bardziej, tak iż jej wspaniała rudozłota grzywa sterczała ponad głowami

pozostałych kobiet w hali.

— Najbardziej bym chciała być wrenką* — wyznała Cara — ale nie sądzę, żebyśmy miały jakiś wybór. Skończy się pewnie na służbie w lotnictwie albo w piechocie.

* WRNS (Women's Royal Naval Service), pop. Wrens, pol. wrenki — pomocnicza kobieca formacja Marynarki Królewskiej, działała w obu wojnach światowych (7500 kobiet w pierwszej, ok. 50 000 w drugiej wojnie).

167

Sybil też marzyło się zostanie wrenką.

— Tak powinno być — ucięła krótko, modląc się w duchu, żeby Cara wreszcie sobie poszła.

Przyjaciółka Sybil, Betsy Billington-Clarke, udała się na poszukiwania damskiej toalety, a Sybil nie chciała, żeby Betsy po powrocie zastała ją w towarzystwie tak pospolitej osoby jak Cara Caffrey, której akcent stanowił mieszanię liverpoolskiego z irlandzkim i która nie nosiła kapelusza ani rękawiczek, a jej okropna czerwona sukienka gryzła się fatalnie z włosami. Sybil była świadoma tego, jak elegancko wygląda w nienagannie skrojonej sukni z błękitnego lnu we wzór ze stokrotek i w uroczym, dobranym do sukni toczku;

obie te rzeczy były kupione u Harrodsa.

Ku jej niezadowoleniu właśnie w tej chwili Betsy pojawiła się przy niej, ocierając brwi chusteczką ozdobioną koronką.

— Uff! Ależ tu gorąco! Wybacz, Sybil, że tak to długo trwało, ale przed damską toaletą stała kilometrowa kolejka. — Uśmiechnęła się do Cary. —

Cześć, jestem Betsy Ciarkę.

— A ja Cara Caffrey. Miło mi cię poznać, Betsy. — Cara uśmiechnęła się w odpowiedzi od ucha do ucha i obie podały sobie ręce. — Słuchajcie, to ja już będę leciała. Sheila, moja koleżanka,

zajęła dla mnie miejsce w ogonku i widzę, że jest już blisko biurka. Cześć, Sybil, cześć, Betsy!

— Jaka urocza dziewczyna! — stwierdziła Betsy z zachwytem. —

Zauważyłam ją już wcześniej, nic dziwnego, wyróżnia się w tym tłumie.

Co za przepyszne włosy! I... w przeciwieństwie do większości wysokich kobiet, wcale się nie przejmuję swoim wzrostem. Czy to twoja przyjaciółka?

— Nie! — Sybil aż zadygotała na samą myśl o tym. Miała pretensję do Betsy za to zachwycanie się Carą. — Nasze matki

się znajdują, to wszystko.

— Zwróciła się do koleżanki — Ale, ale, co się stało z nazwiskiem

„Billington”? Odkąd to się nazywasz po prostu Betsy Ciarkę?

Betsy parsknęła śmiechem.

— Od momentu, kiedy weszłam do tej sali. Billington to panięńskie nazwisko mojej mamy; ojciec je dodał do Ciarkę, kiedy się pobrali. Zawsze nie cierpiałam tego nadętego, podwójnego nazwiska, bo to brzmi strasznie snobistycznie, a dzisiaj mam okazję wreszcie się go pozbyć.

— A ja zawsze o takim marzyłam... — westchnęła Sybil — ale Wallace-

-Allardyce byłoby okropnie trudne do wymówienia.

— Okropnie — zgodziła się z nią Betsy. Wachlowała sobie twarz ręką. — Dlaczego nikt nie pomyślał, żeby otworzyć okna? Jest środek 168

czerwca! Wiesz co? Wydaje mi się, że ta kolejka wcale się nie skróciła od chwili, gdy wyszłam do toalety. Nigdy bym nie sądziła, że taki tłum pań chce wstąpić do armii. Kobiety z Liverpoolu muszą być wyjątkowymi patriotkami.

— Jak przyjdzie do domu i powie, że się

zaciągnęła, chyba ją zabiję —
obiecowała sobie głośno Brenna, stojąc
w pustym saloniku. —

Wojna jest dla mężczyzn, kobietom nic
do tego, a w każdym razie nic do walki.
Tyle razy jej to mówiłam... ale ci młodzi
dzisiaj. Po prostu nie słuchają!

Zauważyła pełną niedopałków
popielniczkę na podłodze obok fotela i
głośno cmoknęła z dezaprobatą.
Poprzedniego wieczoru w tym pokoju
było zebranie lokalnej komórki Partii
Pracy, a ci zawsze zostawiali straszny
bałagan, chociaż równie dobrze mogliby
te swoje wypalone faje i szlugi zabrać
do domu, a poza tym przynosić własne
filizanki i spodki, żeby nie musiała

używać własnych, kiedy szykowała im herbatę. Byli całkiem przyjemną grupą, ale... No cóż, następnym razem trzeba będzie przygotować więcej popielniczek.

Strzepnęła kurze ściereczką, przetrzepała dłonią poduszki na szarej pluszowej trzyosobowej kanapie, z której była bardzo dumna, chuchnęła na lustro i przetrzała je do czysta, po czym, obrzuciwszy pokój ostatnim kontrolnym spojrzeniem, poszła na górę słać łóżka, podśpiewując piosenkę, którą akurat nadawano w radiu: Smoke gets in your eyes... — zanuciła melodyjnie.

Nie przeprowadzili się do większego

domu, o czym przecież zawsze marzyła. Kiedy byli już bardzo bliscy podjęcia tej decyzji, Colm jakoś nie potrafił się zdobyć na wyniesienie się stąd. Ten dom odziedziczył po bracie i nie chciał się rozstawać z taką pamiątką.

— Nasz Paddy zginął dla tego domu — powiedział z przejęciem.

Kiedy Brenna zaproponowała, żeby go komuś wynająć, a za uzyskane pieniądze znaleźć sobie coś ładniejszego, spojrział na nią tak, jakby mu radziła obrabować bank lub, co gorsza, wstąpić do partii konserwatystów.

— Nie mam zamiaru być kapitalistą! — zawołał z oburzeniem.

W gruncie rzeczy Brennie też nie zależało specjalnie na zmianie domu.

Podobnie jak Colm była do niego bardzo przywiązana i odejście na pewno sprawiłoby jej ból. Pamiętała, jak głęboko przeżywali fakt, że go odziedziczyli. Była raczej szczęśliwa, kiedy go stopniowo ulepszała, 169

ozdabiając od piwnicy po strych — zresztą pomagała jej w tym cała rodzina; poza tym mieli już dosyć pieniędzy, by kupić porządne, choć niekoniecznie nowe meble, kiedy Fergus, a potem Tyrone poszli do pracy, a cztery lata po nich także Cara, która teraz pracowała w drogerii Bootsa, razem z bardzo miłymi koleżankami. Wtedy Brenna rzuciła

pracę w Cocoa Rooms, uznawszy, że rodzina sama jakoś sobie poradzi. Mieli już w domu elektryczność, do łazienki wstawiono wannę, a do kuchni kuchenkę gazową. Właśnie się zastanawiali nad usunięciem pieca i zastąpieniem go pięknym kominkiem, wyłożonym kremowobrazowymi kaflami, kiedy Tyrone nieoczekiwanie się wyprowadził i ożenił z Marią Murphy. Znaczyło to nie tylko, że w domu będzie o jedną pensję mniej. Bardzo szybko okazało się, że muszą kupić mnóstwo rzeczy dla dziecka, które przyszło na świat sześć miesięcy po ślubie. W taki oto sposób Brenna została babcią w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Pogłaskała poduszkę na łóżku Tyrone'a, niemal od pięciu lat prawie nieużywaną. W dalszym ciągu była przekonana, że wszystko musi tu zostać tak jak przedtem. Tyrone miał stanowczo zbyt miękkie serce...

Ostatnio dom przy Shaw Street przypominał stację kolejową, taki panował tam zamęt. W salonie co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu odbywały się wszelkiego rodzaju zebrania, spotkania i narady. Rzadko się zdarzał dzień bez niekończących się wizyt ludzi, którzy przychodzili do Colma w różnych partyjnych interesach, a jeszcze rzadziej — bez odwiedzin koleżanek Cary. Poza tym Brennę i

Eleanor wybrano do komisji w stowarzyszeniu Towns women's Guild i teraz spotkania odbywały się raz u jednej, raz u drugiej. Brenna musiała nawet kupić mały notes i wpisywać do niego daty rozmaitych zebrań, żeby ze sobą nie kolidowały.

Usłyszała stuk zasuwki w tylnych drzwiach i już po paru sekundach rozległ się głos Eleanor:

— Juhuu! Bren, to tylko ja.

— Ściele łóżka, za minutkę zejde — odkrzyknęła. — Postaw czajnik na kuchence!

— Wracam właśnie od Nancy —

powiedziała Eleanor, kiedy Brenna zeszła na dół i wyłączyła radio. — Mówiła, że Sybil też poszła do Renshaw Hall zgłosić się... czy tam zapisać, wszystko jedno — w każdym razie pójść do wojska. Musiała podjąć tę decyzję zupełnie nagle, z minuty na minutę, bo kiedy była u mnie w niedzielę, nie wspomniała o tym ani słowem. Podobno Marcus strasznie się zmartwił... Wprawdzie nic nie powiedział, ale Nancy to zauważyła. Przez ostatnie trzy lata Sybil była 170

w szkole w Londynie i teraz Marcus chciał, żeby choć na jakiś czas została w domu. Podejrzewam, że jest bardzo samotny, zwłaszcza teraz, kiedy Anthony

już się osiedlił w Ameryce i — jak dotąd — ani razu nie wspomniał o swoim powrocie.

— Ciekawam, czy Cara i Sybil będą w tym samym pułku — zastanowiła się Brenna. — Ale, ale... czy kobiety biorą do pułków?

— Nie mam pojęcia. Och, Bren! — zawołała Eleanor płaczliwie. — Ta wojna, kiedy się już zacznie, na pewno będzie straszna. Wczoraj wieczorem pan Chandler ostrzegął, że może zabraknąć żywności, i spytał mnie, czy nie mogłabym zacząć hodować w swojej szklarni warzyw zamiast kwiatów. Oczywiście się zgodziłam.

— Ja tam przez jakiś czas mogłabym dać sobie radę z brakiem jedzenia.

— Brenna poklepała się po wystającym brzuchu. Ostatnio wszystkie jej ubrania zrobiły się strasznie niewygodne — za małe, za ciasne, a kiedy się przeglądała w lustrze, widziała jakąś obcą matronę. Z zazdrością popatrzyła na Eleanor, która przy swoich czterdziestu dwóch latach nadal zachowała figurę młodej dziewczyny.

— To wcale nie jest śmieszne, Bren.

— A czy ja się śmieję? — spytała Brenna niegrzecznie. — Za chwilę Cara przyjdzie do domu z wiadomością, że jest admirałem floty albo kimś takim, a

Tyrone na pewno też dostanie wezwanie. Szczęście w nieszczęs-

ciu, że nie tkną Fergusa z jego słabym wzrokiem — nigdy nie przypuszczałam, że będę kiedyś zadowolona, że biedak musi nosić okulary. Pod schodami są maski gazowe, poza tym rolki taśmy do oklejania okien, żeby szyby nie wylatywały, kiedy gdzieś spadnie bomba; mamy książeczki z kartkami żywnościowymi i dowody osobiste w kredensie, a któregoś dnia kupiłam Bóg wie ile metrów tkaniny do zaciemnienia, żeby Nancy uszyła z niej zasłony. — Przerwała, żeby nabrać oddechu. — Colma mianowali nadzorcą służb przeciwlotniczych w mieście, jest

odpowiedzialny za bezpieczeństwo ludzi podczas nalotów — tak jakby nie miał dość roboty! — a Townswomeńs Guild ma pomagać w organizowaniu ewakuacji dzieci, kiedy tylko zaczną się wojna.

— Przecież wiem, Bren. Czy i ja w tym nie pomagam?

— Oczywiście, że tak, kochanie, nie zapomniałam o tym — zapewniła ją Brenna z wytwornym machnięciem ręki i dodała ponuro: — Ten idiota Hitler całą Europę powywracał do góry nogami, co? Warto by go przełożyć przez kolano i spuścić mu porządne lanie — sama chemie bym to zrobiła, gdyby tylko wpadł mi w ręce.

— Jestem tego pewna, Bren — rzekła Eleanor sucho. — Czy zauwa-

żyłaś? Już nie mówimy „jeżeli wojna się zacznie”, tylko „kiedy tylko”.

Och, chciałabym, żeby to kobiety rządziły światem, a nie mężczyźni.

Gdyby to od nas zależało, nikt nie znałby nawet słowa „wojna”.

Wszystko to jakiś koszmar, myślała Eleanor, wstrząśnięta widokiem nowo wybudowanych schronów przeciwlotniczych i budynków

obłożonych workami z piaskiem, kiedy wracała na Tigh Street.

Wojna! Już ta ostatnia była dostatecznie zła, ale nowa ma, niestety, dotknąć również cywilów. Spojrzała w górę na błękitne niebo, próbując sobie wyobrazić, jak by wyglądało usiane nieprzyjacielskimi samolotami, zrzucającymi bomby na niewinnych ludzi — ale takie sceny przekraczały jej wyobraźnię. Dwadzieścia pięć lat temu straciła Geoffreya, a teraz stanęła wobec perspektywy utraty najdroższego syna, Jonathana. Miał

dopiero siedemnaście lat i chodził jeszcze do szkoły, mimo to jednak uznanie go za dostatecznie dorosłego,

żeby mógł walczyć za ojczyznę, było już tylko kwestią miesięcy. A przecież był taki delikatny i wrażliwy!

Eleanor nie była przekonana, czy zdołałby znieść trudy wojskowego życia.

Kiedy wróciła do domu, zastała Olivera Chandlera w szklarni. Stał

zamyślony.

— Będę musiał kupić jakąś książkę o ogrodnictwie — oświadczył. —

Jedyne, o czym mam pojęcie, to sadzenie pomidorów.

— Pomidory bardzo by się przydały — rzekła Eleanor, zadowolona, że może porozmawiać o czymś prozaicznym. — Można je jeść na surowo, konserwować albo robić z nich zupę czy sos.

— Jest z pani naprawdę przedsiębiorcza dama, pani Allardyce!

Pan Chandler obdarzył ją uroczym, żartobliwym uśmiechem. Mieszkał

u niej zaledwie sześć miesięcy; był piątym lokatorem od czasu, kiedy Ernest Fulton przeszedł na emeryturę i wyjechał, by zamieszkać w Mo-recambe u swojej siostry. Chandler miał około czterdziestki, był szczupły, o włosach koloru przydymionego brązu i

podobnych oczach, poza tym miał
zniewalający uśmiech i akcent
człowieka z wyższych sfer. Eleanor
troszeczkę zawróciła sobie nim w
głowie. Nie szukała bynajmniej ko-
chanka ani kolejnego męża — zresztą w
dalszym ciągu była żoną Marcusa

— ale nie miałyby nic przeciwko
niewinnemu flircikowi z panem Chan-
dlerem; zresztą chodziła z nim od czasu
do czasu do kina albo do teatru, nigdy
jednak o nic jej nie prosił, ona zaś nie
miała wcale ochoty 172

robić jakichkolwiek aluzji. Jako lokator
był doskonały, bez dwóch zdań.

Nigdy nie narzekał, sam sprzątał swój

pokój, a czasem przyrządzał

nawet własnoręcznie jakieś specjały. Z Jonathanem dogadywali się dobrze: Chandler często pomagał chłopcu odrabiać zadania domowe. Jego własna praca była wysoce tajna. Pracował dla Admiralicji w biurze na przystani Pier Head.

Eleanor już miała zamiar pozostawić go w szklarni sam na sam z jego myślami, kiedy powiedział nagle:

— Pani Allardyce, właśnie zamierzałem spytać, czy nie chciałaby pani wynająć swojego pokoju gościnnego? Jednego z moich współpracowników przenoszą akurat z Londynu do Liverpoolu. Będzie

się rozglądał za jakimś lokum.

Nigdy przedtem nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby wynająć czwartą sypialnię. Aż do pojawienia się Olivera Chandlera nie interesowała się jakoś szczególnie którymś z lokatorów, uważając ich za dodatkowe utrudnienie życia, ale potrzebowała pieniędzy, a to, co jej płacili, wystarczało aż nadto.

— Muszę się nad tym zastanowić, panie Chandler — powiedziała.

Była ciekawa, czy ten „współpracownik” nie jest przypadkiem kobietą i czy pod jej dachem nie zaczną się wyprawiać rozmaite hopsztosy, przypomniała sobie jednak, że i ona

oddawała się swego czasu takim zabawom, chociaż to było już dosyć dawno temu. — Powiadomię pana, kiedy podejmę decyzję.

— Jeśli to pani pomoże podjąć decyzję — powiedział, rozjaśniając wszystko dookoła swoim urokliwym śmiechem — gość, którego pozwoliłem sobie zaproponować pani, jest znanym matematykiem z dok-toratem uniwersytetu w Cambridge. Nazywa się Lewis Brown i podobnie jak ja jest dżentelmenem. — Znowu się roześmiał. Eleanor była już całkiem pogrążona.

— Och, świetnie — uśmiechnęła się. — Kiedy przyjeżdża?

— Mniej więcej za miesiąc.

— Ale... w tym pokoju właściwie nie ma mebli.

— Nic nie szkodzi, Lewis przywiezie własne.

Kierownik drogerii Bootsa nie miał nic przeciwko temu, by Cara i Sheila wzięły urlop z tak na wskroś patriotycznego powodu. W drodze powrotnej wstąpiły jeszcze do Kardomaha na Bold Street i uraczyły się herbatą 173

i bułeczkami ze śmietanką, żeby uczcić swój bardzo bliski już wyjazd z Liverpoolu i początek życia pełnego emocji, przygody, no i może odrobiny

niebezpieczeństwa.

Kiedy Cara przysła do domu, z kuchni dolatywał rozkoszny, budzący apetyt zapach, który przypomniał jej o tym, że jest strasznie głodna.

Bułeczki nie zmniejszyły jej łaknienia ani na jotę. Mama zawsze mówiła, że Cara ma wilczy apetyt.

Teraz kręciła się po salonie. Widząc córkę, spojrzała na nią spode łba.

— Zrobiłaś to? — spytała ostro.

— Tak, mamó, zrobiłam.

Cara rzuciła się na krzesło; długie,

szczupłe nogi wyciągnęła przed siebie tak, iż stanowiły niebezpieczną przeszkodę dla każdego, kto chciałby przejść obok.

— Sybil Allardyce też tam była... i w ogóle setki kobiet. Nie jestem jedyną dziewczyną w Liverpoolu, która chce wykonać swoją część roboty.

Nie wiadomo dlaczego mama była bardzo przeciwna jej zaciągnięciu się do wojska.

— Możesz robić tę „swoją część”, jak to nazywasz, tutaj, w domu —

powiedziała tym samym ostrym tonem.
— Po to nie trzeba uciekać do jakichś

obcych krajów.

— Najprawdopodobniej wcale jej nie wyślą do obcych krajów... —

zaoponował tata. Siedział przy stole, czytając gazetę i czekając na posiłek.

Fergus był tam również. Wyglądał tak, jakby miał wszystkiego serdecznie dość; ostatnio stale tak wyglądał.

— Ale, Colm, przecież mogą ją wysłać do Timbaktu albo jeszcze gdzieś indziej — lamentowała Brenna. — To nieuczciwe. Będę się o nią strasznie martwić, codziennie, co minutę. Można się spodziewać, że twoi synowie pójdą walczyć, ale nie twoja jedna jedyna

córka!

Na te słowa Fergus się skrzywił.

— Ależ Bren, ona nigdzie nie pójdzie walczyć. Kobiet nie posyła się na pierwszą linię.

— Tak czy siak, mamo, wszystkie musimy jeszcze przejść badania lekarskie; mogą mnie nie przepuścić. — Powiedziała to tylko po to, żeby choć trochę uspokoić matkę, tymczasem skutek był wręcz odwrotny.

— Ty... — Tu mama głośno wciągnęła powietrze. — Ty miałabyś nie przejść badań? Jesteś zdrowa jak rydz! Już ja bym powiedziała do słuchu temu

doktorkowi, który by cię nie chciał
przepuścić!

174

Tata zerknął znad gazety i mrugnął do
córkę.

— Oj, ta twoja mama! Same
przeciwieństwa!

— Ale, ale! A co z tym twoim miłym
chłopcem? Co on na to?

— Mamo! — Cara wybuchnęła
śmiechem. — W zeszłym tygodniu
twierdziłaś, że Richie Larkin nie jest dla
mnie dość dobry. W tym tygodniu jest
już „miły”. Chcesz znać prawdę? Jemu

tam wszystko jedno, czy się zaciągnę, czy nie. Nie mamy zamiaru się pobierać ani nic w tym rodzaju.

— Jak dotąd Cara jeszcze nie spotkała mężczyzny, którego chciałyby poślubić.

— Będziemy coś dziś jedli czy w ogóle nic, kochanie? — Tata spojrzał

na mamę żałośnie. — Coś tam w kuchni pachnie po prostu bosko... Byłoby ciekawie sprawdzić, czy smakuje równie dobrze, jak pachnie.

— To gulasz wołowy z kluseczkami — wyjaśniła mama lekko speszo-na. — Zaraz podam.

Wróciła z wielkim półmiskiem parującego gulaszu i z hukiem postawiła go na stole. Ściągnęła fartuszek i usiadła — z kolejnym hukiem.

— Są po dwie kluski dla każdego, więcej nikomu brać nie wolno —

warknęła, a tata stwierdził, że w ich rodzinie nikt wcale nie musi wstę-

pować do wojska, bo mają na miejscu własnego sierżanta sztabowego.

Mama na to, że jeśli tak dalej będzie sobie poczynał, to wytarga go za uszy, a tata ją trzepnął zwiniętą w rolkę gazetą. Na to wszyscy zaczęli się śmiać, ale nie śmiali się długo, bo w tym samym

momencie drzwi otwarły się na oścież i do pokoju wpadł Tyrone.

— Odszedłem od Marii — oznajmił bezbarwnym głosem — tym razem jednak już na dobre.

Cara westchnęła, Fergus jęknął, a tata powiedział:

— Znowu!

— Chciałabym, żeby to naprawdę było już na dobre — powiedziała z gniewem mama — ale znając cię, wrócisz w jednej sekundzie, byle tylko Maria kiwnęła na ciebie palcem.

— Nie mieszaj się, Bren — mruknął

tata.

Nie mógł powiedzieć nic gorszego.

— Nie mieszaj się? Ja mam się nie mieszać?! — wrzasnęła mama. —

Maria Murphy podstępem zmusiła naszego syna do małżeństwa, a ty mi każesz się nie mieszać?

— Spodziewała się jego dziecka, Bren. Nie nazywałbym tego podstępem.

— Miał dopiero osiemnaście lat! — sprzeciwiła się mama.

— Tak samo jak ona — odparł tata.

Tyrone w ogóle nie zwracał uwagi na ich kłótnię. Usiadł, sięgnął po łyżkę wazową i nałożył sobie gulaszu.

Carę zastanowiło, w jaki sposób podzieli się teraz osiem klusek na pięć osób. Z miną świętej wzięła sobie tylko jedną, pozostawiając reszcie rozwiązanie dylematu, jak rozdysponują pozostałe siedem klusek.

Pięć lat temu rozpętało się istne piekło, kiedy do ich domu wpadła rozwścieczona Annie Murphy i oznajmiła, że jej córka Maria spodziewa się dziecka i że całą winę ponosi za to Tyrone.

— To wcale niekoniecznie musi być nasz Tyrone — prychnęła wtedy mama. — Przecież to jeszcze dzieciak i nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

— Dzieciak czy nie, nasza Maria jest w ciąży, i to z winy Tyrone'a. —

Pani Murphy wyzywająco splotła ręce na piersiach. — Muszą się zaraz pobrać, już minęły trzy miesiące, więc im prędzej, tym lepiej.

— Ale on jest o wiele za młody na małżeństwo. To wszystko podstęp!

Wasza Maria to też niezłe ziółko. Nasz Tyrone nigdy się z nią nie zadawał...

i w ogóle nigdy się nie zadawał z żadną dziewczyną, jest na to za dobrze wychowany.

— Jakoś nie był na tyle dobrze wychowany, żeby nie chodzić kraść razem z naszym Sąuintym — zaśmiała się drwiąco pani Murphy — albo włamywać się do samochodów, jeżeli było w nich na tylnym siedzeniu coś, co warto by zwędzić. Proszę bardzo, pani Caffrey! Mogę pani dać całą listę rzeczy, które ten pani „dzieciak” zmalował, chociaż jest podobno tak dobrze wychowany!

Mama w odpowiedzi zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, po czym padła w ramiona taty, zanosząc się płaczem.

— Ona kłamie, prawda, kochanie, że kłamie? Nasz Tyrone nigdy w życiu nie mógłby zrobić czegoś podobnego!

— Nie wiem, kochanie — odparł tata żałościwie. — Najlepiej spytajmy jego samego, kiedy przyjdzie do domu.

— A gdzie on jest?

— Poszedł z jakąś dziewczyną do kina
— poinformował rodziców Fergus.

Okazało się, że Tyrone rzeczywiście jest ojcem dziecka Marii, prócz tego zaś ma na sumieniu całe mnóstwo różnych przestępstw.

— Ja to robiłem tylko dla zabawy — tłumaczył tak, jakby mama i tata mogli to zrozumieć. — Ale od kiedy skończyłem szesnaście lat, postanowiłem być uczciwy.

176

Mama była zbyt przygnębiona, żeby ciskać gromy, jakimś sposobem udało się jej jednak zrzucić całą winę na panią Murphy. Nawet za te kradzieże.

— To ten ich Squinty sprowadził Tyrone'a na złą drogę! Jego matka nigdy, ale to nigdy nie próbowała nawet go pilnować, a Maria ma fatalną reputację. Nasz Tyrone to taki beztroski dzieciak, wszystkim chciałby tylko dogodzić...

Tyrone i Maria pobrali się jak najprędzej, ale ich matki stały się odtąd zdeklarowanymi nieprzyjaciółkami. Mamie zabrało dużo czasu, zanim w końcu przekonała się do Marii, która była naprawdę bardzo miła, wyjątkowo ładna i zupełnie nie „rozrywkowa”, za jaką ją wszyscy uważali.

Ich małżeństwo nie było szczęśliwe, mimo iż oboje młodzi bardzo się kochali. Tyrone miał głowę pełną planów na przyszłość, wśród których nie było małżeństwa i ojcostwa w wieku osiemnastu lat, za to chciał być koniecznie bardzo bogaty; Maria natomiast wyznała kiedyś Carze, że ma zamiar wyjechać do Hollywood i zostać

gwiazdą filmową.

— Tymczasem jestem teraz skazana na mieszkanie w saloniku babki z dzieciakiem i drugim w drodze... I oczywiście żadnej nadziei na własny kąt — bo i jakim cudem? Przy zarobkach Tyrone'a!

Tyrone musiał rzucić pracę czeladniczą u elektryka, gdzie zarabiał

raptem szylinga na tydzień, i znaleźć sobie inną, trochę lepiej płatną.

Mama i tata poczuli się w obowiązku, żeby sięgnąć po pieniądze, które oszczędzali na nowy kominek. Zamiast tego kupili wózek, łóżeczko i sto jeden

drobiazgów potrzebnych dziecku.

Tyrone miał teraz dwadzieścia trzy lata i był ojcem dwóch chłopców: Joeya i Mike'a, których bardzo kochał, tak samo zresztą jak i Marię, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał; wciąż mieszkali u babki Marii, razem z jej wujkiem, starym kawalerem wiecznie bez grosza przy duszy.

Mniej więcej raz na miesiąc Tyrone porzucał swoją rodzinę i wracał do domu, do mamy, która go pieściła i trzęsła się nad nim jak nad zgniłym jajem, albo też Maria zabierała chłopców i szła do swojej matki. Tata mówił, że nie ma się czym przejmować, że wspólne mieszkanie ich męczy i po

prostu muszą od czasu do czasu od siebie odpocząć. Chyba miał

rację. Z reguły wracali do siebie już po jednym dniu.

— Lada chwila — mówił Tyrone, nakładając sobie drugą kluskę —

przyjdzie wezwanie do wojska. Nie mogę się już doczekać.

— Wiem, synku — mama poklepała go uspokajająco po ręku. — Będę pilnowała Marii i chłopaków, więc nie musisz się o nich martwić.

Tyrone dramatycznie pociągnął nosem i powiedział z przesadną czułością:

— Wiem, że to zrobisz, mamó.

Mama wyszła do kuchni, żeby podać pudding ryżowy, i pozwoliła Tyrone'owi zjeść skorupkę z wierzchu. Cara i Fergus uśmiechnęli się do siebie rozbawieni. Potem mama wzięła się do zmywania naczyń — Cara miała je później powycierać — a tata zaproponował, że pójdzie z chłopakami do baru. Tyrone się zgodził, ale Fergus powiedział, że woli poczytać, i poszedł do siebie na górę.

— Gdyby mnie ktoś szukał — rzucił na odchodnym tata — powiedzcie, żeby

przyszedł do nas do baru Bakers' Arms.
Będę tam do wpół do ósmej.

Albo niech zaczeka w saloniku.

— W porządku, kochanie — obiecała
mama.

W całym domu nagle zapanowała cisza.
Cara została przy stole z drugą filiżanką
herbaty; słońce odbijało się w oknach
domów po przeciwnej stronie ulicy tak
mocno, że niemal oślepiało; musiała
zmrużyć oczy. Tak bywało tylko o tej
porze roku, kiedy dni były najdłuższe.
Jakoś nigdy przedtem o tym nie myślała;
teraz to uczucie było tak żywe, że niemal
jej zaparło dech w piersiach. To by było
nie do zniesienia — nie widzieć taty ani

mamy, nie jeść posiłków w tym pokoju, znanym jak własne pięć palców, nie spać w małym pokoiku na łóżku wujka Paddy'ego. Mama jej pozwoliła kupić nowe tapety, niebieskie w różowe różyczki, a Nancy Gates uszyła niebieskie zasłonki i jeszcze dodatkowo zasłonę okrywającą drewnianą ramę, którą zrobił tata, a która służyła jej za parawan.

Patrzyła na obudowę kominka, na małą figurkę damy w krynolinie z koronkową parasolką na ramieniu. Mama bez przerwy przenosiła ją w coraz to inne miejsce w domu, to było jej ulubione caczuszko, Cary zresztą też. Kiedy była malutka, chciała się nią bawić, ale nigdy

nie pozwalano jej nawet dotknąć tego
maminego skarbu.

— To prawdziwa porcelana, ta laleczka
— mówiła mama ze śmiechem.

Trzeba było wielu lat, żeby Cara się
dowiedziała, że to tania rzecz, kupiona
za parę miedziaków w sklepie z
używanymi rzeczami. Zdjęła figurkę z
kominka i tuliła w dłoni, nie mogąc
sobie wyobrazić życia bez widoku
zawsze w pobliżu tego niemal
bezwartościowego przedmiotu.

— Mamo! — zawołała. — Och, mamo!
Chyba popełniłam straszny błąd.

Matka stanęła w drzwiach, z powrotem

w fartuchu, z rękawami podwiniętymi do łokci. Wyglądała na zaniepokojoną.

178

— O co chodzi, kochanie?

— Wolałabym nie iść do wojska! Jak myślisz, czy mogę się jeszcze wycofać?

— Chyba tak, ale dlaczego chcesz to zrobić? — Mama usiadła obok Cary i objęła ją za szyję mokrym ramieniem.

Cara wtuliła twarz w obfity biust matki.

— Bo się zlekłam, mamó. Nie chciałam odchodzić z domu.

Spodziewała się, że to wyznanie przyniesie ulgę matce, myliła się jednak.

— Kochanie, na pewno sobie z tym poradzisz. Za parę dni znów będziesz chciała jechać.

— Myślałam, że chcesz, żebym została!

— Och, moja najdroższa, kochana dziewczynko — szepnęła Brenna —

oczywiście, że chcę, żebyś została. Chcę tego z całego serca, ale to z mojej strony bardzo samolubne — taka już jestem. Masz już prawie dziewięć-naście lat i własne życie przed sobą. Nie mam prawa cię zatrzymywać, prawda?

— Nigdy nie byłaś samolubna, mamó.

— Ależ jestem, kochanie. Chciałabym, żebyście wszyscy — ty, Fergus i Tyrone, zostali na zawsze w tym domu... ze mną i z waszym tatą, żebyśmy nigdy się nie zestarzelili, tyl ko zawsze byli jedną wielką, szczęśliwą rodziną. —

Pogłaskała Carę po policzku, a córka poczuła, że wargi matki musnęły czubek jej głowy. — Nie przychodzi mi na myśl nic innego, co by mogło mnie bardziej uszczęśliwić. Ale to wcale nie znaczy, że wy troje bylibyście wtedy szczęśliwi, prawda? Kochanie, przed tobą całe życie, mnóstwo, mnóstwo długich lat, a teraz możesz przeżyć naprawdę cudowne rzeczy. Co ty tam masz? —

zauważyła figurkę, którą Cara trzymała na dłoni.

— Kiedy byłam mała, uwielbiałam ją — szepnęła Cara — ale ty nigdy nie pozwalałaś mi się nią bawić.

— To jedna z pierwszych ozdóbek, jaką kupiłam do tego domu. Byłam z niej taka dumna! — Ujęła dłoń Cary i zacisnęła jej palce na figurce. —

Zabierz ją ze sobą, kochanie. Nigdy nie wiadomo; może będzie zadowolona z podróży z tobą. A teraz wyświadcź nam przysługę, idź na górę i namów tego twojego brata, żeby się wybrał do kina. Mam już po same uszy patrzenia, jak leży tam na górze i udaje,

że czyta, a tak naprawdę marzy tylko o pójściu do wojska. W kinie Gaumont wyświetlają Ostatniego gangstera z Edwardem G. Robinsonem — to brzydki mały gnojek, ale 179

zawsze go jakoś lubiłam. W gruncie rzeczy — rzekła impulsywnie, rozwiązując fartuch — sama bym z chęcią poszła. Zostawię kartkę dla twojego taty. Chodź, kochanie, rusz tylko swojego braciszka i już nas nie ma!

Było już prawie wpół do ósmej, a Sybil jeszcze nie wróciła. Marcus bębnił palcami po biurku, czując, że ogarnia go coraz większy chłód.

Ostatnio w widoczny sposób zwróciła

się przeciw niemu. Podczas pobytu w londyńskiej szkole przeistoczyła się z małej dziewczynki w młodą damę. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do domu na święta, była coraz bardziej zamknięta w sobie. Oddalała się; nie od Nancy ani od Eleanor, matki, która ją opuściła, ani też od przyjaciół, tylko od niego, swojego ojca. Wyraźnie czuł, że córka go nie lubi. Na ostatnią Gwiazdkę w ogóle nie pojawiła się w domu, wolała zostać z koleżankami w Sussex.

Być może za bardzo ją kochał... ale czy to możliwe, żeby kochać kogoś za bardzo? Nie chciało mu się w to wierzyć.

Sybil była światłem jego życia.

Uwielbiał ją. Nie było rzeczy, której by dla niej nie zrobił. Gdyby trzeba było, oddałby nawet życie. Dawał jej wszystko — stroje, biżuterię, pieniądze. Spełniał wszystkie jej życzenia i zachcianki z nawiązką. Jeżeli poprosiła o nową sukienkę, sprawiał jej dwie. Kiedy go poprosiła o kolczyki z perłami, dodał jeszcze do nich pasującą bransoletę i naszyjnik. Na dwudzieste pierwsze urodziny córki zamierzał jej kupić futro z norek, a w tym roku, teraz, kiedy już była dostatecznie dorosła, sportowy samochód — w jej londyńskiej szkole odbywały się również lekcje nauki jazdy, dzięki czemu Sybil umiała już prowadzić.

Nie miał pretensji o długie miesiące, kiedy była w dalekiej szkole, wiedział bowiem, że nadejdą wakacje i Sybil wkrótce wróci do domu.

Początkowo chciał ją posłać do eleganckiej prywatnej szkoły dla dziewcząt w Szwajcarii, ale sytuacja w Europie stała się zbyt niebezpieczna, kiedy ten cały Hitler coraz bardziej się szarogęsił na Starym Kontynencie.

Bębnienie palcami było jedynym dźwiękiem w całym domu. Przerwał, a wtedy cisza stała się tak przytłaczająca, że zjeżyły mu się włoski na karku. Jeżeli Sybil wstąpi do wojska, może jej tu nie być całe lata, i w domu ciągle będzie tak cicho jak teraz. O ile się nie mylił,

Nancy była jeszcze u siebie, ale już za chwilę pójdzie na któreś ze swoich zebrań. Pomyślał, 180

że mógłby wpaść do klubu, ale jakoś nie był w nastroju. Na pewno będą rozmawiać o wojnie — niektórzy bardzo już na nią czekali. A jakże!

Zwłaszcza gdy się jest za starym, żeby walczyć. Spodziewali się, że cały konflikt potrwa jakieś sześć miesięcy, a wtedy Hitler będzie musiał się poddać i wyniesie się jak niepyszny z rozbitym nosem. Kiedy Marcus twierdził, że nie mają racji, nazywali go Jeremiaszem*. Potężna niemiecka machina wojenna powstawała przez wiele lat, podczas

gdy Wielka Brytania, po latach spokoju i bezsensownej wiary w „pokój naszych czasów”, dopiero teraz starała się gorączkowo nadrabiać zaległości.

Fabryka Marcusa, H.B. Wallace, przerzuciła się już całkowicie na produkcję wojenną: teraz wytwarzano tam azbestowe płyty dla marynarki.

Jak na razie wydawało się, że mają nawet za dużo robotników, ale ponieważ przynajmniej połowa z nich jest dostatecznie młoda, żeby iść do służby czynnej, z chwilą wybuchu wojny ten problem zniknie — kilku dostało już wezwania. Koniec końców okaże się pewnie, że zabraknie siły roboczej.

Nagle ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

— Wejść! — zawołał Marcus i do pokoju weszła Nancy Gates.

Pomyślał, że Nancy z wiekiem robi się coraz brzydsza. Teraz, kiedy miała około sześćdziesięciu pięciu lat, całkiem osiwiała, a jej wydatny podbródek zwisał na pofałdowaną szyję tak, że przypominała ogromnego żółwia. Przez te lata nie polubił Nancy, ale się do niej przyzwyczał

i byłoby mu przykro, gdyby poprosiła o zwolnienie z pracy. Swego czasu spodziewał się, że może odejdzie razem z Eleanor, została jednak —

prawdopodobnie ze względu na Anthony'ego, a później, kiedy już wyjechał, dla Sybil, chociaż nigdy nie nawiązała z jego córką tak serdecznych stosunków, jakie miała kiedyś z jego żoną; podejrzewał, że nie było w tym winy Nancy. To raczej Sybil utrzymywała między nimi dystans.

— Sybil się nie odezwała? — spytała Nancy.

— Nie. Musiała wybrać się gdzieś z tą swoją przyjaciółką, no tą, z którą poszła do Renshaw Hall. — Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska tej dziewczyny.

— Myślałam, że może zadzwoni, ale wie pan, jacy ci młodzi są...

Nawet nie przyjdzie im do głowy, że ktoś może się o nich niepokoić. —

Nancy wzruszyła ramionami. — A Cara Caffrey też nie lepsza. Dziś rano tam poszła i zrobiła to samo. Brenna jest zła jak osa.

* Biblijny prorok Jeremiasz przepowiadał upadek Judy i Jerozolimy.

181

— Jak ten czas leci. Wydawałoby się, że te dziewczynki urodziły się dopiero wczoraj — rzekł Marcus, przypominając sobie maleńkie niemowlę w ramionach Brenny, zaledwie w kilka minut po urodzeniu.

A gdyby tak poprosić Nancy, żeby usiadła, zastanowił się w duchu.

Prawdopodobnie miałby z nią więcej tematów do rozmowy niż z kolegami z klubu — ale nie, gotowa jeszcze pomyśleć, że brakuje mu towarzystwa, a czego sobie najbardziej nie życzył, to współczucia.

— To samo sobie dziś pomyślałam — kiedy człowiek się starzeje, wydaje się, że czas leci jak strzała. No, to ja już pójdę. Chodzę na kurs pierwszej pomocy, a dzisiaj mam pierwsze zajęcia. Może się przydać, gdybyśmy mieli naloty.

— Gratuluję — powiedział tak

serdecznie, że aż sam był zaskoczony.

Nancy zresztą też ze zdziwieniem uniosła gęste brwi.

Może i on powinien się włączyć w jakieś działania wojenne: na przykład zapisać się do Home Guard albo do obrony cywilnej. Chyba lepiej robić coś pożytecznego, niż siedzieć w domu i czekać z założonymi rękami na córkę, która i tak nie ma dla niego czasu.

O dziewiątej nastawił radio, by usłyszeć znane dźwięki Big Bena, a zaraz potem ostatnie wiadomości. Nie wydarzyło się nic szczególnego, po prostu kolejne mile nieustępliwego marszu w kierunku wojny.

Wyłączył odbiornik i położył się do łóżka, nie mógł jednak zmrużyć oka; usnął dopiero wtedy, kiedy wróciła Sybil, tuż przed północą. Przeszło mu przez głowę, żeby wstać i trochę jej nagadać — oczywiście łagodnie. Ale porzucił tę myśl. Tylko by się zdenerwowała i jeszcze bardziej od niego odwróciła.

Sybil poczuła ulgę, widząc, że światło pali się tylko w korytarzu, a cała reszta domu jest pogrążona w ciemności. Tatusz poszedł już na pewno do łóżka, a to znaczy, że nie będzie musiała patrzeć w jego pełne wyrzutu oczy; patrzył na nią w ten sposób, żeby czuła, jak bardzo go martwi, kiedy przychodzi do domu tak

późno. Mamusia była teraz zupełnie inna.

Żadna z nich nie chciała niczego od drugiej, a widywały się tylko wtedy, kiedy chciały. Ostatnio Sybil zaczęła myśleć, że chyba wolałaby, by matka, odchodząc tyle lat temu od ojca, zabrała ją ze sobą.

Po wyjściu z Renshaw Hall zrobiły razem z Betsy drobne zakupy, poszły na herbatę, a potem do kina na Przemięto z wiatrem, precudowny film, który trwał blisko cztery godziny. Wyszły z kina oszołomione, 182

złapały taksówkę i pojechały do domu Betsy w Calderstones na kolację.

W domu zastały starszego brata Betsy z dawnym kumplem ze szkoły i cała czwórka gawędziła dobrych parę godzin. W pewnej chwili Betsy zaproponowała nawet, żeby Sybil zadzwoniła do ojca i wyjaśniła, gdzie jest, ta jednak odparła szybko, że nie ma takiej potrzeby, chociaż dobrze wiedziała, że tatuś aż do jej powrotu będzie chory z niepokoju.

Zastanawiała się, czy gdzieś tam, w głębi serca, nadal kocha ojca, ale nie była tego pewna. Przez parę ostatnich lat doprowadzał ją do szału.

Był zbyt zaborczy, za bardzo się interesował każdym jej krokiem, zanadto się wtrącał w jej życie, nie rozumiał, że

teraz, kiedy Sybil dorosła, potrzebuje trochę prywatności. Czasami nie mogła nic poradzić na to, że z całym rozmysłem bywała dla niego okrutna, że z jakiegoś wstrętnego powodu chciała mu sprawiać ból i że naprawdę cieszyło ją cierpienie malujące się na jego twarzy, kiedy mu mówiła, żeby pilnował własnego nosa albo żeby, na litość boską, zostawił ją w spokoju.

Kiedy wchodziła do domu, powtarzała sobie w myślach krótką, sztywną przemowę do ojca — i idąc po schodach do sypialni, czuła się trochę urażona, zastawszy tatusia w łóżku; jej przemowa na nic się nie zdała.

W ciągu dwóch tygodni Carę wezwano ponownie do Renshaw Hall na badania lekarskie, które przeszła bez problemu, a następnie powiadomiono ją, że została przydzielona do ATS, czyli Pomocniczej Rezerwy Ochotniczej, innymi słowy — do armii lądowej. Wprawdzie wolałaby być wrenką, ale uznała, że nie ma sensu narzekać. Jej koleżanka Sheila zmieniła zdanie i postanowiła zostać w Liverpoolu.

Następnego dnia do Renshaw Hall pomaszerował Fergus Caffrey i zgłosił się na ochotnika, żeby walczyć za króla i ojczyznę. Okulary schował do futerału i trzymał je w kieszeni, razem z miniaturową kopią tablicy badania

wzroku, której Cara nauczyła się wczoraj na pamięć i spisała w wielkim pośpiechu, siedząc w toalecie — z wyjątkiem ostatniej linii, której, niestety, nie zapamiętała.

Fergus spędził całą ubiegłą noc na uczeniu się jej na pamięć i — o dziwo! — przeszedł badania z pozytywnym rezultatem, podobnie jak jego siostra, recytując litery z tablicy, która była dla niego tylko białym, niewyraźnym kształtem. Nie mógł wprost uwierzyć, kiedy mu powiedziano, że ma się zaciągnąć do Piechoty Królewskiej i że w ciągu dwóch tygodni przyjdzie wezwanie.

Gdy wrócił do domu, Cara rzuciła mu pytające spojrzenie. Podniósł

kciuk do góry, a siostra wykrzyknęła ucieszona:

— Świetnie!

Fergus podjął tę decyzję kilka dni wcześniej, zanim powiedział

o tym mamie, która była wciąż trochę zmartwiona z powodu Cary. Po powrocie do domu zjadł, zmienił koszulę i wyszedł, w okularach na nosie. Szedł, aż dotarł do baru, gdzie raczej nikt by go nie rozpoznał —

za daleko od jego rewirów — nie chcąc,
żeby wiadomość dotarła do mamy
wcześniej, niż on sam jej o tym powie.
Wszedł i zamówił

whisky.

— Dziś świętuję — oznajmił staremu
barmanowi. Fergus nie należał

do ludzi, którzy bez żadnych oporów
wdają się w rozmowę z obcymi, był na
to zbyt nieśmiały; dzisiaj jednak, gdyby
tylko było można, z radością
rozgłaszałby całemu światu wieść o
swoim szczęściu. — Zaciągnąłem się.

Pójdę do Piechoty Królewskiej.

— W takim razie, chłopcze — rzekł barman — ja stawiam.

— A ja następny! — zadeklarował się klient, stojący przy barze obok Fergususa.

— Albo jeszcze lepiej daj chłopakowi podwójną, a ja zapłacę połowę. — Potrząsał energicznie ręką Fergususa. — Dużo szczęścia, chłopie.

Daj popalić tym przeklętym Szwabom.

— Pewnie, że dam — powiedział Fergus skromnie.

Po chwili już otaczał go tłum mężczyzn, którzy pragnęli uścisnąć mu dłoń, poklepać po plecach, życzyć szczęścia i namawiać go do zadania wrogowi

niestworzonych klęsk. Wyszedł po paru godzinach zalany w pestkę i wesół jak skowronek; od czasu gdy Anthony wyjechał do Ameryki, Fergus nie przeżył równie radosnego dnia.

Anthony złamał Fergusowi jego młode serce. Fakt, iż chłopiec, z którym był tak blisko, odrzucił go jak stary, niepotrzebny łachman w tym samym momencie, kiedy przestał być dlań użyteczny, dotknął Fergusa do żywego.

Pewność siebie, którą zyskał jako przyjaciel Anthony'ego, zniknęła bez śladu i pozostał tylko nieśmiały dzieciak, którym był zawsze, bojący się własnego cienia. Do tej pory się z tego nie podźwignął i teraz nie mógł

sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś komuś zaufa.

Z wdzięcznością przyjął zaoferowaną mu przez pana Allardyce'a pracę urzędnika w fabryce H.B. Wallace.

Nigdy nie przypuszczał, że dostanie taką dobrą pracę, i choć szybko doszedł do wniosku, że to zajęcie jest nudne jak flaki z olejem, tkwił tam przez jedenaście lat, ponieważ nie było niczego, co miałby ochotę robić; aż do chwili, kiedy zaczęto mówić 184

o wojnie i Fergus zdał sobie nagle sprawę, że najbardziej ze wszystkiego chciałby się zaciągnąć do wojska i walczyć za ojczyznę.

Był jednak pewien problem. Kiedy miał jakieś osiemnaście lat, zauwa-

żył, że cyfry, które czytał, zaczynają się robić coraz mniejsze, a gdy zawiązywał sznurowadła, wydawało mu się, że jego nogi są gdzieś bardzo daleko. Wizyta u okulisty — mama się uparła, że z nim pójdzie, czego się okropnie wstydził — zakończyła się postawieniem diagnozy: krótko-wzroczność. Tak więc będzie musiał nosić okulary.

Większość młodych ludzi wzdrygała się na samą myśl o noszeniu szkieł korekcyjnych, ale Fergus swoje bardzo kochał. Były dla niego tarczą, za którą mógł się ukryć, aczkolwiek okazały się także barierą w przypadku służby

wojskowej. Dziś jednak, z pomocą siostry i własnej przebiegłości, udało mu się przeskoczyć tę barierę i był już członkiem Służb Zbrojnych Jego Królewskiej Mości. Teraz wszystko, co musi robić, to trzymać nisko głowę i zawsze iść krok w krok za gościem, który będzie szedł przed nim, upewniwszy się przedtem cholernie dokładnie, że tym na czele nigdy nie będzie on sam.

Lewis Brown, nowy lokator Eleanor, przybył na Tigh Street białym, dwuosobowym sportowym wozem; szyję miał niedbale owiniętą jedwabnym szalikiem i nosił sweter w szaro-czerwone pasy oraz wypchane na

kolanach welurowe spodnie. Po kilku godzinach przyjechały furgonetką jego meble: wspaniałe antyczne biurko, zniszczony, ale chyba bardzo wygodny skórzany fotel, łóżko z baldachimem i komplet adamaszkowych zasłon, niemal zbyt ciężkich do udźwignięcia.

Przywiózł jedynie swoje najbardziej ulubione rzeczy, wyjaśnił, gdyż jego przyjaciel Oliver powiedział mu, że tylko na nie będzie tu dość miejsca.

Lewis był trzydziestopięcioletnim, dobrze zbudowanym Szkotem o ciemnych zmierzwionych włosach i pałających czarnych oczach. Swoją romantyczną fizjonomią przywodził Eleanor na myśl poetę Byrona.

— Pałające oczy! — huknęła Brenna, kiedy Eleanor próbowała jej go opisać.
— Czytasz za dużo książek, El, a poza tym oglądasz za dużo filmów.

Możliwe, że tak było w istocie, bo nie minął tydzień, a Eleanor już była po trosze zakochana w obu swoich lokatorach. W Lewisie Brownie za jego pełne wyrazu milczenie, kończące się zazwyczaj jakimś niezwykle trafnym i dowcipnym stwierdzeniem, wypowiadany 185

głębokim, chropawym głosem, natomiast w Oliverze Chandlerze za kuszący uśmiech i szczere, otwarte zachowanie. Obaj byli absolutnie czarującymi mężczyznami i najlepszymi z przyjaciół;

Eleanor czuła się niewiarygodną szczęściarą, że ma takich ludzi w swoim domu.

W pierwszą niedzielę pobytu Lewisa zabrali się razem z Oliverem do roboty i przygotowali obiad dla trzech osób (Jonathan poszedł grać w krykieta): przyrumienioną, duszoną jagnięcinę, po niej mus czekoladowy i do tego dwie butelki wina. Eleanor rozpoznała markę jednego z nich.

— Zawsze je najbardziej lubiłam... — zauważyła. — To jedno z ostatnich win, które dotarły do nas z Francji przed poprzednią wojną.

— Widzę, że zna się pani świetnie na

winach, pani Allardyce —

powiedział Oliver Chandler.

— Prawie wcale. Zapamiętałam tylko właśnie to. Mój ojciec miał dużą piwnicę, którą potem odziedziczył mój mąż.

— A pani nieboszczyk mąż czym się zajmował? — dopytywał się Lewis Brown.

— Bynajmniej nie nieboszczyk, nadal jesteśmy małżeństwem, ale od kilku lat żyjemy w separacji. Odziedziczył także firmę mojego ojca, a mieszka bardzo niedaleko stąd.

Czy tylko tak jej się wydawało, czy rzeczywiście obaj mężczyźni wyglądali na trochę rozczarowanych? Eleanor nie była pewna, mimo to jednak postanowiła poprosić Marcusa o rozwód. Jeszcze tego samego wieczoru. Prawie na pewno jej odmówi, choćby z czystej złośliwości, ale — co jej szkodzi zapytać?

We wtorek zadzwoniła do Nancy, żeby sprawdzić, czy Marcus będzie wieczorem w domu.

— Cóż, złotko, on mi raczej nie mówi, czy będzie w domu, czy nie, wiesz? — rzekła Nancy. — Ale myślę, że będzie. Ostatnio na ogół jest.

Sądzę, że dał sobie wreszcie spokój z tym swoim klubem.

— A jak tam Sybil? — Wolałaby, żeby córki nie było przy tej rozmowie.

— O, Sybil wręcz przeciwnie, rzadko kiedy bywa w domu. — Podobnie jak w przypadku Cary, marzenia Sybil o zostaniu wrenką ostatecznie się rozwiały i obie dziewczyny miały w poniedziałek wyjechać do obozu w Lincolnshire.

Kiedy Eleanor zastukała do drzwi gabinetu Marcusa, a on zawołał

„Wejść!”, odniosła wrażenie, że czas się cofnął.

Wyprostowała ramiona i weszła, powtarzając sobie w duchu, że mąż nie ma już nad nią żadnej władzy i nie może jej zrobić krzywdy. Gdyby stracił panowanie nad sobą i zaczął walić pięścią w biurko, ona może zrobić dokładnie to samo, nieprawdaż?

Siedział przy biurku z głową pochyloną nad papierami i nie podniósł

wzroku. Na pewno myślał, że to Nancy, więc nie musi się spieszyć i spojrzy na nią dopiero wówczas, gdy uzna to za stosowne.

— Dobry wieczór, Marcus —

powiedziała cicho.

Wtedy podniósł głowę. Była wstrząśnięta widokiem jego wychudłej twarzy i znękanego, bezmiernie smutnego spojrzenia szarych oczu.

Usiadła szybko w fotelu przed biurkiem, zanim miał sposobność poprosić, by to zrobiła, to znaczy pozwolić, żeby usiadła; w przeszłości często ją zmuszał, żeby stała podczas jego tyrad na ten czy inny temat. Zamierzała od razu przejść do rzeczy i poprosić o rozwód, ale jego wzrok ją powstrzymał.

— Jak się masz, Marcus? —

powiedziała więc zamiast tego.

Postanowiła chwilę odczekać, i dopiero wtedy wyjaśnić, z czym przychodzi.

— Dobrze — odparł serdecznie, chociaż jego wygląd bynajmniej o tym nie świadczył. — Bardzo dobrze.

— To świetnie. W domu jest teraz pewnie straszny bałagan, skoro Sybil za parę dni wyjeżdża do Lincolnshire?

— Można tak powiedzieć. Masz ochotę ją zobaczyć, zanim wyjedzie, czy już zapomniałaś, że masz córkę? — spytał chłodno.

— Nie, nie zapomniałam. Była u mnie w niedzielę wieczorem na herbacie. Chciała poznać mojego nowego lokatora. Zabieram ją razem z Jonathanem na pożegnalny lunch do

hotelu Adelphi. Od czasu, kiedy przyjechała z Londynu, widziałyśmy się już wiele razy, Marcus.

— Nie wiedziałem o tym. — Wyglądał na zmartwionego. Z pewnością Sybil nie zadała sobie trudu, żeby mu o tym powiedzieć.

— Kocham ją — powiedziała po prostu Eleanor. — Przyznaję, że nie jesteśmy tak mocno ze sobą związane, jak to się czasem zdarza matkom i ich córkom, na przykład Brennie i Carze, ale naprawdę ją kocham.

Myślę, że jesteśmy bardziej przyjaciółkami.

— Miło mi to słyszeć.

Zerknęła na niego szybko. Wydało się jej, że słyszy w jego głosie pewien

sarkazm, ale nie dostrzegła go na twarzy męża. Wyglądał na smutnego i pokonanego. Wywnioskowała, że to Sybil doprowadziła go do tego stanu. Dokładnie takiego samego, do którego on doprowadził ją, kiedy z nim mieszkała na Parliament Terrace.

187

— Dlaczego przyszłaś, Eleanor?

— Przyszłam... — przerwała, nie chcąc go jeszcze bardziej unieszczęśliwić;

przypomniała sobie jednak, że w przeszłości nigdy nie okazywał

jej ani krzty współczucia. — Przyszłam

cię prosić, żebyś mi dał rozwód

— rzekła. — Mógłbyś podać jako powód porzucenie, to wywoła mniejszy skandal niż cudzołóstwo.

— Dla ciebie czy dla mnie? —

Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu.

— Dla ciebie. Zresztą możesz podać cudzołóstwo, jeśli chcesz. Nie przejmę się ani trochę, jeżeli ludzie zaczną mnie unikać. Nancy, Jonathan i Caffreyowie i tak znają prawdę, a to jedyni ludzie, na których mi naprawdę w gruncie rzeczy zależy. Co do moich lokatorów, to bardzo wątpię, żeby w ogóle interesowali się moją przeszłością.

Wydawał się trochę zaskoczony.

— Powiedziałaś Jonathanowi?

— W każdym razie wie, że nie ty jesteś jego ojcem. Musiałam mu powiedzieć. Wytłumaczyłam, że jego prawdziwy ojciec nie żyje. Z Sybil nigdy o tym nie rozmawiałam, ale na pewno domyśla się prawdy. Przecież wie, że Jonathan jest tylko jej przyrodnim bratem.

— Rozumiem... — Wzruszył ramionami.

— Zadzwonię jutro do adwokata.

— Dziękuję, Marcus. — Była zdumiona, że tak łatwo poszło.

— A tak z ciekawości... Prosisz o

rozwód po tak długim czasie, więc
pewnie chcesz znowu wyjść za mąż?

To nie była jego sprawa, do tej pory
jednak zachowywał się tak poprawnie,
że mogła mu odpowiedzieć.

— Nie, po prostu chcę być wolna,
choć nie wykluczone, że kiedyś znów
będę chciała wyjść za mąż. Po prostu
muszę to jeszcze przemyś-

leć. — Uśmiechnęła się, niezwykle
szczęśliwa. — Nigdy nic nie wiadomo,
Marcus. Być może pewnego dnia i tobie
przyjdzie ochota na mał-

żeństwo.

Roześmiał się gorzko.

— Nie ma takiej możliwości.

Eleanor mu uwierzyła.

Jakże zdziwiliby się oboje, gdyby wiedzieli, że nim minie półtora roku, Marcus będzie miał nową, bardzo piękną żonę — w tym samym wieku co jego córka.

188

Brenna miała zatem stracić wszystkie swoje dzieci. Cara wyjechała w poniedziałek do Lincolnshire, a we środę Fergus do Kent. Ich matka nie posiadała się ze zdumienia, jakim cudem

udało mu się przejść badanie wzroku. Tyrone, urażony, że zostaje w tyle, jeszcze tego samego dnia poszedł do biura werbunkowego zgłosić się na ochotnika. Nie mógł

znieść przedłużającego się oczekiwania — wezwanie z wojska wciąż nie nadchodziło.

— Marii i chłopakom lepiej będzie beze mnie — stwierdził poprzedniego wieczoru.

— Szczerze wątpię — odparła Brenna.

— Joey i Mike kochają cię jak wariaci, tak samo zresztą Maria, a ty też ich kochasz. Nie zaprzeczaj —

dodała, kiedy Tyrone już otwierał usta, żeby coś powiedzieć.

Jęknął.

— Może i tak, mamó, ale mieszkanie w tamtym domu to piekło na ziemi. Nie ma nawet miejsca, żeby człowiek mógł chwilę odetchnąć, a tak czy siak któregoś dnia dostanę wezwanie, więc lepiej teraz niż później.

Brenna wolałaby wprowadzić, żeby to było później, kiedy już przyzwyczai się do nieobecności Cary i Fergusa — jeśli w ogóle.

— A co na to Maria? — spytała. — Co ona o tym sądzi?

— Nie rozmawiałem z nią. Zawsze jest tam taki harmider, że głowa puchnie. Jej babcia jest głucha jak pień, a ona i ten jej zwariowany wujek cały czas na siebie wrzeszczą, tak że nawet budzą dzieciaki. Och, ma-mo! — powiedział bliski łez. — Tam jest naprawdę okropnie.

— No, no... — Brenna poklepała go po ramieniu. Głos jej się łamał.

Tyrone był taki młody, o wiele za młody, żeby brać na swoje barki odpowiedzialność za żonę i rodzinę. — Maria na pewno ci nie podziękuje, jeżeli zostawisz ją u babki razem z chłopcami, co, mój kochany?

Tyrone dramatycznie pociągnął nosem.

— Kiedy już mnie nie będzie, może zamieszkać ze swoją mamą.

Dogadują się całkiem nieźle, to tylko ze mną pani Murphy nie chce rozmawiać.

— Mogą mieszkać tutaj — pospieszyła z propozycją Brenna. — Teraz, kiedy Cara i Fergus wyjechali, są dwa wolne pokoje.

Właściwie powinna to przedtem omówić z Colmem, ale była pewna, że podobnie jak ona, nie będzie chciał, żeby jego wnuki mieszkały pod jednym dachem z Annie Murphy. Po swoim powrocie z wojny Tyrone mógłby

zamiast synów zastać zatwardziałych kryminalistów. Ten cały Sąuinty nadal mieszka u swojej matki; chłopak, który namawiał Tyrone'a 189

do zejścia z prostej drogi uczciwości — i na pewno nie zawahałby się zrobić tego samego z synkami starego kumpla.

Colm, najpocziwszy z mężów, powiedział później, że jego zdaniem to dobre wyjście i że wcale mu się nie uśmiechało mieszkanie w pustym domu.

— Tak czy owak, ja i tak jestem przeważnie poza domem. Tyle że dla ciebie to dodatkowa praca, kochanie.

Brenna oznajmiła, że akurat jej to w

ogóle nie przeszkadza. W gruncie rzeczy bardzo chciała mieć u siebie przez cały czas Joeya i Mike'a, co w dodatku będzie prawdziwym ciosem dla Annie Murphy. Gdyby zaś Maria postanowiła wysłać chłopaków do Southport jako ewakuowanych, wszyscy będą przecież mogli jeździć do nich furgonetką w każdą niedzielę i miło spędzać czas.

Teraz Brenna czekała, aż Tyrone wróci z wiadomością, że się zaciągnął

do wojska. Zrobiła sobie filiżankę herbaty i pijąc, krążyła niespokojnie po domu. Wiedziała, że nie usiedzi ani przez chwilę. Wszyscy mówili, że herbata będzie pierwszym artykułem na kartki, bo przecież każdy listek trzeba

importować z Indii i Cejlonu, a marynarka handlowa nie może ryzykować utraty marynarzy i statków tylko dlatego, żeby ludność Anglii mogła się cieszyć wypijaniem nieskończonej ilości filiżanek herbaty.

Bez wiedzy Colma, który z pewnością by tego nie pochwalił, a nawet mógłby nazwać brakiem patriotyzmu, Brenna miała ukryty pod schodami tajny zapas. Codziennie kupowała dziesięć dekagramów w coraz to innym sklepie. Mogła się obyć bez wielu rzeczy, ale nie bez herbaty.

Nalewała sobie właśnie drugą filiżankę, kiedy wszedł Tyrone. W jego bladej,

zmartwiałej twarzy było coś, co sprawiło, że zdrętwiała.

— Co się stało, synku? — spytała.

— Odrzucili mnie, mamó — powiedział przejęty. — Coś niedobrego jest z moim sercem.

— Nigdy ci nic nie dolegało! — zawołała, jeszcze bardziej przestraszona.

— A jednak coś jest, mamó. Jakieś szmery czy coś takiego. Lekarz powiedział, żebym się nie martwił, bo to niegroźne, że wielu ludzi to ma i nawet o tym nie wie, ale że nie mogę iść do wojska. — Usiadł przy stole i

wybuchnął płaczem. — Och, mammo!
Czuję się jak jakiś cholerny inwalida!

— Tyrone, mój kochany chłopczyku! —
Wzięła go w ramiona i w tym samym
momencie zdrętwienie minęło, poczuła
ogromną ulgę. Lekarz powiedział, że to
niegroźne, a „dyskwalifikacja” Tyrone'a
znaczyła, że w domu zostanie chociaż
jedno z dzieci. Tyrone będzie mógł spać
z Marią 190

w swoim dawnym pokoju — łóżka
można przecież zsunąć razem —

a Joey i Mike w pokoju Cary, obaj na
starym łóżku Paddy'ego.

Teraz już nie ma żadnych wątpliwości,

myślała głęboko zawstydzona, jestem naprawdę najbardziej samolubną kobietą na świecie.

Był cudowny sierpniowy dzień. Słońce jasno świeciło na jaskrawo-błękitnym niebie, a powietrze po prostu iskrzyło. Dzień był zdecydowanie zbyt ładny, żeby odprowadzać córkę na wojnę.

— To nie jest w porządku — mówiła Brenna do Colma już w drodze na stację.

Cara wyszła wcześniej, żeby sobie zapewnić miejsce siedzące.

— Co nie jest w porządku, kochanie? — spytał Colm.

— Że też dobry Pan Bóg zsyła taką piękną pogodę w tym samym czasie, kiedy ma się zacząć wojna. To za duży kontrast — słońce przypomina, jakie piękne może być życie. Wolałabym już, żeby padało, a niebo było czarne jak sadza. Taka pogoda lepiej by mi pasowała.

— Nie wiem, być może dobry Bóg odpowiada za pogodę, ale na pewno nie jest odpowiedzialny za wojnę, Bren — trzeźwo stwierdził

Colm. — Za wojny odpowiadają ludzie, a wywołują je z mnóstwa rozmaitych powodów. Tym razem chodzi o to, żeby powstrzymać szaleńca od zajęcia całej Europy i przeobrażenia jej w jedno

wielkie faszystowskie państwo, z całym złem, które za tym idzie. To będzie sprawiedliwa wojna, Bren, wojna, która musi wybuchnąć, bo uczciwi ludzie nie mogą stać z boku i pozwalać Hitlerowi na jego nieczne postęпки.

— Wiem — westchnęła Brenna. Do niedawna Colm był jeszcze pacyfistą i trzeba było dopiero sprawiedliwej wojny, żeby zmienił zdanie. —

Chciałabym tylko, żeby Cara nie brała w niej udziału.

Peron był zatłoczony, kłębił się na nim tłum podekscytowanych młodych kobiet i ich nie mniej podekscytowanych krewnych — większości z nich zbierało

się na płacz. Pociąg sapał i wydmuchiwał kłęby dymu.

Ten zapach przypomniał Brennie piwnicę, w której kiedyś mieszkali i gdzie palenisko dymiło niemiłosiernie, co tak bardzo szkodziło płucom jej małej dziewczynki.

A teraz ta sama dziewczynka, wysoka i śliczna, ma opuścić dom i zacząć wieść nowe, zupełnie odmienne życie. Ostatnio Brenna nieczęsto się modliła do Najświętszej Panienki, ale teraz prosiła gorąco, z całego serca, o zdrowie i bezpieczeństwo dla swojej najdroższej małej Cary.

Carę łatwo było rozpoznać już w drodze na peron, z jej burzą rudozłotych włosów i jaskrawoczerwoną sukienką. Fergus i Tyrone też już tam byli. W tym dniu zwolnili się z pracy, żeby pożegnać siostrę. Pociąg syczał i spod lokomotywy wydobywały się kłęby pary. Czarna i masywna przypominała zniecierpliwionego smoka, pragnącego czym prędzej opuść-

cić stację i odfrunąć w nieznane, obce kraje.

— Mamo! — Cara zarzuciła Brennie ramiona na szyję, potem objęła ojca. — Napiszę zaraz, jak tylko będę mogła, i wszystko wam opowiem.

— Spróbowałaś tego nie zrobić! —
zagroziła Brenna. — Jeśli do końca
tygodnia nie dostaniemy od ciebie choć
słowa, tata pojedzie cię szukać do
Lincolnshire. Zająłś sobie miejsce,
dziewczyno?

— Położyłam na nim swoje rzeczy,
mamo.

— No, siostró! Nie rób niczego, czego
ja bym nie zrobił — żartował

Fergus.

Od kilku tygodni był w świetnym
nastroju, za to Tyrone miał ostatnio
chandrę. Brennie przemknęło przez
myśl, jakie to życie bywa nieprzewi-

dywalne. Ten syn, który, jak sądziła, zostanie w domu, wyjeżdżał, za to zostawał ten, który miał wyjechać...

— Mamo, Sybil Allardyce jest tutaj ze swoimi rodzicami. Są też Nancy i Jonathan — powiedziała nagle Cara.

— Zapomniałam, że Eleanor tu będzie.

Brenna podeszła, żeby pożegnać się z Sybil. Nigdy jej specjalnie nie lubiła, ale to nie był odpowiedni moment na animozje. Dziewczyna była wystrojona w granatowy lniany kostium, do tego biały kapelusz, rękawiczki i torebka. Brenna ją ucałowała i poradziła dbać o siebie.

— Ty i nasza Cara jesteście właściwie rodziną. „Wrześniowe dziewczynki”, jeśli tylko mogą, powinny trzymać się razem — uśmiechnęła się lekko.

— Tak, pani Caffrey — odparła Sybil zdawkowo. Podobnie jak pociąg, rwała się już do odjazdu.

Eleanor i Nancy dołączyły do Brenny, żeby pożegnać Carę.

— Oj, te pożegnania — westchnęła Nancy. — Przez nie nigdzie nie mogę sobie znaleźć miejsca. Gdybym była młodsza, sama bym wstąpiła do wojska.

— Czy pan Allardyce jest chory? — spytała Brenna. — Nie wygląda zbyt

dobrze.

— Martwi się odjazdem Sybil —
wyjaśniła Eleanor — mimo że ostatnio
była dla niego naprawdę okropna... — Z
dezaprobatą potrząsnęła głową. —
Moja córka potrafi czasem być
prawdziwą jędzą.

192

Po paru minutach zawiadowca
zagwizdał; zrobiło się małe zamieszanie,
bo dziewczęta pchały się jedna przez
drugą do pociągu. Cara wystawiła
głowę przez okno i machała do całej
rodziny jak szalona.

— Cześć mamó, cześć tato! — Posyłała

pocałunki Tyrone'owi i Fergusowi. —
Bądźcie zdrowi, wszyscy!

— Bądź zdrowa, Cara! — wołała
Brenna. — Uważaj na siebie, kochanie!

Pociąg sapnął ciężko i koła zaczęły się
obracać — coraz szybciej i szybciej.
Brenna biegła wzdłuż peronu, chciała
być jak najbliżej córki, tak długo, jak
tylko to będzie możliwe; w końcu Colm
złapał ją w pasie i odciągnął w tył.

— Kochanie, pozwól jej odjechać —
szepnął.

— Ale ja nie chcę pozwolić jej
odjechać! Chcę, żeby była tutaj, z nami!

Zaczęła płakać. Szlochała głośno i boleśnie, jakby ten płacz miał wyrwać jej wnętrzności. Przypomniała sobie, że za czterdzieści osiem godzin znów czeka ją ten sam koszmar, kiedy będzie żegnała Fergusa.

— Każda mama i tata na peronie czują pewnie to samo. — Pociągu nie było już widać, został tylko dym, skręcający się w kółeczka i wiechetki, które teraz rozpływały się im przed oczami. Colm prowadził Brennę do wyjścia. — Chodź, Bren, idziemy do domu.

Marcus stał na peronie i czekał tak długo, aż pociągu nie było już widać ani słyszeć. Dopiero wtedy się odwrócił i przyłączył do wychodzącego tłumu.

Wszyscy byli zgaszeni, zatroskani. Przed nim szli Brenna i Colm, przytuleni do siebie. Fergus i Tyrone czekali przed wejściem na peron, żeby do nich dołączyć. Eleanor trzymała pod ramię Jonathana — był otyłym, niezdrowo wyglądającym chłopcem — a z jej drugiej strony szła Nancy; cała trójka rozprawiała z ożywieniem, co można było wyczytać z gwałtownej gestykulacji.

Chyba był tutaj jedyną samotną osobą. Zastanawiał się, czy czułby się lepiej, gdyby miał kogoś, z kim mógłby podzielić się swoim żalem, który pochłaniał całą jego energię, kogoś, komu mógłby powiedzieć, jak bardzo

tęskni za Sybil, i kto wiedziałby dokładnie, jak on się czuje, bo sam też by za nią tęsknił... Eleanor nie sprawiała wrażenia szczególnie przejętej odjazdem córki — wystarczał jej Jonathan i lokatorzy. Jedna Nancy straciła już większość swoich bliskich, którzy albo poumierali, albo wyjechali gdzieś daleko. Rodzice, bracia, Herbert Wallace i jego żona, Anthony, a teraz Sybil i Cara Caffrey, której pomagała przyjść 193

na świat dziewiętnaście lat temu w piwnicy domu przy Parliament Terrace. Tak, ona na pewno rozumiała, co czuje Marcus.

Przyspieszył kroku i dogonił tę trójkę.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli pójdę na chwilę do domu, zamiast iść z powrotem do fabryki — rzekł do Nancy.
— Może chcesz, żebym cię podwiózł?

— Och, ale ja nie... — Spojrzała mu w twarz. — To naprawdę miło z pana strony. Proszę mnie podwieźć do domu, bardzo dziękuję.

Zdawał sobie sprawę ze współczucia w jej spojrzeniu. Najwyraźniej planowała pójść gdzieś indziej, ale zmieniła zdanie, ponieważ zrobiło jej się żal Marcusa. Rysy mu stwardniały. Nienawidził samej myśli, że może wyglądać tak nędznie, że budzi współczucie.

— Właśnie sobie przypomniałem — rzucił ostro — że wieczorem mam ważne spotkanie. Tak więc nie mogę teraz jechać do domu.

— Nie ma sprawy — odparła Nancy grzecznie, a on mógłby przysiąc, że przejrzała go na wylot. To sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej.

Brenna miała wrażenie, że cały kraj wstrzymuje oddech, czekając na bieg wydarzeń. Eleanor postawiła w końcu ogrodu „schron przeciwlotniczy Andersona” z blachy falistej, co zresztą robili wszyscy posiadacze domów z ogródkami. Ale Caffreyowie mieli tylko podwórko, więc w razie nalotu byli zmuszeni schodzić do najbliższego

publicznego schronu.

Brenna nie miała najmniejszego zamiaru tego robić. Opróżniła wnękę pod schodami, która była równie bezpieczna jak schron, choć może trochę ciasna, jeżeli w środku siedziała cała rodzina — ona, Maria, Tyrone i obaj chłopcy.

Przeprowadzili się do domu Caffreyów parę dni temu. Chłopcy byli zachwyceni, że mają dla siebie osobny pokój, a Maria powiedziała, że to jej pierwsza od dłuższego czasu noc, którą przespiała spokojnie. Do tej pory Brenna nie zdawała sobie sprawy, jaką ma wspaniałą synową. Maria była kochającą matką dla swoich dwóch

synków, uosobieniem cierpliwości wobec Tyrone'a, który od czasu, kiedy go nie wzięli do wojska, był

nieustannie w fatalnym humorze.

Upierała się, że będzie sama pracować swoje rzeczy i pomagała w gospodarstwie.

Wprawdzie była przy tym trochę niedbała, ale Brenna składała to na karb tego, że pani Murphy nigdy nie dawała córce dobrego przykładu. Mogłaby się założyć, że dom Murphych przypomina chlew.

194

— Może chcesz załatwić ewakuację chłopców do Southport, kochanie?

— zainteresowała się pewnego dnia Brenna. — Razem z Eleanor pomagamy to organizować.

— Wolałabym nie... w każdym razie jeszcze nie teraz. Poczekam, aż się zaczną naloty, jeśli w ogóle się zaczną.

— Śliczna twarzyczka Marii była zachmurzona. — A jeżeli naprawdę będą musieli pojechać, pojedę z nimi. Nie chcę, żeby jacyś obcy ludzie zajmowali się moimi dziećkami.

Brenna zrobiłaby dokładnie to samo, gdyby była na miejscu Marii.

W skrzynce pocztowej nie mieściły się już ulotki instruujące, jak zabezpieczać okna taśmami, jak używać ręcznej

pompy gaśniczej, że należy mieć zawsze przy sobie maskę gazową... i tak dalej.

Brenna dokładnie okleiła okna taśmą i zawiesiła zasłony zaciemniające.

Teraz każdy dom wyglądał z zewnątrz jak zakład pogrzebowy. Niektórzy znajomi po prostu zniknęli, powyjeżdżali do krewnych w innej części kraju albo w ogóle za granicę. Do Australii, Kanady, do Stanów Zjednoczonych... Sklepy i kilka małych firm pozamykano, ponieważ ich właściciele zostali powołani do wojska; młodego mleczarza zastąpił ojciec, a zamiast listonosza korespondencję roznosiła teraz listonoszka.

Cara pisała, że po skończeniu podstawowego szkolenia ma wyjechać do Bedford na kurs prawa jazdy, natomiast Fergus zadzwonił do Allardyce'ów, informując, iż właśnie się dowiedział, że już następnego dnia rano wysyłają go do Francji. Dlatego nie miał czasu, żeby napisać. Nancy natychmiast pobiegła na Shaw Street z tą wiadomością; poza tym powiedziała, że pan Allardyce zaproponował, że mogą używać jego telefonu, kiedy tylko zechcą.

— To bardzo ładnie z jego strony — powiedziała ze wzruszeniem Brenna, chociaż zawsze mogła korzystać z telefonu Eleanor.

Kilka razy dziennie sprawdzano syreny alarmowe, budząc śmiertelny strach wśród ludności, która nie chciała sobie nawet wyobrazić, że to nieludzkie wycie mogłoby się zacząć nagle w środku nocy, zwiastując, że za chwilę zacznie się nalot i że z nieba będą spadały bomby.

Brenna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w sierpniu była taka piękna pogoda. Jeden złocisty dzień następował po drugim, równie piękny, chociaż każdy następny coraz bardziej przybliżał grozę wojny.

Pod koniec sierpnia niebezpieczeństwo wydawało się raczej odległe, tymczasem już następnego dnia ogłoszono masową

ewakuację.

Kiedy ostatniego dnia sierpnia Brenna przyszła rano do kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel, czekało tam sześć autokarów, lśniących 195

w porannym słońcu. Eleanor już była, razem z gromadką dzieci, którym najczęściej towarzyszyły matki, głośno przeklinające Hitlera za to, że przez niego muszą wysłać nie wiadomo gdzie własne dzieci, gdyż Liverpool miał się niebawem stać miejscem, w którym nie można będzie żyć bezpiecznie.

— Jak długo to potrwa? — pytała z gniewem Brenny jedna z matek.

— Nie mam pojęcia, kochana —
wyznała Brenna. — Nikt tego nie wie,
nawet sam dobry Bóg.

Pomagała lokować w autokarach
dzieciaki, odważne, rozbeczane lub
chichoczące. Niektóre miały na sobie
najlepsze ubranka, ale Brenna
najbardziej żałowała w duchu tych
rodzin, w których wylądują małe
obdartusy. Dzieciaki, których matki w
ogóle się nie pofatygowały, żeby je
odprowadzić na miejsce zbiórki, i które
cuchnęły tak okropnie, jakby się nie
myły od tygodni. Te dzieci nie miały ze
sobą niczego, żadnych ubrań, nawet
szczoteczki do zębów.

Kiedy już ostatni autokar miał odjechać,

pojawiła się Maria z Joeyem i Mikiem, taszcząc olbrzymią walizą.

— Ostatecznie postanowiłam wyjechać
— mówiła zdyszana. — Nie powinnam
zostawiać tu dzieci.

— Bądź zdrowa, kochanie. — Brenna
serdecznie objęła dziewczynę.

— Będzie mi strasznie brakowało ciebie
i dzieciaków. Co prawda nie
pomieszkaliście u mnie nawet pięciu
minut, ale dom już nie będzie taki sam,
jeżeli wy troje wyjedziecie.

Miała wielką gulę w gardle, kiedy
patrzyła za odjeżdżającym auto-karem.
Joey i Mike klęczeli na tylnym siedzeniu

i wymachiwali rękami jak szaleni. Już po raz trzeci żegnała się z tymi, których kochała; modliła się, żeby to był ostatni raz.

Tego dnia wprowadzono obowiązek zaciemnienia i nocą całe miasto zatoneło w istic egipskich ciemnościach.

Pierwszy raz Colm zaniedbał

swoją funkcję oficjalnego nadzorcy służb przeciwlotniczych, a Tyrone poszedł do baru, prawie oszalały z rozpaczy, że sprawy tak się potoczyły.

Ludzie już zaczynali go przypierać do muru, pytając, kiedy się wreszcie zaciągnie.

— I co ja mam im mówić, mamo? —
pytał.

— Prawdę, kochanie.

— Nie mam ochoty mówić im prawdy, a
nawet gdyby... pewnie i tak by mi nie
uwierzyli. Będą myśleli, że zwyczajnie
się migam, że robię w gacie ze strachu i
dlatego nie chcę iść na wojnę.

196

Brenna siedziała sama w domu,
zaciągając po zmierzchu zasłony.

Robiła to tak skrupulatnie, że nie
słyszała nic, co się dzieje na zewnątrz.

W taką upalną noc ulice były zawsze pełne ludzi. O tej godzinie paliłyby się już latarnie, kobiety kłóciłyby się na progach swoich domów, dzieci jeszcze bawiłyby się na podwórkach... Ale większość dzieci wyjechała, a kobiety, podobnie jak ona, siedziały teraz zamknięte w czterech ścianach, rozmyślając o tym, co się u diabła wydarzy. Nie chciała włączać radia ze strachu, że usłyszy jakieś okropne wiadomości.

Następnego dnia, w piątek pierwszego września, Hitler napadł na Polskę. To był sygnał, że za chwilę rozpęta się piekło. W niedzielę o dziesiątej rano w radiu podano komunikat, że premier

Neville Chamberlain kwadrans po jedenastej przemówi do narodu.

— To właśnie to, Bren — złowróźnie obwieścił Colm.

— Zaproszę paru sąsiadów.

Byli jedną z niewielu rodzin na tej ulicy, która miała radio, a Brenna się zastanawiała, czy gdyby jeszcze żyła jej dawna sąsiadka Katie MacBride, to przepowiedziałyby wojnę z fusów od herbaty. Niestety, Katie już wiele lat temu przeniosła się do wieczności.

Kwadrans po jedenastej ich dom po prostu pękał w szwach, tylu ludzi się zeszło. Jedni stali w korytarzu, inni

siedzieli na schodkach. Słuchali, jak premier mówił, że ich kraj znajduje się obecnie w stanie wojny z Niemcami. Swoje przemówienie zakończył słowami:

„Niech Bóg błogosławi wam wszystkim. Niech Bóg broni prawdy, ponieważ teraz będziemy walczyć ze złem: z brutalną siłą, z brakiem wiary, z niesprawiedliwością, uciskiem i prześladowaniem — i jestem pewien, że prawda zwycięży zło”.

Rozdział 8

Sybil wcisnęła głowę pod przykrycie, ale głosy były teraz tylko trochę przytłumione przez sztywne jak deska

prześcieradła i koce, tak szorstkie, że można byłoby o nie zapalać zapalki. Zastanawiała się, czy jej poduszka nie jest aby wypchana kamieniami...

— Jasna cholera — stęknęła któraś. — Znowu muszę iść sikać. Byłam zaraz przed zgaszeniem świateł. Nigdy nie mogę trafić do kibla w tych cholernych ciemnościach.

— To sikaj przez okno! — poradziła inna. — Jakiś żołnierzyk będzie miał szczęście... Stanie mu na baczność, jak tylko zobaczy twój wywieszony tyłek.

— Ba! Ale co ona będzie z tego miała...
— spytała trzecia.

— Trypra...?

Rozległy się głośnie salwy śmiechu.

„Tryper” był wulgarnym okreś-

leniem choroby wenerycznej; Sybil nie widziała w tym nic śmiesznego.

Odkąd była w wojsku, całkiem straciła poczucie humoru i była przekonana, że już go nie odzyska, zanim się stąd nie wydostanie.

Nigdy nie zrozumie, jak Betsy Billington-Clarke udało się dostać do WAAF-u. Chodziły słuchy, że RAF i Marynarka Królewska zabrały dla siebie wszystkie najlepsze dziewczęta, a w ATS zostały tylko najgorsze szumowiny.

Sybil wolała myśleć, że to kwestia łutu szczęścia, w przeciwnym razie bowiem — dlaczego ona się tutaj znalazła? Albo, jeśli już o tym mowa, Cara Caffrey, której być może brakowało trochę ogłady, z pewnością-

cią jednak nie można było jej nazwać „szumowiną”, jak większość tych pospolitych dziewczuch na kwaterze, dla których szokujący był nawet fakt, że muszą codziennie brać prysznic.

198

— W domu kąpałam się raz na miesiąc
— powiedziała jedna z nich.

Nie chodziły do „toalety”, tylko do

„kibla”, „sikać” albo nawet „szczać”, i nigdy nie myły potem rąk. Z ich ust padały przekleństwa, jakich Sybil nigdy w życiu nie słyszała.

Jednak o wiele gorsze, właściwie najgorsze i najobrzydliwsze ze wszystkiego było to, że zaraz po śniadaniu musiały wykonywać wszelkiego rodzaju brudne roboty, takie jak sprzątanie kuchni i ubikacji.

Wszystko to trzeba było robić, klęcząc i skrobiąc podłogę. Jakby nie słyszeli tutaj o mopach! Co prawda Sybil nigdy dotąd nie używała mopa, przypuszczała jednak, że taki sprzęt z pewnością ułatwiłby pracę.

Kasyno oficerskie też trzeba było odkurzać i sprzątać — oficerowie mieli własny niewielki bar, w którym serwowano alkohole i przekąski.

Były tam wygodne fotele, obrazki na ścianach i wazony z kwiatami.

Niższe szarże musiały spędzać cały swój wolny czas w kwaterze, co najwyżej mogły pójść na spacer po nudnych i pustych wiejskich drogach, które otaczały obóz.

Ale najobrzydliwsze ze wszystkiego było wynoszenie z damskich ubikacji zużytych podpasek i palenie ich w piecu. Smród był taki, że człowiekowi z miejsca odechciewało się jeść — może

nawet do końca życia. Czy po to właśnie wstąpiła do wojska?

Cara spała na drugim końcu kwatery, w której stały dwadzieścia cztery prycze. Wyglądało na to, że się tu całkiem nieźle zadomowiła i zyskała nawet kilka przyjaciółek. Wszystkie ją lubiły — z wyjątkiem sierżanta odpowiedzialnego za musztrę, który się jej ustawicznie czepiał (Sybil musiała przyznać, że zupełnie niesłusznie). Tymczasem ją samą nazywano otwarcie „snobistyczną suką”. Nie zawarła tutaj żadnych przyjaźni, nie знаła imienia ani jednej z dziewczyn — z wyjątkiem Cary — i odzywała się tylko wtedy, kiedy już naprawdę musiała. W jej przypadku taki

stan rzeczy mógł potrwać aż do zakończenia wojny.

— Nigdy tego nie polubię — szeptała w twardą jak skała poduszkę —

nigdy, nigdy, nigdy!

Cara nie spała, tylko cichutko płakała w swoją niewygodną poduszkę. Tak bardzo, bardzo chciała wrócić do domu. Co jej się ubzdura-

ło, żeby zaciągnąć się do wojska? Wtedy myślała, że to będzie tylko zabawa, spodziewała się mnóstwa wesołych przeżyć, ale od dnia 199

przyjazdu do obozu, trzy tygodnie temu, wszystko tu okazało się po prostu żałosne.

Po pierwsze, obóz został założony na płaskim, opustoszałym terenie, tak odmiennym od Liverpoolu jak dzień od nocy, z dala od normalnych ludzi i wiele kilometrów od jakichkolwiek sklepów czy kin.

Przyzwyczajona do zgiełku wielkiego, ruchliwego miasta, swoją aktualną izolację odczuwała jako drażniącą, a nawet trochę groźną. Pogoda we wrześniu była piękna, one jednak kwaterowały niedaleko od wybrzeża Lincolnshire, więc ranki bywały czasem chłodne. Odczuwała to bardziej niż inne

dziewczęta, ponieważ jej spódnica była za krótka, tak że musiała podwijać nogawki swoich długich reform koloru khaki, żeby nie było ich widać.

Wprawdzie specjalnie dla niej zamówiono dłuższe spodnice, nie wiadomo było jednak, kiedy mają przyjść. W nocy też było zimno.

Wszystkie budynki w obozie wykonano z drewna, w dodatku naprędce, tak iż żaden nie był ocieplony.

Carę przerażała myśl, co będzie w zimie, na szczęście jednak podstawowe szkolenie miało się skończyć przed jej nastaniem i Cara pocieszała się, że zdążą ją przetransportować do jakiegoś innego — oby! —

cieplejszego miejsca.

Sierżant sztabowy Fawcett, który miał z nimi musztrę, był awantur-nikiem i sadystą. Wiecznie w złym humorze, był najgorszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznała. Może dlatego, że Cara była najwyższa w grupie, zwracał na nią większą uwagę niż na pozostałe dziewczęta i bezustannie się jej czepiał.

— Caffrey, nie trzymasz kroku — darł się.

— Caffrey, nie wiesz, gdzie jest twoja lewa strona, a gdzie prawa? —

pieklił się, kiedy co druga — bez przesady — dziewczyna też miała z tym

kłopot i nie umiała wykonać prawidłowo zwrotu.

— Caffrey, ty wielka rozlazła klucho, nie garb się! Pamiętaj, że teraz jesteś w służbie sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości. Maszeruj prosto, dziewczyno, dumnie!

Doszło już do tego, że każda musztra stawała się dla niej torturą i Cara nie umiała podczas ćwiczeń powstrzymać łez. Inne dziewczyny także zauważyły, że sierżant strasznie się na nią uwziął (trudno było zresztą tego nie zauważyć), i szczerze jej współczuły. W żaden sposób jednak nie mogły jej ochronić przed inwektywami Fawcetta, a co najwyżej mu naubliżać, ale nie tak

głośno, żeby usłyszał; czasem jednak udawało się im wywołać nikły uśmiech na umęczonej twarzy Cary.

200

— Jeżeli spotkam kiedyś tego drania w ciemnym zaułku — mruknęła któregoś dnia jedna z dziewcząt z Londynu — kopnę go w jaja tak mocno, że wbiję mu je do gardła!

— Och, zamknąłbyś się wreszcie, ty obrzydliwa, wredna kreaturo...

— szepnęła Peggy Cross tego ranka, kiedy sierżant oskarżył Carę, że ma dwie lewe nogi. — Nie pokazuj mu, że się przejmujesz, kochanie, ten typ nie jest

tego wart.

Peggy była w cywilu nauczycielką i już żałowała, że dla armii porzuciła obiecującą karierę i bardzo rozżalonego narzeczonego.

— Myślałam, że w ten sposób wykażę się patriotyzmem, ale teraz wygląda mi to raczej na skończoną głupotę. — Była starsza od Cary o cztery lata. Zaprzyjaźniły się serdecznie.

W dalekim końcu sypialni żartowały między sobą dziewczyny z Londynu. Potrafiły rozbawić całą grupę, poza tym były wytrzymałe jak solidne żołnierskie buty, a serca miały ze szczerego złota. Uszy sierżanta Fawcetta z pewnością

płonęłyby jak dwie pochodnie, gdyby mógł słyszeć, jakimi epitetami go obrzucały, epitetami, których Cara nie śmiałaby powtórzyć nawet w myślach.

Przygnębiona pociągnęła nosem i wtulając się w poduszkę, wsunęła pod nią rękę. Trzymała tam figurkę damy, którą mama się uparła dać jej na drogę. „Może to przyniesie ci szczęście, kochanie”, powiedziała. Cóż, na razie jakoś się na to nie zanosilo, chociaż mama nigdy się o tym nie dowie. Kiedy Cara pisała do domu list, zapewniając w nim, że wszystko idzie świetnie, a ona wprost cudownie spędza tu czas, często musiała pisać dwa, a nawet trzy razy, bo łzy kapały jej na papier, atrament się

rozpływał, zdradzając wszystkie wypisane w liście kłamstwa.

Zdarzyła się tylko jedna dobra rzecz. Kilka dni temu robiono im serię testów, żeby ustalić rodzaj pracy, która byłaby najbardziej odpowiednia dla każdej z nich. Cara wypadła znakomicie, co bardzo poprawiło jej nadszarpniętą ostatnio wiarę w siebie. Skutek był taki, że po zakończeniu podstawowego szkolenia miała wyjechać do Bedford na kurs prowadzenia samochodu, a razem z nią cztery inne dziewczyny: Peggy Cross, Fielding, Childs i Sybil Allardyce.

Praca kierowcy była zdecydowanie ciekawsza i o niebo przewyższała

obsługę gastronomiczną, roboty domowe, a nawet pracę biurową. Peggy naprawdę się cieszyła; o tym, co czuje Sybil, Cara nie miała pojęcia.

Zresztą w ogóle trudno było stwierdzić, czy Sybil naprawdę coś czuje.

Wszystko kryła w sobie. Nikt nawet się nie domyślał, że ona i Cara 201

znały się już wcześniej. Możliwe, że dzięki wielu latom spędzonym w szkole z internatem teraz po prostu nie przejmowała się kolejnym wyjazdem z domu.

— Wstawać, dziewczęta! — ryknęła kapral Smithson tubalnym głosem; ten

głos za każdym razem robił osobliwe wrażenie, ponieważ wydobywał

się z maleńkiego ciała. — Wstawać, wstawać, wstawać!

Włączyła światło i szła teraz wzdłuż sypialni, kopiąc po drodze nogi wszystkich mijanych łóżek po kolei. To kopnięcie przenikało przez metalową ramę jak prąd elektryczny, zmuszając nawet największego śpiocha do błyskawicznej pobudki.

— Dziewczęta, z pewnością ucieszy was wiadomość — zahuczała radośnie kapral — że zgodnie z prognozą pogody słońce postanowiło dzisiaj porzucić nasz zakątek świata, zerwał się wiatr i

zaczęło padać.

Poranna musztra będzie więc dziś szczególnie przyjemna...

Kopnęła następne łóżka.

— Podnoś się, Fielding. I ty, Atkinson! Ależ Caffrey! Przez ostatnią noc znowu urosłaś o dobre parę centymetrów! Allardyce! To nie jest regulaminowa koszula nocna. Co ty sobie wyobrażasz? Że gdzie jesteś?

W Savoyu? To mi przypomina, Allardyce, że pani kapitan Muir chce cię widzieć w swoim biurze o wpół do dwunastej. A teraz, dziewczęta, za pół minuty stoję przed łazienkami — i jeżeli

któraś wyjdzie niezmoczona, każę
zawracać i jej wymarzona owsianka
całkiem wystygnie.

— Jeszcze jest noc, na dworze czarno
jak w grobie. Toż to dopiero środek
nocy.

— Jest ci ciemno, Fielding, bo jeszcze
nie otworzyłaś oczu. Jest za pięć szósta,
początek nowego, wspaniałego dnia.
Wstawaj i wyjdź mu naprzeciw z
uśmiechem!

— Uuuch! — Fielding udawała, że jej
niedobrze. Była żywą jak iskra,
filigranową osobką, jeszcze mniejszą niż
pani kapral. Wyglądała najwyżej na
czternaście lat, ale zawsze miała coś do

powiedzenia.

— Jest pani sadystką, pani kapral — burknęła Peggy Cross. — Czy naprawdę bawi to panią?

Kapral Smithson wyszczerzyła zęby w uśmiechu. W rzeczywistości była sympatyczna i wszystkie ją lubiły.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, Cross, jak mnie to niezmiernie bawi.

Opieprzanie was sprawia mi naprawdę ogromną frajdę.

202

Dziewczęta, potykając się, wstawały z

łóżek. Pomimo grubych piżam drżały z zimna, brały ręczniki i wlokły się w stronę pryszniców. Woda nie była zupełnie zimna, ale też niezupełnie gorąca. Jedna po drugiej pojawiały się na zewnątrz, nadal dygocąc — i pędziły, żeby się ubrać.

Kłopot z mundurem polegał na tym, że się go nie wkładało ot tak po prostu; koszule, kołnierzyki, krawaty, marynarki i czapki wymagały nieco wysiłku, buty trzeba było sznurować, nie wspominając już o wełnianych pończochach koloru khaki, w których nawet najszczuplejsze nogi wyglądały jak drewniane pniaki.

Wyszły z budynku, nie przestając zmagać się z guzikami, które ani rusz nie chciały

się zapiąć, w czapkach na bakier, w nadziei, że nie spotka ich żaden oficer, który na pewno wrzaśnie, że są zakałą służby, każe zawrócić i nie pokazywać się, aż będą porządnie ubrane.

W półmroku — zresztą w każdym świetle — obóz wyglądał ponuro, ale tego ranka, w siąpiącym deszczu i pod wietrznym, szarym niebem, był

szczególnie posepny. Ogromny wybetonowany plac defiladowy, już pokryty kałużami, otaczały parterowe baraki; sześć kwater dla grupy dziewcząt i dla ponad setki mężczyzn, kasyno oficerskie, budynki administracyj-ne, sala do ćwiczeń i

kantyna, do której teraz skwapliwie zdążyły wszystkie kobiety, marząc o gorącym napoju i czymś do zjedzenia. Może dlatego, że wszystkie były nieustannie głodne, serwowane potrawy nie wydawały się wcale takie złe, nawet owsianka, w której łyżka stawała, nawet przypalony bekon, oślizgłe jajka i kiełbaski, zawsze z lekkim zapaszkiem.

Po śniadaniu odczytano dziewczętom zadania na ten poranek. Careę przydzielono do grupy idącej do pralni; była to jedna z prac, która jej nie przeszkadzała. Wróciły do baraku przebrać się w kombinezony, zawią-

zując na głowach kwadratowe chustki jak turbany. Nieszczęsnej Sybil już drugi

czy trzeci raz trafiło się palenie pod pasek; wyglądała jak chmura gradowa, dobrze to widziały, kiedy się wlokły przez plac do swoich zajęć.

Chociaż pranie było jednym z najmniej przykrych zajęć, zwłaszcza gdy trzeba było tylko prasować tuziny koszul, to jednak uchodziło też za niebezpieczne — ze względu na mężczyzn pracujących przy ogromnych kotłach gazowych. Byli rekrutami, podobnie jak one; niektórzy nawet bardzo mili. Większość z nich jednak każdą kobietę-żołnierza uważała za dziwkę, która nie powinna protestować, jeśli się ją uszczypnie w po-

śladek albo pogłaszczę po piersiach. Cara nie była tutaj wyjątkiem; kiedyś, gdy nagle poczuła ręce opasujące ją w talii i chwytające za piersi, musiała postraszyć napastnika żelazkiem.

203

— W porządku, panienko, w porządku — powiedział wtedy ten facet i odszedł ze śmiechem, co jeszcze bardziej rozzłościło Carę. — Nie wiedziałem, że jesteś lesbijką!

To słowo nic jej nie mówiło. Nic dziwnego, nigdy go nie słyszała.

Inny znów wsunął kiedyś rękę między uda Peggy, a ona walnęła go bez

namysłu mokrym ręcznikiem. Mało brakowało, a wybiłaby mu oko.

Zawył z bólu i pognał jak szalony do punktu pierwszej pomocy, po czym wrócił z bandażem na nadwerżonym oku.

— Założę się, że więcej nie będzie próbował szczęścia — skomentowała to Peggy z właściwą sobie nonszalancją, ani odrobinę nieskruszona.

Tego ranka grupa przydzielona do pralni pracowała bez żadnych przygód. Cara czuła ulgę, chociaż wiedziała, że nieubłaganie zbliża się dziesiąta, czas na musztrę. Chyba jednak bogowie się dziś do niej uśmiechnęli, bo kiedy już były z

powrotem w swoich mundurach, ustawione na placu defiladowym, sierżant sztabowy Fawcett oznajmił, że idą na ćwiczenia. Wszystko lepsze od musztry, pomyślała.

— Dzisiaj, ślicznotki, pomaszerujecie do Henslow. O czwartej przyjedzie tam po was ciężarówka i odstawi z powrotem na miejsce.

— Henslow jest o dobre trzydzieści parę kilometrów stąd, sierżancie.

Za nic nie dojdziemy na czwartą — zawołała Fielding. Sama się mianowała rzecznikiem całej grupy.

— Jeśli nie zdążycie na ciężarówkę,

będziecie musiały wracać na piechotę, zgadza się? Aha, i nie zapomnijcie zabrać zimowych płaszczy.

— Musimy, sierżancie?

— Tak, Fielding — odparł cierpliwie sierżant. — To część ćwiczeń.

Zresztą pada. Nie chcemy, żebyście się pozaziębiały.

— Wolę się zaziębić, niż nosić to płaszczyśko. Waży chyba z tonę.

Idzie pan z nami, sierżancie?

— Nie, nie idę. Pójdziecie same. Tu jest lista rzeczy, które macie zabrać z

kwatery.

— Lista... — zaczęła Fielding, ale nie skończyła, bo sierżant sztabowy Fawcett stracił wreszcie cierpliwość i ryknął:

— Odmaszerować!

Już w sypialni czytały z mieszaniną niesmaku i złości listę rzeczy, które muszą obowiązkowo zabrać:

— Mundur na zmianę!

204

— Manierka do gotowania i sztuce!

— Zapasowe buty!

— Mata do spania! Na miłość boską!
Do czego u diabła potrzebna nam mata?

— Świece!

— To wszystko jest elementem
ćwiczenia. Taki sprawdzian, czy wró-
cimy żywe. Jeśli nie, wyrzucą nas z
wojska.

Zabrały się do ładowania tego
wszystkiego do swoich plecaków,
stękając przy tym z wysiłku; jęknęły
jeszcze bardziej, gdy ramiona ugięły się
im pod ciężkimi jak ołów płaszczami.
Kiedy włożyły jeszcze na to plecaki,
ledwie mogły się ruszać.

Sierżant sztabowy Fawcett stał przy bramie i odhaczał na kartce nazwiska w miarę, jak wychodziły.

— A gdzie Allardyce? — warknął, nie widząc nigdzie Sybil.

— Miała się dziś stawić u kapitan Muir o wpół do dwunastej —

poinformowała go Fielding. —
Szczęściara.

— Zbyteczna uwaga. Macie przed sobą piękny dzień i założę się, że Allardyce będzie wściekła, że ją to ominie.

— O taaak!

Miały za sobą zaledwie kilometr —
może trochę więcej, może mniej —

marszu nudną wiejską drogą, kiedy buty
zaczęły je cisnąć, a ramiona boleć.
Krople deszczu kapały im z czapek na
szyje, zrobiło się dość ciepło, tak że
spływały potem w swoich ciepłych
płaszczach. Zaczęły poważnie rozważać
rozpętanie buntu, nie bacząc, że za taką
niesubordynację mogą wylecieć z
wojska albo zostać zwolnione
dyscyplinarnie, czy jak się to nazywa,
kiedy usuwają z wojska, gdy nagle
usłyszały, że coś nadjeżdża z tyłu. To
„coś” okazało się autobusem, który
toczył się leniwie w kierunku Henslow.
Stały pośrodku drogi, nie dając

kierowcy wyboru — albo je wszystkie rozjedzie na mokrą plamę, albo zahamuje.

Zatrzymał się, one zaś wpadły jedna za drugą do środka, po czym rozsiadły się pomiędzy skonsternowanymi pasażerami; były to głównie kobiety z torbami na zakupy.

— Po prostu wykazujemy inicjatywę, to wszystko — stwierdziła Peggy Cross.

— Właśnie tak powinnyśmy się zachować w obliczu wroga: wykazać inicjatywę. Dziewczyny, macie pieniądze na bilety?

— Nie przejmujcie się płaceniem. — Młody konduktor autobusu uśmiechnął

się do nich szeroko i wyjaśnił, że sam też ma się niedługo zaciągnąć.

205

Fielding, która nigdy nie umiała siedzieć cicho, zaczęła śpiewać Szkoła miłości. Miała piękny głos; wszyscy się przyłączyli do jej śpiewu, nawet pasażerowie. Autobus często się zatrzymywał, by zabrać kolejnych zdumionych pasażerów, którzy z nieskrywaną radością przyłączali się do zabawy w ten, jak dotąd ponury, szary poranek. Cara odtańczyła irlandzkiego jiga w przejściu między siedzeniami, a Fielding stepowała Twelfth Street Rag*, w czym tylko trochę jej przeszkadzały ciężkie buty, natomiast dziewczyny z

Londynu wykonały Knees Up Mother Brown**, prezentując całe metry majtek koloru khaki. Wszystkie były w świetnym humorze.

Już nie musiały maszerować w deszczu trzydziestu kilometrów z okładem i czuły, że mają w nosie całą armię, a zwłaszcza sierżanta Fawcetta.

Kiedy przybyły do Henslow, wbrew przepowiedni kapral Smithson świeciło tam słońce, a kierowca stwierdził, że to był najmilszy kurs, jaki kiedykolwiek odbył tym autobusem, i że, jeśli oczywiście chcą, mogą zostawić plecaki i płaszcze na stacji i odebrać je później. Dziewczęta wyraziły swoją

wdzięczność, obsypując go — a także konduktora — deszczem pocałunków.

W każdym innym wypadku uznałyby Henslow za raczej nieciekawę, pospolite miasteczko, ale dziś ta dziura wydała się im zaczarowanym miejscem. Zaraz też rozbiegły się po sklepach i kawiarenkach. Cara, Peggy i Fielding wtargnęły do najbliższego sklepu Woolwortha, żeby kupić kosmetyki, słodczyce i pachnące mydło (mydło wojskowe śmierdziało jak wędzony śledź po tygodniu „leżakowania” w cieple); potem poszły do restauracji na rybę z frytkami, bo, jak zwykle, umierały z głodu. Kupiły jeszcze herbatniki, herbatę i skondensowane mleko, żeby

uprzyjemnić sobie trochę nudę długich wieczorów na kwaterze.

Jeszcze później wszystkie spotkały się w kinie, gdzie usiadły na drewnianych ławkach, żeby obejrzeć stary, ale bardzo piękny film Błękitny anioł, w którym Marlena Dietrich śpiewa: „Ja jestem tylko po to, aby kochać mnie”. Wyszły z kina rozśpiewane, usiłując naśladować zachrypnięty głos Marleny i budząc wesołość wśród przechodniów.

Zabrały ze stacji plecaki i płaszcze, czekały na ciężarówkę i śpiewały przez całą drogę powrotną. To był wspaniały, naprawdę radosny dzień.

Znów poczuły się sobą, a nie tylko

małym trybikiem w ogromnej, bezosobowej machinie armii.

* Twelfth Street Rag — Ragtime Dwunastej Ulicy — ragtime z 1914 roku. Wykonywał go m.in. Louis Armstrong.

** Knees Up Mother Brown — Kolanka do góry, matko Brown — popularna piosenka londyńskiej ulicy, skomponowana w 1938 roku.

206

— Wiecie co? — powiedziała Fielding, kiedy schodziły z ciężarówki,

— myślę, że mogłabym nawet polubić

wojskowe życie.

Wszystkie przyznały jej rację, nie wyłączając Cary.

Tamtego ranka, kiedy autobus z dziewczętami wjeżdżał do Henslow, Sybil siedziała w poczekalni biura pani kapitan Muir i czekała, aż tamta ją wezwie. Zza ściany dobiegał pięknie modulowany głos pani kapitan, rozmawiającej przez telefon. Była córką lorda i żoną członka parlamentu; Sybil nie miała pojęcia, po co ją dzisiaj do siebie wezwała. Przecież nie zrobiła nic złego — poza tym, że z całego serca nienawidziła wojska, chociaż pani kapitan raczej nie mogła tego wyczytać z jej twarzy.

Być może jej powiedzą, że ma odejść wobec takiego stosunku do służby?

Gdyby ją spytano wprost, powiedziała by całą prawdę, wyrzuciła z siebie, jaki wstręt czuje do wszystkiego, co jest związane z wojskiem; miała nawet nadzieję, że ją wyrzucą, a wtedy będzie mogła wrócić do domu, do tatusia. Niech już się nad nią trzęsie, niech chucha i dmucha, ile tylko chce — teraz na pewno nie będzie jej to przeszkadzało.

Drzwi biura się otworzyły i Sybil usłyszała słowa kapitan Muir:

— Ach, Allardyce! Wejdz proszę i usiądź.

— Dziękuję, madame.

Weszła do oszczędnie umeblowanego pokoju, którego jedyną dekorację stanowiła oprawiona w ramy fotografia króla w stroju koronacyjnym —

i usiadła po drugiej stronie biurka. Wyczuła dyskretny zapach drogich perfum.

— Powinnaś poczekać, aż ja usiądę pierwsza — zauważyła kapitan Muir z leciutkim uśmieszkiem.

Sybil była skonsternowana.

— Przepraszam...

— W porządku. Nauczenie się przepisów wymaga czasu, zresztą to akurat nie jest żaden przepis. To po prostu zwykła grzeczność. Zawsze należy poczekać, aż starszy stopniem usiądzie pierwszy. Ja zrobiłabym to samo, gdyby był tu na przykład major.

— Będę o tym pamiętać, madame — obiecała Sybil.

— Dobrze. — Kobieta milczała dłuższą chwilę. Zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała; smukłe, białe dłonie trzymała złożone tak, że czubki palców się stykały. — Jak ci się podoba w wojsku, Allardyce? — spytała wreszcie.

Sybil już była gotowa przyznać się do swojego wstępu do wojska, teraz jednak, kiedy siedziała twarzą w twarz z elegancką, pewną siebie kapitan Muir, nerwy ją zawiodły. Ta kobieta była naprawdę urodziwa.

Wyglądała rasowo i arystokratycznie z tym swoim prostym, szczupłym nosem, wielkimi oczami niemal fiołkowej barwy, ze skórą delikatną jak najcieńsza porcelana. Jej ciemnobrązowe włosy były krótko, po męsku obcięte, ale u niej ta fryzura wyglądała bardzo kobieco, a mundur opinał

jej szczupłe ciało tak znakomicie, że

musiał być szyty na miarę.

Sybil nie miała ochoty przyznawać się tak wybitnej osobie, że pójście do wojska było z jej strony wielkim błędem i że chciałyby jak najszybciej wrócić do domu. Zależało jej na sympatii pani kapitan Muir, a to nie byłoby możliwe, gdyby teraz wygłosiła bez ogródek swoją opinię.

— Powoli zaczynam to lubić, madame
— skłamała. Wątpiła, żeby pani kapitan dała wiarę jej słowom, gdyby powiedziała, że jest zachwycona.

— Niektóre z dziewcząt na kwaterze też się stopniowo przyzwyczajają.

— Tworzycie wielką zbieraninę, że się tak wyrażę. Kilka robotnic, ekspedientki, urzędniczki, jedna nauczycielka, jedna artystka malarka, wreszcie parę dziewcząt takich jak ty, które trafiły tu prosto ze szkoły, i kilka innych, które są w połowie studiów uniwersyteckich, ale zrezygnowały z nich, żeby wstąpić do wojska. Och, zapomniałam, jest jeszcze aktorka.

— Aktorka?!

Sybil nawet nie przypuszczała, że jej koleżanki pochodzą z tak różnych środowisk. Myślała, że tylko ona jedna ma przyzwoite wykształcenie.

— Tak, aktorka. Mówię o Juliette

Fielding. Ma dwadzieścia jeden lat, ale jest taka drobniutka, że zazwyczaj grywa rolę dzieci.

— To nazwisko mi coś mówi... Chyba ją widziałam w jakimś przed-stawieniu w teatrze na West Endzie.

Sybil z trudem mogła uwierzyć, że dzieli sypialnię z zawodową aktorką.

Zastanowiło ją, dlaczego ta kobieta z drugiej strony biurka mówi jej o tym wszystkim.

Być może pani kapitan pomyślała o tym samym, bo rzekła:

— Powód, dla którego chciałam z tobą

pomówić, Allardyce, jest następujący. Pomyślałam sobie... — spojrzała spod oka na dziewczynę, po czym spytała wprost: — Czy nie chciałabyś, żebym cię posłała na szkolenie oficerskie?

— Mnie? Ja miałabym zostać oficerem?

— Sybil chyba jeszcze nigdy w życiu nie była tak zdziwiona.

208

— Masz odpowiednią postawę. Nie rzucasz się bezmyślnie w towarzystwo i nie zdobywasz pół tuzina najlepszych przyjaciół w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Wydajesz mi się bardzo opanowana. Jesteś wykształcona, słuchasz rozkazów bez szemrania —

powiedziano mi na przykład, że ani razu nie protestowałam, kiedy ci polecano palić zużyte podpaski, a dziś rano musiałaś to zrobić już po raz trzeci.

— To nie było przyjemne, madame — wyznała Sybil.

— Oczywiście, że nie! Ale się nie skarżyłaś. Większość dziewcząt na twoim miejscu uznałaby, że się je gnębi.

— Już zaczynałam myśleć, że tak właśnie jest. — Nagle coś jej zaświtało.

— Czy... to, że musiałam wykonywać tę obrzydliwą robotę, to była próba?

Pani kapitan uśmiechnęła się lekko.

— Możliwe. W każdym razie mogę ci obiecać, że to się już więcej nie powtórzy. A co do szkolenia oficerskiego... co o tym sądzisz?

— Byłabym zachwycona, madame, naprawdę!

Takie szkolenie oznaczałoby dla niej całkowitą zmianę. Miałaby osobny pokój tylko dla siebie, wieczory spędzałaby w wygodnym fotelu w kasynie oficerskim, obracałaby się wśród ludzi takich jak pani kapitan Muir... To rzuciło zupełnie inne, nowe światło na życie w wojsku.

Zerwała się na równe nogi, kiedy pani kapitan wstała i podeszła do niej, żeby

jej podać rękę.

— Na razie zachowaj te wiadomości dla siebie, Allardyce, dopóki nie skończysz podstawowego szkolenia. Wtedy będę pamiętała, żeby cię przenieść do Bedford, na kurs prawa jazdy.

— Ja już umiem prowadzić, madame. Ojciec załatwił mi lekcje, kiedy byłam w szkole w Londynie.

— Ale pewnie nie wiesz, co się dzieje pod maską samochodu?

— Obawiam się, że nie mam o tym pojęcia.

— A zatem nie zaszkodzi się

dowiedzieć. Szkolenie oficerskie kończy się kilka tygodni wcześniej niż kurs samochodowy. Po szkoleniu dołączysz do kursu i nauczysz się mechaniki samochodu.

— Tak jest, madame!

Tej nocy Sybil siedziała w sypialni na swoim łóżku i obserwowała ukradkiem koleżanki, próbując odgadnąć, która z nich jest nauczycielką, która artystką, które studentkami uniwersytetu...

Wreszcie, które dziewczęta, tak jak ona, przyszły tu prosto ze szkoły. Przedtem wszystkie je 209

mierzyła jedną miarą, traktując jak grupę takich samych istot, tymczasem gdyby

każdą z nich wziąć pod lupę i przyjrzeć się jej bliżej, w większości budziły szacunek. Trochę jej było wstyd, że się tak pospieszyła z ostrą oceną całej grupy wyłącznie z powodu garstki wulgarnych dziewczyn.

Fielding, aktorka, częstowała teraz wszystkie znakomitym naśladowaniem Marleny Dietrich. Śpiewała: „Ja jestem tylko po to, żeby kochać mnie”, siedząc wyprostowana na krześle, z jakiegoś powodu ubrana tylko w stanik i majtki. Była niewiarygodnie śliczna, z długimi jasnymi lokami, które zwijała w kok pod czapką; teraz jednak jak płaszczem okrywały jej drobniutkie ramiona.

Kiedy piosenka skończyła się huraganem

braw, Sybil rzekła:

— Wiesz, Fielding? Widziałam cię kiedyś na West Endzie. To był

cudowny spektakl, cały o Wielkiej Wojnie. A na końcu zaśpiewałaś Keep the Home Fires Burning* i wszyscy w teatrze płakali.

Zapadła głucha cisza, po czym kilka głosów zawołało:

— Byłaś na scenie, Fielding?

— Tak, byłam — odparła Fielding skromnie. Zaczęła wirować pomię-

dzy łózkami, aż się potknęła o własny

but i upadła, zanosząc się śmiechem, u stóp łóżka Sybil.

— Widzicie — powiedziała w zamyśleniu jedna z trochę starszych kobiet — mieszkamy już razem pełne trzy tygodnie, a nic o sobie nie wiemy. No więc co robiłyście, zanim przyjechałyście tutaj? Skąd jesteście?

Nie znam nawet waszych imion, z wyjątkiem Cary.

— A która to jest Cara?

— To ja. — Cara podniosła rękę. — Cara Caffrey. Pracowałam w drogerii Bootsa w Liverpoolu. A ta, co przed chwilą mówiła, to Peggy Cross.

— Ja byłam nauczycielką w Guildford
— uzupełniła Peggy.

— Ja nazywam się Juliette Fielding —
powiedziała Fielding z wytwornym
ukłonem — jestem aktorką i
mieszkałam... wszędzie.

— Nazywam się Annie Black i byłam
urzędniczką w agencji nieruchomości w
Portsmouth.

— Ja jestem Joan Drummond. Rok temu
skończyłam szkołę plastyczną i
pracowałam dla agencji reklamowej na
Piccadilly, ale moją ambicją jest zostać
portrecistką. Po skończeniu
podstawowego szkolenia mam
pracować jako kreślarka i bardzo się z

tego cieszę.

* Keep the Home Fires Burning (Niech płonie domowe ognisko) — patriotyczna piosenka z 1914 roku.

210

— A ja pomagałam mojemu staremu ojcu sprzedawać ryby na rynku w Billingsgate. Nazywam się Lily Salmon* i jeżeli któraś będzie się z tego śmiać, dostanie ode mnie po gębie. Aha, a kiedy już skończę to szkolenie, mam być kucharką, i wcale się z tego nie cieszę.

— Jestem Elizabeth Childs, ale wszyscy nazywają mnie Liz. W kwietniu, w swoje osiemnaste urodziny, wyszłam za

mąż, ale mojego lubego powołali do wojska, więc pomyślałam sobie, że czemu nie? Przecież ja też mogą się zaciągnąć. Przedtem pracowałam jako recepcjonistka w Urzę-

dzie Gazowniczym w Leeds i naprawdę się cieszę, że będę się uczyła prowadzić auto.

Jedna po drugiej dziewczęta opowiadały o sobie, podając swoje imiona, nazwiska i zajęcia, a także z jakich stron pochodzą. W ten sposób przestały być anonimowymi rekrutami w mundurach khaki, a stały się ludźmi z krwi i kości, każda z inną przeszłością.

Sybil była naprawdę wzruszona.

— A ty? — spytała Lily Salmon, kiedy Sybil pozostała już jedyną dziewczyną w sali, która jeszcze o sobie nie opowiedziała. — Ty zaczęłaś tę spowiedź, więc się nie wykręcisz.

— Jestem Sybil Allardyce z Liverpoolu. Zaciągnęłam się zaraz po szkole.

— Teraz, kiedy się już wszystkie znamy, proponuję zrobić przyjęcie!

— zawołała Fielding. — Dziś po południu kupiłam trochę jedzenia.

Zbierzmy wszystko razem do kupy, co kto ma. I niech któraś nastawi czajnik.

Nabrały wody i ustawiły ogromny

czajnik na ogniu. Pojawiły się herbatniki, tabletki sacharyny, sześć paczek chipsów Smitha, trójkątny kawałek bułki, słodycze, słoik dżemu (choć nie było go na czym rozsmarować), kawa, mleko skondensowane, buteleczka ciemnego sosu, butelki z lemoniadą i piwem imbirowym. Sybil wyciągnęła pudełko drogich czekoladek, które przysłał jej ojciec. Dla każdej wypadło akurat po jednej.

Wieki minęły, zanim woda w czajniku wreszcie się zagotowała na czarnej fajerce, dającej niewiele ciepła. W końcu jednak zrobiły herbatę i kawę, po czym — stukając się cynowymi kubkami

— zgromadziły się przy ogniu, dorzucając doń opakowania po czekoladkach i inne łatwopalne śmieci, jakie tylko mogły znaleźć, byle choć przez chwilę było ciepło.

* Salmon (ang.) — łosoś.

211

Chipsy maczały w sosie, herbatniki w dżemie, a czekoladki Sybil zostawiły sobie na koniec, jako ukoronowanie uczyty, bardziej niezwykłej niż radosnej, z pewnością jednak takiej, którą miały zapamiętać na długo. Później jeszcze gawędziły cicho między sobą, od czasu do czasu coś nuciły, aż zjawiała się kapral Smithson, by zgasić światło.

— A co to takiego? — wrzasnęła. — Przyjęcie? Jeśli za pięć minut nie będziecie wszystkie co do jednej w łóżkach, gaszę światło i będziecie się rozbierać po ciemku! Chyba że... — dodała przymilnym tonem — ...została wam jeszcze jakaś filiżanka herbaty...?

Jeszcze jedna taka noc, myślała Sybil, leżąc w sztywno wykrochmalonej pościeli, a wolałabym się nie zgodzić na ten kurs oficerski. Świetnie się bawiła: dziewczyny okazały się dużo sympatyczniejsze niż jej koleżanki ze szkoły. Teraz łączyło je poczucie prawdziwego koleżeństwa, którego Sybil nigdy przedtem nie знаła.

Ale pozostały już tylko trzy tygodnie

pobytu w tej jedynej w swoim rodzaju „zbieraninie”. Potem ją przeniosą do innego obozu, gdzie będzie musiała poznać zupełnie inną grupę dziewcząt. Na kurs prawa jazdy miały pójść Cara i ta druga dziewczyna imieniem Liz, ale nie miała pojęcia, kto jeszcze. Zresztą, kiedy do tego dojdzie — powiedziała sobie — ona już będzie w dużo lepszej sytuacji jako oficer. W uszytym na miarę mundurze, z własnym pokojem i raczej z możliwością wydawania rozkazów aniżeli ich spełniania, nawet gdyby to znaczyło, że już nigdy więcej w swoim życiu nie doświadczy takiego wspaniałego uczucia koleżeństwa.

Podstawowe szkolenie dobiegło końca.

Już nie tak nowi rekruci przemaszrowali w doskonałym szyku, nie myśląc ani razu kroku, i nawet sierżant sztabowy Fawcett przestał być potworem. Teraz wszyscy mieli się rozdzielić, a następnie rozjechać do obozów po całym kraju.

Dziewczęta wylały wiele łez podczas pożegnań. Przeżyły ze sobą zaledwie sześć tygodni, ale ten krótki czas wydawał się im teraz wiecznością. Przymykały, że któregoś dnia znów się spotkają:

— Musimy to zrobić, prawda?
Ostatecznie wojsko nie jest aż tak wielkie...

Rozstanie wydawało się znacznie łatwiejsze, jeśli się w to wierzyło.

212

Zanim rozesłano je na rozmaite kursy, wszystkie dostały pięć dni urlopu, żeby mogły odwiedzić swoje rodziny.

Podróżowanie podczas wojny było koszmarnym przeżyciem. Cara musiała jechać do Liverpoolu trzema pociągami. Wszystkie były tak nieludzko przeładowane, że mogła tylko siedzieć na własnym plecaku, w korytarzu, nie mając nawet miejsca na nogi, otoczona żołnierzami, którzy szamotali się między sobą, próbując wydostać się z pociągu podczas postojów, żeby zdobyć dla Cary

filizankę herbaty, kanapkę czy — raz się tak zdarzyło — eklerkę, która wyglądała, jakby ktoś na niej usiadł.

Opowiadali jej historie ze swojego życia, śpiewali bez końca, dzięki czemu ta wyczerpująca podróż była jednak bardziej znośna, niż mogła być. Nie miała pojęcia, co się stało z Sybil. Myślała, że pojedzie razem z nią, ale podczas pożegnań nigdzie jej nie wypatrzyła.

Kiedy dotarła do Liverpoolu, była prawie północ. Cara rozdała swój adres w Bedford sześciu żołnierzom, którzy obiecali do niej napisać.

Dopiero kiedy wyszła ze stacji przy

Lime Street, odkryła, czym naprawdę jest zaciemnienie. Miasto wyglądało tak, jakby je ktoś przykrył

ciemnym kocem — Cara zupełnie straciła orientację. Na ulicach nie było właściwie żadnego ruchu, a nieliczne pojazdy, które mogła dostrzec, miały światła zredukowane do maleńkich szparek. Zastanawiała się już, czy nie lepiej byłoby zawrócić na stację i przesiedzieć do rana w poczekalni, kiedy ktoś wpadł na nią z impetem, niemal ją przewracając.

— Och, do jasnej cholery, przepraszam — odezwał się męski głos, a w mroku zamajaczyła czyjaś ręka, wyciągnięta, żeby ją przytrzymać.

Po chwili mogła już zauważyć niewielką różnicę między pierzastą czernią nieba a głęboką zwartą czernią budynków wzdłuż ulicy. Rozróżniała teraz gwiazdy i ślad księżyca, który to chował się za chmurami, to znów się pojawiał na niebie.

— Dokąd pani szła? — spytał właściciel głosu.

— Z powrotem na stację... chociaż miałam zamiar iść do Toxteth. Nie wie pan, czy tramwaje jeszcze jeżdżą?

— Nie mam pojęcia. Ja jadę do Childwall. Mogę panią podwieźć motorem, jeśli pani chce. Przyjechałem

się spotkać z bratem, ale chyba spóźnił się na pociąg.

— Mam ze sobą worek ze swoimi rzeczami.

— W porządku. Przymocujemy go z tyłu. Zaparkowałem motor gdzieś tutaj. — Wziął ją pod rękę i prowadził przez ulicę. — Już się 213

przyzwyczaiałem do jeżdżenia prawie bez światła, chociaż muszę wtedy wlec się jak żółw.

Jakiś kwadrans później motor zahamował przed domem na Shaw Street. Cara zeszła z siodełka, odczepiła worek i podziękowała swojemu

miłosiernemu Samarytaninowi.

— Naprawdę jestem bardzo wdzięczna, ogromnie. Dziękuję... ale...

nie znam nawet pańskiego imienia!

— Charlie Green. A pani?

— Cara Caffrey.

— Cześć, Cara. — Motor poderwał się z rykiem i zniknął w ciemno-

ściach nocy.

— Cześć, Charlie... — szepnęła Cara.

Gdyby jakimś cudem znów się spotkali,

pewnie nawet by go nie rozpoznała, chociaż dopiero co obejmowała go przez kwadrans rękami w pasie, a głowę miała opartą na jego ramieniu.

Wyciągnęła klucz ze skrzynki na listy i otworzyła. Dom był pogrążony w ciemnościach, wszyscy musieli już być w łóżkach.

— Mamo! — zawołała. — Tato! To ja, Cara! Przyjechałam do domu!

Mama krzyknęła głośno na jej widok i zaraz potem stwierdziła, że Cara strasznie schudła, z kolei tata był zdania, że nigdy nie wyglądała równie dobrze.

— Mieliście jakieś wiadomości od

Fergusa? — spytała. — Napisał do mnie tylko jeden raz przez cały ten czas.

— Jest we Francji z Brytyjską Ekspedycją Zbrojną i dobrze się ba-wi — odpowiedział z uśmiechem tata. — Na pewno wkrótce do ciebie napisze.

Zjawił się Tyrone; lekko zmarszczył czoło na widok siostry w mundurze.

— Jak tam jest, siostrzyczko?

Wzruszyła ramionami.

— OK.

Nie było sensu mu tłumaczyć, że życie w wojsku jest jak koła zębate...

Zresztą mama na pewno pokazywała mu jej listy.

— Jak się wiedzie Marii w Southport?

— Okropnie. Jeżeli nie będzie nalotów, wraca z chłopakami do domu.

— W każdym razie dzięki temu możesz dzisiaj spać we własnym łóżku, kochanie — powiedziała mama — bo inaczej twój tata musiałby chyba spać byle gdzie, na sofie w salonie, a ty ze mną.

214

W tym samym momencie tata zrobił za plecami mamy tak pocieszoną minę, że

Cara omal nie parsknęła śmiechem.

Nareszcie była w domu!

Trudno było zmieścić wszystko w trzech dniach — straciła przecież cały dzień na podróż do domu i straci jeszcze jeden, jadąc z powrotem do Bedford.

Pierwszego dnia poszła do drogerii Bootsa, żeby ekspedientki, które znała od czasu ukończenia szkoły, mogły ją obejrzyć w mundurze.

Potem przeszła się po znajomych sklepach, z dziwnym uczuciem, że teraz należy do innego miejsca, nie do Liverpoolu — i to nie do jednego określonego miejsca, ale do armii: do różnych nieznanych miast i wsi, które

odwiedzi w ciągu następnych miesięcy — a może lat — w zależności od tego, jak długo potrwa wojna.

W drodze do domu zajrzała do Nancy Gates, którą kochała prawie tak samo jak mamę i tatę.

— No proszę! Nie myślałam, że zobaczę coś takiego! — krzyknęła Nancy. — Cara Caffrey w mundurze! Wiesz, kiedy o tobie myślę, zawsze mi się wydaje, że nie powinnaś mieć teraz więcej niż pięć, najwyżej sześć lat. Sama nie wiem dlaczego, ale nie mogę się pozbyć uczucia, że tylko tyle minęło od czasu, kiedy się urodziłaś w tym pokoju obok, a twój biedny tata biegał jak szalony po ulicach, szukając policjanta.

— Nancy, za tydzień skończę
dziewiętnaście.

— Wiem o tym, złotko. Tak tylko gadam.
Czas mija tak szybko, że po prostu nie
mogę za nim nadążyć. Siadaj, zrobię ci
herbatki. Jutro musisz przyjść na
podwieczorek — zrobię tort, to będą
takie wcześniejsze urodziny. —
Podniosła się z pewnym trudem, kości
jej głośno zatrzeszcza-

ły. — Rdzewieję — parsknęła. —
Potrzebuję dobrego naoliwienia.

— Sybil wróciła? Myślałam, że
pojedzie ze mną tym samym pociągami,
ale gdzieś zniknęła.

Nancy wyglądała na zaskoczoną.

— Nie mówiła ci? Wysłali ją na szkoleniowy kurs oficerski. Zadzwoiła wczoraj do taty, żeby mu o tym powiedzieć. Oczywiście jest zadowolony, ale też strasznie rozczarowany, że Sybil nie mogła teraz przyjechać do domu.

— Kurs oficerski! — parsknęła Cara, na której ta rewelacja nie zrobiła większego wrażenia. — Biedactwo! Ja tam bym za nic w świecie nie chciała być oficerem. Nie mają ani chwili czasu na przyjemności.

— Może i mają, złotko, tyle że w sekrecie. Ich po prostu nie można zobaczyć, kiedy mają te swoje zabawy.

— Oficer! — pisnęła mama. — Sybil Allardyce oficerem! A dlaczego nie wybrali ciebie na oficera, chciałabym to wiedzieć?

— Bo nie mówię tak jak ona, prawda, mamo? Ona chodziła do cholernie wytwornej szkoły. W każdym razie, jak już powiedziałam Nancy, gdyby mnie chcieli zrobić oficerem, w życiu bym się nie zgodziła.

— I bardzo słusznie, Cara — odezwał się z aprobatą tata ze swego fotela. — Jesteś dzieckiem klasy pracującej i

wolałbym, żebyś przy niej została.

— Nie martw się, tato, na pewno zostanę — powiedziała Cara stanowczo.

Kiedy Marcus wrócił z pracy do domu, przywitały go głosy i śmiechy dobiegające z kuchni. Już miał pójść do gabinetu, kiedy rozpoznał charakterystyczny głos Brenny Caffrey i jej silny jak zawsze irlandzki akcent.

— Opowiedz Nancy, jak zatrzymałyście autobus — nalegała. — No, dalej, kochanie!

Marcus zatrzymał się i słuchał, stojąc u szczytu schodów kuchennych.

— No więc — odezwał się inny głos —
kazali nam maszerować do Henslow,
miasteczka odległego o jakieś
trzydzieści parę kilometrów, ale ledwo
ledwo mogliśmy iść, a co dopiero
maszerować...

To przecież Cara Caffrey, pomyślał, na
urlopie w domu.

Czekał na Sybil, kupił już nawet bilety
do Empire Theatre, tego samego, w
którym poznał Eleanor, i poprosił
Nancy, żeby przygotowała na tę
okoliczność coś wyjątkowo
smakowitego, a najlepiej wszystkie
ulubione potrawy jego jedynaczki;
tymczasem zeszłej nocy Sybil
zadzwoiła, by mu zakomunikować, że

nie przyjeżdża do domu, ponieważ przenoszą ją akurat do innego obozu, na kurs oficerski. Wolałby, żeby jej głos nie brzmiał tak radośnie; mogłaby powiedzieć, jak bardzo jej przykro, że się nie zobaczą. Zamiast tego jednak odłożyła słuchawkę z bez troskim:

— No to cześć, tatusiu. Nie mam pojęcia, kiedy znów będę w domu.

Cara już prawie skończyła swoje opowiadanie.

— Tamtej nocy — mówiła — urządziłyśmy w kwaterze ucztę. Wtedy nareszcie wszystkie się porządnie zapoznałyśmy. Do tego czasu każda z nas się czuła okropnie nieszczęśliwa.

— Nigdy nam nie mówiłaś, że jesteś nieszczęśliwa — rzekła Brenna z wyrzutem. — Mówiłaś, że cudownie spędzasz czas.

— Kłamałam, mamó — roześmiała się Cara. Miała taki sam zmysłowy głos jak jej matka, z lekką chrypką.

Marcus stał dobrą chwilę, przygryzając wargę, zanim zszedł na dół.

Cóż, była to w końcu jego kuchnia.

— Zdawało mi się, że słyszałem jakieś głosy — rzekł.

Cztery kobiety siedziały wokół stołu. Aż do tej chwili się nie zorientował, że i Eleanor tam jest. Już niebawem przestanie być jego żoną; proces rozwodowy właśnie się zaczął i wkrótce oboje będą znowu wolni.

Zmusił się do uśmiechu.

— Dobry wieczór paniom.

— Witaj, Marcus. — Eleanor też się uśmiechnęła. — Co sądzisz o naszej córce? Oliver Chandler twierdzi, że mała zostanie podporucznikiem, to najniższy stopień oficerski.

— Bardzo dobra wiadomość — odparł sztywno. — Cara, jak ci się podoba

życie w wojsku?

— Jestem zachwycona, panie Allardyce
— powiedziała z uśmiechem Cara, a
Marcus dostrzegł grymas bólu na twarzy
Brenny.

— Pański obiad jest w piecyku, ale
może pan z nami usiądzie i napije się
herbaty? — spytała Nancy. — Właśnie
miałam kroić urodzinowy tort Cary,
wprawdzie o tydzień za wcześnie, ale co
tam...

— Będzie mi bardzo miło, dziękuję.

Dopiero po raz drugi od niemal
trzydziestu lat mieszkania w tym domu
Marcus siedział przy kuchennym stole.

Pierwszy raz, przypomniał

sobie, było to podczas pierwszego przyjęcia urodzinowego Sybil. To właśnie wtedy wyszło na jaw, że Eleanor i Daniel Vaizey są w sobie zakochani. Marcus zawsze uważał Eleanor za beznadziejnie słabą i żalostną istotę, tymczasem okazało się, że jest silna. Teraz na przykład przyjmuje lokatorów, żeby wyżywić siebie i Jonathana. To on był słaby i żalostny — z powodu córki, która złamała mu serce.

Zaproponował Nancy, żeby przyniosła z piwnicy butelkę wina.

— Żebyśmy mogli wypić zdrowie Cary

— i Sybil!

Nancy zeszła po wino, przedtem jednak obrzuciła Marcusa zacieka-wionym spojrzeniem. Przyzwyczał się już do tych badawczych spojrzeń Nancy.

Patrzyła na niego tak, jakby się zastanawiała, co u licha się stało temu facetowi, który dotychczas rządził w domu żelazną ręką, a nawet wyrzucił na deszcz swoją ciężarną żonę...

217

Tamten mężczyzna już nie żyje, chciał jej powiedzieć, a może nawet nigdy nie istniał naprawdę, tylko grał taką rolę. Teraz przedstawienie dobiegło końca, a ten mężczyzna już nigdy nie odegra

żadnej roli w czyimś życiu, poza swoim własnym.

Napełniono kieliszki i Marcus podniósł swój.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Cara.

Cara zarumieniła się lekko.

— Bardzo dziękuję, panie Allardyce.

Widział tę dziewczynę niezliczoną ilość razy, lecz nigdy dotąd nie przyjrzał się jej bliżej. Była równie piękna jak niegdyś jej matka — nie, jeszcze piękniejsza. Brenna nie miała tak smukłej szyi ani takich słodkich

błękitnych oczu. Głos Cary był bardziej miękki, a całą jej postać spowijała jakaś świeżość, atmosfera niewinności, której jej matka po tylu twardych kułakach otrzymanych od losu nigdy nie miała.

Tak jak kiedyś pragnął, żeby jej matka została jego żoną, tak teraz marzył, by Cara była jego córką, wiedział bowiem, z całą pewnością wiedział, że nigdy nie potraktowałyby go tak okrutnie, jak to zrobiła Sybil.

Trzeciego, ostatniego dnia urlopu w Liverpoolu Eleanor zaprosiła do siebie Carę razem z mamą i tatą na uroczysty obiad.

— Ona po prostu chce ci się pochwalić

swoimi lokatorami — śmiała się Brenna. — Twierdzi, że teraz mieszka jakby z Clarkiem Gable'em i Robertem Taylorem, i nie jest pewna, w którym jest bardziej zakochana—w Clarku czy w Robercie.

Oliver Chandler i Lewis Brown byli niewątpliwie absolutnie wspaniali i Cara doskonale rozumiała dylemat Eleanor. Obaj przygotowali jedzenie i teraz czekali na wszystkich przy stole; ich współpraca nosiła pewne znamiona komizmu, co przypominało Carze filmy z Flipem i Flapem:

— Sos gotowy, Oliver?

— Już gotowy, Lewis. Czy ziemniaki są

odpowiednio sypkie?

— Idealne, Oliver.

— Mam sam pokrajać pieczeń czy ty to zrobisz?

— Raczej ty. Robisz to o wiele lepiej niż ja.

— Jak myślisz, Cara? Który z nich jest przystojniejszy? — szepnęła Eleanor.

— Nie jestem pewna... Sądzę jednak, że Clark Gable bardziej przypomina Lesliego Howarda.

Jonathan też siedział przy obiedzie. Cara zapamiętała go jako uroczonego, puciołowatego chłopaczka, kiedy jednak urósł, stał się zbyt tęgi. Eleanor robiła wszystko, żeby go powstrzymać od zaciągnięcia się do wojska, namawiając na studia uniwersyteckie, ale Jonathanowi ten pomysł w ogóle się nie podobał.

— Nigdy się tam nie dostanę, mamusiu — mówił cierpliwie, jakby słyszał ten argument już sto razy. — Nie jestem aż taki zdolny.

— Kochanie, nie bądź taki skromny — zawołała Eleanor. — W szkole jesteś najlepszy we wszystkim.

— Nieprawda, mamusiu. Jestem najlepszy w angielskim, fakt, ale we wszystkich przedmiotach ścisłych — po prostu beznadziejny.

— W takim razie mógłbyś się zapisać na filologię angielską na uniwersytecie, synku.

— Sęk w tym, że nie chcę. Chcę pójść do wojska, najlepiej do RAF-u. —

Uśmiechnął się promiennie do Cary. — Chcę się nauczyć pilotować samolot.

— Dobrze mu to robi, El — rzekła zachęcająco Brenna. — Nie powstrzymasz dzieci od chodzenia własnymi drogami. Sama kiedyś tego

próbowałam jak głupia, ale nigdy mi się nie udało i teraz wiem, że to na nic.

Po obiedzie Lewis zabrał Carę na przejażdżkę swoim białym sportowym wozem, pokazał jej, jak się zmienia biegi, i wytłumaczył, do czego służą pedały.

— Dam ci krótką radę — powiedział.
— Zawsze zachowuj spokój.

Cokolwiek robisz, nie rób tego z nerwami, nawet jeśli będzie to oznaczało, że znajdziesz się u celu później niż twój kolega. Po prostu się tym nie przejmuj, a wszystko będzie OK.
— Uśmiechnął się smutno. — Wiesz, Cara, zazdrozczę ci... Tak, nawet

okropnie ci zazdroszczę, jak to mówią w Liverpoolu. Chciałbym, żeby ta wojna skończyła się już jutro. Bo aż mnie korci, żeby się zgłosić na ochotnika; chyba nie jestem za stary... mam trzydzieści siedem lat.

— Eleanor będzie za panem tęsknić — zauważyła Cara.

— Chyba nie tak bardzo, jak będzie tęskniła za Jonathanem. Ten mi wygląda na zdeterminowanego i z całą pewnością się zaciągnie. Jeszcze tego samego dnia, kiedy skończy osiemnaście lat! A może nawet wcześniej.

Smutno było opuszczać mamę i tatę, a mimo to poczuła coś na kształt ulgi,

wsiadając do pociągu jadącego do Crewe, gdzie się miała przesiąść do kolejnego — kierunek Bedford. W każdym razie taki miała plan.

219

W panującym teraz chaosie mogła równie dobrze przesiadać się jeszcze z sześć razy.

Teraz jechała przynajmniej zaprowiantowana — z butlą herbaty i kanapkami, których miała dość, żeby nakarmić co najmniej pięćset osób, a poza tym dostała jeszcze na drogę wielki kawał własnego tortu urodzinowego i pudełko kandyzowanych owoców od Olivera i Lewisa.

— No, sama powiedz. Czy ci dwaj nie są najbardziej czarującymi mężczyznami, jakich kiedykolwiek poznałaś? — westchnęła Eleanor tego ranka, kiedy przyniosła owoce wraz z piękną pikowaną torbą, pełną przyborów toaletowych — jej własnym prezentem na pożegnanie.

Ponieważ pierwszą osobą, o której Cara pomyślała zaraz po przebudzeniu, był Lewis Brown, z zapalem przytaknęła Eleanor.

Przyjechała do Bedford po zaskakująco wygodnej podróży. Pociągi były punktualne i tylko trochę zatłoczone, miała jedynie dwie przesiadki, a podczas ostatniego etapu podróży udało

się jej nawet zdobyć miejsce siedzące. Wszystkie zapasy zniknęły, głównie rozdawane cywilnym pasażerom, którzy nie mieli prawa kupować przekąsek w kioskach, obsługujących wyłącznie wojskowych. Dała swój adres jakiejś starszej pani, tak wdzięcznej za łyk herbaty i kanapkę, że koniecznie chciała posłać Carze coś w zamian.

— Armia ma szczęście, że w niej służysz, drogie dziecko, a ja też je mam, bo cię poznałam. Nigdy nie zapomnę twojej dobroci.

Cara spotkała w kwaterze Peggy Cross i Fielding; zarezerwowały dla niej łóżko i właśnie się rozpakowywały. Skakały z

radości i wieszaly się Carze na szyi.
Początek pobytu w nowym obozie z
dawnymi przyjaciół-

kami był naprawdę cudowny.

— A zarezerwowałyście łóżko dla Liz
Childs? — spytała.

— Nie przyjeżdża tu — wyjaśniła
Peggy. — Nie było jej na liście nazwisk
do tej kwatery, więc spytałam dlaczego,
i wyobraźcie sobie, powiedziano mi, że
jest w ciąży. Nie było też nazwiska tej
drugiej, Sybil...

czy jak jej tam, tej, co tak zadzierała
nosa.

— Sybil Allardyce. Ona nie przyjedzie,
poszła na kurs oficerski —

wyjaśniła im Cara.

— Czyli jesteśmy tylko we trzy! —
zawołała Fielding. — Trzej musz-
kieterowie. Trzymajmy się razem, jak
tylko się da, aż do samego końca tej
cholernej wojny. „Jeden za
wszystkich...”

— ...wszyscy za jednego! — zawołały
chórem dwie pozostałe.

220

— Będzie nam tu bardzo dobrze —
radośnie stwierdziła Peggy. —

Nauczmy się przynajmniej czegoś pożytecznego, nie tak, jak ostatnio.

Poza tym ten obóz ma kantinę dla niższych szarż i w weekendy urządzą tam tańce. Do Bedford można dojechać autobusem, a w mieście jest mnóstwo kin. Zauważyłam, że grają *Przeminęło z wiatrem* — marzę o obejrzeniu tego filmu!

— Ja też — wykrzyknęła z entuzjazmem Cara.

— Ja już widziałam, ale z przyjemnością pójdę jeszcze raz. — Fielding podniosła głos i powiedziała akcentem z południa Stanów: „Pomyślę o tym wszystkim jutro, w Tarze. Zniosę

to wtedy lepiej. Jutro pomyślę, jak go odzyskać. Mimo wszystko — oznajmiła, dramatycznie odrzucając głowę w tył — życie się dzisiaj nie kończy"* . Jutro też będzie dzień.

Dwie inne dziewczyny na kwaterze, które się też rozpakowywały i wyglądały na bardzo samotne, podniosły ze zdziwieniem głowy.

Peggy splotła ręce na piersiach i groźnie zmarszczyła czoło.

— Czyżbyś nam właśnie wyrecytowała zakończenie Przemineńło z wiatrem, Fielding?

Fielding się roześmiała.

— Przedtem dzieje się tam całe mnóstwo innych rzeczy, Peg.

— Wolałabym nie siedzieć na filmie przez prawie cztery godziny, wiedząc, jak się ta cholerna historia skończy.

Rzuciła poduszką w Fielding, która się tym bynajmniej nie przejęła.

Tamta tylko pokazała jej język.

— Jeśli idziecie na Przemięło z wiatrem, to może mogłabym z wami pójść? — nieśmiało spytała jedna z dziewcząt. — Nie znam tu żywej duszy.

— Ani ja. Też chciałabym pójść na ten film — dodała druga.

— Chodźcie, zostawimy kartkę na tablicy i możemy iść wszystkie razem — zaproponowała Cara. — A jeżeli zostanie nam jeszcze trochę czasu, wybierzemy się później na herbatę.

— Albo na coś mocniejszego — dodała Peggy.

— Albo na coś mocniejszego — powtórzyła za nią jak echo Cara.

Następne kilka miesięcy było wypełnione intensywną pracą. Cara zabrała się z pasją do prowadzenia wozu. Zawsze pamiętała, by zachować

* Margaret Mitchell, *Przeminęło z wiatrem*, tłum. Celina Wieniewska, wyd.

spokój, tak jak jej radził Lewis Brown. W przeciwieństwie do sierżanta sztabowego Fawcetta, który swego czasu nieustannie ją dołował, instruktor jazdy sierżant Drummond chwalił ją podczas każdej lekcji.

— Masz do tego talent, Caffrey. Jesteś urodzonym kierowcą, a takich nie trafia się wielu.

Codziennie odbywały się wykłady teoretyczne. Pokazywano im na schematach, jak działa silnik, i Cara była w stanie to wszystko zrozumieć.

Wiedziała, że zanim się wyprowadzi samochód, trzeba najpierw sprawdzić zapłon, akumulator, deskę rozdzielczą i alternator; że musi się upewnić, czy opona zapasowego koła jest dobrze napompowana i czy w baku jest dość paliwa, w chłodnicy dość wody, a w silniku dość oleju.

— Wyobraźcie sobie, że znajdujecie się na pustyni, same — i nagle wasz samochód się psuje. Czego przede wszystkim będziecie szukać? —

pytał sierżant Kelly, dobroduszny facet o czerwonej twarzy, ojciec czterech córek, uważający się również za ojca wszystkich dziewcząt na kursie.

— Wafla z lodami! — zawołała Fielding.

— A jak już zjesz ten wafel, Fielding, to co wtedy?

— Sprawdzę te rzeczy, które nam pan kazał sprawdzić, sierżancie, a jeżeli wszystko będzie w porządku, stanę na dachu samochodu i będę wzywać pomocy.

Wieczory spędzały w mesie, w kinie albo w lokalach, gdzie goście ze zdziwieniem unosili brwi na ich widok. Aż do wybuchu wojny jedynymi kobietami widywanymi w barach były damy o wątpliwej reputacji, tak że trzeba było trochę czasu, żeby ludzie

przyzwyczaili się do nagłego pojawiania się tam całkiem przyzwoitych dziewcząt w mundurach. Zdarzało się, że barman nie chciał ich obsłużyć, za to całe mnóstwo facetów rzucało się, żeby fundować im drinki. Na ogół piły tylko lemoniadę, ale Peggy Cross miała słabość do ginu z tonikiem, a Fielding piła piwo Guinness.

— To mi wzmacnia mięśnie — mówiła, zginając drobniutkie ptasie ramionka.

W testach Fielding zawsze się wyróżniała jako bardzo obiecujący kierowca, nie wzięto jednak pod uwagę jej wzrostu. Idąc na lekcje, musiała zabierać ze sobą poduszkę, w przeciwnym razie bowiem prawie nic

nie widziała przez szybę, która była dla niej za wysoko, a ludzie uskakiwali z drogi na pobocze, myśląc, że nadjeżdża wóz bez kierowcy.

Najlepsze były sobotnie wieczorne tańce w kantynie. Na każdą dziewczynę przypadało co najmniej dwóch mężczyzn; pod koniec wieczoru bywały tak zmordowane, że mogły z ledwością dowlec się do kwatery.

222

— Wiem, że nie powinnam tego mówić — zwierzała się Cara przyjaciółkom, kiedy wracały po wyjątkowo zwariowanym wieczorze w kantynie — ale właściwie się cieszę, że jest wojna.

Byłam bardzo szczęśliwa w domu, nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak strasznie nudne jest moje życie, zanim wyjechałam. Od kiedy jestem w armii, czuję się zupełnie inaczej. Mój umysł pracuje teraz na wyższych obrotach... czy coś w tym rodzaju.

Cara nie potrafiła ukrywać swoich uczuć; łatwo wybuchiała płaczem, często się śmiała. Doskonale zdawała sobie sprawę z uczuć młodych mężczyzn, nawet tych młodszych od niej, którzy po Bożym Narodzeniu mieli zostać wysłani za morze i którzy pytali, czy chce zostać ich dziewczyną.

— Chciałbym mieć dziewczynę, do której mógłbym pisać — powiedział

jeden z nich tego wieczoru. Miał na imię Brian i jeszcze nie zaczął się golić. Jego oczy zachowały dziecięcy błękit. — Masz może zdjęcie, które mógłbym sobie przykleić w szafce?

— Zrobię sobie — obiecała Cara.

Zbliżała się Gwiazdka, a kurs miał potrwać do końca stycznia. Potem będą musiały znowu rozstać się z koleżankami, bliższymi im teraz nawet od tych, które pozostawiły w swoich rodzinnych miejscowościach.

— Jak to załatwić, żebyśmy dalej zostały razem, we trzy? — spytała Fielding pewnego ranka przy śniadaniu.

— Może mogłybyśmy poprosić... —
zastanowiła się Peggy.

— Kogo?

— Nie mam pojęcia.

— To się często stosuje w praktyce.
Większość mężczyzn zostaje razem.

— Tylko dlatego, że należą do
konkretnego pułku. My, dziewczyny,
jesteśmy po prostu anonimowymi
kierowcami i nigdzie nie przynależymy

— wyjaśniła Cara.

— Ale to nie jest w porządku! —
załośnie jęknęła Fielding, udając, że

ociera łzę z oka.

— W armii nic nie jest w porządku, Fielding. Myślałam, że już to rozumiałaś.

— W kwaterze wisi kartka z pytaniem, która chce być wysłana za morze. Wpiszmy się wszystkie trzy, weźmy nasze nazwiska w klamrę i dopiszmy: „Nie rozdzielać”. Jak myślicie, czy to się może udać?

— Ale czy naprawdę chcemy być wysłane za morze? — Twarz Peggy wyrażała wątpliwość.

— Ja bym bardzo chciała — rzekła natychmiast Cara. Fergus chyba wspaniale spędzał czas we Francji. Wyglądało na to, że właściwie nic tam nie robi, tylko stale przesiaduje w kafejkach i popija wino.

— To byłoby znacznie bardziej podniecające, niż zostać w Anglii —

dodała Fielding. — Ach, słuchaj, Peggy, moja kochana! Wyobrażasz nas sobie, jak idziemy Polami Elizejskimi w Paryżu... albo jak się wdrapujemy na egipskiego Sfinksa?

— To nie będzie wycieczka turystyczna — przypomniała jej Peggy. —

Och, raz kozie śmierć! Tom ma mnie tak serdecznie dość, że już gorzej być nie może. — Tom był narzeczonym Peggy; co tydzień przysyłał listy, w których skarżył się na swój los, wyrzucając ukochanej, że go opuściła.

Peggy przyznawała mu rację, ale chciała po prostu robić to, co do niej należy, i sądziła, że Tom ją zrozumie.

Wróciły do kwatery, wpisały swoje nazwiska na listę i właśnie szły do czytelnicy, kiedy spostrzegły naraz idącą w ich stronę młodą elegancką kobietę. Miała na sobie drogie futro, a w ręku skórzaną walizę. Minęła dobra minuta, zanim Cara rozpoznała w tej szycowej damie Sybil Allardyce.

— Sybil! — zawołała, podbiegając do koleżanki. — Przyszłali cię tutaj?

— Tylko na parę tygodni — odparła sztywno Sybil. — Jestem teraz oficerem, Caffrey. Powinnaś mi salutować i zwracać się do mnie „madame”.

— Och! — Cara aż się cofnęła z uczuciem, że właśnie ją ustawiono do pionu.

Tu wtrąciła się Peggy.

— Jesteś ubrana po cywilnemu... madame, a od nas wymaga się salutowania tylko mundurowi, nie osobie.

Sybil zaczerwieniła się po same uszy.

— Sprawdzę to... Jak się nazywasz?

— Cross... madame.

Peggy włożyła w to ostatnie słowo tyle złośliwości, ile tylko mogła.

Fielding ze wszystkich sił powstrzymywała chichotanie.

Sybil nie odpowiedziała.

Odmaszerowała, pozostawiając za sobą wszystkie trzy dziewczyny, a one tak się śmiały, że prawie płakały, obejmując jedna drugą, podczas gdy po policzkach ciekły im łzy ze śmiechu.

— A to suka! — powiedziała Peggy, kiedy się wreszcie uspokoiła. —

Wiecie, to naprawdę cud, że nie kazała nam zanieść swojej walizki!

— Caffrey, nie powiem, żebym była zachwycona twoimi przyjaciółkami.

224

— Fielding, nie myl pojęć. To nasze mamy się przyjaźnią, OK? Sybil Allardyce nie jest żadną moją przyjaciółką. — Wprawdzie do tej pory myślała o Sybil jako o kimś w rodzaju przyjaciółki, ale odtąd... nie, nigdy więcej!

Sybil zameldowała się i poszła do wskazanego jej pokoju. Poczowała się bardzo urażona na widok dwóch łóżek. Liczyła na to, że będzie mieć pokój tylko dla siebie. W uszach dźwięczał jej nieustannie histeryczny śmiech tamtych dziewcząt.

Fatalny początek.

Niepotrzebnie zaatakowała Carę — tak na dzień dobry — to było naprawdę głupie, ale co zrobić, kiedy aż się paliła, żeby komuś oznajmić, że teraz jest oficerem, a nie była przygotowana, że natknie się akurat na Carę? Nic by nie zaszkodziło, gdyby ją poinformowała o swoim awansie w bardziej uprzejmy sposób.

Jęknęła cicho i zabrała się do rozpakowywania walizki. Swoje nowo uszyte mundury powiesiła w szafie (krawcowi poleciła wysłać rachunek do tatusia). W każdym razie teraz miała porządną szafę, nie tak jak w pierwszym obozie, gdzie była tylko mała szafka, a na mundury co najwyżej wieszak. Poza tym jej współlokatorka jest na pewno osobą z lepszej sfery, a nie jakąś okropną babą z fabryki czy targu rybnego, która co drugie słowo przeklina. W dodatku Sybil miała tu pozostać tylko przez dwa tygodnie, potem mieli ją przenieść gdzie indziej. Zgłosiła się na ochotnika do przeniesienia za morze, więc jest

nadzieja, że już nie spotka ani Cary, ani jej przyjaciółek.

Drzwi otwarły się gwałtownie i jakiś energiczny głos zawołał:

— Powiedzieli mi, że już jesteś.

Allardyce, zgadza się? Mamy razem mieszkać, ale na krótko. Jestem Cordelia Butcher, chociaż wszyscy, przyjaciele i wrogowie, mówią na mnie „Butch”. Jak się masz?

Tęga, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, z twarzą czerwoną jak piwonia i cerą jak skóra słonia, potrząsnęła szczupłą ręką Sybil.

— Jak się masz, Butch — powiedziała

Sybil słabym głosem.

— O, ja... to świetnie, Allardyce, naprawdę doskonale — huknęła Butch.

— Nie będziesz zachwycona tym gównianym miejscem. Masz pojęcie? W kasynie oficerskim nie mają nawet zapasu piwa, podają tylko mocne drinki. Nie mam nic przeciwko łykowi whisky, jak wszyscy, ale tylko wtedy, jeśli go potem mogę splukać kwartą ciemnego. Beznadzieja, trzeba przyznać. No, Allardyce, żałuję, ale muszę już iść, wpadłam się 225

tylko przywitać. — Już zamykała za sobą drzwi, i znów je otworzyła. —

Co to ja chciałam powiedzieć... O,

właśnie. Spodziewam się, że masz mocny sen. Ludzie mówią, że chrapię jak jakiś pieprzony nosorożec.

Gdybyś nie mogła zasnąć... z góry cię przepraszam.

Drzwi się zamknęły. Sybil zakryła twarz rękami i znów jęknęła.

Na Boże Narodzenie jechały do domu na cały tydzień. W dniu wyjazdu, zaraz po śniadaniu, do Cary przyszła paczka.

Otworzyła ją zaciekawiona i znalazła w środku czarne aksamitne pudełeczko, a w nim pierścionek z trzema

błyszczącymi niebieskimi kamieniami. Do paczki był dołączony list — kartka pachniała lawendą, a charakter pisma

był chwiejny, niepewny.

Droga Car o,

Mam nadzieję, że paczka dotrze przed Gwiazdką. Chciałam ją już wcześniej wysłać, ale chorowałam. Ten pierścionek należał do mojej babki i zawsze miał dla mnie dużą wartość, głównie emocjonalną.

Nigdy nie zapomnę Twojej dobroci wtedy w pociągu.

Z poważaniem,

panna Louise Appleton

Adresu zwrotnego nie było.

— Och! — Cara była bardzo przejęta. Pokazała pierścionek Peggy i Fielding. — Czy nie jest piękny? Te kamienie wyglądają zupełnie jak prawdziwe. A ja dałam jej po prostu łyk herbaty i kanapkę.

Peggy wzięła pierścionek i dokładnie go oglądała.

— Są prawdziwe, w każdym razie to jest prawdziwe złoto, dwadzieścia dwa karaty. Nie jestem ekspertem, ale te kamienie też wyglądają mi na prawdziwe szafiry. Jeżeli tak, to cacko jest warte fortunę. Na twoim miejscu, Cara, zostawiłabym je w domu. Pamiętaj, że nie wolno nam nosić biżuterii z wyjątkiem ślubnej obrączki, a

chyba nie masz zamiaru zostawiać
czegoś tak wartościowego w szafce!

Pogoda była fatalna. Cały kraj pokryła
gruba warstwa śniegu; wielkie płaty
uderzały o okna wagonu przez całą
drogę do Liverpoolu. W Birmingham,
gdzie Cara się przesiadała, a perony
były pełne żołnierzy, wszystkim
cywilom kazano wysiąść i czekać na
następny pociąg, nawet matkom z
małymi dziećmi, starcom i chorym.

226

Tego wieczoru pokazała pierścionek
matce.

— Jest śliczny, kochanie! — zawołała

mama. — Daj mi przymierzyć.

Pierścionek pasował jak ulał na środkowy palec prawej ręki mamy; dla Cary był za duży.

— Noś go teraz, mamó — powiedziała porywczo. — Oddasz mi, kiedy wrócę już na dobre do domu. Tak czy owak, chciałam go tu zostawić.

— Och, sama nie wiem, córeczko... A jak go zgubię? — Pomachała ręką, podziwiając ognie kamieni. — Nawet Eleanor nie ma takiego pierścionka!

— Kochanie, przecież możesz z powodzeniem go nosić — wtrącił się tata. — To chyba głupi pomysł, żeby

leżał w szufladzie, kiedy tak bardzo ci się podoba.

— No dobrze — odparła mama takim tonem, jakby ją zmuszano do noszenia tego pierścionka, w dalszym ciągu jednak podziwiała go na swoim palcu.

Maria i chłopcy wrócili już z Southport.

— To jakaś lipna wojna — parsknęła Maria. — Gdyby nie brak artykułów żywnościowych, trudno byłoby uwierzyć, że w ogóle mamy wojnę. Właściwie nic się nie zmieniło.

Cara nie protestowała; nie wspomniała, że tysiące marynarzy już straciło życie, że ich okręty tonęły, zatapiane przez

niemiecką marynarke; najgorsze były U-Booty, pełzające bezgłośnie pod powierzchnią wody i polujące na okręty, nieświadome czającego się w dole niebezpieczeństwa. Maria nie była jedyną osobą twierdzącą, że wojna jest pozorna: nawet gazety narzekały, że nic się nie dzieje.

To było dziwne Boże Narodzenie. Do tego ta okropna pogoda, która bynajmniej nie pomagała w poprawie nastroju. Chociaż mama i tata robili wszystko, żeby ją rozweselić, Cara czuła, że się do tego zmuszają. Tyrone był w złym humorze, mimo iż ostatnio zaangażowali go do pracy w Mersey Docks & Harbour Board, co oznaczało,

że jest już wykwalifikowanym elektrykiem na pełnym etacie. Ale i on się martwił, że nie nosi munduru.

Nawet Nancy Gates była przygnębiona.

— Chciałabym, żeby ta przekłeta wojna zaczęła się jakoś z sensem —

mówiła do Cary. — Okropne jest to czekanie, kiedy wiadomo, że lada chwila niebo może ci się zwalić na głowę.

— Zrobiłam coś strasznego — wyznała Cara. — Nie mów nic mamie.

Sama jej powiem, kiedy przyjdzie czas... Wpisałam się na listę tych, co pojedą za

morze. Mama dostanie szału, to pewne. I tak umiera już ze strachu o Fergususa. Prawie żałuję, że to zrobiłam.

227

— To twoje życie, Cara, nie twojej mamy, a pamiętaj, że masz je tylko jedno. Musisz z nim zrobić to, co chcesz.

Jedynym domem, w którym wszyscy wyglądali na zadowolonych, był

dom Eleanor przy Tigh Street. Oliver i Lewis jakimś cudem zdobyli indyka, świąteczne ciasto i dwie butelki sherry. Kiedy Caffreyowie przyszli na podwieczorek w dzień Bożego Narodzenia, Eleanor była niezwykle

przejęta.

— To najlepsze Boże Narodzenie w moim życiu — rozpływała się. —

Muszę być największą szczęściarą na świecie. Nareszcie jestem po rozwodzie, Jonathan obiecał pójść na uniwersytet, no i spędzam ten dzień w towarzystwie dwóch cudownych mężczyzn!

— Nigdy się nie dostanę na uniwersytet — szeptał Jonathan do ucha Carze. — Powiedziałem mamusi, że pójdę, ale tylko po to, żeby wreszcie przestała marudzić.

Cara była już tydzień w Bedford, kiedy

powiedziano jej i Fielding, że zaraz po skończeniu kursu zostają wysłane na Malte. Peggy miała pojechać do Afryki Północnej. Chociaż napisała prośbę do komendanta obozu, żeby ją wysłał na Malte razem z koleżankami, następnego dnia wezwano ją do biura sierżanta. Jej podanie zostało kategorycznie odrzucone.

— Jesteś teraz w wojsku, Cross, a nie w kółku przyjaciółek. Pojedziesz tam, gdzie ci każą. Twoja strata, że się z tego nie cieszysz.

— Naszą Carę wysyłają na Malte — powiedziała Brenna kilka dni później, kiedy Colm wrócił z pracy. Machnęła w powietrzu listem od córki. — Tam nie

ma żadnych walk, prawda, kochanie?
Więc będzie jakby na długich
wakacjach, tak samo jak Fergus.

— Zobaczymy, Bren — rzucił Colm
niefrasobliwie, chociaż się przestraszył.

Francja przypominała teraz tykającą
bombę zegarową, która w każdej
sekundzie mogła wybuchnąć, a ten, kto
zajmie Malte, będzie miał klucz do
Morza Śródziemnego. Wyspa miała
świetny naturalny port, za który Niemcy
oczywiście daliby się zabić.

Słowem, jeżeli na świecie było miejsce,
w którym za żadne skarby nie chciałby
widzieć swojej małej dziewczynki, to
tym miejscem była właśnie Malta.

Rozdział 9

MALTA 1940

— Caffrey! — krzyczał kapral Culpepper. — Kapitan Bradford chce, żeby go zabrać do Grand Harbour. Prosił o ciebie. Caffrey!!! — ryknął, kiedy Cara nie pokazała się natychmiast.

— Idę, kapralu, już idę. Niech mi pan da czas podnieść tyłek z krzesła.

— Odstawiła na wpół wypitą herbatę, sięgnęła po kurtkę i czapkę i wpadła biegiem do jego biura.

— Tylko mi tu nie pyskować, Caffrey — tęgi kapral wyszczerzył

zęby w uśmiechu. — Zresztą bardzo sympatyczny tyłek, muszę przyznać

— zauważył, cmokając z uznaniem, i już chciał ją klepnąć, kiedy przechodziła.

Ale zdążyła w porę uskoczyć — kapral Culpepper miał zanadto ruchliwe ręce.

Cara przeszła przez warsztat, gdzie dwóch mechaników siedziało w kanale pod ciężarówką, a w samochodzie zmieniano przednią szybę.

Na zewnątrz, na wielkim wybetonowanym placu pokrytym plamami z oleju, gdzie parkowano samochody, Fielding akurat myła swój — prawie niewidoczna w czeluściach kombinezonu.

— Culpepper cię dopadł?! — zawołała.

— Nie tym razem — odparła Cara z groźną miną.

Wślizgnęła się do pierwszego z brzegu służbowego wozu: był to ogromny humber hawk, pomalowany na kolor khaki. Podjechała niedaleko zapyloną drogą pod Marzipan Hall, tam zatrzymała, wyskoczyła, otworzyła tylne drzwiczki i czekała, aż kapitan Bradford wyjdzie.

Marzipan Hall nie było prawdziwą nazwą wielkiego gmachu, w którym mieściły się biura i kwatery wyższych rang, jak również urzędników 229

Artylerii Królewskiej, ale żółte, glazurowane cegły musiały tak właśnie skojarzyć się pierwszym przybyszom, nazwa przyłgnęła — i tak już pozostało. Budynek wzniesiono dwieście lat temu dla włoskiego księcia.

W jego wspaniałych wnętrzach znajdowało się ponad czterdzieści pokoi.

Cara, razem z dziewięcioma pozostałymi kobietami kierownicami, kwaterowała w opuszczonym wiejskim domu, położonym rzut kamieniem od

„marcepanowego dworu”. Zapewne dlatego były często wzywane nie tylko przez oficerów Artylerii Królewskiej,

ale i Intendentury Królewskiej, Służby Królewskiej i Królewskiego Korpusu Piechoty, rozproszonych po całej wyspie.

Kapitan Bradford wyszedł przez wspaniałe, rzeźbione drzwi.

— Dź'dobry, Caffrey — powiedział nieśmiało.

Był to niski, poczciwy mężczyzna około pięćdziesiątki, łysy jak kolano, który w obecności kobiet czuł się zawsze dziwnie zażenowany.

Kawaler, był w wojsku podczas Wielkiej Wojny i to zadecydowało o jego karierze. Cara robiła wszystko,

żeby choć trochę się rozluźnił. Musiało się jej to udawać, skoro zawsze, kiedy potrzebował kierowcy, prosił

właśnie o nią.

— Dzień dobry, kapitanie.

Stanęła na baczność i zasalutowała, po czym obdarzyła go promiennym uśmiechem.

— Dobry dzień na grę w krykieta — zauważył, siadając z tyłu.

— Naprawdę, sir?

— W Liverpoolu nie grają w krykieta, Caffrey?

— Przypuszczam, że grają, sir, ale moja rodzina interesuje się tylko piłką nożną.

— Którą drużyną? Liverpoolem czy Evertonem?

— Liverpoolem, sir. To katolicka drużyna, wie pan.

— Aha, więc jesteś papistką, co, Caffrey? W takim razie musisz się czuć na Malcie jak u siebie w domu. Tyle tu kościołów, a każdego dnia dzień jakiegoś świętego.

— Tak, bardzo mi się tutaj podoba, kapitanie.

Jakby na potwierdzenie swoich słów

musiała zwolnić, żeby dać przejść niewielkiej procesji kobiet i dzieci, niosących haftowane chorągwie i girlandy kwiatów; przed nimi szedł ksiądz z drewnianym krzyżem. Śpiewali jakąś pieśń kościelną, której nie mogła rozpoznać, i zmierzali zapewne do małej przydrożnej kapliczki, do której ona dotarła po paru minutach.

— Jakiego dziś mamy świętego? — spytał kapitan.

230

— Nie wiem, sir. W Liverpoolu nie jesteśmy aż tak bardzo religijni.

Szalejemy tylko na Wielkanoc i na Boże

Narodzenie, no i mamy nasze majowe procesje. Sama brałam w nich udział, kiedy byłam młoda.

Kapitan zachichotał.

— No, Caffrey, jeszcze nie jesteś zupełnie stara.

W milczeniu jechali przez jałowe pola. Malta nie zachwycała urodą: krajobraz nieregularny, ziemia bardziej czerwona niż brązowa; Cara wiedziała wprawdzie, że wiosną, kiedy łąki zakwitną, będzie lepiej. To znaczy ładniej. Jak na marzec było wyjątkowo ciepło, a niskie jeszcze, poranne słońce świeciło przez szyby tak, że w samochodzie zrobiło się gorąco jak w

piecu.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, kapitanie, jeśli otworzę okno?

— Ależ bynajmniej, moja droga. O, tak jest dużo lepiej — powiedział, kiedy opuściła szybę. — Czuje się to gorąco, prawda?

— Trochę.

— Jeszcze się nie przyzwyczaiłaś, to dlatego. Będzie chłodniej, kiedy dojedziemy do wybrzeża.

Cara przeciągnęła palcem wokół szyi pod kołnierzykiem. Był wilgotny.

Nie mogła czekać, aż dotrą do wybrzeża. Ponieważ Malta miała tylko nieco ponad dwadzieścia siedem kilometrów długości i czternaście kilometrów szerokości, a Marzipan Hall był usytuowany pomiędzy Mdiną i Rabatem w pobliżu centrum wyspy, dotarcie dokądkolwiek nigdy nie trwało długo. Cara na przykład co niedzielę chodziła na mszę do katedry Świętego Pawła w malutkiej Mdinie. Rabat, o wiele większy, z mnóstwem restauracji i dwoma kinami, był miejscem, gdzie spędzała większość wolnych godzin, chyba że złapała okazję do Valletty, stolicy wyspy.

Po dziesięciu minutach już jechała

Mediterranean Street na obrzeżach Valletty. Chłodna bryza rozwiewała jej włosy. Powietrze pachniało solą i świeżością.

W Wielkim Porcie stała dziwaczna mieszanina statków, począwszy od ponurych, szarych okrętów wojennych, zardzewiałych łodzi towarowych i jaskrawo pomalowanych kutrów rybackich — aż do eleganckich jachtów, kołyszących się leniwie na czystej, błękitnozielonej wodzie.

Droga zakręcała i mijali właśnie pałac Świętego Elma, kiedy kapitan Bradford poprosił Carę, by zatrzymała się z dala od drogi, przed małą kawiarenką, którą właśnie otwierano. Młody kelner o

wyglądzie gwiazdora filmowego
wystawiał na zewnątrz stoliki i krzesła.

231

— Mam tu spotkanie, Caffrey; na pewno
nie skończy się przed dwunastą w
południe.

— Czy mam wtedy tu przyjechać i
zabrać pana z powrotem, sir? —

Spojrzała na zegarek: była za
dwadzieścia pięć jedenasta.

— Pokręć się tu gdzieś, moja droga, to
raptem półtorej godziny.

Pozwiedzaj trochę — i zdejmij kurtkę.

Dobrze ci radzę, bo inaczej roztopisz się przez ten czas.

— Dziękuję, sir.

Kapitan zniknął we wnętrzu kawiarni. Cara zaparkowała wóz, z radoś-

cią zdjęła kurtkę i podwinęła rękawy koszuli — właściwie wolno było to robić dopiero w lecie. Poszła z powrotem w stronę portu pełnego rybaków, kupiła sobie kawę i usiadła na murku, obserwując rozładunek porannego połowu, chociaż nie znosiła widoku biednych ryb, rzucanych na wijące się srebrne sterty, podnoszących głowy w rozpacz, by złapać ostatni oddech.

Rybacy przyglądali się jej z zaciekawieniem. Była tak inna niż tutejsze kobiety: wysoka, ze złotorudymi włosami, a co najważniejsze, nosiła mundur, podczas gdy Ich kobiety były na ogół niskie, ciemnowłose i ubrane jak wieśniaczki.

Malta to był zupełnie inny świat. Cara w dalszym ciągu dopiero się do niego przyzwyczajała, podobnie jak do temperatury.

Teraz, kiedy słońce grzało jej plecy, niebo było jak błękitny aksamit, bez chmur na horyzoncie, a morze bez jednej zmarszczki szumiało jak jedwab, Cara zastanawiała się, jak też może być tego ranka w Liverpoolu.

W ostatnim liście, wysłanym dwa tygodnie temu, mama pisała, że pogoda jest prawie tak samo brzydka jak podczas Bożego Narodzenia: „co rano na parapecie leży śnieg”. Cara zadygotała na samą myśl o tym, równocześnie jednak pomyślała, że chciałyby teraz siedzieć przy trzeszczącym na kominku ogniu, w domu przy Shaw Street, takim miłym i przytulnym, z filiżanką gorącej herbaty w dłoni...

Marzenie powoli zniknęło, Cara wyciągnęła przed siebie nogi do słońca i znów się rozmarzyła. Ach, jak by to było cudownie nie mieć na sobie tych

grubych pończoch koloru khaki i móc się opalać.

Przyszło jej nagle do głowy, że teraz wie o świecie dużo więcej niż choćby jej matka. Mama podróżowała tylko raz, z Irlandii do Liverpoolu, i tam już została; właściwie nigdy nie opuszczała miasta — z wyjątkiem kilku dni spędzonych w New Brighton czy w Southport, chociaż uwielbiała nowości. Na pewno spodobałaby się jej Malta ze swoją mocno zakorze-232

nioną tradycją katolicką, tyloma świątyniami i kościołami, niekończącymi się obchodami dni przeróżnych świętych i kościelnymi uroczystościami, którym z reguły

towarzyszyły pasjonujące pokazy ogni sztucznych.

— Panienko! Hej, panienko!

Krzyki dochodziły gdzieś z tyłu. Cara się odwróciła i dostrzegła trzech marynarzy. Skakali w górę i w dół na pokładzie statku i gorączkowo machali do niej rękami. Machnęła w odpowiedzi, a tamci aż wrzasnęli z radości.

— Jak ci na imię? — wołali.

— Cara Caffrey — odkrzyknęła.

— Skąd jesteś, Cara?

— Liverpool!

Najniższy z marynarzy aż podskoczył z zachwytu.

— Ja też! Z Edge Hill! Nazywam się Ernie Thomas!

— Ja z Toxteth! Shaw Street!

— Cara, co robisz dziś wieczorem?

Wzruszyła przesadnie ramionami i rozłożyła ręce.

— Nie wiem. Mogę mieć służbę.

— A gdybyś nie miała? Spotkajmy się w Barze Świętego Patryka na Merchant Street. Po ósmej! Przyjdź z koleżanką!

— Przyjdź z dwiema koleżankami!

— Spróbuję, ale niczego nie mogę obiecać.

Odwróciła się z powrotem ze śmiechem. Nie miała najmniejszego zamiaru spotykać się z tymi marynarzami bez względu na to, czy będzie miała służbę, czy nie, ale nie chciała im zrobić przykrości. Dalej za nią wołali, kiedy przechodziła przez drogę; przypomniała sobie, że Merchant Street jest bardzo blisko i że codziennie — oprócz niedziel — jest tam targ.

Miała jeszcze ponad godzinę, zanim kapitan skończy swoje spotkanie.

Wędrowała wśród jaskrawych kramów, gdzie przede wszystkim sprzedawano jedzenie, ale też i trochę miejscowych wyrobów: złotą i srebrną biżuterię misternej roboty, ozdobne szkło, wyrabiane z wapiennej skały ozdoby. Szczególnie zachwyciły ją koronki. Już wcześniej zauważyła kobiety siedzące na progach domów i pracujące na wyściełanych podkładkach. Mamie chyba podobałby się bardzo taki obrus albo kapa na łóżko.

Ale ponieważ Cara miała przy sobie tylko kilka lirów maltańskich, na razie musiała się zadowolić dwiema wykończonymi koronką chusteczkami.

Za kwadrans dwunasta, kiedy już

obeszła cały targ, skierowała się powoli w stronę kawiarni, skąd miała zabrać kapitana Bradforda. Usiadła 233

przy stoliku na dworze i zamówiła kawę u kelnera o aparycji gwiazdora filmowego.

— Jest pani bardzo urodziwą damą — oznajmił jej, kiedy wrócił

z filiżanką parującej kawy.

— A pan bardzo pięknym mężczyzną — odparła, nie mogąc powstrzymać śmiechu, kiedy się zaczerwienił aż po korzonki włosów i czmychnął do wnętrza kawiarni.

— Takie jest życie! — szepnęła. Czuła się, jakby jej płacili za wiecznie trwające wakacje. Ukołyszana słońcem, musiała się chyba na chwilę zdrzemnąć, bo kiedy otworzyła oczy, zaskoczył ją widok młodego lotnika. Siedział

naprzeciwko niej i wyszczerzał zęby w uśmiechu.

— Wyglądała pani jak Śpiąca Królewna — powiedział. — Już myś-

lałem, żeby panią obudzić pocałunkiem, ale się zląkłem, że zamieni się pani w żabę.

Teraz z kolei Cara się zaczerwieniła.

— Jak długo pan tu jest?

— Godzinę, dwie... nie jestem pewien.

— Kłamca. — Spojrzała na zegarek. — Jestem tu dopiero od pięciu minut.

— Czeka pani na jakiegoś oficera?

— Tak, na kapitana Bradforda. — Zobaczyła, że za jej humberem koloru khaki zaparkował szary sedan.

— A ja przyjechałem po pułkownika lotnictwa, Chapmana. Mama chciała, żebym został pilotem, i teraz jest trochę rozczarowana, że jestem tylko kierowcą. Ale mam już dwa paski. No, dwie chorągiewki. Jestem kapralem. Nigdy

się nie spodziewałem, że zostanę kapralem, i jestem z tego okropnie dumny.

Wskazał dwie małe chorągiewki na rękawie, a Cara zaczęła się śmiać. Był bardzo atrakcyjny, choć może nieszczególnie przystojny. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat, a jego obcięte na zapałkę jasnobrązowe włosy chyba byłyby kręcone, gdyby je trochę zapuścił.

Oczy miał tak samo niebieskie jak ona, usta o wiele za szerokie, a jego nos wyglądał tak, jakby był kiedyś złamany, a potem źle złożony.

Musiał przebywać już jakiś czas na

Malcie, ponieważ był bardzo opalony.

— Mam nadzieję, że nie śmieje się pani z moich chorągiewek —

powiedział, udając, że go to zabolalo.

— Nie, z pana; śmieję się z pana.

234

— Więc to mój nos tak panią śmieszy? Musiałem go złamać w łonie matki. Nie mogę znaleźć żadnego innego powodu dla jego cudacznego kształtu. —

Pokręcił nos palcami, jakby go chciał wyprostować, co Carę jeszcze bardziej rozśmieszyło. — Najwyraźniej uważa mnie pani za szalenie zabawnego,

panno... — podniósł pytająco brwi.

— Caffrey, Cara Caffrey.

— A ja jestem Christopher Farthing, znany jako Kit; a gdyby pani mnie chciała nazywać Penny Farthing*, zaraz się rozpłaczę — zawsze tak płakałem w szkole. Jak się masz, Caro Caffrey?

Wyciągnął rękę na powitanie. Palce miał długie i brązowe, a uścisk tak mocny, że prawie bolesny. Cara poczuła jakieś drgnienie w piersi, uczucie czegoś, czego nie potrafiłaby opisać, może dlatego, że nigdy dotąd go nie doświadczyła.

Przytrzymał jej rękę w swojej o wiele

za długo, i być może trzymałby ją tak już zawsze, gdyby drzwi kawiarni się nie otworzyły i nie wyszedł

przez nie kapitan Bradford w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

Jeden był oficerem marynarki, drugi w szaroniebieskim mundurze Królewskich Sił Powietrznych RAF.

Dłoń Cary odzyskała wolność, Kit Farthing zerwał się na równe nogi i zasalutował, Cara zrobiła to samo. Niekiedy czuła się przy tym jak diabełek wyskakujący z pudełka.

— Spotkamy się znowu, prawda? — szepnął Kit, kiedy szli w stronę

samochodów.

— Mam nadzieję — odparła Cara.

Po odstawieniu kapitana Bradforda do Marzipan Hall Cara zaparkowała wóz i szła właśnie do warsztatu, kiedy wpadła nieoczekiwanie na Sybil Allardyce, która akurat stamtąd wychodziła. Oczywiście się zwięziły. Powiedziała chłodno:

— Powinnam cię za to ukarać, Caffrey.

Cara jęknęła w duszy, dość niezdarnie salutując.

— Za co, madame?

— Za zdjęcie kurtki i zawinięcie

rękawów koszuli.

Już od tego dnia w Bedford, kiedy Sybil zażądała, aby jej salutować, a one odmówiły, ponieważ nie była w mundurze, Sybil czuła do Cary

* Farthing — moneta brytyjska o wartości ćwierć pensa.

235

i Fielding żywą urazę. Bezustannie czepiała się obu dziewczyn, nie dostrzegając, że zwykle sama się wtedy kompromituje, zwłaszcza jeżeli chodziło o Fielding.

Prawdziwe nieszczęście, że wszystkie

trzy znalazły się na Malcie.

— Kapitan Bradford polecił mi zdjąć kurtkę, madame.

Cara zrywała się na siebie w duchu, że nie włożyła wcześniej kurtki, ale kiedy wracała do bazy, miała w głowie coś o wiele ważniejszego, coś o kształtach młodego lotnika o cudownym imieniu Kit.

— Nie miał prawa! — warknęła Sybil.

— A w ogóle to dlaczego byłaś tam tak długo? Chyba aż dwie i pół godziny!

— Kapitan kazał mi czekać na siebie, madame.

— Do tego też nie miał prawa.

Odmaszerowała, jak zwykle z poczuciem, że znowu się skompromitowała.

Stacjonowała w Marzipan Hall. Była oficerem odpowiedzialnym za transport, a ściśle mówiąc — musiała dopilnować, żeby wszystkie pojazdy miały regularne przeglądy, żeby zawsze było dość paliwa w dystrybutorach i części zamiennych do drobnych napraw w warsztacie. Zamówienia kierowców również przechodziły przez jej biuro, dopiero stamtąd trafiały do kaprała Culpeppera, którego biuro mieściło się w warsztacie, tuż obok damskiej toalety. Na swoje nieszczęście dziewczęta, które

się tam udawały, musiały przechodzić przez jego pomieszczenie i były zdane na łaskę jego nieznośnych łap.

— Twoja przyjaciółka cię szukała. Wyglądała tak, jakby lada chwila miała dostać apopleksji — rzekła Fielding, kiedy Cara weszła do ciasnego pomieszczenia. Była tam jeszcze jedna dziewczyna, Adele Morgan, teraz pogrążona w lekturze. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do Cary.

— Fielding, ile razy mam ci powtarzać — powiedziała Cara łagodnie

— że Sybil Allardyce nie jest żadną moją przyjaciółką! — Rzuciła się na krzesło. — Przyniosłam ci pe-re-zen-

cik.

— Co to jest pe-re-zen-cik?

— Prezent. — Cara Wyjęła z kieszeni koronkową chusteczkę. — Sobie też taką kupiłam. A teraz słuchaj, Fielding... Żebyś mi pod żadnym pozorem nie ważyła się wydmuchiwać w nią swojego malutkiego noska.

Ta chusteczka ma być tylko na wielkie okazje.

Fielding dygnęła w podzięcie, wzięła chusteczkę i zaraz urządziła przedstawienie, udając, że rzewnie płacze i ociera nią łzy.

— O kurczę blade, madame — szlochała (ostatnio nabrała zwyczaju mówienia amerykańskim slangiem). — Alem wzruszona! Naprawdę! Zt też pomyślałaś o mnie, starej!

Cara jęknęła.

— Nigdy nie zrozumiem, jak to możliwe, że moja najlepsza przyjaciółka jest jakąś tam aktorką!

— Jestem, Caffrey? Naprawdę jestem twoją najlepszą przyjaciółką '

Fielding spojrzała na Carę z przejęciem.

— Pewnie, że jesteś.

— Kocham cię, Caffrey. — Jej śliczna, figlarna twarzyczka nagle spoważniała.

Cara popatrzyła na nią niepewnie. Nigdy nie wiedziała, kiedy Fielding udaje, a kiedy mówi poważnie. Ale ponieważ naprawdę kochała tę nieznośną, niepoprawną, rozświergotaną osobkę tak bardzo, jakby była jej rodzoną siostrą, już miała odpowiedzieć: „I ja cię kocham”, kiedy Fielding nagle oświadczyła ponurym głosem:

— Kiedy ta wojna się skończy, chciałabym, żebyśmy wzięły ślub i miały dużo dzieci.

— Och, ty! — Cara rozejrzała się za poduszką, którą mogłaby w nią rzucić, ale nie znalazła żadnej. Fielding była chyba najczęściej obrzucaną poduszkami osobą na świecie. — Jestem głodna — powiedziała zamiast tego Cara.

— Może ci dam kanapkę — albo sznytkę? Nie jestem pewna, jak to się nazywa — powiedziała jej dręczycielka.

— Ja też nie, ale daj jedną — i coś zimnego do picia.

Wielkim plusem Marzipan Hall było to, że w kantine obsługiwano gości od rana do późna w noc.

— Coś dla ciebie, Morgan?

— Może być coś zimnego, dziękuję.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — wyrecytowała Fielding i wychodząc, złożyła głęboki ukłon.

— Czy ona nie jest czasem trochę pomyłona? — spytała Morgan. Była rozmarzoną, walijską dziewczyną, wiecznie z głową w książce.

— Nie, chyba nie.

— I naprawdę była aktorką tam, w kraju?

— Tak. Podobno w Londynie, w teatrze na West Endzie.

— Aha, rozumiem. Pewnie to wszystko tłumaczy. — Morgan wróciła do swojej książki.

237

Fielding miała prawdziwy dar irytowania Bogu ducha winnych ludzi, ale też była niewątpliwie najbardziej interesującą osobą, jaką Cara kiedykolwiek poznała.

Cieszyła się, że ma taką przyjaciółkę.

Sybil zgrzytała ze złości zębami, idąc z powrotem do biura. Myślała o tym, żeby spytać kapitana Bradforda, czy rzeczywiście dał Carze pozwolenie na zdjęcie kurtki i czy poprosił, by na niego

zaczekała w Valletcie, po namyśle uznała jednak, że to byłoby raczej głupie; poza tym mógłby dojść do wniosku, że Sybil kwestionuje jego decyzje. Kapitan chyba zapalał sympatią do Cary, bo zawsze kiedy potrzebował kierowcy, prosił, żeby to była właśnie ona.

Sybil nigdy nie miała zapomnieć tego pierwszego dnia w Bedford.

Czuła się wspaniale i była taka z siebie dumna, a tu jej pierwszy dzień kompletnie zrujnowały Cara, Fielding i ta trzecia kobieta, której nigdy już później nie widziała. Wystarczyło, że przymknęła oczy, a zaraz słyszała ich niepohamowany śmiech. I teraz nadal się

z niej śmiały, chociaż to może tylko wyobraźnia płatała jej takie figle, ale zawsze kiedy odchodziła, słyszała ich chichot.

Siadła za biurkiem, wciąż gotując się ze złości, kiedy porucznik Alec Townsend wsunął głowę przez drzwi. Sybil natychmiast zapomniała o Carze i Fielding.

— Dziś wieczór aktualne? — spytał.

— Ależ tak, oczywiście — twarz się jej rozjaśniła.

— Najpierw drink, potem kino, na końcu kolacja — rzucił energicznie.

— Pasuje?

— Wygląda na to, że wszystko już zorganizowałeś, no, no... bardzo mi to odpowiada — odparła Sybil z podziwem. — Jedziemy do Rabatu czy do Valletty?

— Do Rabatu. Właściwie możemy się tam przespacerować, nie będziemy musieli organizować transportu.

— Wiesz, jaki grają film?

— Jakiś stary musical z George'em Raftem i Alice Faye: Every Night at Eight*. Mam nadzieję, że jeszcze go nie widziałaś.

* Every Night at Eight (Co wieczór o ósmej) — amerykańska komedia muzyczna z 1935 roku, reż. Raoul Walsh.

238

— Nie. A poza tym uwielbiam George'a Rafta.

— A ja znów uważam, że Alice Faye to po prostu szczyt doskonałości, więc powinniśmy się dobrze bawić.

— Z pewnością.

Alec mrugnął do niej i zamknął za sobą drzwi.

Nie był zbyt atrakcyjny. Niewysoki i raczej okrągłutki, o nijakiej twarzy i nieposkromionym poczuciu własnej ważności. Miał dwadzieścia cztery lata i zanim dostał powołanie do wojska, był prawnikiem w firmie swojego ojca. Dziś wieczorem mieli pierwszy raz wyjść gdzieś razem. Sybil niespecjalnie za nim przepadała, ale z dwojga złego wolała już randkę z mężczyzną, nawet nie bardzo przez nią lubianym, niż męczenie się przez cały wieczór w tłumie głupkowatych dziewczuch.

Flirt był o wiele przyjemniejszym sposobem spędzania czasu niż plotkowanie, poza tym Sybil gardziła wyłącznie damskim towarzystwem.

Owe spotkania nie były dla niej ani produktywne, ani przyjemne, dlatego konsekwentnie odmawiała, gdy kobiety oficerowie zapraszały ją na obiad czy na drinka albo do kina; wolała już zostać w pokoju i czytać książkę, jeśli akurat nie było pod ręką jakiegoś mężczyzny.

Właściwie nie miała żadnych przyjaciółek; no, może prócz Betsy Billington-Clarke, która bywała czasem bardzo przydatna, a poza tym miała przystojnego brata... ale Betsy była wyjątkiem.

Sybil zastanawiała się niekiedy, co powiedzieliby mamusia i tatuś, gdyby wiedzieli, co wyprawiała ich jedynaczka, kiedy jeszcze była w

londyńskiej szkole. W weekendy uczennice mogły robić to, na co miały ochotę. Sybil zwykle chodziła do baru w jednym z najlepszych hoteli na West Endzie i pozwalała się podrywać. Z dobrym skutkiem. Mężczyźni uważali ją za niezwykle pociągającą, zwłaszcza w skromnym mundurku pensjonarki. To właśnie jeden z tych panów zabrał ją na rewię, w której występowała Fielding. Potem wrócili do hotelu i Sybil się z nim przespała.

Teraz w każdej chwili przespałaby się z Alekiem Townsendem. Podobało jej się takie zakończenie wieczoru, a z kobietą to nie byłoby przecież możliwe!

Cara wpatrywała się czarny, błyszczący

od smaru silnik ciężarówki, próbując wydedukować, dlaczego nie zapala, kiedy jakiś głos powiedział:

— Jeden z przewodów aparatu zapłonowego się obłuzował.

— Sama to już zauważyłam — odparła szorstko.

239

Odwróciła się i ujrzała Kita Farthinga, który razem z nią przypatrywał się silnikowi; i znowu, tym razem jednak ze zdwojoną siłą, wróciło to dziwne, nieokreślone uczucie, które przeżyła pierwszy raz, kiedy podawali sobie ręce.

— Och, to ty! — bąknęła, dotykając mimowolnie zawiązanego z chustki turbanu. Zżymała się w duchu, że nie ma na sobie czegoś bardziej atrakcyjnego — i kobiecego — niż powalany smarem kombinezon, którego nogawki były w dodatku za krótkie.

Tymczasem Kit wyglądał bardzo elegancko i schludnie w wyprasowanym porządnie mundurze. Włosy trochę mu już odrosły i zaczęły się lekko podkręcać. Był bardzo szczupły, niemal chudy i co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od niej. Czowała się dziwnie, kiedy tak patrzył na nią z góry.

— Co tu robisz? — zapytała.

— Mój szef polecił mi zawieźć twojemu szefowi maszynopis z zebrania.

A kiedy już wykonałem swoje zadanie, pomyślałem, że poszukam swojej Śpiącej Królowy i powiem jej dzień dobry.

— Dzień dobry. — Język miała przyschnięty do gardła.

— Dzień dobry, Cara. — Głos Kita brzmiał zupełnie normalnie, więc na pewno nie robiła na nim takiego wrażenia, jak on na niej, chociaż na jego sympatycznej, niemal brzydkiej twarzy był jakiś wyraz... równie nieokreślony jak to, co ona czuła w piersiach. —
Może będziesz miała niedługo przerwę?

— A która jest godzina? — Zapomniała, że ma zegarek.

Spojrzał na swój.

— Dochodzi jedenasta.

— O wpół do dwunastej mam przerwę na napicie się czegoś.

— To może się wtedy przejdziemy?

Cara spuściła oczy.

— Dobrze.

— A nie zapomnij podłączyć przewodu do zapłonu — przypomniał, kiedy miała już zamknąć maskę ciężarówki.

Całkiem jej to z głowy wyleciało.

Ciężarówki, silniki, ich rozmaite części... Wszystko to teraz już się dla niej nie liczyło.

Miał dwadzieścia jeden lat i pochodził z Lancaster, jak jej powiedział

podczas krótkiej przechadzki. Szli jałową okolicą w kierunku Marzipan Hall.

240

— To stolica hrabstwa Lancashire i w sumie niedaleko od Liverpoolu.

— A co tam robiłeś? — spytała.

Ona zdążyła już mu opowiedzieć, że pracowała w drogerii Bootsa, opowiedziała też o rodzinie i o domu na Shaw Street.

— Byłem bibliotekarzem. Kocham książki — rzekł po prostu. —

Zawsze chciałem pracować z książkami. Kiedy się pomyśli o wszystkich tych informacjach, które się w nich znajdują, o historiach, które opowiadają, o tym, ile czasu i zaangażowania pochłonęło ich pisanie, o przyjemności, jaką dają, jak wiele mogą przynieść dobrego...
Nauczyć ludzi wszystkiego

— począwszy od tego, jak naprawić samochód, aż do zrozumienia teorii

względności Einsteina i... och, tyłu, tyłu
innych rzeczy. — Przerwał

i spojrzął na nią dość niewyraźnie. —
To, co mówiłem, też brzmiało trochę jak
z książki. Za dużo o tym gadam.

— Nie, wcale nie. — Dzięki niemu
spojrzała na książki z zupełnie innej
strony. — Muszę przyznać, że w ogóle
nie wyglądasz na biblio-tekarza.

— Och, proszę, tylko nie mów, że
wzięłaś mnie za boksera! — oburzył

się. — Albo za zawodnika rugby. To
wszystko przez ten przeklęty nos!

W szkole unikałem rugby jak zarazy. Nie

znoszę gier, w których ktoś może mi zrobić krzywdę. — Żałośnie pociągnął nosem. — Nie jestem ani w połowie takim twardzielem, na jakiego wyglądam.

Cara parsknęła śmiechem.

— Cieszę się. Zdecydowanie wolę bibliotekarzy od bokserów. — Nigdy już mu nie powie, że wygląda dużo bardziej na tego drugiego niż na pierwszego.

Dotarli do Marzipan Hall.

— Napijesz się czegoś? — spytał. — Kapitan Bradford polecił mi pójść do kasyna i wziąć sobie piwo na jego rachunek. Porządny z niego staruszek,

nie sądzisz?

— Naprawdę miły — przytaknęła Cara.
— Obawiam się jednak, że nie mogę tam wejść w kombinezonie. — Już wcześniej zdjęła z głowy turban i rozczesała grzebieniem włosy, ale nie zdążyła się przebrać. —

Tak czy owak powinienam już chyba wracać.

— Zobaczymy się znowu? Dziś wieczorem mam wolne.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, z odrobiną niepokoju i trochę nerwowo, mogła wywnioskować, że to zaproszenie, choć pozornie niedbałe,

rzucone mimochodem, było dla niego tak samo ważne jak dla niej.

241

— Ja też jestem wolna — powiedziała.

— Wobec tego przyjdę po ciebie koło siódmej — rzekł z przejęciem. —

Myślę, że uda mi się skombinować jakiś wóz. Pojedziemy do Rabatu.

Chciałabyś iść do kina czy coś zjeść?

— Wolałabym coś zjeść.

— No! A przy jedzeniu będziemy mogli porozmawiać.

Wziął ją za rękę. W chwili gdy doszli z powrotem do miejsca, gdzie Cara pracowała, była już absolutnie pewna, że jest zakochana w Kicie Farthingu i że on — co zresztą powiedział jej miesiąc później — zakochał

się w niej, zanim jeszcze się do niej odezwał.

— Kiedy tak siedziałś przed kawiarnią i spałaś, moja ty Śpiąca Królewno, moja jedna jedyna Caro, a z twoich cudownych usteczek wydobywało się takie rozkoszne pochrapywanie w tym nieludzkim skwarze południowego słońca...

— Nigdy w życiu nie chrapałam! —

zaprotestowała.

— Ależ tak, chrapałaś — upierał się. —
Było cię słychać na kilometr.

Kiedy się pobierzemy, będziemy musieli
mieć osobne pokoje, inaczej nie zmrużę
oka.

Cara przyjęła ze spokojem tę wzmiankę
o małżeństwie.

Tak właśnie się działo podczas wojny,
kiedy nie było się pewnym, gdzie się
będzie za tydzień o tej samej porze, a
nawet czy się będzie jeszcze wtedy żyło.
Niepewność jutra, świadomość
niebezpieczeństwa wzniecały w
ludziach potrzebę pośpiechu, tak iż

decyzje, które normalnie wymagałyby tygodni, podejmowało się w ciągu godziny, a zaloty, ciągnące się w mniej gorączkowych czasach przez cały rok, teraz trwały najwyżej miesiąc. Każdy chciał wiedzieć, na czym stoi.

Na razie Malta była oazą spokoju i ciszy, chociaż często odbywały się tu ćwiczenia na wypadek nalotów. Wtedy włączano syreny i wszyscy musieli biec do podziemnych schronów.

Ale tak nie miało być zawsze. Mała wysepka stanowiła podstawową bazę zaopatrzeniową pomiędzy Europą a Afryką Północną, gdzie gromadziły się wojska obydwu stron, szykując się do wielkich bitew. Hitler nie będzie

przecież siedział beczynnie i pozwalał aliancom na za-trzymanie tej — jakże ważnej strategicznie — pozycji. W każdym razie nie bez walki.

Tak czy inaczej, Carze wydawało się całkowicie naturalną rzeczą zaręczyć się z Kitem, dochować mu wierności aż do końca wojny (panowała powszechna opinia, że to się wydarzy w ciągu tego roku), wreszcie 242

wyść za niego za mąż i osiedlić się gdzieś pomiędzy Liverpoolem a Lancaster, tak żeby łatwo im było odwiedzać obie rodziny; Kit miał

brata i dwie siostry, no i oczywiście mamę i tatę.

No i mieć dzieci. Cara chciała mieć czworo — dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Głęboko wciągnęła powietrze w płuca, tak upojnie szczęśliwa, że prawie nie mogła o tym myśleć. Teraz wiedziała już, czym jest to dziwne uczucie, które rozpierało jej piersi — to szczęście, związane z miłością do Kita. Była pewna, że to uczucie nigdy jej nie opuści.

Sybil zobaczyła ich kiedyś razem w jakiejś kawiarni w Rabacie. Byli tam w towarzystwie Fielding i jakiegoś lotnika z RAF-u, szczupłego i chłopięcego, a przy tym wyjątkowo przystojnego. Ta para wydawała się bardzo rozbawiona, śmiali się z czegoś serdecznie.

Natomiast ta druga — Cara i jej towarzysz — sprawiali wrażenie wpatrzonych wyłącznie w siebie. Rozmawiali cicho, od czasu do czasu się uśmiechali i trzymali za ręce nad stolikiem. Co jakiś czas mężczyzna podnosił dłoń Cary do ust i ją całował. A ten wzrok, jakim się w nią wpatrywał — a ona w niego!

Było jasne, że są w sobie śmiertelnie zakochani. Mężczyzna nie był ani trochę przystojny, a jednak było w nim coś, w jego twarzy — Sybil początkowo nie była sobie w stanie uzmysłwić, co to takiego — coś szlachetnego, dobrego, jak uznała, a przede wszystkim szalenie roman-tycznego. Chyba musiał być

cudownym kochankiem. Była ciekawa, czy on i Cara już ze sobą spali.

— Mówię ci, że ten krab jest przepyszny — zauważył Alec Townsend. — Jak sądzisz, kochanie?

— Przepyszny — mruknęła Sybil.

W ostatnim czasie Alec strasznie jej działał na nerwy. Był taki nudny.

Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek powiedział coś choć odrobinę interesującego. Najchętniej rzuciłaby go w diabły i zaczęła się spotykać z kimś innym — na przykład z tamtym porucznikiem, Johnem Gloverem, który kiedyś zaprosił ją na

kolację.

Sybil odsunęła kraba i zaczęła wiercić się niecierpliwie na krześle.

Wolałaby, żeby wysłali ją w jakieś bardziej ekscytujące miejsce. Podobnie jak Alec, Malta wydawała się jej koszmarnie nudna. Nic się tu nie działo.

Spojrzała na restaurację wypełnioną gromadą żołnierzy i kobiet. Pośrodku było miejsce dla tańczących. Kilka par wstało od stolików i tańczyło do 243

muzyki niewielkiego zespołu, grającego I'm in the Mood for Love*. To była piosenka z filmu, który oglądała razem z Alekiem, kiedy pierwszy raz umówili

się na randkę. W tym wykonaniu brzmiała bardzo amatorsko, tak jakby ten dansingowy band nie potrafił grać tego typu muzyki. Sybil zauważyła, że Cara i jej chłopak przenieśli się na parkiet i teraz poruszali się na nim bardzo powoli, jak w transie, spleceni ramionami, wtuleni w siebie, jakby byli jednym ciałem.

Nie wiadomo dlaczego, Sybil poczuła nagle, że ma łzy w oczach. Tego właśnie pragnęła — żeby ktoś ją kochał. Nie w taki zaborczy, dławiący sposób, w jaki ją kochał tatuś, ani tak obojętnie jak matka, która ją opuściła i naprawdę zależało jej tylko na Jonathanie, ale tak jak ten młody lotnik kochał Carę.

Raz w miesiącu Cara miała wolny cały weekend. Ona i Fielding na ogół starały się zamieniać z innymi dziewczętami, żeby ten czas relaksu spędzać razem. Jak dotąd ich wolne weekendy były rzeczywiście na wskroś relaksacyjne — obie dziewczyny leżały do południa w łóżkach, a potem snuły się po wiejskim domu, w którym mieszkały. Ostatnio jedna drugiej ostrzygła włosy, ponieważ upinanie ich w kok czy splatanie warkoczy było prawdziwym utrapieniem — w myśl regulaminu włosy nie mogły dotykać kołnierzyka. Prócz tego chodziły do kina w Rabacie i wędrowały po ulicznych targowiskach albo jechały do Valletty i tam robiły dokładnie to samo.

W maju, kiedy Cara wspomniała Kitowi o nadchodzącym weekendzie, powiedział:

— A gdybym i ja spróbował sobie załatwić wolny weekend, może pojechalibyśmy wtedy na parę dni na Gozo? Promem to przecież tylko pół godziny.

Gozo było małą wyspą na północ od Malty.

— Byłabym zachwycona, ale czy Mac też mógłby pojechać do towarzystwa Fielding? Nie mogę jej tak po prostu zostawić.

Peter McShane był najlepszym kolegą

Kita, nazywali go Mac. Niewysoki i uderzająco przystojny, pochodził z Newcastle i był szczęśliwym mężem

* I'm in the Mood for Love (Jestem w nastroju do miłości) — piosenka z filmu Every Night at Eight z 1935 roku, bardzo popularna, śpiewana m.in. przez Mae West, Franka Sinatrę, Doris Day, Barbrę Streisand i innych.

244

i ojcem dwójki dzieci. Przed wojną pracował w sklepie, a z Kitem zaprzyjaźnił się dzięki ich wspólnej miłości do książek.

Teraz często wychodzili we czwórkę.

Stosunek Maca i Fielding był na wskroś platoniczny, ale mieli to samo przewrotne poczucie humoru.

Śmieszyły ich rzeczy, których normalni ludzie nie uważali za ani trochę zabawne.

Kit pocałował Carę w nos.

— Jeśli to oznacza, że nie pojedziesz bez Fielding, będę musiał po prostu zabrać Maca, choćbym miał go przedtem związać i zakneblować.

Maca nie trzeba było ani wiązać, ani kneblować. Kiedy w sobotę wczesnym rankiem obaj panowie przyjechali na starych, skrzypiących rowerach, które

nie wiadomo skąd wygrzebali, Mac wyglądał na równie spiętego jak Kit. Pewnie się zastanawiał, co też może wydarzyć się w ten weekend... Cała czwórka pierwszy raz była ubrana po cywilnemu: męż-

czyźni w szarych flanelowych spodniach, bawełnianych koszulach z krótkimi rękawami firmy Aertex* i w sportowych marynarkach; Cara w swojej czerwonej sukience i białym zapinanym sweterku. Fielding miała na sobie ściągana w pasie bluzkę i spódniczkę w stylu austriackiego dirndl**, w czym udało się jej wyglądać na jeszcze mniejszą, niż była w rzeczywistości.

Czekali przy drodze na autobus do Gozo. W taki piękny majowy poranek, kiedy powietrze musowało jak szampan i pełne było zapachów kwiatów, pokrywających barwnym kobiercem otaczające ich pola, trudno było nawet uwierzyć w to, że trwa wojna, że przedwczoraj Winston Churchill zastąpił Neville'a Chamberlaina na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii, że wczoraj Niemcy napadły na Holandię, Belgię i Luksemburg, że w tej chwili w całej Europie trwają bezlitosne walki.

Przyjechał miniaturowy, jednopoziomowy autobusik, zapełniony przeważnie starszymi kobietami przyodzianymi w długie czarne stroje.

Zapewne wstały o świcie, ponieważ były obładowane koszami owoców i jarzyn z targu w Rabacie. Cara i Fielding zajęły ostatnie wolne siedzenia, Kit i Mac musieli stać.

* Aertex — założona w 1888 roku w Manchesterze fabryka męskich koszul i bielizny, istnieje do dzisiaj.

** Dirndl — tradycyjny austriacki i niemiecki strój ludowy, złożony z bluzki z bufkami, gorsetu, marszczonej spódnicy i fartuszka.

245

Do ekranu za plecami kierowcy był przymocowany niewielki obrazek

przedstawiający Jezusa, w ramkach w kształcie serca, z małym pojemniczkem na święconą wodę pod spodem. Kiedy autobus się zatrzymywał, żeby wpuścić jednych pasażerów (zwykle stare kobiety), a drugich wypuścić,

ci, ci zanurzali palce w naczynku i robili znak krzyża.

Cara pomyślała, że wygląda to bardzo ostentacyjnie. Ona sama wolała mieć swoją religię w duszy, a nie afiszować się nią.

Do autobusu wsiadł młodziutki ksiądz, chyba nawet nie dwudziesto-latek. Kobieta siedząca na przednim siedzeniu, która wyglądała na dziewięćdziesiąt lat,

natychmiast się poderwała i ustąpiła mu miejsca.

Usiadł, lekko skinąwszy jej głową.

Fielding głośno parsknęła, wstała i wskazała staruszce swoje miejsce.

Tamta, zanim usiadła, zerknęła nerwowo w stronę księdza.

W tym zatłoczonym i hałaśliwym autobusie było piekielnie gorąco.

Mac palił (w ogóle palił bardzo dużo) i powietrze zrobiło się tak gęste, że trudno było oddychać. Cara poczuła, że ogarnia ją senność. Jechali wąskimi, pustymi drogami, mijali maleńkie wioski; w każdej z nich królował ogromny kościół. Kit położył rękę na

oparciu jej siedzenia, tak że czuła kostki jego palców na swojej szyi. Do tej pory nie wspomniała o nim ani mamie, ani tacie, chociaż byli właściwie zaręczeni. Cara wiedziała, że mama chciałaby koniecznie wiedzieć, czy Kit jest katolikiem, a tata na pewno zacząłby wypytywać o jego poglądy polityczne — i bez końca drążyłby temat. Ponieważ Kit był ateistą i nie miał czasu na politykę żadnej z partii, oboje rodzice nie byliby zadowoleni z jej wyboru, a Cara nie zamierzała się wdawać w gorące dyskusje listowne, dlatego powinna czy też nie powinna za niego wychodzić.

Schylił się i powiedział:

— Zaraz będziemy na miejscu. —
Poczuła jego wargi na swoich włosach.

Palce Kita pieściły jej szyję. Spojrzała na niego w górę i uśmiechnęła się.

— Kocham cię — wymówił bezgłośnie.

— I ja cię kocham. — Powiedziała to tak cicho, że nie była pewna, czy usłyszał. Oboje wiedzieli przecież, jak bardzo się kochają, mimo to jednak nadal to sobie mówili.

Cara była ciekawa, czy na Gozo straci dziewictwo z Kitem. Nie omawiali tego wprawdzie, ale czuła, że to się może stać, i aż ciarki ją przechodziły. Była to mieszanina oczekiwania i lęku. Mogli

tam spędzić tylko jedną noc, bo już w poniedziałek z samego rana musieli się stawić 246

na służbie, wszelako to mógł być punkt zwrotny w jej życiu. Moment, w którym przestanie być dziewczyną, a stanie się kobietą.

Autobus zatrzymał się w Cirkewwa, skąd odpływały promy na Gozo; reszta pasażerów wysiadła, ich miejsce natychmiast zajęli wysiadający z promu, który właśnie przybił do brzegu. Mac kupił cztery piwa, żeby mogli trochę zwilżyć wyschnięte gardła (nieważne, że piwo było ciepłe), po czym wsiedli na prom, z przyjemnością wdychając ostre i rześkie powietrze i

ciesząc się łagodnym kołysaniem promu, który po trzydziestu minutach dowiózł ich na Gozo. Błękitna woda, czysta jak brylant, przypominała Carze pierścioneek przysłany jej przez Louise Appleton; w głębinie widać było beztrosko pływające ryby najrozmaitszych rozmiarów i kolorów. Jedna podpłynęła do niej tak blisko, że Cara aż się cofnęła przestraszona, ale to było tylko odbicie mewy nurkującej w wodzie, uderzającej w nią z pluskiem i wzbijającej w górę pianę.

Fielding powiedziała, że czuje się tak, jakby uciekła z więzienia, i nie przejmuje się tym, że za dwa dni u znowu tam trafi.

— Zanim to nastąpi, mam zamiar się bawić jak nigdy w życiu. Jest wojna, więc kto wie, kiedy znów trafi się nam taka okazja?

Mac rzucił tylko: „Święta racja!”, a Cara i Kit spojrzeli na siebie bez słowa.

Victoria, stolica Gozo, jest cytadelą na szczycie wzgórza; jej mury, liczące czterysta lat, sterczą pośrodku wyspy niczym gigantyczna świeca.

Na jednej z wąskich uliczek tworzących poplątany labirynt znajdował się tani hotel polecony im przez Maca. Upłynęło trochę czasu, zanim go znaleźli, nawet za pomocą mapy. Dom z płaskim frontonem w szeregu podobnych budynków mieścił

się w łukowatym zaułku, do którego prowadziły schodki o niziutkich stopniach. Właścicielka, uśmiechnięta, obwieszona biżuterią dama w długiej kwiecistej sukni, dobrze mówiła po angielsku i była nawet w stanie zrozumieć Maca z jego akcentem z okolic Newcastle. Większość Maltańczyków znała angielski tylko pobieżnie, chociaż wyspa była od ponad stu lat kolonią Wielkiej Brytanii.

Mac zarezerwował na tę noc dwa pokoje. Dwuosobowe. Cara nie była pewna, czy ma być zadowolona, czy rozczarowana, wyglądało bowiem na to, że Kit nie zamierza wcale z nią spać. Doszła do wniosku, że czuje po trosze i

jedno, i drugie.

247

— Co do mnie, chciałbym się umyć i zmienić koszulę — oznajmił Mac, kiedy już uzgodniono warunki.

Po paru minutach mężczyźni zniknęli, a Cara i Fielding weszły do swojego pokoju na parterze. Z grubsza gipsowane ściany były pomalowane na biało, a kamienna podłoga miała barwę karmelu. Z każdej strony podwójnego łóżka, pokrytego koronkową białą kapą, leżał jaskrawy dywanik. Zastłony w oknach też były białe, a na ścianie wisiał czarny krucyfiks z mosiężną figurą Chrystusa.

— Miło tu i chłodno. — Fielding rzuciła się na łóżko. — Trochę mi to przypomina klasztorną celę. To się nazywa „cela”, prawda, Caffrey, tam gdzie śpią zakonnice?

— Nie pamiętam, ale jestem pewna, że tam nie ma koronkowych kap na łóżkach.

Popołudnie spędziły całkiem miło, spacerując leniwie po ulicach Gozo, pełnych rozsypujących się średniowiecznych budynków, muzeów i sklepów z miejscowymi wyrobami; od czasu do czasu, kiedy już trzeba było naprawdę uciec od palącego słońca, wpadały na energetyzującą filiżankę kawy albo szklaneczkę wysokoprocentowego maltańskiego

wina. Na ulicach było zaskakująco dużo ludzi, wielu wojskowych, podobnie jak one. Teraz, kiedy Cara wiedziała, że zakończy ten weekend „niezmienio-na”, a więc jako dziewica, napięcie, które przedtem odczuwała, wyraźnie zelżało. Od razu poczuła się swobodniej.

O szóstej dziewczęta wróciły do hotelu, żeby odpocząć i wreszcie się przebrać. Kit i Mac zostali w barze, obiecując czekać na nie mniej więcej za godzinę.

— Żebyście mi się tylko nie wazyli sobie podchmielić! — zastrzegła groźnie Fielding.

— Jakżebyśmy mogli! — odparł Mac zboliałym głosem.

Kiedy weszły do pokoju, Cara zrzuciła sukienkę i położyła się zmordowana na łóżku. Zauważyła srebrzystą sukienkę z gazy, wiszącą na drzwiach szafy. Bez rękawów, z halką w tym samym kolorze, miała przepięknie wyhaftowany srebrną nicią dekolt i dół sukni. Cara nigdy przedtem nie widziała Fielding w tym stroju.

— Śliczna! — zawołała. — To znaczy, sukienka.

Jej własny dwuczęściowy komplet ze sztucznego jedwabiu z magazynu C&A wyglądał przy tej szalowej kreacji dość bezbarwnie.

— Nosłam tę sukienkę w jednym

spektaklu i kiedy zszedł z afisza,
pozwolili mi ją zatrzymać. — Fielding
myła się teraz od stóp do głów 248

flanelową szmatką. Jej drobne ciało
było bardzo zgrabne, piersi
przypominały małe różyczki, a niedawno
ostrzyżone blond włosy zwijały się w
całe mnóstwo miniaturowych
pierścionków. Cara już miała
powiedzieć Fielding: Przypominasz mi
laleczkę, którą kiedyś miałam, ale
pomyślała, że jej przyjaciółka może się
poczuć urażona tym porównaniem.
Zamiast tego zapytała:

— Fielding, co cię skłoniło, żeby pójść
do wojska?

Już ją kiedyś o to pytała, ale nigdy nie dostała satysfakcjonującej odpowiedzi, dlatego dość wzięta aktorka, która w dodatku potrafi śpiewać i tańczyć, rzuciła karierę dla wojska.

— Tak po prostu postanowiłam, tak czułam, i tyle.

Włożyła białe majteczki i stanik, zapięła go z przodu, a potem przekręciła zapięciem na plecy, tak samo jak zawsze robiła Cara.

— Nie wierzę. Tracisz tu tylko czas, kiedy mogłabyś zrobić karierę.

— A dlaczego ty poszłaś do wojska, Caffrey?

— Doskonale wiesz, dlaczego. Miałam pracę bez żadnych perspektyw, poza tym chciałam przeżyć coś pasjonującego... ale przecież praca aktora na scenie jest bardzo pasjonująca! Czemu coś przede mną ukrywasz? Ja ci zawsze wszystko mówię! — zawołała z wyrzutem.

— Och, już dobrze... — Fielding nonszalancko wzruszyła ramionami.

— Jeśli już musisz koniecznie wiedzieć, to facet mojego życia porzucił

mnie przed ołtarzem. Wystarczy?

Cara potrząsnęła głową.

— Nie, to chyba nie jest prawda, nie...

— Cała moja rodzina zginęła w wypadku drogowym i po prostu musiałam uciec od tego wszystkiego, co widziałam na własne oczy. Taka odpowiedź ci pasuje, pani inspektor Caffrey?

— Dopiero co, bodaj w zeszłym tygodniu, wspominałaś coś o swoim ojcu.

— Jestem śmiertelnie chora i w każdej chwili mogę umrzeć?

— Wojskowa komisja lekarska na pewno by to wykryła...

Fielding popatrzyła na nią z irytacją, po czym jej twarz się zmieniła i nagle

wybuchła płaczem. Spazmatyczny szloch wstrząsał całym jej ciałem.

Nie zakryła twarzy, tylko stała z rękami wzdłuż ciała, z twarzą wykrzywioną bólem.

— Moje dzieciątko umarło — szlochała.
— Umarło w łonie, musieli mi wszystko wyciąć i już nigdy, nigdy nie będę miała dzieci. Ten mąż-

czyzna, ojciec dziecka — po prostu się zmył. Poszłam do wojska, bo chciałam umrzeć. Cara, moje dziecko nie żyje i ja też nie chcę już żyć.

Cara wyskoczyła z łóżka i chwyciła płaczącą dziewczynę w ramiona.

— Och, Fielding, tak mi przykro! Nie powinnam nalegać. Nigdy nie przypuszczałam, że przydarzyło ci się coś tak okropnego... Ale dlaczego twoje dziecko musiało...

— Było za duże, ważyło prawie dziesięć kilo i macica zaczęła pękać.

— Dziesięć... kilo... Fielding, ty cholerna kłamczucho! — Cara odepchnęła koleżankę, która upadła na łóżko, pokładając się ze śmiechu.

— No co? Przecież nie chciałaś uwierzyć w prawdę... — zaczęła,

krztusząc się.

— Nawygadywałaś tyle kłamstw, że już sama nie wiem, co było prawdą.

— Pierwsza odpowiedź była prawdziwa. Rzucił mnie... no, może niedosłownie przed ołtarzem i niezupełnie był miłością mojego życia, chociaż wtedy tak właśnie myślałam. — Przez chwilę wyglądała na zasmuconą i Cara przypuszczała, że tym razem naprawdę nie udaje, chociaż z Fielding nigdy nic nie było wiadomo. — Czasami na scenie też bywa nudno, zwłaszcza jeśli przedstawienie zbyt długo trwa, więc zaciąg-nęłam się dla przygody, tak samo jak ty. Poza tym myślałam, że mój życiorys na tym zyska. Nie zapominaj, że

wojna miała trwać tylko sześć miesięcy.

— Naprawdę ze mnie zakpiłaś —
powiedziała Cara z oburzeniem. —

Czasem potrafisz być wrednym
babsztylem, Fielding.

— A ty wścibską piczką, Caffrey.

Późny obiad jedli na werandzie, na otoczonym drzewami skwerze w samym sercu Victorii. Cara nigdy później nie mogła sobie przypomnieć, co wtedy jadła, pamiętała tylko, że wszyscy wypili o wiele za dużo wina i kiedy już podano im główne dania, świat nabrał dla Cary innych barw.

Wszystko wydawało się jej większe niż normalnie, dźwięki ostrzejsze, a ona sama była lekka jak piórko i tak bardzo zakochana w Kicie, że chciało jej się płakać.

— Nic ci nie jest, kochanie? — spytał czule.

— Nigdy w życiu nie czułam się tak dobrze — odparła.

Zachodzące słońce roztopiało się w niebie, które nagle zrobiło się purpurowe; przecinały je długie pasma złota. Wyglądało tak, jakby płonęło. Mac miał aparat i zrobił zdjęcie, z Carą i Fielding na pierwszym planie.

— Dostaniecie odbitki, jeżeli dobrze wyjdzie — obiecał. — Podejrzewam, że mogłem trzymać odwrotnie aparat i sfotografowałem własny nos. Nieważne, zdjęcie i tak jest czarno-białe.

Wnętrze restauracji było słabo oświetlone. Na każdym stoliku stała świeca, powietrze było gęste od dymu papierosowego, a niewidocznemu pianiście akompaniował skrzypek przebrany za Cygana. Długie czarne włosy miał przewiązane czerwoną chustą, w uchu złote kółko, i grał

kawałki znane z hollywoodzkich filmów: *Let's Face the Music and*

Dance*, Change Partners**, The Way You Look Tonight***. Wędrował po sali, zatrzymując się przy każdym stoliku, a jego czarne, namiętne oczy zatrzymywały się na kobietach, co sprawiało, że czuły się pożądane i godne uwielbienia — przynajmniej tej nocy.

Pianista zaczął grać A Foggy Day In London Town****, kiedy Cygan podszedł do ich stolika po raz drugi. Fielding powiedziała wtedy:

— Śpiewałam to kiedyś w rewii.

Zawsze gotowa do działania, w dodatku rozochociona wypitym winem, zaczęła śpiewać pełnym głosem, zachęcana jeszcze spojrzeniami Cygana.

Wstała od stolika i poszła za nim w głąb restauracji — drobna, mająca w sobie coś z ćmy figurka, zjawiskowa w swojej srebrzystej sukience.

Cara zauważyła, że Mac śledzi każdy jej ruch, i aż się zdumiała — wzrok kolegi nie był bynajmniej platoniczny.

Głos Fielding nie był mocny, ale wprost emanował uczuciem. Goście przerwali jedzenie, do restauracji podchodzili też ludzie z ulicy, przycią-

gani tym magnetycznym głosem, chociaż w taką cudowną noc nie sposób było wyobrazić sobie mglistego dnia — nawet gdzieś tam, daleko stąd...

— Gdybym był teraz w domu —
powiedział cicho Kit — kładłbym się
już do łóżka. Co prawda jest sobota,
więc równie dobrze mógłbym być w
kinie albo na koncercie. Mógłbym też
zostać w domu i czytać książkę, nie
mając pojęcia, że gdzieś w innej części
świata ludzie siedzą

* Let's Face the Music and Dance
(Mamy muzykę i taniec) — piosenka z
filmu z 1936 roku Błękitna parada z
Fredem Astaire'em i Ginger Rogers.

** Change Partners (Zmieniamy
partnerów) — piosenka z filmu z 1938
roku Zakochana pani z Fredem
Astaire'em i Ginger Rogers.

*** The Way you Look Tonight (To, jak dziś wyglądasz) — piosenka z filmu z 1936 ro-ku Lekkość z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers.

**** A Foggy Day In London Town (Mglisty dzień w Londynie) — piosenka G. Gershwina z filmu z 1936 roku Kłopoty małej pani z Fredem Astaire'em i 19-letnią Joan Fantaine.

251

pod gwiazdami i słuchają takiego anielskiego śpiewu... — Spojrzał na Carę. — Czy ja śnię, czy to się dzieje naprawdę? Czy ty istniejesz naprawdę?

— To wszystko jest naprawdę —

zapewniła go. — To najprawdziwsza
prawda.

— Jeśli chodzi o mnie, byłbym na meczu
futbolowym dziś po południu

— stwierdził Mac. — O tej porze
dzieciaki by już spały, a ja i żona
przysypialibyśmy w fotelach, słuchając
radia. — Zmarszczył brwi i potrząsnął
głową. — Nie mogę sobie wyobrazić
powrotu do tamtego życia...

w każdym razie nie po tym tutaj.

— Nie masz wyboru, stary — stwierdził
Kit.

— Cóż... chyba nie mam.

Mac wstał i podsunął krzesło Fielding, która skończyła śpiewać przy głośnych brawach, nie tylko gości z restauracji, ale i niewielkiego tłumku, który zgromadził się na zewnątrz. Jakiś głos ze środka zawołał:

— Fantastyczny występ, Fielding!

Ramię Maca opierało się o krzesło Fielding. Wzięła od niego papierosa, chociaż zwykle nie paliła. Wydawali się sobie teraz bardzo bliscy — nie tylko fizycznie.

Posiedzieli jeszcze godzinę, aż zmierzch zamienił się w ciemność, a na rozgwieżdżonym granatowym niebie pojawił się półksiężyc. Mac zaczął

ziewać. Cara zasnęła na chwilę; kiwnęła się i zbudziła, zadowolona, że nikt tego nie zauważył.

Kit się przeciągnął.

— Pora wracać. — Z jakiegoś powodu wydawał się spięty.

— Przecież noc jeszcze młoda! —
zawołała Fielding. — Nie moglibyśmy pójść do jakiegoś klubu?

— Jest kwadrans po jedenastej —
powiedział Kit. — Jeżeli na Gozo są nawet jakieś kluby, to na pewno zamykają je o północy, bo jutro niedziela. Żadnej pracy ani zabawy w

Dzień Pański, oto, czego mnie uczyli w szkole!

Tańcząc, wracali do hotelu. Trzymali się za ręce, zetknięci ramionami, dziewczęta w środku. Śpiewali Lambeth Walk*.

— Cicho! — skarcił ich Mac, kiedy już dotarli na miejsce.

— Sam sobie bądź cicho. — Fielding wydała głośny okrzyk: — Heeej!

* Lambeth Walk — taniec towarzyski, najbardziej modny w latach 1938-1939; piosenka z filmu pod tym samym tytułem z 1940 roku.

Drzwi nie były zamknięte. Weszli do środka, uciszając się wzajemnie, nic nie widząc w ciemnym, pozbawionym okien holu. Cara nie mogła sobie przypomnieć, czy tam w ogóle jest elektryczność.

— Może ktoś wie, gdzie jest nasz pokój? — szepnęła żałośnie.

— Tutaj. — Poczowała, że ktoś ją wprowadza przez drzwi, które się za nią zaraz zamknęły. Tu było już jaśniej, bo zasłony były rozsunięte i światło księżycy oświetlało pokój. Zorientowała się, że to Kit, a nie Fielding; stał

oparty o drzwi. Nie potrafiła wprawdzie odczytać wyrazu jego twarzy, ale wydał się jej strasznie zagniewany.

— Jeżeli chcesz, to sobie pójdę —
powiedział przez ściśnięte gardło.

Może udało mu się odczytać wyraz jej
twarzy.

— Gdzie Fielding i Mac?

— A gdzie mają być? W drugiej
sypialni.

— Ale...

To nie tak miało być. Mac był żonaty. Z
pewnością Fielding nie miała zamiaru
spać z żonatym mężczyzną...

— Czy z góry zaaranżowaliście z
Makiem, że pójdziesz do tego pokoju ze

mną?

— A powinienem tak zrobić, co? —
rzucił Kit trzeźwo.

Cara się cofnęła.

— Takie planowanie z góry byłoby dość
obrzydliwe. Wolałabym myśleć, że ci to
raczej teraz przyszło do głowy. Miałam
nadzieję, że czujesz to samo.

— Tak naprawdę nie jestem pewien, co
czuję w tej chwili.

Nie tak to sobie wyobrażała. Chciałaby,
żeby wszystko było doskonałe,
tymczasem zaczęło się po prostu
fatalnie.

— Cara! Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie wiedziałem, czy cię najpierw poprosić, czy... czy...

Co mam zrobić? — Mówił takim głosem, jakby miał się zaraz rozpląkać. — Chyba wszystko spaprałem. Nieważne, prześpię się gdzieś... —

Już miał otworzyć drzwi, kiedy podbiegła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie idź. Strasznie mi przykro, ale mam w głowie kompletny mętlik.

Wszystko popsułam, co?

— Nie, to ja.

— Nie, ja.

Chwilę milczeli, po czym nagle padli sobie w ramiona. Śmiali się i płakali równocześnie; zataczając się, szli do łóżka.

253

— Powiedz mi, gdybym robił coś źle — zamruczał Kit i zaczął ją całować.

To bolało, nawet bardzo, i wcale nie było tak cudowne, jak się tego spodziewała, chociaż przysięgała Kitowi, że było wspaniale. Nie, ona czuła się zbyt spięta, a on

zdenerwowany. Kiedy już było po wszystkim, zasnęli, trzymając się w objęciach. Tego było za dużo jak na ten pierwszy raz — czuć ciężar jego ramienia na swojej talii, bicie jego serca tak blisko niej — i wiedzieć, że nie jest już dziewicą.

Było jeszcze ciemno, kiedy Cara obudziła się z przerażającym uczuciem, że zaraz umrze. Roztrzęsiona wstała z łóżka i zdołała tylko dotrzeć do umywalki, gdzie wymiotowała tak długo, aż rozboleły ją zębra i czuła, jakby wszystkie wnętrzności miała wyszorowane ostrą gąbką.

— Wszystko przez to wino!

Obudziła Kita, który teraz przytrzymał jej głowę nad umywalką.

Mimo że czuła się naprawdę okropnie, uświadamiała sobie, że jest nagi, ona zresztą też. Przez jej i tak rozdygotane ciało przepłynęła fala wstydu

— i znów zaczęła wymiotować.

— Och, moje biedne kochanie — mówił Kit.

Pomógł jej położyć się z powrotem do łóżka, podał szklankę wody i zwilżał jej czoło flanelową szmatką, aż znów zasnęła.

Obudziła się już w pełnym świetle dnia.

Słońce wlewało się do białego pokoju, a nad całą wyspą Gozo niesły się dźwięki dzwonów; to jej przypomniało, że powinna pójść na mszę.

Ku jej zaskoczeniu na łóżku siedział Kit, bardzo poważny i zamyślony.

— Czy mnie jeszcze kochasz? — zapytał w chwili, kiedy otworzyła oczy.

— Zawsze cię będę kochała — odparła sennym głosem. — Dlaczego zadajesz takie głupie pytanie? Przecież znasz odpowiedź.

— Bałem się, że po tej nocy mogłabyś się rozmyślić. Jak na pierwszą noc było po prostu fatalnie.

— To nie twoja wina, że zrobiło mi się niedobrze.

— Fatalnie było, zanim się rozchorowałaś... Możliwe nawet, że właśnie dlatego się rozchorowałaś — mówił żałośnie. — Wszystko to się stało o wiele za szybko, widziałem, jak się krzywiłaś, i to nie raz.

— Tylko dlatego, że bolało, ale może już nie boleć, kiedy to znów zrobimy.

254

Położył się na łóżku i wziął ją w ramiona.

— Jesteś pewna? Czujesz się na siłach,

żeby zrobić to teraz?

— Nie mam pewności... nie — odparła z żalem. — Kiedy się lepiej nad tym zastanowię, czuję się słaba jak kocię.

— Wobec tego przełożmy to na inny raz.

— Dobrze. — Cara westchnęła z zadowoleniem.

— Wiesz, o czym myślę? — szepnął jej do ucha.

— O czym?

— Myślę, że powinniśmy się pobrać. Teraz, za tydzień... jak najszybciej.

Jeśli mogliśmy przeżyć taką noc jak ta, to znaczy, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Serce stanęło jej na chwilę.

— A armia i RAF dadzą nam pozwolenie?

— Myślę, że powinniśmy o nie poprosić...

W poniedziałkowy rano tamta noc na Gozo była tylko wspomnieniem, które miało już zawsze pokutować w jej umyśle. Zastanawiała się, kogo poprosić o pozwolenie na ślub z Kitem Farthingiem. On natomiast jeszcze tego samego dnia przystąpił do działania.

— Pozostaje tylko Allardyce —
zdecydowała ponuro Fielding.

Leżały obie pod ciężarówką, szukając miejsca wycieku w baku na benzynę. Dzięki temu mogły spokojnie porozmawiać. Cara nadal nie wiedziała, co się wydarzyło między nią a Makiem, kiedy spędzili razem tamtą noc. Może po prostu poszli ze sobą do łóżka — oczywiście plato-nicznie — albo Mac spał na podłodze... A może kochali się jak szaleni przez całą noc? Nie było sensu pytać o to Fielding, która na pewno wymyśliłaby jakieś akurat pasujące jej kłamstwo. Tak czy owak, to nie była sprawa Cary.

— Sybil jest ostatnią osobą na świecie,

którą chciałabym o cokolwiek poprosić,
a już najmniej o zgodę na małżeństwo.

— Nie potępiam cię, chociaż zawsze
mogłabyś powiedzieć, że jesteś

„w tym stanie”: wtedy nie miałyby
wyjścia i musiałyby się zgodzić.

— Nie liczyłabym na to. Mogłabym
popaść w niełaskę i zostać odesłana z
hukiem do domu — westchnęła Cara. —
Nie mam wyjścia, jak tylko ją poprosić,
co?

— Chyba nie, i... Caffrey, jeżeli masz ją
prosić, to zrób to jak najszybciej.

Jeszcze nigdy nie byłam druhną i bardzo

na to czekam.

255

— Czyście zasnęły tam pod spodem? — ryknął jakiś głos i z boku ciężarówki ukazała się ich oczom odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni twarz kaprała Culpeppera. — Ile czasu można szukać dziury w baku i dlaczego trzeba do tego aż dwóch bab?

— Poproś jego, jeśli chcesz szybko wyjść za mąż — szepnęła Fielding.

— Z radością da ci pozwolenie, pod warunkiem że obiecasz mu pierwszą noc.

— Proszę! — zawołała Sybil, kiedy Cara zapukała do drzwi jej biura w Marzipan Hall.

Cara weszła, stanęła na baczność przed biurkiem i zasalutowała. Sybil podniosła wzrok znad listu, który właśnie czytała. Wyglądała na rozkojarzoną. Odłożyła list, a Cara zauważyła, że był pisany ręcznie. Niewielkie biuro było raczej bezduszne, trochę tylko większe od pokoiku gościnnego w domu na Shaw Street, gdzie Cara zwykle spała. Na ścianie wisiały liczne wykresy, duża mapa Malty z czerwonymi szpilkami, zaznaczającymi różne pozycje, i oczywiście portret króla Jerzego VI, tym

razem w mundurze wojskowym. Cara dziękowała Bogu, że została kierowcą; za nic w świecie nie chciałyby tkwić całymi godzinami w takim miejscu, nie mając obok siebie ani jednej żywej duszy, do której można by się odezwać.

— Właśnie się dowiedziałam od mamusi — rzekła Sybil całkiem normalnym głosem, rezygnując z ostrego, służbowego tonu, którym zwykle przemawiała — że Jonathan w największej tajemnicy za jej plecami zgłosił się do wojska. Jest zrozpaczona.

— Przecież tydzień temu skończył osiemnaście lat! Lada moment mógł dostać powołanie. — Cara stanęła na „spocznij”, ponieważ Sybil jakoś się nie

kwapiła, żeby jej wydać taką komendę.

— Tak, ale nadal jest w szkole i mamusia robiła, co w jej mocy, żeby umieścić go na uniwersytecie.

— Jonathan mi mówił, że nigdy się nie dostanie na uniwersytet, że nie jest dość zdolny.

— Kiedy ci to powiedział? Cara, może usiądziesz na chwilę?

— W Boże Narodzenie. — Cara przysunęła sobie krzesło. Nie było sensu się zastanawiać, dlaczego nagle stała się „Carą”, a nie „Caffrey”, i dlaczego Sybil ją prosi, żeby usiadła. Najwidoczniej pilnie musiała z kimś porozmawiać, a

Cara była jej jedynym łącznikiem z domem rodzinnym.

256

— Nie udało mi się, niestety, pojechać wtedy do domu. — Zabrzmiało to tak, jakby chciała, tylko nie mogła. — Nie widziałam Jonathana od początku wojny. Och, a mamusia pisze, że twoja matka nie jest dla niej żadną podporą. Ciągle powtarza, że z jakiegoś powodu zapewni mu to powodzenie. Mam na myśli wojsko. Przez to mamusia czuje się jeszcze gorzej.

— Taka tam gadanina mojej mamy. — Cara uśmiechnęła się prze-praszająco. Dziwne to było uczucie... przepraszać za

matkę, która jest setki kilometrów stąd.
— Strasznie się martwiła, kiedy ja i Fergus szliśmy do wojska.

Zawsze uważała się za doskonałą matkę i raz po raz twierdziła, że Eleanor nigdy nie przestanie traktować Jonathana jak siusiumajtki. „Wychowuje go na babę”, mówiła, jakby tata czy któreś z jej własnych dzieci mogli coś na to poradzić. Ale Jonathan dowiedział, że się myliła, i poszedł

własną drogą, mimo tylu nacisków ze strony matki.

— Gdzie się zaciągnął? — spytała. — Do armii, marynarki czy lotnictwa?

— Do lotnictwa morskiego —
westchnęła Sybil.

— Na pewno mu się spodoba. Marzył o
wyjeździe.

— Pod warunkiem, że nie zginie. —
Oczy Sybil zabłyśły, po czym
westchnęła. — Zawsze kochałam
Jonathana... bardziej niż kogokolwiek na
świecie. Był jedyną osobą, która
niczego ode mnie nie chciała. —

Wzięła list do ręki, spoglądając na niego
bezmyślnie, i znów go wypuściła.

Poszybował niespiesznie na biurko. —
Nie znosiłam Anthony'ego, bo zawsze
się ze mnie śmiał. Cieszyłam się, kiedy

wyjechał.

Cara nie wiedziała, co ma powiedzieć. Była zadowolona, kiedy zadzwonił telefon. Sybil podniosła słuchawkę, słuchała przez chwilę, a następnie powiedziała: „Zaraz to sprawdzę”. Wykręciła numer, niecierpliwie bębniąc palcami w blat biurka, aż ktoś odebrał.

— Kapral Culpepper? Major Hull potrzebuje kierowcy do Valletty.

Odłożyła słuchawkę, nie zegnając się ani nie dziękując. Spojrzała na Care, jakby zaskoczona, że ją tu widzi, i spytała:

— Jesteś tu z jakiegoś konkretnego

powodu, Caffrey?

— Tak — odparła Cara bez ogródek. —
Przyszłam poprosić o pozwolenie na
zawarcie małżeństwa.

— Z kim?

Sybil zerknęła jeszcze raz na list, jakby
nie mogła przestać o nim myśleć.

— Ze starszym szeregowym
Christopherem Farthingiem. Jest w
RAF-ie.

257

Cara przygryzła wargę, marząc, żeby
teraz przypadkiem nie zadzwonił telefon,

co najwyraźniej skłaniało Sybil do ponownego wchodzenia w skórę „pani oficer Allardyce” i powrotu do zwykłego, wrednego zachowania. Nie tyle interesowność, ile przede wszystkim współczucie dla tej dziewczyny, która wydała się jej tak strasznie samotna, sprawiło, że powiedziała:

— Chciałam panią zaprosić na ślub, madame. Pomyślałam, że byłoby przyjemnie mieć wtedy przy sobie kogoś z domu... Mama zawsze na nas mówiła „wrześniowe dziewczynki”.

Ku jej uldze, Sybil wydawała się nawet zadowolona.

— Ależ dziękuję ci, Caffrey. Z przyjemnością przyjdę.

Cara opuszczała Marzipan Hall jak na skrzydłach, kiedy zajechał

samochód i wyskoczyła z niego Fielding.

— Przyjechałam po majora Hulla. Co ci powiedziała Allardyce?

— Nie powiedziała ani „tak”, ani „nie”, ale przyjęła zaproszenie na ślub.

Fielding jęknęła.

— Nie trzeba było jej prosić. Może rzucić zły urok.

— Jest taka nieszczęśliwa, zrobiło mi się jej żal.

— Idiotka! Masz o wiele za miękkie serce, Caffrey.

— Wcale nie mam miękkiego serca. Pomyślałam sobie, że kto wie...

Może to poprawi moją sytuację.

Fielding uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— Teraz jedyne, co ci pozostało do zrobienia, to wyznaczenie daty.

Okazało się, że wszyscy zainteresowani dysponują wolnym dniem dopiero na

początku czerwca — a Cara i Kit mieli jeszcze dostać jeden dodatkowy dzień na krótki „miesiąc miodowy” na Gozo.

— Zatrzymamy się w tym samym hotelu i zarezerwujemy ten sam pokój — oznajmił Kit, całując ją czule — i tym razem wszystko pójdzie dużo lepiej. Szkoda, że nie mieliśmy okazji, żeby trochę popraktakować.

Od czasu, kiedy się poznali, widywali się tylko raz, najwyżej dwa razy w tygodniu, kiedy Kit przyjeżdżał pędem na rowerze, zwykle razem z Makiem. Nigdy nie mieli okazji, żeby być sami, w miejscu, gdzie mogliby zrobić coś więcej, niż tylko się całować. Wiedzieli, że po ślubie nie będzie

inaczej, ale przynajmniej Cara będzie miała obrączkę na palcu, i to na razie musi im wystarczyć. Ale byli młodzi i w przyszłości będą 258

mieli mnóstwo czasu na miłość, będzie też czas na wszystkie te rzeczy, których teraz nie mogli robić.

Cara zaprosiła wszystkie dziewczęta z ich wspólnej kwatery, chociaż wiedziała, że niektóre będą miały służbę, więc pewnie nie przyjdą. Kapral Culpepper nalegał tylko, żeby to on mógł ją poprowadzić do ołtarza, nie żądając w zamian żadnych innych przywilejów.

Kapelan wojskowy zgodził się udzielić im ślubu w małej, prowizorycznej

kaplicy na tyłach Marzipan Hall, która kiedyś była stajnią. Miała to być świecka ceremonia; nie było sensu prosić księdza, skoro małżeństwo i tak miało być „mieszane”. Nawet w Liverpoolu nikt nie tolerowałby czegoś takiego.

— Musiałbyś się zgodzić przejść na katolicyzm, a to zajęłoby wiele miesięcy — mówiła Cara, domyślając się, jak mama by się wściekała, gdyby wiedziała, że jej jedyna córka nie bierze ślubu w katolickim kościele.

Poprosiła Sybil, żeby nic nie pisała o ślubie Eleanor, która na pewno powiedziała by o tym mamie, a ta z kolei nie zawahałaby się przepłynąć całej

drogi na Malte, gdyby uznała, że zdoła temu przeszkodzić.

Cara i Fielding były w kasynie i słuchały wiadomości Radia BBC, kiedy ogłoszono, że Niemcy napadły na Francję. Rozległ się ogólny jęk, a Cara natychmiast pomyślała o swoim bracie.

Fergus, który był we Francji już od miesięcy, czekał i niewątpliwie się bał, że coś takiego nastąpi. Holandia już skapitulowała. Czy Francja będzie w stanie obronić się przed armią niemiecką? Jeśli nie, Wielka Brytania zostanie wtedy sama, oddzielona tylko kanałem od wroga, który najwyraźniej planował zawładnąć całym światem.

Maj przeszedł w czerwiec, a wtedy padła Belgia, Francja zaś była o krok od klęski. Z francuskiego portu Dunkierka ewakuowano do Wielkiej Brytanii tysiące żołnierzy brytyjskich i francuskich, ale Cara nie miała pojęcia, czy Fergus był wśród nich. Nie mogła przestać się martwić o swojego łagodnego brata, wyobrażała sobie jego pokiereszowane ciało, leżące w błotnistym rowie w obcym kraju... Przez to wojna stawała się dla niej czymś bardzo bliskim, osobistym.

A po kilku dniach miała się stać jeszcze bliższa.

Był ranek, dochodziła siódma i dziewczęta w starym wiejskim domu

kłóciły się o jedyną tutaj łazienkę, kiedy zabrzmiał sygnał alarmu, jak to się często przedtem zdarzało, gdy sygnalizowano nalot ćwiczebny. Nie
259

zeszły do piwnicy, wbrew temu, czego ich uczono, ale po krótkiej przerwie znowu zaczęły się kłócić. Nagle któraś zawołała:

— Cicho!

Zamilkły jak na komendę. W ciszy, która teraz zapadła, usłyszały odległe dudnienie.

— Samoloty! — Fielding podbiegła do okna. — Nic nie widzę —

zawołała. — Co to jest?

— Co takiego?

— Przed chwilą usłyszałam wybuch. O, jeszcze jeden — i jeszcze jeden. O Boże! — odwróciła się twarzą do dziewcząt. — To nalot, prawdziwy nalot! Rzucają bomby na Malte!

Naloty ciągnęły się przez całe popołudnie i początek wieczoru —

w sumie było ich osiem. Wszystkie skierowane na okolice doków. Zginęło ponad trzydzieści osób, rannych było dużo więcej.

Malta przechodziła swój chrzest bojowy

— a to był dopiero początek.

Rozdział 10

CZERWIEC 1940

Fergus Caffrey był ledwie przeciętnym żołnierzem. Nigdy się nie zblamował, ale też nigdy nie zabłysnął. Chcąc wszystkich zadowolić, był

jednak trochę niezdarny, stale popełniał jakieś błędy. Koledzy go lubili, bo nie sposób było nie lubić kogoś tak nieszkodliwego, kogoś, kto z łatwością mógłby stać się celem dla gnębicieli, gdyby nie to, że Fergus był wysoki, dobrze zbudowany i znakomicie umięśniony, bardziej niż przeciętnie

przystojny i lubiany przez kobiety.

To ostatnie raczej go dziwiło, ale koniec końców wytłumaczył sobie swoje powodzenie prostym skądinąd faktem, że owe kobiety były Fran-cuzkami i nie znały angielskiego, on zaś był Anglikiem nieznającym francuskiego — a trudno zapomnieć języka w gębie wobec kogoś, z kim się rozmawia wyłącznie na migi.

A jeżeli istniało coś, w czym Fergus był naprawdę świetny, to właśnie rozmowa na migi — miał przecież ogromną praktykę, przebywając tak długo z Anthonyem.

Jeszcze parę tygodni temu był bardzo zadowolony ze swojego pobytu we

Francji w Brytyjskich Siłach Ekspedycyjnych. Ani śladu nieprzyjaciela, a przy tym niewiele do roboty — oprócz ścielenia łóżka, utrzymywania w czystości siebie i kwatery, stawania na baczność na rozkaz i wykonywania rozmaitych zadań, które mu przydzielano i które mógł wykonywać bez okularów. Ponieważ jego dawna praca urzędnika rachuby była niewypowiedzianie nudna, wcale nie uważał obecnych zadań za nużące, w przeciwieństwie do innych mężczyzn. Bawiło go malowanie drzwi i ram okiennych białą farbą, chociaż to wcale nie było konieczne —

jedynym powodem, dla którego to robił, było „danie zajęcia rękom”, jak utrzymywali kaprale i sierżanci, którzy teraz rządzą życiem Fergususa.

Jego pragnienie walki za ojczyznę raczej zbladło, od kiedy się dowiedział, jak to wygląda w praktyce. Szczerze wątpił, czy w ogóle będzie kiedyś w stanie wbić bagnet w brzuch młodego żołnierza, takiego samego jak on, z tą tylko różnicą, że tamten byłby Niemcem. Ale nie żałował

pójścia do wojska. Ktoś musiał w końcu odwalać brudną robotę, nieodzowną dla zachowania wolności i demokracji w jego ojczyźnie.

Teraz jednak, po paru tygodniach, Fergus nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. W głowie miał kompletny mętlik, kiedy tak włókł się drogą, gdzieś we Francji, drogą zapchaną samochodami i wozami konnymi z meblami i tobołami z pościelą, a czasem z małymi dziećmi. Mniej szczęśliwi pchali przed sobą ręczne wózki z dorobkiem całego życia, najmniej szczęśliwi zaś szli piechotą, taszcząc na plecach ogromne walizy lub niewygodne tobołki, z których wystawały czajniki albo pluszowe misie; w jednym zobaczył nawet skrzypce.

Ci ludzie byli uchodźcami; uciekali

przed pracą naprzód armią niemiecką. W tej chwili Fergus był właśnie jednym z nich — uchodźcą. Ale, przeciwnie niż inni, nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd idzie ani w jakiej części Francji znajduje się teraz. Szedł za tymi nieszczęśliwymi ludźmi, ponieważ po prostu nie wiedział, dokąd ma iść. Wśród uciekających byli także nieliczni żołnierze; szli dwójkami, trójkami lub w pojedynkę. Być może, podobnie jak on, woleli w takiej chwili własne towarzystwo.

Co jakiś czas na letnim błękitnie nieba pojawiał się niemiecki samolot i ostrzeliwał tych na dole. Wtedy rozpoczynał się zbiorowy wyścig do

rowów po obu stronach drogi, nie każdy jednak był tak szybki, żeby zdążyć uciec — i pilot odlatywał, zadowolony z wykonanej roboty, pozostawiając za sobą płaczące kobiety, wrzeszczące dzieci i jęczących mężczyzn, którzy znaleźli swoich bliskich — martwych, umierających lub rannych, leżących na zakrwawionej drodze.

To przypominało Fergusowi zabawę, w którą się bawili w szkole: komórki do wynajęcia. Kiedy muzyka ustawała, każdy musiał sobie znaleźć jakieś siedzenie, ale zawsze trafił się ktoś taki, kto nie zdążył —

i wypadał z gry. W końcu na placu boju pozostawał tylko zwycięzca.

Teraz, w tej grze, Fergus nie miał wątpliwości, gdzie będzie leżało zwycięstwo — na pewno nie po jego stronie.

Tak chyba musi wyglądać piekło; a może już umarł razem z wieloma kolegami i jest teraz w piekle na całą wieczność, mimo że nie wiedział, 262

co takiego zrobił, by na to zasłużyć? We Francji kilka razy opuścił mszę, ale nie był to przecież grzech śmiertelny. W każdym razie on, Fergus, nie zasługiwał na tak straszliwą karę.

Chodzenie już od jakiegoś czasu stało się dla niego prawdziwą torturą.

W skarpetkach świeciły ogromne dziury, pięty miał poranione i krwawiące. Nie było niczego, czym mógłby wymościć wewnątrz swoich długich butów, prócz gazet, które szybko zamieniały się w strzępy. Nie miał

zapasowych skarpet. Właściwie nie miał niczego — ani zapasów, ani pieniędzy, ani żadnych przyborów. Wszystko przepadło albo zostało nie wiadomo gdzie, nawet jego karabin. Okulary musiały mu wypaść z kieszeni. Czasem je zakładał, kiedy pisał listy do domu, i nikt z kolegów nie zwracał na to uwagi.

Dziwne, ale właściwie od momentu, kiedy stracił okulary, wzrok mu się poprawił, tak jakby każda część jego

ciała, nie wyłączając oczu, była świadoma zagrażającego mu niebezpieczeństwa.

Fergus miał wrażenie, jakby teraz brał udział w innej grze, wymagającej dużo więcej umiejętności i sprytu aniżeli komórki do wynajęcia: grze w szachy.

Cztery armie: brytyjska, francuska, belgijska i niemiecka, były pionkami, poruszonymi bez ładu i składu przez ludzi z zawiązanymi oczyma, którzy nie widzieli szachownicy. W jednej chwili Fergus i jego koledzy szli do przodu, a już w następnej się wycofywali. Myśleli, że są zwycięzcami, gdy w rzeczywistości byli na przegranej

pozycji.

Czołgi, które miały im pomagać, wcale się nie pokazały; długo oczekiwane, upragnione zapasy również nie nadeszły. Krążyło całe mnóstwo pogłosek: że Churchill jest w Paryżu, że Belgowie skapitulowali, że tak wychwalana Linia Maginota wcale nie powstrzymała wroga, jak to uprzednio zakładano. Wprost przeciwnie, przekroczyli ją spokojnie, by nie rzec — nieświadomie. Calais i Boulogne zostały wzięte i brytyjskich żołnierzy ewakuowano z Dunkierki. Fergus, wędrując po pięknych szlakach Francji w towarzystwie żalosnej gromady prostych ludzi, którym świat usunął się spod nóg,

miął nadzieję, że zmierza właśnie do Dunkierki.

Minał ciało bardzo starego człowieka, rozciągnięte w rowie. W piersi mężczyzny ziała ogromna dziura. Obok niego leżał mały piesek, bardzo ruchliwy i już zmęczony szczekaniem. Ten widok nie wzruszył jednak zbytnio Fergususa. Widział już gorsze rzeczy, na przykład kolegów roze-rwanych na strzepy na jego oczach.

— Przykre, co?

263

Fergusus ani myślał się odwracać, żeby się przekonać, kto do niego mówi. Miał

już za sobą przejmowanie się takimi subtelnościami jak dobre maniery; ludzi, którzy próbowali go zagadywać, zbywał zawsze wzruszeniem ramion.

Teraz zrobił to samo.

— Ejże, zatrzymaj się na chwilę. Chcę tylko zrobić zdjęcie tego staruszka i jego psa.

Odwrócił się i ujrzał szczupłego chłopaka o bladej twarzy, najwyżej szesnastoletniego. Nieznajomy był ubrany w coś, co przypominało szkolny mundurek: szare flanelowe spodnie, granatowa sportowa marynarka, biała koszula i krawat w paski. Trzymał aparat, w tej chwili wycelowany w

stronę rowu.

Rozległ się trzask migawki, chłopak z zadowoleniem kiwnął głową, przewinął kliszę, szykując ją do kolejnego zdjęcia, po czym włożył aparat do skórzanego futerału, który wisiał mu na ramieniu.

— Nie uważasz, że to odrobinę makabryczne? — spytał Fergus, wyrwany z apatii tym niezwykłym widokiem.

— Nie, kiedy się jest zawodowym fotografem — odparł beztrósco chłopak.

— W twoim wieku chyba nie możesz być zawodowcem... w niczym.

Co tu, u diabła, robisz? Jesteś Anglikiem, Francuzem — kim?

— Jestem Anglikiem. Robię zdjęcia do gazety mojego taty. Przyjecha-

łem tu wczoraj z dziadkiem, a właściwie przyplłynąłem jego rybacką łodzią.

— Przyjechałeś? Skąd? — Przez mętlik panujący w głowie Fergus nie mógł się uporać z tym aroganckim, pewnym siebie szczeniakiem, który wyglądał tak, jakby wracając do domu ze szkoły, trafił jakimś czarodziejskim sposobem do koszmaru, którym teraz była Francja.

— Z Folkestone. Pewnie nie masz pojęcia, co się stało, co?

Było to powiedziane tak protekcyjnym tonem, że Fergus miał ochotę wykręcić ucho temu gnojkwowi.

— A czy ktoś ma? — burknął.

— Ja mam — odrzekł chępliwie chłopak. — Mój tata wydaje miejscową gazetę, „Folkestone Fourier”, a ponieważ dziadek ma łódź, więc jestem niejako w samym centrum wydarzeń. Od ostatniego poniedziałku z Dunkierki ewakuowano tysiące brytyjskich i francuskich żołnierzy. Z całego kraju na pomoc tym ludziom przyplłynęły łodzie, takie jak mojego dziadka.

Kiedy tu przyjechaliśmy, postarałem się uszczknąć coś niecoś z tego, co się

dzieje, porobić zdjęcia i trochę notatek.
To będzie, kolego, zysk na całe 264

życie i tata na pewno będzie ze mnie dumny. — Przez chwilę wyglądał

na trochę zaniepokojonego. — Boję się, że on i mama martwi,) się, gdzie jestem.

— Podejrzewam, że właśnie tak jest — zgodził się z nim Fergus wzruszając ramionami. — Ile masz lat?

— Piętnaście. A propos, jak się nazywasz? Ja jestem Julian Mellor.

— Fergus Caffrey.

Julian Mellor wydobył z kieszeni

marynarki notatnik i kawałek ołówka, a następnie zapisał nazwisko.

— Jesteś Irlandczykiem, Fergus?

— Irlandczykiem z Liverpoolu — mruknął Fergus. Spojrzał łakomie na torbę. — Masz tam może coś do jedzenia?

— Została tylko czekolada. To ze śniadania, które mi mama wczoraj zapakowała do szkoły, zostawiłem je sobie na wszelki wypadek. Chcesz trochę?

— Proszę.

— To baton Mars. Masz, weź cały —

powiedział wielkodusznie. —

Jesteśmy tylko kilka kilometrów od Dunkierki, a potem już będzie dom i porządne jedzenie. Nareszcie.

— Dzięki.

Fergus oblizwał wargi, kiedy zdzierał opakowanie z marsa, i już miał

wbić w niego zęby, kiedy zauważył nagle małego chłopca, który przed nim stał, wpatrując się tęsknie w czekoladę. Na jego twarzy malował się smutek przedwczesnej dojrzałości, jakby uleciała zeń cała dziecięca bez troska. On też mijął ciało staruszka i jego psa, szedł po drodze zbryzganej krwią,

widział te same straszne rzeczy co Fergus, tyle że Fergus miał

dwadzieścia pięć lat, a ten dzieciak nie wyglądał na więcej niż sześć, może siedem.

— Marcel! — krzyknęła jakaś kobieta o parę metrów od nich; zmęczona pchała krok za krokiem dziecięcy wózek wyładowany walizkami. Musiała zauważyć, że chłopiec oddalił się od niej. — Marcel! — zawołała znów.

Miała pantofle na wysokich obcasach i koronkowe rękawiczki. Fergus zadał sobie w duchu pytanie, czy w tym wózku może się jeszcze zmieścić niemowlę.

— Masz, mały. No, nie wstydź się... —
Wcisnął chłopcu czekoladę do ręki.

— Merci, monsieur — grzecznie
odpowiedział dzieciak i odbiegł, żeby
dogonić kobietę.

265

— Rzeczywiście jesteście kilka
kilometrów od Dunkierki? — zapytał

Fergus, myśląc ze smutkiem o batonie
Mars.

— Jakieś cztery... może pięć
kilometrów. Oho! Chyba znowu będą
nas ostrzeliwać. Schowaj się lepiej,
Fergus.

Fergus patrzył jak skamieniały na samolot, który się do nich zbliżał.

Leciał tak nisko, że Fergus naprawdę widział twarz pilota, gogle na jego oczach...

Nigdy nie doszedł do tego, co się wtedy z nim stało. To nie była odwaga, co do tego nie miał żadnych wątpliwości — raczej zwykłe ryzykanctwo, kiedy zobaczył, jak kobieta przed nim skręca wózkami w stronę rowu tak gwałtownie, że wybija baton Mars z ręki chłopca... Jak mały się zatrzymuje, żeby go podnieść. Kule były o drogę w prostej linii, wzbijając obłoczki pyłu: ich linia kierowała się wprost na dzieciaka.

Z rykiem, który był mieszaniwą wściekłości i rozpacz, Fergus rzucił się naprzód, chwycił dzieciaka za ramiona i wrzucił go do rowu, a sam padł na niego z takim impetem, że obu pozbawił tchu. Coś go ugryzło w nogę. Wrzasnął w tej samej chwili, kiedy chłopiec też zaczął krzyczeć — nie dlatego, że coś mu się stało, ale że stracił

swój czekoladowy baton.

Świat chyba naprawdę oszalał, skoro Fergus mógł być zadowolony, że ktoś mu strzelił w nogę i nie może już dalej iść. To oznaczało, że tę ważną funkcję muszą przejąć inni, żołnierze, którzy pojawili

się nie wiadomo skąd, po kolei robili krzeselko ze splecionych rąk i takim oto sposobem donieśli Fergusa do samej Dunkierki, gdzie port był wprost nabity zatopionymi statkami.

Było coś biblijnego w widoku wielu tysięcy mężczyzn, siedzących i leżących na plaży w oślepiającym słońcu, i innych, stojących w wodzie po szyje — jakby czekali, aż ktoś ich wyratuje.

Ale, na szczęście dla Fergusa, postrzelono go w nogę, a to znaczyło, że dla niego znajdą się nosze. Umieszczono go z rannymi, dano się napić wody, ściągnięto mu buty i powiedziano, że popłynie następnym szpitalnym statkiem, jak tylko się pojawi. Nie

przejmował się, że ranna noga bolała. Nareszcie jego los nie zależał już tylko od niego.

Czuł się z tego powodu bardzo szczęśliwy.

266

Kiedy tylko zaczęły się walki we Francji, Brenna i Colm gawędzili długo w noc, nie mogąc zasnąć. Myśleli bez przerwy o Fergusie — że mogą go zastrzelić, wysadzić w powietrze, przebić na śmierć bagnetem wziąć do niewoli...

— Zawsze się bał własnego cienia, biedny dzieciak — szlochała Brenna,

całkiem zapominając, że Fergus jest już dorosłym mężczyzną, wyższym od swojej mamy o piętnaście centymetrów! — Kiedy się zgłosił na ochotnika, nie mogłam wprost uwierzyć, że to prawda.

— Chłopak nie nadaje się do walki —
trzeźwo stwierdził Colm. —

Założę się, że jest beznadziejnym
żołnierzem.

Cały dzień Brenna wsłuchiwała się w wiadomości radiowe, czekając na raporty z bitwy nad kanałem, podczas gdy Colm dostawał od różnych napotkanych ludzi strzępy informacji: „Nasi chłopcy zostali odcięci u ujścia Sommy”, mówiono mu. „Teraz nie mają

już żadnej drogi ucieczki".

„Churchill rozkazał Admiralicji wysłać statki do Dunkierki, żeby ratować Brytyjski Korpus Ekspedycyjny" — powiedział mu ktoś innym razem.

Przez kilka następnych dni Brenna i Colm prawie nic nie jedli i nie spali, czekając z bijącym sercem na wieści od Fergusa, modląc się, żeby ich syn jeszcze żył, żeby zdołał dotrzeć do Dunkierki, gdzie gromadziło się wojsko, żeby go zabrano na jeden ze statków wysłanych po to, by dzielnych wojaków bezpiecznie odstawić do domu. Były to nie tylko okręty wojenne, ale też statki spacerowe, łodzie rybackie, promy, wreszcie małe jachty i motorówki,

których załogi zgłosiły się na ochotnika do wykonania tej misji.

— Colm! — zapiszczała Brenna.

Wpadła na podwórze w tym samym momencie, kiedy ten otwierał drzwi na tyłach domu. — Och, Colm!

— Co się stało, kochanie? — spytał, blednąc.

— Nancy tu była i powiedziała, że telefonował nasz Fergus! Leży w szpitalu w Folkestone, został ranny w nogę, ale jest bezpieczny. —

Rzuciła się mężowi w ramiona i wybuchnęła płaczem. — Colm, byłam przekonana, że on już nie żyje!

— To tak samo jak ja... — Przytulili się do siebie z cichą modlitwą, dziękując Bogu, że ich synowi nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo.

Twarz Colma jaśniała. — Wrócił przez Dunkierkę! Nigdy nawet nie marzyłem, że nadejdzie taki dzień, kiedy będę dumny z Fergususa.

267

— Podał Nancy adres szpitala, więc możesz do niego napisać, kochany, powiedzieć mu, jacy jesteśmy z niego dumni.

Kilka dni później Colm i Brenna mieli jeszcze większy powód do dumy z syna.

W „Liverpool Echo” ukazało się zdjęcie jakiegoś żołnierza, leżącego twarzą w rowie i zakrywającego własnym ciałem małego chłopczyka, którego przerażona buzia widniała nad ramieniem mężczyzny.

„Dzielny żołnierz z Liverpoolu, Fergus Caffrey, ryzykuje życie, by uratować francuskie dziecko od niemieckich kul na drodze do Dunkierki” — głosił podpis pod zdjęciem, a niżej: „Oto tylko jeden z aktów bohaterstwa, jakiego naocznym świadkiem był fotograf Julian Mellor, który spędził dwa dni z brytyjskimi żołnierzami podczas ich spektakularnej ucieczki z Francji”.

Po dwóch tygodniach, w połowie

czerwca, Fergus przyjechał do domu karetką, z nogą grubo obandażowaną. Szedł, wspierając się na kulach.

Było mu trochę głupio z powodu zdjęcia w „Echu”, które mama mu wysłała, ale skręciło go formalnie z zakłopotania i wstydu, dopiero kiedy zobaczył przeciągnięty nad ulicą transparent z wymalowanymi na nim słowami: „WITAJ W DOMU, FERGUS!”. Ludzie zaczęli wychodzić tłumnie z domów, otaczali go i ściskali mu rękę, a jakiś fotograf z gazety zrobił

mu zdjęcie i poprosił o wywiad. Mama nie mogła przestać płakać, taka była wzruszona i szczęśliwa, nawet tato był

bliski uez. Jego dwaj mali bratankowie, Joey i Mike, biegali naokoło, pusząc się niczym pawie z powodu własnej ważności, i mówili wszystkim: „To nasz stryjek”. Ale najbardziej go wzruszyło, kiedy brat, Tyrone, ścisnął go za ramiona i powiedział szorstko:

— Spisałeś się na medal, Ferg.

Fergus dobrze wiedział, jak bardzo Tyrone chciałby być na jego miejscu

— nawet z nogą w bandażach — i o ile byłby od niego lepszym żołnierzem.

Colm porzucił zajęcie organizatora w Partii Pracy — czy też raczej to zajęcie porzuciło jego. Nie bardzo wiedział, co

o tym sądzić. Krajem kierował teraz Rząd Jedności Narodowej: Clement Attlee z Partii Pracy został wybrany na zastępcę Churchilla, a największy bohater Colma, Ernest Bevin, został ministrem pracy, nie było już zatem potrzeby, by członkowie partii spotykali się regularnie i planowali upadek konserwatystów. Byli zupełnie zadowoleni z tego, co mieli — w związku z czym 268

na spotkania mało kto przychodził. W dodatku brakowało benzyny i Colm musiał odłożyć na dłuższy czas jeżdżenie furgonetką.

Jako że nie brakowało pracy dla zdrowego i silnego mężczyzny w wieku

czterdziestu sześciu lat, Colm znalazł niebawem inne zajęcie, tym razem w fabryce amunicji w Kirkby, na stanowisku inspektora kontroli jakości.

Nawiązał bliskie kontakty z miejscową Partią Pracy i działał jako wolontariusz, organizując imprezy społeczne, a także zajmując się korespondencją, która od początku wojny spadła prawie do zera. W salonie jego domu przy Shaw Street nadal odbywały się comiesięczne zebrania, na których teraz bywała zaledwie garstka najbardziej lojalnych członków partii.

Sześć tygodni wcześniej, kiedy Ignatius Herlihy, stary i schorowany członek

parlamentu z ramienia Partii Pracy z terenu Toxteth i Dingle, przeniósł się w czasie snu do wieczności, organizacja wyborów uzupeł-

nających spadła na Colma.

Jego pierwszym zadaniem było poinformowanie o tym wszystkich członków, a następnie, po kilkudniowej przerwie przewidzianej na uroczystości pogrzebowe Ignatiusa Herhily'ego — poproszenie o podanie ewentualnych kandydatów, którzy chcieliby zająć wakujące stanowisko w parlamencie. Otrzymał już nawet pierwsze zgłoszenie, wysłane zresztą z niestosownym pośpiechem, od gościa nazwiskiem Bertram Gilbert, który pracował dla

Bevina w Ministerstwie Pracy.

W sumie dostał dziesięć zgłoszeń, w których kandydaci podawali swoje dane osobowe i historię działalności politycznej, załączając fotografię. Colm zwołał walne zebranie w swoim salonie, żeby omówić szczegółowo wszystkie te zgłoszenia, a osoby, które się okazały interesujące, zaprosić w niedalekiej przyszłości na zebranie kwalifikacyjne.

— Mamy cztery miejscowe zgłoszenia, cztery z Londynu, jedno z Isle of Wight i jedno ze Szkocji, a dokładnie z Glasgow — powiadomił na wstępie zgromadzony „tłum” w liczbie trzech osób. Byli to:

Bill Randal, osiemdziesięcioletni i pedantyczny do szpiku kości, Jessie Connors, prawie tak stara jak Bill, która była jego zaciekle wrogiem i niemal automatycznie protestowała przeciwko wszystkiemu, co powiedział tamten, wreszcie Chris Pitt, mniej więcej w wieku Colma, rozsądny facet, który odzywał

się tylko wtedy, gdy uznał, że naprawdę warto.

— Myślę, że możemy sobie darować kandydatów z Isle of Wight i z Glasgow — powiedział Bill. — Rząd nas prosi, żebyśmy nie ruszali się z miejsca, jeśli rzeczywiście nie ma takiej konieczności. Byłoby 269

niepatriotycznie kazać ludziom jeździć tak daleko. Według mnie już sam fakt, że w ogóle się zgłosili, jest z ich strony wysoce niepatriotyczny —

ciągnął. — Powinniśmy od razu wykreślić tych dwoje.

— Nie bądź głupi, Bill — odezwała się pogardliwie Jessie. — Jeżeli chcą przyjechać, powinniśmy im na to pozwolić. Colm, skarbie, podaj nam szczegóły. Zobaczmy, co te gnojki mają o sobie do powiedzenia.

— Jedno zgłoszenie jest od kobiety — powiedział Colm niby mimochodem.

— Kobieta! — Chris był zaskoczony. — Chciałbym, żebyśmy wysyłali kobiety do parlamentu. Jak się nazywa, Colm? Jest miejscowa?

— Nazywa się Elizabeth Phelan, ma czterdzieści dwa lata i mieszka w Wallasey. Należy do naszej partii od osiemnastego roku życia... Poza niewielką przerwą, podczas której należała do komunistów. — Colm sam był zaskoczony, jak spokojnie to powiedział.

— Do komunistów! — parsknął Bill. — Ja tam nie chcę, żeby mnie reprezentował jakiś ekskomuch.

— Ależ ja doskonale pamiętam Lizzie

Phelan! Kiedyś była w naszym oddziale!
— zawołała Jessie. — Co do mnie,
nigdy nie poświęciłam jej większej
uwagi, była za bardzo zadowolona z
siebie. Wyobraźcie sobie —

dodała pospiesznie — że akurat jeśli o
mnie chodzi, to zupełnie mi nie
przeszkadza, że przez jakiś czas była
komunistką. Liczy się chwila obecna!

Teraz rozgorzała kłótnia pomiędzy
Billem a Jessie; Chris tylko z rzadka
wtrącał jakieś słowo. Colm prawie nic
nie mówił. W końcu po dwóch
hałaśliwych godzinach zapadła decyzja,
żeby zaprosić całą czwórkę
miejscowych kandydatów i dwóch z
Londynu na zebranie kwalifikacyjne.

Wszyscy się rozeszli do domów, lecz Colm nadal siedział w salonie, wpatrzony w fotografię Lizzie Phelan. Jeśli nadesłane przez nią zdjęcie nie było stare, to prawie wcale się nie zmieniła. Tylko włosy były inne, kręcone, podczas gdy dawniej miała proste — pewnie teraz robiła sobie trwałą ondulację. Zdjęcie nie pasowało do okoliczności. Była na nim upozowana na gwiazdę filmową, z jednym ramieniem wysuniętym do przodu. Uśmiechała się zawadiacko do aparatu.

Kolejny raz czytał jej ładnie wypisany na maszynie życiorys. Już od lat nie pracowała jako sekretarka, od tamtych

czasów zaszła bardzo wysoko.

Pracowała krótko w międzynarodowej agencji w Paryżu, później dla tej samej agencji w Nowym Jorku. Zaledwie parę tygodni przed 270

wybuchem wojny wróciła do Liverpoolu i mieszkała teraz z siostrą, po drugiej stronie wody*, w Wallasey. Pracowała dla firmy inżynier-ryjnej w Chester, która produkowała części do czołgów. Colm się uśmiechnął. To było akurat w stylu Lizzie — rzucić w diabły wygodną, dobrze płatną pracę za granicą i wrócić do domu, żeby pracować w fabryce!

To dzięki niej poczuł się tak pewnie i odzyskał wiarę w siebie, przypomniawszy sobie Colm z odrobiną nostalgii. Była

tą, która go przekonała, że ma chłonny umysł. Tylko dzięki Lizzie zaczął czytać książki takich autorów, jak George Bernard Shaw, Bertrand Russell czy Prawa człowieka Thomasa Paine'a... To ona wprowadziła go w świat, o którego istnieniu nie miał wcześniej najmniejszego pojęcia. Gdyby nie ona, nadal uważałby za wielkie szczęście taką pracę, jaką miał wtedy, w składzie budowlanym jej ojca. Ale ich romans, jeżeli tak to można nazwać, był krótki i nieprzyjemny, w dodatku niemal zrujnował jego małżeństwo.

Wciąż trzymał w ręku jej zdjęcie, kiedy weszła Brenna.

— Już poszli? Nic nie słyszałam.
Napijesz się herbaty, kochanie?

— Proszę, skarbie.

Z poczuciem winy zgarnął wszystkie zdjęcia i dokumenty.

— Będę musiał napisać do wszystkich tych ludzi i powiedzieć im, czy mają przyjechać, czy nie, a na koniec urządzić zebranie kwalifikacyjne.

Miał nadzieję, że na to zebranie przyjdzie więcej członków, nie tylko dzisiejsza trójka.

Na zebranie wybrał salę nad barem i zrobił z tego składkową imprezę,

prosząc ludzi o przyniesienie jakichś drobnych przekąsek. Brenna też była członkiem partii, chociaż uważała zebrania za nudne i dlatego nigdy się na nich nie pojawiała. W innych okolicznościach zasugerowałby pewnie, żeby tym razem zrobiła wyjątek i jednak przyszła — dla dobra sprawy. W końcu powinno tam być jak najwięcej ludzi, lecz Colm podejrzewał nie bez racji, że nawet po tylu latach hasło „Lizzie Phelan”

będzie działać na Brennę jak płachta na byka. Nic więc nie mówił, mając w głębi duszy nadzieję, że jego żona pozostanie w błogiej nieświadomości, aż będzie po wszystkim. Zastrzeżenia co

do kandydatury Lizzie były

* Liverpool jest położony nad morzem, które tworzy coś w rodzaju fiordu, dzielącego miasto na dwie części; ten fiord mieszkańcy nazywają „wodą” (przyp.

tłum.).

271

naprawdę minimalne. I bardzo dobrze się składa. Dzięki temu ta femme fatale zniknie z jego życia na kolejne dwadzieścia lat — a może tym razem już na zawsze...

Była zdecydowanie najlepszym

kandydatem. Mówiła jasno i zwięźle, bez teatralnych gestów, bez walenia pięścią w stół jak mężczyźni, którzy przemawiali już przed nią — Colm ustawił mówców w porządku alfabetycznym, tak że Lizzie Phelan była przedostatnia. Mówiła o sprawiedliwości i uczciwości, o swojej nadziei na lepszy świat, świat, w którym kobiety będą odgrywały większą rolę.

— Przede wszystkim w parlamencie — powiedziała. — Jestem pewna, że wy, mężczyźni, też nie bylibyście zadowoleni, gdyby rządy kraju znalazły się wyłącznie w rękach płci przeciwnej.

Potem przez dziesięć minut zadawano jej pytania, znacznie trudniejsze od tych,

które przedtem kierowano do mężczyzn.
Niektóre były wręcz grubiańskie.

— Dlaczego nie wyszła pani za mąż? —
chciał wiedzieć Bill Randal.

— Ponieważ nigdy nie spotkałam
mężczyzny, za którego chciałabym wyjść
— odparła chłodno.

— Nie chciała pani mieć dzieci? —
spytała kategorycznym tonem jedna z
kobiet.

— Nie jestem zamężna, więc to pytanie
wydaje mi się nieistotne.

— Czy sądzi pani, że to słuszne, by
kobiety zasiadały w parlamencie teraz,

kiedy trwa wojna?

— Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego nie miałyby tam być. To kobiety rodzą synów i córki, którzy później za nas walczą, i to one powinny mieć w tej kwestii jakiś głos.

Z trzydziestu jeden członków partii, którzy przyszli na zebranie — w tym pięć kobiet — tylko dwóch oddało głos na Lizzie. Jednym był Colm, drugim Chris Pitt. Była za mądra dla mężczyzn, a za ładna dla kobiet. Co więcej, była niezamężna, a obie strony uznały, że kobieta tak wąska w pasie i z tak pięknie zarysowanym biustem, która w dodatku maluje paznokcie lakierem w kolorze szminki, ma na sobie elegancki

fioletowy kapelusz pasujący do eleganckiej, również fioletowej sukni, jedwabne pończochy i najwyższe obcasy, jakie sobie tylko można wyobrazić — musi być niebezpieczna.

Colm Caffrey najbardziej chyba odczuwał to niebezpieczeństwo. Zamierzał jedynie podać Lizzie rękę, podziękować jej, że przyszła, i życzyć

272

szczęścia na przyszłość. Tymczasem, kiedy zebranie zakończyło się wy-borem Bertrama Gilberta jako obiecującego parlamentarzysty, który będzie reprezentował Toxteth i Dingle, Colm nie mógł się powstrzymać od

zaproszenia Lizzie na dół do baru na drinka.

Podziwiał jej niechęć do kompromisu. W swoim przemówieniu wyraziła własne przekonania, a nie mówiła pod publiczność. Podziwiał jej styl ubierania się, lakier na paznokciach i jedwabne pończochy, to, że nie przyszła ustylizowana na partyjną aktywistkę, w zapiętym pod samą szyję szaroburym kostiumiku, który zrobiłby odpowiednie wrażenie na wyborcach.

— Prawie się nie zmieniłaś — powiedział. — Poznałbym cię wszędzie.

Na jej twarzy nie dostrzegł zmarszczek, no, może jedną lub dwie na czole, piwne

oczy błyszczwały żywo jak u młodej dziewczyny. Nie straciła ani trochę zapachu do życia ani do poświęcania się, by było ono lepsze, nie tylko dla niej, ale dla wszystkich.

— A ty, Colm, wyglądasz o wiele za staro jak na swój wiek — odparła z właściwą sobie szczerością. — Dlaczego nie kandydowałeś? Z łatwością byś wygrał.

— Nawet mi to nie przeszło przez myśl — wyznał.

— Nie doceniasz się, jak zawsze — powiedziała gniewnie. — Jesteś szlachetny, prawdomówny i mógłbyś być fantastycznym członkiem

parlamentu. Jestem zaskoczona, że twoja żona cię do tego nie namawiała.

— Brenna jest... Ona tak nie myśli. — Brenna go kochała, z pewnością jednak nie uważała za dobry materiał na polityka.

— To znaczy, że nie wie, kogo ma za męża. Teraz jest właśnie pora, żebyś zaczął mieć trochę wyższe cele, Colm. Wiesz, jak to się mówi:

„Granicą jest już tylko niebo”.

Był blisko Lizzie zaledwie od pięciu minut, a już wierzył, że nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby podołać. Wyprawiała cuda z jego ego.

Wyciągnęła paczkę papierosów i poczęstowała go.

— Nie, dzięki. — Wyjął jej z ręki srebrną zapalniczkę i podał ogień; zwrócił uwagę na zaokrąglenie jej policzków, na długie, ciemne rzęsy, na to, jak wysuwała różowe wargi, wydmuchując dym. — Jak ci się mieszka w Wallasey? — zapytał.

— W Wallasey jest miło, ale dom mojej siostry jest strasznie ciasny.

Niedługo przenoszę się do Liverpoolu. Dostałam stanowisko szefa kadr w fabryce amunicji w Kirkby.

Colmowi aż dech zaparło.

— Tam właśnie pracuję.

— W takim razie na pewno będziemy od czasu do czasu na siebie wpadać.

— Na pewno — przytaknął Colm.

Po powrocie do domu na Shaw Street i po filiżance herbaty oraz zdaniu Brennie relacji z wydarzeń wieczoru (z pominięciem wszystkiego, co dotyczyło Lizzie Phelan) Colm wszedł na górę i obejrzał się od stóp do głów w sięgającym podłogi lustrze, czego już od bardzo dawna nie robił.

Zobaczył zmęczonego mężczyznę z

opadającymi ramionami, mężczyzną o jakby zamazanych rysach, siwiejących włosach i z początkami brzuszka.

Całe jego ciało sprawiało wrażenie przykurczonego, przez co wydawał się niższy, niż był w rzeczywistości. Nic dziwnego, że Lizzie nie prawila mu komplementów. Rzeczywiście wyglądał staro jak na swoje lata. Wyprostował ramiona, wciągnął brzuch i od razu poczuł się wyższy — i młodszy.

Powtórzył to ćwiczenie kilkakrotnie, po czym zszedł na dół i oznajmił

Brennie:

— Myślę, że sprawię sobie nowy

garnitur, kochanie, zanim materiały
zaczną być na kartki.

— Ale przecież ten możesz jeszcze
nosić całe lata! — zawołała Brenna.

— No tak, ale jest już strasznie
niemodny. Klapy za szerokie, poza tym
chciałbym mieć wreszcie
jednorzędówkę. No i nigdy mi się nie
podał ten kolor. Chciałbym mieć
ładny, ciemnoszary. — Nie mógł

zrozumieć, co go podkusiło, żeby kupić
brązowy. — Żebyś tylko zobaczyła, jaki
garnitur miał ten gość Bertram Gilbert!
Prawdopodobnie kupił go na Savile
Row, musiał kosztować niezłą fortunę.

Brenna się roześmiała.

— Już ty lepiej nie rezygnuj z Burtonów, tych, co to szyją za pięćdziesiąt szylingów. A w ogóle gdzie jest ta cała Savile Row? Nie mam pojęcia, kochanie, ale na pewno to nie dla ciebie ani dla mnie.

Właśnie... — pomyślał Colm wysoce nielojalnie — to jest cała Brenna.

Nigdy nie mierzy dostatecznie wysoko.

Eleanor oczy omal nie wyszły z orbit, kiedy otworzyła drzwi i go zobaczyła, a Marcusowi przemknęło w tej samej chwili przez myśl, że nigdy dotąd nie odwiedził swojej byłej żony w domu

przy Tigh Street.

274

Stąd jej zdumienie... Wyglądała bardzo ładnie w niebieskiej bluzce i białej spódnicy, z opalonymi, gołymi nogami. Aż trudno mu było uwierzyć, że ta beztroska, uśmiechnięta kobieta to ta sama szara myszka, z którą się kiedyś ożenił.

— Dzień dobry. — Uchylił kapelusza.
— Chciałbym z tobą przez chwilę porozmawiać, jeśli oczywiście pozwolisz.

— Naturalnie, Marcus. — Usunęła się na bok wdzięcznym ruchem, by mógł

wejść. Zdjął kapelusz i wszedł do ładnego holu, z tapetą w kwiaty i białą stolarką.

— Te drzwi w głębi — powiedziała. — Przepraszam za bałagan, ale akurat robię kołdrę ze skrawków.

W rogu zalanego słońcem pokoju stała nożna maszyna do szycia, z której zwisał wielobarwny patchwork, a na stole leżały porozrzucane kwadraty różnych tkanin. Oszklone drzwi do ogrodu były otwarte.

Wyszedł do maleńkiego ogródka z równiutkimi grządkami jarzyn i szklarnią pełną roślin pnących, przypominającą dżunglę. Usiadł na foteliku pokrytym

kwiecistym kretonem.

— Napijesz się czegoś? — spytała Eleanor. — Mam herbatę, jakąś kawę, trochę gorzką, i lemoniadę.

— Nie, dziękuję. Przykro mi z powodu Jonathana — powiedział, kiedy usiadła naprzeciwko, na krześle pasującym do fotela.

Lekceważąco machnęła ręką.

— Początkowo byłam naprawdę bardzo zmartwiona, ale już się przyzwyczaiałam do tej myśli. Jonathan nie może się doczekać — wyjeżdża w sobotę. Boję się jego wyjazdu, chociaż wiem, że byłoby bez sensu robić z tego aferę.

Więc będę się po prostu uśmiechała i zniosę to tak, jak to zniosła Brenna, kiedy jej dzieci poszły do wojska — a teraz Fergus wrócił

do domu jako bohater. — Splotła ręce na kolanach i spojrzała na niego wyczekująco. — A o czym ty chciałeś ze mną porozmawiać?

Odkaszlnął niepewnie.

— Myślałem o sporządzeniu testamentu i...

— Chyba nie jesteś chory? — przerwała mu w pół zdania.

— Nie. Ale mówią, że naloty mogą lada

chwila się zacząć, więc szanse przeżycia są raczej coraz mniejsze... dla nas wszystkich. Przypomniałem sobie niedawno, że połowa domu przy Parliament Terrace jest twoja...

Znów mu przerwała.

— Dużo czasu upłynęło, zanim sobie o tym przypomniałeś, Marcus.

Prawie dwadzieścia lat.

275

— Wiem i przepraszam — odparł pokornie. — Nie myślałem o tym, dopiero gdy zacząłem się zastanawiać nad testamentem, zorientowałem się, że

przecież nie mogę zapisać domu Sybil,
ponieważ jestem właś-

cicielem tylko jego połowy.

— Ja swoją połowę oddam ci z
przyjemnością! — zawołała Eleanor.

— Nigdy, przenigdy nie będę już tam
mieszkać. Teraz mój dom jest tutaj i
pozostanę w nim aż do śmierci. Sybil
może sobie zatrzymać tamten, życzę jej
jak najlepiej, chociaż jakoś sobie jej tam
nie wyobrażam. Najprawdopodobniej
go sprzeda i kupi coś bardziej
nowoczesnego.

Ponieważ Marcus wiedział, że wtedy
będzie już leżał w grobie, nie

przejmował się zbytnio tym, co Sybil zrobi z domem przy Parliament Terrace.

— Jeżeli dam ci adres mojego adwokata, to czy mogłabyś do niego wysłać list, żeby sprawa nabrała mocy prawnej?

— Zrobię to jeszcze dziś — powiedziała pogodnie. — Ale co z Anthonym? Czy on i Sybil nie powinni się podzielić domem? W gruncie rzeczy, jeśli napiszę ten list, chyba nie będziesz musiał sporządzać testamentu? Nie jesteśmy już małżeństwem, więc wszystko przechodzi automatycznie na dzieci.

— Właśnie z tego względu chcę go

napisać. Od lat nie mieliśmy wiadomości od Anthony'ego — w każdym razie ja nie miałem. A ty?

— Ostatni raz, kiedy skończył osiemnaście lat, potem już nie. Pisałam do niego mnóstwo razy, ale nie odpowiadał. — Nie robiła wrażenia ani trochę zmartwionej z tego powodu. Całe jej życie wypełniał teraz Jonathan — inne dzieci się nie liczyły. Chociaż twierdziła, że kocha Sybil, Marcus podejrzewał, iż utrzymuje stosunki z córką wyłącznie z poczucia obowiązku.

— To znaczy od sześciu lat — podsumował poważnie. — Mój ostatni list do niego wrócił nieotwarty z adnotacją „Adresat już tu nie mieszka”.

Nic mu się nie należy. I wierz mi, naprawdę nie chciałbym, żeby po mojej śmierci tu wracał i żądał udziału w tym domu. Albo wpadł na pomysł, żeby go sprzedać czy też zatrzymać. Zresztą... znając Sybil, jestem pewien, że chciałyby mu zrobić na przekór. Nigdy się nie lubili, więc sprawy mogłyby przybrać bardzo nieprzyjemny obrót.

Wiedział, że na tym świecie istnieją dwie rzeczy, które zawsze mogą sprawić, że rodzina zacznie sobie skakać do gardeł: pieniądze i własność.

Eleanor westchnęła.

— Chyba masz rację. Jestem pewna, że

naszemu Anthony'emu musi się dobrze powodzić za oceanem, w przeciwnym razie coś byśmy o nim 276

wiedzieli. — Zmrużyła oczy. — Chociaż jestem bardzo ciekawa, jak sobie tam naprawdę daje radę.

— Skoro nie pisze ani nie dzwoni, nigdy się tego nie dowiemy.

Przez okno wpadł czarny kot i wskoczył Eleanor na kolana. Pogłaskała go, a kot zaczął głośno mruczeć.

— Poznaj Toscę — powiedziała Eleanor. — To przybłąda. Oliver ochrzcił ją Tosca, bo miauczy jak pewna śpiewaczka operowa, którą kiedyś

słyszał.

Marcus uśmiechnął się słabo. Nie cierpiał kotów.

— Jest jeszcze jedna sprawa, Marcus — ciągnęła Eleanor. — Mój ojciec miał szmaragdową spinkę do krawata i taki sam sygnet. Mamusia kupiła mu je w dniu ich ślubu. Bardzo bym je chciała mieć... proszę. Nie znam się na przepisach prawnych, ale może mógłbyś mi to zapisać w tym swoim testamencie?

— Po prostu jutro ci je przyniosę — odparł natychmiast — i w ogóle wszystko, czego sobie zażyczysz.

— Tylko ten sygnet i szpilkę do krawata,

nic więcej. — Uśmiechnęła się do niego słodko. — Och, Marcus! Gdybyś zawsze był taki dobry!

Wtedy na pewno nie musiałabym odchodzić z domu. Moglibyśmy do końca życia być szczęśliwym małżeństwem.

Podali sobie uprzejmie dłonie i Marcus poszedł do fabryki, chociaż z prawdziwą przyjemnością zostałby jeszcze trochę w tym słonecznym pokoju, z niewykończonym patchworkiem i czarnym kotem — i z Eleanor.

Nigdy jej nie kochał i pewnie nigdy by nie pokochał, ale kto wie...

Może zostaliby przyjaciółmi? Cóż, chyba było już na to za późno... Tak jak było za późno na tyle innych rzeczy.

Dom nie był jedyną własnością należącą do nich obojga. Eleanor sobie o tym przypomniła, kiedy Marcus już poszedł, a ona siadła z powrotem do maszyny. Przecież ojciec zostawił im też firmę, każdemu po połowie...

Całkiem jej to umknęło podczas ich rozmowy.

Kiedy pierwszy raz opuściła dom przy Parliament Terrace — a ściśle mówiąc, kiedy została zeń wyrzucona — była zbyt przerażona, żeby się zobaczyć z mężem i żądać swojej połowy udziałów.

A zaraz potem zaczęła przyjmować lokatorów i świetnie sobie radziła. Była z tego bardzo dumna i chciała, by Marcus wiedział, że nie potrzebuje ani jego, ani pieniędzy, które jej się prawnie należały.

277

Kiedy jutro przyjdzie, Eleanor przypomni mu o firmie, którą powinien bezwzględnie odziedziczyć Jonathan. Marcus miał rację — jeśli złączą się naloty, ona może zginąć tak samo jak każdy. Może byłoby nie od rzeczy również sporządzić testament?

Zostawiła szycie, napisała obiecany list do adwokata Marcusa i postanowiła

sama pójść do miasta, żeby osobiście wręczyć pismo. Kiedy już tam będzie, umówi się na spotkanie w sprawie własnego testamentu.

Poza tym planowała jeszcze kupić resztki materiałów do swojego patchworku, bo wszystkie, które znalazła w domu, już zużyła.

Cały czas miała co prawda w tyle głowy zbliżający się odjazd Jonathana, ale w gruncie rzeczy dzień uznała za udany. Może z powodu wizyty Marcusa, dzięki której przypomniła sobie dawne czasy, dziś w całej pełni odczuwała smak wolności — teraz mogła robić, co tylko chciała.

Poszła na kawę do Frederick & Hughes, kupiła dwie szminki Revlona, obie o tym samym odcieniu — chodziły słuchy, że kosmetyków, podobnie jak wielu innych rzeczy, już wkrótce może zabraknąć.

Kupiła pismo detektywistyczne dla Fergususa, który, jak jej mówiła Brenna, unieruchomiony w domu śmiertelnie się nudził. Znalazła wreszcie trochę kolorowych resztek i cztery metry krepdeszynu na sukienkę. Sama była zaskoczona, że tak szybko nauczyła się szyc na maszynie.

W drodze do domu zajrzała do Nancy, która przygotowywała właśnie ciasto biszkoptowe bez jaj. W ostatnim czasie jajka całkiem zniknęły ze sklepów.

— I jak ci to wychodzi? — spytała z zaciekawieniem Eleanor. Teraz, kiedy coraz więcej artykułów żywnościowych było na kartki, zaczynała mieć poważny kłopot z wyżywieniem swoich lokatorów.

— Trochę tak jak dwa naleśniki zlepione w środku dżemem, ale jego lordowskiej mości chyba smakuje. Wyobrażasz sobie? Od lipca herbata też ma być na kartki! Dosłownie za kilka dni!

Eleanor zadrżała.

— Jakim cudem damy sobie radę z taką odrobiną, z takim... niczym?

Co to w góle jest pięć deka na tydzień...

— Nie mamy wyjścia, musimy spróbować.

— Masz rację.

Już wkrótce będzie musiała dawać sobie radę bez Jonathana. W porównaniu z tym brak herbaty był doprawdy minimalnym poświęceniem.

278

— Nie ma go — oznajmiła Brenna, kiedy Eleanor przyszła na Shaw Street z pismem dla Fergususa. — Przyjechała po niego karetka i odwiozła do wojskowego szpitala za wodą, na jakąś

„ocenę stanu" czy coś w tym rodzaju.

Napijesz się herbaty? Aha, od przyszłego tygodnia będziesz musiała przynosić swoją. Choćbym i chciała, nie jestem w stanie oddać ani jednego listka z moich cennych pięciu gramów, nawet najlepszej przyjaciółce.

Nikt nie wiedział o jej tajemnych zapasach, trzymany na czarną godzinę.

Jonathan zdjął już szkolny mundurek i siedział w kuchni w starych spodniach i koszulce z krótkim rękawem, kiedy Eleanor wróciła do domu.

— Cześć, mamusiu. — Podniósł głowę i nadstawił policzek do pocałunku. Z

przyjemnością go pocałowała

— Witaj, kochanie. Na podwieczorek mamy sałatkę z peklowaną wołowiną. Wszystko gotowe, zjemy, jak tylko Oliver i Lewis się pojawią.

— Już przyszli. Są na górze i właśnie się awanturują.

— Awanturują?

— No, w każdym razie kłócą się bardzo gwałtownie.

— Ale o co? — Eleanor była zaskoczona. Oliver i Lewis rzadko miewali różne zdania na ten sam temat, a co dopiero mówić o kłótni, w dodatku

gwałtownej!

— Nie wiem, o co, mamusiu. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby ich podsłuchiwać.

Eleanor nie miała takich zahamowań. Podeszła do schodów i słuchała.

Podniesione głosy dochodziły z pokoju Lewisa.

— Ach, jak w ogóle mogłeś mi coś takiego zrobić, Lewis? — zawodził

Oliver.

— Och, Ollie, pytałeś mnie o to już z dziesięć razy — odpowiedział

Lewis swoim głębokim, miłym głosem ze szkockim grasejącym „r” —

i zawsze ci odpowiadałem tak samo. Nie robię nic przeciw tobie, uchwaj Boże, po prostu idę do wojska. Chcę brać czynny udział w jakichś działaniach, a nie tylko siedzieć na tyłku i przerzucać papierki, kiedy inni walczą za mnie w tej przeklętej wojnie!

— To potworny egoizm z twojej strony, Lew. — Eleanor dosłyszała łkanie w słowach Olivera.

— Tak naprawdę, stary, to coś zupełnie odwrotnego. Mam nadzieję, że jak się trochę uspokoisz, wszystko zrozumiesz.

— Nigdy się nie uspokoję, Lew.

— Ależ zrobisz to, zrobisz, mój drogi. Jeszcze rok, dwa, a i tak dostałbym powołanie. Zresztą już niedługo pewnie i ty pójdziesz w kamasze...

Oliver zaczął płakać.

— Nie wiem, jak będę mógł bez ciebie żyć!

— Dasz sobie radę, kochany staruszkku. A teraz chodź tu, daj, wytrę ci nosek...

Eleanor sama poczuła, że ma łzy w oczach. Cóż to za cudowni przyjaciele!

Gdyby wszyscy mężczyźni kochali się tak jak Oliver i Lewis, nigdy nie byłoby wojen!

— Cóż, młodzieńcze, myślę, iż z całą pewnością możemy powiedzieć, że będziesz znów chodzić — zachichotał lekarz. Był to pięćdziesięcioletni, niski i krzepki facet z płomiennie rudymi włosami i milionem piegów.

Ale Fergus nie zaśmiał się w odpowiedzi. Przyjechał karetką do szpitala wojskowego w Bebington, ale do gabinetu lekarskiego poszedł już pieszo i jasne było, że znowu chodzi, chociaż nadal potrzebował kul, bo kiedy opierał ciężar ciała na rannej nodze, bolało.

— No i... — ciągnął jowialnie doktor Worthington — zostanie pan zwolniony z wojska jako niezdolny do służby.

Czy to kolejny żart?

— Co pan przez to rozumie? — rzucił Fergus.

— Dokładnie to, co powiedziałem — zapewnił go lekarz z szerokim uśmiechem. — Kula weszła panu pod kolanem i zgruchotała kości. Będzie pan musiał przejść operację. Wstawią panu metalową część, a to oznacza, że już nie będzie pan mógł zginać tej nogi tak jak przedtem — z tyłoma śrubkami i gwintami w środku jest to po prostu

nemożliwe. Będzie pan trochę kulał, no cóż... Na naszych wspaniałych paradach żołnierze maszerują, a nie kuśtykają, co?

Mówił tak, jakby był właścicielem całego cholernego wojska.

— Nie, myślę, że nie — powiedział Fergus słabym głosem.

— Sądzę, że to najlepsza wiadomość, jaką usłyszał pan od lat.

— Co? To, że będę kulał przez resztę życia?

— Nie, to, że pana zwalniają z wojska.

Przypominał Kota z Cheshire, kiedy tak

bez przerwy szczerzył zęby.

— Na pana miejscu tańczyłbym z radości... mimo zgruchotanego kolana. Odwalił pan kawał dobrej roboty, zrobił swoje, został bohaterem, 280

-i

a teraz może pan przesiedzieć resztę wojny, patrząc na nią z bezpiecznej odległości. Dostanie pan nawet parę szylingów renty.

— Ależ... ja nie byłem żadnym bohaterem. — Fergus poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Siedział teraz na łóżku i czuł się fatalnie, podczas gdy ten szczerzący zęby lekarz mu się

przyglądał. — Prawie przez cały czas trząsałem się ze strachu, byłem przerażony, a kiedy zasłoniłem sobą tego małego francuskiego chłopca, właściwie o niczym nie myślałem.

— Ludzie nie są odważni dlatego, że nie czują strachu; a kiedy pan rzucił się do rowu i nakrył tego chłopca, działał pan spontanicznie, nie myśląc o sobie. — Teraz dla odmiany lekarz przestał się szczerzyć i patrzył

zupełnie poważnie. Poklepał Fergusa po zdrowym kolanie. — Jest pan bohaterem, młodzieńcze, niech pan o tym nie zapomina. Aha, przyślę panu kartkę z datą i godziną operacji — to będzie pewnie w połowie lipca. Chce pan, żeby

zawieźli pana do karetki wózkiem?

— Nie, dzięki, wolałbym pójść. Do widzenia, doktorze, i jeszcze raz dziękuję.

Już niedługo nie będę nosił tego munduru... — myślał Fergus, idąc wcale zręcznie po korytarzu w stronę wyjścia; zaczynał już być specem w chodzeniu o kulach. Próbował sobie wyobrazić, jak odczuje utratę munduru, ale jakoś nie potrafił. Umysł miał zmacony prawie tak samo jak wtedy pod Dunkierką.

— Czy pan Fergus Caffrey?

Obok niego pojawiła się młoda pielęgniarka o kruczoczarnych włosach z

równy przyciętą grzywką. Fergus kiwnął głową.

— Widziałyśmy pana fotkę w „Echu” i słyszałyśmy, że ma pan tu przyjść.

Jesteśmy obie z Liverpoolu, wie pan...

— Z jego drugiej strony zjawiała się następna pielęgniarzka. Była wysoką blondynką i trochę przypominała mi siostrę Carę.

— Czekałyśmy przed gabinetem doktora Worthingtona, żeby sobie pana lepiej obejrzeć, bo na zdjęciu to widać pana tylko z tyłu. — Czar-nowłosa

zachichotała. — Nie przypuszczałyśmy, że z pana taki przystojniak, no, no. I te okulary... naprawdę bardzo twarzowe.

— Fergus sprawił

sobie ostatnio nową parę. Nie był do końca pewien, czy rzeczywiście są mu potrzebne, ale czuł się w nich dużo lepiej.

— Prawdziwy przystojniak —
potwierdziła blondynka. — A przy okazji... ja jestem Pamela, a to Betty.

Fergus poczuł lekkie mdłości.

— Miło mi poznać, Pamelu... i Betty.

281

— Nie przeszkodzi panu, że go
odprowadzimy aż do karetki? —

spytała Betty.

— Jeżeli to paniom nie sprawi kłopotu...

— Teraz poczuł się jeszcze gorzej.

Pamela się roześmiała.

— Och, my mamy wiecznie kłopoty, takie czy inne, więc to nie ma znaczenia, prawda, Bet?

— Jasne, że nie. Ile czasu minie, zanim będzie pan mógł znowu tańczyć?

— Nie jestem pewien. — Fergus nigdy w życiu nie tańczył. Zaczęło go bawić to zainteresowanie dwóch ładnych pielęgniarek jego osobą. —

Może już nigdy... Mam mieć operację i doktor mówi, że może się skończyć na tym, że już zawsze będę kuleć.

— Chciałby pan, żebyśmy ja i Betty nauczyły pana znowu tańczyć?

— Bardzo bym chciał, dziękuję.

— A będziemy mogły przyjść do pana zobaczyć się z panem? Pod warunkiem oczywiście, że da nam pan swój adres.

— Tego też bardzo bym chciał... —
Uśmiechnął się do obu siostrzyczek.

Życie jest jednak pełne niespodzianek. Mimo że kulał, wyglądało na to, że nie będzie końca korzyściom z tego, że

niemiecki pilot trafił

Fergusa w nogę.

Rozdział 11

Cara wcisnęła stopą hamulec, auto zazgrzytało i stanęło. Wyskoczyła i zwymiotowała na poboczu drogi.

— Dobrze się czujesz, Caffrey? —
Kapitan Bradford wystawił głowę przez okienko i przyglądał się jej skonsternowany.

— Proszę mi wybaczyć, sir. Chyba coś się dzieje z moim żołądkiem.

Jakaś niestrawność czy co...? —

Umierała ze wstydu, idąc chwiejnym krokiem z powrotem do humbera.

Wślizgnęła się za kierownicę. — To pewnie z przejęcia.

— Oczywiście, przecież wkrótce wychodzisz za mąż. A propos, kiedy to ma być?

— Pojutrze, sir.

Już miała włączyć zapłon, kiedy kapitan pochylił się do przodu i wziął

ją za ramię.

— Odpocznij chwilkę. Wcale mi się nie spieszy. Nie pomogłaby ci kropelka whisky? Mam buteleczkę w kieszeni.

— To bardzo miłe z pana strony, kapitanie, ale obawiam się, że mogłoby mi się zrobić jeszcze gorzej. — Już sama myśl o whisky sprawiła, że znów poczuła mdłości, a palące słońce bynajmniej jej nie pomagało.

Ostatnio strasznie męczył ją upał. Czowała się tak, jakby ją obracano powoli na wielkim rożnie, chociaż była bez kurtki i miała zawinięte rękawy koszuli.

— Ślub ma być w naszej kapliczce, w Marzipan Hall?

— Tak, sir, w południe. — Do tej chwili brakowało już zaledwie czterdziestu ośmiu godzin.

— Mógłbym zajrzeć, gdybyś się oczywiście zgodziła, życzyć wam szczęścia.

283

— Ależ będzie pan najmiłym gościem!
— zawołała z entuzjazmem.

— Miałaś jakieś nowe wiadomości o bracie?

— Nie, sir, od ostatniej rozmowy już nie. Wybierał się do szpitala na oględziny, potem mieli zdecydować, co z nim dalej robić, ale nie mam pojęcia, co postanowili. — Cóż to była za ulga, kiedy mama napisała, że Fergus jest bezpieczny, chociaż ranny.

— A swoją drogą, dziwna sprawa z tą Dunkierką — zamyślił się kapitan. — Potrafili zmienić sromotną klęskę w chwalebne zwycięstwo.

Bystry chłop z tego Churchilla.

— Ma pan rację, kapitanie.

Już się zaczynała lepiej czuć, w każdym razie serce przestało jej walić, a zamęt w brzuchu powoli się uspokajał. Tylko ze słońcem nic się nie dało zrobić, poza ucieczką od jego palących promieni — im wcześniej, tym lepiej. Wiozła kapitana do Valletty na spotkanie w tej samej kawiarni, gdzie trzy miesiące temu poznała Kita.

Tak samo jak wtedy spotkanie odbywało się na pięterku w prywatnym pokoju. Kiedy kapitan Bradford zniknął już za drzwiami, poprosiwszy ją przedtem, żeby zaczekała, i zapewniając, że to nie potrwa długo, Cara zdjęła czapkę, usadowiła się w zacienionym rogu, w którym było na tyle chłodno, na ile może być na Malcie w lipcowy dzień. Zamówiła zimny napój u kelnera o wyglądzie gwiazdora filmowego. Po paru minutach przybył ten sam oficer lotnictwa, ale kiedy Cara spojrzała w stronę samochodu, w nadziei, że może przywiózł

go Kit, okazało się, że kierowcą jest inny, dużo starszy mężczyzna.

Nie przejęła się tym zbytnio. W tej chwili chciała być sama ze swoimi myślami.

To wcale nie z przejęcia miała te mdłości. Owocem nocy spędzonej z Kitem na Gozo było dziecko.

Przypomniała sobie, jak bardzo ją bolało, a potem, że Kit nazwał to kompletną klęską — a jednak ta noc dała początek nowemu życiu, które teraz w niej rosło.

Nie powiedziała o tym Kitowi — jeszcze nie. Mijał dopiero drugi dzień, kiedy się zorientowała, dlaczego co rano jest jej tak niedobrze, że zbiera się jej na wymioty w najmniej odpowiednich momentach, że ją odrzuca od jedzenia,

zwłaszcza od smażeniny; wszystko to dlatego, że była w ciąży i że jej życie, które już i tak diametralnie się zmieniło w ostatnim roku, teraz miało ulec kolejnej zmianie. Przedtem myślała, że nadal będą się regularnie widywać z Kitem kilka razy w tygodniu, ale wyglądało na to, że teraz będzie inaczej.

284

Podobało jej się w wojsku, ale jak tylko się pobiorą, będzie musiała odejść, wrócić do domu i tam urodzić jego dziecko, a potem czekać na koniec wojny, aż Kit wróci — już do pełnej rodziny.

Już postanowiła, że wróci do

Liverpoolu. Chciała być w tym, bardzo ważnym dla niej czasie blisko matki, chociaż na Shaw Street nie było teraz zbyt wiele miejsca, bo Tyrone, Maria oraz ich dwaj chłopcy już tam mieszkali. Gdyby Lewis Brown zaciągnął się na ochotnika, jak o tym wspominał podczas ich spotkania, mogłaby ewentualnie zająć jego pokój i zostać lokatorką Eleanor, a za wynajem płaciłaby z żołdu, który otrzymywałaby od wojska jako żona Kita.

To oznaczało, że trzeba będzie powiedzieć o wszystkim mamie — że ona i Kit pobrali się już parę miesięcy temu; co prawda będzie takie piekło, że ho, ho, bo przecież nikt nie raczył jej o

tym wcześniej poinformować, zwłaszcza kiedy się dowie, że się wzięli ślubu w katolickim kościele. Ale to lepiej, niż gdyby się dowiedziała, że Cara była już w drugim miesiącu ciąży, kiedy szła do ślubu; zakładała w każdym razie, że musi wyjść za mąż. Cara pamiętała, jak długo trwało, zanim matka zaczęła rozmawiać z Marią, kiedy tamta musiała wyjść za Tyrone'a. Tak czy inaczej, Cara nie była gotowa do życia w cieniu matczynego gniewu, aż do czasu, kiedy jej przebaczy.

W noc przed swoim ślubem Cara zaprosiła wszystkie dziewczęta z kwatery do Marzipan Hall na drinka w kasynie — dwie, które miały dyżur,

musiały niestety zostać. Zaczęły wcześniej, już o wpół do siódmej, bo Kit i Mac mieli się zjawić koło ósmej. Ścigali się na swoich rowerach aż z Valletty. Kit zwykle wygrywał, ponieważ miał dłuższe nogi.

W ciągu godziny dziewczęta miały już dobrze w czubie, z wyjątkiem Cary, która poprzestała na lemoniadzie. Ich wesołość była zaraźliwa i dlatego każdy w zatłoczonej kantynie dołączał z ochotą do korowodu dziewczyn tańczących congę, kubański taniec, potem Knees U!!, Mother Brown; wszyscy śpiewali We'll Meet Again*, Roll out the Barrel**, Mars a weselnego i wszystko, co im przychodziło na myśl. Carę

wycelowano i życzo jej szczęścia tyle razy, że już całkiem straciła rachubę.

Fielding naśladowała właśnie z wielkim talentem Charliego (haplina, kiedy pojawił się kapral Culpepper. Wyglądał na wyjątkowo rozzłoszczonego.

* We'll Meet Again (Znow się spotkamy) — patriotyczna angielska piosenka z 1939 roku, śpiewana przez znaną pieśniarkę tamtych czasów Veré, I un

** Roll out the Barrel (Wytocz beczkę) — czeska piosenka z 1927 roku — popularna w Anglii w czasie II wojny światowej.

— Czy jest tu w ogóle choć jedna trzeźwa osoba? — zapytał.

Dziewczęta zamilkły, szurały nogami i starały się nie chichotać.

— Tylko ja — powiedziała Cara.

— W takim razie, Caffrey, pędź mi zaraz do Valletty i zabierz z kwatery głównej porucznika Banksa. Nie mają żadnego wolnego auta, inaczej ktoś by go już tu przywiózł. Major Winkworth-Blythe pilnie go potrzebuje... Nie wiem po co, pewnie zachciało mu się pograć w karty. Już przyprowadziłem samochód, kluczyki są w stacyjce, a tu masz hełm

na wypadek nalotu. Nie zapomnij go włożyć, jak tylko usłyszysz syrenę.

Naloty zdarzały się teraz dwa, trzy razy w tygodniu, od tego pierwszego w maju.

— Ale co z Parker i Hughes? —
zawołała Fielding. — Parker i Hughes
miały dyżur i zostały na kwaterze.

— Parker pojechała do Hal Far, żeby
odebrać kogoś z samolotu, a Hughes
skaleczyła się w rękę i wygląda mi to na
zakażenie. Musiałem ją wysłać na
pogotowie. — Oczy Culpeppera
zabfysły. — Czyżbyś kwestionowała
moje rozkazy, Fielding, ty mały pacanie?

— Nie, kapralu, ale Cara jutro wychodzi

za mąż i to nie jest w porządku...

— Chyba wiem, że jutro wychodzi za mąż. Czy to nie ja będę ją oddawał mężowi? Nie myślę, żeby major Winkworth-Blythe uważał, że to nie jest w porządku. Caffrey! — wrzasnął kapral. — Jeszcze tu jesteś?

Nie słyszałaś, że wspomniałem coś o pośpiechu?

— Już idę, kapralu.

To jest nie tyle nie w porządku, co zwykły pech, myślała Cara, wsiadając do auta. Tak się cieszyła na tę chwilę relaksu. Już miała odjeżdżać, kiedy otworzyły się drzwiczki od strony

pasażera i do samochodu wtarabaniła się Fielding, w czapce z daszkiem na tyle głowy i z krawatem w rękę.

— Wyglądasz tak, jakbyś przed chwilą obrabowała bank — zauwa-

żyła Cara.

— Pomyślałam sobie, że z tobą pojedę — sapnęła Fielding. — Wyrzucisz mnie przy tej świątyni przy Barracca Gardens, tam się spotkam z naszymi gagatkami. Zawsze tamtędy jeżdżą. Mac mnie weźmie na ramę.

— O, na pewno będzie zachwycony.

— Chyba tak. Wiesz co, Caffrey, to

siedzenie jest strasznie niewygodne.

— Pewnie dlatego, że siedzisz na hełmie.

286

— Myślisz, że to hełm Culpeppera? —
Fielding położyła hełm na podłodze i
oparła na nim nogi. — Jeśli go włożysz,
możesz dostać W IZ]

czy czegoś takiego.

— Nie wiem, czyj to hełm.

— Bardzo się cieszysz na jutrzejszy
dzień?

— Pewnie! To by dopiero było, gdybym się nie cieszyła! Co za głupie pytanie, Fielding! — dodała po namyśle.

— Chciałabym, żebyś brała ślub cała w bieli — westchnęła Fielding. —

Gdybym była taką prawdziwą druhną, włożyłabym purpurową krynolinę i wielki koronkowy kapelusz z pękiem bladoczerwonych róż przy wstążce, a w ręku niosłabym taki sam bukiet.

Cara parsknęła śmiechem.

— Wcale nie marzę o purpurowej druhnie, a ty, ubrana w taką kreację, wyglądałabyś makabrycznie. Coś takiego musiałaś chyba nosić w

pantomimie.

— Może i tak, kiedyś... pewnie stąd mi to przyszło do głowy.

— Gdybyś nie była taka zalana, wymyśliłabyś sobie pewnie mniej sceniczną kreację.

— Chyba masz rację. — Zamilkła, ale nie na długo. — A jaką suknię ty byś włożyła, Caffrey, gdybyś była taką... jak się należy panną młodą?

— Mam zamiar być „jak się należy” panną młodą, a ty masz być „jak się należy” druzną. Będę po prostu w mundurze, i tyle.

Och, pewnie, że byłaby szczęśliwa,
wychodząc za mąż cała w bieli.

Suknia miałaby prosty, klasyczny krój,
żadnych falbanek, wstążek czy kokard —
i sięgający do pasa welon,
przytrzymywany wiankiem z konwalii.
Wyobraziła sobie swoją matkę siedzącą
w kościele w pierwszym rzędzie,
wzruszoną i rozemocjonowaną, całą w
bladych błękitach — albo w
łososiowych różach — i w wielkim
kapeluszu omotanym woalką. Tato
poprowadziłby do ołtarza swoją
jedyńczę — to zbieg okoliczności, ale
mama pisała ostatnio, że sprawił sobie
nowy garnitur, ciemnoszary, uszyty u
Burtonów. Wprost idealny na ślub.

Myśląc o ojcu, Cara poczuła nagle, że ma łzy w oczach. W przeciwień-

stwie do mamy, tato nigdy nie tracił zimnej krwi, nie histeryzował, nie krytykował ani nawet nie podnosił głosu. Po prostu był — dla mamy, dla niej, dla wszystkich.

— Wiesz co, Fielding? Mam najcudowniejszego tatę na całym świecie — powiedziała, krztusząc się.

— Na pewno masz, Caffrey.

287

— Chciałabym, żeby jutro tu był i poprowadził mnie do ołtarza.

— Każdy byłby lepszy od Culpeppera. Na przykład King Kong albo doktor Jekyll i pan Hyde...

— Fielding! Czy ty nigdy nie możesz mówić poważnie? — Cara stłumiła uśmiech. — Naprawdę bardzo się martwię, że mojego ojca nie będzie jutro przy mnie, a ty tylko dowcipkujesz.

— Chyba nie potrafię być poważna. — Fielding zwinęła się w kłębek na siedzeniu, zupełnie jak kotka. — Zdrzemnę się odrobinę.

— Ale z ciebie towarzystwo! — parsknęła Cara, ale Fielding, która ku zazdrości wszystkich potrafiła zasnąć w tej samej chwili, w której zamknęła

oczy, już chrapała.

Cara, nucąc Marsza weselnego, jechała pustą drogą. Wieczór był gorący, dało się jednak wytrzymać; słońce, podobne do ogromnej kuli ognia, zachodziło na coraz ciemniejszym niebie. Nic już nie pachniało, bo upał

wypalił wszystkie kwiaty. Pola, wzdłuż których jechała, leżały odłogiem; nic już nie miało na nich urosnąć, aż do jesieni, kiedy Cara pożegna Malteę; będzie w Liverpoolu, z już widoczną ciążą...

Wstrzymała oddech. To wszystko było takie nowe, tak niespodziewane.

I pomyśleć, że za parę tygodni Malta

zostanie już tylko wspomnieniem, jak wszystko, co tu się wydarzyło w życiu Cary. Ludzie często przywożą pamiątki z miejsc, które odwiedzili, a jej będą przypominać ten pobyt mąż i dziecko.

Właśnie dojeżdżała do Barracca Gardens, kiedy zobaczyła dwóch mężczyzn na rowerach, którzy pedałowali jak szaleni. Trąciła Fielding, włączyła sygnał i zahamowała.

— Wyszpiegowałam tych twoich gagatków.

Kit podjechał pierwszy. Wetknął głowę w okienko i pocałował Carę.

— Witaj, kochanie. Jutro o tej porze...

— Nie dokończył, tylko na nią spojrział, a miłość w jego oczach sprawiła, że Carze zachciało się płakać.

— Wiem. — Jutro o tej porze będą na Gozo, naprawią wszystko to, co przedtem popsuli. — Już nie mogę się doczekać — szepnęła.

Mogłaby tak siedzieć do końca świata, patrząc mu w oczy, przypomniawszy sobie jednak o poruczniku Banksie, który czekał na nią w kwaterze głównej.

— Muszę jechać — westchnęła — ale później będę ci miała do powiedzenia coś bardzo ważnego...

— Powiedz teraz — zażądał.

— Nie, później. — Roześmiała się. —
Spotkamy się w kantynie?

Wypijemy z dziewczynami.

W drodze powrotnej prawie na pewno
ich minie i dojedzie tam pierwsza.

Pocałował ją znowu.

— OK.

Ruszyła. Mac już był w drodze. Jechał
zakolami z jednej strony na drugą. Na
kierownicy posadził Fielding, która
chichotała jak wariatka.

Pomachali do niej.

— Cześć, Caffrey!

W chwili gdy zatrzymała samochód przed kwaterą główną, rozległo się przeciągłe wycie syreny, zapowiadającej bliski nalot. Poczwała strach. Jeszcze nigdy nie była w Valletcie podczas nalotu. Na rozmaite części wyspy spadło już mnóstwo bomb, ale ich głównym celem były zawsze doki.

Porucznik Banks czekał, uderzając się nerwowo laseczką po udzie.

Kiedy zahamowała, spojrział znacząco na zegarek.

— Spóźniłaś się, Caffrey — warknął, siadając na tylnym siedzeniu.

— Jechałam tak szybko, jak tylko się dało — odparła Cara sztywno i dodała z oporami „sir”.

Porucznik był młody, arogancki i zawsze miała wrażenie, że traktuje ją jak jaskiniowca. Fielding wprost genialnie naśladowała jego manie-ryczny sposób mówienia, ze zduszonymi samogłoskami i połkniętymi spółgłoskami.

Widać już było nadlatujące nad Malte włoskie samoloty. Zachodzące słońce odbijało się w srebrzystych kadłubach, zmieniając je w jakieś niezwykle owady. Śmiercionośne owady,

pomyślała z drżeniem serca Cara —
nosiciele śmierci i zniszczenia.

— Czy oni nigdy nie słyszeli o
kamouflażu? — zadrwił porucznik Cara
wyjechała z Valletty najszybciej, jak
tylko mogła; jechała do włom
ogłuszającego łoskotu wybuchających
bomb. We wstecznym lusterku widziała
niebo, pokrywane się stopniowo
chmurą czarnego dymu.

O Boże, proszę, nie daj mi zginąć przed
jutrem, modliła się w duchu.

Wydawało jej się niezmiernie ważne, by
pozostać przy życiu do czasu, aż wyjdzie
za mąż za Kita. Ku jej przerażeniu, jakaś
bomba upadła z prawej strony drogi, tak

blisko, że Cara poczuła, jak ziemia drży.

Porucznik Banks nie odzywał się ani słowem; zastanawiała się, czy on też się boi. Dymy i płomienie przesłoniły niebo. Cara przyspieszyła, szybkościomierz przekroczył 110 kilometrów. Nigdy dotąd nie gnała tak

289

na łeb, na szyję. Musiała jednak zwolnić na widok dwóch jadących przed nią rowerów. Były o jakieś czterdzieści metrów od niej. Mac pewnie się zmęczył, bo Fielding siedziała teraz na ramie roweru Kita. Cara zatrąbiła, mijając ich, a oni odpowiedzieli brzęczeniem swoich dość zardzewiałych dzwoneczków.

Porucznik Banks cmoknął zirytowany.

— Nieodpowiedzialni idioci!

Cara znowu przyspieszyła. Przejechała jakieś osiemset metrów, kiedy ziemia znów się zatrzęsła. Patrzyła na lewo, na prawo, przed siebie, nie mogła jednak dostrzec miejsca, w którym spadły bomby. To musiało być gdzieś z tyłu za nią. Spojrzała w lusterko, ale odbijał się w nim tylko czarny dym.

— Caffrey! — warknął porucznik Banks.

— Co?

— Dlaczego stanęłaś?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że stanęła, tylko patrzyła w lusterko i czekała, aż wreszcie zobaczy w nim rowery.

— Caffrey!

Wysiadła z auta i poszła z powrotem drogą, którą przyjechała; właś-

ciwie biegła, szukając rowerów.

Gdzie oni są? Przecież nie zostali aż tak daleko w tyle... Dlaczego się nie pokazali, nie przejechali przez ten dym, wszyscy troje, Kit, Mac i Fielding, śmiejąc się, że udało się im zwiać?

Zbliżała się do leja, powstałego w miejscu, gdzie spadła bomba, kiedy się natknęła na skręcony kawał metalu. To był rower Maca; jedno z kół

jeszcze się kręciło, wydając cichy dźwięk. Ani śladu roweru Kita; już po chwili jednak dostrzegła jego samego. Smukłe ciało leżało na ziemi z rozłożonymi rękami, całkiem nieruchomo. Wyglądał na nietkniętego, ale kiedy podeszła bliżej, gotowa się uśmiechnąć i go pocałować, zobaczyła, że Kit już nie ma twarzy, którą mogłaby obsypać pocałunkami.

Ciało Maca było tak samo powykręcane jak jego rower, a Fielding leżała na boku, jakby przed chwilą zamknęła oczy

i spokojnie zasnęła.

Jedna z jej rąk też leżała o jakieś dwa metry od niej.

Cara poczuła, że coś się w niej załamało. Upadła na kolana i zaczęła krzyczeć. Krzyczała i krzyczała tak bez końca, aż ktoś szorstko postawił ją na nogi.

— Chodź, Caffrey — rzucił krótko porucznik Banks. — Nic tu po tobie. Czym prędzej do Marzipan Hall, musimy tu przysłać karetkę.

Samochód wykręcił się tak, że niemal zawisł nad krawędzią krateru.

Ktoś rzucił Carę na siedzenie dla pasażera, nogami uderzyła w hełm, którego nie włożyła, porucznik gnał jak wicher, a tymczasem bomby wciąż spadały i niebo prawie zniknęło w gęstej zasłonie dymu.

— Znałaś kogoś z tych ludzi? — spytał porucznik w pewnej chwili.

— Znałam ich wszystkich — odparła Cara ze śmiertelną powagą.

Wojsko okazało jej wielkie zrozumienie. Wysłano ją do Liverpoolu na tygodniowy urlop z powodu strat

osobistych i pozostawiono do jej decyzji, czy wróci na Malte, czy też woli, żeby ją gdzieś przenieść.

— Ale nie musisz jechać —
powiedziała Sybil. — Jeżeli chcesz,
możesz zostać na Malcie.

— Nie mogę — odparła Cara. —
Spodziewam się dziecka.

Od momentu, w którym bomba spadła na drogę, minęły prawie dwa dni i, jak dotąd, Sybil była pierwszą osobą, do której Cara się odezwała.

Sądziła, że nikt nie wie, co z nią zrobić,
i dlatego wysyłają ją do domu.

Był lekarz i powiedział, że musi nabrać sił, że wkrótce dojdzie do siebie.

Dał jej tabletki na sen; Cara nie była chora, nie musiała iść do szpitala, ale nie była w stanie wrócić do służby.

Ludzie przychodzili do niej bez przerwy, siadali na pustym łóżku Fielding i mówili, jak bardzo im przykro. A Cara leżała tylko, wpatrzona w sufit, i nic nie mówiła.

Wydało jej się teraz, że ktoś tam wysoko w górze postanowił, że powinni się jej pozbyć i że najlepszym wyjściem jest odesłać ją do domu, żeby się jakoś pozbierała. Cara wiedziała jednak, że nigdy się nie pozbiera po tym, co widziała na drodze do Valletty; ten

widok zapamię-

ta do końca swoich dni. Teraz myślała, że byłoby lepiej, gdyby powiedziała Kitowi o dziecku; zanim umarł, wiedziałby przynajmniej, że został ojcem.

— To wszystko zmienia — rzekła Sybil rzeczowo. Nie sprawiała wrażenia specjalnie zaskoczonej. — Będiesz zwolniona z wojska, chociaż to zajmie parę tygodni, zanim się załatwi wszystkie papiery.

— Ale... ja nie wiem, dokąd pójść — westchnęła Cara żałośnie. —

Mama mnie zabije: zwolniona z wojska

z powodu ciąży! Wiesz, jaka jest mama. Uważa, że Caffreyowie są najlepsi ze wszystkich, a poza tym będzie się okropnie wstydziła. Jestem pewna, że nie będzie chciała mnie nawet widzieć w swoim domu... ze względu na sąsiadów, nawet gdyby było tam dla mnie dosyć miejsca.

291

— Mój ojciec zachowałby się tak samo.
— Sybil przygryzła wargę. —

Nie masz nikogo innego, u kogo mogłabyś zamieszkać?

— Nikt mi nie przychodzi na myśl. —
Cara się rozplakała.

— Wiesz, co ja bym zrobiła na twoim miejscu? Poszłabym do Nancy Gates. Ona zawsze znajdzie na wszystko radę.

— Ale przecież będzie musiała powiedzieć mamie... są przyjaciółkami.

— Nie, nic nie powie. — Sybil gwałtownie potrząsnęła głową. — Nie, jeśli opowiesz jej o wszystkim w największym zaufaniu.

Cara skłaniała się ku myśli, że to może być prawda, ale i tak nie rozwiązywało to jej problemów.

— Mama będzie się zastanawiać, dlaczego przestałam do niej pisać.

— Więc pisz dalej, ale wysyłaj te listy do mnie. Ja wyślę je do twojej matki, a jej listy będę posyłać tobie. I bez obaw, nie wspomnę ani słowem również mojej matce.

— Jesteś taka dobra, Sybil.

— Jestem twoją przełożoną, oficerem, i moim zadaniem jest dbać o ciebie — odparła Sybil trochę sztywno. — W tych okolicznościach nie mogłabym być dla ciebie niedobra. — Wstała i wygładziła fałdy spódniczki. — Załatwię ci jak najszybciej transport do domu, chyba że chcesz zostać na pogrzebach. Biorąc pod uwagę twój stan, najlepiej będzie, jeżeli polecisz samolotem, zamiast płynąć statkiem. Pojedź w mundurze, ale

wszystko inne zostaw, oprócz rzeczy osobistych. Masz swoją torbę?

Cara skinęła głową. Wciąż miała swoją starą walizkę.

Sybil otworzyła drzwi.

— No cóż, bez sensu byłoby ci życzyć miłej podróży, nie teraz, mam jednak nadzieję, że obejdzie się bez komplikacji. Ale, ale! Jeśli spotkasz mojego ojca, przekaż mu pozdrowienia.

— Chciałabym pojechać najszybciej, jak tylko się da, proszę.

Nie odczuwała żadnej potrzeby, by zostawać na pogrzebach. Kit nie żył i

poza tym nic się nie liczyło. Kiedy się pakowała, wyrzuciła małą porcelanową damę, którą jej podarowała mama. Nie przyniosła jej ani odrobiny szczęścia. Nie chciała jej widzieć.

Tak jak sądziła Sybil, podróż przeszła gładko, ale Cara przez cały czas źle się czuła, być może nawet niekoniecznie ze względu na ciążę, tylko dlatego, że sprawy tak się potoczyły. Oczekiwała zmian, spodziewała się, że znajdzie swoje miejsce na ziemi, że będzie miała dziecko, że będzie 292

czekać, aż Kit wróci do domu.

Wyobrażała sobie, jak mu wysyła fotografię maleństwa, jak opisuje jego rozwój, dzień po dniu. „Już siada,

chodzi, mówi «mama», ale uczę go też mówić «tata»". Miała przeczucie, że to będzie chłopiec. Teraz jednak nie miała nawet fotografii Kita i martwiła się, że zapomni, jak wyglądał, ponieważ jedynym, co pamiętała, był Kit bez twarzy.

Leciała samolotem transportowym marynarki i była jedyną kobietą wśród garstki pasażerów. Miejsca siedzące były twarde i niewygodne, silniki przeraźliwie ryczały i co chwila wpadali w turbulencje. Z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej upadała na duchu, tak że w końcu czuła się jak na dnie czarnej, głębokiej jamy, z której nie można się wydostać i gdzie

będzie musiała spędzić resztę życia. Nie oczekiwała już niczego, nawet nie czekała na to dziecko. Kiedyś bardzo go pragnęła, ale wtedy Kit, jego ojciec, jeszcze żył. A teraz Cara da życie dziecku, które już na zawsze będzie napiętnowane jako nieślubne. Jak ona to zniesie? I w jaki sposób zdoła się utrzymać, mając dziecko, którym trzeba się opiekować?

Było późne popołudnie, kiedy samolot wylądował na lotnisku w Suffolk, gdzie skwar był tylko trochę mniejszy niż na Malcie. Czy ktoś na mnie czeka... — zastanawiała się w duchu Cara, idąc za grupką pasażerów do parterowego budynku, gdzie ku swemu zadowoleniu

zobaczyła, że podają napoje i kanapki. Chyba nie jestem tak całkiem zdechła... — przemknęło jej przez myśl, jeśli marzę o filiżance herbaty.

Usiadła na wygodnym fotelu, pijąc herbatę; podziękowała za kanapkę i ciastko, które jej wciskała jakaś kobieta w średnim wieku, opiekująca się stoiskiem z jedzeniem. W tym momencie podszedł do niej jakiś młody lotnik.

— Szeregowiec Caffrey?

— Tak, to ja.

— Nazywam się Connors i mam panią zawieźć do Londynu, a do-kładnie na Euston Station. Rozumiem, że jedzie

pani do Liverpoolu?

Cara skinęła głową. Connors był niskim szatynem i bardzo jej przypominał Maca. Poczwała, że zaraz się rozpłacze, ale zacisnęła wargi, zdecydowana się nie rozklejać.

— Tak, zgadza się.

— Wobec tego ruszamy, jak tylko skończy pani pić herbatę, nie ma pośpiechu.

Przez całą drogę na Euston Station Connors nie przestawał gadać. Na szczęście było mu chyba wszystko jedno, czy otrzymuje odpowiedzi od 293

słuchacza, czy nie, i wydawał się całkiem zadowolony z kilku raczej grzecznościowych mruknięć Cary.

Stacja była zapchana tak nieprawdopodobnie, że ludzie prawie się dusili; zupełnie jakby cała ludność przegrzanego w tych dniach Londynu postanowiła wyjechać ze stolicy — wszyscy w tym samym czasie i w tym samym kierunku. Powietrze pachniało sadzą i dymem. Cara znalazła pociąg do Liverpoolu i aż jej serce stanęło, kiedy zobaczyła, że jest załadowany po same brzegi, z pasażerami ściśniętymi jak śledzie w beczce na korytarzach.

— Lepiej szybko wsiadaj, kotku — ostrzegł ją tragarz. — Odjazd za minutę.

Drzwi się otworzyły i czyjeś ręce wciągnęły ją skwapliwie do wagonu — żołnierze, cały pułk. Cara przełknęła ślinę, nie była w nastroju do spędzenia paru godzin w niewygodach — w dodatku z kupą hałaśliwych żołdaków, którzy jak nic będą się do niej zalecać po swojemu, oczekując od niej, rzecz jasna, tego samego. Ale nie miała wyboru.

Już miała pozwolić, żeby ją wciągnięto do środka, kiedy chwycił ją za ramię jakiś kolejarz.

— Chodź, skarbie. Usiądziesz ze mną w wagonie służbowym. —

Poprowadził ją w stronę słabo oświetlonego wagonu. — Zauważyłem cię już wcześniej. Wyglądasz na okropnie wymęczoną tym upałem, jeśli mi wolno tak powiedzieć. Pewnie źle się czujesz w taką pogodę, co?

Miał na imię Cecil i pochodził z Liverpoolu.

— Z Anfield, tuż przy Liverpool Football Club. Cały kłopot w tym, że ja kibicuję drużynie Everton.

Cara podróżowała więc do Liverpoolu w towarzystwie dwóch psów w klatce, królika w skrzynce, kilku rowerów, dwóch dużych dziecięcych wózków i Cecila, który się z nią podzielił kakao z

termosy, przygotowanym mu na drogę przez żonę, a następnie zostawił ją samą, pogrążoną w żalu:

— Nie wydaje mi się, żebyś miała wielką ochotę na rozmowy, skarbie.

Rzeczywiście, to była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę — zresztą, kiedy się zastanowiła, doszła do wniosku, że właściwie nie ma ochoty na nic.

Nancy Gates spała jak kamień po wyjątkowo zwariowanym dniu. Od czasu, kiedy się zaczęła wojna, Nancy miała dwa razy więcej roboty. Już na samym początku dała sobie spokój z działalnością polityczną i wstąpiła 294

do Czerwonego Krzyża, a ściśle mówiąc, do stowarzyszenia kobiecego Townswomen Guild, ostatnio zaś jeszcze do Ochotniczej Służby Kobiet.

Oprócz prowadzenia domu Marcusa dawała raz w tygodniu lekcje pierwszej pomocy, z czego otrzymała już certyfikat; poza tym szyła razem z Brenną i Eleanor, robiła na drutach skarpety dla żołnierzy; teraz potrafiła nawet robić pięty bez patrzenia na wzór.

Dziś natomiast spędziła cały dzień, pchając ręczny wózek po Toxteth, gdzie pukała do każdych drzwi, prosząc o resztki do wykorzystania.

— Wszystko się przyda: papier, metal,

stare opony, słoiki, stare ża-rówki, baterie i książki — książki są dla żołnierzy, nie do zniszczenia.

Odpowiadano jej z reguły:

— Muszę sprawdzić, skarbie. Wpadnij tu jutro, wtedy dam ci to, co znalazłam.

Choć zazwyczaj nie kładła się spać wcześnie, bez względu na to, jak bardzo była zmęczona, tym razem uznała, że rozsądnie byłoby się położyć przed północą, zanosilo się bowiem na to, że następny dzień będzie równie ciężki.

Nie wiedziała, jak długo już śpi, kiedy usłyszała przez sen, że ktoś stuka w drzwi do piwnicy. Postanowiła nie

reagować, mówiąc sobie, że to pewnie jakiś pijak pomylił domy, gdy usłyszała nagle kobiecy głos, wołający:

— Nancy!

Głos był nabrzmiały rozpaczą.

Stęknęła i podniosła się z łóżka, narzuciła na plecy gruby wełniany szlafrok, który nosiła zimą i latem, wsunęła wielkie stopy w parę męskich kapci i poszła otworzyć.

W pierwszej chwili myślała, że na dworze nie ma nikogo, aż oczy przyzwyczyły się jej do ciemności i wtedy zobaczyła kobietę siedzącą na najniższym schodku do piwnicy. Serce

jej załomotało.

— Brenna!

— To ja, Cara. Już myślałam, że gdzieś wyjechałaś.

— Boże Wszechmogący! Aleś mnie wystraszyła, złotko! Nie zauwa-

żyłam, że masz na sobie mundur, a prawie dwadzieścia lat temu otworzyłam te drzwi i zobaczyłam twoją mamę, siedzącą dokładnie w tym samym miejscu.

— Wybacz mi, Nancy. Mogę wejść?

— No pewnie, złotko. Ale co, u licha, tu

robisz? — spytała, kiedy już zamknęła drzwi i zaciągnęła grube zasłony, tak żeby nawet odrobinka 295

światła nie była widoczna z zewnątrz. Jak automat napełniła czajnik i szybko go włączyła. Miała mnóstwo herbaty, ponieważ udało się jej namówić Marcusa, żeby się przeczucił na picie kawy, dzięki czemu prawie nie zużywał swoich przydziałów.

— Sama nie wiem, od czego zacząć — szepnęła Cara.

Biedactwo, wyglądała na bardzo wyczerpaną. Oczy w czerwonych obwódkach, twarz blada, a smukła szyja opuszczona, jak u więdnącego kwiatu.

— Spróbuj od początku, złotko —
zasugerowała uprzejmie Nancy.

W żaden sposób nie mogła się domyślić,
co przygnało Carę z Malty do domu na
Parliament Terrace, ani dlaczego nie
poszła prosto do matki.

— No, bo... następnego dnia — zaczęła
Cara zmęczonym głosem —

miałam wychodzić za mąż, ale... ale ten
mężczyzna zginął poprzedniej nocy, a
teraz... teraz spodziewam się jego
dziecka i nie chcę, żeby mama się o tym
dowiedziała. Sybil mi powiedziała, że
ty już będziesz wiedziała, co zrobić.

Nancy ledwie mogła uwierzyć własnym

usom. Serce znów jej zamarło.

— Moja ty biedna dziewczynko! Co za straszne rzeczy mi tu opowiadasz! — Objęła ramieniem szczuplutkie plecy Cary i podprowadziła ją do krzesła. — W takiej sytuacji jak teraz naprawdę potrzebujesz swojej mamy.

— Nie! — krzyknęła Cara stanowczo. — Mama będzie krzyczeć, a ja tego nie zniosę, w każdym razie nie teraz. Chcę być tam, gdzie jest spokój.

Spotkam się z mamą, kiedy już urodzi się dziecko. Wtedy będę silniej-sza... — Zaczęła płakać, to był ciężki, przejmujący szloch. — Kit nie żyje, a ja nigdy nie pokocham już żadnego

mężczyzny!

— Jak on umarł, Cara?

— To była bomba... zdarła mu całą twarz. Och, Nancy, nie mogę przestać o tym myśleć! — Przymknęła oczy. — Widzę go nawet teraz, jak leży na drodze, a z nim Mac i Fielding. Urwało jej jedną rękę.

— Cara, moja biedna, kochana dziewczynko... — Nancy samej zbierało się na płacz.

To, że Cara, taka słodka i niewinna, musiała przeżyć taką straszną tragedię, tylko potwierdzało wieczną teorię Nancy, że ktoś taki jak Bóg nie istnieje.

Już nawet względnie przyzwoity Bóg
nigdy by nie pozwolił

na tak potworną wojnę, w której bomby
zdzierają twarze młodym ludziom i
rozrywają na tysiące kawałków
niewinne istoty. Żaden porządny Bóg nie
dopuszczyłby, żeby na Jego świat
przyszedł ktoś taki jak Hitler, a już na
pewno nie dopuściłby go do działania!

296

Zapadła długa cisza, podczas której
Nancy nie mogła znaleźć słów, a Cara
wyglądała tak, jakby przysnęła na
chwilę, chociaż nadal siedziała na
krześle. Nancy myślała, ile też czasu
mogła trwać jej podróż. Na zewnątrz

panowała zupełna cisza. Dawniej o tej porze słyszeć było jeszcze różne dzwonienie tramwajów, jadących wzdłuż Upper Parliament Street, ale teraz przemykały tylko jak duchy w kompletnych ciemnościach; ich światła można było zobaczyć dopiero wówczas, kiedy już znalazły się bardzo blisko. W każdą normalną letnią noc ulice byłyby jeszcze pełne ludzi, głośno śpiewających w drodze do domu z baru czy kina; ale teraz nic już nie działo się normalnie. Nancy myślała o tym, kiedy nareszcie powrócą normalne dni; miała nadzieję, że ich dożyje.

Cara zapłakała cicho we śnie. Co u diabła można zrobić dla tej dziewczyny?

A jeśli chodzi o jej matkę, miała świętą rację. Brenna to dusza człowiek i ma złote serce, ale w zdenerwowaniu nie potrafi się pohamować, a to nie byłoby dobre dla Cary — zwłaszcza w jej stanie.

Zasypałyby biedną dziewczynę milionem pytań, potępiała ją za to, że jest w ciąży — słowem, nie dałyby jej ani chwili spokoju. Cara musi mieć teraz spokojne miejsce, w którym mogłaby płakać po tym mężczyźnie imieniem Kit — i myśleć o przyszłości z dzieckiem Kita.

No cóż, w tej chwili nic nie mogę zrobić... — jęknęła w duchu Nancy.

Ale może jutro coś wymyślę! W międzyczasie poprosi Marcusa, a nuż się zgodzi, żeby Cara została tu na noc. Dawny Marcus mógł co prawda huknąć ostre „nie”, ale ten nowy chyba byłby skłonny się zgodzić.

Podobnie jak Nancy, kładł się zawsze bardzo późno. Teraz na pewno siedzi jeszcze w gabinecie i słucha radia.

Marcus słuchał każdego serwisu informacyjnego w radiu z nadzieją, że coś powiedzą o Malcie — chociaż to zdarzało się rzadko. Zdawał sobie doskonale sprawę ze strategicznej ważności tej wyspy, wiedział, że Włosi od maja już tam bombardują, ale tylko tyle. Martwił się o Sybil, wolałby, żeby

do niego częściej pisywała. Na szczęście Cara Caffrey pisała regularnie do rodziców, a Nancy przekazywała mu wszystkie nowiny z jej listów.

Westchnął, wyłączył radio i spojrzał na dziewczęco białą podkładkę do pisania na biurku. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tutaj pracował; tracił nawet zainteresowanie fabryką, która bez niego też działała bez zarzutu. Ci robotnicy, którzy zostali, byli zajęci przez cały czas produkcją azbestowych osłon dla marynarki, na razie nie zanosilo się na 297

żadne nowe interesy; w sumie był tam niepotrzebny. W dalszym ciągu

zamierzał się włączyć w prace na rzecz wojska, ale to oznaczało kontakty z innymi ludźmi, a on wolał być sam — chociaż czasem miał serdecznie dosyć własnego towarzystwa. „Nic cię nie cieszy, Marcus”, zwykła mawiać jego matka, już nie pamiętał, z jakiego powodu.

Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu.
Zawołał:

— Wejdz, Nancy.

Nawet polubił wizyty swojej gospodyni. Ostatnio odbyli całkiem ciekawą dyskusję na temat wojny... no, ale teraz? O tak późnej porze?

Już po północy, skonstatował,
spojrzawszy na zegarek.

— Mam kogoś u siebie, panie Allardyce
— oznajmiła Nancy. — To Cara
Caffrey. Biedactwo jest w wielkim
kłopotcie. Słowo daję. Chciałam spytać,
czy będzie tutaj mogła przenocować.
Zawsze wietrzę łóżko w pokoju Eleanor
na wypadek niespodziewanego gościa...

— Co to za kłopot? — spytał. Był
zdumiony, że Cara znalazła się tu, pod
jego dachem, kiedy powinna być na
Malcie razem z Sybil.

Nancy wyjaśniła mu sytuację Cary,
wymachując przy tym wielkimi rękami,
a na koniec oświadczyła:

— Teraz zasnęła i nie wiem, co mam z nią zrobić. W razie czego położę ją u siebie, a sama będę spała na kanapie, ale ponieważ na górze są wolne łóżka...

— Umieść ją w dawnym pokoju Eleanor. Ale jak będzie jutro? Dokąd wtedy pójdzie?

Nancy wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Mam wrażenie, że skoro Sybil przysłała ją do mnie, to ja będę musiała w takim razie coś obmyślić. Och, i proszę o tym nikomu nie wspominać, dobrze? Cara nie chce, żeby Brenna wiedziała o jej powrocie.

Kiedy Cara się zbudziła, zajęło jej

dobłą chwilę, zanim się zorientowała, gdzie jest. Leżała w bogatej sypialni z czarnymi lakierowanymi meblami i jaskrawoczerwonym dywanem. Usiadła. W głowie jej huczało, patrzyła na kremowe tapety w paski z aksamitnym połyskiem, czerwone aksamitne zasłony, spod których przebijało światło dnia. Kunsztowny zegar na ścianie wskazywał kwadrans po dziewiątej.

Czy to sen? A może wszystko było snem, również Kit? Przycisnęła palcami spuchnięte powieki i przypomniała sobie, że wczoraj rano wy-298

leciała z Malty. Samolot wylądował w Suffolk, a jakiś młody lotnik nazwiskiem Connors, bardzo podobny do Maca,

zawiózł ją samochodem do Londynu na Euston Station; tam złapała pociąg do Liverpoolu, a potem poszła nocą przez zaciemnione ulice na Parliament Terrace, do Nancy.

Tak, to tutaj była, w domu Allardyce'ów; i to bynajmniej nie był sen, lecz rzeczywistość. Jak przez mgłę pamiętała, że Nancy pomogła jej wejść na górę, a potem zdjąć mundur.

— Możesz spać w halce. Raz nie zaszkodzi. A teraz, złotko, kładź się spać. Rano poczujesz się na pewno lepiej.

I Cara rzeczywiście czuła się lepiej, chociaż tylko na ciele, nie na duchu.

Na duchu już nigdy nie będzie lepiej, ale po mocnym, pokrzepiającym śnie w cichym pokoju, w którym była całkowicie bezpieczna i odcięta od świata, czuła się po prostu zdrowsza. Teraz była tu tylko Nancy Gates

— pan Allardyce na pewno już poszedł do pracy. A gdzie będzie spała dzisiaj — to była już zupełnie inna sprawa.

Była ciekawa, czy może się wyką pać. Wstała, rozsunęła zasłony i gapiła się bezmyślnie na wysoki budynek, który stał tak blisko, że zasłaniał

zupełnie światło słońca. Przypomniała sobie, że to protestancka katedra, w dalszym ciągu nieskończona po prawie

trzydziestu latach budowy.

Czyli ten pokój musiał się znajdować na tyłach domu.

Na krześle przy łóżku leżała jej walizka. Otworzyła ją i wyciągnęła czerwoną sukienkę. Była strasznie pognieciona, mimo to jednak postanowiła ją włożyć, a potem poszła zobaczyć się z Nancy.

Marcus błąkał się po domu, zachodząc w głowę, co ma ze sobą zrobić; iść czy nie iść do fabryki, czy może zamknąć się w gabinecie — kiedy spotkał Careę, która schodziła po schodach. Oboje aż podskoczyli; on, ponieważ całkiem zapomniał, że dziewczyna tu jest, a ona dlatego, że była pewna, iż o tej godzinie

nie ma go już w domu.

— Jak się dziś czujesz? — zapytał.

— Lepiej — odparła odważnie. — O wiele lepiej.

— Tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Nancy mi opowiedziała.

— I mnie przykro. Bardzo panu dziękuję, że pozwolił mi pan zostać na noc. Och, żebym nie zapomniała. Sybil prosiła, żeby przekazać panu wyrazy miłości. — Marcus szczerze w to wątpił. Powiedziała tak tylko z grzeczności, to oczywiste. — Właśnie szłam spytać Nancy, czy mogę wziąć kąpiel.

— Ależ naturalnie. Mamy dosyć gorącej wody, a łazienka jest obok pokoju, w którym spałaś.

— Cara? Czy to ty, złotko? — Nancy musiała usłyszeć ich rozmowę.

— Masz tu na dole gotową herbatę w czajniku.

— Będę za minutkę. — Patrzyła na niego wielkimi błękitnymi oczami, lśnącymi od powstrzymywanych łez. — Pozwoli pan?

Marcus kiwnął głową i odsunął się, by mogła przejść. Zniknęła na schodach prowadzących na dół do kuchni. Poszedł za nią i stanął u szczytu schodów, słuchając.

— Zaglądałam do ciebie wcześniej, ale spałaś jak zabita — usłyszał

słowa Nancy. — Pomyślałam, że lepiej dać ci się wyspać, wstaniesz, kiedy zechcesz. Jak się dzisiaj czujesz?

— O wiele lepiej — powtórzyła Cara,

choć Marcus podejrzewał, że to nieprawda. — Przed chwilą rozmawiałam z panem Allardyce'em.

Jest bardzo dobry, prawda?

Nancy zachichotała.

— Jesteś chyba pierwszą osobą na świecie, która tak mówi.

— Och, ale naprawdę tak jest! — zaprotestowała Cara. — Był dobry dla naszego Fergusa, kiedy dał mu pracę w swojej fabryce. Ale pamiętam też, że Eleanor nazywała go... no, najrozmaitszymi słowami, nie wiem dlaczego.

— Pewnie miała swoje powody.
Słuchaj, złotko — rzekła Nancy z powagą — nie spałam pół nocy, zastanawiając się, co z tobą zrobić, i koniec końców niczego nie wymyśliłam. Są domy dla niezamężnych matek, na ogół prowadzone przez jakieś kościoły, ale to strasznie ponure miejsca, w każdym razie niezbyt przyjemne.

— Nic nie szkodzi! — zawołała Cara.
— Wystarczy mi byle kąt.

Przecież to tylko na siedem miesięcy, potem i tak będę musiała się stamtąd wynieść.

Ależ z niej naiwna osobka, pomyślał Marcus. Jakimś cudem udało się jej

dożyć dziewiętnastu lat bez wiedzy o tym, jak okrutni potrafią być ludzie, o tym, że nie każdy myśli tak jak ona. Szybko wszedł do gabinetu, kiedy usłyszał, że Nancy mówi:

— Zaraz zaniosę panu Allardyce'owi filiżankę kawy.

— Jak tam Cara? — spytał niewinnie, kiedy Nancy weszła.

— Jedyne, co mi przyszło do głowy, to dom dla niezamężnych matek

— odparła. — Jeśli prawda wyjdzie na jaw, będę się fatalnie czuła. Myślę, że ją strasznie zawiodłam — i Sybil także.

— Nie możesz robić rzeczy niemożliwych — powiedział. — Słuchaj, a gdyby tak Cara została u nas tak długo, aż urodzi się dziecko? Wtedy nie zawiedziesz ani jej, ani Sybil.

— Naprawdę pan tak myśli? — Nancy patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Gdybym tak nie myślał, nic bym nie powiedział — uciął. Czyżby uważała go za potwora, niezdolnego do zwykłych ludzkich odruchów?

To, że jedyna osoba na świecie, która go lubi, zamieszka w tym domu, będzie miłą odmianą.

Cara nigdy nie opuszczała domu, nie chodziła nawet na niedzielną mszę. Nie była szczęśliwa — daleko jej było do tego — ale to tutaj traktowała jako wspaniały azyl, gdzie mogła być nieszczęśliwa. Nancy nie było prawie przez cały dzień, pan Allardyce spędzał większość czasu w gabinecie albo w fabryce, mogła więc chodzić po całym domu, z wyjątkiem wtorków i piątków, kiedy przychodziła sprzątaczką i Cara musiała się zamykać w swoim pokoju.

— Teraz została już tylko jedna płatna pomoc domowa — powiedziała jej Nancy. — Kiedyś mieliśmy pokojówkę, praczkę i kobietę, która przychodziła w niedziele szykować posiłki. Teraz

wysyłałam brudne rzeczy do pralni i sama sprzątałam. Ale twoja mama i pani Clegg się znają, więc lepiej schodź jej z drogi.

To był smutny dom, pełen cieni i milczenia, chłodny nawet w najgorętsze dni. Nancy wracała, ocierając pot z czoła, ze słowami:

— Psiakość, ale dzisiaj gorąc!

Carze podobał się ten dom taki, jaki był, zwłaszcza po palącym żarze Malty.

Nigdy się nie nudziła, nawet kiedy spędzała pół dnia, leżąc w łóżku i myśląc, co by było, gdyby sprawy potoczyły się inaczej i byłaby teraz panią Farthing. Czasami pisała listy do

Kita. Opowiadała mu, jak się czuje; potem je darła, oblewając łzami. Pisała do mamy i taty, udając, że jest na Malcie, i wysyłała te listy do Sybil, która je odsyłała do Liverpoolu ze znaczkiem z Malty; potem robiła to samo z listami, które przychodziły do Cary.

Sybil była zachwycona pomysłem zamieszkania Cary w domu na Parliament Terrace. „Tatuś miał chyba moment olśnienia — pisała. —

Pamiętam, że tylko dla mnie potrafił być taki miły. Widocznie na starość złagodniał”.

Czasami mama albo Eleanor przychodziły z wizytą do Nancy, osobno albo razem; wtedy Cara siadała na schodach, słuchając z bijącym sercem donośnego głosu matki, bojąc się, że kiedyś ją zaskoczy i znajdzie tutaj...

Mimo swej bujnej fantazji nie mogła sobie wyobrazić, jaka byłaby jej reakcja.

Wedle tego, co mówiła mama, Fergus świetnie się bawił, co wieczór przychodziły do niego jakieś dziewczęta, zabierały go nawet do kina i uczyły tańczyć. Zwolniono go z wojska. Kiedy Cara to usłyszała, wzdrygnęła się mimowolnie. Ona też została zwolniona, lecz nie z tak szlachetnego powodu jak

Fergus.

Jak mówiła mama, od czasu kiedy Fergus wrócił do domu, Tyrone pograżył się w jeszcze większej rozpacz.

— Nie wiem, co z nim począć, naprawdę już nie wiem — mówiła mama. — Maria tak samo. Tyrone nic nie robi, tylko bez przerwy się wydziera na te biedne dzieciaki.

W salonie było całe mnóstwo powieści opatrzonych napisem „Ta książka należy do Eleanor Wallace”, takich autorów, jak Jane Austen, George Eliot i Karol Dickens. Chociaż Cara dawniej mało czytała, teraz odkryła, że kiedy już zacznie czytać jakąś powieść, tak ją to

wciąża, że nie jest w stanie się od niej oderwać.

Tylko jedno zakłócało spokojną egzystencję Cary w domu na Parliament Terrace — naloty. Zaczęły się w lipcu. Początkowo bomby spadały na okoliczne pola, nie robiąc nikomu krzywdy, co najwyżej niszcząc plony.

Jednak już w sierpniu ataki bombowe były coraz częstsze, a bomby wybuchały coraz bliżej. Trafiały w doki, w Izbę Celną, w kościół na Mossley Hill, a wreszcie w zwyczajne ulice ze zwyczajnymi domami, w których ginęło teraz całe mnóstwo ludzi. Niewinnych ludzi, którzy nigdy w życiu nie wyrządzili nikomu najmniejszej

krzywdy!

Nancy i pan Allardyce zostawali w łóżkach i nie zwracali uwagi na naloty, ale Cara budziła się już na dźwięk syreny — to znaczy, jeśli przedtem zdążyła zasnąć. Nie mogła zrozumieć, jak można spać przy tym mrozącym krew w żyłach wyciu syren, huku nadlatujących samolotów, wreszcie przy głuchych wybuchach bomb, rozrywających się nad miastem.

Przy każdym nalocie Cara przeżywała na nowo tamtą noc na Malcie.

Noc, w którą straciła Kita. Wszystko wracało ze zdwojoną siłą, tak jakby się wydarzyło zaledwie wczoraj; schodziła

na dół w piżamie, teraz za małej dla Nancy, dla Cary jednak o wiele za dużej, siadała w kuchni 302

i próbowała czytać książkę, ale nie mogła się skupić. Niedaleko znajdowały się publiczne schrony, ale nawet gdyby nie istniało ryzyko, że spotka tam kogoś znajomego, to w razie bezpośredniego trafienia solidnie zbudowany dom stanowił lepszą osłonę niż taki schron.

Podczas tych spokojnych chwil w kuchni Cara zastanawiała się nad swoją obecną sytuacją. Nie była jedyną kobietą na świecie, która straciła ukochanego. Nigdy nie przestanie opłakiwać Kita, ale samotnych kobiet w ciąży było w czasie wojny pewnie na pęczki. Ona i tak

mogła się uważać za wielką szczęściarę: mieszkała w wygodnym domu i miała w Nancy wspaniałą opiekunkę. Mama powiedziałaaby pewnie, że spadła na cztery łapy — to samo mówiła, kiedy Fergus dostał pracę w H.B.

Wallace. Zarówno wówczas, jak i teraz problem rozwiązał jeden i ten sam człowiek — tak szkalowany i potępiany przez wszystkich pan Allardyce.

Nadszedł wrzesień i naloty stały się jeszcze bardziej dotkliwe. Nawet Nancy zauważyła, że ją budzą, a pan Allardyce powiedział, że robi się naprawdę groźnie. Następnym razem, kiedy Cara zeszła w środku nocy do kuchni, Nancy

już tam była. Otulona szlafrokiem
szykowała herbatę. Po pięciu minutach
dołączył do nich pan Allardyce w
popielatej jedwabnej bonzurce. Wszedł
dokładnie w chwili, kiedy wybuch
zatrząsł

całym domem.

— Cholera jasna! — zaklęła Nancy. —
To było blisko.

Tej nocy bomby trafiły w katedrę,
niszcząc wiele witraży. Nazajutrz Nancy
opowiadała, że cały budynek jest
otoczony wyrwami w ziemi.

— Jedną z nich widziałam tuż przed
naszymi tylnymi drzwiami.

Odtąd za każdym razem, kiedy odzywała się syrena, wszyscy troje spotykali się w kuchni. Pan Allardyce przychodził z kilkoma butelkami wina z piwnicy, które wypijał wspólnie z Nancy; Cara wołała herbatę.

Kiedy nalot się kończył, była jedyną trzeźwo myślącą osobą w domu.

— Jeśli mam umrzeć — twierdziła Nancy — wolę, żeby śmierć spotkała mnie po pijanemu, a nie kiedy jestem trzeźwa jak świnia.

— Święta racja! — przyświadczył pan Allardyce.

Zawiązało się między nimi jakieś

nieprawdopodobne koleżeństwo.

W czasie nalotów grali w karty — w pokera i w oko, używając sztuczków zamiast pieniędzy: każdy nóż, widelec czy łyżka miały wartość tysiąca funtów. Cara nauczyła się grać w pokera w wojsku i była naprawdę dobra w rozszyfrowywaniu wyrazu twarzy swoich przeciwników i zgadywaniu, czy ktoś ma dobrą czy złą kartę. Potrafiła blefować, stawiała tysiące funtów i w końcu wygrywała fortunę, chociaż naprawdę nic nie miała w karcie.

303

— Jak tak dalej pójdzie, wkrótce będę milionerką — roześmiała się pewnej

nocy, kiedy ogłoszono odwołanie alarmu, a ona akurat zgarniała wygraną. Nagle twarz jej stężała. — Nie pamiętam, kiedy się ostatni raz śmiałam — rzekła wstrząśnięta.

— Miejmy nadzieję, że nie upłynie zbyt dużo czasu, kiedy następnym razem się roześmiejesz. — Nancy poklepała ją po ręku. — A teraz odłóż sztuce z powrotem do pudełka, jutro będą potrzebne.

Nancy znalazła w szufladach dawnego pokoju siostry Hutton mnóstwo dziecięcych ubranek.

— Trzeba je tylko wyprać — zdecydowała — żeby usunąć zapach

naftaliny.

— Są piękne! — Cara aż westchnęła, oglądając śliczne haftowane sukieneczki, ręcznie robione sweterki, buciczki i czepeczki, suknię do chrztu z atłasu, szydełkowy szal, tuziny ciepłych kaftaników, skarpetki i góry pieluszek. Wszystko było białe, a niektóre rzeczy wyglądały na zupełnie nowe, jakby czekały na jej dziecko... Nancy powiedziała też, że w piwnicy stoi wózek, a na strychu kołyska.

— Czy pan Allardyce nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli je sobie wezmę? — spytała Cara.

— Ani trochę — mrugnęła do niej

Nancy. — On cię bardzo lubi.

Nieczęsto się zdarza, żeby Marcus kogoś lubił, ale ciebie na pewno. Tak czy owak, złotko, rzeczy dla dzidziusia mamy wybrane, ale co z tobą?

Już teraz sukienka na tobie pęka, a masz jeszcze przed sobą cztery miesiące. Chyba są jeszcze jakieś sukienki Eleanor w jej garderobie.

Zobaczymy, czy z jej dwóch sukien da się zrobić jedną ciężową kreację dla ciebie.

— Dziękuję, Nancy, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła — i bez pana Allardyce'a. — Cara spojrzała

nieśmiało. — Wiesz? Ja... też go lubię.

Czytała z nogami opartymi o stołeczek, kiedy wszedł do salonu, ale na jego widok natychmiast odłożyła książkę. Był z nią w lepszych stosunkach niż kiedykolwiek z Sybil.

— Dzień dobry. — Jej uśmiech rozjaśnił pokój. — Jaka pogoda na dworze? Wydaje się, że jest okropnie zimno i wietrznie. Widziałam, że ludzie na ulicy otulają się płaszczami i przytrzymują kapelusze.

304

— Dokładnie tak jest — potwierdził Marcus — zimno i wiatr. Typowy

listopadowy dzień. Co czytasz?

— Klub Pickwicka. Strasznie śmieszne.
Czytał pan?

— Czytałem, kiedy byłem dzieckiem.

Parsknęła.

— Musiał pan być bardzo mądrym
dzieckiem. Ja to czytałam tylko komiksy.

— Komiksy też lubiłem. — Zobaczył, że
w kominku pozostała tylko garstka
węgla, która prawie nie daje ciepła. —
Coś słaby ten ogień —

zauważył.

— Właściwie nie mamy czym palić. Nagle wszystkiego zabrakło i zostało nam tylko trochę koksu. Więcej nie będzie aż do piątku, a i wtedy pewnie niewiele. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, ale Nancy właściwie napaliła tu specjalnie dla mnie. Akurat ma gości, inaczej byłabym teraz w kuchni i pomagała robić podwieczorek. Tam na dole jest przyjemnie ciepło. Przedtem upiekłam trochę babeczek — pochwaliła się. — Nie wiem, jak będą smakować, bo dałam tylko mąkę, wodę i troszkę margaryny.

— Jestem przekonany, że będą bardzo smaczne.

Spodobało mu się, że powiedziała „nie

mamy czym palić", jakby była częścią tego domu, gdzie wszyscy dzielą się obowiązkami. Teraz już naprawdę lepiej się czuła i powrócił jej odziedziczony po matce duch walki; czasem tylko na jej twarzy — kiedy myślała, że nikt nie patrzy —

pojawiła się cicha rozpacz.

— Kupiłem ci coś... — powiedział lekko speszony. Przyniósł zostawioną w korytarzu torbę firmy Frederick & Hughes i podał jej. — Niech to będzie spóźniony prezent urodzinowy. — Jakieś sześć tygodni temu skończyła dwadzieścia lat.

— Co to jest?

Zajrzała do torby i wydobyła z niej turkusowy aksamitny szlafrok.

— Och! Och! Jest piękny! — Twarz się jej zaróżowiła. Przyłożyła szlafrok do piersi. — Och, panie Allardyce, nie powinien pan... to nie w porządku. Już i tak był pan niewiarygodnie hojny, kiedy pozwolił mi pan tu zamieszkać. A to... to już stanowczo za dużo.

— Prawdę mówiąc — rzekł, obracając całą sprawę w żart, żeby jej zbytnio nie spieszyć — miałem już dość twojego widoku w tych olbrzymich piżamach. W zimie u nas w domu robi się naprawdę chłodno, a nie będziemy w stanie palić we wszystkich pokojach, tak jak dawniej. Przymierz to, sprawdź, czy

pasuje — zaproponował.

305

Włożyła szlafrok i okręciła się kilka razy dookoła własnej osi.

— No, i jak pan sądzi?

— Bardzo elegancki. — Pokiwał głową.

— Naprawdę bardzo elegancki.

— Jest uroczy i taki ciepły! — Aż westchnęła, wygładzając szlafrok na brzuchu, jakby pieściła dziecko, które tam nosiła. — Biedaczek! Nie wie, co go czeka, prawda?

— Co masz na myśli? — Nie zrozumiał,

że mówiła o dziecku, jakby wiedziała, że to będzie chłopiec.

— Nie będzie miał nazwiska... tylko moje.

Marcus pomyślał o czymś, co mógłby zrobić w tej sprawie, ale postanowił poczekać, aż ją lepiej pozna.

Kiedy następnym razem mama przyszła się zobaczyć z Nancy, była w okropnym nastroju — co, zważywszy na okoliczności, było całkowicie zrozumiałe. Zeszłej nocy bomba spadła na sąsiednią ulicę i ze wszystkich okien domu na Shaw Street wyleciały szyby.

— Colm wziął nawet wolny dzień, żeby

je naprawić, ale na razie mógł

tylko wstawić sklejkę. No i dom wygląda teraz w środku po prostu okropnie. Kiedy to się stało, Joey i Mike dostali ataku hysterii, a Maria darła się wniebogłosy. W końcu to ja musiałam sobie z tym wszystkim poradzić. Colma nie było, bo przecież jest tym kimś odpowiedzialnym za bezpieczeństwo ludzi w czasie nalotów, a Tyrone też gdzieś wyszedł.

Wiecznie teraz wychodzi, przesiaduje w barze aż do zamknięcia — a wiesz, teraz, kiedy jest nalot, bary są otwarte aż do odwołania, chociaż wcale nie powinny być. — Przerwała, by zaczerpnąć oddechu. — A Fergus! No,

tylko ci tylko mogę powiedzieć, że jestem bardzo rozczarowana Fergussem.

Znasz tę kobietę, z którą się wszędzie szwenda?

— Masz na myśli Jessie Clifford? — zapytała Nancy.

— Pewnie, że ją — fuknęła mama. — Tę z tlenionymi włosami i oczami jak karaluchy. Wiesz, że dopiero co spędził u niej całą noc? A ta nie tylko, że jest od niego dziesięć lat starsza, ale ma męża! W Marynarce Handlowej.

Strasznie mu nawymyślałam, kiedy wrócił dziś rano. I co? Kazał mi pilnować swojego nosa!

— Cóż, w gruncie rzeczy to przecież nie twoja sprawa... Zgadza się, złotko? — łagodnie stwierdziła Nancy.

— Moja, jak długo Fergus mieszka pod moim dachem, Nancy. Och, gdyby tylko Cara była w domu — ciągnęła mama płaczliwie. — Ta ma 306

przynajmniej głowę na karku... a poza tym miałabym wreszcie do kogo usta otworzyć. Ale teraz... tyle że pisze raz na dwa tygodnie, chociaż dawniej pisała co tydzień. — Brenna żałośnie pociągnęła nosem. —

Wszystkie moje dzieci sprawiają mi zawód, Nancy.

— Oj, nie gadałabyś głupstw, Brenno —
rzekła Nancy trochę zniecier-pliwiona.
— Fergus nie tobie sprawia zawód,
kiedy się spotyka z mężatką, a Tyrone
jest po prostu przygnębiony i nic na to
nie może poradzić. A jeśli idzie o
Carę... podejrzewam, że ma tam na
Malcie całe mnóstwo roboty.

Ciesz się, że pisze chociaż raz na dwa
tygodnie! Już nie pamiętam, kiedy
Marcus dostał ostatni list od Sybil.

Mama zaczęła płakać, a Cara uciekła do
siebie na górę, wstydząc się, że znów
podśluchiwała; żal jej było serdecznie
matki, ale też i trochę ją irytowało, że
oczekuje od wszystkich swoich dzieci
absolutnej doskonało-

ści. Biedna nie wiedziała — jeszcze nie — że Cara jest z nich wszystkich najmniej doskonała.

Naloty wciąż trwały, coraz straszniejsze i bardziej niszczycielskie.

Nad Liverpool nadlatywały teraz setki niemieckich bombowców. Zrzucały swoje śmiercionośne ładunki, jakby chciały zmieść miasto z powierzchni ziemi.

Atmosfera w kuchni na Parliament Terrace robiła się coraz bardziej ożywiona, a nawet — o ile grali w karty — nerwowa. Im dłużej trwał

nalot, tym więcej wina wypijali Marcus z Nancy; Marcus się uparł, żeby Cara przestała go nazywać „panem Allardyce'em". Nancy, której język nawet w najlepszych czasach odznaczał się rubasznością, przy każdym wybuchu klęła jak szewc, a Marcus, zwykle tak poważny i bez uśmiechu

— kiedy miał już w czubie, odkrywał w sobie całe pokłady sarkastycznego humoru. Oboje rozśmieszali Carę, mimo iż w każdej chwili wszyscy mogli przecież zginąć, a ona dodatkowo okropnie martwiła się losami swojej rodziny na Shaw Street. Była jednak przekonana, że te naloty musi przetrwać w możliwie najlepszym dla niej miejscu

i w naprawdę miłym towarzystwie.

Nadeszło Boże Narodzenie. Cara
zrobiła się teraz po prostu ogromna.

Dziecko miało przyjść na świat za jakieś
sześć tygodni. W grudniu było
stosunkowo mniej nalotów, ale na kilka
dni przed Gwiazdką, o wpół do 307

siódmej wieczorem, syrena zawyła
przeraźliwie, sygnalizując początek
ciężkiego bombardowania, które trwało
aż do wczesnych godzin porannych.
Następnego nocy miasto przeżyło kolejny
atak, który się ciągnął

prawie dwanaście godzin, a w Wigilię
też nie było lepiej.

Już nie byli w stanie grać w karty ani żartować w obliczu bezustannie trwającej jatki. W dzień Bożego Narodzenia o wpół do drugiej po południu nareszcie odwołano alarm — nigdy jeszcze z takim upragnieniem nie czekali na ten dźwięk. Cara weszła na górę do sypialni, ciężko stąpając i z ciężkim sercem. Na jakież to obłąkany świat przyjdzie jej dziecko? Już na górze przystanęła na chwilę przy oknie na podeście i z powrotem zaciągnęła story. Wyglądało, jakby cały Liverpool się palił — płomienie barwiły niebo na jaskrawoczerwony kolor.

Tak na pewno musi wyglądać piekło, pomyślała z gniewem.

Słyszała natarczywe brzęczenie wozów strażackich i wycie karetek pędzących po ulicach. Ilu ludzi zginęło tej nocy? Ojciec był cały czas poza domem podczas tego zamętu; modliła się, żeby nic mu się nie przydarzyło i żeby dom na Shaw Street stał nadal, a wszyscy w nim byli cali i zdrowi.

Nancy jej obiecała, że pójdzie to sprawdzić skoro świt, w poranek Bożego Narodzenia, które jest zwykle tak radosną okazją, dniem dawania i otrzy-mywania, dniem modlitw i kolęd, pójścia na mszę, a nie dniem żalu i sprawdzania, czy bliscy ludzie są martwi czy żywi.

Dziecko mocno kopnęło. Objęła brzuch

dłóćmi i obiecała maleństwu, że wszystko będzie dobrze, że zapewni mu bezpieczeństwo, chociaż wiedziała, że to tylko czcze obietnice. Jeśli kiedyś wybuchnie nowa wojna, matki nie będą miały nic do powiedzenia, ich synowie będą musieli oddać życie po to, by ukrócić próżność jednego człowieka i jego chorą żądzę narzucenia siłą swojej woli całemu światu.

Dziecko Cary przyszło na świat pod koniec stycznia, w lodowato zimny dzień. Siedziała w kuchni, jeszcze w szlafroku, i jadła śniadanie, kiedy poczuła pierwszy skurcz; wspomniała jednak o tym Nancy dopiero wówczas, gdy nadszedł drugi atak bólu.

— Poproszę Marcusa, żeby zawiadomił akuszerkę — powiedziała spokojnie Nancy.

Cara nie zgadzała się na kontrolne wizyty lekarskie podczas całej ciąży, twierdząc, że czuje się wyjątkowo dobrze i że nie ma takiej potrzeby.

No i, dodawała, wolałaby akuszerkę do pomocy, kiedy już nadejdzie pora.

308

— Ale co będzie, jeśli nie daj Bóg wystąpią jakieś komplikacje? —

spytał wtedy z niepokojem Marcus.

— To wtedy wezwiemy lekarza —
odparła Cara po prostu.

Teraz Marcus wpadł do kuchni,
wyraźnie wzburzony.

— Wezwałem akuszerkę. Powiedziałem
jej, żeby zaraz przyszła.

Cara wybuchnęła śmiechem.

— Ale po co? Będzie tu siedziała
bezczylnie całymi godzinami. Miałam
na razie tylko kilka niezbyt silnych
skurczów. Ohoo! Jeszcze jeden. —

Skrzywiła się. — Ten był bolesny.

— Myślę, że lepiej, żebyś się położyła,

złotko — poradziła Nancy. —

Zagotuję wody.

— Ale ja nie chcę się kłaść!

— A ja nie chcę, żebyś urodziła dziecko na podłodze w mojej kuchni.

W tej chwili marsz do łóżka, przyniosę ci filiżankę herbaty.

— Chcesz ze mnie zrobić inwalidkę — stwierdziła z nadąsaną miną Cara.

Niechętnie poszła na górę, a zaniepokojony Marcus podreptał za nią.

Już miała otworzyć drzwi, kiedy fa la bólu zgięła ją w pół. Marcus pomógł jej

się położyć do łóżka i w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

— To pewnie akuszerka! — Niemal wybiegł z pokoju.

Po paru minutach weszła różanolica, energiczna akuszerka, a za nią Nancy z rondlami gorącej wody i starymi prześcieradłami.

— Przyszła pani o wiele za wcześnie — powiedziała Cara surowo. —

Minie jeszcze dużo czasu, zanim się urodzi.

— Pozwól, że ja to osądzę, młoda damo. A teraz proszę się płasko położyć i

podnieść koszulę.

Cara zachichotała, zrobiła, co jej kazano, i... jak opowiadała potem akuszerka swoim koleżankom:

— Wszystko poszło raz, dwa, trzy — jak po maśle. Zupełnie jakby matka, podnosząc koszulę, dała znak dziecku. Dosłownie z niej wyskoczyło! Byliśmy kompletnie zaskoczeni, a najbardziej sama matka! Och, i to była dziewczynka, śliczna mała dziewczynka, absolutnie doskonała

— no i wyposażona we wspaniałe płuca! Waży całe cztery kilo i będzie miała na imię Kitty.

Kitty stała się szybko ulubienicą wszystkich domowników, panując odtąd niepodzielnie w ich sercach. Kiedy spała, Nancy i Marcus chodzili na paluszkach, bojąc się ją zbudzić. Kiedy się budziła, wszyscy podziwiali 309

jej złociste loczki, takie same jak u Cary, jej niebieskie oczy z długimi rzęsami, małe różowe usteczka i długie, białe nóżki i rączki.

— Będzie wysoka jak ty — powiedziała Nancy do Cary.

— Prawda? — Cara roześmiała się radośnie.

Kiedy minął pierwszy szok, że

oczekiwany syn okazał się córką, Cara zupełnie straciła głowę dla Kitty, która płakała tylko wtedy, kiedy była głodna albo kiedy trzeba jej było zmienić pieluszkę; poza tym w ogóle nie sprawiała kłopotu.

— Wprost nie mogę uwierzyć, że jestem matką — rzekła kiedyś głosem pełnym nabożeństwa.

— No a co będzie z twoją matką, złotko? — spytała poważnie Nancy.

— Czy to już nie pora, żeby się dowiedziała o Kitty? Mówiłaś, że jej powiesz o wszystkim, kiedy dziecko się urodzi.

Kitty skończyła właśnie dwa tygodnie.

Cara spuściła głowę.

— Wiem, ale tylko pogorszyłam sprawę,
mieszkając tu przez cały czas

— bez wiedzy mamy. Teraz będzie
jeszcze bardziej wściekła, to pewne.

Gdybym od razu poszła na Shaw Street,
kiedy wróciłam z Malty, miałybyś-

my to już dawno za sobą.

— Przecież dobrze wiesz, że nie mogłaś
tam wtedy zamieszkać —

przypomniała jej Nancy. — W domu

twoich rodziców nie było miejsca; Fergus musiał spać na połowym łóżku w salonie. A nawet gdyby było inaczej, Brenna chyba by nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, że jej córka spodziewa się nieślubnego dziecka. Kocham twoją mamę, naprawdę, ale ma ona swoje wady, jak zresztą każdy, nie wyłączając mnie. Problem polega na tym, że nie możesz wiecznie ukrywać istnienia Kitty. Poza tym nie możesz całe życie tkwić w domu. Teraz jest zimno, ale jak tylko pogoda się poprawi, dziecko będzie potrzebować świeżego powietrza —

i ty oczywiście też. A co będzie, jeśli któregoś dnia pójdziesz na spacer i

spotkasz się z mamą?

Cara jęknęła. Znalazła się w bardzo kłopotliwym położeniu i nie wiedziała, jak z niego wybrnąć.

Nie wiadomo kiedy nadszedł marzec, a wraz z nim czyste niebo, jeszcze słabo świecące słońce i cieplejsze powietrze. Cara zaczęła zabierać Kitty na spacer — wczesnym rankiem, kiedy ulice były niemal puste.

Popychała wózek, wędrując dookoła centrum miasta; wtedy po raz 310

pierwszy zobaczyła ogromny lej po bombie na Hanover Street, niedaleko magazynu Frederick & Hughes,

ulubionego sklepu Eleanor. Spadła tam mina, która o włos ominęła hotel Adelphi, za to pobliskie budynki zamieniła w kupę gruzu. Ratusz też doznał poważnego uszczerbku, a bomby zapalające spopielili St George's Hall, chociaż budynek wciąż stał, zabezpieczony linami. Podczas tych porannych spacerów Cara zobaczyła jeszcze wiele okropnych widoków, a był to przecież tylko wierzchołek góry lodowej! Teren doków był głównym celem nieprzyjacielskich bomb i, jak twierdziła Nancy, dopiero tam zniszczenia było potworne —

zresztą w całym mieście pełno było takich dowodów nieludzkiego trak-

towania człowieka przez człowieka, coś, czego Cara nie rozumiała i czego nigdy nie zrozumie, do końca życia. Ale Nancy mówiła też, że ludzie stawiają czoło bombardowaniom z niewiarygodną odwagą. Ani śladu paniki. „Niezlomni”, mówiła o nich.

— Jak to dobrze, słoneczko moje, że nie możesz tego zobaczyć —

mówiła Cara do Kitty, szczerze opatulonej w wielkim wózku, w którym przed nią wożono Anthony'ego, a potem Sybil.

Naloty były teraz rzadsze, w dodatku żaden z nich nie był już tak potężny jak te podczas Bożego Narodzenia. Kitty jak

dotąd wszystkie przesypiała. Jej maleńki świat składał się z ciepła i pożywienia oraz z ludzkiej miłości — i Cara pragnęła, żeby trwało to jak najdłużej.

Na początku kwietnia Cara oznajmiła, że wyjeżdża na parę dni.

— Do Londynu. Muszę się tam z kimś spotkać.

Nancy wyraziła swoje zdumienie.

— Czy zabierasz ze sobą Kitty?

Carze nawet przez myśl by nie przeszło, żeby się ruszyć z domu bez Kitty, a co dopiero wyjechać do Londynu bez swojej najdroższej córeczki!

— Oczywiście. Przecież nadal karmię ją piersią, prawda?

— Ale to strasznie ciężka podróż, złotko, jazda pociągiem z takim maleństwem aż do Londynu. — Nancy ciągle była pełna wątpliwości. —

Jak powiedziałaś? Ile dni cię nie będzie?

— Trzy dni i dwie noce, nie dłużej.

Marcusa jeszcze trudniej było przekonać, że Cara i Kitty dadzą sobie radę. Cara zaręczała, że na pewno nie stanie się im żadna krzywda, ale wtedy Marcus zaczął się niepokoić, że Cara może w ogóle nie wrócić.

— Wyjeżdżam jutro, w środę, i będę z powrotem w piątek — obiecywała. — Mam nadzieję, że do tego czasu pójdziesz do lekarza. — Marcus skarżył się ostatnio na ostre bóle brzucha.

— Nienawidzę lekarzy! — Aż się zatrząsł na samą myśl o tym.

— Ja też za nimi nie przepadam, ale mówi się trudno, musisz coś poradzić na te bóle. Przyrzeknij mi, że pójdziesz — nie dawała za wygraną.

— No dobrze, przyrzekam — zgodził się niechętnie.

W dniu jej wyjazdu Marcus się uparł, że zamówi taksówkę na Lime Street Station i z nią pojedzie. Zaniósł jej walizkę do pociągu i zatroszczył

się, żeby miała miejsce siedzące.

— Ale... czy na pewno wrócisz? — spytał jeszcze raz, kiedy się wychyliła przez okno, żeby go pożegnać.

— Bez obaw, zobaczymy się w piątek — stanowczo odparła Cara.

Po podróży, która przebiegła bez żadnych niespodzianek — Kitty zachowywała się znakomicie przez całą drogę, zjednując sobie tłumy wielbicieli — przyjechały na Euston Station po

południu. Stamtąd Cara wzięła taksówkę i kazała kierowcy zawieźć się na Greek Street pod numer 57. Szofer spojrział na nią jakoś dziwnie i kiedy dotarli już na miejsce, a on wysiadł, żeby wyjąć z bagażnika jej walizkę, odezwał się:

— Kochana, czy jest pani zupełnie pewna, że przyjechała pod wła-

ściwy adres?

— Taki adres mi podano — wyjaśniła Cara.

Sama była zdania, że ulica wygląda raczej obrzydliwie. Mieściły się tu głównie małe obskurne sklepiki z neonowymi światłami w oknach —

w niektórych napisach brakowało liter.
Nad numerem 57 widniał napis

„Raz ma tazz”; miało to być
prawdopodobnie „Razzmattazz” —
popularna nazwa baru z muzyką
jazzową.

Taksówkarz ciągle się wahał.

— Tu są drzwi do mieszkań numer
jeden, dwa i trzy. Którego numeru pani
szuka, kochana?

— Numeru trzy.

— To musi być na ostatnim piętrze.
Mam zadzwonić?

— Proszę. — Doceniała jego troskę, mimo że nie mogła pojąć, z jakiego powodu to robi.

Nacisnął dzwonek i wydawało się, że minęły wieki; dzwonił jeszcze, kiedy drzwi otworzyła jakaś rozmamłana osóbka, która burknęła ze złością:

— Spałam. Kto tam? Niemcy nas napadli czy co?

Cara wysunęła się naprzód.

312

— Cześć, Fielding.

— Caffrey! — wykrzyknęła ze

zdumieniem malutka postać. — Co ty tu robisz, u diabła? Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

— Sybil Allardyce dała mi twój adres. Przyjechałam zobaczyć, jak żyjesz.

— Po prostu wspaniale — Fielding nagle wybuchnęła płaczem. —

Nie, Caffrey, to nieprawda. Jeżeli chcesz znać prawdę, wolałabym, żeby mnie wtedy ta bomba zabiła. Naprawdę bym wolała.

— Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc... — Upewniwszy się, że Carze i Kitty nic nie grozi, taksówkarz był już gotów zająć się Fielding, ale Cara

podziękowała mu za uprzejmość i dobre serce, po czym wyjaśniła, że teraz, kiedy ona tu jest, jej przyjaciółka jest całkowicie bezpieczna.

Rozdział 12

Ku wielkiej uldze Eleanor, a rozdrażnieniu Jonathana, jej syn miał

tymczasem pozostać na ziemi brytyjskiej w miejscowości Thurso, w najdalej wysuniętym na północ zakątku Szkocji. Matka i syn codziennie się modlili — każde o co innego: Eleanor o to, żeby został tam, gdzie był

teraz, a Jonathan, żeby go posłano tam, gdzie coś się dzieje. Co kilka miesięcy

przyjeżdżał na urlop do domu, coraz szczuplejszy i w coraz lepszej formie, rwąc się do walki ze szkopami.

— Ależ kochanie, w wojsku każdy dodaje swój udział w wojnie, ty też... — próbowała go przekonywać Eleanor, ale Jonathan nie chciał być przekonywany.

— Wolałbym już być w Liverpoolu, mamusiu — żalił się. — Tutaj przynajmniej coś się dzieje. Nawet do twojego ogrodu spadła bomba zapalająca.

Eleanor była bardzo dumna ze swojej bomby zapalającej, która nie poczyniła nawet dużych szkód, zniszczyła tylko kiełkujące brukselki, które posadził

Oliver, żeby były na Boże Narodzenie. Oboje siedzieli wtedy w schronie; Oliver ugasił pożar ręczną gaśnicą, która stała tam od niepamiętnych czasów, i nikt nawet sobie nie wyobrażał, że kiedyś trzeba będzie jej użyć. Bomba we własnym ogrodzie była prawdziwym powodem do dumy, nie tak jak wybite okna u Brenny: tamto się przydarzyło tysiącom ludzi.

Udało jej się w końcu wyperswadować Oliverowi depresję z powodu odejścia Lewisa Browna do marynarki (był teraz pierwszym oficerem na niszczycielu — gdzieś na Oceanie Atlantyckim) i obecnie istniał między nimi związek na wskroś romantyczny, taki, o jakim

marzyła. Wszystkie te noce spędzone wspólnie w schronie, kiedy dookoła spadały bomby, wytworzyły między nimi więź, która, jak się tego spodziewała w głębi duszy, nigdy się nie zerwie.

Oliver był doskonałym lokatorem, ale też doskonałym romantycznym kochankiem, który co najwyżej całował ją serdecznie w policzek po wspólnie spędzonym uroczym wieczorze w kinie czy teatrze. Ponieważ potrzeby erotyczne Eleanor kończyły się właśnie na tym etapie, była w pełni zadowolona. Ogromnie go lubiła, podobnie jak on ją, i chociaż tak rozkosznie flirtowali, wszystko się kończyło z chwilą, gdy

każde z nich zamykało za sobą drzwi swojej sypialni. Często — i raczej samo-lubnie — myślała, że okres wojny jest dla niej wyjątkowo dobry.

Zakładając oczywiście, że Jonathan nadal pozostanie w Szkocji.

Tego dnia, kiedy Cara była w drodze do Londynu, Eleanor włożyła kapelusz i płaszcz, wzięła swoją maskę gazową i udała się do Brenny.

Brenna była w ostatnim czasie bardzo przygnębiona. Tyrone w dalszym ciągu zachowywał się niemożliwie, a Fergus wiecznie się spotykał z tą koszmarną Jessie Clifford. Brenna zagroziła mu już nawet wyrzuceniem z domu, ale Fergus

zaczął z kolei grozić jej, że sprowadzi się tu razem z Jessie; biedna Brenna zupełnie już nie wiedziała, co robić. Colm, zwykle tak pogodny, nie był dla niej żadnym oparciem, radził jej tylko, żeby się tak strasznie nie przejmowała tym wszystkim.

Eleanor była skłonna przyznać mu rację. Fergus miał dwadzieścia sześć lat i był bohaterem wojennym. Pełnił bardzo odpowiedzialną funkcję kierownika działu w Littlewoods, firmie, która obecnie produkowała między innymi balony zaporowe. Nawet matka nie miała prawa mówić komuś takiemu jak Fergus, w jaki sposób ma sobie urządzać życie. Gdyby Jonathan zrobił

kiedyś coś takiego... — myślała trochę świętoszkowato Eleanor — być może starałabym się przemówić mu do rozsądku, z pewnością jednak nie karciała. Co to, to nie!

— Juhuu! — Weszła przez tylne drzwi domu na Shaw Street. —

Brenna? To tylko ja!

— Wiem, że to tylko ty — rzuciła opryskliwie Brenna z salonu, gdzie siedziała, wpatrując się w przestrzeń. — Tylko ty jedna wołasz juhuu, kiedy wchodzisz.

— Gdzie Maria i chłopcy?

— U jej matki. Od kilku dni prawie ich nie widuję.

Eleanor nie była zaskoczona. Ona też wolałaby teraz nie siedzieć przez cały dzień z Brenną i patrzeć na jej skwaszoną minę.

315

— Jak się dziś miewasz? — spytała pogodnie.

Jej przyjaciółka bardzo się ostatnio zaniedbała i, niestety, przybrała na wadze. Piękne włosy siwiały, domagając się pilnie dobrego fryzjera, poza tym miała na sobie mało gustowną, brązową suknię i ani śladu makijażu na

zmęczonej twarzy. Nie zdając sobie właściwie sprawy z tego, co robi, Eleanor pogładziła dłonią swój płaski brzuch i poprawiła kapelusz na gładko uczesanych kasztanowych włosach, jakby chciała sama siebie przekonać, że akurat ona wygląda świetnie, zwłaszcza w tym płaszczyku z wielbłądziej wełny, który kiedyś sięgał jej do kostek, ale teraz go przerobiła na modną długość trzy czwarte i sama uszyła pasujący doń kapelusik z kawałka tkaniny, który jej pozostał po skróceniu płaszcza.

— Jak zwykle. — Potem nastąpiła zwyczajowa tyrada, która raczej znudziła Eleanor. Tyrone był prawdziwym utrapieniem, Fergus

jeszcze większym, a Colm ani trochę jej nie współczuł.

— Pewnie uważa, że nie ma ci czego współczuć — zasugerowała Eleanor, chcąc jej jakoś pomóc. — W końcu Tyrone i Fergus są również jego synami. Jeżeli on się nimi nie martwi, to pewnie się zastanawia, dlaczego ty się tak przejmujesz.

— Muszę przyznać, że szalenie mi pomogłaś.

— Oj, Brenna! Czasami masz na jakimś punkcie kompletnego bzika i wcale nie chcesz z tym walczyć.

— Co to ma znaczyć? — spytała

opryskliwie Brenna.

— A to, że martwisz się różnymi rzeczami i nie chcesz przestać, nieważne, o co chodzi. Nie będziesz szczęśliwa, dopóki Fergus nie zerwie z tą Jessie Clifford, chociaż wiesz, że im częściej go do tego namawiasz, tym bardziej się robi uparty. Ty tylko kwestia rozsądnego podejścia, Bren.

— Od kiedy to stałaś się taką specjalistką od postępowania z dziećmi?

— Zrobiła się czerwona z gniewu.

Eleanor doszła do wniosku, że Brenna za chwilę straci cierpliwość, a tego woląa raczej uniknąć. Powiedziała

więc łagodnie:

— Nie twierdzę, że jestem specjalistką, po prostu mi przykro, kiedy widzę, jak się zamartwiasz, to wszystko.

— Nie martwię się, jestem wściekła jak cholera.

— Czy to jakaś różnica?

W tym momencie Brenna straciła cierpliwość.

— Och, idź już sobie, Eleanor!
Myślałam, że wpadłaś pogadać, a nie robić mi wykłady. Nie mam ochoty wysłuchiwać rad, jaką powinnam być matką. Ani twoich, ani nikogo innego...

— Dobrze, już dobrze... — Eleanor szybko wstała. — No, to żegnam Cześć, Brenno.

Wyszła, ani trochę nieprzejęta tą krótką sprzeczką. Często się im to zdarzało. Brenna na pewno zajrzy do niej niebawem. Postanowiła wpaść do Nancy, a kiedy już tam dotarła, zdziwiła się, widząc duży czarny samochód, który stał zaparkowany przed domem przy Parliament Terrace.

— To lekarz — wyjaśniła Nancy. — Przyszedł obejrzeć Marcusa.

— Jest chory? — Nie przypomiwała

sobie, żeby Marcus kiedykolwiek chorował, co najwyżej miał katar.

— Ciągłe skarży się na okropne bóle brzucha. Dziś rano Car... to znaczy, nalegałam, żeby wezwał lekarza.

— Biedaczek! — Eleanor nigdy nie przypuszczała, że będzie współ-

czuła mężczyźnie, który kiedyś był jej mężem, chociaż ostatnio zrobił się naprawdę dużo sympatyczniejszy. — Wracam właśnie od Brenny. Była w fatalnym nastroju i właściwie... No cóż, po prostu mnie wyprosiła.

— Na mnie też obraziła się któregoś dnia, kiedy próbowałam jej coś

doradzić.

Obie się zgodziły co do tego, że Brenna nie chce słuchać niczyich rad i że w ogóle za dużo sobie pozwala, kiedy jej życie nie układa się tak perfekcyjnie, jak ona by sobie tego życzyła.

Czasami masz na tym punkcie kompletnego bzika i wcale nie chcesz z tym walczyć.

Brenna niejasno pamiętała, że kiedyś Colm powiedział jej coś podobnego; to było wiele lat temu, kiedy napadła na niego z powodu Lizzie Phelan. Ale, do licha, przecież miała pełne prawo się martwić, bo czy Colm nie przespał się z tą przekłętą babą? Mniej więcej rok

temu u słyszała, że Lizzie ni stąd, ni zowąd pojawiła się w mieście jako kandydatka z ramienia Partii Pracy do parlamentu, kiedy umarł ten stary Ignatius Herlihy. Na szczęście nie przeszła... Brenna nigdy by na nią nie głosowała, prędzej świat stanąłby na głowie! Kiedy Brenna się o tym dowiedziała, Lizzie znów zniknęła z horyzontu. Nie dziwiła się, że Colm nic o tym nie wspomniał.

Teraz dla odmiany „miała bzika” na punkcie Fergususa i Jessie Clifford.

W żaden sposób nie potrafiła pogodzić się z tym, że jej ukochany syn po prostu nie słucha matki i dalej się spotyka z tą zdziwą Jessie, mimo że kategorycznie mu

tego zabroniła!

317

— Nie jestem już dzieckiem, mamó —
odpowiedział jej wtedy wyniośle.

— W moich oczach zawsze nim
będziesz.

— Więc może i ty, mamó, powinnaś
sobie sprawić okulary...

Któregoś wieczoru Colm poradził jej,
żeby się nie przejmowała całą tą
historią.

— Jemu chodzi tylko o jedno — o seks.
Fergus jest mężczyzną z krwi i kości,

kochanie, a mężczyźni już tacy są.

— Więc ty na jego miejscu robiłbyś to samo?! — wrzasnęła Brenna.

— Nie mam zamiaru odpowiadać na tego rodzaju idiotyczne pytanie, Bren.

Po tych słowach poszedł do baru. Tyrone był już od kilku godzin w jeszcze innym barze, Fergus na randce z Jessie Clifford, a Maria z chłopakami w dalszym ciągu u swojej matki.

„Przez te moje humory tylko wszystkich od siebie odganiam, po-myślała ze smutkiem Brenna. Nawet Eleanor, której po prostu kazałam się wynosić, chociaż chciała zostać. Może to klimakterium?

Istotnie, w ostatnim czasie jej miesiączki stały się nieregularne i coraz mniej obfite. Odkąd Rory umarł jej na rękach, nie chciała więcej dzieci, a jednak myślała, że już nie może ich mieć, choćby nawet bardzo się starała, zasiała w jej duszy jakąś straszną pustkę. Poczowała się trochę lepiej, kiedy doszła do wniosku, że jej obecne zachowanie nie bierze się ze złych intencji, że to nie wyłącznie wina jej wstrętnego charakteru, ale też tego, że organizm zaczyna wariować.

Pobiegła na górę po jakąś ładniejszą sukienkę, uczesała włosy, nałożyła trochę szminki na usta i poszła do Eleanor — tylko po to, żeby jej nie zastać w domu; wobec tego postanowiła

wpaść do Nancy i tam właśnie zastała Eleanor.

Wszystkie trzy zasiadły przy stole i odbyły długą, ciekawą pogawędkę na temat objawów menopauzy. Dzień okazał się znacznie ciekawszy, niż Brenna się spodziewała, mimo to jednak nie mogła się powstrzymać, żeby wieczorem nie zaatakować Fergususa, kiedy znów się szykował na spotkanie ze swoją kochanką.

— Do kogo należy to mieszkanie? — spytała Cara.

Na pewno do jakiegoś aktora — przemknęło jej przez myśl. Ściany jasnego, wesołego, bardzo

nieporządnego i nie bardzo czystego salonu 318

pokrywały od góry do dołu plakaty teatralne. Meble były bardzo stare, ale wszędzie leżały kolorowe poduszki, a ściany były pomalowane na różowo. Oczywiście różowe zasłonki maskowały zaciemnienie w oknach, a na trzeszczącej kanapie, na której Cara usiadła, leżał wełniany koc w szerokie pasy. Nakarmiła głodną Kitty, która kurczyła i rozwierała maleńkie piąstki w błogim zadowoleniu.

— A niby dlaczego myślisz, że nie jest moje? — spytała Fielding bez ogródek.

Siedziała w masywnym fotelu, w którym

wydawała się jeszcze drob-niejsza, i zafascynowana wpatrywała się w Carę i dziecko. Lewy rękaw jej bluzki zwisał pusty, a kiedy się poruszyła, majtała nim żałośnie.

Rozmawiały bardzo nieskładnie, przeskakując z jednego tematu na drugi i nie zawsze oczekując odpowiedzi na swoje pytania. Po powitalnym wybuchu płaczu Fielding przyjęła postawę hardego cynizmu połączonego z wyjątkowo złym humorem.

— Gdyby było twoje, wystarczyło powiedzieć: „do mnie”.

— No dobrze, nie jest moje, tylko tego faceta Aubreya, który prze-czekuje

wojnę w Kalifornii, a dokładnie w Los Angeles. Dostał jakąś rolę w filmie i kiedy wojna się zaczęła, postanowił tam zostać.

— Nie miałabym mu tego za złe.

— Nikt rozsądny by nie miał, to oczywiste. Mieszkanie jest wynajęte do końca lipca, potem będę musiała znaleźć coś innego. Nie stać mnie na przedłużenie umowy.

— Ale... myślałam, że dali ci rentę!

— Dali. — Roześmiała się gorzko. — Ledwo starcza mi na wyżywienie.

— Przecież to nieuczciwe! — zawołała

Cara z gniewem. — Nasz Fergus też dostał rentę, a właściwie tylko trochę kuleje. Biorąc pod uwagę twój stan, powinnaś dostać o wiele więcej.

— Muszę ci zakomunikować, Caffrey, że jestem w doskonałym stanie, oprócz tego, że brakuje mi jednej ręki.

— Jeśli chcesz znać prawdę, to wyglądasz jak... wrak człowieka.

Drobna twarzączka Fielding miała niezdrowy ziemisty koloryt i była pełna zmarszczek, a oczy przekrwione. Jasne włosy nie były już poskręcane w urocze pierścionki; teraz zwisały jej na ramiona w posklejanych i tłustych strąkach. Największą część siły wybuchu wziął na

siebie Kit; Fielding, która siedziała za nim na ramie roweru, przeżyła, ale była ciężko ranna.

Posłali ją samolotem do Anglii, gdzie spędziła w szpitalu w Birmingham cztery miesiące, leżąc w śpiączce; w każdej chwili mogła umrzeć. Po 319

sześciu tygodniach od chwili odzyskania przytomności przetransportowano ją na okres rekonwalescencji do sanatorium w Bournemouth, skąd wyszła po miesiącu. Nikt nie wiedział, co się z nią dzieje, i dopiero kiedy wystąpiła o przyznanie renty, Sybil wysłała Carze jej adres, dołą-

czony do któregoś z listów mamy.

— A skąd masz pieniądze na kupowanie takich ilości ginu i tych wszystkich butelek, które widziałam w kuchni? — spytała. Na podłodze z biało-niebieskich kafli stało co najmniej dwanaście pustych butelek.

— Muzykuję — odparła po prostu Fielding.

— Co to znaczy?

— Śpiewam przy wejściu do stacji metra Piccadilly. Gdybym robiła to codziennie, mogłabym zarobić kupę forsy. — Twarz jej się skurczyła w kwaśnym uśmiechu. — Wszyscy się nade mną litują. Wiesz, biedna, żałosna dziewczyna z jedną ręką... Najgorsze, że

się bardzo szybko męczę.

— Och, Fielding!

— Och, Caffrey! — Zrobiła głupią minę.

— Może chcesz zobaczyć moją rękę?
Zostało mi najwyżej osiem centymetrów,
a kikut skręcił się jak krewetka. Może
powinnam wstąpić do cyrku.

Dziewczyna z krewetką zamiast ręki.
Byłabym główną atrakcją. Mogłabym się
nauczyć żonglować i grać na pianinie,
rzecz jasna, nie równocześnie.

— Przestań! — powiedziała Cara tak
ostro, że Kitty przestała ssać, przez
chwilę trwała nieruchomo, po czym
znowu zaczęła głośno cmoktać.

— Przepraszam cię, maleńka —
szepnęła do niej Cara.

— Strasznie podobna do Kita —
zauważyła Fielding.

— Naprawdę? Też mi się tak zdawało,
ale myślałam, że mogę nie być
obiektywna. Na szczęście nie
odziedziczyła po nim nosa. Wiesz —
dodała cicho — przez całe dwadzieścia
cztery godziny po wypadku myślałam, że
nie żyjesz. Kit i Mac nie żyli na pewno,
więc uznałam, że ty też.

— Widziałaś nas? — Fielding zrobiła
wielkie oczy.

— Kiedy bomba wybuchła, zatrzymałam

samochód i czekałam, aż wasza trójka wyjedzie z kłębow dymu. Ale was nie było, więc pobiegłam tam i znalazłam... no, wiesz, co znalazłam. — Cera zamknęła oczy i po raz nie wiedzieć który ujrzała oczyma duszy tę koszmarną scenę. — Co to takiego? — spytała zaniepokojona, słysząc przenikliwe krzyki tuż za oknem. Na dworze zapadł już zmrok, poza tym pokój był zaciemniony.

— To nic, to tylko dziewczyny się biją
— odparła pogodnie Fielding.

— Nie ma się czego bać.

— Co za dziewczyny?

— Pracujące dziewczyny, pro...
prostytutki — burknęła niecierpliwie w
odpowiedzi na speszoną minę Cary. —
Pełno ich tu na ulicach. Jeśli nawet nie
biją się między sobą, dostają łomot od
swoich alfonsów. Tylko mi nie mów, że
nie wiesz, kto to jest alfons, Caffrey? —
jęknęła, kiedy Cara popatrzyła na nią
bezmyślnie. — Na jakim ty świecie
żyjesz?

— Na innym niż ty, to pewne.

Fielding wytłumaczyła jej, co to znaczy
„alfons”, a Cara stwierdziła:

— Teraz już rozumiem, dlaczego ten

sympatyczny taksówkarz tak jakoś dziwnie mi się przyglądał, kiedy podałam mu twój adres.

— Wcale nie musiałaś przyjeżdżać — powiedziała Fielding z obrażoną miną. — Może byś się tu w ogóle nie wybrała, gdybyś wiedziała, co to za szemrana dzielnica.

— Musiałam przyjechać — stwierdziła Cara. — Przyjechałabym, nawet gdybyś mieszkała na Księżycu. Chciałam cię zobaczyć, musiałam wiedzieć, co się z tobą dzieje.

Położyła główkę Kitty na swoim ramieniu i zaczęła ją klepać po plecach.

— Po co to robisz?

— Żeby się jej odbiło. Czy mogę ją tu gdzieś położyć spać, kiedy zmienię pieluszkę?

— Tylko na moim łóżku. Zresztą obie możecie tam spać, a ja zdrzemnę się na kanapie.

— Jesteś pewna...?

— No, chyba że ty i Kitty wolicie się przespać na kanapce... tak, jestem pewna. — Wstała. Pusty rękaw luźno zwisał. — Napijesz się jeszcze herbaty?

— Tak, proszę. Masz coś do zjedzenia? Zgłodniałam.

— Za rogiem jest sklep z rybą i frytkami. Pójdę i zaraz kupię.

— Tylko to jesz? Rybę z frytkami?

— Tak, z wyjątkiem dni, kiedy w ogóle nic nie jem.

— Pewnie zamiast jeść, pijesz. Och! — zawołała Cara z rozdrażnieniem.

— Fielding, moja przyjaciółko, nic dobrego nie wyniknie dla ciebie z takiego życia. Nie mogłaś zamieszkać z ojcem? — Fielding nigdy nie opowiadała za dużo o swojej rodzinie.

— Ojciec mieszka w Devon; przyjechał do mnie tylko raz, kiedy leżałam w

szpitalu. Od tego czasu nie dał znaku życia. Zresztą nic dziwnego, skoro nie wie, gdzie jestem i co się ze mną dzieje... i pewnie nawet nie chce wiedzieć. Matka umarła, kiedy miałam czternaście lat, a ojciec 321

w niecały rok po jej śmierci ożenił się z tą kurewską babą, Barbarą, która nie mogła się doczekać, żebyśmy razem z bratem jak najszybciej zniknęli z ich życia. Roger poszedł do wojska i straciliśmy kontakt. Ja pojechałam do Londynu, tam uczyłam się aktorstwa i wstąpiłam na scenę. Od tego czasu nie byłam w domu. — Otarła nos rękawem. — Ciągle chcę coś robić lewą ręką, tymczasem jej tam już nie ma.

Szczęściara z ciebie, Caffrey, że masz normalną rodzinę.

— Nie widziałam nikogo z mojej rodziny od przyjazdu z Malty —

westchnęła Cara. — Opowiem ci o tym innym razem.

Kitty beknęła głośno, nie przejmując się nic a nic dobrymi manierami.

Cara zmieniła jej pieluszkę i zaniosiła małą do sypialni, gdzie było tak samo nieporządnie i brudno jak w całym mieszkaniu. Fielding oświadczyła, że idzie po rybę z frytkami, zapominając całkiem o herbacie, a Cara, która pod stertą śmieci na kredensie dostrzegła

telefon, spytała, czy może zadzwonić.

— Chciałabym zatelefonować do kogoś w Liverpoolu, powiedzieć, że bezpiecznie dotarłam na miejsce.

— Proszę, nie krępuj się. Ja zaraz wracam.

Telefon odebrał Marcus. Jakby wiedziała, że to będzie on.

— To ja, Cara... Wszystko w porządku. Byłeś u lekarza?

— To on był u mnie. Chce, żebym poszedł do szpitala na prześwietlenie

— burknął Marcus.

— Kiedy się tam wybierasz? — spytała stanowczym tonem.

— Nie wiem, czy w ogóle mam ochotę. Mogliby jeszcze znaleźć coś złego.

— Ale przecież prześwietlenie jest właśnie po to! Żeby znaleźć przyczynę bólu. A teraz jak? Boli?

— Tylko trochę.

Już miała zarzucić mu kłamstwo, kiedy Kitty zawyła rozpaczliwie, powiedziała więc tylko:

— Muszę kończyć, Kitty płacze. Pewnie chciałyby wiedzieć, gdzie u licha teraz jest.

Cara przypisywała Kitty znacznie więcej inteligencji niż każdemu innemu dwumiesięcznemu oseskowi.

— Słyszę ją aż tutaj. Dobranoc, Cara. Daj mi znać, którym pociągiem wracasz w piątek. Będę czekał na stacji.

322

W telefonie brzęknęło, jego żona poszła się zająć Kitty; Marcus jednak nadal trzymał słuchawkę przy uchu, aż jej głos i płacz dziecka rozplynęły się w ciszy. Potem odłożył słuchawkę na widełki i wstał obolały. Bolało go w boku bynajmniej nie „trochę”. Od chwili, kiedy rano lekarz obmacał

centymetr po centymetrze jego brzuch, Marcus był przekonany, że jest mu gorzej. Uważał, że było coś okrutnie poniżającego w leżeniu na łóżku ze spodniami opuszczonymi do kolan i pozwalaniu, żeby jakiś mężczyzna, dwa razy młodszy od niego, obmacywał mu brzuch. Doktor Langdon, ten sam, który odbierał Anthony'ego i Sybil, od dawna nie praktykował, możliwe, że nawet już nie żył.

Gdyby tylko była tu Cara! Ostatniej nocy, kiedy jęczał przez sen, a ona przyszła zobaczyć, co się z nim dzieje, wydarzyło się coś tak cudownego, tak całkiem niespodziewanego... O tym tylko chciał myśleć, a nie o ostrym,

dokuczliwym, nieustającym bólu.

Zawołał głośno na Nancy, chcąc poprosić, żeby przygotowała mu termofor z gorącą wodą, kiedy jednak się nie pojawiła, przypomniał

sobie, że jej nie ma, ale że obiecała wrócić o siódmej.

— To na wypadek, gdyby był nalot — powiedziała. Gdziekolwiek była, zawsze pędem wracała do domu, kiedy zaczynał się nalot. Wolała być wtedy u siebie w kuchni, tu czuła się najbezpieczniej.

Marcus nie miał pojęcia, gdzie są schowane termofory. Dygotał przemarz-

nięty; w domu było wyjątkowo zimno jak na marzec — właściwie już prawie kwiecień. A może po prostu jemu było zimno? W ostatnim czasie każdy miał

prawo kupić tylko określoną ilość węgla, niezależnie od stanu zdrowia. Teraz potrafił już zrozumieć biedaków, że palą meblami, kiedy jest zimno. Gdyby mógł zaciągnąć jeden z ciężkich kredensów albo którąś z półek bibliotecz-nych na podwórko i porąbać na kawałki, zrobiłby to z przyjemnością.

Ból w brzuchu był tak ostry, jakby ktoś wierceł w nim nożem.

Położę się, postanowił Marcus. Bądź co bądź, w jego sytuacji łóżko było

najlepszym miejscem. Ostatnio trzymał w szufladzie biurka tabletki aspiryny. Zżył cztery, chociaż napis na pudełku zalecał najwyżej dwie —

i słaniając się na nogach, ruszył na górę.

Po półgodzinie tabletki zaczęły działać i Marcus zasnął. Kiedy Nancy wróciła, zapukała do drzwi gabinetu i zobaczyła, że jest pusty. Widok pudełka z aspiryną na biurku upewnił ją, że Marcus się położył. Wróciła do kuchni, zrobiła sobie kolację i przeszła do saloniku posłuchać radia w nadziei, że nie będzie nalotu. W domu było dziwnie spokojnie bez Cary i dziecka.

Nie upłynął jeszcze nawet dzień od ich odjazdu, a już za nimi tęskniła.

Marcus nie miał pojęcia, która jest godzina, kiedy obudził go ból tak straszny, że zmusił go do głośnego krzyku:

— Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! —

A potem: — Cara, Cara! Chodź

szybko! — Wreszcie rozległo się błagalne kwilenie: — Proooszę!

Ale Cara nie przyszła, podobnie jak zeszłej nocy, a on przypomniał

sobie, że przecież wyjechała do Londynu.

— Nancy! — wrzasnął.

Ale Nancy spała twardo dwa piętra niżej, w suterenie.

Potrzebował doktora, karetki. Ten ból nie był zwyczajny... działa się naprawdę coś złego. Marcus właściwie wypadł z łóżka. Gdyby udało mu się dotrzeć do gabinetu, mógłby zatelefonować po pomoc. Ale nie mógł

ustać na nogach, ból mu na to nie pozwalał. Zdołał tylko doczołgać się do drzwi; otworzył je i gramolił się dalej, aż do podestu, gdzie musiał

się zmierzyć ze straszliwym wysiłkiem zejścia po schodach. Trzymając się

poręczy, spróbował wstać i jak stary, bardzo stary człowiek włókł się po schodach na dół, bardzo powoli, schodek za schodkiem, zatrzymując się raz po raz, żeby złapać oddech. W połowie drogi zakręciło mu się w głowie. Spróbował usiąść, na próżno — przechylił się i zaczął spadać głową naprzód na sam dół; zatrzymał się dopiero przy zegarze dziadka, głośno tykającym swoim skrzypiącym wahadłem.

W którymś momencie nocy odzyskał przytomność, ale nie był w stanie się zorientować, gdzie jest i skąd to dziwaczne tykanie i trzeszczenie tuż przy jego głowie.

Twarz miał pokrytą czymś zimnym i kleistym.

— Cara — wyszeptał. — Cara, moja droga dziewczynko... gdzie jesteś?

Kiedy przerażona Nancy znalazła go następnego ranka leżącego w ka-

łuży krwi, tliła się w nim już zaledwie iskierka życia, a ciało miał zimne jak lód.

Zadzwoiła po pogotowie i patrzyła, jak zabierali go na noszach. Była pewna, że nigdy więcej nie zobaczy Marcusa Allardyce'a żywego.

— To ładna ulica — powiedziała Cara.

— Jak się nazywa?

— Piccadilly — odparła Fielding. —
Pomyślałam, że możemy się przejść aż
do Green Park, a potem skrótem na
Oxford Street.

— To mi pasuje.

324

Niektóre budynki wyglądały tak, jakby
stały tam od wielu stuleci, a sklepy były
niezwykłe wytworne. Odwiedzające je
kobiety były pięknie ubrane i mocno
uperfumowane, jakby myśl o wojnie w
ogóle nie powstała w ich ufryzowanych
głowach. Nie widać było żadnych oznak
zniszczenia.

Zeszłej nocy słychać było wprawdzie syrenę, ale gdzieś bardzo daleko.

— W Londynie — powiedziała kiedyś Nancy — najgorzej ucierpieli najbiedniejsi, ci z East Endu, co mieszkają w pobliżu doków. W każdym razie w Liverpoolu i biedni, i bogaci dostają po równo swoją porcję bomb od Hitlera.

Dotarły do Green Park. Był bardzo piękny, z drzewami pokrytymi bladozielonymi pączkami... jakby się już szykowały do lata.

— Bardzo bym chciała obejść go dookoła — westchnęła Cara — ale ręce mnie rozbolewały od niesienia Kitty. —

Żałowała, że nie zabrała wózka...

Zresztą nie zmieściłby się w taksówce.

— Chętnie bym ją trochę poniosła, ale, jak widzisz, mnie bolałoby tylko jedno ramię.

— Wstąpimy na herbatę, kiedy dojdziemy do Oxford Street?

— Pójdziemy do Selfridge'a, a po południu zabiorę cię na spacer, żebyś zobaczyła pałac Buckingham i parlament.

— Ja tu przyjechałam, żeby zobaczyć ciebie, Fielding, a nie na turystyczną wycieczkę po Londynie.

Fielding wyglądała dziś znacznie lepiej. Cara była zadowolona, że do niej przyjechała. Jej wizyta wyrwała dziewczynę z odrętwienia. Ostatniej nocy rozmawiały prawie do samego rana, przez cały nalot, przypominając sobie czasy Malty z Kitem i Makiem, a zwłaszcza weekend na Gozo.

— To wtedy się zakochałam w Macu, a on we mnie — wyznała Fielding. — Spaliśmy ze sobą, chociaż to była ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek mieliśmy zamiar zrobić. Aż do tej nocy nasze stosunki były czysto platoniczne. Oboje wiedzieliśmy, że i tak nic z tego nie będzie, bo on nigdy nie opuści żony i dzieci.

— Wiesz... — zastanowiła się Cara — że dziś po raz pierwszy w ogóle pomyślałam o żonie Maca. Musiała być zdruzgotana jego śmiercią.

— A co z rodziną Kita, z jego mamą i tatą? Wybierasz się do nich z Kitty? W końcu są jej dziadkami.

— Pisałam do nich dwa razy, powiedziałam o Kitty, ale do tej pory nie dostałam odpowiedzi. Chyba nie chcą o tym w ogóle wiedzieć.

Nadal pozostawała do rozwiązania kwestia drugich dziadków Kitty, na razie jednak nie chciała nawet o tym myśleć.

— Czy zrobisz sobie protezę? — zapytała, kiedy usiadły w restauracji Selfridge'a, czekając na herbatę i bułeczki. Kitty rozbudziła się na dobre i teraz kręciła się niespokojnie. Za chwilę trzeba będzie zabrać ją do toalety i zmienić pieluszkę.

— Właściwie myślałam o zrobieniu sobie haka — odparła Fielding — przydałby mi się do walki.

— Czy nie mogłabyś choć przez sekundę być poważna? — Cara niecierpliwie przewróciła oczami. Przemknęło jej przez głowę, że teraz, zupełnie tak samo jak dawniej, stara się wykrzesać z Fielding odrobinę rozsądku. — Zdaje

się, że słyszałam o jakiejś słynnej aktorce, która miała drewnianą nogę.

— Tak, Sarah Bernhardt. — Roześmiała się drwiąco. — Problem w tym, że ona była wybitną aktorką, a ja nie.

— Założę się, że nie śpiewała tak pięknie jak ty — upierała się Cara.

— Fielding, przecież nie możesz spędzić reszty życia, śpiewając na ulicy.

— Mogę, jeśli zechcę.

— Nie opowiadaj mi takich bzdur! Jasne, że nie możesz.

— To wtedy, kiedy śpiewałam A Foggy

Day in London Town w tej kawiarni na Gozo, Mac się we mnie zakochał — powiedziała cichutko; oczy jej się zamgliły na wspomnienie owej cudownej nocy... tej samej, podczas której została poczęta Kitty.

— A ty? Kiedy się w nim zakochałaś?

— zainteresowała się Cara.

— Kiedy zobaczyłam, jak na mnie patrzy, gdy śpiewałam A Foggy Day. Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, co się z nim dzieje, i zrozumiałam, że czuję to samo. — Przechyliła na bok główkę jak ptaszek. — Czy to jest szczęście, Caffrey, że mamy takie cudowne wspomnienia, czy jednak byłoby nam lepiej bez nich?

— Szczęście! — zapewniła ją Cara.

Kitty wierciła się na jej kolanach. Zerwała się z miejsca i zabrała małą do toalety, tam zmieniła jej pieluszkę i ucałowała różowy policzek maleństwa.

— Najprawdziwsze szczęście! — powiedziała swojej małej córeczce.

Po wyczerpującym dniu wróciły do mieszkania na Greek Street w porze podwieczorku. Fielding poszła kupić rybę z frytkami, a Cara wdrapywała się powoli na schody z Kitty w ramionach — teraz jej się wydawało, że mała waży chyba z tonę.

Minęły je schodzące na dół dwie kobiety, mocno umalowane; jedna miała długie ciemne włosy, druga utlenione na rudoblond. O wiele za krótkie spódnice ciasno opinały ich figury.

— Cóż za słodkie maleństwo! —
wykrzyknęła blondynka. — Ile ma teraz?

— Dwa miesiące. Ma na imię Kitty.

To musiały być te tak zwane dziewczynki, o których Fielding mówiła jej zeszłej nocy. Bardzo możliwe, że to właśnie one brały udział w bijatyce przed domem.

Ciemnowłosa, która chyba nie była starsza od Cary, wzięła malutką pod brodę.

— Słowo daję, toż to prawdziwa mała elegantka — powiedziała z silnym liverpoolskim akcentem.

— Jesteś z Liverpoolu? — ucieszyła się Cara.

— Tak, z Pickwick Street w Toxteth.

— A ja z Shaw Street, dosłownie tuż za rogiem!

Dopiero w tej chwili Cara zauważyła, że dziewczyna ma żółtawe białka oczu i twarz pokrytą krostami. Wystraszona, że

Kitty może się zarazić jakimś
świństwem, wymamrotała: — Muszę już
iść, przepraszam

— i pobiegła na najwyższy podest
schodów. Właśnie otwierała drzwi,
kiedy jakiś głos zawołał z dołu:

— Hej, ty tam na górze! Nigdy nie
słyszałaś takiego powiedzenia

„Gdyby nie łaska boska, ja też
mogłabym być na jej miejscu”? Gdyby
się inaczej ułożyło, to ja niosłabym
dziecko, a ty miałabyś parszywą gębę!

Mówię ci to tylko dlatego, żebyś
pamiętała, kiedy następnym razem
będziesz zadzierać nosa wobec

niewinnej kobiety pracującej.

Cara zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie zdyszana.

— Naprawdę, naprawdę mam szczęście
— szepnęła.

Nazajutrz wczesnym rankiem zadzwoniła do Marcusa, żeby mu powiedzieć, że chce zdążyć na pociąg o wpół do jedenastej. Powinna dojechać do Liverpoolu o wpół do trzeciej, ale czy można być czegoś absolutnie pewnym w czasie wojny? Była zaskoczona, kiedy telefon odebrała Nancy; już miała jej podać godzinę przyjazdu, nie zdążyła jednak, bo Nancy powiedziała:

— Cara! Jaka szkoda, że nie miałam twojego numeru...

— Dlaczego?

327

— Marcus nie żyje, dlatego. Umarł wczoraj rano. Nie mogłam cię powiadomić.

Cara nie wierzyła własnym uszom. Marcus nie żył! Ciężko usiadła na kanapie, aż zatrzeszczały sprężyny, jakby protestując.

— Ale... jak to się stało, że umarł?

— To mogło być zapalenie otrzewnej z

powodu pękniętego wyrostka, ale też i to, że spadł ze schodów. Nikt nie wie tego na pewno, jeszcze nie. Dzisiaj ma być sekcja, a pogrzeb odbędzie się w poniedziałek.

— Pojadę zaraz tym samym pociągami
— rzekła z pośpiechem Cara.

— O wpół do jedenastej.

— Nie rób tego, złotko. Będzie jak nic awantura, jeśli się tu teraz pokażesz, to znaczy ty i Kitty. Niech najpierw odbędzie się pogrzeb, tak, tak... Potem jakoś damy sobie radę z tym całym wariactwem. Przyjeżdżaj we wtorek, tylko koniecznie przedtem zadzwoń. Może będę miała ci coś do przekazania.

— Dobrze — odparła Cara posłusznie. Nancy zawsze wiedziała wszystko najlepiej. Nagle uderzyła ją bardzo niemiła myśl. — Ale... skoro biedny Marcus nie żyje, chyba nie ma sensu, żebym wracała, w każdym razie nie na Parliament Terrace? Przecież dom będzie teraz własnością kogoś innego. — No tak, Eleanor, Sybil, Anthony'ego, a może całej trójki.

— Na pewno nie będą chcieli, żebyśmy tam mieszkały razem z Kitty.

— Cara, przyjedź we wtorek! — powtórzyła stanowczym tonem Nancy. — Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że Sybil jest już w drodze z Malty; Jonathan też przyjedzie.

— Dobrze — zgodziła się Cara.

Mimo tego wszystkiego, co Eleanor mówiła o swoim mężu (a jej przyjaciółka nie wątpiła, że to prawda), Brenna zawsze jednak lubiła Marcusa Allardyce'a. Nawet tej nocy, kiedy wyrzucił Eleanor z domu na deszcz, Brenna rozumiała, że miał ważki powód, by się tak zachować.

W stosunku do niej zawsze był grzeczny; poza tym była mu wdzięczna, że dał Fergusowi pracę, kiedy Anthony zostawił go na lodzie i jej chłopiec czuł się tak strasznie zgnębiony.

Przykre było doprawdy, że Marcus

umarł w tak okropny sposób z powodu upływu krwi, po tym jak spadł z własnych schodów.

— Nic nie słyszałam — popłakiwała Nancy. — Gdybym wiedziała, że spadł, wezwałabym zaraz karetkę! Taki był z niego świetny kompan 328

podczas nalotów — mówiła. — Wypijaliśmy we dwoje buteleczkę czy dwie wina, aż byliśmy kompletnie urżnięci.

Najwidoczniej pijany Marcus potrafił być zabawny, podobno zdarzało mu się nawet rzucić jeden czy dwa dowcipy, w co Eleanor po prostu trudno było uwierzyć. To jednak musiała być

prawda, bo Nancy nie miała zwyczaju kłamać.

Brenna nie wybierała się na pogrzeb. Zgodziła się zostać w domu na Parliament Terrace i przygotować konsolację, żeby Nancy mogła pójść.

Eleanor, która się zajęła organizacją wszystkiego z pomocą Olivera Chandlera, wysłała wiadomość o śmierci Marcusa do „Liverpool Echo”, które zamieściło długi, bardzo pochlebny nekrolog: „Dobry pracodawca, szanowany przez pracowników” i tak dalej. Eleanor nie miała pojęcia, ile osób przyjdzie po pogrzebie z cmentarza do domu Marcusa na stypę.

Pewnie mniej niż dwanaście... Wtedy będzie ich można poczęstować filiżanką herbaty; gdyby przyszło więcej, musiałyby być wino albo sherry; wina było dość w piwnicy, za to herbaty w puszcze — jak na lekarstwo.

Tego dnia — nijakiego, ani zimnego, ani ciepłego, ani słonecznego, ani pochmurnego — kiedy kondukt pogrzebowy już wyszedł z domu, Brenna została w kuchni, żeby zająć się szykowaniem kanapek z wędzonym łososiem — poświęciła na to dużą puszkę różowego łososa, schowaną na jakąś specjalną okazję, chociaż nigdy nie sądziła, że taką okazją będzie

właśnie pogrzeb. Zagotowała czajnik wody, na wypadek gdyby trzeba było zaparzyć herbatę, i właśnie postanowiła uraczyć się filiżanką tego aromatycznego napoju, kiedy rozległ się dzwonek przy frontowych drzwiach. Poszła na górę otworzyć.

Jakaś wysoka, przystojna kobieta, cała w czerni, z brylantami lśniąщими w uszach i na szyi, stała pod drzwiami, wspierając się na lasce.

— Przepraszam — powiedziała Brenna — ale wszyscy poszli już dawno na cmentarz. Niedługo powinni być z powrotem. Może pani wejdzie i zaczeka w salonie?

— Dziękuję — odparła chłodno nieznajoma dama, obrzucając Brennę wyniosłym spojrzeniem. — Widziałam, jak kondukt wychodzi, ale jestem półinwalidką i mam trudności z wsiadaniem do samochodu. Przyszłam tylko złożyć wyrazy współczucia rodzinie, kiedy już wrócą z pogrzebu. Wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego... mój mąż zmarł wiele lat temu.

Sztywnym krokiem przeszła do salonu i z wielkim trudem usiadła.

329

— Musi pani bardzo blisko mieszkać, skoro widziała pani odjeżdżające

samochody — zauważyła Brenna, myśląc, że ta kobieta wygląda jak na inwalidkę szalenie młodo. Z pewnością nie była starsza od niej. No, może odrobinę...

— Tak, tuż obok. Czy pomoże mi pani odstawić laskę?

— Jeśli pani sobie życzy.

Nieznajoma najwyraźniej brała ją za służącą. Brenna wstawiła laskę do stojaka na parasole w korytarzu. Na dywanie nadal widniała plama, w miejscu, gdzie leżała głowa Marcusa — Nancy w żaden sposób nie mogła jej wywabić. Brenna uważała, by na nią nie nadepnąć.

— Czy mogę pani zaproponować filiżankę herbaty albo kieliszek wina czy sherry już teraz, kiedy pani czeka? — zagadnęła.

— Sherry, proszę, tylko bardzo wytrawne.

Brenna uważnie przyjrzała się tej kobiecie.

— Czy myśmy się już kiedyś nie poznały? Nie ostatnio, ale dawno temu. W pani twarzy jest coś znanego...

— Szczerze wątpię. — Słowa, wypowiedziane tak kąśliwie, wskazywały na umyślny afront, jakby ta dystygowana dama chciała powiedzieć,

że nie zadaje się z ludźmi takimi jak Brenna, co to otwierają drzwi i podają napoje.

W każdej innej sytuacji Brenna pewnie by się obraziła, ale dziś był

pogrzeb Marcusa, uznała więc, że nie ma się czym przejmować. Zamykając drzwi, rzuciła ostatni raz okiem na kobietę i zauważyła, jak klejnoty lśnią w jej uszach i na szyi. Poszła do kuchni i właśnie nalewała sherry, kiedy naraz sobie przypomniała, skąd ją zna.

Tę chwilę zapamiętała do dziś.

To było w dniu, kiedy przyjechali do Liverpoolu, dwadzieścia lat temu. W

sąsiednim domu odbywało się przyjęcie. Brenna trzymała się prętów balustrady, zaglądając do środka, a deszcz lał jak z cebra; całym jej ciałem wstrząsały potworne skurcze, zapowiadające rychłe przyjście na świat Cary. Myślała wtedy, jakie to niesprawiedliwe, że ona, jej mąż i dzieci muszą stać na ulicy w zimnie i deszczu, przez cały dzień prawie nic nie mając w ustach, podczas gdy dobrze ubrani i najedzeni ludzie po drugiej stronie tego okna tak świetnie się bawią. Zastanawiała się wówczas, czemu los tak różnie traktuje ludzi. Nie wiedzieć czemu zwróciła szczególną uwagę na kobietę w lśniących kolczykach i z piórem we włosach, która zauważyła Brennę wpatrzoną w okno jej

domu i ze złością zaciągnęła kotary.

330

Ta sama kobieta siedziała teraz w salonie Allardyce'ów — wdowa i półinwalidka. Los w dalszym ciągu traktował je odmiennie, ale teraz to Brenna była posiadaczką prawdziwych bogactw: dobrego męża, zdrowia, trójki dzieci, które wprawdzie sprawiały swojej mamie mnóstwo kłopotów, ale w gruncie rzeczy były najlepsze na świecie.

— Już nigdy nie będę się na nic skarżyła
— przyrzekła sobie Brenna,
prawdopodobnie setny raz w życiu.

Ale nie dotrzymała tej obietnicy nawet przez jeden dzień...

Znowu była w domu i czuła przejmujący smutek; cóż, z pogrzebu zwykle nie wraca się w radosnym nastroju.

Obierała ziemniaki na podwieczorek, zadowolona, że jest pod własnym dachem, kiedy do kuchni weszła Eleanor, nadal w czarnym kostiumie, chociaż bez „pompatycz-nego” kapelusza, który aż się uginał pod ciężarem nieprawdopodobnej ilości piór.

— Nie myślałam, że cię jeszcze dziś zobaczę — zauważyła Brenna. —

Sądziłam, że będziesz zbyt zajęta Sybil i

Jonathanem. I co się stało, że weszłaś tu bez swojego „juhuu!”?

Eleanor nie tylko zignorowała tę uwagę, ale nawet się nie uśmiechnęła.

W ogóle wyglądała tak poważnie, że Brenna aż się złękła, że może ktoś jeszcze umarł.

— Wiesz, że adwokat Marcusa był tam dzisiaj, prawda? — spytała Eleanor obojętnie.

— Tak, mówiłaś, że ma wam przeczytać testament, kiedy już wszyscy goście sobie pójda.

— I właśnie tak zrobił. Po prostu

pomyślałam, że może chciałabyś wiedzieć, co postanowił Marcus. Otóż zapisał dom i wszystkie pieniądze swojej żonie.

— Tego można się było chyba spodziewać, co? Pewnie sporządził testament, zanim się rozwiedliście.

Czy Eleanor przyszła tu specjalnie po to, żeby jej zakomunikować coś, co jest tak bardzo oczywiste?

— Nie, to był zupełnie nowy testament, spisany w zeszłym tygodniu, tego dnia, kiedy do Marcusa przyszedł lekarz — no, dosłownie na parę godzin przed śmiercią. Poprosił Nancy, żeby

poświadczyła jego podpis.

— To dziwne... — Dopiero po paru sekundach zrozumiała, o co chodzi. — To rzeczywiście dziwne.

331

— Też tak myślałam... aż do chwili, kiedy adwokat wyjaśnił, że Marcus ponownie się ożenił... tuż przed Bożym Narodzeniem. Pokazał nam świadectwo ślubu. Nazwisko panieńskie jego nowej żony brzmi Cara Caffrey, która, jak twierdzi Nancy, ma małą córeczkę, Kitty, i od lipca zeszłego roku mieszka w domu przy Parliament Terrace.

— Co?! — Kuchnia zaczęła się

rozpływać przed oczami Brenny.

Począpiała do salonu i ciężko opadła na krzesło. — Moja Cara?

— Ile jeszcze znasz Car Caffrey? — spytała Eleanor chłodno.

Poszła za Brenną i stała teraz oparta o kredens, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Krzyżowała w ten sposób ręce tylko wówczas, gdy była bardzo rozzłoszczona.

— Ale... ja nie rozumiem — rzekła Brenna słabym głosem. — Mówisz, że nasza Cara mieszka kilometr stąd od... od zeszłego lipca?

— Na to wygląda.

— Ale przecież... co dwa tygodnie dostawałam od niej listy z Malty!

— Wysyłała je do Sybil, która potem odsyłała je do was i robiła to samo z waszymi listami. — Z dezaprobatą pociągnęła nosem, ale zabrzmiało to jak gniewne parsknięcie. — Wszystko to było bardzo podstępne, powiedziałam to zresztą Sybil.

— I Cara... ma dziecko... Marcusa? — Głos Brenny drżał niczym głos staruszki.

— Tego bym nie powiedziała, nie — zaprzeczyła energicznie Eleanor.

— Najwyraźniej Cara już była w ciąży, kiedy przyjechała do domu, a Marcus pozwolił jej zostać. Kitty urodziła się dwudziestego piątego stycznia. Może się ożenił, żeby Kitty była ślubnym dzieckiem? Sądząc z daty ślubu na dokumencie, zrobili to, kiedy odbywał się bożonarodzeniowy kiermasz stowarzyszenia Townswomen's Guild i Nancy — jak my wszyscy — cały dzień była poza domem. Pojechali do urzędu stanu cywilnego w Chester, najwidoczniej chcąc to utrzymać w sekrecie.

Brenna zaczynała powoli odzyskiwać przytomność umysłu, który stopniowo ogarniał to, co się wydarzyło. A było

tego niemało, oj niemało...

— To znaczy, że nasza Cara mieszka od lipca w domu przy Parliament Terrace i Nancy słowem się o tym nie zająknęła? Cara urodziła dziecko, a ja nic o tym nie wiedziałam! — Zerwała się na równe nogi. — Idę tam natychmiast. Już ja powiem tej Nancy Gates, co o tym myślę... Jak mogła zatrzymać dla siebie coś takiego?

Eleanor zrobiła krok naprzód i rozłożyła ramiona, jakby chciała za-grodzić jej drogę.

332

— Nie zrobisz tego, Brenno Caffrey! —

zawołała ochrypłym głosem, z płonącymi oczyma. — Nancy poproszono o dochowanie sekretu i tak właśnie zrobiła. Ja sama nieraz powierzałam jej w przeszłości swoje tajemnice. — Wydeła wargi z niesmakiem. — Można się było spodziewać, że swoim zwyczajem zrzucisz winę na kogoś innego. Nie przyszło ci nawet do głowy, żeby się zastanowić, dlaczego Cara nie wróciła do domu, do własnej matki, tylko zdała się na łaskę Nancy?

— Co masz na myśli?

— No, sama powiedz, jak byś zareagowała, gdyby Cara wróciła do domu i przyznała się, że jest w ciąży?

— Zabiłabym! — rzuciła Brenna wojowniczo.

— Właśnie. Dlatego poszła do Nancy, a nie do ciebie. — Eleanor znowu skrzyżowała ręce i przyjaciółki patrzyły teraz na siebie spode łba.

— Mniej więcej rok temu — mówiła Eleanor — Marcus mnie poprosił, żebym zrezygnowała ze swojej części domu, by mógł ją zapisać w testamencie Sybil, naszej córce. Oczywiście chętnie się zgodziłam, ale nigdy, przenigdy bym tego nie zrobiła, gdybym choć przez chwilę przypuszczała, że zostawi ten dom komuś innemu.

Brenna oblizwała wargi, chciała coś powiedzieć — i nic — w głowie miała pustkę, ale Eleanor jeszcze nie skończyła.

— To ty, tylko ty jesteś winna całemu temu bałaganowi, Brenno.

Gdyby Cara mogła ci powiedzieć, że jest w ciąży, nic takiego by się nie wydarzyło. Nie musiałyby mieszkać na Parliament Terrace. Nancy podejrzewa, że Marcus się w niej zakochał, no i uwielbiał Kitty. Aha, i zanim zaczniesz obwiniać Carę o to czy tamto, wiedz, że twoja córka nie miała pojęcia o testamencie. Z tego, co mówi Nancy, w żadnym razie go nie uwodziła, między nimi nic nie było. Absolutnie nic... po

prostu byli przyjaciółmi.

— A gdzie jest teraz Cara? — spytała Brenna słabym głosem.

— W Londynie, z wizytą u kogoś. Wraca jutro. Kiedy wyjeżdżała, Marcus jeszcze żył i to ona nalegała, żeby dokładnie zbadał go lekarz.

Brenno, ja naprawdę o nic nie obwiniam Cary, to kochana dziewczyna.

Zawsze ją lubiłam. To ciebie oskarżam.

— Jaki był ten Marcus? — szepnęła Fielding.

— Był bardzo przystojny jak na

starszego pana — odszepnęła jej Ca-ra.
— Wysoki, ciemnowłosy, prawie bez
siwizny, z wąsami jak Clark Gable.

333

— Czy ty... wiedziałaś? — Fielding
mrugnęła okiem.

— Cicho bądź! — Cara obejrzała się
ukradkiem na innych pasażerów w
przedziale, wszyscy jednak wydawali
się zajęci rozmową. — Naprawdę masz
zawsze nieprzyzwoite myśli.

Fielding znowu mrugnęła.

— To nie jest żadna odpowiedź.

— Owszem, to jedyna odpowiedź, jaką dostaniesz.

Zobaczyła, że Kitty zasnęła ze smoczkiem w ustach; spróbowała go wyciągnąć — bezskutecznie. Widocznie nie zasnęła jeszcze na dobre, bo po prostu nie pozwoliła go sobie odebrać.

— Mała dama — mruknęła Cara.

Tego ranka, we wtorek, tak jak prosiła Nancy, Cara zadzwoniła przed wyjściem na stację i otrzymała zaskakującą wiadomość, że Marcus zapisał

jej w swoim testamencie wszystko, z wyjątkiem fabryki.

— Wracasz zatem do własnego domu —
skonstatowała poważnie Nancy.

— Ale... to nie jest w porządku —
jęknęła Cara. — Chyba nie mogę tego
przyjąć.

— Najwyraźniej Marcus uważał, że to
jest w porządku, złotko. On i Eleanor się
rozwiedli, ona sama ma już dom, nawet
jeśli tylko wynajęty.

Jonathan nie jest przecież jego
dzieckiem, a Anthony chyba zniknął na
dobrze z powierzchni ziemi. Pozostaje
więc tylko Sybil. Widocznie Marcus
uznał, że woli raczej zostawić dom tobie
niż jej.

— No, dobrze — zgodziła się Cara. W dalszym ciągu nie wydawało jej się, że to naprawdę dobrze, ale jeśli Marcus chciał tego dla niej i Kitty...

— Chyba późno dziś wrócę. Nie jestem pewna, o której...

— Wszyscy już wiedzą o Kitty, ale podałam tylko nagie fakty. Szczegóły pozostawiam tobie. Nie wspomniałam o jej ojcu.

— Bardzo ci dziękuję, Nancy.

Odłożyła słuchawkę i zawołała:

— Fielding, jak by ci się podobało zamieszkać w Liverpoolu? Wygląda na

to, że dostałam w spadku dom!

Teraz wielka waliza Fielding i mała torba Cary leżały na półce nad ich głowami w zatłoczonym oczywiście pociągu do Liverpoolu — dwie młode kobiety z dzieckiem szybko znalazły miejsca siedzące.

— Jaki jest ten dom? — wypytywała Fielding.

— Wygląda jak wielkie mauzoleum, raczej zimne — objaśniała Cara.

— Najmilsza jest tam kuchnia, naprawdę ogromna, no i na pewno 334 pokochasz Nancy. To gospodyni — i

prawdziwy anioł w ludzkim ciele.

Ma na głowie cały dom, a poza tym gotuje.

— A będzie też prowadzić dom i gotować dla ciebie?

— Naprawdę mam taką nadzieję — odparła Cara żarliwie. — Dom nie byłby taki sam bez Nancy... Myślę, że dam jakoś radę płacić jej pensję.

Powiedziała, że Marcus zostawił mi też pieniądze, ale nie mówiła ile. Jeśli nie starczy, będziemy musiały jej płacić z twojej renty.

— Nie mam nic przeciwko temu —

powiedziała beztrosko Fielding.

Wydawała się podniecona pomysłem zamieszkania w Liverpoolu. Raczej niemożliwe było, żeby stała się na powrót tą samą co dawniej trzpiotką, ale wyglądała teraz o niebo lepiej niż wtedy, gdy się spotkały przed tygodniem. Cara uparła się, żeby jej porządnie umyć włosy, dzięki czemu blond loczki powróciły do dawnej świetności. Przedwczesne zmarszczki prawie zniknęły z jej twarzy, zostało zaledwie kilka kurzych łapek w okolicach oczu, których wcześniej nie było; przez to wyglądała doroślej.

Malta zmieniła obie dziewczyny w kobiety. Cara nie potrafiła sobie teraz

wyobrazić, by jeszcze kiedyś mogła się poczuć tak młodo jak przed rokiem.

— Cara! — zawołał jakiś głos. — Cara!

Zaczęła szukać oczami właściciela głosu w tłumie ludzi kłębiących się na peronie Lime Street Station i wtedy dostrzegła swojego brata, Fergususa.

Przepychał się w jej stronę.

— Cara!

Podniósł ją do góry i okręcił, nie zważając na Kitty, zduszoną pomiędzy nimi.

— Uważaj na dziecko — stęknęła Cara.

— Ach tak, dziecko! W takim razie przyjrzymy mu się! — Cara odsłoniła szal zakrywający buzię Kitty, a Fergus przyglądał się jej z uwagą.

— Nie jest jakoś szczególnie podobna do ciebie — ocenił w końcu.

— Bardziej przypomina ojca. Skąd wiedziałeś, że przyjedziemy tym pociągiem?

— Nie wiedziałem. Przed końcem pracy zadzwoniłem do Nancy, powiedziała mi, że jeszcze nie przyjechałaś, więc poszedłem na Exchange Station i tam mnie poinformowali, że pociąg z Londynu ma przyjechać lada moment. Poczekalem, licząc na to, że możesz w

nim być — i jesteś!

Jezu, ale się cieszę, że cię widzę, Cara!

335

— I ja się cieszę, Fergus. — Była zachwycona zmianą, która zaszła w jej bracie. Cichy, rozpaczliwie nieśmiały Fergus jakby się pozbył skorupy; teraz był tryskającym energią, hałaśliwym młodym człowiekiem ze śmiejącymi się oczyma w okularach w rogowej oprawie, które jeszcze dodawały mu uroku, i z twarzą, na której malowała się ufność.

— Gdzie twój bagaż?

— Ktoś mi go wyniósł z wagonu. O, tutaj jest, tuż za tobą. Ta duża waliza należy do Fielding.

— Kto to jest Fielding?

— To ja — przedstawiła się Fielding.

— To moja przyjaciółka z wojska — wyjaśniła Cara. — Będzie z nami mieszkała w domu Allardyce'ów.

— Jak się masz, Fielding?

Podali sobie ręce, jak nakazywała grzeczność.

— Masz może jakieś imię? — spytał Fergus. — Jako że już nie jestem w

wojsku, wolałbym cię nazywać po imieniu.

— Juliette — odparła Fielding z wdziękiem. — Ja też już nie jestem w wojsku.

— Dlaczego?

— Wiem, że to głupie, ale stanowczo nie chcą mieć u siebie jednorękiich żołnierzy.

— Ooch! Przepraszam, nie zauważyłem — usprawiedliwił się Fergus.

— Jak ją straciłaś?

— Nie mam pojęcia — tłumaczyła mu

Fielding z szeroko otwartymi oczyma.
— Po prostu pewnego ranka obudziłam się i już jej nie było.

Zawsze gubię rzeczy, ale zgubić rękę — to mi się przydarzyło pierwszy raz.

— Fergus, nie zwracaj uwagi na to, co ona gada — wtrąciła się Cara.

— Ma dziewczyna to swoje dziwaczne, koszmarne poczucie humoru, musisz się do niego przyzwyczaić. Idziemy? Myślę, że trzeba będzie wziąć taksówkę, co?

— Spóźniłeś się — warknęła mama, kiedy Fergus wrócił do domu. —

Podwieczorek masz w piecyku. Siadaj,

zaraz ci podam.

— Za chwilę, mamó — Fergus jednak usiadł. — Dopiero co widziałem się z naszą Carą — oznajmił. — Odebrałem ją z pociągu, a potem pojechaliśmy razem na Parliament Terrace. Dlatego się spóźniłem.

336

Mama omal nie wyskoczyła ze skóry.

— Naprawdę, synku? Jak wygląda? Miała ze sobą dziecko?

— Wygląda doskonale, tyle że teraz wydaje się dużo bardziej dorosła, niż kiedy wyjeżdżała. Jej córeczka, Kitty,

nie jest do niej nic a nic podobna.

Cara mówi, że przypomina ojca.

— Powiedziała ci, kto jest ojcem? —
pytała mama z przejęciem.

— Był lotnikiem, nazywał się Kit
Farthing.

Fergus wysłuchał całej historii od
początku do końca i obiecał wszystko
powtórzyć mamie, żeby oszczędzić
Carze takiej konieczności, a przy okazji
dać mamie trochę czasu, żeby się ze
wszystkim oswoiła, a wreszcie

— pogodziła.

— Był lotnikiem? — Zauważyła, że powiedział to w czasie przeszłym.

— On i jego przyjaciel zginęli od wybuchu bomby na dzień przed terminem ślubu Kita z Carą

— Nigdy mi nie wspominała w listach o swoich przygotowaniach do ślubu. Nawet jednym słowem! — rzuciła mama zaczepnie.

— To dlatego, że on nie był katolikiem, mieli wziąć ślub w protestan-ckim kościele, a Cara dobrze wiedziała, że ani ty, ani tata nie będziecie tego pochwalać... — Fergus aż się wzdrygnął w oczekiwaniu na wybuch, który oczywiście nastąpił.

— Co takiego?! — wrzasnęła mama. —
Moja rodzona córka miała brać ślub w...
— przerwała, nie mogąc dokończyć
zdania, jakby jej nagle zabrakło słów.

— Ale przecież go nie wzięła, mamó —
cierpliwie wyjaśniał Fergus.

— Kit zginął, zanim to się stało.

— Wyszła za mąż za Marcusa
Allardyce'a w urzędzie stanu cywilnego!

— Tylko dlatego, że nie miała wyboru.
Pan Allardyce chciał jedynie dać
nazwisko temu dziecku. Myślałem, że
będziesz z tego zadowolona, mamó. Czy
to nie lepsze, niż mieć wnuczkę
bękarta...?

Mama walnęła pięścią w stół i Fergus wzdrygnął się znowu.

— Ani mi się waży używać takich słów w tym domu, Fergusie Caffrey!

Fergus wzruszył ramionami.

— Niech ci będzie. Nieślubną.

— Chyba mogę mieć nadzieję, że Cara przyjdzie się ze mną zobaczyć i przeprosi za to wszystko — powiedziała z goryczą.

— Nie, mamo, nie możesz. — Fergus wiedział, że to, co teraz powie, tylko pogorszy sprawę, brnął jednak dzielnie dalej. — Ona mówi, że to 337

ty masz do niej przyjść, ale dopiero wtedy, kiedy się już uspokoisz. Nie ma ochoty słuchać twoich wrzasków.

Na te słowa twarz mamy wykrzywił żalospny grymas. Wybuchnęła płaczem.

— Nikt mnie nie rozumie — chlipała. — Nikogo nie obchodzi, jak ona mnie traktuje. Moja własna córka kłamie, oszukuje, od miesiący ukrywa się przede mną na Parliament Terrace, udaje, że wysyła listy z Malty, wychodzi za mąż za Marcusa Allardyce'a i, co najgorsze, śpi z jakimś lotnikiem i w dodatku ma z nim dziecko.

Fergusu korciło, żeby powiedzieć, że gdyby był na miejscu Cary, z całą

pewnością zachowałyby się tak samo. Kłamstwo, oszustwo, ukrywanie się były o wiele lepsze niż przyjście jakby nigdy nic do domu i oznajmienie mamie, że jest się w ciąży.

Teraz wyglądała okropnie, z twarzą pobladłą i wymizerowaną — a on tak dobrze pamiętał tamtą mglistą noc, kiedy jego matka wpadła jak burza do klasztoru Świętej Hildy, wołając swoich chłopców, i z marszu zabrała ich do tego domu, który na wszelkie sposoby starała się upiększyć i uczynić jak najwygodniejszym dla całej rodziny.

Kochała swoje dzieci do szaleństwa. Na nieszczęście wyobrażała też sobie, że są jej własnością i dlatego muszą układać

swoje życie według jej — i tylko jej zasad. Teraz jednak trwała wojna i jej dzieci się zmieniły.

On stawiał czoło śmierci i widział setki zabitych, zanim uciekł z Dunkierki. W porównaniu z tym okropieństwem sypianie z Jessie Clifford, radosną i dobrą istotą, było doprawdy banalną sprawą. Złościły go niekończące się kazania, których musiał wysłuchiwać za każdym razem, kiedy szedł się z nią spotkać. A co do Cary, która widziała martwe ciało swojego przyszłego męża dosłownie na parę godzin przed ślubem, to niewątpliwie czuła tak samo i nie miała ochoty znosić scen urządzanych przez mamę.

— Nie płacz, mamó — prosił, obejmując ją ramieniem; czuł, że sam się zaraz rozpłaczę, bo przecież bardzo ją kochał, jednak chyba nie aż tak bardzo, by zapomnieć, że jest już dorosły i nie ma ochoty robić przez resztę życia tego, co mu każe matka.

— Nie mogę, synku. Tak jak Eleanor, o wszystko obwiniacie tylko mnie. Wczoraj wieczorem wasz tata powiedział mniej więcej to samo.

Wychodzi na to, że to wszystko moja wina.

— To nieprawda, mamó... — Westchnął. — Może teraz zjem to, co mi zostawiłaś.

Nie miał ochoty na jedzenie, ale nie chciał dodatkowo martwić matki.

Dlatego — mimo braku apetytu — zjadł to, co z taką miłością dla niego przygotowała.

Nancy była w swoim żywiole. Uwielbiała, kiedy w jej kuchni było pełno ludzi, a teraz Cara i Kitty wróciły razem z tą dziwną, tak strasznie okaleczoną dziewczyną, drobniutką Fielding, która natychmiast zaskarbiła sobie serce Nancy. Był też Fergus, który już poszedł, a teraz dla odmiany przyszedł Colm i tak mocno tulił do siebie swoją córeczkę, jakby już nigdy

nie chciał wypuścić jej z objęć. A potem przypatrywał się Kitty, która radośnie gaworzyła w krzepkich ramionach Nancy. Podała niemowlę dziadkowi i zobaczyła łzy w jego oczach, kiedy dotykał tej słodkiej, małej twarzyczki. Powiedział:

— Chciałbym, żeby to wszystko wydarzyło się w inny sposób, Caro, kochanie.

— I ja też, tato.

To było wszystko, co Cara powiedziała, ale z taką żarliwością, że Nancy już była pewna, że sprawa między nimi jest zakończona. Colm zrozumiał. Cara otrzymała przebaczenie, a przecież o to

chodziło.

Ledwie Colm wyszedł, przyszła Eleanor. Poprzedniego dnia, kiedy poznała treść testamentu, była naprawdę zdenerwowana, dziś jednak widocznie już jej przeszło, bo uśmiechnęła się do Cary i pocałowała ją w policzek.

— Nie bardzo wiem, co powiedzieć, moja droga, chyba tylko tyle, że Marcus znalazł szczęście w ciągu ostatnich kilku miesięcy swojego życia.

— Myślę, że tak — odparła Cara nieśmiało.

— Dobrze — powiedziała z werwą Eleanor. — A teraz gadaj szybko, gdzie

jest dziecko? Strasznie chcę je zobaczyć.

I to jest właśnie w porządku, myślała Nancy, uśmiechając się promiennie do wszystkich. Teraz jeszcze tylko Brenna powinna tu przyjść, a wszystko będzie ślicznie, pięknie...

Na śmierć zapomniała o Sybil.

Matka nie miała pojęcia, jak się z nią skontaktować, kiedy ojciec odszedł

tak nagle z tego świata. Nie było sensu pisać listu — minęłyby wieki, zanim dotarłby do adresata; nie była pewna, czy można wysłać telegram 339

do osoby będącej w wojsku, zatem

Oliver Chandler, przyjaciel matki, postanowił ją zastąpić i zadzwonił do centrali wojskowej w Londynie, gdzie ktoś obiecał skontaktować się z Sybil na Malcie.

Być może dlatego, że już i tak była w fatalnym nastroju, ta wiadomość strasznie ją przygnębiła. Kiedy odłożyła słuchawkę, nie mogła przestać płakać. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że ojciec był jedynym człowiekiem na świecie, na którym mogła całkowicie polegać. Kiedy wiele miesięcy temu Cara powiedziała, że matka nie zechce przyjąć jej do domu, ponieważ dziewczyna spodziewa się dziecka, Sybil odpowiedziała: „Mój ojciec

zrobiłby tak samo", wiedząc, że to nieprawda, bo tatuś był w stanie wybaczyć jej absolutnie wszystko. Mógł tego nie pochwalać, mógł nawet dać temu wyraz, z pewnością jednak przyjąłby ją pod swój dach i obsypał prezentami w taki sposób, który Sybil uważała dawniej za męczący, a teraz cieszyłaby się z całego serca.

Ale teraz ojciec już nie żył, a ona wpakowała się na Malcie w okropne tarapaty podczas swojej kariery oficerskiej. Ostatnio się nawet zastanawiała, czy nie mógłby jej wykupić, chociaż nie była do końca pewna, czy w czasie wojny coś takiego jest możliwe.

Wszystkiemu był winien John Glover, kolejny porucznik, z którym chodziła po zerwaniu z Alekiem Townsendem. Po pewnym czasie pozwoliła mu zaciągnąć się do łóżka, okazał się jednak gwałtownym i sadys-tycznym kochankiem z nienaturalnymi upodobaniami. Po kilku dniach miała tego serdecznie dość, okazało się jednak, iż zerwać z Johnem to nie taka prosta sprawa jak z Alekiem. Wchodził nieproszony do jej biura —

co najmniej kilkanaście razy na dzień, lecz nie po to, żeby błagać o kolejną randkę, tylko by ją znieważać i obrzucać epitetami, jakich nigdy dotąd nie

słyszała. Z podobną częstotliwością napastował ją telefonicznie, miotając te same obelgi. Często próbowali ją zapraszać inni oficerowie i Sybil pewnie by się zgodziła na nową znajomość, za każdym razem jednak okazywało się, że już na pierwszej randce chcą z nią iść do łóżka.

— John i Alec wszystkim mówili, że jesteś kurwą — oznajmił z przekąsem jeden z nich. — Co ty sobie w ogóle wyobrażasz i po co tak zadzierasz nosa?

John musiał się dowiedzieć, że spała z Alekiem, a teraz chyba wszyscy w Marzipan Hall o tym wiedzieli. Mężczyźni patrzyli na nią z bezwstydną zuchwałością, a kobiety z nienawiścią.

Gdybyż choć miała tutaj jakieś przyjaciółki! Ale od samego początku robiła wszystko, żeby się tak nie stało. Z pewnością nie była tu jedyną kobietą, która przespała się z dwoma 340

facetami. Szkopuł w tym, że jednym z nich był, niestety, John Glover, który najwyraźniej postanowił jej odpłacić pięknym za nadobne — za to, że go rzuciła.

Teraz już od miesięcy żyła w hańbie i wstydzie, nade wszystko czuła się strasznie samotna. Wieczorami przesiadywała w pokoju za zamknię-

tymi drzwiami, zdarzało się bowiem, że ktoś próbował je otworzyć, pytając

donośnym głosem: „Można wstąpić na bzykanko?”. Zaraz potem słysząc było obłeśne rechotania, jakby pod drzwiami stało więcej mężczyzn niż tylko jeden.

Wszystko to było niewypowiedziane przygnębiające. Po prostu okropne, a teraz jeszcze śmierć ojca... Chyba nie można było czuć się gorzej, niż ona się teraz czuła. Oparła dłonie na biurku i wstała znużona. Powinna poprosić majora Winkworth-Blythe'a, który zarządzał całym Marzipan Hall, żeby udzielił jej tygodniowego urlopu okolicznościowego. Wyjazd z Malty do domu nie zawsze był możliwy — to jednak było bardzo daleko — nawet jeśli umarł ktoś bliski, ale nie zawadzi

spróbować.

— Major jest teraz zajęty, madame — rzuciła energicznie urzędniczka, kiedy Sybil weszła do jego biura.

— Czy mogę zaczekać?

— Jak sobie pani chce — odparła urzędniczka, wzruszając ramionami.

Minęła dobra godzina, zanim jakiś starszy oficer wychynął wreszcie z pokoju majora. Sybil zerwała się z krzesła i już chciała wejść, kiedy urzędniczka przywołała ją obcesowo do porządku:

— Proszę łaskawie zaczekać! Najpierw

muszę spytać majora Winkworth-Blythe'a, czy zechce panią przyjąć.

Podniosła słuchawkę i powiedziała kilka słów. Minęło kolejne pięć minut, zanim rozległ się dzwonek telefonu, i urzędniczka wreszcie zakomunikowała:

— Major zaraz panią przyjmie.

Sybil wmaszerowała do pokoju, stanęła na baczność i zasałutowała.

— Melduje się porucznik Allardyce. Właśnie się dowiedziałam, że mój ojciec zmarł nagle, i w związku z tym chciałabym pojechać do domu na jego pogrzeb.

— Ach, tak, Allardyce.

Major Winkworth-Blythe był dystyngowanym mężczyzną o czarujących manierach, które zdradzały znakomitą kindersztubę. Przed wojną był dyplomata wysokiego szczebla.

Spojrzał na Sybil z pewną dozą sympatii.

341

— Myślę, że da się to jakoś urządzić — powiedział łagodnie, a jej aż serce podskoczyło z radości. — W gruncie rzeczy, Allardyce — ciągnął

major — już od pewnego czasu się zastanawiam, co z tobą począć. Wydaje się, że zyskałaś w pewnym sensie... hmm... raczej frywolną reputację, i nie sądzę, żeby twoja obecność była tu zupełnie pożądana. — Zakaszłał

lekko, zasłaniając usta dłonią. — Już wystąpiłem z prośbą o przeniesienie cię gdzie indziej i czekałem tylko na decyzję o twoim kolejnym od-delegowaniu. Taka decyzja przyszła dzisiaj rano. Wysyłają cię do obozu szkoleniowego w Suffolk. W normalnych okolicznościach miałabyś prawo do tygodniowego urlopu, a dzięki temu będziesz mogła być na pogrzebie ojca. — Uśmiechnął się uprzejmie. — Allardyce, zdaję sobie

sprawę, że jesteś bardziej ofiarą cudzych grzechów aniżeli grzesznicą. Wiedz, że porucznika Glovera też przenoszą na inną placówkę.

— Dziękuję, sir. — Sybil przełknęła ślinę, czując, że twarz pokrywa jej rumieniec wstydu i zażenowania.

— Nie byłem zbyt drobiazgowy, kiedy występowałem o twoje przeniesienie, napisałem po prostu „nie pasuje tutaj”, a za tym może się kryć całe mnóstwo powodów. Kiedy przejdiesz na nową placówkę, nikt nie będzie znał prawdy o tym, co się tu wydarzyło. — Skinął głową na znak, że audiencja skończona. — Wróc za pół godziny. Urzędniczka będzie już miała gotową twoją

dokumentację. Życzeń powodzenia,
Allardyce.

Teraz była z powrotem w Liverpoolu z mamusią. Jonathan dostał tylko parę dni urlopu i prosto z pogrzebu tatusia pojechał z powrotem do Szkocji. Ona miała pojutrze zameldować się w obozie w Suffolk, co jakoś szczególnie jej nie cieszyło. Z drugiej strony jednak wszystko było lepsze od Malty. Postanowiła, że już nigdy więcej nie zwróci uwagi na żadnego faceta.

W pewnym sensie okropności Malty przyćmiły równie koszmarne wydarzenia po powrocie Sybil do domu. Wciąż miała nadzieję, że to wszystko jest tylko

pomyłką i że lada chwila zadzwoni adwokat i powie, że Cara Caffrey w ogóle nie figuruje w testamencie tatusia albo że to fałszerstwo i że tatuś nie ma z nim nic wspólnego.

— Ależ kochanie, Nancy była świadkiem — powiedziała z naciskiem matka poprzedniego wieczoru, kiedy po powrocie do domu Sybil wyraziła, zresztą bardzo dosadnie, swoje zdanie na ten temat, mówiąc bez ogródek, że z tym testamentem to jakaś bardzo podejrzana sprawa i że to niemoż-

liwe, by ostatnią wolą ojca było całkowite pominięcie w nim jego ukochanej córeczki i niezostawienie jej w spadku ani pensa. — Pan Maplin,

adwokat, 342

specjalnie przyprowadził ze sobą jeszcze jednego urzędnika, również w charakterze świadka. Tatuś cały czas przy tym był.

— Ale nie zapominaj, że tatuś miał wtedy okropne bóle, może nie był przy zdrowych zmysłach!

— Jestem pewna, że gdyby tak było, Nancy by to zauważyła; zresztą pan Maplin też.

— Uważam, że powinniśmy zakwestionować ten testament! — gorączkowała się Sybil.

— Kochanie, rób, co chcesz, ale nie licz na moje poparcie. — Matka pogłaskała ją po ręce. — I nie zapominaj, że to by słono kosztowało. Co do mnie, to nie mam funduszy na wdawanie się w długą prawniczą wojnę. Zamierzam już teraz przekazać fabrykę tobie i Jonathanowi, powinnaś mieć z tego jakieś dochody. Jeśli chcesz je zmarnować na procesy, twoja sprawa.

Cara wróciła dzisiaj z Londynu i mamusia poszła się z nią zobaczyć, co Sybil uznała za jawną zdradę. Kiedy wróciła, opowiadała, że niemowlę jest najśłodszym stworzonkiem na świecie i że Cara przywiozła ze sobą przyjaciółkę, Fielding, którą Sybil musi

znać, ponieważ były razem na Malcie.

— Straciła rękę podczas tego samego nalotu, kiedy zginął narzeczony Cary, ale tak dzielnie to znosi! Ja na jej miejscu całkiem bym się załamała, na pewno — szczebiotała matka.

Sybil poszła na górę do swojego pokoju, siadła na łóżku i rozmyślała o tym, że Cara i Fielding mieszkają w jej domu; że jedna z nich śpi zapewne w jej łóżku, używa rzeczy leżących na jej toalecie — lusterka i szczotek oprawionych w srebro, które tatuś kupił jej kiedyś na Boże Narodzenie, jej biżuterii, którą trzymała w pudełku obciągniętym markizetą, jej ubrań, wciąż jeszcze wiszących w szafie.

Zerwała się gwałtownie z łóżka i zbiegła na dół, wołając:

— Idę się przejść, mamusiu!

— Ależ kochanie — odkrzyknęła Eleanor — na dworze jest zupełnie ciemno, poza tym może być nalot!

Odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami. Sybil stanęła na schodkach, czekając, aż oczy przyzwyczają się jej do ciemności. Po chwili dostrzegła sylwetki domów odcinające się na tle nieba i kiedy ich kształty zaczęły być coraz wyraźniejsze, pobiegła w stronę Parliament Terrace.

Pamiętała, żeby zabrać ze sobą klucz do frontowych drzwi, ale mnóstwo czasu zajęło jej znalezienie dziurki od klucza. Wreszcie się udało i weszła do środka, gdzie już na wstępie zaplątała się w grubą kotarę wiszącą nad drzwiami, w końcu jednak jakoś się z niej wyswobodziła i dopiero wtedy stanęła wobec dylematu. Czy ma krzyknąć, żeby zasygnalizować swoją obecność? Czy też raczej zakraść się bezszelestnie na górę i zabrać wszystkie swoje rzeczy? Uderzyła ją myśl, że właściwie nie miała prawa tutaj wchodzić. Dom już nie należał do niej, tylko do Cary Caffrey, która jakimś podstępem zdołała wyłudzić go od biednego tatusia.

Cicho poszła korytarzem. Ktoś był w kuchni. Rozpoznała głos Nancy i jakiś inny, jakby też trochę znajomy. Zdała sobie po chwili sprawę, że to Fielding. Bezczelna, cyniczna Fielding, której nigdy nie lubiła, siedziała teraz w kuchni, która powinna być jej kuchnią — i rozmawiała z Nancy.

Nie, to nie twoja kuchnia, nie twój dom, przypomniawszy jej wewnętrzny głos. Nie masz prawa tutaj być.

Najlepiej byłoby poprosić matkę o zabranie jej rzeczy — powinna o tym wcześniej pomyśleć, ale w tym momencie jej umysł nie pracował normalnie. Już miała wyjść, kiedy

dostrzegła światło w szczelinie pod drzwiami do gabinetu ojca. Podeszła i chwilę słuchała, ale wewnątrz panowała zupełna cisza. Nagle poczuła przemożną chęć, by usiąść w jego fotelu, dotykać rzeczy na biurku, tak jak on miał to zwyczaj robić, jakby to dotykanie dawało mu poczucie satysfakcji.

Otworzyła drzwi i znalazła się twarzą w twarz z Carą Caffrey, która siedziała przy biurku, a z jej oczu płynęły strumienie łez.

— Witaj, Sybil — szepnęła Cara. Nie była ani trochę zaskoczona jej widokiem. — Właśnie usiadłam w fotelu twojego ojca. To był jego ulubiony pokój. Właściwie cały czas

spędzał właśnie tutaj.

— Myślisz, że o tym nie wiem?

— Ależ oczywiście. Jak głupio z mojej strony, że ci to mówię! Miałam akurat czas, żeby sobie popłakać w samotności. Wierz mi, to pierwsze minuty, które mam dla siebie od chwili, kiedy tu przyjechałam. Dopiero co położyłam spać Kitty, była wykończona po całym dniu wizyt i oglądania jej przez tabuny ludzi. — Zrobiła zapraszający ruch ręką. — Chodź, siadaj.

Wielka mi łaska, pomyślała Sybil, że mnie zapraszasz do gabinetu mojego ojca. Weszła i zamknęła za sobą drzwi, ale nie usiadła, rozzalona i wściekła, że

Cara czuje się tutaj tak bardzo u siebie.

344

— Co takiego zrobiłaś, że tatuś wszystko ci zostawił? — zapytała, starając się z całych sił mówić spokojnie i rozsądnie, mimo iż najchętniej wyrzeszczałaby to, co jej leżało na sercu.

— Zrobiłam? — Cara otarła wierzchem dłoni łzy z policzków. — Nic nie zrobiłam. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego okazał się taki hojny.

— Ale on przecież kochał mnie bardziej niż kogokolwiek na świecie!

— Sybil po prostu zawyła. Już nie była w stanie mówić spokojnie, nie czuła się ani trochę rozsądna. — Musiałaś zrobić coś... coś, co sprawiło, że stałaś się dla niego ważniejsza niż ja — jego własna córka!

— Nic takiego nie zrobiłam, Sybil, uczciwie ci mówię. Z ręką na sercu.

Był dla mnie miły, a ja też starałam się być dla niego miła. Często mu powtarzałam, jaka jestem wdzięczna, że mnie tu przyjął. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się nie zgodził.

— To przecież był mój pomysł, żebyś się zwróciła o pomoc do Nancy

— ponuro przypomniała jej Sybil.

— Wiem, i jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Sybil wolałaby, żeby Cara nie była taka opanowana, jakby postanowiła nie tracić cierpliwości bez względu na to, co jej jeszcze powie Sybil.

Wolałaby, żeby to była głośna awantura.

— Jest jedna sprawa — dodała Cara łagodnie. — Myślę, że powinnaś była pisać do niego trochę częściej. Przez cały czas, kiedy tu mieszkałam, wysłałaś do niego tylko jeden list. Trzymał go na biurku całe wieki.

Często, kiedy tu wchodziłam, widziałam, jak go czyta. Myślę, że w pewien sposób zastąpiłam mu ciebie. Opowiadałam mu wszystko o Marzipan Hall i jak się żyje na Malcie... A ty nic mu o tym nie mówiłaś. Twój list to była zaledwie jedna stroniczka, w dodatku pisana na kolanie, zgadza się? — Głos Cary trochę zadrżał. — On był taki strasznie samotny. Wiesz, Sybil, że po jakimś czasie chyba zaczął mnie traktować jak swoją córkę.

— Mężczyźni na ogół nie żenią się ze swoimi córkami!

— On to zrobił tylko ze względu na dobro Kitty, a ja się zgodziłam z tego samego powodu. W innym wypadku

nigdy bym nawet nie marzyła o wychodzeniu za Marcusa ani on by mnie o to nie prosił.

Cara podniosła się z fotela i stanęła przed biurkiem.

Jeżeli podejdziesz do mnie bliżej, przysięgła sobie w duchu Sybil, dam jej w twarz! Cara jednak zatrzymała się w pewnej odległości i tylko spojrzała na nią błagalnie.

— Sybil, chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. To było z twojej strony naprawdę wspaniałe, że przesyłałaś moje listy mamie, a jej listy 345

mnie. Nie wiem, jak w ogóle dałabym

sobie radę bez twojej pomocy.

Teraz jesteśmy w pewnym sensie kuzynkami, a w tym domu zawsze, kiedykolwiek zechcesz, będzie dla ciebie miejsce.

Wyciągnęła rękę, ale Sybil nie zareagowała.

— Moja noga nigdy więcej nie postanie w tym domu! — parsknęła.

— Poproszę mamusię, żeby zabrała moje rzeczy z pokoju i schowała je u siebie. Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu? — dodała sarkastycznie.

— Oczywiście, że nie — powiedziała Cara z westchnieniem, unosząc szczupłe ramiona. — Zabierz wszystko, co chcesz.

— Cara! — Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Nancy. Wyglądała na zaskoczoną widokiem Sybil. — Och, witaj, złotko. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

— Właśnie wychodzę — i już nigdy nie wrócę!

Sybil wybiegła z pokoju. Obie kobiety milczały, aż usłyszały trza-

śnienie drzwi.

— Biedactwo... — Nancy potrząsnęła głową. — Ojciec gotów był jej dać gwiazdkę z nieba, słońce i księżyc, ale rzuciła mu je w twarz. Wobec tego musiał je dać tobie i Kitty...

Rozdział 13

To była jedna z najstarszych, wręcz podręcznikowych sztuczek, tymczasem on dał się na nią nabrać jak jakiś gówniarz! Nigdy dotąd, przez całe życie, nie zdarzyło mu się popełnić większego błędu niż ten.

Trzech Irlandczyków grało w remika na sześciopensówki w barze Czarny Koń przy Dock Road, kiedy po pracy wpadł tam na piwo.

Zauważywszy, że się przygląda ich grze, spytali, czyby się nie przyłączył, na co on chętnie się zgodził, chociaż zawsze uważał remika za grę dla starych bab.

Tyrone Caffrey odziedziczył po swoim stryju Paddym słabość do gier hazardowych. Nawet jeśli stawka była bardzo niska, gra dawała mu to samo — odrobinę niepokojące, ale bardzo przyjemne uczucie mrowienia, podobne do tego, którego doświadczał w dzieciństwie, kiedy razem z kolegami zaczepiał pijaków i wybijał im z rąk mie-dziaki.

Irlandczycy nosili imiona Barry, Johnno i Titch, ten ostatni miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Tyrone ocenił

ich początkowo jako trochę tępawych, nie zdziwił się więc, kiedy wygrał parę pierwszych rozdań.

O ósmej, kiedy już mężczyźni musieli wyjść, miał wygranych około trzydziestu szylingów; wtedy zaskoczyli go, pytając, czy nie mógłby się z nimi spotkać nazajutrz na kolejną rozgrywkę. No, niech mnie tylko ktoś spróbuje powstrzymać, pomyślał triumfująco. Toż to było takie proste, jak zabrać bułkę niemowlakowi.

Następnego wieczoru nie wygrał aż tyle, ale lepszy rydz niż nic, wrócił

więc do domu bardzo z siebie zadowolony, umówiwszy się z nimi

przedtem na spotkanie następnego dnia o tej samej porze.

347

— Grałeś kiedy w oko, Tye? - spytał Barry, kiedy się spotkali po raz trzeci.

— Taka amerykańska gra, inaczej mówią na nią dwadzieścia jeden.

— Kilka razy — odparł Tyrone. Oko, to była męska gra, szybsza i wymagająca nie lada umiejętności, o wiele ciekawsza od remika.

Rzucili karty na stół i Tyrone wyrzucił najwyższą. Jako trzymający bank miał pewną przewagę nad pozostałymi i z łatwością wygrał pierwszą rundę. To

musi być mój szczęśliwy wieczór,
pomyślał butnie, kiedy znowu wyrzucił
najwyższą kartę i już po chwili wygrał
dwanaście i pół

szylinga.

Ale wtedy wszystko zaczęło się
zmieniać jak w kalejdoskopie, tak nagle,
że aż mu tchu zabrakło. Gra była coraz
szybsza, mężczyźni przestali żartować i
zrobili się bardziej rzeczowi, a kiedy
wybiła ósma i trzeba było wychodzić,
Tyrone zorientował się naraz, że
przegrał z kretesem i że jest im winien
jeszcze dziesięć funtów! Przestali
wykladać pieniądze w chwili, gdy
wydał już wszystko, co miał, po czym
Barry zaczął zapisywać należności w

notesie.

— Masz pecha, chłoptasiu — współczuł mu Johnno. — Nie przejmuj się, ja też chyba popłynąłem na tyle samo, ale pal diabli — odegramy się wieczorem. To do juterka, co?

— Jasne — bąknął Tyrone. Musiał za wszelką cenę się odegrać. Nie było innego sposobu na zdobycie dziesięciu funtów.

— Och, jutro na pewno tu wróci, co nie, chłoptasiu? — rzekł Barry z uśmiechem na ustach, ale nie w oczach. — Niech lepiej nie zapomina, że wiemy, gdzie pracuje, i wiemy też, gdzie mieszka. Więc lepiej niech przyjdzie, bo inaczej

będziemy musieli sami się po niego pofatygować...

Powiedział im wprawdzie, gdzie pracuje, ale jakim cudem się dowiedzieli, gdzie mieszka? Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że są groźni i bynajmniej nie tępawi. Gdyby Johnno tyle nie przegrał, Tyrone mógłby podejrzewać, że go wrabiają. Modlił się, miał nadzieję, że jutro los się odwróci. Nie przejmował się, że wyjdzie z tego z pustymi kieszeniami. Zależało mu wyłącznie na spłacie dziesięciu funtów.

Ale następny wieczór okazał się prawdziwym koszmarem. Tyrone, który zawsze uważał się za cwaniaka, dziś od

razu się zorientował, że Irlandczycy bezczelnie go oszukują. Było coś podejrzanego w kartach, którymi grali, w pożółkłej talii z przybrudzonymi koszulkami — Tyrone domyślał się, że są znaczone. A to, że Johnno zeszłego wieczoru przegrał, też nie miało znaczenia, bo przecież pracowali zespołowo i to był tylko podstęp, żeby Tyrone sądził, że nie on jeden przegrywa. Naprawdę 348

musiał być największym idiotą pod słońcem, że dał się tak łatwo wyrolować!

Rzucił karty na stół i oświadczył stanowczo:

— Mam już dość. Nie wiem, ile wam jestem winien, ale nigdy nie uda mi się tego zapłacić.

Nigdy nie miał słabych nerwów, co to, to nie... ale teraz nie starczyło mu odwagi, żeby zarzucić im oszustwo, w dodatku nie miałby z tego żadnego pożytku. Najzwyczajniej by się wyparli.

Barry w milczeniu sumował cyfry w notesie z twardym i wyrachowanym wyrazem twarzy.

— Wisisz nam dokładnie dwadzieścia cztery funciaki, chłoptasiu, i będziesz to musiał zapłacić, jeśli nie gotówką, to w towarze!

— Co przez to rozumiesz?

— Widzieliśmy twój dom na Shaw Street, nie wygląda nam ani trochę na nędzną budę. Musisz tam mieć dosyć gratów wartych dwadzieścia cztery dobre stare angielskie funty szterlingi, które ci za to wypłacą w pierwszym lepszym lombardzie.

— Dom nie jest mój, tylko moich rodziców...

Więc naprawdę tam byli, żeby sprawdzić, gdzie mieszka. Tyrone poczuł, że paniczny strach ściska mu serce jak żelazna pięść.

— Czyżby twoja stara mamuśka nie

miała jakichś precjozów, może kolczyków z perełkami albo broszeczki z rubinkiem? — pytał jedwabistym głosem Barry. — A tatuńcio — czy nie ma zegarka? A co powiesz na ślubną obrączkę żonusi? Czy twoja rodzinka nie ma radia, pięknego zegara z kurantem, jakiejś niezłej porcelany albo kompletu sztućców?

— Mm... mama wcale nie ma biżuterii, a w żaden sposób nie mogę zabrać obrączki mojej żonie ani zegarka ojcu. Ani żadnej z pozostałych rzeczy — dodał.

Barry przysunął twarz do twarzy Tyrone'a tak blisko, że niemal dotykał

go nosem.

— Nnooo, chłoptasiu, zabawa się skończyła. Albo nam zapłacisz to, co jesteś winien, albo będziesz miał obie nóżki połamane w tylu miejscach, że już nigdy nie zrobisz kroku, nawet o kulach! Twój wybór! Masz dwadzieścia cztery godziny, żeby tu w ząbkach przynieść całą gotówkę.

Jeżeli cię tu nie będzie jutro o ósmej wieczór, wiesz, co cię czeka...

Tyrone nie miał żadnych wątpliwości, że Barry mówił poważnie.

Przez całą noc nie zmrużył oka. Przewracając się z boku na bok, kombinował, jak by tu zdobyć te dwadzieścia cztery funty — począwszy od napadu na bank, a skończywszy na włamaniu do własnego domu, kiedy nikogo nie będzie, i wyniesieniu swojego łupu do lombardu.

Pierwszy pomysł był chybiony, ponieważ Tyrone nie miał broni, drugi też, bo lombardy z reguły żądały jakiegoś dokumentu, poza tym to będzie jak nic pierwsze miejsce, do którego zajrzą gliny, kiedy mama zgłosi kradzież. Nie miało też większego sensu zabieranie Marii ślubnej obrączki, która była cieniutka jak bawełniana nitka, w

dodatku kosztowała raptem trzy funty i dwa i pół szylinga. Śmiechu warte...

Dopiero następnego dnia w pracy Tyrone przypomniał sobie o pierś-

cionku z szafirami należącym do Cary, którym do tej pory opiekowała się mama. Niedawno nawet mruczała z goryczą:

— Założę się, że lada chwila tu przyjdzie i poprosi o jego zwrot.

Jak dotąd mama i Cara jeszcze się nie skontaktowały, więc pierś-

cionek musiał być gdzieś w domu.

Oddawanie go do lombardu miało się z

celem, bo był złoty i z prawdziwymi kamieniami, na pewno wart dużo więcej niż dwadzieścia cztery funty. Da go po prostu tym Irlandczykom, niech zastawią ten cholerny pierścionek, żeby on, Tyrone Caffrey, nawet nie musiał się zbliżyć do lombardu. Będzie niezła awantura, kiedy mama odkryje brak pierścionka, ale właściwie wcale go nie nosiła, więc pewnie wieki miną, zanim sprawa wyjdzie na jaw, i wszystko, co będzie musiał wtedy zrobić Tyrone, to przysiąc, że nic a nic nie wie na ten temat.

A w udawaniu niewiniątka miał długoletnią wprawę...

Postanowił zabrać pierścionek w porze

obiadu; wtedy istniała największa szansa, że nikogo nie będzie w domu. Maria z chłopakami pójdzie do swojej matki, a jego matka na zakupy.

Bez trudu znalazł w najwyższej szufladzie komody, pod stertą chusteczek, małe pudełeczko z granatowego aksamitu. Otworzył je, by sprawdzić, czy pierścionek rzeczywiście tam jest. Był i aż mrugał do niego, tak świecił. Tyrone westchnął z ulgą i wsunął pudełko głęboko do kieszeni spodni, po czym padł na łóżko, okropnie zawstydzony.

Pięknie się zachował jak na dwudziestoczteroletniego mężczyznę!

Kraść rodzonej matce pierścioneek!
Rozwiązał ten problem, postanawiając,
że już nigdy nie będzie grać w karty na
pieniądze. Kłopot w tym, że zawsze
szukał w życiu czegoś, co by go
podniecało, no a teraz, proszę, do czego
się doprowadził!

350

Wstał i aż jęknął na myśl, jaki przykład
daje swoim synom. Nigdy nie był dla
nich prawdziwym ojcem; zbyt dużo
czasu spędzał w barze.

W tygodniu nawet ich nie widywał.
Kiedy wychodził do pracy, jeszcze
spali, spali też, kiedy wracał do domu.
Niedawno Joey prosił, żeby go zabrał na

mecz piłki nożnej, ale Tyrone miał w sobotnie popołudnia coś lepszego do roboty, więc kazał mu się odchrzanić.

Zabiorę go na pewno, w sobotę, przysięgał sobie. A w niedzielę zabiorę obu urwisów do parku. I Marię też.

Tyrone naprawdę kochał swoją żonę i synów, chociaż nigdy nie dał

im jakiegoś szczególnego powodu, żeby oni go kochali. Kiedy już cała ta okropna sprawa wreszcie się skończy, pojedzie z Marią gdzieś na weekend, w jakieś ciche miejsce, gdzie będzie mógł zaznać choć trochę spokoju.

Nie będzie to wprowadzie ich drugi

miesiąc miodowy, bo pierwszego przecież nigdy nie mieli, po prostu przerywnik — ot, żeby w ich małżeń-

stwie zaczęło działać się lepiej. Maria była dobra i lojalna, znosiła cierpliwie jego humory i właściwie nawet się nie skarżyła. Prawie chciał, żeby już wróciła, wtedy mógłby jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Cóż, kiedy musiał wracać do swoich zajęć.

Stękając, wyszedł z domu. Czuł przy udzie pudełko z pierścionkiem.

Każe tym draniom Irlandczykom czekać do ostatniej chwili, aż będzie na przykład za pięć ósma... I dopiero wtedy pokaże się im z pierścionkiem.

Nie zaszkodzi, jak trochę się spocą.

— Równie dobrze mogłabym tu mieszkać sama — oznajmiła głośno Brenna, kiedy weszła i zastała dom pusty.

Maria i chłopaki spędzali teraz więcej czasu z panią Murphy aniżeli na Shaw Street. Tyrone był w pracy albo w barze, jeden Fergus miał na tyle przyzwoitości, żeby wpadać do domu na posiłek, zanim wyszedł na randkę z tą Jessie Clifford; z Colma też było niewiele pożytku, bo od miesiący pracował do późna, nie miał czasu na jedzenie i od razu pędził

do swoich obowiązków oficjalnego

nadzorcy służb przeciwlotniczych.

Bywały noce, kiedy go nie było aż do wczesnych godzin rannych, czasem pracował nawet w weekendy.

Cisnęła zakupy na stół, trzęsąc się ze złości. Wszystko szło nie tak jak trzeba. Już od tygodni nie widziała Nancy ani Eleanor, w każdym razie od czasu, gdy Cara wróciła do domu, a Brenna nie miała bynajmniej zamiaru chodzić do własnej córki i nie móc jej przy tym porządnie 351

obsztorcować. Nie, ona nigdy nie pochwali ohydnych postępków, jakich się dopuściła Cara!

— Każdy, tylko nie ja — przekonywała samą siebie. — Zachowała się po prostu haniebnie — spała z tym facetem z RAF-u, całymi miesiącami ukrywała się przede mną na Parliament Terrace, potajemnie wyszła za mąż za Marcusa Allardyce'a w jakimś tam pogańskim urzędzie. Wreszcie urodziła dziecko i własnej matce nie powiedziała o tym ani słowa! — Po tym ostatnim stwierdzeniu Brenna z trudem powstrzymała łkanie.

—

Należy jej się solidna bura! — zakończyła, pociągając głośno nosem.

Poszła do kuchni i nastawiła czajnik. Czy to jej wina, że ostatnio wszystko idzie jak po grudzie? Colm już niejeden

raz mówił jej coś takiego.

— Jesteś za mało elastyczna, kochanie.
Powinnaś się nauczyć iść z wiatrem.

Brenna jednak ani myślała ugiąć się
nawet wobec największej nawał-

nicy. Miała swoje wymagania, od innych
zaś oczekiwała, że podporządkują się im
bez słowa sprzeciwu.

Woda w czajniku zaczęła wrzeć. Brenna
zrobiła sobie herbatę i zaniósła filiżankę
do salonu. Pamiętała czasy, kiedy
wypicie w spokoju herbaty było dla niej
prawdziwym luksusem, ale teraz dom
był przez cały czas taki cichy. To mogło
łatwo się zmienić. Wystarczyłoby, żeby

narzuciła płaszcz i poszła do Cary, udając, że nic się nie stało, a dawne, serdeczne stosunki matki z córką na pewno by powróciły. Cara wpadałaby do niej codziennie z dzieckiem, może nawet i ta cała Fielding, którą Cara poznała w wojsku... albo Brenna szłaby do nich z wizytą...

Nie! To nie byłoby w porządku, stwierdziła z ustami zaciśniętymi w cienką kreskę; „nieugięta”, jak ją nazwał Colm. To byłoby zbyt poni-

żające. W ten sposób pokazałaby tylko, że toleruje zbyt dużo grzechów.

Już miała zabrać się do obierania ziemniaków, kiedy przypomniała sobie

naraz, że z wczorajszego obiadu została jeszcze prawie pełna patelnia; mogła je pokrajać w plasterki i odsmażyć z boczkiem, kiedy wróca do domu. Nigdy teraz nie wiedziała, ile osób będzie na kolacji. Tylko Fergus przychodził regularnie na posiłki. Maria z chłopakami jedli czasem u jej matki. Deser też został z wczorajszego dnia, parę kawałków biszkopta upieczonego bez jajek. Kiedy cała rodzina zasiadała do stołu, było wiadomo, że takie ciasto — z jajkami czy bez — zniknie w ciągu sekundy.

Wróciła do jadalni, zmęczona bezczynnością. Dom był dokładnie wysprzątnięty, nie trzeba było niczego

odkurzać ani polerować, wszędzie było czysto... nie, nie wszędzie! Ciekawe, jaki bałagan zostawiła w sypialni 352

Maria. Brenna wcale by się nie zdziwiła, gdyby się dowiedziała, że u Murphych nigdy się nie ścielę łóżek, więc i Maria robi to byle jak.

— Mogłam się tego domyślić — mruknęła, kiedy weszła do pokoju i zobaczyła, że Maria tylko wygładziła kapę i nie zadała sobie nawet trudu, żeby powtykać prześcieradła pod materac. Brenna cmokała raz po raz, ścieląc łóżko na swój sposób; to samo było z łóżkiem chłopców w dawnym pokoju Cary.

Zanim wróciła na dół, wstąpiła jeszcze do swojej sypialni popatrzeć na pierścionek z szafirem.

Tyrone nie wiedział, że jego matka oglądała ten pierścionek przynajmniej kilka razy na dzień. Wkładała go tylko czasami, kiedy na przykład szła na zebranie do stowarzyszenia

Townswomen's Guild albo do kościoła na mszę; kiedy była sama w domu, zdarzało się, że wsuwała go na palec i obracała dłonią w różne strony.

Ogromną przyjemność sprawiało jej patrzenie, jak rzuca ogień i błyszczy w świetle. W gruncie rzeczy nosiła go teraz często, licząc się z tym, że niebawem Cara zechce go odebrać.

Ale aksamitnego pudełeczka nie było pod chusteczkami, tam gdzie zawsze leżało, tam, gdzie schowała je wczoraj wieczorem przed pójściem spać, kiedy skończyła wreszcie podziwiać pierścionek. Czyżby zabrał je któryś z chłopców? Pomacała miejsce pod chusteczkami, sprawdziła pod pończochami, rękawiczkami i szalikami, następnie wyrzuciła wszystko na łóżko, opróżniając szufladę.

Ani śladu pierścionka.

Już rozgorączkowana zrobiła to samo z innymi szufladami, ale pierś-

cionka nadal nie było — chociaż nie spodziewała się, że go tam znajdzie.

Ostatniej nocy położyła go pod chusteczkami i doskonale to pamiętała.

Czy to możliwe, żeby zabrał go Colm i oddał później Carze?

Ku wielkiej irytacji Brenny, Colm odwiedzał córkę, kiedy tylko znalazł

wolną chwilę, więc mogła go o to poprosić. Z pewnością jednak nie zrobiłby tego, nic jej o tym nie mówiąc! Chyba że... — pomyślała z niechęcią — chciał uniknąć awantury. Dlatego czekał, aż Brenna odkryje brak pierścionka — wtedy awantura byłaby nieunikniona.

Usłyszała, że ktoś wchodzi tylnymi drzwiami.

— Mamo, wróciłem! — zawołał Fergus.

— Za moment, kochanie — odkrzyknęła.

Powoli zeszła na dół. Przedtem miała wielką ochotę na odsmażane kartofle z boczkiem, teraz nie byłaby jednak w stanie nic przełknąć. To 353

niemądre, ale chciała się jakoś pożegnać z tym pierścionkiem, dobrze mu się przyjrzeć, wiedząc, że ma go ostatni raz na palcu.

— Mamo, jesteś dziś jakaś zdenerwowana — zauważył Fergus, kiedy wbiegała i wybiegała z kuchni, wstawała i siadała bez wyraźnego powodu.

— Jak myślisz, czy nie powinnam pójść na posterunek zobaczyć, czy tata już jest? Chyba mogę, co?

— Na pewno tak, ale ponieważ nie ma nalotu, tata przyjdzie prosto do domu, prawda?

— Chyba tak. — Brenna zastanawiała się często, jak to się dzieje, że Colm pojawia się w Toxteth w tej samej chwili, kiedy zaczyna się nalot, tak że nie może nawet wpaść do domu, żeby coś przegryźć.

Poszła do przedpokoju po płaszcz.

— Tak czy siak, zajrzę tam, wiesz.
Cześć, synku.

Punkt obrony przeciwlotniczej mieścił się w harcerskim baraku na Park Road. Brenna nigdy przedtem tam nie była. Całe umeblowanie składało się z długiego, zniszczonego stołu z telefonem i kilkunastu krzeseł. Na ścianie wisiała mapa dzielnicy; stało przed nią dwóch starszych mężczyzn. Zegar na ścianie wskazywał za dziesięć siódmą.

— Przepraszam! — zawołała energicznie.

Mężczyźni odwrócili się jak na komendę.

— W czym możemy pani pomóc? — spytał jeden z nich.

— Szukam Colma Caffreya. Nie wie pan, kiedy tu przyjdzie?

Drugi mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie widzieliśmy Colma od kilku dni. Dzwonił, żeby powiedzieć, że ma jakieś kłopoty w domu czy coś takiego.

— Jestem jego żoną i zapewniam pana, że w naszym domu nie ma żadnych kłopotów. — Może będą, jeśli odkryje, że oddał Carze pierścionek, a ona nie zająknęła się nawet słowem na ten temat.

— Wobec tego obawiam się, że nie możemy pani pomóc. Powtarzam tylko to, co mi powiedział Colm.

— Żegnam.

Wyszła ze spuszczoną głową. Ten człowiek plótł jakieś bzdury. Colm mógł powiedzieć, że ma kłopoty w pracy, a nie w domu. To miało znacznie więcej sensu, nawet jeśli nic jej o tym nie wspomniał. Ale co to u diabła znaczyło, że nie widzieli Colma od paru dni? Może ten człowiek pomylił go z kimś innym?

Była zaniepokojona i trochę zdezorientowana. Nie znosiła sytuacji, kiedy sprawy przestawały być proste i nieskomplikowane. Takie właśnie, 354

jej zdaniem, powinno być życie, tak właśnie żyła ona sama. Nie tolerowała

ludzi, którzy zabierają bez słowa kosztowne pierścionki albo zostawiają enigmatyczne wiadomości.

Była w połowie drogi do domu, kiedy zawyła syrena, sygnalizując zbliżający się nalot — i to w taki piękny majowy wieczór! Słońce wyglądało jak wielka złocista kula na niebie, mającym tę samą barwę co kamienie w zaginionym pierścionku. Brenna nie przyspieszyła kroku; syrena z re-guły dawała ludziom dość czasu, żeby mogli zejść do schronów.

Dlatego przeraziła się nie na żarty, kiedy usłyszała tuż nad głową dudnienie i zobaczyła, jak szafirowe niebo pokrywa się co najmniej setką samolotów.

Wyglądały jak wielkie stado groźnych kruków, niosących śmierć i zniszczenie miastu Liverpool.

Pognała do domu.

— Jest ktoś w domu?! — krzyczała, wpadając do środka.

Nie otrzymała odpowiedzi, ale dostrzegła na krześle torbę na zakupy należącą do Marii. Jej synowa musiała wrócić, a potem znów wyjść —

do publicznego schronu, kiedy usłyszała syrenę. Maria nie wytrzymała siedzenia w domu podczas nalotu, kiedy była sama, tylko ze swoimi chłopcami.

Brennie było przykro, że się rozminęły. Ona też wolała mieć towarzystwo w czasie nalotu, w dodatku chłopcy nie cierpieli schronu, bo w panującym tam hałasie nie mogli zasnąć. Joey bał się pijanych, którzy się tam tłumnie schodzili, kiedy zamykano bary. Był nerwowym dzieckiem, podobnie jak kiedyś Fergus, zanim zaczął sypiać z mężatkami!

Brenna wzięła torbę i zamknęła się w schowku pod schodami, zmartwiona stratą pierścionka i dziwną wiadomością, którą Colm zostawił na posterunku. Mimo że obie te sprawy były mocno denerwujące, po jakimś czasie zaświtało jej w głowie, że

obecny nalot jest inny. I rzeczywiście takiego jeszcze nie było. Bomby leciały z nieba jak deszcz, co parę sekund słychać było wybuchy, ziemia drżała, domy się trzęsły, na zewnątrz panował nieopisany harmider, słychać było wrzaski i krzyki, dzwonki i klaksony, tupot nóg na chodniku i płacz dzieci.

W takiej chwili każdy potrzebuje bliskości rodziny, rąk, które można trzymać, ramion, na których się można oprzeć, ust do całowania. Ale Brenna nie miała nikogo.

Zaczęła szlochać.

Irlandczycy grubo się mylili, oczekując, że Tyrone pokaże się im na oczy w taki wieczór jak ten. Nie miał najmniejszego zamiaru ryzykować życia, idąc ulicami aż do doków tylko po to, żeby wręczyć im pierścionek.

W barze, gdzie teraz siedział, zaledwie kilku mężczyzn poszło do domu na odgłos syreny, reszta została i dalej sączyła swoje piwko, jakby nie działo się nic niezwykłego. Krzywili się co najwyżej, kiedy wybuch był

gdzieś blisko, czasem na krótką chwilę przerywali rozmowę, w gruncie rzeczy jednak byli ciągle spokojni. Kilku grało w karty na zapałki, ale Tyrone stracił nagle całe zainteresowanie dla kart.

Mimo iż nie było to jakoś szczególnie po chrześcijańsku, uczeplił się kurczowo nadziei, że bomba trafi prosto w Czarnego Konia, a wtedy znikną wszystkie jego kłopoty. Po prostu odłoży pierścionek do szuflady w komodzie i mama nigdy się nie dowie, że nie leżał tam przez cały czas.

— To właśnie to! — powiedziała ponuro Nancy, osłaniając głowę rękami, kiedy rozległ się taki huk, że omal nie popękały im bębunki.

Kawał gipsu oderwał się od sufitu, a z szafki wypadły dwa talerze. Cegły wielkiego domu wydawały się przesuwac, belki trzeszczały i

skrzypiały, po czym parę sekund później rozległ się ogłuszający łoskot walących się budynków. Ten łoskot zdawał się nie mieć końca. Z sufitu posypało się jeszcze więcej pyłu.

Cara zgięła się wpół, starając się ochronić swoim ciałem śpiącą córeczkę.

Kitty otworzyła oczki, rozbudzona hukiem, lekko westchnęła i znów je zamknęła.

— Już dobrze, moje maleństwo — szepnęła Cara. — Jesteś tutaj ze mną, bezpieczna.

Ale wcale nie było dobrze, a Kitty nie była bezpieczna. Dziś rozpętało się

prawdziwe piekło na ziemi i trwało wiele godzin. Byłoby dziwne, gdyby do rana jeszcze coś zostało z Liverpoolu.

— To nie było żadne „to”! —
zapiszczała Fielding, kiedy nagle zapadła cisza, a dom pozostał nietknięty.
— Żyjemy! Jeszcze żyjemy!

— Święta prawda! — Nancy położyła ręce na stole i wszystkie trzy uśmiechnęły się do siebie. — Ale było bardzo blisko. Chcesz jeszcze trochę wina, złotko?

— Nie powiem nie. Wolę już być zalana w trupa i nic nie słyszeć.

— Dobry pomysł. — Nancy napełniła

obie szklaneczki. — Cara, jesteś pewna, że nie chcesz się napić?

356

— Nie, dzięki. Przecież wciąż karmię piersią, prawda? — odparła krótko Cara.

Ta parka działała jej na nerwy. Tak do siebie przyłgnęły, że można by pomyśleć, iż Fielding jest zaginioną przed laty córką Nancy; Cara była nawet trochę zazdrosna, ponieważ zawsze uważała, że Nancy należy do niej. Poza tym obie sukcesywnie wykańczały zasoby piwniczki Marcusa.

Jeżeli naloty będą się powtarzać,

piwniczka zostanie ogołocona do cna.

— Może chcesz, żebyśmy zrobiły ci filiżankę herbaty, złotko? — spytała serdecznie Nancy. — Dla ciebie takie naloty muszą być dużo gorsze, co?

Boisz się nie tylko o siebie, ale przede wszystkim o Kitty.

— Są okropne dla nas wszystkich... Tak, z rozkoszą napiłabym się herbaty.
Dziękuję, Nancy.

Teraz Cara poczuła wyrzuty sumienia. Musiały po prostu jakoś sobie radzić w czasie nalotów, a popijanie wina było chyba lepsze od ataków hysterii i paniki za każdym razem, kiedy spadała bomba. Zupełnie tak samo jak sobie radzili ona, Nancy i Marcus — póki jeszcze żył. Ale teraz miała swoją Kitty i trudno jej było udawać, że naloty to coś do śmiechu.

Zwłaszcza ten ostatni.

To było naprawdę dziwaczne uczucie, siedzieć tak w kuchni pełnej znajomych sprzętów, normalnie rozmawiać, a przy tym wiedzieć, że w każdej chwili wszyscy mogą zginąć. Gdyby dwa lata temu ktoś jej powiedział, że może się wydarzyć coś takiego, pewnie by nie

uwierzyła.

Fielding podniosła się i z trzaskiem odsłoniła czarne zaciemnienie.

— Cały świat płonie — oznajmiła — i chyba bomba trafiła w dom sąsiadów albo w następny. Na ulicy jest pełno gruzu.

— Cholerne piekło! — jęknęła Nancy.

— Mam nadzieję, że tacie nic się nie stało — ze strachem powiedziała Cara.

— Zawsze jest wtedy na ulicy. I tak bym chciała, żebyśmy się wreszcie dogadały z mamą. Gdyby zginęła, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Nawet nie widziała Kitty.

Postanowiła, że jutro z samego rana pójdzie na Shaw Street i zabierze Kitty. Mama może sobie nawet pasy z niej drzeć. Nieważne. Kiedy skończy, znów będą jak dawniej przyjaciółkami.

Brenna już zdecydowała, że jutro pójdzie się zobaczyć z Carą. W dzisiejszych czasach życie jest za krótkie i zbyt niepewne, żeby chować w sercu urazę do ludzi, których się tak bardzo kocha, jak ona kocha swoją córkę.

357

Czuła wstyd, że dotąd tam nie poszła, wstyd, że Cara bała się wrócić do domu tylko dlatego, iż spodziewała się dziecka, i musiała szukać pomocy u

Nancy.

— Co za okropna ze mnie matka —
jęczała, przewracając się z boku na bok
na niewygodnej ławce, którą Colm
zainstalował w schowku pod schodami;
miała nadzieję, że bombardowanie
wkrótce się skończy i będzie mogła
napić się herbaty, bo nerwy miała
calutkie w strzępach i ciągle chciało się
jej płakać. Czy Fergus jest bezpieczny?
A Tyrone? Maria i chłopcy? Cara i
malutka wnuczka Brenny, która nie
widziała jej do tej pory? I gdzie był
Colm? O co chodziło z tą całą bzdurą o
„kłopotach w domu”? Zazwyczaj nocą,
kiedy zaczynały się naloty, zaglądał do
niej choć na chwilę, a dzisiaj, kiedy go

potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek, nie było go.

Drzwi schowka się otworzyły.

— Colm! — zawołała.

Ale to był Tyrone, chwiejący się na nogach i pijany jak bela.

— Tam jest jedno wielkie piekło — powiedział. — O mały włos nie wpadłem w lej po bombie. — Zajrzał do środka schowka przekrwionymi oczyma. — A gdzie Maria, Joey i Mike?

— Poszli do schronu, synku, pewnie do tego na Ferguson Street, tam jest najbliżej. Nikogo nie było, kiedy się

zaczął nalot, a wiesz, że Maria nie lubi być wtedy sama.

— Pójdę ich poszukać.

— Ależ nie wolno ci, kochanie! — zaprotestowała Brenna. — Na zewnątrz nie jest bezpiecznie.

Wszystko na nic. Drzwi do schowka już się zamknęły i Tyrone, który wytrzeźwiał w jednej chwili, poszedł szukać żony i dzieci.

Mógł wrócić do domu już parę godzin temu, wolał jednak spędzić czas w barze w przyjemnym, pijackim otumanieniu, nie potrafiąc sobie wyobrazić, że jakaś bomba mogłaby brutalnie przerwać ten

idylliczny obrazek: pijący mężczyźni, którzy z całym spokojem rozprawiali o piłę nożnej i innych przyziemnych sprawach, grający w strzałki, rozdający karty, jakby wierzyli, że jakaś dobra wróżka zaczarowała ten bar i wszyscy są całkowicie bezpieczni w jego czterech ścianach.

Ten czar najwidoczniej dotknął również jego, ponieważ Tyrone był

przekonany, że już nigdy więcej nie spotka groźnych Irlandczyków.

358

Mógł się cieszyć tą myślą, chociaż wiedział, że za parę godzin znowu

będzie trzeźwy, a pamiętał, jak bardzo cierpiał, że jest cywilem, kiedy dookoła toczy się wojna. Jego pragnienie, żeby zostać żołnierzem, nosić mundur i walczyć za króla i ojczyznę, bynajmniej nie osłabło. Wprost przeciwnie. Cały czas w nim tkwiło, gryząc go o każdej porze dnia i nocy. Jego bratu się to udało, jego siostrze, nawet małej Fielding, która sięgała mu ledwie do ramienia, a jednak poszła do wojska i przetrwała — tyle że bez jednej ręki.

Tyrone wynurzał się z wolna z miłego otumanienia, kiedy usłyszał

nagle czyjeś słowa:

— Właśnie minęła północ.

Wstał zaskoczony, chwiejąc się na nogach. To musiał być jeden z tych barów, w których właściciel obsługiwał gości aż do odwołania alarmu, ale zajęty swoimi myślami Tyrone nie zorientował się, że jest już tak późno. Wolałby zostać, wtedy jednak Maria martwiłaby się o niego, nie mówiąc już o mamie!

Ruszył w stronę Shaw Street, cały czas chwiejnym krokiem, czepiając się ścian, omijając sterty tłących się cegieł. W pewnej chwili omal nie przejechała go pędząca karetka. Ktoś zawołał: „Właź do domu, ty cholerny idioto!”, i Tyrone zastanowił się krótko, czy to jego miał na myśli. Uszy go bolały od kakofonii mnóstwa najrozmaitszych dźwięków;

potknął się i byłby wpadł głową naprzód w lej po bombie, gdyby się nie zatrzymał

na kominie leżącym pośrodku ulicy.

Nareszcie był w domu. Tylko po to, żeby się dowiedzieć, że Maria zabrała chłopców do publicznego schronu.

Tyrone nie miał pojęcia, dlaczego już sama myśl o tym budziła w nim strach. Był kiedyś w schronie, ale wtedy nie było takiego nalotu jak ten.

— Pójdę po nich — rzucił, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki schowka nad matką.

Kiedy znalazł się znów na ulicy, zaczął dostrzegać rzeczy, których przedtem nie

zauważył. Na przykład to, jak czerwone jest niebo, ile pożarów widział dookoła; otaczały go złowrogo puste miejsca, w których kiedyś stały domy, na ulicach, gdzie bawił się jako dziecko... Zamiast kakofonii dźwięków teraz rozróżniał już piski jadących karetek, dzwonki wozów straży pożarnej, trzeszczenie ognia, serie z broni przeciwlotniczej, ryk samolotów nad głową, gwizd spadających bomb i straszny, wstrzą-

sający ziemią huk bomb, które wciąż jeszcze wybuchały. Gdzieś tam, pośród tego makabrycznego pandemonium, była jego żona i dzieci.

Przez chwilę Tyrone nie mógł się zorientować, gdzie jest Ferguson Street. „To następna ulica, następna ulica!” — krzyknął w nim jakiś głos.

Zaczął biec, przeskakując sterty gruzu jak lekkoatleta, skręcił za jeden róg, za drugi... nagle się zatrzymał, kiedy usłyszał inny głos — tym razem rzeczywisty.

— Tato! — zawołał głos.

Tyrone spojrział w dół i dostrzegł swojego synka, Joeya, siedzącego na progu jakiegoś domu i przyciskającego do piersi starego pluszowego misia, który kiedyś był własnością Cary.

— Joey! — Tyrone złapał dziecko na rękę. Co on tu robi? Gdzie są inni? — Gdzie mama i Mike, synku?

— Byli w schronie, ale ja stamtąd wybiegłem. Nie lubię schronu, ta-to. — Joey ukrył główkę na ramieniu ojca i rozplakał się żałośnie.

— Wiem, synku. — Tyrone poklepał Joeya po głowie. — Nic się nie martw, pójdziemy tam razem. Z tatą będziesz bezpieczny.

— Nie możemy, tato — seplenił Joey.
— Nie możemy tam pójść, bo schron wyleciał w powietrze...

Alarm odwołano ostatecznie dopiero o

wpół do piątej nad ranem i minęło jeszcze trochę czasu, zanim Cara zdołała się położyć, a jeszcze więcej, nim się zdrzemnęła. Miała wrażenie, że spała najwyżej pięć minut, kiedy poczuła, że ktoś ją ciągnie za ramię i woła niecierpliwie: „Cara, Cara!”. Udała, że nie słyszy, w nadziei, że ten ktoś da jej wreszcie spokój i odejdzie.

— Cara, Cara — powtórzył głos. Ospały umysł rozpoznał głos Nancy. — Złotko, Tyrone jest na dole. Stało się coś strasznego.

Cara natychmiast otworzyła oczy.

— Czy coś z mamą? — Spróbowała się podnieść. Po nocy spędzonej w takim

potwornym napięciu Nancy wyglądała teraz tak, jakby uszło z niej całe powietrze.

— Nie, złotko, chodzi o Marię i małego Mike'a. Byli w schronie na Ferguson Street, kiedy spadła na nich bomba. Joey owi nic się nie stało, ale Maria i Mike... oboje nie żyją. Niech Bóg błogosławi ich dusze.

— Witaj, Cara, kochanie — spokojnie powiedziała mama. Siedziała na krześle pod oknem, kołysząc w ramionach śpiącego Joeya. Wyglądała 360

dziesięć lat starzej niż wtedy, gdy Cara widziała ją ostatni raz. — Tyrone był już u was?

— Tak, mamó, Nancy i Fielding się nim zajęły. — Kiedy wychodziła, Nancy próbowała namówić kompletnie załamane Tyrone'a do prze-

łknięcia paru kropel whisky. — Pomyślałam, że przyjdę i zobaczę, jak się czujesz. Wzięłam ze sobą Kitty. Teraz śpi.

— Czuję się dobrze, kochanie, chociaż wolałabym, żeby ta przeklęta bomba walnęła w ten dom, a nie w schron. Tam było prawie czterdzieści osób, razem z Marią i Mikiem... — Westchnęła znużona. — Zaraz położę Joeya do łóżka i spokojnie obejrzę Kitty... ten biedny nieszczęsny dzieciak zasnął dopiero pół godziny temu. A która jest teraz?

— Około wpół do ósmej. — Cara spała niecałą godzinę. — Tyrone opowiadał, że do schronu wszedł jakiś pijany i wymiotował. Joey się wystraszył i wybiegł na ulicę szukać swojego taty. Pół minuty później w schron trafiła bomba. — Cara usiadła na krześle. Całe jej ciało pulsowało ze zmęczenia, mała Kitty ważyła chyba tonę.

— Zgadza się, a teraz Tyrone bezustannie się oskarża. A przecież to była tylko moja wina, że Maria poszła do schronu. — Mama się skrzywiła, jakby miała się zaraz rozpłakać. — Jak głupia biegałam po całym domu, żeby znaleźć ten cholerny pierścionek. Byłam

dopiero w połowie drogi do domu,
kiedy zawyła syrena: a kiedy przyszedłam,
Marii już nie było.

— Jaki pierścionek, mamó?

— No ten twój, kochanie, ten z
szafirami. — Mama spojrzała na nią
ostro. — Prosiłaś tatę, żeby ci go
odniósł, czy tak?

Cara była zadowolona, że może
odpowiedzieć „nie”. Jej matka
wydawała się raczej spięta i Cara nie
mogła się oprzeć wrażeniu, że gdyby
tylko powiedziała coś nie tak, mama
natychmiast wylałaby z siebie cały żal.

— Prawdę mówiąc, mamó, całkiem

zapomniałam o tym pierścionku.

Jeśli o mnie chodzi, to możesz go zatrzymać.

— Teraz to nieważne — odparła mama obojętnie. — Bóg jeden wie, gdzie przepadł. — Machnęła ręką. — Widziałaś, jak wygląda dom? — Na wszystkim leżała warstwa pyłu, a w kominku było pełno sadzy.

— To samo jest u mnie. Na ulicach w powietrzu też pełno pyłu i wszędzie smród spalenizny. Zeszłej nocy zburzyli dwa domy na Parliament Terrace. Bomba minęła nas tylko o kilka metrów.

— Ale przynajmniej miałaś

towarzystwo. Ja musiałam przez cały czas siedzieć tu sama jak palec, dopiero Tyrone wrócił z Joeyem na rękę i powiedział mi, że Maria i Mike nie żyją...

361

W głosie mamy słychać było cień pretensji, jakby chciała powiedzieć, że Cara powinna była tu z nią siedzieć.

Cara zignorowała tę pretensję.

— A gdzie tata? — spytała. Pewnie wciąż był na ulicy i pomagał

ratować zasypanych pod gruzami.

— Zniknął — rzekła mama z goryczą. —
Zniknął, jak ten cholerny pierścionek.
Nie pamiętam, kiedy go ostatni raz
widziałam. Cała rodzina mnie opuściła.

Cara zmieniła temat.

— Mamo, czy mogłabyś mi zrobić
filizankę herbaty? Położę Kitty na
kanapie we frontowym pokoju.

— Z przyjemnością bym zrobiła, tyle że
nie ma wody ani gazu, ani
elektryczności. Ostatniej nocy wszystko
wysiadło.

— Zapomniałam. Na Parliament Terrace
też nic nie działa, ale na pewno niedługo
to naprawią.

Wyszła do saloniku i położyła Kitty na kanapie, po czym wróciła do matki.

Ku jej uldze, po paru minutach otworzyły się tylne drzwi i wszedł

Fergus.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że wszystko jest takie zniszczone, zanim nie wyszedłem na ulicę — mówił spokojnie.

— My... to znaczy, ja... przespałem cały nalot.

— No cóż, to ładnie z twojej strony, że się wreszcie pokazałeś —

stwierdziła mama kwaśno. — Jeżeli chciałeś zjeść śniadanie, to niestety w

domu nic nie ma, nawet szklanki wody.
— Nagle, ni stąd, ni zowąd, zanosła się
histerycznym szlochem. — Ta wojna
mnie dobija! — płaka-

ła. — Co to za świat, w którym ludzie
nie mogą spać we własnych łózkach i
gdzie morduje się małe dzieci? To jest
zło! Tak, to właśnie jest zło. Zeszłej
nocy modliłam się do Najświętszej
Panienki, żebyśmy wszyscy przeżyli, ale
pewnie mnie nie słyszała w tym huku
bomb!

— Cicho, mamó — uspokajała ją Cara.
— Bo obudzisz Joeya. — Maluch z
pasją ssał kciuk przez sen. — Fergus,
może zanieziesz Joeya na górę i
położysz go do łózka? — Szeptem

dodała: — Maria i Mike zginęli zeszłej nocy w schronie na Ferguson Street. Trafiła w nich bomba.

— Jezus Maria! — Fergus zbladł jak chusta i chyba zrobiło mu się niedobrze.
— O Boże! — Ostrożnie wziął małego bratanka z rąk mamy i skierował się na górę. — Gdybym wiedział, przyszedłbym prosto do domu.

362

— Wiem, że byś przyszedł, Ferg. — Cara poklepała go pocieszająco po ramieniu.

— A gdzie Tyrone?

— Z Nancy. Co zrobimy z mamą? —
spytała cicho. — Naprawdę potrzebuje
teraz taty, ale co robić, kiedy akurat
gdzieś przepadł?

Popatrzyli oboje na matkę. Przestała już
płakać; siedziała bez ruchu, z
zamkniętymi oczami, z twarzą zmiętą,
jakby coś ją bardzo bolało. Kitty się
obudziła, z salonu, gdzie leżała, słysząc
było jej szczebiotanie.

— Zostanę z mamą — zdecydował
Fergus. — Wtedy będę tu też, kiedy
Tyronie wróci do domu; chciałbym tylko,
żebyś coś dla mnie zrobiła.

Zadzwoń proszę z domu do Littlewoods
i powiedz im, co się stało. Spytaj o pana

Worralla, to mój szef.

— OK — przyrzekła Cara z poczuciem winy, ale i z ulgą, że teraz z czystym sumieniem może stąd wyjść. Mama właściwie nie rzuciła nawet okiem na swoją wnuczkę.

— Telefonował przed chwilą twój tata — powiadomiła ją Nancy, kiedy Cara weszła, niosąc rozwrzeszczaną Kitty, która teraz oznajmiała całemu światu, że umiera z głodu. — Prosił, żebyś zaraz do niego zadzwoniła. Zostawiłam numer na biurku w pracowni. Aha, powiedziałam mu o Marii i Mike'u. Strasznie to przeżył.

— Zaraz zadzwonię, tylko przedtem

muszę jeszcze nakarmić tę małą damę.
Tata mówił, gdzie jest? A co z
Tyrone'em?

— Wydawało mi się, że twój tata był w
pracy. Przekonałam Tyrone'a, żeby się
na chwilę położył. Fielding poszła go
opatulić. Och, i woda już jest, ale na
razie nie ma gazu. Za to sobie
przypomniałam, że w piwnicy stoi taki
piec na naftę, więc zrobiłam herbatę.
Chcesz się napić?

Trudno było uwierzyć, że Nancy tak
krótco dziś spała. Sprawiała wrażenie
spokojnej i gotowej zrobić wszystko, co
do niej należy, jakby dowodziła
niewielką operacją wojskową.

— Zastanawiałam się właśnie, skąd ten okropny smród. Pewnie, że się napiję herbaty, Nancy, dziękuję. — Cara rozpięła sukienkę i przyłożyła rozkrzyczone dziecko do piersi. Kitty przywarła do niej i zaczęła głośno ssać. — Mały żarłok — zamruczała Cara z czułością.

— Jak twoja mama przyjęła to wszystko? — spytała Nancy, nalewając dwie filiżanki herbaty, dla Cary i dla siebie.

— Fatalnie. Teraz jest z nią Fergus.

— Wiesz co? Za chwilę zrobię jeszcze herbaty, przeleję do tego małego aluminiowego garnuszka, owinę go

ręcznikami i zaniosę jej. Wiem, że 363

Brenna pasjami uwielbia herbatę, a już wieki jej nie widziałam przez ten cały zamęt w domu.

— Oj, naprawdę sprawisz jej wielką radość, Nancy.

Kiedy Kitty była już nakarmiona, a herbata wypita, Cara poszła z dzieckiem w ramionach do gabinetu. Przede wszystkim zadzwoniła do Littlewoods w sprawie Fergususa, potem do ojca. Odebrała jakaś kobieta i powiedziała, że go poszuka.

— Jest gdzieś na dole, w sklepie.

— Cara! — zawołał po chwili tata bez tchu. — Jak się czujesz, kochanie?

— Zmęczona, tato, ale to nic, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Dlaczego nie przyszedłeś do domu? — spytała z pretensją w głosie. — Mama umiera z niepokoju, nie wie, co się z tobą dzieje.

— Niedługo wszystko wytłumaczę, kochanie. Strasznie mi przykro, naprawdę. Słyszałem o Marii i Mike'u, ale teraz najbardziej się martwię o ciebie i Kitty — powiedział porywczo.

— Nie chcę, żebyście zostały w Liverpoolu, gdyby miał się powtórzyć taki nalot jak ten. Masz natychmiast wsiadać w pociąg i pojechać z moją wnuczką do Kirkby — pociągi nadal

kursują, sprawdzałem — i zaraz koło stacji znajdź Westminster Bank. To tylko mała filia, nie większa niż sklepik. Z tyłu domu są schody do mieszkania na górze. Drzwi będą otwarte, w kuchni jest dość jedzenia.

Cara, bardzo cię proszę, zostań tam. I w żadnym razie nie wychodź, zanim nie będzie bezpiecznie, słyszysz?

— Tak, tato — odparła potulnie. — Mogę zabrać ze sobą Fielding?

— Jeśli chcesz. Słuchaj, teraz muszę kończyć, ktoś na mnie czeka.

Zobaczymy się wieczorem. Pa, kochanie.

— Cześć, tato.

Kirkby było położone na peryferiach Liverpoolu, ale równie dobrze mogłoby być na innej planecie, pomyślała Cara, kiedy wysiadła z pociągu i pchała wózek pod górę w stronę drogi.

Jedynymi dźwiękami, jakie tu słyszała, był śpiew ptaków w gałęziach drzew. Powietrze pachniało świeżością i jakimiś kwiatami. Po przeciwnej stronie drogi dostrzegła bar The Railway Arms, przed którym mniej więcej pół tuzina klientów popijało piwo, rozkoszując się słońcem.

Parę metrów dalej znalazła Westminster Bank — teraz zamknięty z powodu przerwy — a na zapleczu żelazne

schody, tak jak opisał je ojciec. Wyjęła z wózka gaworzącą, uśmiechniętą Kitty, wspięła się po 364

schodach na górę i weszła do niewielkiej kuchni z zasłonkami w biało-

-czerwoną kratkę, zlewem pełnym brudnych naczyń, wreszcie drzwiami, za którymi znajdował się pokój o białych ścianach, z dwoma wielkimi fotelami, przykrytymi czerwonym płótnem. Na półkach po obu stronach kominka było pełno książek, a pod oknem stał okrągły stolik i dwa krzesła a na podłodze maszyna do pisania.

— Ciekawe, kto tu mieszka? — spytała

Cara małej Kitty, kiedy otworzyła kolejne drzwi, w głębi pokoju, i znalazła się w ślicznej sypialni, z niezaścielonym podwójnym łóżkiem oraz toaletką z górą kosmetyków.

W pokoju unosił się intensywny zapach perfum. — To na pewno kobieta, znajoma taty, która musiała dokądś wyjechać. Muszę powiedzieć, że bardzo tu wszystko ładnie urządziła. Sama chciałabym mieć takie zasłonki.

— Liliowe zasłony ozdobione falbankami zakrywały brzydkie zaciemnienia okien.

Ułożyła Kitty na łóżku i wróciła do kuchni poszukać jedzenia. To, co wzięła

początkowo za spizarnię, okazało się mikroskopijną łazienką z toaletą, natomiast jedzenie znalazła w szafce na ścianie: mnóstwo puszek, pół bochenka chleba, trochę masła, które miało dość niezwykły kolor, w szklanym naczyniu. Kiedy spróbowała odrobinę, stwierdziła, że to nie masło, tylko „spam” — amerykańskie mięso z puszki, pyszne zarówno smażone, jak i zimne z sałatą. Po zmyciu naczyń Cara zrobiła sobie kanapkę ze spamem i jadła, siedząc na jednym z czerwonych foteli, zadowolona, że Kitty zasnęła.

Na dywaniku leżała zapisana kartka. Zaciekawiona podniosła ją i przeczytała. Właścicielka mieszkania

musiała być naprawdę intrygująca; Cara chciała by wiedzieć, kto to taki i gdzie teraz jest.

Kochanie — pisała nieznajoma dramatycznie poskręcanymi literami. — Bóle przeszły, ale tym razem jestem już pewna, że to znaczy — zaczęło się! Dzwoniłam do szpitala powiedzieć, że już jadę, tylko złapię następny pociąg. Czy to nie wspaniałe? Kiedy zobaczymy się następnym razem, pewnie będę już matką!

Twoja

Lizzie

Cara była coraz bardziej zaintrygowana.

Lizzie z pewnością mieszkała tutaj, a teraz pojechała rodzić. Tę notatkę zostawiła komuś, zapewne mężowi, ale gdzie u licha był? Dlaczego tu nie śpi, kiedy nie ma żony?

365

W końcu zmęczenie wzięło górę nad ciekawością. Cara przytuliła się do Kitty i spała twardym snem ponad dwie godziny. Zbudziła się rześka i wypoczęta, gotowa do spaceru po okolicy. Nakarmiła Kitty, zmieniła jej pieluszkę, uprała brudną, a następnie wywiesiła do wysuszenia. Nie chciała wracać do Liverpoolu z paką brudnych pieluch.

Właśnie wkładała małą do wózka, kiedy pojawiła się uśmiechnięta młoda kobieta, ubrana jak do biura w białą bluzkę i czarną spódniczkę.

Włosy upięła — bardzo nietwarzowo — w koronę wokół głowy.

— Cześć! Zdawało mi się, że słyszę kroki na górze, i zastanawiałam się, czy to czasem nie Lizzie wróciła do domu po kolejnym fałszywym alarmie. Pracuję tu w banku — wyjaśniła. — Ale pewnie za trzecim razem będzie miała szczęście, to znaczy oczywiście Lizzie. Mogłabym potem zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, co się z nią dzieje. Ale pani pewnie już wie. Jest pani przyjaciółką Lizzie?

— Nie, nigdy się nawet nie spotkałyśmy.

— Wobec tego musi pani znać Colma, jej męża?

Carze zabrakło tchu.

— Trochę... — wyjąkała.

— Ile ma to słodkie maleństwo? —
Dziewczyna podeszła i zajrzała do wózka. — Och, ale bombowa! Jak ma na imię?

— Kitty, ma trzy i pół miesiąca.

— Lizzie też ma nadzieję, że to będzie dziewczynka. Och, cóż, chyba muszę już

pędzić do pracy... Inaczej pan Miller, mój szef, się wścieknie.

Cześć... Nie wiem, jak masz na imię. Ja jestem Mary.

— Cara.

— Cześć, Cara.

— Cześć, Mary.

Dziewczyna zniknęła, a Cara została sam na sam z wiedzą, że Colm, jak wspomniała Mary, mąż — to może być tylko Colm, jej ojciec, choćby to wydawało się absolutnie niewiarygodne. Za dużo zbieżności, żeby mogło być inaczej.

Poczuła, że krew ścina się jej w żyłach. Tata miał — ma — romans z tą kobietą, Lizzie, i to jego dziecko zaczynało się rodzić, kiedy pisała tę kartkę... A w tej chwili prawie na pewno już się urodziło.

Kitty w wózku wyglądała na zadowoloną. Cara podniosła do połowy budkę, żeby osłonić małą przed słońcem, i wróciła do mieszkania, zostawiając otwarte drzwi na wypadek, gdyby Kitty zaczęła płakać. Teraz była zadowolona, że Fielding z nią nie pojechała.

366

— Wolałabym zostać z Nancy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu —

powiedziała, kiedy Cara jej wspomniała o mieszkaniu w Kirkby, gdzie będą bezpieczne na wypadek kolejnego potężnego nalotu tej nocy.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciw temu — odparła.

Uważała Fielding za swoją przyjaciółkę i cieszyłaby się, mogąc być z nią w tym nieznanym sobie miejscu, ale teraz o wiele bardziej wolała być sama ze swoimi myślami.

Co to oznaczało dla mamy? Tak jakby nie dość już wycierpiała w ciągu ostatniego roku — z czego wiele przez Carę.

Zaczęła przeszukiwać mieszkanie, właściwie sama nie wiedząc, czego szuka. Jakichś śladów, potwierdzenia, że mąż Lizzie to na pewno jej ojciec. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było zdjęcie, półportret w srebrnej ramce stojący na małym narożnym stoliku, którego wcześniej nie zauważyła. Przedstawiał atrakcyjną młodą kobietę z oczyma sarny, ustami jak łuk Amora i długą ciemną grzywką. Cara przyjrzała się jej dokładnie. Kobieta uśmiechała się lekko, wpatrzona w przestrzeń, lecz nie bezmyślnie, tylko tak jakby była głęboko zamyślona nad czymś bardzo ważnym.

Jeśli to naprawdę była Lizzie, sprawa

wydawała się beznadziejna.

Mama z jej wałkami tłuszczu i szybko siwiejącymi włosami nie miała przy niej żadnych szans. A jednak w oczach Cary mama i tata należeli do siebie. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby jedno z nich mogło żyć bez drugiego: musieli być razem, „dopóki ich śmierć nie rozłączy”.

Tymczasem następne odkrycie potwierdziło to, czego szukała. Zdjęcie zrobione w raczej zaniedbanym ogrodzie przedstawiało śliczną, sarnioką kobietę w ramionach wysokiego, niezwykle przystojnego mężczyzny.

Oboje patrzyli nie do aparatu, ale jedno

na drugie, tak samo jak kiedyś patrzyli na siebie Kit i Cara.

Westchnęła. Już zapomniała, jaki jej ojciec był przystojny, teraz jednak czuła się zażenowana, kiedy odkryła, że zakochał się w innej kobiecie.

Postanowiła nie węszyć już więcej, a zamiast tego zabrać Kitty na spacer, chociaż ledwie zwracała uwagę na śnieżnobiałe majowe kwiaty, okrywające krzewy i drzewa, na mlecze, jaskry, stokrotki i inne dzikie kwiaty, których nazw nie знаła, setkami i tysiącami wystrzelające teraz z ziemi. Nawet srebrzysty strumyk, nad którym przechodziła, głęboki ledwie na parę centymetrów, dudniący i bulgocący po

dnie, jakby wygrywał jakąś melodię, nie przerwał jej smutnych myśli. Co się stanie, kiedy mama odkryje, że tata ma romans...?

367

Czy zamierzał rzucić mamę dla Lizzie i swojego nowego dziecka?

Gdyby nie wzgląd na Kitty, natychmiast wróciłyby na Parliament Terrace i starała się więcej o tym nie myśleć. Do diabła z dzisiejszym nalotem!

No, ale gdyby nie Kitty, nie przyjechałyby tutaj.

Kiedy wróciła do mieszkania, rozejrzała

się za czystą pościelą.

W dolnej szufladzie bieliźniarki znalazła prześcieradła i poszewki.

Wszystko wyprane w pralni. Oczyma wyobraźni zobaczyła matkę, która w każdy poniedziałkowy rano zmagając się z górami prania w kuchni pełnej pary — i zachciało jej się płakać. Choćby nawet mama była bogata jak Krezus, i tak upierałaby się, że będzie sama robić pranie. Cara była zła na ojca, równocześnie jednak potrafiła zrozumieć, co go tak pociągało w Lizzie. Kto wie, może ona, jego córka, jest bardziej podobna do ojca, niż dotąd myślała. Nie każda kobieta, bez względu na to, jak bardzo byłaby zakochana,

zgodziłaby się wyjść za mężczyznę,
którego ledwie знаła, w obcym kraju, w
dodatku nic nie mówiąc o tym rodzinie.

Tata podjął takie ryzyko, ponieważ
zakochał się w Lizzie, podobnie jak ona
to zrobiła w przypadku Kita — i niech
diabli wezmą wszystkie konsekwencje!

— Przypuszczam, że się domyśliłaś —
powiedział tata, kiedy koło wpół do
szóstej wrócił do domu. Wyglądał na
straszenie zmęczonego i Carze
natychmiast zrobiło się go żal. Kitty
leżała na kocu rzuconym na podłogę i
oglądała z uwagą swoje paluszki u nóg.

— Nie musiałam — odparła z całym
spokojem. — Dziewczyna z banku,

Mary, powiedziała mi, że jakaś kobieta... to znaczy Lizzie, ma urodzić dziecko i że jej mąż ma na imię Colm.

— Kochanie, już od miesiący chciałem powiedzieć o wszystkim twojej mamie, ale po prostu nie mogłem jej tak zranić.

— Zamknął oczy z głę-

bokim westchnieniem. — Poza tym nie mogłem znieść myśli o awanturze, jaką mi urządzi. Zbyt wielki tchórz ze mnie.

— Teraz nie możesz jej tego powiedzieć, tato. Wpadłam do niej dziś rano i wierz mi, była naprawdę załamana sprawą Marii i Mike'a.

— Wiem, kochanie... — Znowu

westchnął. — Muszę to odłożyć na jakiś czas, aż się wzmocni.

— A jak tam Lizzie? — spytała.
Niezręcznie jej było o to pytać. —

Urodziła?

368

— Tak, to chłopiec — Bernard — ale Lizzie bardzo się męczyła. Ma już czterdzieści trzy lata, a to jej pierwsze dziecko. — Twarz taty złagodniała. — Poród trwał całą noc. Byłem z nią w szpitalu, trzymałem ją za rękę. — Zarumienił się lekko, Cara zresztą też.

— Od dawna ją znasz? — spytała,

zaskoczona wiadomością, że Lizzie jest tylko trzy lata młodsza od jej matki.

— Poznaliśmy się dwadzieścia lat temu. To córka Cyrila Phelana, tego, który miał skład budowlany... pracowałem tam. A drugi raz spotkaliśmy się jakiś rok temu, kiedy zgłosiła swoją kandydaturę na przedstawiciela Toxteth i Dingle, po tym, jak umarł Ignatius Herlihy.

Cara otworzyła szeroko oczy.

— Chciała być politykiem? Więc musi być bardzo inteligentna, prawda, tato?

— To, że ktoś jest politykiem, nie oznacza bynajmniej, że musi być

inteligentny, kochanie — odparł sucho ojciec. — Na mój rozum ponad połowa z tych pajaców jest głupia jak but.

Traktują politykę jak korzystne zajęcie, nie napracujesz się, a płacą ci jak za zboże. Lizzie jest inna — jej naprawdę zależy. Co nie znaczy, że to jej pomogło, kiedy się starała o stanowisko.

Odrzucono jej kandydaturę, a zamiast niej wybrano męż-

czynę, mimo iż była o niebo lepszą kandydatką niż tamten. No cóż... —

powiedział zmęczonym głosem, podnosząc się z krzesła — lepiej już pójdę. Powinienem zamienić parę słów z naszym Tyrone'em, biedak stracił żonę i jedno z dzieci; nie mówiąc już o tym,

że muszę dać znać twojej matce, że jestem cały i zdrowy, choć może w nie najlepszej kondycji.

Poza tym przez ostatnie parę dni zaniedbałem obowiązki na posterunku ARP, bo Lizzie miała lada chwila urodzić, a mieszka tu sama. — Pochylił

się i pocałował córkę. — Cześć, kochanie. Jutro znów postaram się wpaść

— to znaczy, jeśli zechcesz. Po tym wszystkim możesz nie chcieć mieć już do czynienia ze swoim ojcem.

— Nie pleć głupstw. — Złapała go za rękę i przytuliła ją do twarzy.

— Zawsze byłeś cudownym ojcem i zawsze będę cię kochać.

Cara została w mieszkaniu Lizzie Phelan jeszcze pięć dni, ponieważ naloty na Liverpool nie słabły. Co rano telefonowała na Parliament Terrace, żeby się dowiedzieć, czy z Nancy i Fielding wszystko w porządku; z kolei Fergus, który teraz stale nocował na Shaw Street, zaniedbując Jessie Clifford, dzwonił z pracy i zdawał Carze relację, że matka i Joey żyją, 369

tyle że się boi o Tyrone'a, który poważnie się rozchorował z żalu po stracie swoich bliskich.

— Z jakiegoś powodu oskarża o to

siebie — mówił Fergus.

Ojciec przychodził co wieczór ją odwiedzać i chociaż ich związek był

zawsze serdeczny, z każdą wizytą stawał się coraz serdeczniejszy, kiedy tata próbował jej wyjaśnić powody, dla których się zakochał w Lizzie Phelan.

— Podejrzewam, że z próżności — powiedział któregoś wieczoru w zamyśleniu. — Pochlebiało mi to, że mnie lubi. Dzięki niej czułem się młody, podczas gdy przy twojej mamie miałem wrażenie, że jestem już bardzo stary. Lizzie zawsze potrafiła mnie przekonać, że nie ma rzeczy, której bym nie dokonał. Kiedy wojna się skończy,

pojedziemy do Ameryki.

Po wyjściu ojca Cara nastawiła radio i słuchała melodii z Band Wagon, Garrison Theatre i The Old Town Hall, potem wiadomości o dziewiątej wieczór, wreszcie przełączyła na kanał wojskowy, na piosenki, które jej przypominały Kita i Malte.

Nocą, ponieważ bombardowanie Liverpoolu było tutaj tylko odległym hukiem, obie z Kitty mocno spały, budząc się dopiero na dźwięk ptasich treli i przejeżdżającego od czasu do czasu autobusu lub samochodu. Dni płynęły wolno; mogłaby bez żadnego kłopotu pojechać rano do Liverpoolu i wrócić do Kirkby na podwieczorek, ale

Cara rozkoszowała się spokojem i ciszą małego mieszkańca, chociaż wiedziała, że wkrótce znudzi ją bezczynność, bo nic tu przecież nie robiła, poza spacerami.

Może to było instynktowne, a może po prostu ogarnęła ją nagła tęsknota za domem, ale wróciła na Parliament Terrace w dniu, kiedy naloty ustały — choć nie na zawsze, niestety...

Cara była bardzo zadowolona z tych krótkich wakacji, teraz jednak sprawy musiały wrócić na normalny tor — jeśli w ogóle można było mówić o normalności w czasie wojny.

Życie Brenny też już nabrało odrobiny

normalności. Cara i Kitty wpadały do niej parę razy w tygodniu, z kolei Brenna często zabierała małego Joeya na Parliament Terrace, gdzie chłopczyk po prostu zakochał

się w Nancy. Jak tylko Eleanor dowiedziała się o Marii i Mike'u, natychmiast przybiegła na Shaw Street z wyrazami współczucia i z powrotem były z Brenną przyjaciółkami; ona i Oliver Chandler w czasie nalotów przesiadywali w schronie na końcu ogrodu z radiem na baterie, na-370

stawiając na cały regulator Radio Luksemburg i wyśpiewując jak najgłośniej wszystkie piosenki, jakie tylko

znali.

Trudno było nazwać ówczesne życie słodkim, ale było najlepsze, na jakie Brenna mogła się zdobyć w takich okolicznościach. Kiedy zatem Colm wyznał żonie swój romans z Lizzie Phelan, jak również to, że urodziła jego dziecko, Brenna zdecydowała, że ma tego dość. Musiała się teraz opiekować Joeyem, a także wciąż niepokieszonym Tyrone'em, i dla nich musiała być silna. Przyjęła wyznanie Colma może nie spokojnie, ale z pewną rezygnacją. Od pewnego czasu coraz bardziej się od siebie oddalali — w każdym razie on oddalał się od niej.

— Ach... dobrze, jeśli tak uważasz,

Colm — powiedziała, wzruszając ramionami, kiedy oznajmił, że odtąd będzie mieszkał w Kirkby z Lizzie.

Była głęboko przekonana, że to rozstanie jest tylko na jakiś czas, że któregoś dnia on wróci. Ich małżeństwo nie było skończone, ot, po prostu odłożone na jakiś czas.

To była jego wina, tylko jego wina! Gdyby nie zwędził tego cholernego pierścionka, mama nie poszłaby szukać taty, żeby sprawdzić, czy go nie wziął. Byłaby w domu, kiedy zaczęły wyc syreny, i Maria nie musiałyby zabierać chłopaków do schronu. Jego żona i syn nadal by żyli. Nigdy nie przestanie się

oskarżać, nawet gdyby dożył stu lat. A teraz mama i tata się rozstali i chociaż zdrowy rozsądek mu podpowiadał, że akurat to nie ma z nim nic wspólnego, z jakiegoś powodu czuł się trochę odpowiedzialny również za rozstanie rodziców.

Następnego dnia po naloście cisnął pierścionek do sypialni. Złoty krążek odbił się od ściany i upadł na podłogę, gdzie mama go potem znalazła.

— Jak on się tu u diabła dostał?! — zawołała i włożyła go do szuflady. — Nie chcę go więcej widzieć na oczy. Gdybym go nie szukała... —

Nie skończyła, ale Tyrone wiedział, co

chciała powiedzieć.

Z ciekawości poszedł do Czarnego Konia zobaczyć, czy Irlandczycy dalej tam przesiadują — mogliby mu połamać nogi, połamać całe ciało, było mu wszystko jedno — ale właściciel powiedział, że ich aresztowali.

— Najwyraźniej mieli coś wspólnego z IRA i przyjechali do Liverpoolu, żeby zdobyć pieniądze lub coś w tym rodzaju. W wolnym czasie włóczyli się po barach z talią znaczonych kart i naciągali klientów na grę. Zbili na tym kupę szmalu, chociaż nawet półgłówek mógł od razu poznać, że to kanciarze. Cóż — wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem — mówi 371

się, że głupiec i pieniądz to niedobrana para. — Zmarszczył czoło i spojrzał

na Tyrone'a. — Chyba nie jesteś jednym z tych, których nabili w butelkę, co, chłopaku?

Tyrone potrząsnął głową.

— Nigdy nie gram w karty na pieniądze.

— Mądrała z ciebie. Trzymaj się tego, a nie zrobisz głupstwa.

Teraz zapijał się na śmierć, tonął w alkoholu, nic prawie nie jedząc.

Prosto z pracy szedł do baru i nie godził

się na towarzystwo Fergususa.

Chciał być sam ze swoim nieszczęściem. Grubiańsko odmawiał każdemu, kto próbował nawiązać z nim rozmowę, a wychodził dopiero wówczas, kiedy zamykali. Szedł do domu, kładł się do łóżka i płakał tak długo, aż zasnął.

Już minął miesiąc, od kiedy stracił żonę i syna.

Siedział w barze, w którym nigdy dotąd nie był, nikogo nie znał. Liczył

na to, że nikt nie zwróci tu na niego uwagi, kiedy ławka, na której siedział, zatrzeszczała nagle i ktoś siadł obok niego.

— Napijesz się ze mną, koleś?

Tyrone aż jęknął w duszy.

— Nie! — odparł niegrzecznie.

— Wyglądasz, jakbyś potrzebował się co nieco pokrzepić. Co powiesz na następny kufelek? Ja też potrzebuję pociechy i w ogóle. Może jeden powinien wspierać drugiego. Ä propos, jestem Kevin.

— W porządku. Mam na imię Tyrone.

Nie chciało mu się wszczynać kłótni. Patrzył, jak ten facet idzie do baru i zamawia. Koło trzydziestki, niezbyt wysoki, twarz miał mocno opaloną.

Wyglądał na zdrowego i zwinnego, i był porządnie ubrany w granatowe spodnie i śnieżnobiałą koszulę. Wrócił z dwoma kuflami brązowego ale.

— Mój statek dopiero dziś rano wpłynął do doku — powiedział, podsuwając Tyrone'owi kufel — a kiedy poszedłem do domu, okazało się, że zniknął z powierzchni ziemi podczas okropnego nalotu, a moja staruszka mama zginęła. Już ją pochowali — dodał i przeżegnał się.

— Tak mi przykro. — To może nie było aż tak straszne jak nieszczęście Tyrone'a, ale mimo wszystko straszne.

— Brakuje mi matuli — westchnął

Kevin ze smutnym uśmiechem.

Tylko ona jedna mi została na świecie. Tatulo zmył się gdzieś już wieki temu, gruźlica zabrała jednego z braci, kiedy był jeszcze maluchem, a w zeszłym roku U-Boot rozwalił drugiego, naszego Bertie, kiedy był w połowie drogi przez Atlantyk.

372

— Był w marynarce? — Wbrew własnej woli Tyrone zainteresował się opowieścią.

— W handlowej, tak samo jak ja.

Matula zawsze się o mnie strasznie trzęsła, a w końcu to ona pierwsza kopnęła w kalendarz.

— Naprawdę mi przykro. — Tyrone gotów był się rozpłakać. Tyle tragedii... Tyle niepotrzebnych śmierci, tylu ludzi pozostawionych w ża-

łobie...

— Dzięki, stary. — Kevin poklepał marynarski worek, który leżał

obok niego na ławce. — Przywiozłem matuli trochę prania. Mogłem to załatwić na statku, ale matuli cknęło się bez prania, więc zawsze trochę jej przywoziłem. Słuchaj, Tyrone — rzekł z

przekonaniem — jeśli chcesz coś z siebie wyrzucić, nie krępuj się, z chęcią posłucham. Sam się już jakby lepiej czuję, kiedy ci wszystko opowiedziałem.

Ale tragedia Tyrone'a była wciąż otwartą raną, zbyt bolesną, żeby ją opowiadać obcemu człowiekowi. Wolał mówić o czymś innym.

— Gdzie byłeś teraz? — spytał.

— W Hajfie — odparł Kevin. — To w Palestynie, tysiące kilometrów stąd — dodał, kiedy Tyrone spojrzał na niego bezmyślnie. — Wieźliśmy ładunek broni dla naszych wojsk, które tam są. Kiedy płynęliśmy przez Kanał Sueski, polował na nas messerschmitt sto dziewięć, ale...

— zachichotał — udało nam się go zestrzelić.

— To znaczy, że macie broń?

— Jasne. Dwa działka przeciwlotnicze Oerlikon z przodu i cztero-calowe z tyłu.

— A co to za statek?

— To tylko stary parowy frachtowiec napędzany węglem, chłopie —

wyjaśnił Kevin. — Jeśli chcesz wiedzieć, to naprawdę bardzo chciałem posiedzieć parę dni z matulą na łodzi, ale teraz już się nie mogę doczekać, aż wrócę na pokład. To odpędza od ciebie złe myśli, zwłaszcza kiedy wojna się

zaczęła. Za każdym razem, kiedy się zgłaszasz, trzymasz własne życie w swoich rękach.

Tyrone, który nigdy nie przeczytał gazety ani nie słuchał radia poza muzyką, nie miał pojęcia, że Marynarka Handlowa została włączona do walk w czasie wojny. Zawsze ją sobie wyobrażał jako kupę zardzewiałych łajb, żeglujących tam i z powrotem między obcymi portami i przewożących zamorskie przyprawy, tapiokę, dywany i inne niepotrzebne graty.

— Myślisz, że ktoś taki jak ja mógłby się zgłosić do Marynarki Handlowej? — spytał Kevina.

— Dlaczegoż by nie?

— Ale pewnie sprawdzają stan zdrowia? Wiesz, znaleźli u mnie coś niedobrego z sercem, chociaż w ogóle mi to nie przeszkadza — Tyrone głośno pociągnął nosem. Wyglądał na przygnębionego. — Właśnie dlatego nie jestem w wojsku.

Kevin obejrzał go od stóp do głów.

— Dla mnie wyglądasz całkiem OK, a stanu zdrowia nikt nie sprawdza. Nie, i już. Po prostu przychodzisz do punktu i zgłaszasz się na statek.

— Bez żadnego szkolenia?

— Ja tam się szkoliłem, jak mnie przyjęli na chłopaka okrętowego, ale ty jesteś za stary... Masz ty w ogóle jakiś fach, Tyrone?

— Jestem elektrykiem.

— Elektryk! Doskonale. Wezmą cię na elektryka do kotłowni.

Serce Tyrone'a zaczęło bić jak szalone. Więc to było takie łatwe!

— Wypijesz jeszcze jedno piwo, Kevin? Opowiesz mi więcej o tej Marynarce Handlowej.

Nazajutrz Tyrone nie poszedł do pracy, za to wybrał się aż na Dock Road, gdzie był punkt, innymi słowy: biuro.

Marynarze przychodzili tu po wypłatę po skończonym rejsie i zaciągali się na różne statki — albo z nich zwalniali. Był to zakurzony budynek, jak dotąd nietknięty nalotami.

Tyrone nie posiadał się ze zdumienia, że w porcie jest tak gwaro i tłoczno — mimo niedawnego bombardowania, którego ślady wszędzie było widać w postaci stert gruzów, lejów po bombach i szkieletów budynków, które czekały na wyburzenie, grożąc w każdej chwili zawaleniem.

W biurze dali mu do wypełnienia

formularz.

— Oczywiście, jeśli umiesz pisać —
dodał na wszelki wypadek prostoduszny facet z czerwoną twarzą, który wręczył mu kartkę.

— Pewnie, że umiem! — odparł Tyrone z oburzeniem.

— Nie przejmuj się tak, chłopie —
padła poważna odpowiedź. —

Jedni umieją, a drudzy nie umieją i
wtedy muszę tym gnojkom pomagać.

— Masz swoje papiery? — zapytał
mężczyzna, podziwiając jego charakter
pisma, kiedy Tyrone już wypełnił

formularz.

Tyrone okazał dokumenty potwierdzające, że skończył praktyki —

Kevin mu poradził, żeby zabrał je ze sobą.

Mężczyzna spojrział na niego przelotnie, po czym powiedział: 374

— Dobrze, w porządku. S/s „Mimosa” za pięć dni powinna przyплыć do portu. Stracili elektryka w Port Saidzie. Ktoś go zamordował, nie wiadomo dlaczego — dodał z makabrycznym gestem. — Mają wypłynąć w morze za kolejne pięć dni, do Nowego Jorku, po drodze się zatrzymają w Glasgow, żeby

zabrać partię szkockiej whisky.

— Do Nowego Jorku! — słabym głosem powtórzył Tyrone.

— Do Nowego Jorku. Pasuje waszej lordowskiej mości?

— Tak...

— Co za ulga! — parsknął mężczyzna.

— Teraz potrzebny ci będzie mundur. Wyglądasz mi na normalny rozmiar, więc pewnie będziesz chciał zaopatrzyć się w sklepie, a nie szyć na miarę. Najlepiej to załatwisz u Danny'ego na Howe Street. Powiedz, że przysyła cię Barney, a obsłuży cię jak należy. Masz na to jakieś pieniądze?

— Nawet złamanego pensa, ale ktoś mi powiedział, że może mi pan dać zaliczkę na poczet wypłaty.

— To ci dobrze powiedział. Pięć funciaków powinno wystarczyć.

Będiesz potrzebował jeszcze kilka kompletów bielizny i tak dalej. —

Otworzył szufladę, wyjął banknoty i dał Tyrone'owi kwit do podpisania. — Aha, i powiedz Danny'emu, że będziesz trzecim oficerem, to będzie dokładnie wiedział, czego ci potrzeba.

— Ktoś tam jest na górze?! — zawołała Brenna, kiedy przyszła z Joeyem i usłyszała jakieś stłumione dźwięki

dobiegające z frontowej sypialni.

— Tak, to ja, mamó! — odkrzyknął Tyrone. — Za chwilę schodzę.

— Dobrze, chłopcze, nie spiesz się. Chodź, Joey, pomożesz babci zrobić herbatę — zwróciła się do małego. — A potem będziemy grać w karty, aż wróci wujek Fergus. Nie znam nikogo, kto tak świetnie grałby w wojnę jak ty, kochanie. Zawsze, ale to zawsze bijesz mnie na głowę.

Joey był zadowolony. Wracał do zdrowia o wiele szybciej niż jego ojciec, chociaż pani Murphy, jego druga babcia, wcale w tym nie pomagała, jęcząc, szlochając i obsypując chłopca

łzawymi pocałunkami za każdym razem, kiedy Brenna go do niej przyprowadzała. Pomiędzy paniami został ogłoszony rozejm, chociaż Brenna uważała, że to nie potrwa długo.

Aż ją ręce świerzbiły, żeby rąbnąć czymś tę babę, kiedy tylko tamta otwierała usta.

— Chciałbyś rowerek, kochanie?

— Tak, proszę, babciu.

375

— Mamo! — zawołał z salonu Tyrone.

— Już idę. Och! — krzyknęła i stanęła

zdumiona w drzwiach. — Och, synku, wyglądasz cudownie! Skąd masz ten garnitur? Wygląda na okropnie drogi.

— Wcale nie. Słuchaj, mamó — Tyrone wydobyl trzymaną dotąd za plecami granatową czapkę marynarską z daszkiem i złotym znaczkiem, a następnie włożył na głowę. — Jak ci się podoba twój tata, Joey?

— Tato, wyglądasz super. — Joey miał oczy wielkie jak spodki. —

Czy to mundur?

— To mundur Marynarki Handlowej, synu, a twój tata jest tam trzecim oficerem.

— Oficerem! — Brennie aż dech zaparło z wrażenia. Eleanor stale narzekała, że jej Jonathan jeszcze nie awansował, a teraz Brenna będzie się mogła chwalić, że Tyrone jest trzecim oficerem. To brzmiało niezwykle dostojnie.

— Mamo, za dziesięć dni płynę do Nowego Jorku!

Brenna już otwierała usta, żeby głośno zaprotestować, lecz zadziwiająco szybko zmieniła zdanie. Kiedy próbowała kierować życiem swoich dzieci, efekt był taki, że narobiła tylko całe mnóstwo złego, a to mogło być najlepsze wyjście. Od lat nie widziała Tyrone'a w tak świetnej formie. A Joey

wcale nie oponował, tylko patrzył z dumą na swojego wspaniałego tatę.

— Przywieziesz mi prezent z Nowego Jorku? — zapytał.

— Dziesięć prezentów — odparł Tyrone natychmiast. — Chodź do mnie, synku! — Joey rzucił mu się w ramiona i objęli się tak czule, jak nigdy dotąd. — Synku, nie gniewasz się na mnie, że wyjeżdżam tak daleko? — spytał Tyrone przyciszonym głosem. — Będiesz się opiekował

babcią za nas dwóch.

— Nie, tato, nie będę się gniewał, jeżeli pojedziesz walczyć z Hitlerem.

I będę się opiekował babcią, o nic się nie martw.

Tyrone patrzył na matkę zza ramienia dziecka. Brenna nigdy wcze-

śniej nie widziała tak ogromnego cierpienia malującego się na twarzy jej syna.

— Nie zapomniałem, mamó, wiedz o tym — wyszeptał. — Nigdy nie zapomnę, aż do śmierci.

— Wiem, kochanie — odparła łagodnie.

— Wiem.

Cara nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

Znowu była w ciąży! Musiała być najbardziej płodną kobietą wszech czasów. Kiedy weszła do pokoju Marcusa, zaalarmowana jego jękami, tamtej nocy przed wyjazdem do Londynu, ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, to kochać się z nim. Zupełnie niewinnie, bez żadnych podtekstów, wsunęła się do jego łóżka i nagle znalazła się w jego ramionach, mimo iż bardzo cierpiał z powodu bólu... Najłatwiejszą rzeczą na świecie byłoby go powstrzymać. Nie zrobiła tego jednak.

Dlaczego? Wciąż na nowo zadawała

sobie to pytanie.

Dlatego, że ci to sprawiło przyjemność, brzmiała odpowiedź. I chociaż poślubiłaś go tylko ze względu na dobro Kitty, kochałaś Marcusa Allardyce'a, choć może nie byłaś w nim zakochana.

Tak, to prawda, zgodziła się Cara, po czym długo płakała, myśląc o śmierci Marcusa.

Wreszcie otarła łzy i zaczęła się śmiać z radości, że będzie miała jeszcze jedno dziecko — małego braciszka albo siostrzyczkę Kitty. Mama chyba oszaleje, Eleanor będzie tak zaszokowana, że nie zdoła wydobyć głosu z krtani, Fielding będzie lubieżnie

mrugać i powie coś sprośnego. Tylko Nancy przyjmie tę wiadomość z całym spokojem, bo nic na świecie nie było w stanie jej zaskoczyć.

Rozdział 14

1942

— Papier toaletowy prawie się skończył, madame, buty numer czterdzieści trzy, ołówki i te... no, te damskie higieniczne... z waty, no, wie pani — zameldował ponuro kapral Tennant.

— Dziękuję. — Sybil zapisała wszystkie potrzeby w notesie. Damskie higieniczne z waty to były oczywiście

podpaski; nie miała pewności, dlaczego kapral nigdy nie używał właściwej nazwy. Może się wstydził, a może po prostu nie wiedział.

Najprawdopodobniej również powodowany wstydem mówił na majtki „damskie” albo „te spod spodu”. —

Na wypadek, gdybyśmy się do jutra nie widzieli, kapralu, proszę przyjąć ode mnie życzenia szczęśliwego nowego roku.

— Dziękuję, madame, nawzajem.

Zamknął drzwi z tragicznym westchnieniem. Ten człowiek nigdy się nie uśmiechał i był w widoczny sposób zbulwersowany, że kobieta może w

ogóle rządzić. Nawet jeśli był to tylko magazyn z zapasami... Sybil nie była w stanie go sobie wyobrazić bawiącego się na przykład w sylwestra, nie wspominając już o całym roku.

Odsunęła listę na bok. Z samego rana zamówiła wszystkie potrzebne rzeczy w Centrali Zaopatrzenia. Dochodziła piąta i Sybil nie miała już nastroju do pracy.

Na jej biurku leżał ostatni list od matki. Czytała go już piąty raz: Kochanie, Oliver i ja spędziliśmy cudowne Boże Narodzenie. Jaka szkoda, że nie mogłaś być z nami. Jonathan był w domu prawie cały tydzień: Oliver i ja zabraliśmy go do Empire na pantomimę tak, jak to często robiłam, kiedy był jeszcze małym

chłopcem. Potem poszliśmy na kolację i cieszyliśmy się sobą.

378

W dzień Bożego Narodzenia jedliśmy świąteczny obiad w naszym starym domu. Nie masz pojęcia, cóż to za różnica w porównaniu z dawnymi obiadami — cały dom jest teraz pełen życia i gwaru.

Przyszła Brenna z joeyem, to naprawdę słodki chłopczyk! Był też Fergus ze swoją przyjaciółką. W ostatnim czasie zrobił się z niego prawdziwy Don Juan, tyle że te jego dziewczyny są okropnie pospolite.

No i oczywiście była Fielding, którą po prostu uwielbiam pasjami; jest taka zabawna i dzielna. Intuicja mi podpowiada, że ona i Fergus mają się ku sobie, chociaż nikt tego dotychczas nie zauważył. Wszyscy kochamy Nancy, to ona nas wychowała i karmiła całe życie, toteż wszyscy podziwialiśmy jej potrawy, tak że wieczór skończył się prawdziwą ucztą.

Dziwnie to wygląda — widzieć Brennę bez Colma, ale chyba już przyjęła do wiadomości, że ich małżeństwo się skończyło, i zrobiła to z prawdziwą godnością, mimo iż w głębi duszy jest przekonana, że on pewnego dnia do niej wróci. Na jej miejscu wcale bym go już

nie chciała, ale pod tym względem
bardzo się różnimy, prawda?

Najważniejszą wiadomość zostawiłam
na koniec. Otóż na tydzień przed
Gwiazdką Cara urodziła chłopczyka,
którego nazwała Sean -

to chyba irlandzka wersja imienia John.
(Szczerze mówiąc, wolałabym Johna).
Tylko pomyśl! Cara urodziła dwoje
dzieci w ciągu jednego roku!

Prawdziwy fenomen. Szkoda tylko, że
obaj ojcowie nie żyją. Ten stary satyr,
twój ojciec, pewnie by szalał z radości,
bo Sean jest bardzo do niego podobny:
ma jego piękne brązowe włosy,
prawdziwą czuprynę na główce. W

każdym razie matka i dziecko czują się doskonale, a Ty masz jeszcze jednego przyrodniego brata.

Zdaje się, że katolicy chrzczą swoje dzieci już w kilka dni po narodzinach. Ma to rzekomo związek z pójściem do nieba, na wypadek gdyby dziecko umarło. Podobno te nieszczęsne maleństwa trafiają wtedy do jakiegoś miejsca zwanego otchłanią, które jest strasznie męczące.

Tak czy inaczej, Nancy poproszono na matkę chrzestną. Pomagała w wychowywaniu wszystkich naszych dzieci, ale pierwszy raz została matką chrzestną. Biedactwo, płakała podczas całej ceremonii, która odbyła się w

dzień po drugim święcie Bożego
Narodzenia.

Mam nadzieję, że ten list nie wyda Ci się nazbyt powierzchowny, moja droga Sybil, ale minęło już wiele miesięcy bez żadnego nalotu i teraz jest prawie tak, jakby dla nas wojna się skończyła.

Wiem, że to głupie mówić w ten sposób po tym okropnym wydarzeniu w Pearl
379

Harbor, które miało miejsce zaledwie tydzień temu, i po tym, kiedy za jednym machnięciem pióra straciliśmy Malaje i Hongkong. W każ-

dym razie Amerykanie włączyli się teraz czynnie do wojny, chwała Bogu, dlatego

może się to wszystko skończyć dużo szybciej, niż myślimy.

Zatem do widzenia, kochanie. Oliver przesyła Ci serdeczności. Mam nadzieję, że będziesz miała naprawdę szczęśliwy nowy rok. Organizujemy przyjęcie, a ja przez cały czas będę myślami przy Tobie.

Sybil z uśmiechem rzuciła list na biurko. Była ciekawa, kiedy do mamy wreszcie dotrze, że Oliver to pedał. A jeśli chodzi o nią samą... będzie za dobrze się bawiła, żeby choć przez chwilę pomyśleć o swojej córce.

Uśmiech zniknął z twarzy Sybil, kiedy uzmysłowiła sobie, że na tym przyjęciu

prawie na pewno będzie też Cara.

Właśnie z jej powodu Sybil nie pojechała na święta do domu, wiedząc, że Caffreyowie i Allardyce'owie będą zapewne spędzać je wspólnie.

Poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie przekroczy progu domu przy Parliament Terrace, i naprawdę tak myślała. A teraz, kiedy obie rodziny są rzeczywiście ze sobą spokrewnione! Aż się skrzywiła na samą myśl o tym.

Zadzwonił telefon. Zaraz po pierwszym dzwonku podniosła słuchawkę.

— Słucham, Allardyce przy telefonie.

— Sybil! — rozległ się serdeczny głos. Dzwonił Steve Richardson, wikary parafii St. Jude's. — Chciałem się tylko upewnić, czy będziesz u nas dziś wieczorem, sprawdzić, czy nie masz żadnego pilnego zajęcia ani watahy nowych rekrutów, która ci się zwała na głowę i musisz ich czym prędzej wyekwipować.

— Nie, chwała Bogu, żadnych nagłych zajęć ani rekrutów, w każdym razie do pojutra.

— Wspaniale! — wykrzyknął wikary.
— Wobec tego do zobaczenia

— mniej więcej za kwadrans siódma albo wcześniej, jeśli ci się uda.

— Postaram się być jak najwcześniej —
przysięgła.

Rozległ się szcęk odkładanej na drugim końcu linii słuchawki. Wielebny Richardson grywał w rugby po stronie Cambridge i jego nadmierna energia emanowała na wszystko, co robił.

Sybil podeszła do okna zobaczyć, jaka jest pogoda. Zeszłej nocy spadło trochę śniegu, a dzień był zbyt zimny, żeby śnieg stopniał. Letni czas 380

brytyjski został przedłużony o godzinę i niebo miało jeszcze barwę przyćmionego błękitu, lekko tylko przyprószonego gwiazdami, a wszystko pokrywała cienka warstwa bieli, dzięki

czemu obóz wyglądał niemal ładnie. Był podobny do obozu w Lincolnshire, gdzie kończyła podstawowe szkolenie: zbiorowisko parterowych baraków, z wyjątkiem tego jednego, który stał w bezpośrednim sąsiedztwie starej, ale pełnej życia miejscowości Melton Purvis.

Damy z Women's Voluntary Service* z Melton Purvis wspólnie z członkami kościoła parafialnego St. Jude's z całą powagą wzięły na siebie odpowiedzialność za setki żołnierzy i kobiet — chociaż tych ostatnich była tam zaledwie garstka — zakwaterowanych w pobliżu, traktując zbawianie ich dusz jako nader ważne zajęcie. W każdy

sobotni wieczór odbywały się tańce w wiejskiej sali zabaw, a amatorskie kółko dramatyczne zawsze dawało dodatkowe przedstawienie gratis. W niedzielę Sybil wybierała się obejrzyć Kota w butach — w Wigilię zorganizowano przyjęcie, a dzisiejszego wieczoru jeszcze jedno, połączone z koncertem w kościele, podczas którego miał śpiewać chór.

Gdyby ktoś dawniej powiedział Sybil, że pewnego dnia będzie śpiewać w chórze, roześmiałyby mu się w twarz; ale sześć miesięcy temu, niedługo po swoim przybyciu, kiedy trzymała się z dala od innych, nie chcąc powtórzyć błędów popełnionych na Malcie, opanowało ją uczucie bez-nadziejnej

nudy. Przysięgła sobie nigdy więcej nie zgadzać się na randkę, nie przyjęła już dwóch zaproszeń na wieczorne wyjścia — i oto miała do wyboru: albo spędzać wieczory na wysiadywaniu w kasynie oficerskim, albo na czytaniu we własnej kwaterze.

Żadna z tych możliwości nie była szczególnie nęcąca, a kiedy Sybil przeczytała na tablicy w wiejskiej sali zabaw wypisane na maszynie propozycje kulturalno-oświatowe, też mogła tylko wzruszyć ramionami: w poniedziałek pani Winifred Glendenning miała mieć odczyt o różach; we wtorek był przewidziany turniej gry w wista; w środę dyskusja na temat władz

lokalnych; w czwartek zebranie Stowarzyszenia Konserwatywnego; w piątek spotkanie klubu młodzieżowego. Sobotnie — zazwyczaj cotygodniowe — tańce były jednak dostępne dla wszystkich szczebli i często zdarzały się w ich trakcie awantury, dlatego kobiety oficerowie z zasady omijały szerokim łukiem owe imprezy.

* Women's Voluntary Service —
Ochotnicza Służba Kobiet.

381

Na samym dole programu widniał odręczny dopisek, który ktoś nabazgrał jak kura pazurem: „Szukamy pań do chóru w kościele St.

Jude's. Kontakt: Steve Richardson, w wikariacie", i numer telefonu.

Wreszcie coś w miarę sensownego... — pomyślała Sybil z westchnieniem, w gruncie rzeczy tylko trochę zainteresowana tą propozycją. Kiedyś śpiewała w szkolnym chórze i mówiono nawet, że ma wcale niezły sopranowy głos. Teraz miała jednak poważne obawy, że wszyscy w tym kościelnym chórze będą starzy jak świat.

Nic podobnego. Śpiewali tam ludzie we wszystkich przedziałach wieko-wych — od osiemnastu do osiemdziesięciu lat, i okazało się, że udział

w chórze był jedną z najlepszych decyzji

w życiu Sybil. Po paru tygodniach miała już całe mnóstwo przyjaciół, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, a ponieważ chór śpiewał zarówno przed rozpoczęciem najbardziej uczęszczanego nabożeństwa w niedzielę o jedenastej, jak również po jego zakończeniu —

a także w niedzielne wieczory — jej twarz stała się znana we wsi. Witano ją serdecznie na ulicach i w sklepikach, jakby tam mieszkała od urodzenia.

Nie była przyzwyczajona do takiej popularności i naprawdę ją to cieszyło.

Miała teraz czas, żeby się umyć i przebrać w czarną suknię, którą nosiła w chórze. Do kościoła mogła dojść

spacerkiem. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że kapral Tennant pozamykał magazyny i wywiesił napis „Zamknięte”. Uśmiechnęła się mimowolnie i już miała zamknąć swoje drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Zastanawiała się: odebrać czy nie. Postanowiła, że jednak lepiej będzie odebrać, bo a nuż dzwoni ktoś ważny; ucieszyła się, kiedy w słuchawce usłyszała głos Jonathana, swojego brata. Dzwonił, żeby jej życzyć szczęśliwego nowego roku.

— I tobie też! — Uśmiechnęła się szeroko do słuchawki. — Skąd dzwonicz?

— Jestem w domu jakiejś dziewczyny;

ma na imię Morąg. Wybieramy się na przyjęcie. Nigdy nie zgadniesz, dokąd...
— Zrobił dramatyczną pauzę. — Do wsi John O'Groats! *. Morąg zawiezie mnie tam furgonetką swojego taty.

— Mam nadzieję, że nie myślisz się tam żenić, bo mamusia chyba by się wściekła.

— Nic by mnie to nie obeszło, siostrzyczko. Morąg jest po prostu fantastyczna. Ma rude włosy jak Rita Hay worth i nieprawdopodobną figurę.

* John O'Groats — wioska w najdalej na północ położonym punkcie Szkocji, założona w 1496 roku przez Holendra Jana de Groota; obecnie liczy 300

mieszkańców.

382

— Jednak lepiej tego nie rób, wiesz? Dobrze ci radzę... — Poczowała lekki niepokój. Miał dopiero dziewiętnaście lat, był wyrosniętym uczniakiem ze świeżą cerą, i od niedawna się golił.

— Ech tam! Ona już ma chłopaka w wojsku... — Zaśmiał się jakoś smętnie. — Nie, jesteśmy tylko dobrymi kumplami. Dlaczego nie przyjechałaś do domu na Gwiazdkę? — spytał z wyrzutem. — Naprawdę mi ciebie brakowało. Nie zjawiałaś się też na swoich dwudziestych pierwszych urodzinach i mamusia musiała się

włączyć do przyjęcia dla Cary. Właściwie — rzucił z pretensją w głosie — nie widziałem cię od pogrzebu Marcusa.

— Dali mi tylko parę dni wolnego na Gwiazdkę, braciszku — skłama-

ła — sam rozumiesz, jak tylko dojechałabym do Liverpoolu, już musiałabym wracać. Bez sensu. A co do moich urodzin... W ogóle nie mogłam wyjechać, ale za to urządzili mi piękne przyjęcie na plebanii. — Gdyby pojechała do domu, musiałaby mieć urodzinowe przyjęcie razem z Carą.

„Wrześniowe dziewczynki”. Co za farsa!

— Jasne — zachichotał. — Przecież jesteś w chórze. Nie mogę sobie jakoś ciebie wyobrazić w roli chórzystki, siostrzyczko. Chciałbym cię kiedyś usłyszeć. — To zabrzmiało całkiem poważnie.

— Ja też bym tego chciała.

— No to, siostrzyczko, będę kończył. Obiecałem dać tacie Morąg pięć funtów za ten telefon i boję się, że chyba wydałem już nawet trochę więcej. Aha, chodzą słuchy, że w Nowy Rok wyślą nas do Indii, więc może rozmawiamy dziś po raz ostatni przed długą przerwą, a co dopiero mówić o spotkaniu! Ale nic nie wspominaj mamusi, dobrze? — rzucił

ostrzegawczo. — Tylko się zmartwi, a poza tym jeszcze nic nie wiadomo, może wcale tak nie będzie, chociaż trzymam za to kciuki!

— Słowa nie pisnę. — Wiedziała, że Jonathan od dawna marzył, żeby zobaczyć prawdziwe działania wojenne. — Uważaj na siebie, Jonathan, i życzę ci naprawdę szczęśliwego nowego roku.

— I ja tobie też, siostrzyczko. Spodziewam się, że masz tam u siebie dobrą pogodę, bo tutaj jest naprawdę strasznie.

Odłożyła słuchawkę. Poczwała nagle ogromny smutek. Nie miał pojęcia, jak

bardzo go kocha. I jak bardzo się o niego martwi — tak samo jak ich matka na samą myśl o tym, że mogliby go wysłać gdzieś daleko.

Godzinę później, kiedy szła po skrzypiącym śniegu w stronę kościoła, w futrze i długiej sukni z czarnego aksamitu, niosąc w torebce zamszowe pantofle, czuła się już trochę lepiej.

383

Była wojna.

Jedyne, co można było zrobić, to mieć nadzieję, że ty i twoi ukochani przetrwacie najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Gdyby pozwolić sobie na zastanawianie się nad przyszłością, z łatwością można by oszaleć.

Tyrone z kumplami zwiedzali wszystkie kluby i bary na Manhattanie, w każdym z nich próbując innego koktajlu, spłukiwanego zaraz potem kuflem piwa. Już zdążyli wywołać zamieszanie w jednym z barów, witając brytyjski Nowy Rok — żaden się nie pofatygował, żeby zmienić czas na swoim zegarku, i dlatego, ich zdaniem, rok 1942 już nadszedł, co uczcili chóralnym wrzaskiem, waleniem się po plecach i ściskaniem rąk. Po kilku godzinach zamierzali zrobić dokładnie to samo — wspólnie z obywatelami Nowego Jorku.

Kontrast pomiędzy Nowym Jorkiem a ich własnym, zaciemnianym nocą krajem nie mógł być doprawdy większy. Tu, w Ameryce, oczy aż ślepy od jaskrawych świateł neonów, zapalających się i gasnących, zmieniających bezustannie kolory, wysyłających wiadomości prosto do gwiazd.

Sklepy były jeszcze otwarte, a udekorowane świątecznie okna wystawowe rzucały blask na zatłoczone chodniki, na których przechodnie nie wahali się odepchnąć łokciem kogoś, kto im zagradzał drogę; nowo-jorczycy byli bardzo grubiańscy. Ze wszystkich wejść słychać było muzykę — kolędy

mieszały się z jazzem, a bluesy z big-bandami, ulubioną muzyką Tyrone'a; do tego dochodziła kakofonia dźwięków niekończącego się potoku aut i klaksonów kierowców, bezskutecznie usiłujących wydostać się z zakorkowanych ulic.

Tyrone już nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział w Anglii samochód z zapalonymi światłami.

Było w tutejszym powietrzu coś, jakaś dodatkowa energia, którą wiązał

z faktem, że Ameryka przystąpiła do wojny z Japonią i Niemcami. Wszyscy myśleli zapewne, że przez jakiś czas nie będzie już takiego samego Nowego

Roku jak zawsze, i dlatego starali się bawić jak najlepiej, dopóki było można.

Pomału przepychali się w stronę Times Square, gdzie zgromadziły się tysiące nowojorczyków, żeby radośnie witać nadejście kolejnego roku; ale wtedy Tyrone już opuścił kolegów i wszedł do klubu Zelinda, sali tanecznej, gdzie płaci się za dziewczęta, które z tobą tańczą, jeżeli wykupisz bilet za ćwierć dolara. Tyrone kupił już cały pęk biletów za Sadie, jego 384

nowojorską dziewczynę. Potem miał z nią pójść do jej mieszkania i mieli się kochać, za co Sadie nie brała nawet dziesięciu centów.

Sadie była niewysoką, ładną szatynką; bardzo przypominała mu Marię.

W gruncie rzeczy, jeśli będzie dostatecznie pijany w chwili, kiedy dotrze już do „Zelindy” (co było bardziej niż prawdopodobne), będzie właściwie tańczył z Marią; całował się z Marią, kiedy zegar wybije północ, a wreszcie kochał się z Marią w jakimś nędznym mieszkanku.

Chociaż kiedy obudził się rano, Marii nie było, a on leżał na łóżku wtulony w Sadie z rozmazanym makijażem i źle polakierowanymi paznokciami, trochę tylko podobną do jego utraconej na zawsze żony.

Colm uznał za niepokojące odgłosy hucznej zabawy, dobiegające z lokalu Railway Arms.

Do tej pory zawsze sam obchodził Nowy Rok w barze, ze znajomymi.

Mimo że nie należał do wielbicieli mocnych trunków, ta noc była jedną z niewielu, kiedy wracał na lekkim rauszu do domu na Shaw Street, gdzie zwykle jeszcze trwała zabawa, nawet jeżeli była tam tylko rodzina i kilkoro przyjaciół. Nie uważał za naturalne spędzanie tej wyjątkowej nocy w cichym mieszkanku w Kirkby z Lizzie i Bernardem, który miał już osiem miesięcy i teraz spał jak suseł w sypialni, mimo hałasów.

— Dlaczego tam nie wpadniesz i nie napijesz się z nimi? — zaproponowała Lizzie, odkładając książkę, jakby czytała w jego myślach. —

Wyglądasz na podminowanego.

— Wolałbym zostać z tobą i Bernardem — odparł — i napić się tutaj. — Wziął butelkę wina i napełnił kieliszki, chociaż nigdy nie był

amatorem win. Czerwone zawsze mu smakowało jak ocet, a białe niczym się nie różniło od lemoniady. Powinien był sobie kupić kilka butelek piwa.

Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślał...

— Udało mi się zdobyć kawałek szynki.
Zrób sobie kanapkę, jeśli chcesz.

— Może później.

Lizzie uśmiechnęła się do niego
promiennie i wróciła do lektury książki.

Po przeciwnej stronie ulicy śpiewano
We're Gonna Hang out the Washing on
the Siegfried Line*, kończąc piosenkę
gromkim wiwatem.

* We're Going to Hang Out the Washing
on the Siegfried Line (Wywiesimy nasze
pranie na Linii Zygfrida) — piosenka z
pierwszych lat II wojny światowej,
autorstwa Jimmy'ego Kennedy'ego z
Ulsteru.

Ogarnęła go melancholia. Colm zastanawiał się, jak też się bawią teraz w domu Eleanor — Cara mu o tym powiedziała, kiedy przyszedł obejrzeć jej nowe dziecko, Seana. Przyjęcia u Eleanor nigdy nie były tak hałaśliwe jak te, na których on bywał, ale wszyscy się tam zawsze dobrze bawili.

Co nie znaczy, że Lizzie nie lubiła przyjąć, ale teraz mieli małego synka i imprezy były surowo zabronione, aż mały dorośnie na tyle, żeby można go było zostawiać z opiekunką. Jeśli Colm czuł się obecnie trochę poza nawiasem, to tylko z własnej winy, bo został ojcem w takim wieku, kiedy miał już wnuki.

— Pójdę zobaczyć, czy Bernard śpi... —
Wszedł do sypialni, podniósł

zasłonę i wyjrzał przez okno. Gdyby nie ten hałas, bar Railway Arms ze szczelnie zaciemnionymi oknami i drzwiami, tak że nigdzie nie przenikała nawet odrobina światła, można by uważać za opuszczony. Z mroku wyłoniło się dwóch mężczyzn, podtrzymujących się nawzajem i śpiewających bełkotliwie Run, Rabbit, Run Rabbit, Run, Run, Run. Patrzył za nimi, aż zniknęli za rogiem, potem opuścił zasłonę, zapalił lampkę nocną i spojrział na synka, śpiącego jak suseł w swoim łóżeczku. Kiedy Bernard będzie

już dość duży, żeby mieć własny pokój, będą musieli sobie znaleźć większe mieszkanie.

Ćwierć wieku temu patrzył tak samo na swoich synów, których urodziła mu Brenna. Mieszkali wtedy w Irlandii i byli biedni jak myszy kościelne, a przyszłość nie zapowiadała zmian na lepsze, póki nie wygrał dziesięciu funtów w totalizatora i nie pociągnął go do siebie Liverpool i jego pechowy brat Paddy.

Opanowało go jeszcze więcej wspomnień: jak szukał policjanta tej pierwszej nocy w Liverpoolu, kiedy urodziła się Cara. Znalazł wtedy Brennę z dziećmi w domu na Parliament

Terrace. Kto mógłby pomyśleć, że pewnego dnia Cara zostanie właścicielką tej wspaniałej rezydencji, w której się urodziła? Życie było dziwne, tak dziwne, że czasami go to przerażało.

W tamtych czasach nigdy mu się nawet nie śniło, że nadejdzie dzień, w którym przestanie kochać Brennę i obdarzy uczuciem inną kobietę.

Brenna była zawsze taka dzielna i dobra. Naprawdę poczuł — zupełnie bez sensu — pewien ból, kiedy tak spokojnie przyjęła kres ich małżeństwa, nawet bez słowa protestu. Znów zachciało mu się płakać na myśl, że już go nie kocha,

podobnie jak Fergus i Tyrone; żaden z nich się nie pokazał

od maja, kiedy Colm odszedł z domu. Nie wiedział nawet, że Tyrone zgłosił się na ochotnika do Marynarki Handlowej; dopiero Cara mu o tym powiedziała.

386

Bernard cichutko zapłakał, jakby miał zły sen.

Colm pogłaskał go po buzi i szepnął: Wszystko dobrze, synku. Bernard był krzepkim, ładnym chłopczykiem, spokojnym i samodzielnym, jak jego matka. Nigdy nie robił wokół siebie

zamętu.

Drzwi się otworzyły i weszła Lizzie; wzięła Colma za rękę i zaprowadziła do saloniku. Tam popchnęła go na fotel i usiadła mu na kolanach.

— Tęsknisz, kochanie?

— Tak — przyznał Colm.

— Nie martw się, to zupełnie naturalne. Nie możesz oczekiwać, że wyrzucisz z głowy i z serca wszystko, co było przedtem, zwłaszcza w taką noc jak ta. Myślisz o Brennie i o dzieciach?

Colm skinął głową.

— Coś ci powiem — ciągnęła Lizzie, całując go w czubek nosa. —

Będziemy obchodzić Nowy Rok w łóżku, dużo lepiej — i ciekawiej niż w tym rozwrzeszczanym barze pełnym pijaków.

Colm ponownie przytaknął.

Jeśli kiedykolwiek miał wątpliwości, czy postąpił właściwie, porzucając Brennę dla Lizzie, wystarczyło, że Lizzie zrobiła coś takiego jak teraz, a wątpliwości natychmiast zniknęły.

W pierwszym momencie Eleanor wzięła ten dźwięk za dzwonienie budzika; zaraz sobie jednak przypomniała, że wcale go

nie nastawiała, bo kiedy zabawa się skończyła i wszyscy wyszli, a ona się położyła, było już koło czwartej nad ranem, więc chciała dziś dłużej poleżeć. Zegarek, który nie dzwonił, pokazywał za pięć dziewiątą, a dzwonił dzwonek u drzwi frontowych.

— A niech to! — mruknęła, wygrzebując się z łóżka. Sięgnęła po szlafrok — i zachwiała się lekko. Zeszłej nocy tyle wypła, że miała teraz nielicznego kaca. Przyjęcie naprawdę się udało, wszyscy chyba dobrze się bawili. Oliver zaprosił paru kolegów z pracy, przyszli wszyscy Caffreyowie — to znaczy ci, którzy byli w mieście. Fergus pojawił się z nową dziewczyną, na Boże

Narodzenie chodził jeszcze z inną. Cara wymknęła się tuż po północy, żeby złuzować Nancy, która została ze wszystkimi dziećmi, więc Nancy zjawiała się na przyjęciu najpóźniej.

Na dole panował nieopisany rozgardiasz: szklanki, butelki, kieliszki i talerze stały porozstawiane w całym mieszkaniu. Brenna ofiarowywała 387

się nawet, że przed wyjściem posprząta, ale Eleanor tylko machnęła ręką i wypchnęła ją za drzwi, mówiąc, że rano sama to zrobi.

— To może przyjdę ci pomóc — zaproponowała Brenna.

— Naprawdę nie trzeba, Bren. Oliver mi pomoże.

Brenna nie umiała dłużej pospać, nawet w Nowy Rok. Jeśli to rzeczywiś-

cie ona, to znaczy, że przyszła jej pomoc, zgodnie ze swoją obietnicą.

A w takim razie... Eleanor mogłaby wrócić do łóżka i pozwolić jej działać.

Ale to nie była Brenna. W drzwiach stał wysoki mężczyzna w mundurze Lotnictwa Morskiego. Eleanor zamrugła powiekami — słońce ją raziło.

— Pani Allardyce? — spytał mężczyzna

uprzejmie, ale bez uśmiechu.

— Tak — odparła Eleanor.

— Porucznik Palfrey. Czy mogę wejść? Obawiam się, że przynoszę raczej złe wiadomości.

— Jonathan! — Kac zniknął w jednej chwili i Eleanor była już cała zwarta i gotowa. Serce jej biło jak młotem. — Czy coś się stało Jonathanowi?

Został ranny? Na litość boską, proszę mówić!

— Wolałbym, żeby pani przedtem usiadła, pani Allardyce.

Wszedł do holu i wziął ją za ramię, po czym zaprowadził do salonu, gdzie niemal upadła na kanapę. Porucznik rozluźnił uścisk i usiadł obok.

— Mniej więcej godzinę temu miałem telefon z naszej bazy w Thurso

— mówił łagodnie. — Zeszłej nocy zdarzył się wypadek. Zdaje się, że jakaś dziewczyna zabrała Jonathana na przyjęcie furgonetką swojego ojca.

Pogoda była fatalna, wiało potężnie, jakieś dziesięć w skali Beauforta, a furgonetka musiała akurat przejeżdżać przez most, kiedy trafiła na bardzo silny podmuch i... spadła do wody. Znaleźli ją dopiero o świcie.

Jonathan i dziewczyna nie żyją. Utonęli.

Położył rękę na dłoni Eleanor i ścisnął ją lekko.

— Tak mi przykro, pani Allardyce.

— Ale... ja myślałam, że tam, w tej Szkocji, jest bezpieczny — wyszeptała Eleanor. Nagle zaniósła się krzykiem, jakby żałobnym lamentem, który jej dźwięczał w uszach, a z oczu płynęły łzy. Jak będzie mogła teraz żyć bez Jonathana?!

Wszedł Oliver.

— Eleanor, kochanie, co się u licha stało?

Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jonathan nie żyje. Och, Oliver! Chciałabym umrzeć!

Oliver ucałował ją w czoło, ale nie potrzywał jej w ramionach.

388

— Chryste, co za okropność... Słuchaj, kochanie, dam ci kroplę whisky i raz-dwa zrobię herbatę. — Wyszedł, zostawiając Eleanor z bezradnie opuszczonymi rękami.

— Nie chcę niczego, niczego... — jęknęła. Stała na środku pokoju,

kompletnie zagubiona, złamana bólem i tak strasznie samotna. Jonathan, jej ukochany synek, nie żył.

Porucznik Palfrey wstał z kanapy. W oczach miał wielki smutek, jakby to on stracił własne dziecko.

— Zostawiam panią z jej żalem, pani Allardyce. Jeszcze jedno... Czy chciałaby pani, żeby pogrzeb odbył się w Liverpoolu czy w Szkocji?

Proszę wybaczyć, że tak zaraz o to pytam, ale musimy wiedzieć.

— W Szkocji, proszę.

— Jesteś pewna, że to rozsądne,

kochanie? — Oliver wrócił ze szklanką whisky, której nie przyjęła; picie nic by nie dało. — To strasznie długa podróż.

— Chcę zobaczyć, gdzie zginął — szlochała. — Chcę porozmawiać z matką tej dziewczyny, która zginęła razem z nim. — Poszłaby na koniec świata dla swojego najdroższego syna.

Porucznik ujął jej dłoń w obie ręce; były ciepłe i przynosiły ulgę.

— Załatwię dla pani transport. Mam pani numer telefonu i jeszcze dziś po południu zadzwonię, obiecuję.

Podczas gdy Oliver wyprowadzał porucznika, Eleanor wbiegła na górę do

sypialni i narzuciła na siebie ubranie.

— Dokąd idziesz, kochanie? — spytał Oliver, kiedy minutę później zeszła na dół.

— Zobaczyć się z Nancy. Muszę koniecznie zobaczyć się z Nancy.

Pragnęła, żeby ktoś wziął ją teraz w ramiona, i nagle dotarło do niej, że nie może tego oczekiwać od Olivera. Ich wzajemny stosunek był płytki i dla niego znaczył nawet mniej niż dla niej.

Krajobraz był równie posępny jak Eleanor. Wszystko miało szarą barwę: woda, niebo, wiejskie domki przy plaży — rzut kamieniem od spienionych,

kłębiących się fal Morza Północnego, które rozбивały się o szare i urwiste skały. Jak można tu w ogóle żyć... — zastanawiała się Eleanor — w miejscu tak odciętym od reszty świata?

Służbowy samochód zakręcił i domki zniknęły jej z oczu; pozostało jednak morze, wzburzone fale, jakby rozwścieczone. Jechali dalej krętą nadbrzeżną drogą — gniewne morze 389

mieli po lewej, a jałowy pejzaż po prawej stronie; od czasu do czasu mijali jakiś samotnie stojący dom.

Eleanor jechała na spotkanie z Hectorem Ingramem, ojcem Morąg, która w noc sylwestrową zginęła razem z Jonathanem. Nie był miejscowy;

przeniósł się w te strony dwadzieścia lat temu, kiedy Morąg była jeszcze malutka. Jego żona wytrzymała tam tylko kilka lat i wróciła do Glasgow.

Niedługo potem się rozwiedli, ona wyszła powtórnie za męża; policja nie była w stanie wpaść na jej trop. Mieli dwóch synów — jeden był w piechocie, drugi w lotnictwie. Obaj byli żonaci i każdy miał dziecko.

Wszystko to Eleanor usłyszała od Jenny Waters, ładnej wrenki, która prowadziła samochód i miała za zadanie zająć się Eleanor podczas jej pobytu w tej samotnej dziczy na północy Szkocji. Po widzeniu się z Hectorem Ingramem

miała obejrzeć most, gdzie zginął Jonathan.

To Jenny zarezerwowała Eleanor pokój w hotelu w Thurso. Eleanor prosiła, żeby zarezerwować jeszcze jeden pokój dla jej córki.

— Przyjedzie później, dziś albo jutro, kiedy tylko będzie mogła.

Z tego wszystkiego całkiem zapomniała o Sybil, o tym, że pewnie chciałyby być na pogrzebie Jonathana, i dopiero Nancy jej przypomniała.

— Ty jej o tym powiedz, proszę — żałośnie błagała Eleanor. — Ja po prostu nie jestem w stanie.

— Ależ oczywiście, złotko.

Jak zawsze Nancy była dla niej parą silnych rąk i ramieniem, na którym można się wypłakać. Brenna była tak zrozpaczona, jakby Jonathan był jej własnym synem, a Cara szykowała nieprawdopodobne ilości filiżanek herbaty i była uosobieniem współczucia i zrozumienia. Nawet Fielding, zwykle taka niepoważna, rozplakała się na tę wiadomość.

— Był takim uroczym facetem — szlochała. — Tak świetnie się bawiliś-

my na Gwiazdkę! A kiedy następnym razem przyjechał do domu, poszliśmy razem do kina. Dlaczego życie jest takie

okrutne?

Spojrzała na Nancy, jakby oczekując od niej odpowiedzi, ale Nancy tylko potrząsnęła głową skonsternowana.

— Nie wiem, złotko.

Jonathan miał być pochowany pojutrze, na małym, nieogrodzonym cmentarzu przy jakimś kościele, o którym Eleanor nigdy nie słyszała. Ale wyznanie w ogóle jej nie obchodziło. Powiedziała do Jenny:

— Nigdy nie czułam się związana z Kościołem, z wyjątkiem ślubów i chrzcin. I pogrzebów... — dodała, przypomniawszy sobie, że minęło 390

zaledwie dziewięć miesięcy od śmierci Marcusa. Czy gdyby w każdą niedzielę chodziła do kościoła i modliła się za duszę swojego najdroższego syna, Jonathan nadal by żył? Nie — zdecydowała. To by niczego nie zmieniło. Brenna była żarliwą katoliczką, można by rzec, iż mieszkała w kościele, ale to nie uratowało życia Marii ani Mike'a.

— Kim jest ten Hector Ingram? — spytała siedzącej za kierownicą Jenny. Tak jakby ją to interesowało, jakby obchodziło, co robi ten człowiek.

Ot, po prostu prowadziła zdawkową rozmowę — głównie ze względu na Jenny; bo przecież teraz, kiedy Jonathan

nie żył, nic już nie miało znaczenia.

— To rzeźbiarz, ale nie taki zwyczajny. Zdaje się, że spawa ze sobą kawałki metalu. Nigdy o nim nie słyszałam, dopiero... — Jenny przerwa-

ła. — No, dopiero kiedy się to wydarzyło. Postarałam się o nim dowiedzieć wszystkiego, co tylko możliwe.

— Nie będzie mu przeszkadzało, kiedy się tak zjawię... ni stąd, ni zowąd?

— Czeka na panią — zaskoczyła ją Jenny. — Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak zadzwonię i sprawdzę, czy panią przyjmie. Mieszka zaraz za

zakrętem.

Po paru chwilach samochód skręcił na błotnisty podjazd i zatrzymał

się przed ponurym jednopiętrowym domem, z dachem pokrytym gontem.

— Zostanę tu — oświadczyła Jenny. —
Lepiej, żeby się z nim pani spotkała w cztery oczy.

Eleanor drżała, podchodząc do drzwi frontowych. Nawet futro z piż-

mowców, obszyte futerkiem boty i wełniany szal na głowie nie chroniły dostatecznie przed lodowatym wichrem, który przenikał ją do szpiku kości. Już

miała zapukać, kiedy drzwi otworzył mężczyzna, szczupły i niezbyt wysoki, z krótko ostrzyżonymi brązowymi włosami i blizną na szczupłej, opalonej twarzy. Blizna zaczynała się tuż pod lewym okiem i biegła aż do szczęki; wyglądała jak od cięcia brzytwą przed wielu laty.

Miał na sobie grube sztruksowe spodnie i czarny sweter. Mimo szczupłej sylwetki wyglądał na niezmiernie silnego.

— Proszę wejść, pani Allardyce — powiedział szorstko. Nieprzyjazne spojrzenie, które jej rzucił, sprawiło, że Eleanor cofnęła się odruchowo.

— Dziękuję. — Weszła do długiego, przytulnie umeblowanego i raczej nieporządnego pokoju z kominkiem, na którym płonęły polana, z tatarakiem w wazonie stojącym na gzymsie nad kominkiem i całym mnóstwem 391

obrazów na ścianach. Przez okno zobaczyła ogród z kilkoma wielkimi drzewami, porządnie utrzymanym trawnikiem otoczonym gęstym zielonym żywopłotem i długą szopą, w której niewątpliwie Hector Ingram rzeźbił.

Pod jednym z drzew leżała kupka czarnej ziemi, a obok na trawie łopata. Gwałtownie, ostro wciągnęła powietrze, zrozumiała bowiem, że tutaj właśnie będzie pochowana jego córka.

Nagle poczuła, że zrobiło się jej gorąco. Ogień parzył jej stopy, pod pachami czuła kleisty pot.

— Pięknie i ciepło tu u pana. Pozwoli pan, że zdejmę płaszcz?

— Proszę bardzo. — Wzruszył ramionami. — Szczerze mówiąc, pani Allardyce, nie wiem, po co pani tutaj przyjechała. Nie chciałem odmawiać, kiedy ta dziewczyna zadzwoniła i spytała, czy może pani przyjechać i zobaczyć się ze mną, ale chyba nie powinienem się na to godzić.

Jego szkocki akcent był tak wyrazisty, a głos tak mrukliwy, że z trudem

rozumiała, co mówił.

— Po prostu dlatego, że to było ostatnie miejsce, w którym Jonathan był przed śmiercią — wybąkała. Nie zdjęła płaszcza, tylko rozluźniła szalik. Nie proponował jej, żeby usiadła. Stał przy drzwiach ze skrzyżowanymi rękami, jakby już się nie mógł doczekać, żeby wyszła. — Chciałam tylko zobaczyć, jak to było, dowiedzieć się, co mówił, jakiego rodzaju był

jego związek z pańską córką.

— Byli po prostu kolegami — odparł krótko. — Morąg miała chłopca, właściwie... prawie narzeczonego, który jest w wojsku. Pani syn zatrzymał

się tu tylko na kilka minut i spytał, czy może zatelefonować. zaproponował, że zwróci mi pieniądze, ale nie chciałem.

— Wie pan, do kogo dzwonił? —
Poczuła się zraniona, że nie dzwonił do niej, do matki.

— Nie pytałem.

— Czy ma pan może zdjęcie Morąg, które mogłabym dostać?

Nagle stracił panowanie nad sobą.

— Mam ich bardzo dużo, ale nie dla pani! — wychrypiął z płonąącym wzrokiem. — Oni nie żyją! Morąg nie

żyje, pani syn nie żyje i za cholere nie rozumiem, po co pani chce wiedzieć to czy tamto! Jakie to ma znaczenie?

Odeszli i nigdy ich już nie zobaczymy.

To ma znaczenie! I to jest wszystko, co ma znaczenie, a nie te tam — zrobił gniewny gest ręką

— różne głupoty!

— Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

392

Eleanor pobiegła do drzwi; łzy zalewały jej oczy. Wciąż miała włożone rękawiczki i nie mogła przekręcić gałki. Hector Ingram szybko jej otworzył

i ledwie wyszła na zewnątrz, drzwi z hukiem się za nią zamknęły.

— Nie była tam pani zbyt długo — zauważyła Jenny, kiedy Eleanor usiadła na tylnym siedzeniu auta. Wcześniej siedziała na przednim, które wydawało się jej bardziej przyjaznym miejscem — skłaniającym niejako do nawiązania rozmowy z kierowcą — ale teraz miała w nosie tę komi-tywę. Jenny zapaliła, wóz ruszył, po chwili jednak stanął.

— Nadal chce pani pojechać na ten most, gdzie zdarzył się wypadek, Eleanor? — spytała Jenny spokojnie, nie odwracając głowy.

— Wolałabym nie... W każdym razie nie

teraz. Wolałabym wrócić do hotelu i położyć się. Pani może wrócić do bazy, dziś nie będę już nigdzie jeździć.

Uderzyło ją, jakie przykre musi być dla tej dziewczyny to zadanie: towarzyszyć kobiecie, która właśnie straciła syna, wieźć ją do tych żałosnych miejsc.

— Mogę z panią zostać, jeżeli pani zechce.

— W porządku, kochanie. Nie wiem, czy moja córka wkrótce nie przyjedzie.

— Dam pani mój numer do bazy na wypadek, gdyby chciała pani z kimś porozmawiać.

— Dziękuję.

Eleanor przymknęła oczy i nie rozmawiały już ze sobą do chwili, kiedy Jenny odwiozła ją do hotelu.

Była w jaskini, do której wlewało się lodowate morze, fala za falą.

Ściany jaskini były gładkie, nie można się było nigdzie wdrapać ani uciec, a z każdą falą woda podnosiła się coraz wyżej i wyżej, aż sięgała jej do pasa, do piersi, do szyi... teraz już musiała ją połykać. Nie pamiętała, jak się pływa, i wiedziała, że następna fala będzie ostatnią, a ona utonie.

— Pomocy! — krzyknęła. — Niech mi

ktoś pomoże!

— Pani Allardyce! — Głos dochodził gdzieś z bardzo daleka, skądś spoza jaskim. — Pani Allardyce. Wszystko w porządku. Proszę otworzyć oczy.

Eleanor posłusznie otworzyła oczy i zobaczyła, że jest w swoim pokoju, w hotelu, a nad nią pochyła się Hector Ingram. Trzymał dłonie na jej ramionach, przyciskając ją do łóżka.

393

— Miała pani koszmarne sen — powiedział. — Usłyszałem zza drzwi pani krzyk. — Cofnął się. Twarz miał posępną, niewyrażającą żadnych uczuć.

Był ubrany w budrysówkę i gruby wełniany kapelusz, który spadał

mu na uszy, przez co wyglądał trochę złowrogo.

— Topiłam się — stęknęła, siadając na łóżku, ciągle jeszcze bez tchu po rozpaczliwej walce z falami — i wołałam, żeby mnie ktoś ratował.

Czy to znaczy, że nie chcę umrzeć?
Kiedy usłyszałam, że Jonathan nie żyje, chciałam tylko jednego — umrzeć.

Twarz mu się zachmurzyła, a oczy zabłysły żalem.

— Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy mi

powiedzieli, że Morąg nie żyje, też chciałem umrzeć — i dalej tego chcę.

Eleanor westchnęła.

— Ale pan nie może tak po prostu umrzeć, żadne z nas nie może. Ma pan inne dzieci, podobnie jak ja, i musi pan dla nich żyć.

— Łatwiej powiedzieć, trudniej wykonać. — Ze znużeniem skinął

głową. — Proszę pani, przyszedłem panią przeprosić za dzisiejszy ranek.

Nie powinienem być takim gburem. Szczerze mówiąc, nie chciałem pani widzieć. Tak, nie chciałem sobie

przypominać tamtej nocy, kiedy zginęła Morąg, a pani tylko o tym chciała rozmawiać.

— I ja przepraszam. Nie powinnam przychodzić do pana. Myślę, że każdy reaguje inaczej na śmierć kogoś bliskiego. Ja chciałam pójść po śladach Jonathana... i myślałam, że pan chce tego samego. To było głupie z mojej strony.

— Niebo za oknem przybrało barwę zgniłej zieleni. Sięgnęła do lampy nad głową, ale Hector Ingram podniósł ostrzegawczo rękę, żeby zaczekała — i najpierw zaciągnął zasłony.

— Nie pomyślałam, że już czas na zaciemnienie. Spałam chyba parę godzin. — Zapaliła światło i zsunęła się

z łóżka. Zanim się po-

łożyła, zdjęła wprawdzie ciepłe boty, ale ciągle jeszcze miała na sobie futro, ponieważ pokój nie był ogrzewany i marzła. — Chyba już pora kolacji.

— Może pani jeść? — W jego głosie brzmiało zdumienie.

— Nie, ale w restauracji jest ciepło i zamawiam czajnik herbaty, a potem drugi zamiast posiłku. Nie jadłam od...

— przerwała, nie chcąc mówić niczego, co by mu sprawiło ból.

— Ja też nie. Pozwoli pani, że wypiję ten czajnik herbaty z panią, pani Allardyce? Nie mam ochoty wracać

teraz do pustego domu. — Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego. Silny mężczyzna, złamany utratą dziecka. — To już nie jest ten sam dom.

394

— Oczywiście, że się zgadzam — odparła. Była zadowolona, że odłożyli na bok różnice zdań i już wiedzą, co czuje to drugie. Musiał być jakiś powód, dla którego teraz wołała towarzystwo Hectora Ingrama bardziej niż kogokolwiek innego na ziemi. Spojrzała na niego nieśmiało.

— Musisz mnie nazywać Eleanor...

— Jestem Hector — odpowiedział.

Sybil przyjechała następnego ranka. Podróż zajęła jej dwie noce i jeden dzień. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Mamusiu! — Objęła Eleanor i wybuchnęła płaczem. Eleanor nie pamiętała, żeby jej córka kiedykolwiek płakała od czasu, gdy była małą dziewczynką. — To takie straszne! On do mnie dzwonił w sylwestra i powiedział, że jedzie na przyjęcie furgonetką jakiejś dziewczyny i że pogoda jest okropna. Może powinnam była mu to wyperswadować? Ale on przecież i tak by mnie nie posłuchał, prawda?

— Na pewno nie, kochanie. — Gładziła Sybil po plecach, czując w sercu żal, że

Jonathan wolał zadzwonić w przeddzień Nowego Roku do siostry niż do matki.

— Nie wolno ci się o nic obwiniać, nigdy. Ale powiedz mi, proszę, co ci mówił, powtórz każde słowo. Chodź, pójdziemy do baru i napijemy się czegoś. Wolisz kawę czy herbatę? Och, jak to miło, że przyjechałaś!

— Poproszę o kawę. Czarną. Pomoże mi utrzymać się na nogach.

Kiedy pogrzeb?

— Jutro.

Jutro już będzie po wszystkim. Eleanor wróci do Liverpoolu, zostawiając Jonathana samego na małym cmentarzyku

i wiedząc, że nigdy więcej już go nie zobaczy.

Jenny odwiozła Eleanor do domu. Wyruszyły jeszcze przed świtem i po południu dotarły do Manchesteru, gdzie Jenny wysadziła Sybil na stacji, skąd ta miała pojechać dalej do Suffolk. Pociąg londyński przyszedł

mniej więcej po godzinie, w dodatku Sybil miała szczęście i znalazła miejsce siedzące. Podróż zdawała się jednak ciągnąć bez końca. Pociąg bardzo często stawał, wsiadało coraz więcej pasażerów, wreszcie panował

taki ścisk, że ledwie można było oddychać. Powietrze było gęste od dymu

papierosowego i odoru potu. W takich pieskich warunkach nawet myśl 395

o przeciśnięciu się przez wszystkie te ciała do toalety albo marzenie o czymś gorącym do picia były tylko stratą czasu.

Kiedy dojechała do Londynu, było już bardzo późno i zupełnie ciemno.

Nie miała pewności, czy uda się jej złapać taksówkę na Liverpool Street Station, a metro było załadowane ludźmi wracającymi z teatrów i kin.

Ludźmi, którzy w przeciwieństwie do Sybil wyglądali na zadowolonych ze spędzonego czasu. Po dojechaniu na Liverpool Street Station była półżywa,

na domiar złego okazało się, że ostatni pociąg do Ipswich (najbliższa stacja do Melton Purvis) już odszedł. Psiakrew, będzie musiała pojechać do Colchester i stamtąd łapać autobus.

Pociąg włókł się niemiłosiernie, nic dziwnego więc, iż dochodziła pierwsza w nocy, kiedy znalazła się wreszcie na zaciemnionej stacji. Garstka pasażerów z pociągu zniknęła, jakby zmieciona ze świata czarodziejską różczką. Ani śladu bufetu. Nie miała pojęcia, gdzie szukać autobusu, ani nawet mglistego wyobrażenia, w jaki inny sposób dotrze do Melton Purvis.

Gdyby miała trochę oleju w głowie, zostałaby w Londynie i przespała tę noc

w hotelu! Szkoda, że tak późno na to wpadła... Przecież nie musiała się spieszyć — z tygodniowego urlopu pozostał jej jeszcze cały dzień.

Kłopot w tym, że umysł miała tak zamroczony żalem, iż z wielkim trudem mogła zebrać myśli.

Udało jej się znaleźć nieoświetloną poczekalnię przy toalecie dla kobiet.

Wyciągnęła się na ławce, wiedząc, że i tak nie zaśnie. Nie było takiej możliwości... Ostatnie sześć dni to był najgorszy okres w jej życiu, o wiele, wiele gorszy niż Malta, gdzie też różnie się przecież działo. A czasem —

po prostu fatalnie.

„Jak to miło, że przyjechałaś”,
powiedziała matka, tak jakby Sybil
przyjechała nie dlatego, że miała
złamane serce z powodu śmierci brata,
ale po to, żeby było „miło”.

Spodziewała się, że będą dla siebie
pociechą i oparciem, tymczasem matka
zdążyła już spotkać tego typa w stroju
włóczęgi i z twarzą zbója, który okazał
się ojcem dziewczyny, która zginęła.
Wszystko wskazywało na to, że znają się
jak łyse konie.

— Każde z nas już wie, co czuje drugie
— popłakiwała matka.

A co z moimi uczuciami? Sybil miała ochotę krzyczeć na cały głos.

Będę tęsknić za Jonathanem do końca życia, ale chyba nikogo nie obchodzi, jak bardzo teraz cierpię.

Na cmentarzu Sybil nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest na najdalszym krańcu świata, a kiedy spuszczano trumnę do grobu, wyobraziła 396

sobie w niej swojego młodszego braciszka z jego twarzą cherubinka i zawsze radosnym uśmiechem i poczuła, że krtań jej się ściska, aż wydała zduszony jęk. Usłyszała, że matka jęknęła tak samo, przysunęła się do niej szybko, chciała ją objąć ramieniem, ale

ten zbój był pierwszy —

i Eleanor wyplakiwała swój żal w jego
mankiet!

Nazajutrz matka poszła na pogrzeb jego
córkę — pochował ją w głębi ogrodu,
przy domu — ale Sybil została w hotelu.
Czuła, że nikt jej tam nie chce.

Właściwie wolałaby zostać w Melton
Purvis i tam opłakiwać brata. Mogła
poprosić wielebnego Richardsona o
krótkie nabożeństwo w St. Jude's. Tam
przynajmniej byłaby wśród przyjaciół,
którzy by się o nią martwili i pocieszali
jeden przez drugiego, a chór
zaśpiewałby Jonathanowi kołysankę
przed jego ostatnim, długim snem.

Nawet w drodze do domu matka działała jej na nerwy. Hołubiła jakąś rzeźbę, którą ten zbój jej podarował — trzy patykowate figurki trzymające się za ręce, prymitywnie wyrzeźbione. Owo „dzieło sztuki” miało wyobra-

zić jego dzieci, a to najmniejsze to była Morąg, dziewczyna, która zginęła.

— To była pierwsza rzecz, jaką wyrzeźbił — pochlipywała mamusia. — Czuję się naprawdę zaszczycona, że mi ją podarował. Zachowam to do końca życia.

Kiedy tylko Sybil dostrzegła pierwsze blaski dnia przebijające spod drzwi poczekalni, poszła na peron i czekała na

pociąg do Ipswich.

Przyszedł po kilku minutach, a kiedy dojechała do stacji, służbowy samochód akurat wysadzał pasażerów, którzy odjeżdżali, i kierowca podwiózł ją do obozu. O wpół do ósmej Sybil leżała już w łóżku na kwaterze, nieobecna dla świata.

Następnego ranka po wzięciu prysznic, wypiciu czegoś gorącego i zjedzeniu grzanki czuła się o wiele lepiej, ale tylko fizycznie — mózg miała w dalszym ciągu zmacony szokiem z powodu nagłej śmierci Jonathana i koszmaru, jakim był dla niej jego pogrzeb. Zastanawiała się, czy zdoła kiedykolwiek wybaczyć matce taką — zgoła nie matczyną —

obojętność wobec jej bólu. Bądź co bądź, zostały tylko one dwie, jeśli nie liczyć Anthony'ego, który jednak chyba na dobre zapomniał o rodzinie.

Szła w słabym, cytrynowym blasku słońca w kierunku magazynów.

Otworzyła drzwi swojego biura i zastała siedzącego za biurkiem żołnierza, którego nigdy w życiu nie widziała. Wyglądał na pięćdziesiąt lat i musiał być zawodowym wojskowym.

397

— Dzień dobry, sierżancie —

powiedziała na przywitanie,
zauważywszy trzy paski na jego kurtce.
— Już przejmuję sprawy — dodała.

Mężczyzna podniósł się i zasalutował.

— Dzień dobry, madame. — Był chyba
zaskoczony jej widokiem. —

Nie rozmawiała pani jeszcze z majorem
Frenchem?

— A powinnam? — Uznała, że sierżant
zastępował ją na czas jej nieobecności.

— Chyba ma dla pani nowe zadania,
madame. Teraz ja zostałem wyznaczony
do zajmowania się magazynami.

A niech to diabli! Podobała jej się praca w magazynie. Było to odpowiedzialne zajęcie, a ona wykonywała je bardzo solidnie; jedynym minusem była wiecznie ponura gęba kaprała Tennanta.

— Jak się masz, Allardyce? — grzecznie spytał major French dziesięć minut później, kiedy już siedziała w jego biurze.

Był wysokim mężczyzną o wyglądzie sportowca. Przed wojną zaliczano go do drugoplanowych gwiazd tenisa, prócz tego był prawnikiem i członkiem Ochotniczej Rezerwy Królewskich Sił Zbrojnych; to ostatnie było powodem, dla którego powołano go jeszcze przed wybuchem wojny. Był

popularny i lubiany.

— Przykro mi z powodu twojego brata.

— Dziękuję, sir. Można by rzec, że się jakoś trzymam, tak sądzę, a w każdym razie próbuję.

— Tylko tyle możemy zrobić, nieprawdaż? Próbować. A propos, w sylwestra byłem w kościele St. Jude's. Chór naprawdę pięknie się spisał, Allardyce.

Sybil podziękowała lekkim skinieniem głowy. Sylwester był zaledwie siedem dni temu, a jej się wydawało, że od tego czasu minęło siedem lat.

Major French przerzucił papiery na biurku.

— Podejrzewam, że chór będzie bardzo za tobą tęsknił.

— Tęsknił?!

To znaczy, że wysyłają ją na inne stanowisko, gdzie znów nie będzie nikogo znała. Serce jej stanęło. Zawsze miała problem z zawieraniem nowych znajomości, nawiązywaniem przyjaźni. Melton Purvis było wyjątkiem potwierdzającym regułę i to ona będzie bardzo tęskniła. Nie wiadomo dlaczego przyszła jej na myśl Cara w obozie w Lincolnshire. Wszyscy ją tam lubili i ze wszystkimi się przyjaźniła.

— Dokąd mnie posyłają, sir? — spytała.

398

- Do Bombaju, Allardyce. Jak wiesz, Japończycy właśnie podnieśli swoje paskudne małe łebki i dlatego intensywnie rozbudowujemy naszą bazę w Indiach - nie wiadomo, gdzie uderzą w tamtym rejonie. Lada chwila wpadnie im w łapy Singapur, a teraz wkroczyli do Birmy. Już wszystko zarządzane, żebyś mogła jutro wyjechać. - Przez chwilę patrzył

tęsknie przed siebie. — Naprawdę bardzo bym chciał móc z tobą pojechać.

Nie wstąpiłem do wojska, żeby

przerzucać papierki. Do chrzanu z taką robotą... Dałbym wszystko, żeby uczestniczyć w jakichś działaniach!

- Dokładnie to samo mówił zawsze mój brat, sir.

Chciała pójść do wioski i pożegnać się ze wszystkimi, ale ostatnio przeżyła tyle smutnych chwil, że nie była już w stanie znieść ani jednej więcej. Zamiast tego napisała więc do wielbnego Richardsona. Opowiedziała mu o Jonathanie, o tym, że ją posyłają za granicę i jak bardzo jej przykro, że musi się rozstać z chórem.

Powinna zatelefonować do matki z tą wiadomością, ale mamusia pewnie by

się zaraz rozpląkała, Sybil zaś dobrze wiedziała, że ten płacz nie byłby do końca prawdziwy, ponieważ jedyną osobą, którą ona naprawdę kochała w swoim życiu, był Jonathan. Wystarczy list. Chętnie zadzwoniłaby do Nancy, która z pewnością szczerze by jej współczuła, ale telefon mogła odebrać Cara albo Fielding, a one dwie były ostatnimi osobami na świecie, z którymi chciała rozmawiać.

- Och! - Sybil odrzuciła pióro i ukryła twarz w dłoniach.

Dlaczego wszystko idzie nie tak, jak należy? O ileż lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby to ona utonęła, a nie Jonathan!

Rozdział 15

LIPIEC 1942

Schody na strych były ukryte za drzwiami. Do tej pory Fielding zawsze myślała, że za tymi drzwiami znajduje się spiżarnia. Któregoś dnia otworzyła je przez pomyłkę, szukając czystych prześcieradeł — i odkryła stare drewniane stopnie, wąskie i strome, prowadzące gdzieś w górę, w obszar kompletnej ciemności.

— Chodźmy, zbadajmy ten strych! — namawiała Carę, kiedy zeszła na dół, a oczy błyszczały jej z podniecenia. — Nie wiedziałam, że w tym domu jest

strych! Tam może być mnóstwo ciekawych rzeczy.

— Zglądałam tam kiedyś i nie znalazłam niczego frapującego, poza starymi walizami, skrzyniami i kartonowymi pudłami — odparła Cara.

— No tak, ale co jest w środku? To właśnie chciałabym zobaczyć. No, chodź! Dzieci śpią, a gdyby się nawet obudziły, to przecież i tak je usłyszysz.

— Och, już dobrze, jeśli koniecznie chcesz. — Cara przewróciła oczami z udawaną niecierpliwością.

— Nigdzie nie mogłam znaleźć kontaktu, więc chyba potrzebna nam będzie

latarka.

— Nie możemy zabrać latarki. Baterie się wyczerpią, a Nancy za żadne skarby świata nie zdoła kupić nowych. — Podobnie jak wiele innych artykułów, również baterii brakowało na rynku. — Możemy wziąć świecę, też trudno je zdobyć, ale chyba mam jeszcze kilka w zapasie.

Znalazły lichtarz, zapaliły świecę i ostrożnie weszły po wąskich schodach.

400

— Czuję się jak Wee Willie Winkie* — zachichotała Cara. — Tu na górze musi być strasznie suche powietrze —

zauważyła, kiedy dotarły na szczyt i świeca zaczęła gwałtownie migotać. — Nic ci nie jest, Fielding?

— Wszystko w porządku. — Fielding nie znosiła, kiedy jej przypominano o braku ręki, i starała się robić rzeczy trudniejsze, niż mogłaby robić obiema.

Postawiły świecę na podłodze. Płomień się uspokoił i zaczął się palić równo, tylko od czasu do czasu migotał.

— Tu jest naprawdę niesamowicie! — Cara zadrżała. — I strasznie cuchnie stęchlizną.

Na poddaszu panował chłód, chociaż na dworze było gorąco i wilgotno, zanosilo

się na burzę, a światło świecy nie docierało do wszystkich zakamarków tego ogromnego pomieszczenia, które musiało zajmować całą długość i szerokość domu. Jednak można było dostrzec dziesiątki pajęczyn, zwisających z krokwi, i grubą powłokę kurzu pokrywającą wszystko. Dach był spadzisty jak w kościele i głos Cary odbijał się od niego echem; jej słowa zdawały się wisieć w powietrzu jeszcze długo po ich wypowiedzeniu.

— Co to jest?! — krzyknęła, słysząc ciche skrobanie. — Mam nadzieję, że to nie szczury!

— Nie, to tylko ptaki na dachu — uspokoiła ją Fielding, chociaż sama nie

miała pojęcia, co to za dźwięk.

— A co będzie, jeżeli w którejś z tych skrzyń znajdziemy ciało?

— To już nie byłoby ciało, co najwyżej szkielet.

Cara parsknęła.

— To rzeczywiście o wiele lepiej. Którą otwieramy najpierw?

— Ten kufer. — Fielding kopnęła czarny lakierowany kufer z zardzewiałym mosiężnym zamknięciem. Przycisnęła kilka razy i zamek odskoczył. — Chyba trzeba go będzie naoliwić — stwierdziła, podnosząc

wieko. — Pfuj! — Obie się cofnęły, kiedy w nozdrza buchnął im gryzący zapach naftaliny.

— To pewnie ubrania... — Cara ostrożnie oddzieliła kilka warstw żółtawej bibułki i wydobyła długą suknię z jasnoniebieskiego aksamitu, obszytą koronką w kolorze kości słoniowej — od ramion aż po sam dół.

Długie, wąskie rękawy też miały koronkowe mankiety. — Co za cudo!

— zachłysnęła się. — Czy to z epoki edwardiańskiej?

* Wee Willie Winkie — chłopiec w nocnej koszulce biegnący na górę i w

dół

po schodach — bohater szkockiej
dziecięcej rymowanki z 1841 roku.

401

— Nie mam pojęcia. Zobaczymy, co tam
jeszcze jest. Ciekawe, do kogo to
wszystko należało.

— Do matki Eleanor, tak mi się zdaje.
To może być nawet wiktoriańskie.

Następny strój okazał się
ciemnozielonym aksamitnym kostiumem,
z żakietem i długą, rozkloszowaną
spódnicą. Zarówno góra, jak i dół były
wykończone białym futrem. Coś upadło

na podłogę; Fielding to podniosła.

Była to biała futrzana mufka.

— Gronostaje — oznajmiła — i pasują do futra przy kostiumie. Widzisz? Mówiłam, że możemy tu znaleźć coś naprawdę interesującego.

Cara wyjęła różową suknię z tafty, ozdobioną całym mnóstwem bukiecików różyczek z atłasu, w odcieniu nieco ciemniejszego różu. Bibułki z kufra już zaścielały całą podłogę.

— Ta mi wygląda na toaletę balową. — Przyłożyła suknię do piersi. —

Wyobraź sobie, że poszłabyś w czymś

takim na tańce!

Wydobyły z kufra jeszcze inne piękne stroje, które wyglądały tak, jakby zostały kupione zaledwie wczoraj, aczkolwiek były bardzo po-gniecione i pachniały kamforą.

— Nancy mogłaby to poskracać i uszyć nam kilka modnych kreacji —

wesoło zaproponowała Fielding.

— Nie, to byłoby po prostu świętokradztwo! Jak w ogóle można pociąć coś takiego?! — Cara wskazała dłonią ostatni wyciągnięty z kufra strój: czarny płaszcz z serży, długi do kostek, z atłasowym kołnierzem i rękawami oraz

wielkimi guzikami, również obciążniętymi atlasem.

— Wystarczy tylko podszyć dół i będzie leżał na tobie jak ta lala —

zapewniła Filding, widząc błysk zainteresowania w oczach przyjaciółki na myśl o nowym płaszczu. — Zrozum, dziewczyno, tego nie da się nosić bez przeróbek. A teraz, kiedy tak brakuje materiałów, mogłybyśmy z powodzeniem to przerobić. —

Materiałów nie tylko brakowało.

Zaliczono je do grupy tak zwanych usług komunalnych, dlatego podczas produkcji starano się zużywać jak najmniejsze ilości tkaniny. Aktualna moda nie była bynajmniej porywająca.

— Najpierw powinnam spytać Eleanor, czy ona tego nie zechce. Bądź

co bądź należały do jej matki. A co do Nancy, to czy ta kobieta nie ma już i tak dość roboty? Nawet bez szycia dla nas modnych kreacji...

Nancy wyszła akurat na zebranie Towarzystwa Przyjaciół Rosji.

— Eleanor na pewno nie będzie chciała zatrzymać wszystkiego dla siebie. — Fielding uśmiechnęła się szeroko. — I powiem ci więcej — to ona mogłaby nas obszyć! Jest przecież lepszą krawcową niż Nancy.

— Fielding! — roześmiała się Cara. — Ależ z ciebie wstrętna, oportunistyczna suka! Słuchaj, pójdę już lepiej nakarmić Seana.

— A mogę tu zostać i zobaczyć, co jeszcze jest?

— Pewnie. Jak tylko go nakarmię, zabiorę dzieci do mamy. Właśnie kończy robić sweterek dla Kitty. Nie wiem, kiedy wróci Nancy, możliwe, że dość późno, poza tym Fergus ma tu wpaść w drodze z pracy, ale do tego czasu na pewno będę już z powrotem. — Rzuciła przyjaciółce niespokojne spojrzenie. — Dasz tu sobie radę sama?

— Jasne — burknęła Fielding. — Dam sobie radę jak cholera!

— Nie musisz się od razu wściekać... —
Cara zaczęła schodzić na dół. — No, to
cześć.

Fielding nie odpowiedziała.

Myślałby kto, że jest jakąś żalosną inwalidką. Wszyscy ją tak traktowali, chcieli jej krajać mięso na talerzu i wyświadczać podobnie bzdurne przysługi, podczas gdy ona sama sobie świetnie radziła! No, prawie świetnie...
Od czasu do czasu — ale naprawdę sporadycznie — zdarzały się jej drobne wpadki; gotowany ziemniak czy kawałek pieczeni wy-skakiwał jej spod widelca.

Na szczęście, ku wielkiej uldze Fielding, owe przykre incydenty były coraz rzadsze.

Otworzyła okrągłe kartonowe pudło i znalazła w nim tuzin fantastycznych kapeluszy: ogromne, falujące cudeńka, ozdobione piórami, kwiatami i wspaniałymi kokardami. Byłyby kapitalne w Pigmalionie — grała kiedyś Elizę Doolittle, kiedy ta sztuka była w repertuarze.

W następnym pudełku, do którego zajrzała, znajdowały się książki.

Nie zajęła się nimi zbyt długo; książki były OK, ale nawet w połowie nie tak interesujące jak stroje. Otworzyła jedną

z waliz i zdumiona oglądała jej zawartość. To, co przypominało narzędzia tortur, okazało się gorsetami.

Wszystkie w koszmarным cielistym kolorze, mocno usztywnione fisz-binami i z całymi metrami sznurówek.

Cara zawołała z dołu:

— Wychodzę!

— Do zobaczenia! — odkrzyknęła Fielding.

Frontowe drzwi trzasnęły i w tej samej chwili zgasła świeca, a całe poddasze ogarnęły ciemności, tak gęste, że nie można było nic zobaczyć.

— Cara! — zawołała. — Cara! — Ale, jak się można było spodziewać, nie doczekała się odpowiedzi. Cara już wyszła.

Może świeca się dalej pali, tylko ona oślepla? Czy można oślepnąć w ciągu sekundy? Tyle samo czasu trzeba było, żeby stracić rękę. Zamknęła 403

oczy i znowu je otworzyła, ale nadal nic nie widziała. Stopniowo jednak z otaczającego ją mroku zaczęły się wyłaniać jeden po drugim rozmaite kształty przedmiotów, tyle że bardzo słabo: skrzynie, pudła, brzydka pospolita lampa, głowa jelenia z ogromnymi rogami i wszystkie przechowywane na tym wielkim strychu

pozostałości z życia ludzi, którzy już dawno umarli. Nareszcie dostrzegła słabe światło w tej stronie, gdzie były schody. Hurra! Zaraz się wydostanie z tego zakurzonego muzeum!

Fielding szybko się podniosła i zaraz wrzasnęła, bo poczuła pajęczynę, omotującą się wokół jej twarzy; zaczęła ją gwałtownie strzepywać, przez cały czas posuwając się w kierunku schodów. Usiadła na brzegu podestu, z nogami na pierwszym stopniu, kiedy nagle uzmysłowiła sobie, że nie będzie mogła zejść w ten sposób na dół — musi się zsuwać tyłem. Ale kiedy spróbowała się obrócić, okazało się to niemożliwe. Żeby utrzymać równowagę,

potrzebowała drugiej ręki, w dodatku cała się trzęsła jak liść osiki. Mówi się trudno... Trzeba po prostu zaczekać, aż wróci Cara i wyratuje ją z opresji, chociaż ona uda wtedy na pewno, że właśnie schodzi, i powie tylko niedbale: „Podaj mi rękę”. Każdy by tak powiedział

na jej miejscu, nawet ten, co ma obie ręce!

Na dole mignęło nagle światło, jakby ktoś zapalił lampę i natychmiast znowu ją zgasił. Po paru sekundach rozległ się grzmot, tak blisko, że Fielding zamarła.

To mignięcie to była błyskawica. Zaczęła się burza, która przez cały dzień

wisiała w powietrzu. Zupełnie o tym zapomniała. Burza była jedyną rzeczą, której Fielding naprawdę się bała. Bomby to co innego — wiedziała, skąd spadają; burza była dla niej jednak czymś na wskroś irracjonalnym i tajemniczym, niewytłumaczalnym wybrykiem natury, którego nigdy nie zdołała pojąć.

Kolejny błysk, kolejny grzmot, tym razem jeszcze bliższy i tak głośny, że aż pisnęła ze strachu. Następne błyskawice; tym razem grzmot przypominał odgłos uderzenia gigantycznym batem, jakby niebo karało ziemię za jakieś monstrualne przestępstwo. Potem niebiosy się otwarły i zaczął

łać deszcz, waląc w dach z takim łoskotem, że Fielding aż zdrętwiała z przerażenia. O nie! Dachówki zaraz popękają i woda zacznie się wlewać do środka... — pomyślała w popłochu.

Zacisnęła zęby, usiłując myśleć o czymś innym, na przykład o tych cudownych miesiącach na Malcie, które spędziła z Carą, Makiem i Kitem.

To był najlepszy czas w jej życiu, lepszy nawet od występów na scenie.

Wspominała noc na Gozo, kiedy Mac się w niej zakochał, a ona w nim...

Powiedział jej wtedy, że nigdy się nie zdobędzie na porzucenie żony 404

i dzieci, ale to im nie przeszkadzało. Ani jemu, ani jej. Liczyło się tylko to, co teraz, a świadomość, że ich romans nie będzie trwał wiecznie, czyniła całą sprawę nawet bardziej radosną i podniecającą.

Nigdy nie zapomni tego cudownego dreszczyku, kiedy się kochali w najdziwniejszych miejscach — niebezpiecznych, bo łatwo było ich tam odkryć, na przykład na przyczepie ciężarówki, z tyłu za Marzipan Hall, czy w warsztacie po zamknięciu go na noc.

Cara nic o tym nie wiedziała. Mój Boże, jakaż ona była niewinna —

pomyślała Fielding z czułością. Po tej

nocy na Gozo już nigdy nie kochali się z Kitem. Najwyraźniej było im do tego potrzebne właściwe miejsce —

i porządne łóżko; tymczasem oni, Fielding i Mac, mogli się kochać gdziekolwiek. Teraz Mac był już tylko wspomnieniem, zajmującym znikomą część jej życia.

Co by zrobiła, gdyby Cara nie odnalazła jej w tamtym mieszkaniu na Soho? Nie miała pojęcia, ale... pewnie by się zabiła. Już wówczas od wielu tygodni zastanawiała się poważnie nad samobójstwem — wystarczyłaby fiołka aspiryny popita butelką ginu. Ale wtedy właśnie pojawiła się Cara i zabrała ją do siebie, do Nancy i wszystkich tych

ludzi, którzy ją chyba kochają, chcą, żeby się czuła jak w prawdziwej rodzinie — czego nie zaznała od dnia śmierci matki.

Ale żadne z nich nawet się nie domyślało, co naprawdę czuje Fielding tam w środku; jak bardzo cierpi, jaka jest zdruzgotana utratą ręki, tym, że czegoś jej brak, że pozostała już tylko w połowie kobietą, że już nigdy więcej nie zagra na scenie ani nie zaśpiewa.

Ukrywała wszystkie te uczucia za tarczą cynizmu, sprośnych żartów i odgrywania przed innymi twardej sztuki, a była w tym naprawdę dobra. „Jesteś taka dzielna, nigdy się nie poddajesz! — powtarzała jej stale Eleanor. —

Szczerze cię podziwiam".

Grzmoty były teraz ogłuszające, wydawało się, że cały dom trzęsie się w posadach. W ciszy, która potem nastąpiła, Fielding usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Obejrzała się błyskawicznie i ujrzała wpatrzona w nią jarzące się ślepia.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi ze strachu. Zaczęła krzyczeć i krzyczała tak długo, aż w końcu do niej dotarło, że te ślepia muszą należeć do głowy jelenia, który prawdopodobnie dostał kulkę jeszcze w zeszłym stuleciu! To jedno miała już w każdym razie ustalone, ale co z tym dźwiękiem? Nadal nie była pewna... Może to rzeczywiście

ptaki na dachu, chowające się przed deszczem? Modliła się w duchu, żeby to nie były szczury.

405

— Cara! — jęknęła. — Wracaj już do domu! Proszę... — Wiedziała jednak, że Cara najpewniej nie wróci do domu przed końcem burzy, a Nancy, gdyby nawet wróciła, to i tak pójdzie do swojej kuchni i nie domyśli się, że ktoś może siedzieć na strychu. Poza tym do kuchni w suterenie nie dotrze nawet najgłośniejszy, najbardziej rozdzierający krzyk. Za daleko...

Kiedy kolejny grzmot rozdarł niebo, Fielding zaczęła bezradnie płakać.

Grzmot przebrzmiał w oddali. Zapadła cisza.

Nagle z dołu odezwał się męski głos:

— Halo! Jest tam ktoś na górze?

W dole schodów zamajaczyła jakaś ciemna postać. Fielding wydała jęk przerażenia.

— To ty, Juliette?

— Tak, Fergus — wyszeptała.

Fergus Caffrey był jedynym człowiekiem, który zawsze nazywał ją chrzestnym imieniem. Ona też mówiła już do swojej przyjaciółki Cara zamiast

Caffrey, tak samo jak wszyscy, ale „Fielding” jakoś do niej przyłgnęło, co jej zresztą wcale nie przeszkadzało.

Wdrapał się na strych, a ona niemal padła mu w ramiona. Zniósł ją na dół tak ostrożnie i czule, jakby niósł niemowlę. Przytuliła się do niego, cicho szlochając na jego ramieniu, a on zszedł z nią jeszcze niżej, aż do kuchni, gdzie usiadł, a ona została na jego kolanach, jakby nie chciała z nich zejść.

— Byłaś na strychu podczas burzy? — zapytał łagodnie.

Kiwnęła głową. Podniósł rękę i gładził ją po włosach, a potem poczuła, jak palcem przyciska jej policzek. Zwróciła

ku niemu twarz i nagle się okazało, że się całują.

To było naprawdę dobre. Fielding zakręciło się w głowie. Wszystkie wydarzenia tego popołudnia, to, że została sama na strychu, zdana tylko na siebie, straszna burza, wpatrzone w nią ślepia... mogły się nigdy nie zdarzyć. W każdym razie już jej nic a nic nie obchodziły.

Pocałunek — jak to pocałunki — się skończył, a Fergus zapytał:

— Dlaczego to robimy?

A ona na to:

— Nie wiem.

I znowu się całowali. Potem nastąpiła krótka przerwa, w czasie której Fergus powiedział szeptem:

— Chyba cię kocham, Juliette...

406

A ona mu odpowiedziała, że zupełnie możliwe, iż ona też go kocha.

— Ale... ty masz przecież tyle dziewczyn, nie myślałam.. Więc naprawdę zauważyłeś, że w ogóle istnieję?!

— Jeszcze jak zauważyłem! — Potarł

policzkiem o jej policzek. —

Polubiłem cię już w chwili, kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, ale ty nigdy nie okazywałaś mi zainteresowania.

Nawet odrobinę...

— Bo nie jestem naiwniaczką! Wobec tych twoich wszystkich przyjaciółek to byłoby bez sensu. Traciłabym tylko czas.

I całowali się dalej — dziewczyna bez ręki i młody mężczyzna z kulawą nogą. Oboje przeżyli bezlitosne okropności tej wojny — a teraz odnaleźli siebie nawzajem.

Różowa tafta gładko wypływała spod stopki maszyny do szycia. Cara włożyła

suknię na lewą stronę i Eleanor poupiła zaszewki stanika, żeby dobrze leżał na jej smukłej kibici. Zapach kulek przeciwmolowych prawie już wywietrzał i teraz można było uszyć z tego materiału wyjściowego wspaniałą suknię dla druhny. Co za szkoda! Matka Eleanor nigdy się nie dowie, że jej piękne stroje są przerabiane na wojenną uroczystość ślubną.

Właściwie Eleanor prawie nie pamiętała matki; nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak umarła. Być może działało się tak dlatego, że miejsce matki w jej życiu niejako automatycznie zajęła Nancy, poza tym Eleanor była i tak najbardziej związana z ojcem.

Eleanor była jedyną osobą, której wcale nie zdziwiło, kiedy Fergus i Fielding oznajmili, że się pobierają.

— Zawsze widziałam, że ci dwoje mają się ku sobie. Ciekawa tylko jestem, co się musiało wydarzyć, że tak nagle sobie to uzmysłowili?

Brenna nie była zbytnio zadowolona z takiego obrotu sprawy, co zresztą łatwo można było przewidzieć. Chciała dla swojego syna „żony doskonałej”, a Fielding nie odpowiadała jej wyobrażeniom doskonałości.

— Jak ona sobie poradzi z tą jedną ręką, kiedy będą mieli dzieci?

Miałam obie, a zmienianie pieluch i tak zajmowało mi mnóstwo czasu!

Na te słowa Eleanor nie wytrzymała i ostro zbeształa przyjaciółkę.

Dziewczyna się zgodziła zostać katoliczką, co tydzień maszerowała karnie na spotkania z księdzem, który ją „wprowadzał w temat”, a Eleanor miała nawet podstawy, by sądzić, że to wszystko było robione tylko po to, żeby sprawić przyjemność Brennie — bo raczej wątpliwe, żeby Fergus mogło choć trochę obchodzić, jakiego wyznania będzie jego przyszła żona.

— Na miłość boską, Bren! Jak znam Fielding, to jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, nauczy się w jeden dzień zmieniać pieluszki. A nawet jeśli się nie nauczy, to przecież będą mieszkać na Parliament Terrace, prawda?

— Młoda para miała zamieszkać w dawnej sypialni Marcusa. — Nancy i Cara na pewno jej pomogą.

— To ja będę babką tego dziecka! — Najeżyła się Brenna, tak jakby Eleanor tego nie wiedziała. — To ja pomogę, jeżeli moja synowa będzie potrzebować pomocy, skoro tylko będę w pobliżu. Oj, dobrze, już dobrze!

Tak czy siak, to miła dziewczyna i

naprawdę ją lubię. Jestem pewna, że ona i nasz Fergus będą ze sobą bardzo szczęśliwi.

Od tej chwili pogodziła się z sytuacją i przyłączyła do przygotowań weselnych. Chociaż ślub miał się odbyć dopiero na wiosnę, trzeba już było szyć suknie. To na wskroś odpowiedzialne zadanie wzięła na siebie Eleanor i już zaczęła nawet przerabiać piękne stroje znalezione na strychu, zaczynając od najłatwiejszej sztuki — różowej sukni balowej dla Cary, którą trzeba było tylko trochę dopasować.

Dla siebie wybrała suknię z jasnoniebieskiego aksamitu, z wstawkami z koronki, którą chciała

przerobić na kostium. Najbardziej problematyczna okazała się Nancy; nic nie można było dla niej dobrać, kompletnie nic, Eleanor postanowiła zatem wyczarować dla niej kreację z dwóch popołudniowych sukien w różnych odcieniach beżu. Brennie wpadła w oko elegancka suknia wizytowa z popielatego jedwabiu, niewymagająca większych przeróbek poza skróceniem spódnicy.

Negliż z białej krepy i taka sama koszula nocna miały zostać przerobione na suknię ślubną dla Fielding. Eleanor wymyśliła, żeby górę stanowiła długa pelerynka, która zamaskuje brak ręki u tej ślicznej dziewczyny.

To miał być jeden z najbardziej eleganckich ślubów, jakie Liverpool oglądał od dłuższego czasu. Takich wspaniałych strojów, uszytych z takich materiałów, nie można było teraz dostać w żadnym sklepie.

Wielka szkoda, że Sybil nie będzie mogła przyjechać! Eleanor z radością uszyłaby dla niej coś pięknego — w kufrach babki Sybil było jeszcze w czym wybierać, lecz cóż, Bombaj dzieliły od Liverpoolu tysiące kilometrów i jej córka nie mogła się stamtąd wyrwać, nawet gdyby chodziło o ślub bliskiego krewnego, a przecież ani Fergus, ani Fielding nie należeli do ich rodziny.

Eleanor skończyła zaszewkę i zaczęła

następną. Chciałaby, żeby Sybil częściej do niej pisywała, ale od Nowego Roku, kiedy przyjechała na pogrzeb Jonathana, przysłała tylko trzy listy.

408

Jonathan!

Przerwała szycie, bo oczy zaszły jej łzami. Myślała o nim właściwie bez przerwy. Od jego śmierci upłynęło dziewięć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Eleanor zniosła ten straszliwy cios zaskakująco dobrze. Dzielnie. Ona uważała zresztą tak samo, wiedziała jednak, że to tylko dzięki Hectorowi Ingramowi. Pisał do niej co niedzielę,

tak że list przychodził zwykle we wtorek, a wówczas ona siadała do biurka i odpisywała. Powierzali sobie nawzajem najgłębsze i najsmutniejsze myśli, niczego nie ukrywając. Nie mówili sobie, że czas jest najlepszym lekarzem albo że któregoś dnia ten okropny ból zelżeje, jak próbowali przekonywać inni. Może zresztą mieli rację, ale Eleanor nie znajdowała w tym żadnego wsparcia. Wszystkim, czego teraz pragnęła, był żal. Nie chciała słuchać frazesów wygłaszanych przez tych, którzy przecież nie stracili takiego cudownego syna jak Jonathan — ani tak cudownej córki, jaką Morąg była dla Hectora. Jak więc mogli rozumieć?

Przedostatni list rozdarł jej serce.

Patrzyłem przez okno, kiedy wstałem z łóżka tego ranka, i słońce oświetlało grób Morąg. Zastanawiałem się, czy teraz jestem już na zawsze związany z tym domem, bo tutaj jest Morąg i nie mogę jej opuścić. Zawsze liczyłem się z tym, że to ona mnie opuści dla miasta —

jakiegokolwiek miasta, kiedy wyjdzie za mąż; wiedziałem, że będę się bez niej czuł bardzo osamotniony. Ale teraz uważam, że powinienem tu zostać i czuć się jeszcze bardziej samotny, niż sądziłem, że kiedykolwiek będę.

Dlaczego nie przeniesiesz Morąg na cmentarz i nie pozwolisz jej leżeć obok

Jonathana? — sugerowała w odpowiedzi na ten list. —

W końcu umarli razem i będą dla siebie towarzystwem. A ty będziesz mógł wtedy mieszkać tam, gdzie zechcesz, wiedząc, że Morąg nie jest samotna.

Odpisał na to:

Myślę, że tak zrobię.

Zapraszała go do siebie na Boże Narodzenie i Nowy Rok, domyślając się, jakie okropne musi być dla niego obchodzenie w samotności pierwszej

409

rocznicy śmierci Morąg. Tyle przecież

mogła zrobić dla kogoś, kto nadal cierpiał tak bardzo jak ona po stracie dziecka. Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy go znów zobaczy.

To Nancy odkryła młodego jankesa i sprowadziła go na Parliament Terrace.

Stał przed katedrą i wyglądał na zagubionego, spytała go więc, czy nie napiłby się herbaty. Był bardzo miłym młodym człowiekiem z brą-

zowymi włosami i takimiż oczyma, miał zaledwie osiemnaście lat i był

ogromnie nieśmiały, zupełnie inny niż jankesi, na których się dotychczas natknęły Cara i Fielding. Tamci —

wprost przeciwnie — zupełnie się nie krępowali, próbując je namówić na pójście z nimi do łóżka, kusząc parą nylonów albo paczką gumy do żucia, nawet wtedy, kiedy były po prostu na zakupach albo w kinie.

„Za dobrze opłacani, za dobrze karmieni, zbyt seksualni i zbyt się u nas panoszący” — oto, jak zwykło się określać jankesów. Ale jankes Nancy był zupełnie inny. Nazywał się Eddie Malone, jego ojciec pochodził z Irlandii, a matka ze Szkocji.

Kiedy Cara zobaczyła go pierwszy raz, siedział w kuchni, huśtając Kitty na jednym kolanie, a Seana na drugim, a

mama, która tam akurat była, uśmiechała się do niego promiennie. Wcześniej mama zabrała dzieci do parku, podczas gdy Cara wpadła do Eleanor zobaczyć, jak Fielding przymierza już w połowie gotową suknię ślubną. Wyglądała w niej jak miniaturowa grecka bogini.

— To Eddie Malone, Amerykanin — oznajmiła Nancy, po czym zwróciła się do Eddiego: — Cara jest matką tych dzieci.

— Zostawiłem w Bostonie brata i siostrę, są tylko trochę od nich starsi

— wstydliwie powiedział Eddie. — I mam jeszcze dwóch braci, jeden też ma na imię Sean.

Kitty, którą już tylko dwa tygodnie dzieliły od drugich urodzin, wpatrywała się z uwielbieniem w Eddiego, kiedy ją podrzucił do góry, a Sean, który niebawem kończył pierwszy roczek, radośnie klaskał w rączki.

— I wiesz, on zna chłopaka, który nazywa się Caffrey — powiedziała mama. — Czy czasem któraś z moich sióstr nie wylądowała przypadkiem w Ameryce? To mógłby być jej syn.

— Ależ mamó, gdyby miała syna, musiałyby wyjść za mąż, a wtedy nie nazywałyby się już Caffrey. A w ogóle ty przecież jesteś Caffrey po mężu!

Mama była rozczarowana.

— Nie pomyślałam o tym, kochanie. Tak czy owak, Eddie zjadł

dopiero co kanapkę z dżemem i musi niedługo iść, ale wróci w niedzielę, przyjdzie na podwieczorek z jeszcze jednym kolegą. Całe szczęście, że Nancy zdobyła dziś puszkę peklowanego mięsa, więc będziemy mieć zapiekankę.

Ale w niedzielę nie jedli zapiekanki, bo Eddie pojawił się z torbą pełną wiktuałów. Nancy omal nie zemdląła na widok jej zawartości: był tam wielki kawał gotowanej szynki, świeże jarzyny i owoce, puszka ananasa większa niż wszystkie, które dotąd widziała, trzy

puszki śmietanki, słoik marynowanych
cebulek i drugi z sosem owocowym z
przyprawami, no i, co najcenniejsze,
dwie paczki herbaty.

— Skąd to wszystko u licha
wytrzasnąłeś, Eddie? — wołała. —
Obrabowałeś kuchnię czy co?

— Po prostu dostałem... — wyjaśnił z
uśmiechem chłopak — kiedy
powiedziałem, że jestem zaproszony na
podwieczorek do Anglików.

Podobno macie tu kłopoty z
zaopatrzeniem, brakuje wam żywności.

— No cóż, jeśli to nie jest prawda, to
nie wiem, co by nią mogło być.

Dziękuję ci, Eddie. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni, ale mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeżeli nie zatrzymamy wszystkiego dla siebie.

Chciałabym się podzielić z tymi, którzy nie mieli tyle szczęścia co my.

— To może ja zadzwonię do Eleanor i poproszę, żeby przyszła —

wtrąciła szybko Brenna. — Nie pozwolimy jej opuścić takiego święta.

Chodź, Joey! Nakręcisz mi numer. Wiem, jak bardzo lubisz telefonować.

— Joey na Wielkanoc poszedł do szkoły i umiał już liczyć do stu z niewielką

tylko pomocą.

Fielding grzebała w torbie i w końcu wydobyła z niej pomarańczę.

— Wiesz, co to jest, Kitty?

Kitty potrząsnęła główką. Nigdy dotąd nie widziała pomarańczy.

Przyjaciel Eddiego, Dexter, był potężnym młodzieńcem o szerokich barach i wesołej twarzy, znacznie mniej nieśmiałym niż Eddie, ale oczy miał takie same — młode i niewinne.

Opowiadał, jaki był przerażony, kiedy zobaczył, że domy na tej samej ulicy zostały zburzone przez bomby.

— Kiedy ostatnio od was wracałem, było ciemno, więc niczego nie zauważyłem — tłumaczył się Eddie.

— Czy byliście w domu, kiedy to się stało? — pytał Dexter.

411

— Siedziałyśmy przy tym stole, ot tak jak teraz — opowiadała dramatycznym głosem Nancy. — Ja, Cara, Fielding i mała Kitty — wtedy była jeszcze niemowlęciem.

— Bałyście się?

— Całe drętwiałyśmy ze strachu, chłopcze, ale co mogłyśmy na to

poradzić?

— O kurczę, wy Brytyjczycy naprawdę mieliście tu cholernie ciężko.

— Dexter to prawdziwy geniusz fortepianu — powiedział z dumą Eddie.

— Mamy pianino w salonie — oświadczyła nagle Cara — niech nam pokaże, jakim to jest geniuszem. Palce Dextera były krótkie i grube. Aż trudno było uwierzyć, że ich właściciel mógłby w ogóle grać na jakimś instrumencie.

Ale toporne paluchy Dextera po prostu fruwały po klawiaturze, kiedy siadł do czarnego lśniącego instrumentu z satynowego drewna. Kiedy Eleanor była

małą dziewczynką, brała wprawdzie lekcje muzyki, ale od tamtych czasów wieko pianina podnoszono co najwyżej po to, żeby je odkurzyć.

Zagrał MacNamara's Ragtime Band, potem Don't Sit Under the Apple Tree, We'll Meet Again, Chattanooga Choo Choo, Deep in the Heart of Texas* i na koniec A Foggy Day in London Town, piosenkę, którą Fielding śpiewała na Gozo; sprawił tym wszystkim ogromną przyjemność i został nagrodzony gromkimi brawami.

— Zaśpiewaj, Fielding! — zażądała Cara, spodziewając się, że jej przyjaciółka odmówi, ale Fielding, która od czasu zaręczyn z Fergussem żyła jak w

zaczarowanej krainie, poderwała się ochoczo z krzesła i zaczęła śpiewać. Kiedy skończyła, Dexter szepnął jej coś do ucha, a wtedy zaśpiewała Yours till the stars lose their glory...**.

Jej głos, od tak dawna nieużywany, brzmiał czysto i melodyjnie jak zawsze, ale teraz pojawiło się w nim jeszcze coś, jakaś nutka melancholii, jakby nie tylko śpiewała słowa piosenki, ale mogła je współodczuwać, jakby przeżywała emocje, które wyrażały. Od swojego ostatniego publicznego występu Fielding strasznie dużo przeszła i wycierpiała.

* MacNamara's Ragtime Band, Don't Sit

Under the Apple Tree (Nie siedź pod jabłonką), Chattanooga Choo Choo — piosenki grane przez orkiestrę Glenna Millera; pozostałe to angielskie piosenki patriotyczne z okresu wojny.

** Yours till the stars lose their glory (Twoja do czasu, aż gwiazdy stracą swoje piękno) — piosenka z czasu wojny śpiewana przez Verę Flynn.

412

Cara zwróciła uwagę na twarz mamy. Mój Boże, jaka ona smutna i mizerna... — pomyślała, czując ukłucie w sercu. Czy myślała o tacie?

Wierzyła, że będą razem, „aż gwiazdy

stracą swoje piękno", tymczasem rzucił ją dla innej kobiety. Ścisnęła rękę matki, która zdobyła się na uśmiech.

— On wróci, ja to po prostu wiem — powiedziała cicho, jakby czytała w myślach córki.

Nancy, która przygotowywała podwieczorek, weszła do salonu, żeby poprosić wszystkich do stołu. Pospieszili na dół, nie mogąc się już doczekać tak wspaniałej uczyty.

W następną niedzielę Eddie i Dexter przyprowadzili jeszcze jednego kolegę, Nelsona, i przynieśli jeszcze więcej smakołyków, na których widok ślinka napływała do ust. Czego tam nie było:

whisky, dwie butelki wina, a dla dzieci czekoladki i słodycze, które nazywali candy. I wiele, wiele innych rarytasów. Nelson, chudy jak tyczka, miał chyba z metr dziewięć-

dziesiąt wzrostu. Przed wyjazdem był gwiazdą miejscowej drużyny koszykówki i chciał nawet przerzucić się na zawodowstwo, ale przeszkodziła mu w tym wojna. Wziął Joeya na podwórko i pokazywał mu, jak się gra w kosza.

Ci Amerykanie są jak powiew świeżego powietrza, pomyślała Cara.

I rzeczywiście, wnosili światło w ich życie, które teraz, kiedy mijał już

czwarty rok od wybuchu wojny, było raczej mroczne. I nie chodziło tu nawet o zaciemnienie, ale o niekończącą się, desperacką walkę, żeby nakarmić i ogrzać swoje rodziny; o brak niemal wszystkiego, a przede wszystkim o wieczną niepewność, czy się zobaczy jeszcze kiedyś swoich bliskich wysłanych do dalekich krajów. Najgorsza ze wszystkiego była strata najbliższych, tak jak ona straciła Kita, Eleanor — Jonathana, a Tyrone żonę i dziecko.

— Ładnie tu — zauważyła Brenna, rozglądając się po zatłoczonej restauracji. Była Wigilia i starszy pan w smokingu grał na białym fortepianie

kolędę God rest ye merry, gentlemen*. Z
sufitu zwisały trzy ogromne

* God Rest ye merry, gentlemen (Bóg
was uspokaja, panowie) — angielska
kolęda z 1833 roku.

413

kandelabry, które lekko drząc i
połyskując kryształkami, dodawały
jeszcze uroku tej sali. — Nigdy
wcześniej tu nie byłam. No, i nigdy nie
widziałam tylu futer naraz!

— O, ja tu przychodziłam, od kiedy
skończyłam piętnaście lat. —

Eleanor dała znak kelnerowi, że są już

gotowe, by złożyć zamówienie. —
Frederick & Hughes od zawsze był
moim ulubionym sklepem.

— A ja, kiedy miałam piętnaście lat,
sprzątałam u jakiejś aktorki —

jak ona się nazywała? Zaraz, zaraz...
aha, już wiem — Francesca O'Reilly.

Była takim małym tyranem, chodziła za
mną krok w krok i wyszukiwała miejsca,
których nie przetarłam ściereczką. —
Brenna zachichotała. —

Rzadko się zdarzało, żeby czegoś nie
wypatrzyła.

Podeszła kelnerka. Była już dość

leciwa, a biały czepek przekrzywił się jej na głowie.

— Co mogę pani podać, pani Allardyce?

— Enid, poprosiłybyśmy o dwa świąteczne dania, a na deser pudding ze śliwkami. Napijesz się sherry, Bren?

— Z przyjemnością — zgodziła się Brenna natychmiast. — Ale... czy mogłabym dostać już teraz filiżankę herbaty, póki jeszcze czekamy?

— Dwa kieliszki słodkiego sherry i herbata, Enid. Muszę się napić sherry, to mi uspokaja nerwy — powiedziała

Eleanor, kiedy kelnerka odeszła. Tego popołudnia miała pójść na Lime Street Station po Hectora Ingrama. Pociąg powinien przyjechać planowo o czwartej, ale Eleanor podejrzewała, że będzie musiała długo czekać.

— Nie musisz się niczym martwić. Przecież jesteście zaprzyjaźnieni, prawda?

— Tak, ale ciągle denerwuję się na myśl, że znowu go spotkam, a już prawie zapomniałam, jak wygląda ten mój przyjaciel...

Na stole zjawiała się herbata i Eleanor naląła mleka do filiżanek. Brenna potrząsała energicznie imbrykiem, żeby

napój lepiej naciągnął.

— Tak czy siak, wyglądasz naprawdę uroczo. Jestem pewna, że zrobisz na nim wrażenie.

Istotnie, Eleanor uszyła sobie bardzo elegancki płaszcz z pary podróż-

nych pledów ze szkockiej wełny, znalezionych na strychu, a nawet pasujący doń miękki kapelusz z czarną, nakrapianą woalką.

— Ależ Bren, to nie jest tego rodzaju znajomość. Hectorowi guzik zależy na tym, jak wyglądam.

Brenna nie spytała, czemu wobec tego

Eleanor zadała sobie tyle trudu, żeby w dzisiejszym dniu wyglądać tak szykownie. Już wcześniej ułożyła 414

sobie włosy — były gładkie i lśniące pod kapeluszem, bez śladu siwizny

— poza tym spieszyła się jak wariatka z szyciem tego płaszcza, żeby go skończyć na czas.

Zamiast tego powiedziała:

- Jaka szkoda, że jutro cię nie będzie. Wczoraj wieczorem Eddie przyjechał aż z Warrington na tym, jak to nazywają... dżipie, i przywiózł

indyka, wielkiego jak struś. Nancy

mówi, że na pewno zdąży go przyrzędzić na czas. Przywiózł też ciasto, prawie tak samo wielkie jak ten indyk. I całe mnóstwo balonów i kapeluszy z papieru, no i jeszcze prezenty dla dzieci. On, Dexter i Nelson mają świąteczny obiad u siebie w bazie, więc poczekamy na nich do piątej, żebyśmy mogli zjeść wszyscy razem i potem się pobawić. To znaczy, że oni będą mieli aż dwa obiady... no, ale że dopiero niedawno przestali rosnać, na pewno im nie zaszkodzi.

- Zobaczę, co powie Hector, chociaż bardzo wątpię, czy będzie chciał

przyjść. Zauważyłaś - mówiła Eleanor - że ci Amerykanie wcale nie są

zainteresowani ani Carą, ani Fielding?
Oni tu przychodzą nie dla dziewcząt, ale
po prostu jak do swojego drugiego
domu, z zastępczymi matkami i dziećmi,
które im przypominają własnych braci i
siostry, zostawionych tam, w Ameryce.

- Tak, masz rację... na Parliament
Terrace znaleźli prawdziwy dom.

Nancy bez przerwy o nich myśli,
dogadza im, jak może. — Twarz Brenny
złagodniała. — Ledwie wyszli z
pieluch, biedactwa. Wyobraź sobie, jak
się muszą czuć ich matki i ojcowie,
kiedy ich synowie są od nich oddaleni o
połowę świata! No, w każdym razie
póki są w Anglii, nic im nie grozi.

Eleanor spuściła głowę, tak że woalka zakryła jej twarz.

- Jonathan wyjechał tylko do Szkocji, a i tak nie był bezpieczny...

prawda, Bren?

Pociąg spóźnił się zaledwie o pół godziny. Wjechał na stację, sapiąc i wypluwając kłęby brudnego dymu — i tłum żołnierzy, wracających do domu na świąteczny urlop. Eleanor miała nadzieję, że Hector oraz inni cywilni pasażerowie nie musieli wysiadać na jakiejś samotnej stacji w nieznannej okolicy, żeby żołnierze mogli dojechać na czas do swoich domów.

Przy barierce, gdzie sprawdzano bilety, zebrał się mały tłumek ludzi czekających na przybyszów. Co chwilę rozlegał się powitalny okrzyk, ktoś łapał kogoś w objęcia i obsypywał pocałunkami. Kiedy przyszła na 415

stację, było jeszcze jasno, ale teraz zrobiło się już prawie ciemno i trudno było cokolwiek zobaczyć. Z mroku wynurzył się jakiś mężczyzna w kufajce, z ramienia zwisał mu worek marynarski. Już miała się wysunąć naprzód, ale kiedy podeszła bliżej, okazało się, że był za wysoki i zdecydowanie za młody. Za nim wyszedł mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym przepasanym paskiem i w miękkim filcowym

kapeluszu na głowie. Miał podobną sylwetkę jak Hector — jeśli dobrze pamiętała — ale jak na niego był za dobrze ubrany. Eleanor stanęła na palcach, starając się spojrzeć ponad głowami ludzi stojących z przodu.

— Witam cię — rzekł mrukliwy głos. —
Przepraszam za spóźnienie.

Przełknęła ślinę. Mężczyzna w płaszczu przystanął i uchylił kapelusza.

— Nie poznałam cię. Nie sądziłam, że będziesz taki elegancki. Och, wybaczone, proszę! — wybełkotała. — Jak mogłam być tak nietaktowna!

W restauracji wypić wprawdzie dwa

kieliszki sherry, jednak alkohol już dawno wywietrzył jej z głowy, a teraz zachowała się jak jakaś głupia pensjonarka.

— To nieważne, Eleanor... — Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, w dalszym ciągu jednak wyglądał bardzo posepnie.

Było jej wstyd, że otworzyła serce przed tym ponurym indywiduum, które nie potrafiło się nawet uśmiechać jak normalny człowiek. — Morąg kupiła mi ten płaszcz rok temu na Gwiazdkę, mam go na sobie pierwszy raz. Nie chciałem robić z siebie widowiska przed twoimi przyjaciółmi.

Jeśli planował spotkać się z jej przyjaciółmi, to znaczy, że być może będzie chciał, żeby zaprowadziła go jutro na Parliament Terrace na podwieczorek. Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Nancy i Brenna już nie mogły się doczekać, żeby go wreszcie poznać. Nancy mówiła o nim

„twój szkocki korespondencyjny przyjaciel”, jakby Eleanor miała przyjaciół

korespondencyjnych na całym świecie!

Po tym wszystkim, co sobie napisali, nie mogła znaleźć nawet słowa, które chciałaby teraz powiedzieć — i wydawało się, że on czuł to samo.

Szedł obok niej w milczeniu w stronę wyjścia ze stacji. Na zewnątrz już panowało zaciemnienie i widać było jedynie przednie reflektory sunących powoli aut, zakryte, z wąskim tylko otworem przepuszczającym smużkę światła. Kocie oczy.

Powiedziała:

— Lepiej weźmy się pod rękę, Hector. Jeśli się zgubisz, mogę cię już nigdy nie odnaleźć.

416

Hector ujął jej rękę i przytrzymał w swojej.

— Nie bój się, Eleanor. Ja znalazłbym cię na pewno.

A Eleanor już wiedziała, że wszystko się dobrze ułoży.

Nancy przybyła do tego domu w końcu dziewiętnastego wieku i już straciła rachubę, ile bankietów i bankietów tu urządziła. Pierwszy, jaki pamiętała, miał miejsce, kiedy Eleanor była jeszcze małą dziewczynką i urządziła herbatki dla swoich lalek. Czasami pani Allardyce, mimo iż niezdrowa, schodziła na dół i przyłączała się do nich. Były urodzinowe podwieczorki, urodzinowe przyjęcia — trochę bardziej uroczyste imprezy z większą liczbą gości, a także specjalne podwieczorki,

kiedy ktoś wyjeź-

dzał w podróż albo z niej wracał.
W 1920 roku był taki krótki okres, kiedy
synkowie Caffreyów mieszkali w
sierocińcu przy klasztorze Świętej
Hildy, i cała rodzina przychodziła do
niej w niedzielne popołudnia. Pamiętała
pierwsze urodziny Sybil, kiedy to
Marcus zniżył się do tego, żeby w nich
uczestniczyć. Byli wtedy Daniel Vaizey i
siostra Hutton, a Daniel i Eleanor
zachowywali się tak — zresztą
bynajmniej nie celowo — że wszyscy
widzieli, jak bardzo są w sobie
zakochani. Niedługo potem Marcus
wyrzucił Eleanor z domu — i dobrze się
stało, bo samodzielne życie przyniosło

Eleanor tylko dużo dobrego. A potem były siódme urodziny Sybil i Cary. Oj, działo się wtedy, działo. Sybil urządziła straszną awanturę — tak, Marcus kompletnie rozpuścił to dziecko.

Zastanowiła się, co też porabia Sybil. Jakie może być Boże Narodzenie w Indiach? Kiedyś ta dziewczyna pisywała do niej regularnie, ale teraz chyba uważa, że Nancy jest współwinna całemu złu, które ją spotkało.

A wszystko zaczęło się od tego, że Cara wyszła za Marcusa... W każdym razie przysięgła, że nigdy więcej nie przestąpi progu tego domu, i od śmierci Marcusa nie napisała do Nancy ani jednego słowa.

Jednak ze wszystkich uroczystych obiadów i przyjęć, które Nancy urządziła w swojej kuchni przez te lata, żadna feta nie mogła przebić tegorocznego obiadu na Boże Narodzenie, tyle tu było radości, dobrego nastroju i zwykłego szczęścia malującego się na twarzach wszystkich zebranych, nie wspominając rzecz jasna o wspaniałym jedzeniu.

Gdyby mogła machnąć czarodziejską różdżką i wypowiedzieć jakieś życzenie, to chciałyby — ale tak z całego serca — by ten dzień nigdy się nie skończył, by żaden z jej gości już nigdy nie był nieszczęśliwy i żeby do końca świata

wszyscy się uśmiechali i cieszyli towarzystwem innych.

417

Najbardziej ją uradowało, kiedy przyszła Eleanor z Hectorem, który nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, przyglądając się błazeństwowo Amerykanów i słuchając kąśliwych uwag Fielding.

Nagle jakiś głos nad jej głową powiedział:

— Czyżby zasnęła z otwartymi oczami?

— Myślę, że musi być w transie —
dodał inny głos.

— Nancy! — ostro krzyknął trzeci.

Nancy zamrugała powiekami i wtedy się zorientowała, że co najmniej tuzin twarzy patrzy na nią z mieszaniną rozbawienia i niepokoju. Tylko Sean spał jak suseł w swoim wysokim krzeselku, a Kitty siedziała na kolanach Eddiego.

— Przepraszam... — wy bąkała i poczuła, że twarz ma całą w płomieniach. — Zamyśliłam się ździebko.

Prawdę mówiąc, była pijana, nawet bardzo pijana, pokrzepiając się od czasu do czasu łykiem whisky podczas szykowania obiadu. Przyjęcie było ogromne, przygotowania doń zajęły jej

mnóstwo czasu, chociaż Cara i Brenna dzielnie jej pomagały, a Fielding zajęła się dziećmi. Kiedy wszystko było gotowe, ilość łyków urosła do ćwierci butelki: Nancy nie mogła się utrzymać na nogach i wołała siedzieć.

— Na pewno nic ci nie jest? — spytała Brenna.

Nancy, cokolwiek oszołomiona, potrząsnęła głową.

— A o czym to tak myślałaś? — dopytywał się Eddie.

— O niczym szczególnym — odparła, starając się odzyskać panowanie nad sobą, w każdym razie do pewnego

stopnia, żeby się nie zdemaskować.

— Właśnie mieliśmy wypić toast za naszych amerykańskich przyjaciół

— rzekł Fergus, wymachując butelką wina. — Mogę ci nalać?

— Nie, dzięki — rzuciła Nancy szybko, nakrywając kieliszek dłonią.

— Znasz mnie, nie piję tak dużo. Wolę lemoniadę.

Kiedy toast został już spełniony, Eddie i Nelson byli bardzo wzruszeni, a Dexter, najbardziej opanowany z całej trójki, powiedział, że wszyscy trzej trochę się bali tego Bożego Narodzenia,

pierwszego, które spędzają poza domem.

— Ale dzięki wam, kochani Anglicy, czujemy się naprawdę mile widziani. I szczęśliwi... Mam nadzieję, że za rok znów się wszyscy tu spotkamy!

Rozległ się chór głosów: Racja!
Pewnie, że tak!

Dexter ciągnął:

— A teraz, kiedy skończyliśmy jeść, może przejdziemy do salonu? Nie mogę się już doczekać, żeby usiąść do pianina.

Wszyscy ruszyli w stronę drzwi, tylko Nancy została tam, gdzie była.

Nie miała zamiaru zmywać; po prostu nie chciała ryzykować. W głowie nadal jej szumiało, więc wdrapywanie się po schodach mogło się różnie skończyć... Teraz potrzebowała paru filiżanek mocnej herbaty.

Sybil obrysowywała starannie oczy czarnym patyczkiem kohl, roztarła brązowy cień na powiekach i wyszczotkowała rzęsy tuszem. Odwróciła się do lustra w damskiej toalecie, by sprawdzić efekt. Jej oczy wydawały się ogromne nad mocno uróżowanymi policzkami i wargami, pomalo-wanymi czerwoną szminką.

Właściwie z trudem się rozpoznawała.

— Nie mogę uwierzyć, że to ja —
szepnęła.

— Bo to nie ty, a ta druga, to nie ja —
uśmiechnęła się Anne Purcell,
porucznik, w pełnym makijażu, tak samo
jak Sybil. — Ty masz na imię Yasmin, a
ja Fatami, i jesteśmy egzotycznymi
hinduskimi tancerkami.

Dziś jest Boże Narodzenie i mamy
tańczyć przed całym tłumem mężczyzn i
kobiet, głównie mężczyzn, zresztą już
kompletnie pijanych. I którzy, jeśli się
nie mylę, powitają nas chóralnymi
gwizdami i kocią muzyką. —

Przyjrzała się sobie w lustrze, jakby się nad czymś zastanawiała. — Wiesz co? Naszła mnie chętka, żeby sobie przyczepić taki śliczny mały cekinek w kąciku nosa, ale się boję, że go później nie zdejmę.

— A co powiesz na pieprzyk? Można go będzie łatwo zmyć razem z makijażem.

— Świetny pomysł! — Anne namalowała sobie maleńki pieprzyk nad górną wargą. — Wiesz, Sybil — powiedziała z błyskiem w oku —

naprawdę strasznie się cieszę, że to ty przejęłaś tę rolę po Hettie, kiedy tamta się zbiesiła. Jesteś o wiele lepsza niż ona. Ty się naprawdę pięknie ruszasz, a

Hettie była sztywna jak kij od szczotki. I pomyśleć, że cię zawsze uważałam za ważniaczkę, co to lubi zadzierać nosa.

— Właściwie sama nie wiem, co we mnie wstąpiło — wyznała Sybil —

że się zgłosiłam do tego tańca. — Zrobiła to prawdopodobnie dlatego, że wszyscy młodzi oficerowie w bazie w taki czy inny sposób uczestniczyli w koncercie z okazji Bożego Narodzenia, a ona czuła się trochę poza nawiasem; zaledwie kilka tygodni temu usłyszała, jak Anne i Hettie Bartholomew kłócą się zażarcie w kasynie. Okazało się, że obie się zgodziły zatańczyć podczas koncertu, pod warunkiem że zaraz po ich występie dwaj mężczyźni zrobią striptiz;

tymczasem Hettie z miejsca się wycofała, kiedy zobaczyła kostiumy. Według niej były nieprzyzwoicie skąpe.

419

— A co będzie, jeśli mój narzeczony się o tym dowie? — pytała nerwowo.

— Dowie się tylko wtedy, kiedy mu sama o tym powiesz — parsknęła Anne — a nawet gdyby się dowiedział, to przecież jeszcze nie znaczy, że go zdradziłaś.

— No pewnie, że nie... ale będę się czuła tak, jakbym go zdradziła.

Nie, Anne, za nic w świecie się w tym

nie pokażę! Już postanowiłam. —

By uniknąć wysłuchiwania dalszych argumentów „za”, Hettie wyszła z kasyna z miną wskazującą na to, że właśnie podjęła poważny krok w kierunku moralności.

— Kurwa! — powiedziała Anne ze złością, do nikogo konkretnego. —

I co ja teraz zrobię?

— Ja za nią zatańczę — zaproponowała Sybil pod wpływem impulsu.

— Ty...?! Ale jak to? Przecież kiedy wywiesiliśmy na tablicy listę z prośbą o zgłaszanie się ochotniczek, które

pomogą w koncercie, chyba ty jedna nie wpisałaś swojego nazwiska!

— To było dawno temu, wtedy nie miałam nastroju.

Wtedy jeszcze myślała dniem i nocą o Jonathanie, nadal zraniona tym, co się działo na jego pogrzebie. Miała już po dziurki w nosie listów mamusi, która bez przerwy pisała o tym zbójcu, opowiadała, jak ze sobą korespondują co tydzień i jaką to jest dla niej podpora; poza tym bez przerwy wychwalała Seana: „Twój nowy przyrodni braci-szek... w każdym razie masz teraz nowego przyrodniego brata na miejsce Jonathana, kochanie, bo ja już na pewno nie będę mieć kolejnego syna". Tak

jakby Sean, dziecko, którego nigdy nie widziała, ba, nawet nie chciała widzieć, miał zastąpić w jej sercu Jonathana! Ta uwaga była tak wysoce nietaktowna, że Sybil przestała w ogóle pisać do matki.

We wrześniu poczuła się trochę lepiej i nawet polubiła swoje odpowiedzialne stanowisko oficera w biurze pułkownika Samsona. Była w całkiem niezłych stosunkach z czterema maszynistkami, które wprawdzie niełicho ją obgadywały za plecami, ale było to normalne, więc nie przejmowała się tym ani trochę. Prócz tego doszła do wniosku, że kocha Indie. Pokochała tutaj ludzi, którzy w przeważającej większości byli dobrzy i hojni, a przy

tym niewiarygodnie dziecinni. Tyle że często trudno jej było wytrzymać żar, który lał się z nieba, owady dokuczały jak cholera, węże przerażały, a jedzenie było albo przepyszne, albo wręcz obrzydliwe.

420

Sybil najbardziej lubiła wieczory, kiedy robiło się chłodno i mogła wędrować po słabo oświetlonych bazarach, podobnych do skarbcza Alla-dyna, pełnych kramów z biżuterią wyrabianą przez hinduskich złotników, jedwabnych szali i sukien, stert barwnych toreb z tłoczonej skóry i pięknych ozdób. Gdyby sobie nie narobiła wrogów w całym — bez przesady —

Liverpoolu, mogłaby teraz kupić
wszystkim prezenty, bo te cuda cudeńka
były po prostu śmiesznie tanie.

— Zanim się ostatecznie zobowiążesz
— powiedziała wtedy Anne —

lepiej pokażę ci najpierw kostiumy.
Mam je w swojej kwaterze, ale
ostrzegam — są naprawdę skąpe.

Kostium Anne był różowy, Sybil — w
kolorze przytłumionej żółcieni.

Obydwa składały się z kusych,
odsłaniających brzuch jedwabnych
bluze-czek z krótkimi rękawkami i z
półprzezroczystych bufiastych

szarawarów, ściągniętych w kostkach wstążkami, na których dyndały małe dzwoneczki.

Wszystko to było usiane cekinami, kamyczkami i miniaturowymi lusterkami, włącznie z ozdobą na głowę: woalem zakrywającym pół twarzy. Całości dopełniały dziesiątki złotych bransolet i pierścieni, wielkich jak kastety.

— Co o tym sądzisz? — spytała Anne.

— Widzisz tu jakieś pantofelki, bo ja nie... No właśnie, tańczymy boso. Poza tym pod kostiumem musimy mieć różowe i żółte majteczki.

— No cóż. Jeśli ty jesteś gotowa

wystąpić w czymś takim przed licznie zgromadzoną publicznością... to ja też.

Anne była praktyczną młodą kobietą o różowych policzkach. Przed wojną grała w hokeja w reprezentacji szkoły. Sybil nie mogła sobie wyobrazić, żeby ta dziewczyna zrobiła kiedykolwiek coś, co byłoby choć trochę karygodne.

— Przymierzmy? Trzeba się przekonać, czy pasują. A potem ci wytłumaczę, jak tańczyć. To właściwie bardzo proste: kilka kroków w tę stronę, kilka kroków w tamtą i trzeba przy tym dużo wymachiwać rękami.

To wszystko ma być oczywiście żartem, tak samo jak ten męski striptiz, ale, jak

mawia zawsze moja babcia — tu Anne zacisnęła wargi w wąską kreskę — jeżeli coś jest warte, by to robić, trzeba to robić dobrze. Więc postanowiłam, że damy świetny pokaz.

— Jestem tego samego zdania — zgodziła się z nią Sybil.

— Kupiłam książkę o tańcu hinduskim — ciągnęła Anne — ale możemy tylko obejrzeć obrazki, bo tekst nie jest, niestety, po angielsku.

Każdy gest coś oznacza, a my się musimy nauczyć je zsynchronizować.

Aha! Trzeba będzie jeszcze zastanowić się nad makijażem.. i też trochę 421

potrenować. Nie wiem jak ty, ale ja nigdy w życiu nie używałam tuszu ani cieni do oczu.

— Ja też nie.

Anne była bardzo wymagająca, codziennie ćwiczyły w jej kwaterze, aż wszystkie ruchy miały już w małym paluszku: posunięcia stóp, kołysanie biodrami, uginanie kolan, rzucanie głową w różne strony, tak by ramiona pozostały nieruchome.

A dzisiaj była Wigilia.

Kasyno było pełne — nie tylko oficerów piechoty, ale też ludzi z RAF-u i z marynarki.

Rozległo się pukanie i jakiś głos
zawołał:

— No jak tam, dziewczęta? Gotowe?
Mam zapowiedzieć?

— Jak uważasz, Yasmin? — spytała
Anne nerwowo, jakby nagle
wystraszona.

— Jeśli ty jesteś gotowa, Fatimo, to ja
też.

Sybil zakryła twarz welonem, który
ukrywał wszystko z wyjątkiem oczu.

Anne poszła za jej przykładem i Sybil
popchnęła ją delikatnie w stronę drzwi.

Może powinna wybrać karierę estradową? Uwielbiała śpiewać w chórze, a teraz naprawdę niecierpliwie wyczekiwała chwili, kiedy zatańczy przed publicznością.

— No, chodź, zaczynamy.

Oczywiście stało się tak, jak się tego spodziewały. Kiedy dziewczęta weszły tanecznym krokiem do kasyna, spotkało je rozwrzeszczane, roz-radowane powitanie — eksplozja pisków, gwizdów i okrzyków radości tak gigantyczna, że aż się ziemia trzęsła. W tym ogłuszającym hałasie zupełnie przepadł dźwięk sitar i małych bębenków, na których grali dwaj

hinduscy muzycy wynajęci na ten wieczór.

Kiedy dotarły na środek sali, przystanąły, wspólnie klasnęły w dłonie, jakby się modląc, i skromnie się ukloniły, wzbudzając ponowną burzę okrzyków.

Zaczęły tańczyć. Najpierw powoli, niespiesznie huśtając biodrami i poruszając leniwie rękami, jak smukłe drzewa kołysane lekkim wiet-rzykiem. Sybil wyobraziła sobie, że ten wiatr staje się coraz silniejszy.

Zaczęła tańczyć coraz szybciej, aż zabręczały dzwoneczki na jej kostkach i słyszała, jak bransolety na jej rękach

przesuwają się w górę i w dół, w górę i w dół, wydając dźwięki podobne do gam, granych na roz-422

strojonym pianinie. Była teraz Yasmin, hinduską dziewczyną, tancerką, wirującą jak bąk; wiedziała, że Fatima wykonuje razem z nią wszystkie te ruchy, kręci biodrami i uderza stopami w drewnianą podłogę. Syn-chronizacja idealna... Wargi Sybil pod welonem wygięły się w kuszącym uśmiechu, a podmalowane oczy zapraszały najbliższych stojących mężczyzn.

Zwłaszcza jednego, który stał samotnie z boku. Był wysoki, ciemnowłosy, wąski w biodrach i w pasie, ubrany w biały mundur — oficer marynarki. Wpatrywał

się w nią z podziwem.

Teraz tańczyła już tylko dla niego, dla nikogo więcej, jakby ofiarowując się temu mężczyźnie. „Weź mnie”, mówiło jej ciało. „Weź mnie, już nie jestem Sybil Allardyce. Mogę robić to, co chcę, być tym, kim zechcę.

Jestem Yasmin, tancerka”.

Muzyka umilkła, co ją zaskoczyło, i taniec skończył się finalnym, dramatycznym piruetem.

Dziewczęta pobiegly do drzwi, ścigane tak głośnymi okrzykami zachwyty, że sufit groził zawaleniem. Wszyscy wołali: „Jeszcze, jeszcze!”.

— Nie mogłabym już zrobić nawet jednego kroku więcej — wy dyszała Anne, kiedy się znalazły na zewnątrz. — Cała spływam potem. Do licha, Sybil, tańczyłaś tak szybko, że miałam kłopot z utrzymaniem tempa.

Sybil zamrugwała.

— Naprawdę? W takim razie bardzo cię przepraszam. — Czar przestał

działać i czuła się teraz słaba i bez życia. — Mogłabym tak tańczyć całą noc. Nie miałam ochoty przestać.

— Muszę się czegoś napić. Przynieść ci coś zimnego?

Anne znów była sobą — byłym kapitanem drużyny hokeja, tyle że w jaskrawym kostiumie i z za mocno umalowaną twarzą.

— Nie, dziękuję. Chyba posiedzę przez chwilę na werandzie.

Przez tę chwilę musi się przyzwyczaić... i z powrotem się stać Sybil Allardyce.

Noce w Indiach były zaskakująco chłodne, stanowiły niejako odtrutkę na upalne i wilgotne dni. Sybil usiadła na werandzie w wyplatany fotelu i zadrzała, ale nie miała jeszcze ochoty zmieniać kostiumu na coś cieplejszego. Chciała być Yasmin... tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

Z dachu werandy zwisały kolorowe lampiony, każdy ze świecą w środku; paliły się równym płomieniem i rozsiewały wokół zapach piżma.

Niebo miało barwę świetlistego szafiru, lśniły na nim ogromne gwiazdy.

423

Była tu sama — była jedyną osobą, która nie poszła na koncert w kasynie oficerskim, z którego dochodziły wybuchy śmiechu. Prawdopodobnie to męski striptiz budził taką radość, a może Ted Loquist, brzuchomówca, którego interlokutorem była złota rybka.

— Zaziebisz się — odezwał się jakiś

głos. — Może ci coś przynieść, żebyś narzuciła na plecy...?

Wysoki oficer marynarki musiał wyjść z kasyna w ślad za nimi. Jego biały mundur odcinał się wyraźnie od ciemnego błękitu nieba.

— Proszę.

Był niesamowicie atrakcyjny; ucieszyła się, że przyszedł, ale też trochę się złąkła. Z jednej strony miała nadzieję, że nie wziął dosłownie jej zapraszających spojrzeń, z drugiej zaś oczekiwała, że jednak tak.

— Będę za chwilę. — Odszedł.

Zastanawiała się, co też jej przyniesie.
W kasynie nie było żadnych jej rzeczy.

Wrócił z gazową etolą, którą znalazł na
poręczy krzesła.

— Pochyl się do przodu, zarzucę to na
ciebie.

Pochyliła się i poczuła na szyi i
ramionach jego gorące dłonie.

— Tak lepiej?

Krzesło zatrzeszczało, kiedy siadał obok
niej.

— Jesteś Yasmin czy Fatima?

Sybil uśmiechnęła się, zadowolona, że może jeszcze trochę poudawać.

— Yasmin.

— Zabójcza z ciebie tancerka, Yasmin.

— W jego akcencie było coś dziwnie znajomego.

— Staram się — odparła skromnie. — Jesteś z Liverpoolu?

— W rzeczy samej. A ty? Skąd pochodzisz?

— Ja się urodziłam tu, w Bombaju. Moja matka była tancerką, a ojciec oficerem. Zginął podczas rozruchów Indian Mutiny*.

Parsknął śmiechem.

— Rebelia Indian Mutiny była prawie sto lat temu.

— No, to w jakimś innym buncie. —
Wzruszyła ramionami i beztrosko
machnęła ręką, rozbawiona. Już od
dawna nie flirtowała z żadnym
mężczyzną. Teraz, kiedy mogła dobrze
mu się przyjrzeć, miała wrażenie, że już
go gdzieś spotkała, ale nie umiała sobie
przypomnieć nikogo

* Indian Mutiny (bunt hinduski) —
rebelia hinduskiej armii brytyjskiej w
1857

roku.

z Liverpoolu, kto wstąpił do marynarki.
— A ty jak masz na imię? —

spytała.

— Rudolf Valentino — odpowiedział,
przyłączając się do zabawy. —

Powiem ci, ale dopiero wtedy, kiedy ty
mi powiesz, jak się naprawdę nazywasz.

Ledwie skończył mówić, skojarzyła
sobie, kim jest siedzący obok niej
mężczyzna.

To był Tyrone Caffrey, którego widziała
ostatni raz, kiedy miał bodaj trzynaście

lat. Był od niej starszy o cztery lata. Jego żona i syn zginęli w czasie nalotu, a on wstąpił do Marynarki Handlowej i od razu został

oficerem. Mamusia bardzo się wtedy złościła. „To nie w porządku —

pisała jej. — Tyrone zawsze był trochę łotrzykowaty, i nie tylko to. Kiedy miał czternaście lat, już zakończył naukę w szkole, podczas gdy Jonathan uczył się pilnie aż do osiemnastego roku życia — i ani śladu awansu!

Oczywiście możesz sobie wyobrazić, jak Brenna się teraz chwali przed wszystkimi".

Tyrone Caffrey! Kiedyś się trochę w nim durzyła, choćby dlatego, że dawał jej do zrozumienia, że jej nie znosi.

Nie powinien się nigdy dowiedzieć, kim ona jest.

Zjawił się kelner i Tyrone spytał, czy chciałyby się czegoś napić.

Poprosiła o sok pomarańczowy, a on zamówił dla siebie whisky z wodą sodową. Kelner odszedł.

— Nigdy nie zdejmujesz welonu z twarzy? Nawet kiedy coś pijesz...

— Oczywiście, że zdejmuję.

Odrzuciła welon. Spojrzał jej prosto w twarz, ale nie zauważyła, by ją rozpoznał.

— Przecież mogę się bez trudu dowiedzieć, kim jesteś, wiesz o tym.

Wystarczy, że wejdę zaraz do kasyna i spytam kogoś, jak się nazywa ta wspaniała tancerka w żółtych szarawarach. — Akurat o tym nie pomyś-

łała. — Ale nie zrobię tego — dodał ku jej wielkiej uldze. — I ja lubię udawać kogoś, kim nie jestem, chociaż... gdyby to było na filmie, Rudolf Valentino i Yasmin musieliby przeżywać namiętny romans w namiocie, w samym sercu

pustyni. A na końcu on wywiózłby ją gdzieś na swoim wielbłądzie i byłiby szczęśliwi do końca życia. — Objął ramieniem poręcz jej krzesła i poczuła na twarzy jego oddech. — Chciałabyś, żeby tak było, Yasmin?

— Tak — wyszeptała. — Bardzo!

Delikatnie przytulił wargi do jej ust.

425

Sybil poczuła, jakby w jej piersi zapłonął ogień, a kiedy jego pocałunek stał się mocniejszy, płomienie były coraz gorętsze, a Sybil poczuła rosnące pożądanie. Namiętnie oddała mu pocałunek i jęknęła, kiedy pieścił dłonią

nagą skórę jej pleców, których nie zasłaniała kró-

ciutka bluzeczka. Mężczyźni dotykali jej już w dużo bardziej intymne miejsca, wiele razy, ale tego dotknięcia nie dało się z niczym po-równać.

W tym momencie nagle, nie wiadomo skąd, przyszło wspomnienie.

Malta i wszystko, co się tam wydarzyło.

Odepchnęła go i chciała wstać z krzesła.

— Pewnie teraz będziesz opowiadał wszystkim po kolei, że Yasmin łatwo zaciągnąć do łóżka, i już z samego rana cały obóz będzie wiedział, co się

wydarzyło! — ofuknęła go z pretensją w głosie.

Opadł na poręcz krzesła, zdziwiony i jakby zraniony.

— To byłaby zwykła podłość. Ani przez chwilę tak nie myślałem.

— Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Lubią się chwalić swoimi pod-bojami.

„Był trochę łotrzykowaty”, pisała o nim matka. Sybil przypomniała sobie, że się ożenił, kiedy miał zaledwie osiemnaście lat.

— Nie wszyscy mężczyźni. Musiałaś mieć do czynienia z tymi nie-

odpowiednimi. — Jego zdziwienie ustąpiło miejsca oburzeniu. — Ty naprawdę musisz się nauczyć ufać ludziom, Sybil.

— Sybil! — Poczwała, że krew jej uderza do głowy. — Ty draniu!

Tyronie Caffrey! Wiedziałaś od samego początku!

— Chyba nie ja jeden. Od razu cię rozpoznałem. Masz coś takiego w sposobie trzymania głowy... powiedziałbym, że coś aroganckiego. —

Parsknął śmiechem. Sybil zapragnęła nagle stąd uciec i zaraz potem umrzeć. — Zawsze byłaś przemądrzałą małą

dama.

Pojawił się kelner z napojami i Tyrone poprosił Sybil, żeby znów usiadła.

— Nie! — odparła, nadal próbując się oddalić. — Dlaczego się nie przyznałeś, że wiesz, kim jestem? Powinieneś to zrobić!

— A ty? Ty też nie powiedziałaś, że mnie rozpoznałaś. No, pomyśl tylko. Co takiego straszego by się wtedy stało? Bo chyba nie koniec świata...
Rozmawialibyśmy o naszych rodzinach? Jak się miewa twoja matka, jak moja? Ach, co za niespodzianka, że nasz Fergus żeni się z Fielding! I tak dalej, w tym samym stylu.

Patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek, a ona poczuła, że pod wpływem tego spojrzenia serce zaczyna jej gwałtownie bić.

426

— Wtedy na pewno nie całowalibyśmy się, prawda, Sybil? A tego właśnie pragnąłem najbardziej, kiedy zobaczyłem cię tańczącą... całować cię.

— Klepnął dłonią krzesło i szepnął kusząco: — Usiądź, zrobimy to jeszcze raz. Obiecuję, że nikomu nie pisnę ani słówka.

Potrząsnęła głową.

— Najpierw muszę się przebrać. —

Miała już dość przebrania i roli Yasmin. Ostatecznie Tyrone chciał całować Sybil, a nie nieznaną dziewczynę, która udaje, że jest kimś innym.

— Niezły pomysł. Poczekam tu na ciebie.

Sybil weszła powoli do kwatery, czując, jak przenika ją od stóp do głów fala emocji. Co za noc! A to jeszcze nie koniec — jeszcze bardzo wiele rzeczy może się dziś wydarzyć.

Już u siebie w pokoju zrzuciła żółty kostium, złożyła go starannie na krześle, pozdejmowała biżuterię, następnie zmyła z twarzy makijaż —

musiała to zrobić dwa razy, żeby pozbyć się resztek szminki. Bez makijażu jej twarz wyglądała blado i mało wyraziście — jak naga.

Włożyła białą bluzkę bez rękawów, jasnoniebieską bawełnianą spódniczkę, na bose stopy wsunęła hinduskie sandaalki z jednym paskiem i wąskim kawałkiem skóry rozdzielającym palce stóp.

Wreszcie się uczesała, ściągnęła włosy z tyłu głowy białą wstążką, a w uszy włożyła małe kolczyki z perełek. Kiedy spojrzała w lustro, stwierdziła, że dziewczyna, którą widzi, chyba nie mogłaby być mniej podobna do tej, w którą wcieliła się tej nocy.

Im dłużej patrzyła, tym bardziej była przekonana, że musiała po prostu zwariować. Normalni ludzie nie przyjmują fikcyjnej tożsamości z taką pasją, jak ona to dziś zrobiła.

Przypomniała sobie, że na werandzie jest zimno, wzięła więc jeszcze biały sweterek i szybko wyszła.

Dookoła nie było żywej duszy, kiedy szła, coraz wolniej, z powrotem w stronę kasyna oficerskiego. Na niebie było teraz jeszcze więcej gwiazd.

Koncert wciąż trwał — słyszała muzykę; trzy dziewczyny, które wcieliły się w trio Andrew Sisters śpiewały The Boogie Woogie Bugle Boy from

Company B*.

Dziwnie było pomyśleć, że za parę minut będzie znowu siedziała na werandzie, akurat z Tyrone'em Caffreyem! — i że on ją będzie całował, a ona jego. Nie, to więcej niż dziwne, to zupełnie wyjątkowe! Znali się

* The Boogie Woogie Bugle Boy from Company B — piosenka o karierze wojskowej chłopca z trąbką, przebój znanego trio wokalnego Siostry Andrew.

427

kiedyś w Liverpoolu, ale od tego czasu on się bardzo zmienił, był

wyrobiony i pewny siebie — światowy mężczyzna. Ale i ona się przecież zmieniła, chociaż nie miała pojęcia, kim się stała teraz — bardziej zagubioną niż kiedyś, nie wiedzącą, gdzie jest jej miejsce na ziemi, kobietą?

I odrobinę szaloną! Czy Tyrone przebolewał już śmierć swojej żony? —

zastanowiła się w duchu. Miała na imię Maria... Sybil nigdy jej nie poznała, ale matka mówiła, że była śliczna. Może po prostu chciał się posłużyć Sybil, żeby łatwiej było mu zapomnieć...

Och, jakie to w końcu ma znaczenie? Ważne było tych następnych kilka godzin. A potem wszystko się może

zdarzyć. Albo w ogóle nic.

Podeszła do kasyna, ku swojemu przerażeniu odkryła jednak, że na werandzie nikogo nie ma. Pewnie znudziło mu się czekanie... a może uznał, że nie warto na nią czekać?

Ale wtedy drzwi kasyna się otwarły i pojawił się on — trzymał

coś w ręku.

— Jemioła! — zawołał, kiedy ją zobaczył. Machnął jej gałązką przed oczami. — Zerwałem ją na wypadek, gdybyś nie chciała się ze mną znów całować!

Jakżeby mogła tego nie chcieć?

Rozdział 16

MAJ 1943

Cara zbudziła się, przypomniała sobie, jaki dziś dzień, po czym rzuciła się do okna, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Rozsunęła zasłony i wydała cichy okrzyk — widać było tylko gęstą, białą jak śnieg mgłę, która unosiła się tuż przy oknie.

— O Boże, Boże, spraw, żeby ta mgła się szybko rozwiała! — modliła się głośno.

Drzwi się otworzyły i weszła Fielding

w piżamie.

— Ładny mi dzień na ślub, co? —
mruknęła — Nie będę mogła nic
rozpoznać w kościele i mogę nawet
wyjść za innego mężczyznę. Albo
samochód mnie zawiezie nie do tego
kościółka, co trzeba, i też wyjdę za
jakiegoś Johna... albo Bena.

— Nie bądź idiotką. Przecież w
kościółce nie będzie mgły.

— Skąd wiesz?

— W domu nie ma mgły, prawda?

— No nie — zgodziła się Fielding. —
Chyba się rozmyślę co do ślubu z tym

twoim Fergusem.

— Tylko spróbuj, to cię zabiję. Wszyscy cię zresztą zabijemy. Umrzesz tysiącem śmierci. Szykujemy się do tego wydarzenia od miesięcy. W żadnym razie nie wolno ci się rozmyślić, Fielding.

— OK... — Fielding posłusznie kiwnęła głową. — Nie rozmyślę się.

Słowo honoru.

— Kąpałaś się już?

429

— Nie.

— No, to wskakuj migiem do wanny. Jest wpół do ósmej, więc nie mamy zbyt dużo czasu.

— Wychodzę za mąż dopiero o drugiej po południu.

— Zgadza się, ale jest jeszcze milion rzeczy do zrobienia — surowo stwierdziła Cara. — O dziesiątej masz fryzjera.

— No, to mogę się kąpać całe dwie i pół godziny! — Fielding pokazała Carze język i wymaszerowała z pokoju, mijając się w drzwiach z Nancy.

— Kitty i Sean są w kuchni, jedzą śniadanie. Pomyślałam, że lepiej ci o

tym powiem, bo jeszcze byś się zlekła,
że w nocy ktoś ci porwał dzieci.

Wchodzisz do ich pokoju, a tu ani śladu
po twoich skarbach...

— Same zeszły na dół?

— Wyobraź sobie, same, samiutkie! Za
rączkę — i z bardzo ważnymi minami.

— Małe diabełki — powiedziała z
czułością Cara, chociaż uznała, że musi
nakazać Kitty, żeby więcej tego nie
robiła. Sean miał dopiero siedemnaście
miesięcy, a schody były strome.

Dzieciom powinien zawsze towarzyszyć
ktoś starszy podczas takiej operacji. —
Zaraz schodzę. Tylko coś na siebie

narzucę.

— A ja lepiej pójdę do dzieci.

Widziałaś, jaka mgła? Miejmy nadzieję, że się niedługo rozejdzie.

Kiedy Cara zeszła na dół, w kuchni była już jej matka z naręczami kwiatów, które przyniosła z targu: czerwone róże, różowe goździki, fioletowe bratki, paprocie i gipsówka.

Brenna też narzekała na mgłę.

— Ledwie mogłam zobaczyć własne ręce, i to tuż przy twarzy! Dałby Bóg, żebyśmy do południa mieli piękne słońeczko...

Obie siadły przy stole i zaczęły szykować bukiet dla panny młodej, wiązanki dla druhen (Cary i Kitty) i kwiatki do butonierek dla całej reszty.

Nancy dała im pakiet srebrnego papieru, który zbierała od dłuższego czasu — żeby można było owinąć łydźki, a Kitty rwała się do pomocy.

Złapała różę i skaleczyła sobie rączkę kolcem.

— Co to, mamuńku? — zapytała z ciekawością na widok strużki krwi spływającej jej po dłoni.

— To krew, moje maleństwo. Nancy, mogłabyś jej coś przyłożyć?

Kitty, nie wolno ci dotykać kwiatków,
dopóki ja i babcia nie poobcinamy
kolców.

430

— Niesłychane, ona wcale nie płakała
— zdumiewała się Brenna. —

Gdybyś ty, Cara, zrobiła coś takiego w
jej wieku, darłabyś się jak opętana!

— Nieprawda.

— Wcale by się nie darła, Brenno —
wtrąciła Nancy. — Była bardzo dzielną
dziewczynką.

— Och, dobrze, już dobrze... może to

był Fergus. Wiem, że jedno z was wrzeszczało na sam widok krwi.

— Może damy róże do bukietu, bratki dla mnie i Kitty, a goździki do butonierek? — Cara spojrzała pytająco na matkę.

— Moim zdaniem to naprawdę dobry pomysł, kochanie. Ile potrzeba tych butonierek?

— Zobaczymy. — Cara podniosła oczy i zastanowiła się. — Zaraz, zaraz... — Gdzieś to miała zapisane, ale nie mogła sobie teraz przypomnieć, gdzie to położyła.

— Trzy największe będą dla Fergususa,

Tyrone'a i taty.

Fergus nalegał, żeby zaprosić tatę na ślub, i mama się zgodziła, uznawszy, iż tak po prostu wypada. I nie tylko to — obiecała nawet, że będzie dla niego uprzejma. Ponieważ ojciec i macocha Fielding nie chcieli przyjechać, tłumacząc, że nie są w stanie odbyć tak dalekiej podróży z Devonu, Colm zaofiarował się, że poprowadzi pannę młodą do ołtarza i przekaże ją narzeczonemu. Nawet Tyrone'owi udało się przyjechać, został mianowany drużbą, więc po raz pierwszy od lat wszyscy Caffreyowie znów byli w komplecie.

— Dwa kolejne duże dla ciebie i Nancy

— wyliczała dalej Cara —

i małe dla Eleanor, Hectora, Olivera, trzech Amerykanów i tych dwunastu kolegów Fergususa z pracy.

— To razem ile? — spytała Brenna.

— Nie mam pojęcia — westchnęła Cara.

— Pięć dużych i osiemnaście małych — podsumowała Nancy.

— Możemy zranić uczucia Eleanor, jeśli nie dostanie dużej butonierki.

— W porządku, mamó, wobec tego sześć dużych i siedemnaście małych.

Czy mamy dosyć agrafek?

— Są w torbie razem ze sreberkiem —
odparła Nancy. — Aha, jeszcze jedno...
Byłabym wdzięczna, gdybyście
poprosiły o ich zwrot, zanim wszyscy
się rozejdą do domów. Zostało mi już
naprawdę niewiele, a sreberko to
również towar deficytowy.

Weszła Fielding w szlafroku, po kąpieli.

431

— Przez pomyłkę umyłam włosy. Na
śmierć zapomniałam, że idę do fryzjera.
Wiecie, że już wyjrzało słońce?

Brenna i Cara rzuciły się do okna i

wychyliły na zewnątrz. Przez okna kuchni w suterenie słońce zaglądało do środka nie wcześniej niż w południe.

— Jest! — Brenna wydała westchnienie ulgi. — Chyba dzisiaj będzie cudny dzień.

— Ciudny dzień, ciudny dzień — powtarzał Sean, bębniąc łyżką po stole. — Ciudny dzień, ciudny dzień...

— A właśnie. Czy Sean nie powinien mieć butonierki? — zapytała Brenna.

— No coś ty, mammo! Zaraz by ją zjadł.

— A ja będę miała butonierkę? — wtrąciła się Kitty.

— Nie, moje maleństwo, tobie zrobimy coś innego. Śliczną wiązanę kwiatków.

— Obiecuję, że jej nie zjem, mamuńku.

— Grzeczna dziewczynka.

— Długo jeszcze będziecie się bawić tymi kwiatami? — huknęła Nancy. — Chciałabym zacząć robić kanapki, a wy mi tu tylko zawa-dzacie.

— Oj, chyba jeszcze długo nam się zejdzie. Może przenieśmy się do jadalni, co, mamó?

— Pewnie, tak będzie najlepiej.

— Ale i tam nie siedzicie nie wiadomo

ile — upominała je Nancy. —

Zaraz muszę nakrywać do stołu.

Przyjęcie ślubne miało się odbyć na Parliament Terrace. W programie był przewidziany zimny bufet, ustawiony w jadalni, wystarczająco wielkiej, żeby pomieścić wszystkich gości, pod warunkiem że nie będą chcieli

„się rozsiadać”. Po skończonych toastach każdy będzie mógł znaleźć sobie jakieś miejsce w tym wielkim domu — i przycupnąć ze swoim talerzykiem.

— Przestań dokuczać, Nancy — mruknęła Cara.

Kiedy zabierały ze sobą pęki kwiatów, rozległo się pukanie. Nancy poszła otworzyć i wróciła z gigantycznym tortem weselnym: miał trzy poziomy, a na samym szczycie figurki młodej pary. W przeciwieństwie do Fergususa, który tego dnia włożył nowy szary garnitur, figurka pana młodego była w cylindrze i we fraku.

— Wygląda jak Fred Astaire —
zauważyła Brenna.

432

Nancy stuknęła w tort. Odpowiedział jej głuchym dźwiękiem. Był z tektury, a w jego wnętrzu miał się

pomieścić o wiele mniejszy, ale za to prawdziwy tort, który Nancy sama przygotowała. To był jeden z uroków wojennej rzeczywistości: w sklepach już od dawna nikt nie widział lukru, owoce tylko z rzadka, jajka były prawdziwym rarytasem, o orzechach wszyscy już dawno zapomnieli, tak więc o tortach na wielkie okazje, jak śluby czy chrzciny, można było tylko pomarzyć. Ratowano się imitacjami

— wyłącznie na pokaz, a torty do zjedzenia były też jedynie nędzną imitacją prawdziwych.

Amerykanie zaofiarowali się wprawdzie, że dostarczą jedzenie na całą ucztę, ale Fielding stanowczo

odmówiła:

— To nie byłoby w porządku. Jest wojna i wolę mieć wojenne wesele, na które każdy przyniesie to, co będzie mógł. Jestem pewna, że tak będzie o wiele przyjemniej.

Cara już była skłonna przyznać jej rację, ale Brenna i Nancy uznały, że Fielding jest po prostu szalona. Brenna powiedziała jej to nawet w typowy dla siebie bezceremonialny sposób, Fielding pozostała jednak nieprzejednana i nadal potrząsała przecząco głową.

— To moje wesele, a ja nie chcę mieć nic więcej niż każda dziewczyna, która dziś wychodzi za mąż. Czułabym się

niezręcznie, siedząc nad półmiskami z szynką na zimno, pieczonym kurczakiem i świeżymi pomidorami czy różnymi tam marynatami, jakie sobie tylko można wyobrazić, z biszkoptami z górą owoców i bitą śmietaną na deser. To już naprawdę wolę kanapki z mięsem z puszki i tak dalej. Jankesi mogą przynieść ze sobą, co zechcą, jak każdy inny gość, ale nic ponadto.

To było prawdziwe wyzwanie — zgromadzić tyle jedzenia, żeby nakarmić dwadzieścia siedem osób, w tym młodą parę, ale Fergus bez przerwy znosił z pracy puszki z owocami i mięsem, które dostawał od kolegów, a Brenna, Eleanor i Nancy codziennie przetrząsały sklepy

w poszukiwaniu różnych smakołyków. Dzięki temu udało im się zdobyć cztery puszki sardynek w oliwie i cztery w pomidorach, pudełko herbatników w czekoladzie (nie wyglądały zbyt świeżo), ćwierć kilograma różnych owoców, trzy pęknięte jajka, dwa słoiki dżemu, torbę mąki pyłowej i paczkę papierowych serwetek. Rybki miały być użyte do kanapek, jajka i owoce do tortu, a dżem i mąka zamieniły się w kruche ciasto z dżemem. Herbatniki miały zostać dekoracyjnie ułożone na jednej z serwetek — przynajmniej wyglądały ładnie, nawet jeśli nie nadawały się do jedzenia...

Cara i Brenna zabrały kwiaty na górę. Kitty została w kuchni, żeby pomagać Nancy w szykowaniu kanapek, a Sean przyglądał się temu z ciekawością, od czasu do czasu uderzając w stół łyżką, jakby chciał

wszystkim przypomnieć o swoim istnieniu. Fielding kręciła się po mieszkaniu, jakby nieco zagubiona w ferworze przygotowań. Cara poradziła jej wysuszyć włosy i przyszykować się do fryzjera.

— Może chcesz, żebym ci pomogła?

— Dzięki, sama potrafię sobie wysuszyć włosy — padła krótka odpowiedź.

— Nie rozumiem, po co ona chce w ogóle iść do tego fryzjera —

zauważyła Brenna. — Jej loczki wyglądają ślicznie — i tak naturalnie.

Spójrz, w miarę jak schną, skręcają się w takie słodkie pierścionki.

— To był jej pomysł, mamó.

Fielding wyszła, natomiast pojawiła się Eleanor.

— Przyniosłam trzy bochenki chleba, do tego całe masło i margarynę, które miałam z przydziału — mówiła. — Mam teraz u siebie Hectora i przez cały weekend będziemy jedli suchy chleb.

Oliver zresztą też... —

Usiadła. — Nancy kazała mi wam pomóc przy tych kwiatach. Widocznie chce jak najprędzej mieć stół do swojej dyspozycji. Brenno, ten bukiet wygląda po prostu jak z kwiaciarni, a róże pachną cudownie. Więc co ja mam robić?

— Butonierki. — Brenna popchnęła pęk goździków w stronę Eleanor. — Jeden kwiatek, troszkę paprotki i gipsówki, potem to wszystko owijasz sreberkiem wokół łodyżek.

— A dlaczego niektóre mają po trzy kwiaty i dużo paproci i gipsówki?

— To dla ważnych gości.

— A które ja dostanę? — spytała Eleanor z napięciem w głosie.

— Ty? Taką dla ważnych osób, ma się rozumieć.

Eleanor odetchnęła.

— Jadalnia wygląda dziś przepięknie. Zawsze uważałam ją za strasznie ponurą... ale ten dom chyba wie, że ludzie, którzy teraz w nim mieszkają, są szczęśliwi. Wyczułam to natychmiast, jak tylko tu weszłam. Powietrze aż drży z radości.

Cara przyznała jej rację.

— Ja czuję to samo. Zresztą zawsze byłam tu szczęśliwa. No, w każdym razie przez większość czasu — ale dzisiaj szczególnie.

— Dla mnie powietrze jest tutaj takie jak zawsze. — Brenna liczyła gotowe butonierki. — Musimy zrobić jeszcze dziesięć sztuk. Och, słuchaj, 434

El, wiesz co? Nasz Tyrone przyjechał wczoraj zza morza i przywiózł

prezent ślubny od twojej Sybil — rzeźbiony stolik do kawy z jakiegoś egzotycznego drewna. Muszę przyznać, że bardzo fantazyjny. Aż trudno sobie wyobrazić, ile pracy trzeba było włożyć, żeby powstało coś takiego.

— Jakim u licha cudem Sybil spotkała Tyrone'a? — Oczy Eleanor były okrągłe ze zdumienia.

— Ja też byłam strasznie zaskoczona. Podobno spotkali się w Boże Narodzenie w Bombaju, a potem znowu w miesiąc później, kiedy jego statek zatrzymał się tam w drodze do domu. Zresztą Sybil każdemu przysłała prezencik. Tyrone wszystko przyniesie na przyjęcie.

— Ale chyba nic się za tym nie kryje, co...? — Eleanor wyglądała na dość zbulwersowaną. — To znaczy... nie łączy ich żaden romans, co?

Brenna zadarła głowę tak gwałtownie,

że aż coś jej chrupnęło w szyi.

— Nigdy bym na to nie wpadła, jak Bożę kocham. Twoja Sybil nie jest w typie Tyrone'a.

— Ani Tyrone w typie Sybil — odcięła się Eleanor.

— Nigdy jej nie lubił, kiedy byli mali.

— To ona nie lubiła jego!

— Wiecie, ale ludzie się przecież zmieniają — wtrąciła się szybko Cara.

Matka odwróciła się w jej stronę.

— Myślisz, że coś ich jednak łączy?

— Nic takiego nie myślę, mamó, po prostu mówię, że ludzie się zmieniają.

— Aż tak bardzo się nie zmieniają... — mruknęła Eleanor.

Weszła Nancy, niosąc na rękach Seana.

— Zasnął przy stole. Cara, złotko, połóż go lepiej na trochę. To pewnie dlatego, że dzisiaj tak wcześnie wstał, biedaczek.

Cara poderwała się ochoczo z miejsca. Była zadowolona, że nie musi uczestniczyć w tej pełnej napięć rozmowie. Mama i Eleanor mogły już za chwilę być znów najlepszymi przyjaciółkami pod słońcem, zanim to jednak nastąpi, Cara wolała oddalić się

na trochę.

Wzięła Seana z rąk Nancy. Od samego rana nie miała nawet chwili dla swoich dzieci.

— A co robi Kitty? — spytała.

— Właśnie ugniata sardynki na pastę do kanapek. Ani trochę mi nie przeszkadza.

— Czy mama ci mówiła — szepnęła Cara do Nancy, kiedy już wyszły z pokoju — że nasz Tyrone przywiózł prezent ślubny od Sybil? Podobno spotkali się w Bombaju.

— Nie, nic mi nie mówiła... — Nancy aż oczy zaślniły. — Ciekawe, w jakich oni są stosunkach?

— Nie mam pojęcia, ale podobno spotkali się znowu po miesiącu.

A teraz Eleanor i mama są przerażone, że łączy ich romans. — Uśmiechnęły się do siebie.

— To będzie kij w mrowisko, jeśli rzeczywiście tak jest... Brenna nie lubi Sybil, a Eleanor nigdy nie miała cierpliwości do Tyrone'a.

— Właśnie przed chwilą powiedziały sobie mniej więcej to samo. Na twoim miejscu, Nancy, przez jakiś czas nie

wchodziłabym do jadalni.

Atmosfera jest raczej lodowata.

Sean kręcił się w jej ramionach, więc Cara zaniósła go na górę i położyła do łóżeczka. Był już właściwie na tyle duży, żeby spać w normalnym,

„dorosłym” łóżku, ale od kiedy zaczął chodzić, miał skłonności do spacerów w nocy, więc łóżeczko z siatką było bezpieczniejsze. Wygładziła okrywające go prześcieradło, po czym siadła na łóżku Kitty i patrzyła na śpiącego synka, czując, jak serce wzbiera jej miłością.

Był uroczym chłopczykiem, na razie łagodnym jak baranek, choć

równocześnie tryskał energią i miał ogromne poczucie humoru. Zawsze ją zdumiewało, że ten malec dobrze wie, jak rozśmieszać innych — robiąc zabawne minki czy stając na głowie i patrząc na wszystkich spomiędzy nówek. Taka była z niego chytra bestyjka. Miał jak Marcus ciemne włosy, te same szare oczy i lekko oliwkową cerę. Modliła się, żeby, gdy już dorośnie, był szczęśliwszy niż jego ojciec — teraz wydawał się naprawdę szczęśliwy, bardzo możliwe jednak, że Marcus w jego wieku też był taki zabawny.

Kitty przydreptała do matki i wdrapała się jej na kolana.

— Zmęczyłaś się, moje maleństwo?

Może też byś się odrobinę zdrzemnęła?
— spytała Cara.

— Nie — odparła Kitty stanowczo.

Niemądre pytanie. Kitty nigdy, ale to nigdy nie pozwoliłaby sobie na zmęczenie. Z jakiegoś powodu uważała to za słabość, chociaż oczy kleiły się jej do snu. Koniecznie powinna się przespać przed uroczystością.

— Wiesz co? Myślę, że położę się na chwilkę, a ty dotrzymasz mi towarzystwa. — Cara wyciągnęła się na łóżku i ziewnęła, chociaż miała nadzieję, że sama nie zaśnie.

— Dobrze, mamuńku. Mam ci zaśpiewać

kołysankę?

— Nie, kochanie. Sean już śpi, mogłabyś go obudzić.

436

— Sean śpi cały czas.

— No, nie cały czas.

— Prawie cały czas.

— Masz rację, Kitty, prawie cały czas.

Cara nie zamierzała wdawać się teraz w dyskusję, wiedząc, że dwu-letnia Kitty tak łatwo nie odpuści. Zawsze chciała mieć ostatnie słowo, ale Cara też była

„charakterna” i nie zamierzała ulegać naciskom swojej latorośli. W przeciwnym razie jej słodka córeczka będzie w końcu tak rozpuszczona jak Sybil.

— Caffrey! — usłyszała nagle jakiś pełen rozpaczony głos. — Popatrz no tylko na moje włosy!

Cara usiadła, zadowolona, że Kitty od razu zasnęła.

W drzwiach stała Fielding: jej śliczne jasne włosy były teraz ułożone w sztywne, nienaturalne fale, przez co wyglądała bardzo pospolicie, jak dziewczynka z nocnego klubu w jakimś słabym filmie.

— To wygląda... bardzo dobrze —
skłamała.

— Nieprawda! Twoja matka właśnie się
wyraziła, że wyglądam tak, jakby moje
włosy poddano torturom.

— Ale je schowasz pod welonem.

Fielding płaczliwie pociągnęła nosem.

— Przecież nie spędzę całego
cholernego dnia schowana pod
welonem!

A poza tym to czymś okropnie śmierdzi.
Chyba jakimś płynem do trwałej
ondulacji.

Cara wyszła z dziecięcego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

— Więc znów je umyj i niech tak wyschną.

— Ale to strata dwóch i pół szylinga!

— Chyba lepiej stracić dwa i pół szylinga, niż wychodzić za mąż ze storturowanymi i śmierdzącymi włosami? Sama powiedz.

— Umyję je jeszcze raz. — Powlokła się z ponurą miną do łazienki. —

To już będzie trzeci cholerny raz dzisiaj.

Cara zastała Nancy niosącą tace z

jedzeniem z kuchni do jadalni.

— Pomogę ci. A gdzie są wszyscy?

— Twoja mama poszła do domu przebrać się w weselną kreację, a Eleanor udała się do fryzjera. Chodzi do jakiegoś okropnie drogiego salonu fryzjerskiego w mieście, ale przynajmniej na pewno nie wróci stamtąd tak wyfiokowana jak Fielding. Widziałaś ją? — spytała Nancy z oburzeniem. — Biedne jagniątko! Wyglądała jak półtora nieszczęścia.

— Właśnie myje włosy w łazience.

— I bardzo dobrze. Nigdy w życiu nawet nie przechodziłam obok fryzjera, a włosy mam uczesane jak trzeba. Aha, byli tu Amerykanie i znowu pobiegli jak zwariowani. Nelson nie może dziś przyjść, bo ma służbę, czy coś takiego, więc zamiast niego przyprowadzą jeszcze kogoś.

Powiedziałam, że nie mamy nic przeciwko temu, rzecz jasna. Obiecali być w kościele o drugiej. Nic nie mów Fielding, ale przynieśli mnóstwo puszek i dwa ogromne kawały szynki, na szczęście już ugotowanej, nie wspominając o piwie, którego jest tyle, że można w nim pływać. — Nancy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. —

Możesz mi pomóc pokroić tę szynkę, złotko? Jest pieczeń, a to znaczy, że trzeba będzie położyć na stole noże i widelce.

— A mamy ich dosyć?

— Gdzieś powinno być parę pudeł ze sztućcami, chyba nawet nigdy nieużywanymi. Pewnie trzeba je będzie wypolerować, w razie gdyby zmatowiały, chociaż może i nie. A gdyby się komuś coś nie podobało, niech je sam sobie poleruje albo niech je palcami! Uff...

Nancy znowu przerwała zdyszana. Widząc to, Cara zmusiła ją, żeby usiadła i wypila filiżankę herbaty, kiedy ona

będzie kroić szynkę.

— Od bladego świtu jesteś na nogach. Musisz odpocząć.

— Muszę się jeszcze wykąpać — odezwała się Nancy po kilku minutach ciszy.

— A ja muszę jeszcze wykąpać dzieci, ale chyba je tylko szybko opłuczę, nie ma czasu na kąpiele. Potem sama wskoczę na chwilę do wanny. Poza tym wszyscy musimy się przebrać, no i ktoś musi pomóc Fielding upiąć welon i wianek.

— Najlepiej niech to zrobi Eleanor, ona się na tym zna. W każdym razie zgłosiła

się na ochotnika, że zajmie się panną młodą.

Cara przerwała na chwilę krajanie szynki.

— Zawsze sobie wyobrażałam, że będę brała ślub cała w bieli.

— Miałaś brać ślub z Kitem w białej sukni, złotko? — spytała cicho Nancy.

— Nie, w mundurze.

Nagle Cara z całego serca zapragnęła, żeby to ona brała dziś ślub... Jak by to było, gdyby nagle zjawił się tu Kit i powiedział, że to wszystko pomyłka, że wcale nie został zabity. Takie rzeczy

zdarzają się przecież na wojnie —

nie byłby pierwszym mężczyzną, który powrócił ze świata umarłych.

Ale... ona widziała Kita martwego. Widziała go — bez twarzy — nie było nawet jednej szansy na milion, żeby to była pomyłka. Łzy napłynęły 438

jej do oczu na myśl, że go straciła na zawsze, zanim jeszcze dobrze się poznali, że nigdy się nie dowiedział o Kitty, że nigdy nie będą żyć razem, tak jak planowali. Żal, jaki czuła, był tak świeży i bolesny, jakby straciła Kita dopiero wczoraj. Teraz miała takie samo uczucie jak wtedy, gdy leciała z powrotem do Anglii — że znalazła się

nagle na dnie głębokiej, ciemnej jamy, w której będzie musiała spędzić resztę życia, bez żadnej możliwości ucieczki.

— Nic ci nie jest, Cara? — zapytała Nancy.

— Nie...

Teraz łzy płynęły już strumieniem.

— Nancy... nie wiem, czy zniosę dziś to wszystko... — Łzy dławiły jej głos, który stał się ochrypliwy i drżący.

— Dasz radę, złotko — zapewniła ją szybko Nancy, potrząsając lekko za ramię. — Jesteś młodą i silną kobietą, nigdy nie robisz wokół siebie

zamieszania, przeciwnie — jeszcze pomagasz innym. Odszukałaś Fielding i przywiozłaś ją tutaj, tak jakbyś nie miała dość własnych zmartwień i smutków.

Urodziłaś dwójkę dzieci w ciągu jednego roku, w dodatku bez ojca, i zrobiłaś to bez mrugnięcia okiem.

Postawiłaś się swojej matce — Nancy się uśmiechnęła. — A to wymaga odwagi, nieprawdaż? Ale ty przejdiesz przez to wszystko z podniesioną wysoko głową i uśmiechem na swojej ślicznej twarzyczce... i nikt nie będzie wiedział, jak bardzo w środku cierpisz.

— Och, Nancy! — Cara uklękła na podłodze i objęła tę dużą, niezgrabną kobietę, pierwszą osobę, która ją

trzymała na rękach, kiedy wyszła z łona matki, osobę, która zawsze była przy niej, kiedy życie dawało w kość. I przy tylu innych ludziach! — Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, co my wszyscy zrobilibyśmy bez ciebie!

Nancy pogłaskała Carę po włosach.

— Na pewno dałabyś sobie radę, złotko, zwłaszcza ty. A ja... no cóż, jestem tylko starą głupią babą, która niewiele wie.

— Jesteś najmądrzejszym człowiekiem na świecie, Nancy. Jakoś tak jest, że nawet rozmowa z tobą wystarcza, żebym od razu się lepiej poczuła.

— Cara, złotko, jeśli w tej chwili nie

przestaniesz tak mówić, to w końcu i ja się rozplączę — powiedziała Nancy drżącym ze wzruszenia głosem.

Usłyszały kroki na schodach prowadzących do sutereny. Cara podniosła się z kolan w tej samej chwili, kiedy do kuchni weszła jej matka.

Oczy jej dziwnie błyszcząły.

— Spotkałam na Shaw Street twojego tatę — rzekła pośpiesznie. —

Przyszedł tam z Bernardem. Nigdy nie uwierzysz — ciągnęła dalej — ale 439

ta cała Lizzie Phelan dostała podobno

jakąś fantastyczną pracę w Czerwonym Krzyżu i dopiero co wyjechała do Ameryki, a Colm został i teraz musi sam opiekować się chłopcem.

Zanim Cara zdążyła odpowiedzieć, znowu rozległy się kroki i weszła Eleanor w błękitnym kostiumie, uszytym z jednej z sukien jej matki, i w ogromnym słomkowym kapeluszu ozdobionym niebieską jedwabną wstążką.

— Słowo daję, twój widok jest jak balsam dla oczu — z podziwem zauważyła Nancy.

— Wszystkie będziemy tak wyglądać, kiedy się przebierzemy w nasze weselne

kreacje... — Eleanor zlustrowała krytycznym wzrokiem całe towarzystwo. — Spodziewałam się, że o tej godzinie będziecie już gotowe.

Jest po wpół do pierwszej!

— Niemożliwe! — pisnęła Brenna.

— Jak ten czas leci! — jęknęła Cara. — Muszę jeszcze umyć dzieciaki, a nawet nie skończyłam kroić tej szynki.

— No cóż, ja ci w tym nie pomogę — z emfazą stwierdziła Eleanor

— w każdym razie nie w tym stroju. A gdzie Fielding? Jak tam jej fryzura?

Mam nadzieję, że dobrze wyszła...

— Wcale nie! — parsknęła Brenna. — Ten fryzjer zasługuje na to, żeby go posiekać na kawałki. Zmienił piękne włosy w stóg siana.

— O Boże! — wykrzyknęła Eleanor.

— Nic, nic, już w porządku — szybko wtrąciła się Cara. — Zmyła to wszystko jeszcze raz.

— A przynajmniej zdążyła je wysuszyć?

Cara przyznała, że nie ma pojęcia.

— Zupełnie straciłam poczucie czasu. Myślałam, że jest najwyżej jedenasta.

— Ktoś powinien mieć na oku tę dziewczynę — pociągnęła nosem Eleanor. — Po prostu nie wie, co się z nią dzieje.

Nancy ostro nakazała wszystkim spokój.

— Cara! Ty raz-dwa przetrzyj dzieciom buzie ręcznikiem i to samo zrób ze sobą. Ty, Eleanor, idź tymczasem do Fielding, a ja i Brenna się przebierzemy; potem przygotuję ubranie dla Kitty, a Brenna zajrzy do Seana, wtedy Cara będzie się mogła przebrać. Może tak być?

— Tak. — Cara wyfrunęła z pokoju.

Dwie członkinie Townswomen's Guild zaofiarowały swoją pomoc w

przygotowaniach uczyły weselnej. Nancy miała nadzieję, że przyjdą 440

w miarę wcześnie i pomogą przy szykowaniu mięsa i polerowaniu sztućców. Ona nie była w stanie się tym przejmować.

Fielding wyglądała zjawiskowo w swojej sukni ślubnej, dopasowanej tak, że sprawiała wrażenie wyższej i smuklejszej; twarz miała częściowo zasłoniętą welonem Eleanor, przytrzymywanym wiankiem z konwalii

—
takim, jaki sobie wymarzyła Cara.

W samochodzie panna młoda ścisnęła

kurczowo dłoń Colma, jakby nie chciała jej wypuścić. Colm był zresztą wobec niej niezwykle taktowny i delikatny — jak najlepszy ojciec. Ani przez chwilę nie dawał po sobie poznać, jak on sam się teraz czuje, porzucony przez Lizzie, pozostawiony z maleńkim synkiem.

To nie było w zwyczaju, żeby drużny jechały do kościoła razem z panną młodą, ale firma mogła wypożyczyć tylko jedno auto, a w baku było akurat tyle benzyny, żeby wystarczyło na dwa kursy — do kościoła i z powrotem. Inni goście musieli, chcąc nie chcąc, pójść pieszo; Brenna zabrała Seana w spacerówce. Cara i podejrzenie spokojna Kitty, której najwyraźniej

udzielił się uroczysty nastrój,
towarzyszyły panie młodej i jej
zastępczemu — na tę okoliczność —
ojcu.

Kiedy wszyscy wyszli z samochodu,
rozległ się głośny chór „ochów”

i „achów” i wołania: „Czy ona nie
wygląda cudownie?”. W tłumie kobiet
przed kościołem zapanowało
poruszenie. Przychodziły tu w każdą
niedzielę i wystawały godzinami w
pogodę i niepogodę, żeby poki-bicować
rozmaitym ślubom — zapewne z braku
innej rozrywki. Ktoś machnął ręką i
zawołał: „Cześć, Cara!”. Rozpoznała
dziewczynę, z którą pracowała kiedyś w
drogerii Bootsa. Mój Boże, kiedy to

było? — po-myślała odrobinę melancholijnie. Aż trudno było uwierzyć, że jest tą samą osobą, która stała za ladą, sprzedając plastry i pudełka z maś-

ciami.

Eleanor czekała na nie w kruchcie.

— Chodźcie, szybko! — poganiała. — Organista wcale się nie pokazał, więc uprosiłam Deutera, żeby go zastąpił, a teraz gra bez przerwy Ol'Man River*. Chyba to jedyna znana mu melodia, która od biedy przypomina hymn. Niektórzy ludzie już zaczęli śpiewać i ksiądz się wścieka.

* Ol'Man River (po polsku Missisipi)
— piosenka z musicalu Show Boat z
1927

roku, spopularyzowana przez Paula
Robesona.

441

— Mama! — zawołał radośnie Sean,
kiedy weszły do kościoła, a zaraz potem
rozległo się donośne „Cicho, kochanie”
Brerrny.

Dexter musiał się dowiedzieć, że
wszyscy już są, i zaczął wygrywać
jazzową wersję Marsza weselnego.
Fielding wyglądała na niezdecydowaną,
jakby się zastanawiała, czy powinna

wsunąć rękę pod ramię Colma, czy też raczej trzymać bukiet.

— Tutaj, kochanie — powiedział Colm z czułością — pozwól, że weźmiemy kwiaty. Wtedy będę cię mógł poprowadzić do ołtarza, a ty będziesz udawała, że jestem twoim tatą.

Boże Wszchemogący, myślała Brenna jakiś czas później, jeszcze chwila, a zaczną krzyczeć na całe gardło. To wszystko jest takie okropnie smutne.

Fergus i Fielding wymienili przysięgi i on musiał jej wsunąć obrączkę na trzeci palec prawej ręki, bo lewej nie miała. Całe zgromadzenie zaczęło nagle kaszleć i pociągać nosami. A co tam! W

końcu to nie koniec świata —

dziewczyna wychodzi za mąż za członka dobrej, troskliwej i kochającej się rodziny. Już Caffreyowie się nią zaopiekują; może na nich liczyć.

Wystarczy spojrzeć na naszą Carę!
Serce Brenny wezbrało dumą.

Wysoka i smukła, z łagodnym uśmiechem na twarzy, w tej sukni wyglądała jak obrazek... chociaż, jak na gust Brenny, sukienka była trochę za bardzo wydekoltowana, pokazywała za dużo ciała. Eleanor powinna dodać szarfę, żeby druhna mogła przysłonić choć szyję. A Kitty? Cudownie wyglądała w tej sukieneczce skrojonej

na modłę wiktoriańskiego fartuszka, z koronkową bluzeczką — trzeba oddać Eleanor, że szyła wspaniale, po prostu miała złote palce.

Brenna szczerze wątpiła, czy jest w Liverpoolu kobieta, która miałaby ładniejsze dzieci niż ona. Czy na przykład widział ktoś jakiegoś gwiazdora filmowego — nawet z Hollywood — który nosiłby mundur z większą gracją niż Tyrone? Jeśli ta przemądrzała dziwka, Sybil Allardyce, myśli, że dostanie go w swoje łapska, to grubo się myli. A Fergus? Troszkę niższy i ciut bledszy od brata, wyglądał jednak niezwykle dystyngowanie w swoim nowym garniturze i nowych

okularach. Kto go nie znał, na pewno myślał, że to jakiś doktor albo dyrektor. W każdym razie ktoś bardzo ważny i oczywiście szalenie wykształcony.

Sean wiercił się na jej kolanach; poklepała go po nóżce, szepcząc:

— Cicho, kochanie. Zaraz się skończy i pójdziesz do mamy. Popatrz na Bernarda, jaki grzeczny!

442

Bernard wydawał się początkowo nieco zagubiony wśród tylu obcych ludzi; jego tata był zajęty prowadzeniem panny młodej do ołtarza, ale Nancy wzięła małego pod swoje skrzydła — jak to

Nancy. I sądząc po jego minie, był chyba całkiem zadowolony, kiedy mościł się jej na kolanach.

Brenna nie była pewna, czy ma się cieszyć, czy też raczej smucić z tego powodu, że Lizzie Phelan wyniosła się do Ameryki. Pewnie było jej przykro ze względu na Colma, a zadowolona była dla siebie samej, bo teraz znów pojawiła się szansa, że go odzyska. Kiedy szło o Colma, nie miała w sobie ani odrobiny dumy — przyjęłaby go z powrotem w jednej chwili. Jutro, dzisiaj, gdyby tylko o to poprosił.

Eleanor nie zamierzała płakać. W końcu ślub to radosna okazja.

Była pewna, że Fielding i Fergus będą ze sobą szczęśliwi, po co więc ronić tu łzy?

Kiedy jednak panna młoda podeszła do narzeczonego przy ołtarzu, Eleanor przemknęło przez myśl, że nigdy już, nigdy nie zobaczy, jak Jonathan się żeni. Ten przywilej został jej odebrany. Wstrzymała oddech, zdecydowana nie płakać i nie robić z siebie widowiska. Zerknęła na Hectora. Czy w tej chwili myślał tak samo o Morąg? Ale nic nie wyczytała z jego twarzy — ponurej i nieprzeniknionej, jak zresztą często bywało.

Po paru sekundach musiała jednak odetchnąć, a wtedy popłynęły łzy, a z jej

piersi wydobył się tłumiony szloch. Uzmysłowała sobie, że Hector przysuwa się do niej coraz bliżej i obejmuje tak, że ściska jej ramiona.

Szepnął jej coś do ucha, a ona po prostu zamarła, niepewna, czy dobrze słyszy. Znow na niego spojrzała — tym razem się uśmiechał.

— Tak, Hectorze — odszepnęła, ocierając łzy z twarzy. — Tak, zostanę twoją żoną.

Muzykę słyszeć było w całym domu, w kuchni na dole i w sypialniach na górze. Somewhere Over the Rainbow*, Whistle While You Work**, Wanting You... To miał być ostatni raz, kiedy Dexter grał

na pianinie w domu przy Parliament Terrace. Po kilku dniach mieli go przenieść gdzieś

* Somewhere Over the Rainbow (Gdzieś nad łukiem tęczy) — piosenka z filmu muzycznego Czarnoksiężnik z Oz z 1939 roku z Judy Garland w głównej roli.

** Whistle While You Work (Gwiżdż przy pracy) — piosenka z animowanego filmu muzycznego z 1937 roku Królewna Śnieżka Walta Disneya.

443

na południowe wybrzeże, razem z Eddiem i Nelsonem, nie wiadomo

dokładnie dokąd. Krążyły pogłoski, że na południu gromadzi się ogromna armia do inwazji na Francję, która ostatecznie rozgromi hitlerowską potęgę.

Po trzech i pół roku walk alianci w końcu deptali po piętach uciekającemu nieprzyjacielowi. Amerykanie zmusili Japończyków do ucieczki na Pacyfiku; w Rosji Niemcy tracili całe armie, ciągle zmuszani do odwrotu, a Brytyjczycy zaczęli stopniowo odnosić zwycięstwa w Afryce Północnej. Noc po nocy, dzień za dniem samoloty alianckie latały nad Berlin, zamieniając stolicę Niemiec w ruinę.

To jednak wcale nie znaczyło, że wojna zbliża się ku końcowi. Ludzie wciąż

ginęli tysiącami w ciężkich bojach albo szli na dno razem z zata-pianymi okrętami. Do zakończenia konfliktu była jeszcze daleka droga, jednak ta podróż już się zaczęła.

— Wyglądasz strasznie poważnie, Cara. Czy wszystko OK, słoneczko?

Cara zaskoczona podniosła wzrok i ujrzała Jacka McGarry'ego, który patrzył na nią z wysoka. Był dalekim kuzynem Eddiego; do Warrington przyjechał zaledwie parę dni temu. Eddie przyprowadził go na ślub w zastępstwie Nelsona.

— Nie, po prostu myślałam o tylu sprawach, o wojnie, a zwłaszcza o tym,

że przenoszą was na południe.

— Mnie nie, w każdym razie nie od razu.

Był starszy od swojego kuzyna, miał jakieś dwadzieścia pięć lat, delikatne rysy, wrażliwą twarz i gęste, kręcone włosy. Oczy tak ciemne, że prawie czarne. Poznali się już wcześniej i Carze ten chłopak natychmiast się spodobał. Nie sposób było nie zauważyć wyrazu zachwytu na jego twarzy, kiedy podawali sobie ręce.

— Dlaczego siedzisz tu tak sama, słoneczko?

— Sean i Bernard koniecznie chcieli się

bawić na korytarzu, więc pomyślałam, że powinnam mieć na nich oko. Jeszcze gotowi coś napsocić.

Siedziała na najniższym stopniu schodów, czując się trochę poza nawiasem. Pilnowała chłopców, Seana i Bernarda, którzy zdążyli się już zaprzyjaźnić. Z jadalni dobiegał śmiech, w salonie Dexter grał na pianinie, a Fielding zaczęła śpiewać, w kuchni natomiast toczyła się ożywiona dyskusja, chyba na tematy polityczne. Zdaje się, że brała w niej udział

Nancy, a także ojciec Cary.

— Tęsknisz za towarzystwem?

— Wszystko mi jedno.

444

— Ci malcy to kuzyni? — spytał, siadając obok niej.

— Nie. Możesz mi wierzyć albo nie, ale Bernard — ten większy —

jest wujkiem Seana. A propos, Sean to mój synek, a Kitty — córeczka. Ja i Kitty byłyśmy druhnami na ślubie — wyjaśniła.

Prawdopodobnie nie miał pojęcia, kto to jest Kitty.

Uśmiechnął się.

— Muszę przyznać, że podczas tego ślubu niespecjalnie zwracałem uwagę na kogokolwiek, z wyjątkiem jednej wysokiej druhny w różowej sukni. Jak to jest w tej piosence? „Widziałem tylko ciebie”.

Zanim Cara zdążyła pomyśleć, co ma odpowiedzieć na ten zaskakujący komplement, Fielding i Fergus wypadli jak burza z salonu i oznajmili, że na nich już czas, że ruszają w podróż poślubną, przedtem jednak muszą się przebrać.

— Dokąd oni jadą na ten miodowy miesiąc? — spytał Jack, kiedy para przemknęła obok niego, kierując się do sypialni.

— Do Blackpool — odparła Cara. —
To taka wypoczynkowa miejscowość,
zresztą bardzo blisko Liverpoolu.
Zawsze chciałam tam pojechać.

W przeciwieństwie do większości
uzdrowisk nie jest teraz pusta, tylko
pełna życia.

— Może mógłbym cię tam kiedyś
zawieźć, Cara. Zawsze mogę pożyczyć
dżipa. — Mówił to lekkim tonem, ale
wyczuła w jego głosie nutę powagi i
wiedziała, że nie zaprasza jej ot tak, na
niezobowiązującą randkę.

— Może — odparła tak samo lekko. —
Zobaczymy.

— Cara, kochanie! — wołała matka. —
Idziesz na stację pomachać
nowożeńcom? Nancy obiecała zająć się
dziećmi!

— Dobrze, mamó. — Podniosła się, a
Jack McGarry zrobił to samo.

— Pójdę z tobą — powiedział szybko.

Miała nadzieję, że umknie jego ciemnym
oczom i pełnym zachwytu spojrzeniom,
ale wyglądało na to, że się jej nie uda;
zresztą nie była wcale zdziwiona, że nic
a nic jej to nie przeszkadza.

— Colm, kto się opiekuje Bernardem,
kiedy ty jesteś w pracy? —

spytała Brenna około siódmej wieczorem, kiedy się już trochę uspokoiło i część gości rozeszła się do domów. Cara zabrała dzieci na chwilę na powietrze, podczas gdy reszta gości snuła się po domu, czekając, aż rozpocznie się wieczorne przyjęcie. Brenna i Colm byli teraz sami w jadalni i mogli swobodnie porozmawiać.

445

— Kobieta z nowego osiedla przy stacji, pani Hall. Sama ma chłopca mniej więcej w wieku Bernarda.

Wygląda na strasznie zmęczonego, pomyślała Brenna, czując wyrzuty sumienia. Bądź co bądź, Colm przez

cały dzień pracował, a potem musiał

się jeszcze zajmować pełnym energii dzieciakiem.

— Założę się, że był przygnębiony, kiedy nagle został sam z jakąś obcą kobietą. — Z trudem się hamowała, żeby w jej głosie nie było słychać gniewu.

— Tak, był trochę zmartwiony.

Właściwie wciąż jeszcze tęskni za Lizzie. Była bardzo dobrą matką, Bren.

Jakby ją ostrzegał, żeby się nie posunęła za daleko w krytykowaniu Lizzie Phelan! Ale Brenna już nie panowała nad sobą i nie była w stanie znieść kolejnej uwagi.

— Chyba nie mogła być aż taka dobra, skoro prysnęła do Ameryki.

Tylko dlatego, że się jej trafiła niezła fucha w Czerwonym Krzyżu!

— To coś więcej niż tylko niezła fucha, Bren — cierpliwie odparł

Colm. — To ogromna odpowiedzialność, a poza tym Lizzie robi bardzo wiele dobrego dla całej ludzkości. Opuściła dwóch mężczyzn po to, żeby polepszyć byt tysiącom. Taka właśnie jest Lizzie.

Brennę korciło, by powiedzieć, że matka powinna zawsze myśleć najpierw o dzieciach i że w tej Lizzie musi być

jednak coś okropnie skrzywionego, ale doszła do wniosku, że lepiej będzie, jak nic nie powie, w przeciwnym razie ich rozmowa skończy się niepotrzebną kłótnią.

Zamiast tego wystąpiła więc z propozycją:

— Jeśli chcesz, mogę się zająć Bernardem. Fergus się wyprowadza, więc w domu został mi tylko Joey. Tyrone przyjeżdża raz na jakiś czas, i to tylko na parę dni. Gdybyś chciał, mogę wziąć malca na stałe, żebyś nie musiał go codziennie przynosić. Mógłbyś nawet przychodzić i zostawać na weekendy — dodała mimochodem.

Colm pochylił się do przodu w krześle, oczy mu błyszczały. Nagle całe jego zmęczenie zniknęło.

— Prawdę mówiąc, Bren, właściwie chciałem cię poprosić o to sa-mo. Mogłabyś się zająć Bernardem za mnie? Widzisz, ja... chciałbym się zaciągnąć. Och, wiem, mam prawie czterdzieści pięć lat — powiedział, kiedy spojrzała na niego z ukosa — ale mogę uchodzić za młodszego, nie sądzisz? Zresztą już zaczęli powoływać mężczyzn po czterdziestce.

— Chyba nie chcesz walczyć, Colm? — spytała słabym głosem.

— Zrobię to, jeśli mi rozkażą, ale skończy się pewnie na prowadzeniu karetki albo na pracy w szpitalu. Zechcesz, Bren? Zechcesz się dla nas zająć Bernardem? — Wydawał się teraz całkiem odmłodzony.

Skinęła głową na znak zgody. Chociaż z całego serca pragnęła zająć się tym chłopczykiem, spodziewała się również, że to pociągnie za sobą częste wizyty Colma w domu na Shaw Street, co dałoby jej możliwość karmienia go jak za dawnych lat, przypomnienia mu, jaką jest doskonałą kucharką, jak dobrze pierze i prasuje, w jakiej czystości utrzymuje dom.

Tymczasem miał zniknąć z jej życia,

zniknąć z życia ich wszystkich —

być może na zawsze.

— Ach, Colm.. — jęknęła i ku swemu przerażeniu wybuchnęła płaczem.

— Przestań, kochanie — powiedział zakłopotany.

To „kochanie” sprawiło tylko tyle, że rozplakała się jeszcze żałośniej na wspomnienie czasów, kiedy byli prawdziwym małżeństwem, mężem i żoną, a on zawsze mówił do niej „kochanie”.

— Cały dzień tak mi się zbiera na płacz — szlochała, myśląc równocześnie, że

przecież powinna zachować choć odrobinę godności i nie dać mu poznać, że płacze tylko z jego powodu. — Staralam się powstrzymać łzy w kościele, ale teraz tak mnie to jakoś nagle wzięło... ten ślub naszego Fergususa... i w ogóle...

— Nasz Fergus na pewno będzie szczęśliwy z Fielding, Bren.

— Wiem, Colm, ale zostawia w moim życiu wielką pustkę. Bez niego dom będzie okropnie pusty.

— Może Bernard zapełni ci tę pustkę, kochanie.

— Może... — chlipnęła.

Chyba postanowił zmienić temat rozmowy.

— Piękna ta twoja suknia, kochanie. Pasuje do ciebie.

— To nie suknia, tylko kostium. Należał do matki Eleanor, zresztą to Eleanor mi go przerabiała. — Przesunęła palcami po delikatnej tkaninie. —

Prawdziwy jedwab.

— Aha, kostium. — Uśmiechnął się do niej z czułością. — Bardzo z ciebie przystojna kobieta, Brenno Caffrey.

Przystojna!

Wcale nie chciała być „przystojna”. To on był przystojny, podobnie jak i jej synowie. Kobietę określa się mianem „przystojnej”, kiedy jest już w średnim wieku i... z nadwagą. Wcale się jej też nie podobało, że tak czule się do niej uśmiechał, jakby była małym dzieckiem albo domowym kotkiem czy pieskiem.

447

— Zejdę lepiej na dół i zobaczę, czy nie trzeba pomóc Nancy przy szykowaniu jedzenia na dzisiejszy wieczór — powiedziała oficjalnie.

— Co ci się stało, kochanie? Nic ci nie jest? — Musiał wyczuć zmianę w tonacji jej głosu, bo wyciągnął do niej

rękę, kiedy chciała przemknąć obok niego.

— Ależ nic mi nie jest.

Och, ale przecież coś jej jednak było. Dotyk jego ręki sprawił, że Brenna poczuła iskrę pożądania. Pragnęła go! Chciała leżeć z nim w łóżku, otoczona jego ramionami, chciała, żeby się kochali, a potem zasypiali wtuleni w siebie, jedno ciało obok drugiego. I nagle usłyszała głos sprzed lat, słowa od dawna zapomniane: „Widzę kobietę, która płacze, bo straciła swojego ukochanego”. To była Katie MacBride, wpatrzona w filiżankę z fusami herbaty. „Kto to taki?” — spytała wtedy Brenna, ale nie doczekała się odpowiedzi, bo

Cara zaczęła płakać i trzeba było wracać do domu, żeby ją utulić.

„Pewnego dnia ten ukochany do niej wróci”, zawołała za nią Katie, kiedy Brenna wybiegała z domu.

Czyżbym to ja miała być tą płaczącą kobietą? — zastanawiała się teraz Brenna. Przecież cała wróżba dotyczyła właśnie jej: czwarte dziecko, strata czegoś bardzo cennego, okrutna zdrada. Wszystko się sprawdziło.

A tym ukochanym mógł być tylko Colm!

— Bren, nic ci nie jest? — spytał znowu.

— Nic.

To znaczy, że on wróci do niej kiedyś, nawet jeśli teraz wydaje się to zupełnie niemożliwe. Czyż Katie tego nie przepowiedziała?

Ruszyła w stronę drzwi, lecz nim zdążyła je otworzyć, weszła Eleanor, trzymając za rękę Hectora Ingrama. Od początku znajomości z Eleanor Brenna jeszcze nigdy nie widziała jej tak szczęśliwej i zadowolonej.

— Zgadnijcie, co się stało! — wołała.
— Hector i ja mamy zamiar się pobrać, on tu przyjedzie i zamieszka w Liverpoolu. Właściwie to mi się oświadczył w kościele, a ja go przyjąłem. Och, Bren, przez cały dzień chciałam ci o tym powiedzieć, ale

dopiero teraz nadarzyła się okazja!

— Gratuluję, El, i tobie też, Hector. —
Ucałowała oboje, poklepała nawet
przyszłego oblubieńca po ramieniu,
udając, jak bardzo się cieszy, choć w
głębi duszy zżerała ją taka zazdrość, że
jej twarz musiała być chyba jadowicie
zielona.

448

Śpiewali aż do zachrypnięcia i tańczyli
do utraty tchu. Było już po jedenastej i
Amerykanie musieli zaraz
odmaszerować na Central Station, żeby
złapać ostatni pociąg do Warrington,
natomiast pozostali goście —

rozjechać się autobusami lub tramwajami w różne strony Liverpoolu.

Dexter zagrał Goodnight, Sweetheart — ostatnią melodię, którą grał na pianinie Allardyce'ow, a Jack McGarry porwał Carę do ostatniego walca.

Tańczyli ze sobą przez cały wieczór.

— Kiedy cię znów zobaczę? — wyszeptał.

— Nie wiem.

— jutro? Pojutrze? — Przycisnął ją mocniej, jakby zachęcając, żeby powiedziała kiedy.

— Wybacz, Jack, ale... chyba się już nie zobaczymy.

Teraz to ona stanęła w obliczu podjęcia decyzji. Wiedziała, że nigdy nie mogłaby chodzić z Jackiem McGarrym. Lubiła go, to prawda, czuła, że się mu podoba, ale na dziś to powinno wystarczyć. Nie miała nastroju do romansów, nie była jeszcze gotowa. Kiedy ze sobą tańczyli, nieustannie łapała się na tym, że myśli o Kicie, porównuje go z Kitem. Jack nie wypadł zresztą źle na tym porównywaniu — z wyjątkiem tego, że po prostu nie był Kitem... Wniosek był prosty. Musi upłynąć jeszcze dużo czasu, żeby ktoś mógł zająć miejsce ojca Kitty.

Sprawa z Marcusem była jednorazowym odstępstwem od reguły.

Było jej po prostu żal tego znękanego mężczyzny, poza tym to wszystko się wydarzyło tak nagle, z zaskoczenia... chociaż nigdy nie żałowała swojego kroku.

Ale Kit pozostanie na zawsze miłością jej życia. To było coś, od czego nie mogła uciec — i nawet nie była pewna, czy kiedykolwiek tego zechce.

Amerykanie wyszli, żegnani mnóstwem pocałunków, uścisków i obietnic, że będą pisać; nie obyło się też bez kilku łez, zwłaszcza Nancy, która była po prostu załamana.

— Co to był za dzień! — popłakiwała, kiedy chłopcy już poszli i w kuchni zostały tylko Nancy, Brenna i Cara. — Nigdy w życiu tyle się nie naśmiałam i nie napłakałam co dziś. No i Eleanor z tym jej nowym ślubem! To najlepsza wiadomość, jaką od dawna usłyszałam.

— Prawda...? — powiedziała Brenna z odrobiną goryczy.

Cara zerknęła na matkę. Czyżby usłyszała w jej głosie zazdrość? Biedna mama. Być może miała nadzieję, że tata wróci do domu teraz, kiedy 449

Lizzie wyjechała za granicę, ale Carze powiedział już wcześniej, że ma zamiar pójść do wojska. Jakie to okropne,

kochać kogoś tak do bólu, jak ona kochała Kita, kiedy w dodatku ten ktoś żyje, ale już cię nie kocha...

— Czy ktoś ma może ochotę na filiżankę kakao? — spytała Nancy.

— Ja poproszę... ale sama zrobię kakao, Nancy. Ty też się napijesz, mamó?

— Nie, dzięki, kochanie. Będę już lecieć do domu. Czy Joey może tu zostać na noc? Ostatnio, kiedy do niego zajrzałam, spał jak zabity na łóżku Fielding.

— Naturalnie, mamó. A może ty też chcesz u mnie przenocować?

Możesz spać w łóżku Marcusa. Jest już przygotowane na powrót Fergususa i Fielding.

— Ale wtedy musiałybyście zmieniać pościel. — Brenna podniosła się ze znużeniem. — Prawdę mówiąc, kochanie, chce mi się po prostu porządnie wypłakać i naprawdę wolę to zrobić u siebie w domu, a nie gdzie indziej.

Zanim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać, już była za drzwiami.

— Lepiej pójdę za nią.

— Zostaw ją, złotko — westchnęła Nancy. — Gdyby twoja matka

potrzebowała towarzystwa, zostałyby i
wyplakała się tutaj. Są takie chwile,
kiedy człowiek chce być tylko sam ze
sobą. Nie rób mi kakao, wolę
szklaneczkę whisky. To mi pomoże
zasnąć. Ciało mam wymęczone, jakby
mnie przepuścili przez maszynkę do
mielenia mięsa, ale mózg nadal żyje i
wierzga jak żreback.

Posiedziały jeszcze chwilę w kuchni,
rozmawiając o minionym dniu,
począwszy od porannej mgły aż do
wieczornego przyjęcia — i o wszystkich
zabawnych rzeczach oraz prawie-że-
nieszczeniach, które się wydarzyły w
międzyczasie.

— Ogólnie rzecz biorąc, to był

naprawdę udany dzień — stwierdziła
Cara. Myślała o rozjaśnionej szczęściem
twarzy Eleanor i o nagłym wyjściu
swojej mamy przed chwilą. —
Chociaż... pewnie dla jednych był
dobry, a dla drugich nie tak bardzo.

Rozdział 17

ŚRODA, 8 MAJA 1945

DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

Wojna się skończyła w dniu tak samo
jasnym i słonecznym, jak się zaczęła
prawie sześć lat temu; tego dnia jednak
słońce wydawało się świecić jeszcze
jaśniej, niebo było jeszcze bardziej
błękitne, powietrze zaś po prostu

upajające. Prawdę mówiąc, kiedy Cara się obudziła, czuła się trochę tak, jakby była pijana — na wieść, że ten cały koszmar wreszcie się skończył. Po jedenastomiesięcznych walkach, rozpoczętych „Dniem D”, kiedy to wojska alianckie wylądowały we Francji, Berlin został wreszcie zdobyty, a Hitler popełnił samobójstwo.

Nastał pokój: znowu paliły się światła i ludzie znów mogli spokojnie spać we własnych łóżkach. Zeszłej nocy biegała jak szalona po całym domu, zrywając z okien czarne zaciemnienia. To naprawdę był

koniec!

Wyskoczyła z łóżka i zbiegła do kuchni, gdzie zastała Nancy siedzącą przy stole z filiżanką herbaty w ręku. Pocałowała staruszkę w głowę.

— No, czy to nie jest prawdziwy cud?

— zawołała w uniesieniu.

Nancy przytaknęła z uśmiechem, ale wyglądała na zmęczoną.

— Chyba dziś nie będę nigdzie wychodzić — rzekła. — Czuję, że mogłabym teraz spać nawet sto lat, jak Śpiąca Królewna.

— A może poszłabyś znów do łóżka? Ja się wszystkim zajmę —

zapropnowała Cara.

Nancy za parę tygodni kończyła siedemdziesiąt lat. Nie przejmowała się swoim wiekiem. No i nie wiedziała nic a nic o urodzinowym przyjęciu, 451

które zaplanowano w największej tajemnicy przed dostojną jubilatką.

Brenna i Eleanor wzięły na siebie zaproszenie wszystkich starych znajomych Nancy.

— Możesz się zająć wszystkim jutro, złotko — obiecała Nancy. —

Po tak długim czekaniu nie zamierzam stracić z dzisiejszego dnia ani minuty. W

każdym razie trzeba przygotować kanapki na przyjęcie dla dzieci na Shaw Street, poza tym mam jeszcze mnóstwo innych rzeczy na głowie.

— Przecież mogę zrobić wszystko, co potrzeba!

— Jutro! — powtórzyła Nancy. — Nigdy nie spałam stu godzin, ani przez sto lat też, ale krótka, solidna drzemka na pewno dobrze mi zrobi.

Do kuchni wpadła Kitty.

— Wojna się skończyła! — oznajmiła wielką nowinę.

Cara potwierdziła, że co do tego nie ma

żadnych wątpliwości.

— Pójdziemy potem do miasta zobaczyć te wszystkie flagi i dekoracje?

— Tak, mamuńku, proszę! — Kitty zaczęła radośnie klaskać.

— Siadaj, zrobię ci śniadanko, a potem zaniosę herbatę na górę Fielding i Fergusowi. — Ten dzień ogłoszono świętem narodowym, więc Fergus nie szedł dziś do pracy.

— Ja to zrobię, złotko.

— Mowy nie ma, Nancy. Ja zaniosę. Kiedy wrócę, wezmę się do szykowania kanapek, a ty dla odmiany możesz

siedzieć i patrzeć.

Kiedy szła z tacą na górę, zajrzała do Seana. Ubrał się sam w koszulkę z krótkimi rękawkami i krótkie spodenki, a teraz walczył ze sprzączkami przy sandałkach. Miał już trzy i pół roku i najwyraźniej nie zamierzał

pozostawać w tyle za Kitty, która była prawie o rok starsza i bardzo rozwinięta.

— Mądry chłopczyk! — zachwyciła się Cara. — Ale... czy nie lepiej byłoby, gdybyś przedtem włożył skarpetki?

— Zapomniałem — przyznał z żalem.

— Za chwilę przyjdę, to ci pomogę.

Zapukała do drzwi dawnej sypialni Marcusa.

— Jesteście ubrani? Mogę wejść?

Odpowiedzią było stęknienie, które uznała za przyzwolenie. Głowa Fielding była ukryta w sukience, a Fergus siedział na brzegu łóżka, niańcząc dziewięciomiesięcznego Harry'ego; delikatny chłopczyk ciągle chorował na żołądek, choć ani szpital, ani lekarz domowy nie mogli dojść

przyczyny tej choroby. Do tej pory nie udało się im również ustalić, dlaczego to dziecko ciągle płacze i jest chudziutkie

jak patyczek.

— Słyszałam w nocy, jak płakał —
powiedziała Cara. — Długo nie
spaliście?

— Bardzo długo — mruknął Fergus. —
Zasnął dopiero przed chwilą, więc
mów, proszę, trochę ciszej, kochana.

— Nie powiem już ani słowa —
wyszeptała Cara; weszła na paluszkach z
herbatą, postawiła tacę na stoliku i tak
samo cicho wyszła.

Za pięć miesięcy Fielding miała urodzić
drugie dziecko. Cara modliła się
codziennie, żeby do tego czasu zdrowie
Harry'ego się poprawi-

ło i żeby on i ta jeszcze nienarodzona pociecha byli tak zdrowi jak jej dwójka.

Wszystkie sklepy w mieście były zamknięte, ale ich właściciele musieli poprzedniego dnia ciężko pracować, bo wystawy były udekorowane portretami króla i królowej na tle udrapowanej brytyjskiej flagi Union Jack. Flagi państwowe powiewały zresztą wszędzie, a zalane słońcem ulice były poprzecinane pasami czerwonego, białego i granatowego materiału. Mimo pozamykanych sklepów centrum miasta było pełne ludzi, za to samochody jeździły tylko z rzadka, tak że ludzie spacerowali po jezdni. Korowód młodych kobiet tańczył conga*, wijąc

się jak wąż po Ranelagh Street, a jakiś starszawy dżentelmen maszerował środkiem Houghton Street, waląc w dziecięcy bębenek i głośno wyśpiewując Land of Hope and Glory**. Wszyscy sprawiali wrażenie szaleńczo szczęśliwych, jakby oszołomionych zwycięstwem — po tylu ponurych latach, kiedy niejedną raz traciło się nadzieję, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie.

Kobiety i mężczyźni całowali i ściskali Carę, nieznanymi ludźmi potrzęsali jej ręką na powitanie. Jej dzieci podnoszono w górę i pieszczono, a jakaś leciwa dama wręczyła każdemu po sześciopensówce. Wreszcie i Cara dała

się ponieść tej zaraźliwej, uderzającej do głowy atmosferze i zaczęła zarzucać ręce na szyje ludziom, których nigdy przedtem nie spotkała i których zapewne nigdy więcej już nie spotka.

Jakiś marynarz tańczył „taniec marynarzy” na Clayton Square, otoczony wiwatującym tłumem. W innej części placu ludzie się bawili w hokus-

* Conga — kubański taniec; nazwa pochodzi od drewnianych długich bębnów, wywodzących się z Afryki.

** Land of Hope and Glory (Kraj nadziei i chwały) — brytyjska pieśń patriotyczna.

-pokus. Sean głaskał z ucieszoną miną psa przybłądę, brudnego, brzydkiego kundla, który natychmiast zaczął za nimi dreptać.

— Idź stąd, piesku! — powiedziała Cara ostrym tonem. Pies się zatrzymał i spojrzał na nią spode łba, ale kiedy się znów obejrzała, dalej za nimi szedł i w ten sposób dotarł aż do Pier Head i na Parliament Terrace. To wystarczyło, żeby mały Sean zakochał się nieprzytomnie w tym straszidło, a pies chyba też go już uwielbiał. Siadł na chodniku przed domem, wsunął łeb pomiędzy szczeble płotu i patrzył tęsknie w okno.

— On jest głodny — oznajmił Sean. —
Mogę mu dać coś do jedzenia?

— Jeżeli go nakarmisz — ostrzegła Cara
— nigdy stąd nie odejdzie.

— Wcale nie chcę, żeby odszedł. Chcę,
żeby się nazywał Rover i chcę go mieć!

— Sean spojrzał butnie na matkę. —
Dlaczego nie możemy go zatrzymać,
mamo?

— Dlatego, że on ma na pewno swojego
właściciela, moje maleństwo

— odparła, chociaż sama chyba w to nie
wierzyła. Pies wyglądał na prawie
zagłodzonego, był bez obroży i wymagał

jak najszybszej kąpieli.

Nie przeszkadzało jej wcale, żeby dzieci miały psa, ale wolałaby szczeniaczka, który by dorastał w domu i był miłszy — i ładniejszy od tego brzydactwa siedzącego na progu.

Zapomniała o psie, słysząc płacz dziecka na górze.

— Harry!

Nancy też go usłyszała.

— Fergus już dzwonił po lekarza. Powinien za chwilę tu być. Kiedy Fielding nakarmiła tę biedną kruszynkę, zaraz wszystko zwrócił. Od tego czasu

bez przerwy płacze.

— Może wejdę do nich na górę.

Fielding nadal leżała w łóżku, Harry płakał żałośnie na jej ramieniu.

Ze łzami w oczach patrzyła na Carę.

— Nancy ci mówiła? W ogóle nie przybywa mu na wadze i za każdym razem, kiedy go karmię, wymiotuje. A teraz jest naprawdę coraz gorzej.

Powinien już zacząć jeść stałe pokarmy, ale jak, kiedy nie trawi nawet mojego mleka? Fergus zadzwonił po doktora, teraz jest w salonie i czeka na niego. — Spojrzała na dziecko. — Strasznie go

męczy ten płacz. O Boże, chyba jest bardziej wyczerpany niż ja...

Cara usiadła na brzegu łóżka.

— Chcesz, żebym go trochę pottrzymała?
Co, kochanie?

— Jeśli możesz... ręka mnie już strasznie boli.

454

Niemowlę było rozpalone. Twarzyczkę miało czerwoną jak ogień i nadal się zanosilo od płaczu.

— Gdyby tylko można było wreszcie rozpoznać, co mu jest! — powiedziała z

westchnieniem.

— Cały czas się boję, że on umrze — łamiącym się głosem wyznała Fielding.

— Marzę o tym, żeby przestał płakać, ale kiedy przestaje, natychmiast umieram ze strachu, bo myślę, że przestał płakać dlatego, że nie żyje.

— Juliette! — zawołał Fergus. — Doktor już idzie, zaraz zadzwoni do drzwi. To znaczy... chyba doktor, bo ma torbę lekarską, ale jak na moje oko wygląda na szesnastolatka. Nie, to pewnie tylko zastępca naszego lekarza — zakończył niezbyt zadowolonym tonem.

Cara minęła lekarza na schodach, kiedy

schodziła na dół. Uznała, iż rzeczywiście wygląda jak — nie przymierzając — gołowąs, choć na pewno nie na szesnaście lat, i sprawia miłe wrażenie. Kto wie, może naprawdę chce, a co ważniejsze — potrafi pomóc...

W kuchni zastała drzwi otwarte na oścież, tuż przy schodach stała cynowa wanienka, a Rover był właśnie kąpany przez Nancy i Seana.

Oboje zmokli przy tym doszczętnie. Pies stał w wanience całkiem spokojnie, pozwalając się szorować.

Cara ofuknęła Nancy, polecając jej natychmiast usiąść, po czym sama zajęła

jej miejsce.

— Dzisiaj miałaś tylko siedzieć i patrzeć!

— Ale... już prawie skończyliśmy, złotko. Trzeba go tylko wyjąć z wanienki i owinać w ten stary ręcznik. A teraz czeka na niego pyszne jedzonko, które mu przygotowaliśmy.

Rover chyba zrozumiał. Wyskoczył z wanienki i biegał po całej kuchni, otrząsając się i ochlapując wszystko — i wszystkich. Kitty wrzasnęła przeraźliwie i pobiegła na górę, jakby ją giez ukąsił. Sean śmiał się i klaskał w rączki. Nancy udało się jakoś złapać

psa i owinać ręcznikiem, po czym zaczęła go energicznie wycierać. Cara narzekała, że to tylko zwykła strata czasu, i nalegała, żeby Nancy odpoczęła.

Zjawiała się mama z Joeyem i Bernardem.

— Co tu się, u licha, dzieje? — spytała, próbując wyminąć wanienkę.

— Wygląda na to, że mamy psa, mamo.

— Nazywa się Rover — pospieszył z informacją Sean.

— Całkiem miłe stworzenie — stwierdziła mama, a Cara musiała przyznać jej rację, bo Rover wyglądał

po kąpielu naprawdę jak nie ten sam.
Słowem — inny pies!

455

— Skąd macie takie wspaniałe
kapelusze, chłopcy? — spytała.

Joey i Bernard mieli na głowach
czerwono-biało-niebieskie kapelusze z
pomponami, robione na drutach.

— To babcia nam zrobiła — wyjaśnił z
dumą Joey. Bernard był

całkowicie pochłonięty oglądaniem, jak
Rover połyka jedzenie. — Zrobiła też
takie dla Seana i Kitty.

— Zajęło mi to cały tydzień. Ale już wczoraj wieczorem mogłam wreszcie przyszyć te pompony — mówiła mama jednym tchem. — Jak się dziś czuje Harry?

— Nie za dobrze. Teraz jest u niego lekarz. Nie wchodź tam na razie!

Mamo, słyszysz? Wejdiesz dopiero, kiedy sobie pójdzie. — Cara zagroziła sobą wyjście z kuchni, ponieważ matka już szła w stronę schodów.

Znając jej temperament, nietrudno było sobie wyobrazić, że nagada lekarzowi i z miejsca zażąda, żeby raz-dwa się połapał, co dolega jej wnuczki.

Po kilku minutach drzwi wejściowe się zamknęły i do kuchni wszedł

Fergus z dziecięcą butelką w ręku.

— Jest trochę gotowanej wody w czajniku, Nancy? — spytał.

— Tak, złotko. Mam ją zagrzać?

— Nie, nie trzeba. — Napełnił butelkę do połowy wodą z czajnika, po czym zapalił gaz. — Chciałem tylko trochę, żeby rozpuścić cukier.

— Po co to wszystko, chłopcze? — zmarszczyła brwi mama.

— Lekarz podejrzewa, że Harry może

mieć na coś uczulenie albo jakieś zablokowanie. Przez kilka dni mamy mu podawać tylko wodę z cukrem. Pojutrze znowu ma przyjść... ten lekarz.

— Do diabła! Co to w ogóle jest to całe... uczulenie? — Mama była już zła. W głębi duszy nie ufała lekarzom. — Jeszcze nigdy nie słyszałam tego słowa.

— To znaczy, że coś nie służy twojemu organizmowi, mamó. W przypadku Harry'ego chodzi prawdopodobnie o mleko.

Fergus przewrócił oczyma, po czym spojrzał wymownie na Carę. Cóż, reakcja ich matki była na wskroś przewidywalna.

— A od kiedy to mleko może komuś nie służyć? — parsknęła mama.

— To dzięki mleku dziecko się dobrze rozwija. Ten doktor sam się prosi, żeby go zatłuc!

— No, ale Harry nie rozwija się prawidłowo, tak czy nie? A doktor Bennett jest pierwszym specjalistą, który zaproponował coś konkretnego, a nie tylko mówił, że nie wie, o co tutaj chodzi, i w ogóle...

456

Jeśli to zadziała, możemy spróbować dawać Harry'emu sok z pomarańczy, który Juliette dostanie w klinice

dziecięcej. I jeszcze tonik dla niemowląt.

— No cóż... jeśli jesteś pewien, kochanie... — Mama nadal miała wątpliwości.

— Nie jestem pewien, mamó. Niczego nie jestem pewien, ale Harry jest naprawdę chory, a my z Juliette chcemy spróbować wszystkiego, wszyst-kie-go, żeby się tylko czuł lepiej. — Fergus wybiegł z kuchni, prawie płacząc.

— Biedak — pociągnęła nosem mama, sama bliska płaczu. — Mam nadzieję, że ten doktor wie, co mówi. Bo... jak znam życie, to bardzo niewiele zna się na rzeczy.

O drugiej po południu miała się zacząć impreza uliczna — przyjęcie dla dzieci. Ustawiony na środku ulicy rząd stołów o różnych wysoko-

ściach i zupełnie odmiennych szerokościach chygotał się niebezpiecznie na bruku. Mniej więcej dwadzieścioro dzieci w wieku od dwóch do trzynastu lat siedziało już na krzesłach i z wywieszonymi językami czekało na poczęstunek. Obowiązkiem Cary było dopilnować, żeby każdy z uczestników tej fety dostał swoją porcję — Kitty zwykle łapała wszystko, co było w polu widzenia, natomiast Sean potrafił marudzić jak stara baba i nie zjeść ani kęsa, dopóki się go

odpowiednio nie zachęciło.

Prawie każdy miał w domu coś, co odłożył na tę szczególną okazję: puszki peklowanego mięsa „Spam”, herbatniki, owoce, skondensowane mleko do polania galaretki, dżem, cukierki albo czekoladę. Cenne — bo na wagę złota — jajka zostały zużyte do przygotowania bez i biszkoptów, które miały być podane na deser z owocami i śmietaną. Były też wielkie gary budyniu, góry kanapek i krakersów, posmarowanych mięsnym pasztetem i polanych sosem Heinza.

Nancy zaskoczyła wszystkich, prezentując ogromną puszkę brzoskwiń, przyniesioną kiedyś, lata temu, przez

amerykańskich żołnierzy.

-- Napiszę do Dextera, że zjedliśmy to w dniu zwycięstwa — oznajmiła. —
Będzie wzruszony.

Dexter i Nelson byli w Berlinie razem z triumfującą armią amerykańską, ale Eddie, brązowooki i brązowowłosy Eddie o nieśmiałym uśmiechu, został zabity dosłownie w tej samej godzinie, kiedy wojsko wylądowało 457

na francuskiej ziemi. Brenna zamawiała odtąd każdego roku mszę za jego duszę. Cara nie widziała Jacka McGarry'ego od dnia wesela Fielding i Fergususa.

Z domów wyszły kobiety, niosąc tace z

kanapkami i krakersami, a zgłodniała dziatwa dosłownie się na nie rzuciła. Potem podeszła Cara z tacą, na której były ustawione jeden przy drugim papierowe kubeczki z lemoniadą; Eleanor znalazła te kubki na strychu domu przy Tigh Street.

Ona i Hector przeprowadzali się właśnie do parterowego domu w Formy, z widokiem na rzekę Mersey i z wielkim garażem, żeby Hector miał

więcej miejsca do rzeźbienia.

Mężczyźni — ojcowie i starsi bracia — stali oparci o ściany domów, sącząc piwo z baru Baker's Arms tuż za rogiem i omawiając co ciekawsze sytuacje z

wojny, zwłaszcza bitwy, które po każdym tęgim łyku wy-grywali na nowo; tymczasem słońce świeciło, błogosławiąc ten mały skrawek ziemi swoim ciepłem i pięknem — i sprawiało, że powietrze aż drżało.

Kanapki i krakersy zniknęły w ekspresowym tempie, a na ich miejsce pojawiły się wielkie półmiski z ciastem biszkoptowym udekorowanym owocami, które zostało następnie pieczołowicie rozdzielone pomiędzy wszystkich biesiadników. Cara co chwilę zerknęła na nie tęsknie w nadziei, że może coś jej skapnie, choć było to bardzo wątpliwe.

Zjawiała się Eleanor.

— Nie chciałam niczego opuścić —
zwróciła się do Cary. — Ale bądź

co bądź w taki dzień nie powinno się
chyba pracować, mam rację? Hector
zaczął nową rzeźbę — chce ją nazwać
Zwycięstwo — ale później też
przyjdzie. Gdzie twoja matka? Myślisz,
że da się skusić na kieliszek wina?

Przyniosłam parę butelek.

— No cóż, jeśli o mnie chodzi, to
bardzo chętnie... i jestem pewna, że
mama też nie odmówi. Jest w domu. —
Kiedy Eleanor miała już wejść do
środka, Cara zawołała za nią: —
Powiedz, że gdyby mogła uratować dla
mnie chociaż trochę ciasta z owocami,

będę jej naprawdę wdzięczna!

Podano ciasta, które zniknęły w okamgnieniu. Cara rozdała nowe porcje lemoniady i pochwaliła każde dziecko za dobre zachowanie.

— A teraz będą gry! — zapowiedziała.

Gry organizowały przede wszystkim starsze dzieci, nastolatki, zadowolone z wolnego dnia, poza tym pomogły zanieść stoły i krzesła z powrotem do domów. Zadanie Cary było skończone. Teraz mogła iść 458

do domu na zasłużony odpoczynek. Niestety, kiedy weszła do kuchni, po cieście, na które miała taką chrapkę,

pozostało już tylko wspomnienie...

Zbliżała się czwarta; słońce schowało się już za domy i połowa ulicy tonęła w cieniu. Niektórzy piwosze zasnęli tam, gdzie stali, inni nadal sączyli swoje piwko z kufelków i — choć było to wbrew przepisom —

właściciel baru Baker's Arms wciąż nie zamknął interesu, korzystając z tego, że w tak ważnym dniu gliniarze raczej nie będą się kwapić ze sprawdzaniem. I chyba dobrze kalkulował...

— Bo w końcu o co my, u diabła, walczyliśmy, no, o co? — pytał

donośnym głosem jeden z „dzielnych

wojaków", który jako żywo nie był

nawet w pobliżu pola bitwy — jeśli nie o prawo do picia...? Wtedy i tam, gdzie się nam podoba?

Sean i Bernard spali w łóżku babci, a Kitty, silna i wytrwała jak wół, grała zawzięcie w piłkę nożną z Joeyem i gangiem chłopaków dwa razy większych od niej.

O wpół do piątej zjawił się Tyrone Caffrey, zabójczo przystojny w swoim mundurze Marynarki Handlowej. Jego statek zawinął wczoraj do Harwich, a Tyrone rozmaitymi okazjami dotarł do domu.

— Postanowiłem za wszelką cenę dojechać do Liverpoolu, jeśli tylko mi się uda — mówił uszczęśliwionej matce. — W takim dniu jak dziś nie chciałbym być w żadnym innym miejscu na świecie!

Kiedy Brenna skończyła wreszcie całować i tulić syna, Eleanor natychmiast zerwała się z miejsca i zrobiła to samo, może tylko trochę mniej wylewnie. Zanosiło się na kolejny ślub — Sybil i Tyrone mieli się pobrać, jak tylko Sybil zostanie zdemobilizowana i wróci do kraju z Indii. Młoda para miała zamieszkać w dawnym domu Eleanor na Tigh Street.

Mama już dała za wygraną w obliczu

tego, co było nieuniknione, nauczona doświadczeniem, że nie ma sensu próbować powstrzymywać dzieci przed zrobieniem czegoś, czego naprawdę chcą. Jeśli Tyrone się uparł i chce się żenić z Sybil, zrobi to i tak, choćby Brenna protestowała na wszelkie sposoby.

To chyba Hector przekonał Eleanor, że młodzi ludzie o niespokojnych sercach niekoniecznie muszą już zostać takimi na całe życie, że z latami często łagodnieją. Bądź co bądź blizna na twarzy Hectora mogła być 459

tylko pamiątką po ranie brzytwą. I nie stało się to bynajmniej podczas

golenia... Cara podejrzewała, że w młodości Hector nie był wcale takim aniołem.

Koniec końców, przyszłe teściowe wydawały się całkiem zadowolone z tej sytuacji. Tyrone od lat nie wyglądał na tak szczęśliwego, a Sybil wysłała nawet do Cary kilka miłych listów z Bombaju. Dawała w nich do zrozumienia, że wybaczyła Carze ślub z jej ojcem, tak więc Cara czekała już z niecierpliwością na następny ślub Caffreyów pod koniec roku.

Po drugim kieliszku wina zostawiła dzieci pod opieką mamy, a sama wróciła niezbyt pewnym krokiem na Parliament Terrace, żeby zobaczyć, jak się ma

Harry. Promienie słońca już nie były tak palące, ale w powietrzu nadal unosiła się jakaś magia, bo gdzie się obrócić, wszędzie słychać było śpiewy.

Zatrzymała się przy pustym miejscu, gdzie stały kiedyś dwa domy, zburzone przez bombę. Gruz już uprzątnięto, a domy po obu stronach wyrwy podparto drewnianymi palami. Zginęły wtedy dwie osoby, Cara nie знаła jednak ich nazwisk. Ludzie mieszkający w tych szeregowych rezydencjach nie byli szczególnie towarzyscy, izolując się z zasady od sąsiadów.

Kiedy tylko wojna się skończy, pomyślała i zaraz się poprawiła, teraz,

kiedy wojna się skończyła, sprzedam ten dom i kupię inny, z ogrodem, gdzie dzieci będą się mogły bawić.

Oczywiście zabiorę ze sobą Nancy, chociaż kochana staruszka pewnie będzie tęsknić za swoim małym mieszkankiem w suterenie.

Kiedy weszła do domu, Nancy nie było, za to tata był akurat zajęty nastawianiem czajnika; powiedział, że Nancy musiała chyba wyjść na spacer.

— Może chciała obejrzeć dekoracje ulic w centrum miasta?

Jeśli tak, to musiała zabrać ze sobą Rovera, bo pies też gdzieś przepadł.

Tata był strasznie rozczarowany, kiedy się zgłosił jako ochotnik do służby zastępczej. Wysłano go do pracy na kolei, gdzie bardzo brakowało męskich rąk. Konserwował trasy, naprawiał sygnalizację i przez całe dwa lata, od chwili, kiedy się zaciągnął, nie wysunął nosa poza Lancashire.

— W tym tygodniu mam poranną zmianę, więc pomyślałem, że przyjdę zobaczyć Harry'ego, zanim wrócę do domu — rzekł. Wciąż mieszkał w Kirkby, w mieszkanku nad bankiem. — Właśnie szykowałem 460

herbatę dla Fergususa i Fielding, bo od rana nie mieli nawet czasu wyrzeć na pięć minut ze swojego pokoju. Niezbyt

ciekawym programem Dnia Zwycięstwa, co?

Cara potrząsnęła głową.

— Właśnie dlatego przyszedłam, chciałam zobaczyć Harry'ego. Skoczę do nich na minutę.

Harry leżał w swoim łóżeczku, a Fielding i Fergus siedzieli u wezgłowia, wpatrując się z niepokojem w synka. Maleńka twarzyczka, jeszcze rano tak przeraźliwie czerwona, teraz była biała jak śnieg. W pierwszej chwili Cara pomyślała z przestraszeniem, że dziecko nie żyje, po chwili jednak zauważyła lekki ruch kołderki — i aż westchnęła z ulgą. Chłopczyk oddychał miarowo.

Na widok Cary Fielding wyszła za nią na podest schodów, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Doktor znów tutaj był — szepnęła.

— Powiedział, że nie mógł

przestać myśleć o Harrym i że jutro z samego rana zadzwoni do szpitala na Great Ormond Street w Londynie i poprosi, żeby go tam umieścili. To specjalistyczny szpital dla dzieci; jeśli oni tam nie dojdą przyczyny, to chyba już nikt...

— Ależ kochanie, to cudowna wiadomość!

— Prawda? — Twarz Fielding rozjaśnił

uśmiech. — Powiedział, że nasz doktor to stary fajtłapa i że pewnie będzie miał jakieś obiekcje, ale co tam, nie będziemy się tym przejmować. W każdym razie od paru godzin Harry nareszcie spokojnie śpi! Chyba jeszcze nigdy nie spał tak długo.

— A może podejdziecie później na Shaw Street? — zaproponowała Cara.

— Wiem, że nie chcecie zostawiać Harry'ego, ale ty mogłabyś na przykład pójść pierwsza, a potem wrócić i zmienić Fergusa. Tyrone jest w domu, przyszła też Eleanor, a lada chwila będzie i Hector...

— Nie, Cara, wielkie dzięki. Wolę zostać tu z Fergusem, zresztą on pewnie

też. Możemy potem zejść do kuchni i coś zjeść, ale tylko tyle.

— W porządku, Fielding, to do zobaczenia. — Cara już się zbierała do wyjścia, kiedy Fielding złapała ją za ramię.

— Czy wyświadczysz mi przysługę? Teraz, kiedy wojna się już skoń-

czyła, może mogłabyś zacząć mówić do mnie po imieniu? Tobie pewnie wszystko jedno, a ja mam już po dziurki w nosie tej „Fielding”.

Cara ucałowała przyjaciółkę w oba policzki.

— Jasne, Juliette!

461

Słysząc było, że tata wchodzi na górę z herbatą.

— Tato, od dziś masz ją nazywać Juliette — powiedziała Cara, kiedy się do nich zbliżył. Fielding-Juliette wzięła od niego tacę i wróciła do sypialni, a Cara z ojcem zeszli na dół. Powiedział, że przygotował też dwie filiżanki herbaty dla nich.

— Tato... Wracasz razem z nami na Shaw Street? — spytała, kiedy już siedzieli przy wielkim stole, jak to dawniej często bywało, chociaż... bez

nieodzownej w tym miejscu Nancy czuli się trochę dziwnie.

— Nie, kochanie. Chyba nie.

Pomyślała, że tata wygląda na zakłopotanego.

— Dlaczego nie? Bernard jest twoim synem. Nie chcesz go zobaczyć?

— Ależ oczywiście, że chcę. —
Poruszył się niespokojnie na krześle. — Tylko że twoja mama...

— Co moja mama?

Jakby nie potrafił znaleźć słów.

— Cóż... myślę, że ona chce, żebym wrócił, w każdym razie ciągle o tym napomyka. — Przeciągnął palcem wokół szyi, jakby miał za ciasny kołnierzyk. Praca na kolei najwyraźniej mu nie służyła. Wyglądał teraz dużo starzej i bardzo posiwiiał w ostatnim czasie. — Otóż, kochanie, rzecz w tym, że ja nie chcę wracać. Mam wielki szacunek dla waszej mamy i zawsze tak będzie, ale chyba już jej nie kocham. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest.

— Tato, ona rozpaczliwie pragnie, żebyś wrócił — wyjaśniła spokojnym głosem Cara. Mama zawsze miała nadzieję, że któregoś dnia to nastąpi. — Kiedy miałeś ostatnie wiadomości od

Lizzie Phelan?

— Już od dłuższego czasu nic — powiedział cicho. Nie patrzył jej w oczy. — Wcale się nie zdziwię, jeśli w ogóle się nie odezwie. Lizzie widzi tylko wielkie sprawy, nie ma czasu na malutkie. Pewnie już całkiem zapomniała o mnie i o Bernardzie.

— Co w takim razie będzie z Bernardem?

— Cóż... wolałbym, żeby był z twoją mamą niż z kimkolwiek innym na świecie, nie wyłączając Lizzie. — Udało mu się uśmiechnąć. — Kiedy skończę wreszcie z tymi kolejami, pojedę do Londynu. Zbliżają się wybory

i Churchill bardzo się chyba zdziwi, kiedy się okaże, że go wyrzucą ze stanowiska. Kiedy byłem jeszcze bardzo młody, wstąpiłem do Partii Pracy — i nadal do niej należę. Teraz chciałbym się znaleźć wreszcie w centrum wydarzeń — o ile, rzecz jasna, mi pozwolą.

462

Jacyś ludzie przechodzili obok domu, przeciągając kijkiem po szczeblach i śpiewając *When the Lights go on Again, All over the World**.

— A ja, kiedy byłem mała — zamyśliła się Cara — czułam się strasznie szczęśliwa, że mam takich rodziców jak

wy dwoje. Och, wiedziałam, że czasem się kłócicie, w każdym razie mama, ale nasz dom był zawsze pełen miłości i naprawdę czułam się w nim bezpieczna. Poza tym było w nim przytulnie i wygodnie, nie tak jak w domach innych ludzi. No, przynajmniej niektórych... Wyobrażałam sobie, że zawsze tak już będzie. —

Pociągnęła nosem, żeby nie chlipać jak siusiumajtka. — Nie mogę znieść tego, że ty i mama się rozstaliście.

— Czy myślisz, że powinienem do niej wrócić, kochanie? — Patrzył

na nią z napięciem.

— Nie, oczywiście, że nie. — Cara potrzęsnęła energicznie głową. —

Musisz zrobić to, co ty chcesz.

Rozumiesz, tato? Tak samo jak ja, kiedy wróciłam z Malty. Wcale nie uważam, że powinniśmy żyć tak, jak to pasuje naszym bliskim. Zrobiłabym to dla dzieci — dodała szybko — ale tylko dla nich. — Odstawiła filiżankę na spodek, herbata wystygła. —

Chyba już pójdę. Powiedziałam mamie, że wychodzę tylko na kilka minut. Na pewno będzie się martwiła, że może znów coś niedobrze z Harrym, skoro tak długo mnie nie ma.

Tata wstał z ociąganiem.

— To... może pójdę z tobą. Powinienem zobaczyć Bernarda, w każdym razie dzisiaj na pewno. Boję się tylko, że pewnego dnia twoja mama spyta mnie wprost, czy wracam, i wtedy będę jej musiał powiedzieć, że nie.

Do domu na Shaw Street właśnie przyszedł Hector, przynosząc ważne wieści — Anthony telefonował z Ameryki. Przez całą wojnę mieszkał

w Kanadzie, a teraz z jakiegoś powodu wrócił do Gaudulet College i zastał tam całe mnóstwo listów, które na niego czekały, wszystkie z Liverpoolu, niektóre sprzed wielu lat.

— A powiedział chociaż, dlaczego

nigdy nie napisał ani słowa do rodziny?
— spytała gniewnie Eleanor; widać
było jednak, że jest zadowolona i
zaskoczona równocześnie, że jej tak
dawno utracony syn w końcu się
odezwał.

* When the Lights go on Again, All over
the World (Kiedy światła znów zapłoną
na całym świecie) — piosenka brytyjska
z końca wojny, śpiewana przez Verę
Flynn.

463

— Nie, El, a ja go o to nie pytałem —
powiedział szorstko Hector. —

Jutro znów ma zadzwonić, wtedy

będziesz go mogła wypytać o wszystko, o co tylko zechcesz.

— Słyszał cię? Pamiętasz, że ci mówiłam, że jest głuchy.

— No, tak czy siak wydaje mi się, że zrozumiał, kiedy powiedzia-

łem, że jesteś na przyjęciu. Może ma słuchawkę, która pomaga słyszeć.

Teraz robią takie naprawdę malutkie. — Po tych słowach Hector zamknął usta i wyglądało na to, że nie ma zamiaru ich znów otworzyć.

Dogadywali się z Eleanor wyjątkowo dobrze i chyba nawet bardzo się kochali,

ale Hector był z natury milczkiem — i nie zamierzał tego zmieniać.

— Mamo, tata jest przed domem — zaanonsowała Cara. — Nosi teraz Bernarda na barana.

— Jest? Naprawdę? — Matka przygładziła włosy i rozprostowała fałdy sukni. — Pójdę i porozmawiam z nim. — Wychodząc, zerknęła do lustra.

Tyrone zaprosił Hectora na drinka i obaj wyszli, zostawiając Eleanor i Carę same.

— Anthony zawsze mówił, że kiedy dorośnie, to się z tobą ożeni —

wspominała Eleanor.

Cara już miała wybuchnąć śmiechem, w ostatniej chwili powstrzymała się jednak, uświadamiając sobie, że to byłoby niegrzeczne.

— Kiedy Tyrone i Sybil się pobiorą — powiedziała — będzie już chyba dość tych małżeństw pomiędzy Caffreyami i Allardyce'ami, co? — Czyżby Eleanor zapomniała, że Cara była żoną jej eksmęża, ojca Anthony'ego?

— Pewnie tak. Podejrzewam zresztą, że Anthony może już mieć żonę i rodzinę. Ach, ten Hector, że też go dokładniej nie wypytał!

— Przecież jutro znowu zadzwoni.

— Muszę sobie przygotować listę pytań. Czy to nie byłoby cudowne, gdyby przyjechał na ślub Sybil? — Twarz Eleanor złagodniała. — Może to zabrzmie okropnie, ale tysiąc razy wolałabym, żeby to Jonathan do mnie zadzwonił — tak ni stąd, ni zowąd. Czasem sobie myślę — a gdyby to wszystko było jedną wielką pomyłką albo że mi się to tylko przyśniło.

Ot, koszmarne sen, z którego się zaraz obudzę... Ciągle jeszcze nie mogę się przyzwycząić, że naprawdę go nie ma.

— Ja miałam to samo odczucie w stosunku do Kita, ale w końcu jakoś,

jakoś udało mi się oswoić z faktem, że
już nigdy więcej go nie zobaczę...
choć to wymagało naprawdę długiego
czasu. — Oczyma 464

duszy ujrzała ciało Kita, jego dobrą,
kochaną twarz zdartą wybuchem
bomby...

— Jesteś piękną dziewczyną, Cara —
powiedziała miękko Eleanor. —

Naprawdę mam nadzieję, że nadejdzie
dzień, w którym się zakochasz i
wyjdiesz za mąż.

— Nie sędzę, żeby to było możliwe.

Miała teraz dwadzieścia pięć lat i była

wdową z dwojgiem dzieci, a o zakochaniu się nie myślała od bardzo dawna.

— Skoro ja to mogłam zrobić, moja droga, to i ty możesz. Och, słuchaj!

Grają na ulicy — to chyba fisharmonia.

— Aha, grają Knees Up Mother Brown. Pójdziemy tam posłuchać?

Eleanor się skrzywiła.

— Możemy pójść i posłuchać, ale ja nie zamierzam tego tańczyć, w każdym razie nie w tych pantoflach i tej spódnicy.

Zapadała noc. Słońce zniknęło już

zupełnie i na wąskich ulicach zapanował zmrok. Ludzie wracali do domów i zapalali światła, na górze i na dole, tak żeby każdy dom był oświetlony — ten widok był tak niezwykły, że każdy się zatrzymywał i patrzył z podziwem. Cóż — naj-trudniejszą do zniesienia rzeczą w ciągu minionych sześciu lat było dla ludności cywilnej zaciemnienie.

Nastroje nieco się uspokoiły, opadły i nawet starszy pan grający na fisharmonii postanowił zmienić repertuar, a spod jego palców popłynęły teraz rzewne, pełne melancholii tony. Wojna się skończyła i dla większo-

ści ludzi była już tylko wspomnieniem. Dla wielu jednak oznaczała długie lata

smutnych wspomnień po kochanych, najdroższych sercu osobach; utraconych gdzieś za morzami mężach i synach, mężczyznach, kobietach i dzieciach zabitych podczas nalotów. Syn Eleanor... żona i syn Tyrone'a... wreszcie ukochany Cary — to zaledwie kilka ofiar tej strasznej wojny.

Cara siedziała na schodach, patrząc na matkę i ojca, tańczących w takt melodii Who's Taking You Home Tonight*, wolnego, rozmarzonego angielskiego walca. Mogłaby się założyć, że to mama poprosiła tatę do tańca, a on nie chciał odmówić. Biedna mama! Traciła tylko czas, starając się go

* Who's Taking You Home Tonight (Kto cię dziś zabierze do domu) — angielska piosenka z czasów wojny, śpiewana przez Verę Lynn.

465

odzyskać. W końcu prawda do niej dotrze jak bomba z opóźnionym zapłonem i wtedy dopiero się załamie.

Dzieci leżały już w łóżkach. Kitty, najmłodsza z tych, które jeszcze zostały, wciąż pełna werwy grała w klasy na chodniku przed domem.

Joey nie odstępował ojca nawet na krok. Tyrone musiał już z samego rana wracać do portu w Harwich; Joey miał zostać z

mama, kiedy Tyrone ożeni się z Sybil. Chłopak już teraz miał dwie matki i chyba nie było sensu dodawać mu jeszcze trzeciej. Jego tata tylko na chwilę go pożegnał, kiedy poszedł na Tigh Street.

Na ulicy pojawił się jakiś młody mężczyzna w mundurze lotnika. Serce Cary zabiło mocniej, tak bardzo przypominał jej Kita: ten sam wzrost, sylwetka, nawet wiek. Na jego rękawie zobaczyła jeden pasek, też zupełnie jak u Kita.

Nieznajomy rozmawiał z kobietą, siedzącą na schodkach naprzeciwko; w pewnej chwili wskazała głową w kierunku Cary. Kiedy ruszył w jej stronę

i z uśmiechem zdjął czapkę, wstała. Z bliska nie przypominał Kita, ale Cara nadal miała wrażenie, że widzi ducha.

— Witam — powiedział.

— Witam — bąknęła.

— Nie przypominasz mnie sobie, co?

— Nie.

Może się spotkali na Malcie...

— Nic dziwnego. Ja ciebie też nie pamiętam, w każdym razie nie to, jak wyglądasz, chociaż przez krótki czas byliśmy naprawdę bardzo blisko siebie... — Oczy mu tańczyły, jakby się

świetnie bawił jej za-kłopotaniem.

— Czy nie mógłbyś mi oszczędzić nerwów i powiedzieć jak człowiek, kim jesteś? — warknęła Cara, chociaż i jej oczy tańczyły. Podobnie jak Kit, nie był ani trochę przystojny, ale było w nim coś pociągającego... no i ten czarujący uśmiech.

— Nazywam się Charlie Green, a ty jesteś Cara Caffrey. Podwoziłem cię kiedyś do domu moim motocyklem z Lime Street Station.

— Teraz pamiętam! To było niedługo po tym, jak wojna się zaczęła.

Ale że też zapamiętałaś moje imię... i

gdzie mieszkam, przez tyle czasu?

— Nigdy nie zapomniałem — odparł natychmiast. — Zawsze chcia-

łem zobaczyć, jak wygląda pierwsza dziewczyna, która mnie obejmowała.

— Założę się, że nie ostatnia.

466

— No, nie — przyznał z szerokim uśmiechem — ale za to najładniejsza ze wszystkich! Ta kobieta, z którą teraz rozmawiałem, powiedziała mi, że już się nie nazywasz Caffrey i że jesteś wdową z dwójką dzieci.

— To prawda, poza tym już nie mieszkam na Shaw Street, ale moja mama mieszka i dlatego tu dziś jestem.

— Czyli miałem szczęście! — To zabrzmiało tak szczerze, że chyba tak naprawdę myślał.

— Chyba tak. — Zrobiło jej się miło, że tak uważał.

Wyciągnął przed siebie obie ręce.

— Czy mogę cię prosić do tańca, Cara?

— Czemu nie?

Na Parliament Terrace Juliette i Fergus jedli w kuchni; zostawili otwarte drzwi,

na wypadek gdyby Harry się obudził i zaczął płakać. Serca aż ich bolały z miłości i niepokoju o to dziecko, które od paru godzin nareszcie spokojnie spało.

— Pojadę z nim do Londynu —
powiedziała Juliette.

— Sama? Mowy nie ma — odparł Fergus twardo. — Jadę z wami. Nie zapominaj, że jesteś w piątym miesiącu.

— Jak mogłabym zapomnieć! Ale co będzie z twoją pracą?

— Pal sześć pracę. Niedługo i tak się skończy. Przecież jest pokój, więc komu teraz potrzebne balony zaporowe?!

Ich oczy się spotkały i Juliette powiedziała ochrypłym głosem:

— Naprawdę cię kocham, Fergusie Caffreyu. Ciekawam, gdzie jest Nancy? Coś strasznie długo jej nie ma.

— Gdzieś tam.. założę się, że się świetnie bawi. Może poszła na przyjęcie na Shaw Street i dobrze się tam czuje.

— Mam nadzieję. — Juliette rozejrzała się niepewnie. — Dom bez Nancy wydaje się jakby nie ten sam. A gdzie ten pies, Rover? Myślałam, że miał tu zostać na stałe.

— A może się w końcu okazało, że wcale nie jest bezdomny i wrócił

do swojej pańci?

Nancy przez cały dzień nie wyszła nawet za próg domu. Po południu położyła się do łóżka, nie mówiąc nikomu ani słowa. Tylko by się niepokoiłi, gdyby się im przyznała, jak bardzo jest zmęczona; tak bardzo, 467

że kości z trudem utrzymywały jej ciężkie ciało. Jedyne, czego teraz pragnęła, to się położyć. Od tak dawna czekała na ten Dzień Zwycięstwa!

A tu proszę, takie kwiatki... Czowała wielkie rozczarowanie, że nie może w nim uczestniczyć, ale w końcu będą jeszcze inne dni, choć może nie aż tak ważne jak ten.

U jej nóg spał Rover. Może też był zmęczony? Od dłuższego czasu prawie się nie poruszył. Lubiła towarzystwo tego psa, bo grzał jej przyjemnie stopy, tylko niekiedy przypominając o swojej obecności lekkim chrapaniem.

Ciekawa była, jak też się bawią dzieci. Wszystkich ich uważała za swoje dzieci: Eleanor, Brenne, Carę i Sybil, Kitty i Seana, a także wielu, wielu innych, których wzięła pod swoje skrzydła od chwili wprowadzenia się do domu przy Parliament Terrace, kiedy sama była właściwie jeszcze dzieckiem; jej dziećmi byli też ci kochani Amerykanie, którzy tak dobrze się tutaj czuli, jak u siebie w domu.

Jedno było pewne. Odtąd będą żyli w lepszym świecie, w świecie, w którym już nie będzie głodu ani nędzy, w którym ludzie będą żyć w przyjaźni, a prawa człowieka będą respektowane. Ta dopiero co zakończona wojna z pewnością dała nauczkę politykom wszystkich krajów, pokazała im, że kobiety rodzą dzieci nie po to, żeby były mięsem armatnim, i że teraz nadszedł czas, by dać szansę pokojowi.

Boże drogi, ależ była zmordowana! Chociaż spała dobrych parę godzin, nadal czuła zmęczenie w kościach, i nawet gdyby w domu wybuchł teraz pożar, szczerze wątpiła, czy dałaby radę się podnieść. Równocześnie jednak to

inne ciało — wewnętrzne — było leciutkie jak piórko — i to drugie ciało unosiło się w tej chwili w powietrzu i płynęło przez długi, ciemny tunel w stronę jakiegoś jasnego, złocistego światła. Czyjaś ręka skinęła w jej stronę, czyjś głos wzywał łagodnie: „Chodź!”, i Nancy już wiedziała, że kiedy dojdzie do tego światła, już nigdy więcej nie będzie zmęczona. Teraz czuła już tylko radość.

Po kilku sekundach, u stóp łóżka, Rover podniósł łeb i zawył przeciągle...

Daleko stamtąd, na innym kontynencie, Sybil Allardyce nie mogła zasnąć. Kręciła się i wierciła w łóżku tak, że prześcieradła poskręcały się w supły,

kiedy je gwałtownie rozkopywała, ściągała to na jedną, to na drugą stronę, zrzucała je z siebie, kiedy się jej robiło za gorąco, albo naciągała z powrotem, kiedy zmarzła. Była w Indiach, w Bombaju; spała 468

w tym łóżku już od trzech długich lat, a teraz nie mogła się wprost doczekać powrotu do domu, do Liverpoolu. Nie mogła spać z niecierpliwości, z pragnienia, żeby już jechać.

Za parę tygodni ją zdemobilizują — modliła się, żeby to nie były miesiące — a wtedy wyjdzie za mąż za Tyrone'a Caffreya i będzie mieszkała w dawnym domu mamusi na Tigh Street. Matka

naprawdę wyszła za męża za tego obmierzonego typa spod ciemnej gwiazdy i teraz nazywała się panią Ingram. Sybil przypuszczała, że będzie musiała odtąd zacząć o nim myśleć nieco cieplej, bo przecież już niedługo będą się często widywać. Mamusia nawet zaproponowała, żeby Hector poprowadził ją do ołtarza i przekazał narzeczonemu. „Ostatecznie, kochanie, to teraz twój ojczym”, pisała.

„Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu”, odpisała jej wtedy Sybil.

Jeśli ten zbir mają przekazać w ręce Tyrone'a, niech przekazuje. Jej to naprawdę nic a nic nie przeszkadza...

— Chyba już pójdę, kochanie —
powiedział Colm. — W tym tygodniu
mam poranną zmianę i muszę wstać
przed wschodem słońca.

Brenna rzuciła mu ciepły uśmiech.

— Zostań na noc, kochanie, w domu jest
dosyć miejsca.

— Wcale nie ma tak dużo miejsca,
Brenn. A co z Tyrone'em?

— Na pewno nic mu się nie stanie, jak
jedną noc prześpi się w salonie...

Śpij ze mną, chciała mu powiedzieć,
wykrzyzczyć. Kochaj się ze mną w
naszym dawnym łóżku! Pozwól mi leżeć

w swoich ramionach przez całą noc.

Colm jednak tylko potrząsnął głową.

— Bren, to nie byłoby ładnie wobec Tyrone'a. Jutro rano musi wracać do Harwich. A ty masz tutaj Kitty i Seana i tak dalej. Przecież nie będziesz ich teraz budzić i prowadzić z powrotem na Parliament Terrace, to bez sensu. Nie, złapię pociąg do Kirkby. Zobaczymy się niebawem, kochanie.

Nie wiem jeszcze dokładnie kiedy.

Brenna patrzyła za nim, jak odchodził, powłócząc nogami; chciała za nim biec, objąć go mocno rękami, ściągnąć z powrotem, powiedzieć mu, jak bardzo

go kocha, zawsze kochała, zawsze będzie kochać.

„Jesteśmy stworzeni dla siebie — powie mu. — Zawsze tak mówiłeś, Colm, kochanie. Dlaczego mamy żyć osobno, skoro możemy żyć razem, szczęśliwie, do końca naszych dni?”.

469

— Wrócisz do mnie kiedyś! —
powiadomiła niknącą w mroku postać.

Katie MacBride tak powiedziała, a wszystko, co przepowiedziała, się sprawdziło.

Fergus zszedł na dół zobaczyć, dlaczego

Rover tak wyje.

Sybil nareszcie zasnęła.

Brenna uklękła przy łóżku i modliła się za wszystkich, a zwłaszcza za Colma.

Eleanor i Hector wracali piechotą do domu z przyjęcia, trzymając się pod rękę, myśląc o swoich zmarłych dzieciach i zdumiewając się, iż oto stał się cud — odnaleźli siebie, pokochali i z tak potwornego zła wynikło tyle dobrego.

Colm siedział w pociągu i zastanawiał się, czy rzeczywiście jest sens jechać do Londynu, miasta, w którym jeszcze nigdy nie był, gdzie nie znał żywej duszy i nie

miął żadnych widoków na mieszkanie — tylko po to, żeby wziąć udział w wyborach, nawet gdyby to miały być wybory stulecia, bijące wszystkie rekordy. Czy polityka była naprawdę aż tak ważna? Mógł przecież mieszkać w domu, który jego brat wygrał w karty, ze swoim synem i z kobietą, o której kiedyś myślał, że będzie ją zawsze kochał. Przypomniawszy sobie podnieconą twarz Brermy w dniu, kiedy po raz pierwszy obejrzeliby ten dom — ćwierć wieku temu. „Toż to prawdziwy pałac!” — powiedziała wtedy. Zastanowił się, co o tym zapuszczonym domku powiedziałyby Lizzie... A mieszkanie z małym dzieckiem przez całe miesiące w tej okropnej piwnicy? Mógłby się założyć,

że jego piękna nowa kobieta nie zniosłaby tego z takim hartem ducha jak Brenna.

Wyjrzał przez okno, zbyt zaabsorbowany, aby zauważyć, że po sześciu latach zaciemnienia na ulicach znowu palą się latarnie, okna domów są oświetlone, że minął dwa duże ogniska, że znowu widać stacje, na których się zatrzymują. Pociąg już dojechał do Kirkby, a Colm wciąż miał w głowie zamęt.

A Cara?

Cara tańczyła z Charliem Greenem, tańczyła, aż ją rozboleły nogi, aż musiała zrzucić z ramion żakiet, mimo iż zbliżała

się już północ i powietrze zrobiło się chłodne. Tańczyli pod gwiazdami błyszczącymi na niebie —

razem z kilkoma innymi parami, które, tak jak oni, nie chciały, żeby ten dzień, ta noc się skończyły, i były zdecydowane tańczyć aż do samego świtu. Muzyk grający na fisharmonii wciąż tam był, maszerował po 470

chodniku tam i z powrotem, kołyszając do snu ludzi, leżących już w swoich łóżkach, w swoich domach.

— Co się wydarzy jutro, Cara? — wyszeptał Charlie Green.

— Kto to wie? — Cara odrzuciła głowę

do tyłu i roześmiała się.

Dziś w nocy miała wrażenie, jakby jej dawne życie dobiegło końca, a zaczynało się nowe, jakby zrzuciła z siebie ciężki płaszcz, który od lat ją przygniatał. Czuła się teraz lżejsza, młodsza, szczęśliwsza. Kiedy ostatni raz było jej tak lekko na sercu? Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. Jak przez mgłę pamiętała, że ma dwoje dzieci, ale nie miała pojęcia, gdzie teraz są, wiedziała jednak na pewno, że nic im nie grozi, że są bezpieczne.

— W każdym razie przed chwilą usłyszałam bicie zegara — więc już nie jest jutro, ale dzisiaj.

— A więc, Cara, co się wydarzy dzisiaj?

— Zobaczymy, Charlie. — Znowu się roześmiała. — Zobaczymy.

Koniec.